

# RAKIETOWE SZLAKI

1

**ANTOLOGIA KLASYCZNEJ SF**

wybór Lech Jęczmyk

SOLARIS

# ANTOLOGIA

## RAKietowe Szlaki Tom I

### ANTOLOGIA KLASYCZNEJ SF

**Przekład:**

Piotr W. Cholewa, Irena Lewandowska,  
Zofia Uhrynowska-Hanasz  
Lech Jęczmyk, Bożena Józwiak, Julian Stawiński  
Blanka Kuczborska, Aleksander Glondys



2011

# Spis treści

Karta tytułowa  
NA WSTECZNYM BIEGU

JOHN VARLEY „Porwanie w powietrzu”  
O autorze

R.A. LAFFERTY „Najdłuższy obraz świata”  
O autorze

IAN WATSON „Powolne ptaki”  
O autorze

THEODORE STURGEON „Skalpel Occama”  
II  
III  
O autorze

BARRINGTON J. BAYLEY „Rejs po promieniu”  
O autorze

WILLIAM TENN „Bernie Faust”  
O autorze

ROBERT ZACKS „Kontroler”  
O autorze

DYMITR BILENKIN „To niemożliwe”  
O autorze

BRIAN W. ALDISS „Człowiek ze swoim czasem”  
O autorze

ALEXANDER JABLOKOV „Strażnik śmierci”  
O autorze

JURIJ NAGIBIN „Tajemniczy dom”  
O autorze

HENRY KUTTNER „Profesor opuszcza scenę”  
O autorze

TULI KUPFERBERG „Tęsknota”

O autorze

JAMES WHITE „Ubranie na miarę”

O autorze

ROBERT SHECKLEY „Bitwa”

O autorze

ROGER ZELAZNY „Róża dla Eklezjastesy”

II

III

IV

O autorze

URSULA K. LE GUIN „Ci, którzy odchodzą z Omelas”

O autorze

ILJA WARSZAWSKI „Ucieczka”

O autorze

GORDON R. DICKSON „Mów mu, panie”

O autorze

GENE WOLFE „Jak przegrałem II wojnę światową i pomogłem powstrzymać niemiecką inwazję”

O autorze

Kilkutomowa encyklopedia

PODZIĘKOWANIA

## NA WSTECZNYM BIEGU

Dlaczego postanowiliśmy z Wojtkiem Sedeńką i Solarisem wydać wybór starej science fiction z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia? Po pierwsze dlatego, że mamy dla niej wielki sentyment tak jak co najmniej ćwierć miliona czytelników. Miejmy nadzieję, że większość z nich żyje. *Kroki w nieznanie* ukazywały się w nakładzie trzydziestu tysięcy tylko dlatego, że na więcej nie było papieru. „Fantastyka” z tego samego powodu wychodziła w nakładzie „tylko” 200 tysięcy. Czytając te opowiadania po wieloletniej przerwie, doznawaliśmy nie mniejszej, a może większej przyjemności niż kiedyś.

Po drugie, uznaliśmy, że świat zaludnili zupełnie nowi ludzie, i byłoby żal, gdyby ominęła ich przyjemność lektury tych historii. Bo najlepsze z nich to kawał dobrej literatury, mimo że nacisk rynku nie zachęcał do tworzenia arcydzieł.

W świecie science fiction od zawsze mówiło się, że ten gatunek literatury konkuruje z piwem. Rzeczywiście był to (i jest nadal) napój lubiany przez fanów, z których każdy staje przed niełatwym wyborem: jeszcze dwa piwa czy jeszcze jedna książka. Mówi o tym samy wielki Heinlein: *Moim celem jest pisać wystarczająco ciekawie, żeby móc konkurować z piwem. Nie, żeby być tak wielkim jak Shakespeare albo tak nieśmiertelnym jak Homer, ale żeby przekonać posiadacza pewnej sumy gotówki do wydania jej na wznowienie jednego z moich paperbacków, choć mógłby kupić sobie za to piwa.*

Forma opowiadania przeżywała wtedy znakomity okres i znajdowało to swoje odbicie również w dziedzinie fantastyki. Jestem przekonany, że gdyby sporządzić antologię najlepszych opowiadań amerykańskich z trzech ostatnich dziesięcioleci dwudziestego wieku, to co najmniej połowa z nich pochodziłaby z fantastyki. W Polsce byłoby to pewnie trzy czwarte. A czym byłoby opowiadanie brytyjskie bez Aldissa, Ballarda czy Watsona?

Autorami znakomitych opowiadań byli niezawodni mistrzowie: Robert Sheckley, William Tenn, Frederic Brown, Brian W. Aldiss, czy J.G. Ballard. Niektórzy pisali powieści i opowiadania, inni na długich dystansach dostawali zadyszki. Byli autorzy jednego genialnego opowiadania, których później wciągała komercja (Philip Jose Farmer, Alexander Jabłokov) i był Bob Leman, inżynier nafciarz, któremu to nie groziło, bo miał pieniądze z innego źródła. Typową sytuacją było, że autora znakomitego opowiadania zmuszano do rozwinięcia go w powieść – z różnymi wynikami. Tak powstała cała seria o Fundacji Asimova, a Ursula K. Le Guin rozwinęła *Naszyjnik Semley* w Świat Rocannona. Powieść jest niezła, ale genialne opowiadanie wypadło niestety z kategorii opowiadań. Szkoda. Również John Varley brawurowe opowiadanie *Porwanie* rozwinął do rozmiarów powieści. Byłem zdziwiony, jak bardzo przebudował opowiadanie, żeby je wpasować do powieści, też bardzo dobrej.

Zebrane tu opowiadania powstały w zupełnie innych czasach. Pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lat temu ludzkość (to znaczy mieszkańcy cywilizacji zachodniej, Pigmeje się do tego nie

mieszali) odkrywała fascynującą przyszłość, która czekała tuż za rogiem. Trafnie oddaje to amerykański autor Chuck Palahniuk, oprowadzając swoich bohaterów po terenach dawnej wystawy światowej.

*— Pokażę wam, gdzie skończyła się przyszłość – mówi Seth. Według Seta przyszłość skończyła się w roku 1962, podczas Wystawy Światowej w Seattle. – Tu jest wszystko, co mieliśmy odziedziczyć: człowiek na Księżycu w tym dziesięcioleciu, azbest naszym cudownym przyjacielem, napędzany energią nuklearną i paliwami kopalnymi świat Ery Kosmicznej, w którym możesz odwiedzić apartamentowiec w kształcie latającego spodka. Kosmiczna Iglica. Pędząca kolejka jednoszynowa.*

*To była nasza przyszłość: aerozole, styropian, wakacje na Księżycu, ser i rostbef z tubki. I superatrakcja, śniadanie z astronautami.*

*A teraz przyłóż tu osobnicy w sandałach własnej roboty, broń Boże ze skóry, nadają dzieciom imiona Zilpa i Zebulon ze Starego Testamentu i jedzą soczewicę.*

Tak, w filmach science fiction z tamtych lat wszyscy byli młodzi, zdrowi, prosto od fryzjera i chrzęcili plastykiem. Musiało upłynąć wiele lat, zanim zobaczyliśmy pierwszy zardzewiały statek kosmiczny, wiozący nie uczonych i inżynierów, ale kryminalistów do kolonii karnej na Księżycu.

Jednak nawet w świecie pierwszych sputników, świecie generalnie entuzjastycznie nastawionym do techniki i nauki w literaturze science fiction, nie brakowało głosów krytycznych i ostrzegawczych. A dziś, przyszłość się zestarzała. Szynka jak za Gierka. Baleron babuni. Chleb pradziadka. Bez konserwantów,

ręczna robota. To ma powodzenie! Nikt nie przebiera się za kosmonautę. Na fali jest rekonstrukcja, bitwa pod Grunwaldem, sprzęt z drugiej światowej, powstańcy warszawscy – to jest nowa mitologia.

Nie mogła ominąć science fiction zimna wojna. Radykalny wyraz nienawiści do Sowietów (zawsze nazywanych Ruskimi) dał Robert A. Heinlein w powieści *Farnham Freehold* z roku 1964: *Jeżeli te zakłamane, oszukańcze sukinsyny zrzucą swoje mordercze bomby na Stany Zjednoczone, to chcę przeżyć wystarczająco długo, żeby pójść do piekła w wielkim stylu – w asyście ośmiu Ruskich.*

Pan Podbipięta marzył o trzech pohańcach, Heinlein, jak widać, podniósł poprzeczkę do ośmiu.

Inaczej podszedł do sprawy Philip K Dick, który w *Prawdzie przedostatecznej* przedstawia zimną wojnę jako uzgodnione narzędzie propagandowe obu wielkich mocarstw do skuteczniejszego eksploatowania własnych narodów. (Porównaj *Ucieczkę Ilji Warszawskiego*).

Fantastyka naukowa powstała jako odrębna gałąź literatury pięknej w drugiej połowie lat 20. w Stanach Zjednoczonych. W Europie ani Julesa Verne'a, ani Herberta George'a Wellsa nie wkładano do jakiejś oddzielnej szuflady. Verne'a przyjmował na oddzielnej audiencji Papież, Turgieniew uważał go za wybitniejszego od siebie pisarza, a Wells był jednym z najbardziej wpływowych intelektualistów europejskich. W Stanach tymczasem SF drukowały początkowo pisemka popularnonaukowe (jak u nas „Młody Technik” w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku) i bardzo dbano o to, żeby te



fantazje były zgodne z nauką. I przeważnie były. A.E. Van Vogt, na przykład, opisał dość trafnie bombę atomową, kiedy rząd amerykański już nad nią w największej tajemnicy pracował. Pisarz doczekał się nawet wizyty FBI, które chciało sprawdzić, którędy tajemnica wydostała się z tajnego laboratorium do literatury.

Brytyjczyk Arthur C. Clarke miał szczególnie dużo pomysłów, takich jak satelita ze sztuczną grawitacją (*Odyseja kosmiczna*, *Spotkanie z Ramą*), ale najbardziej żałował, że nie opatentował pomysłu satelity komunikacyjnego. Clarke miał też pomysły bardziej ziemskie, a raczej wodne, kiedy pisał o oswojaniu głębin oceanicznych i przemysłowej hodowli wielorybów (*Kowboje oceanu*). Na razie doszliśmy do jesiotrów. Stanisław Lem, bardzo popularny w Związku Radzieckim, był zapraszany przez tamtejszych kosmonautów do ich „gwiazdznego miasteczka”. Również amerykański moduł, lądujący na Księżycu, nosi, chyba nieprzypadkowo, akronim LEM. Wszystko to nie dlatego, że pisarz sypał pomysłami technicznymi, ale dlatego, że przyczyniał się do tworzenia atmosfery, w której loty kosmiczne stały się częścią publicznej świadomości. I to właśnie uważam za najważniejszy sukces literatury SF – stworzenie mitologii XX wieku, która zmieniła świat, bo tylko mitologia ma moc sprawczą. Fantastyka naukowa dała impuls dwóm fenomenom nierównej wagi: komiks o Supermenie zaowocował kulturystyką, a cała SF – kosmonautyką.

Dla mnie ciekawsze od nowinek technicznych są rozważania o możliwości przemiany samego człowieka. U Kurta Vonneguta, ludzie podlegają dewolucji i zmieniają się w beztroskie istoty

delfinopodobne. Powieść Johna Wyndhama nosi znaczący tytuł *Poczwarki*, u Clarke'a (*Koniec dzieciństwa*) dzieci przestają się komunikować z dorosłymi, a potem znikają. Na razie stała się rzeczywistością część pierwsza. Na Ziemi zostaje ostatnie pokolenie, dożywających swoich lat ludzi. Ten sam temat poruszają współczesne powieści Davida Brina. Czytelnik, z wyobraźnią rozbudzoną literaturą fantastyczną, musi się zastanowić, czy coś takiego już się nie zaczęło. Pierwszy człowiek ze zdiagnozowanym autyzmem ledwo przekroczył 70 lat i ma się dobrze. Za nim poszły dziesiątki milionów takich dzieci. Epidemia to, czy inwazja z kosmosu?

Pomysły fantastyki socjologicznej też mogą się sprawdzać. Nasz przedwcześnie zmarły Janusz A. Zajdel, łączący talent pisarski z inżynierskim podejściem, wymyślił w połowie lat 80. sposób na oszukiwanie wszechobecnych kamer i urządzeń podsłuchowych za pomocą języka poetyckiego, języka skojarzeń, w których komputer nie potrafi się połapać (*Paradyzja*). Ćwierć wieku później na ten sam pomysł omijania cenzury w sieci, wpadli chińscy infonauci – a może za pośrednictwem miłośników fantastyki dotarł do nich pomysł Zajdla?

I wreszcie jedna niepokojąca myśl: są trzy wynalazki, które zmieniły obraz świata i międzyludzką komunikację – pecet, GPS i telefon komórkowy. To musi dziwić, że w ciągu prawie stulecia rozwoju literatury fantastycznej, która wymyśliła tysiące gadżetów, w tym skumulowanym polu ludzkiej fantazji, nikt nie pomyślał o tych tak znaczących wynalazkach. Widocznie nie mieściły się w kategoriach naszego myślenia, jakby były nam obce. Nic dziwnego, że w kręgach miłośników fantastyki krąży

powtarzana szeptem plotka, że to prezent od obcych. Dla autorów SF, to nowy temat do rozważań: dlaczego oni nam to dali? Czy podrzucili nam nawozu, żebyśmy szybciej rośli? Czy jesteśmy ich kukurydzą i modyfikują nas genetycznie? Rozwijają się nowe gatunki człowieka, rosną pokolenia dzieci autystycznych, nadchodzą zastępy „szklaniaków”. Już jest ciekawie, a będzie jeszcze ciekawiej.

Fenomen science fiction jako odrębnego rodzaju literatury i filmu, więcej, jako swoistej podkultury z własnymi nagrodami, zjazdami i wielkimi mistrzami prawdopodobnie dobiega końca. Jak przekonująco dowodzi Dominika Oramus w znakomitej książce *O pomieszaniu gatunków. Science fiction a postmodernizm* (nie dajmy się odstraszyć tym naukowym tytułem), strumień science fiction wlewa się do głównego nurtu, wzbogacając go swoimi pomysłami. Warto zajrzeć do czasu, kiedy ten fenomen, początkowo czysto amerykański, potem przyciągający innych, znajdował się w pełni rozkwitu.

*Lech Jęczmyk*

---

## JOHN VARLEY

---

*Porwanie w powietrzu należy do tych opowiadań, z których potem wyrastają powieści. Pomysł, tempo, rozpaczliwa akcja dla przedłużenia życia ludzkości. Co ciekawe, rozbudowana z niego powieść (Złoty wiek) nie ustępuje opowiadaniu, bohaterem jest, uwaga, inspektor badający przyczyny katastrof lotniczych. W jednej katastrofie... coś się nie zgadza.*

### Porwanie w powietrzu

Wyrwał mnie ze snu bezgłośny sygnał wibrujący w czaszce. Nie wyłączy się, dopóki nie usiądę, więc usiadłam. Wokół mnie w ciemnej sypialni spali pojedynczo i parami członkowie Drużyny Przechwytywającej. Ziewnęłam, podrapałam się po żebrach i klepnęłam Gene'a. Odwrócił się na drugi bok. Romantyczne pożegnanie.

Przetarłam oczy, sięgnęłam po leżącą pod łóżkiem nogę, przypięłam ją i podłączyłam. I już biegłam między rzędami łóżek w kierunku sali odpraw.

W mroku jarzyła się tablica sytuacyjna. Lot 128, Miami–Nowy Jork, 15 września 1979. Szukaliśmy go od trzech lat. Powinnam się cieszyć, ale kogo na to stać zaraz po przebudzeniu?

Liza Boston powitała mnie burknięciem przy wejściu do garderoby. Odburknęłam i weszłam za nią. Zapaliły się światła

wokół luster, opadłam na fotel przed jednym z nich. Za nami przyszła jeszcze trójka. Podłączyłam się, wreszcie mogłam się odchylić na oparcie i zamknąć oczy.

Nie na długo. Łup! Poderwało mnie, kiedy na miejsce pomyj, normalnie zastępujących mi krew, napłynęło wysokoenergetyczne paliwo. Rozejrzałam się i zostałam nagrodzona zestawem kretyńskich uśmiechów. Były tu Liza, Pinky i Dave. Przy ścianie Czistabel obracała się już wolno pod natryskiem, przemalowując skórę na białą. Wyglądało, że mamy dobry zespół.

Otworzyłam szufladę i zaczęłam wstępne prace nad swoją twarzą. Coraz więcej z tym roboty. Mimo transfuzji wyglądałam jak trup. Prawe udo odpadło mi do reszty i nie mogłam już zamknąć warg, dziąsła były stale odsłonięte. Przed tygodniem odpadł mi we śnie palec.

Tymczasem rozjarzył się jeden z ekranów przy lustrze. Uśmiechnięta młoda kobieta, blondynka, wysokie czoło, okrągła twarz. Dość podobna. Napis głosił, że to Mary Katrina Sondergard, urodzona w Trenton w stanie New Jersey, wiek w 1979: 25 lat. Masz dziś szczęśliwy dzień, dzieciно.

Komputer roztopił skórę jej twarzy, żeby mi zademonstrować budowę czaszki, obrócił ją, dał przekroje. Stwierdzałam podobieństwa i wychwytywałam różnice. Nieźle, bywało gorzej.

Zestawiłam sztuczną szczękę z odstępem między górnymi przednimi zębami. Policzki wypchałam specjalną masą. Włożyłam szkła kontaktowe, które wypadły z podajnika. Zatyczkami rozszerzyłam nozdrza. Uszy niepotrzebne. Zasłoni je peruka. Naciągnęłam na twarz maskę ze sztucznego ciała i

odczekałam chwilę aż przylgnie. Uformowanie jej w pożądane rysy zajęło mi tylko chwilę. Uśmiechnęłam się do siebie. Miło jest mieć wargi. Podajnik szcęknał i wyrzucił mi na kolana blond perukę i różowy strój stewardesy. Peruka była świeżo uczesana, jeszcze gorąca. Włożyłam perukę, potem rajstopy.

— Mandy? Odebrałaś informacje o Sondergard? – Nie podniosłam głowy, znałam ten głos.

— Tak jest.

— Ustaliliśmy miejsce jej pobytu. Możemy cię podstawić przed startem. Będiesz naszym asem w rękawie.

Jęknęłam i spojrzałam na ekran. Elfreda Baltimore–Louisville, szef zespołów operacyjnych. Pozbawiona życia twarz, wąskie szparki oczu. Co można poradzić, kiedy wszystkie mięśnie obumarły?

— Zgoda. – Człowiek bierze, co mu dają.

Wyłączyła się i przez następne dwie minuty ubierałam się nie odrywając oczu od ekranów. Zapamiętywałam nazwiska i twarze członków załogi oraz nieliczne inne wiadomości na ich temat. Potem biegiem dogoniłam resztę. Od pierwszego alarmu upłynęło dwanaście minut i siedem sekund. Trzeba się spieszyć.

— Cholerne Linie Słoneczne – narzekła Czistabel, poprawiając biustonosz.

— Dziękuj Bogu, że zrezygnowali z wysokich obcasów – zauważyła Dave.

Rok wcześniej dreptałybyśmy po samolocie na trzycalowych obcasach. Wszystkie miałyśmy na sobie krótkie różowe kostiumy z granatowo–białym ukośnym pasem z przodu i takie same torby. Miałam kłopot z przypięciem idiotycznej czapeczki.

Truchtem wbiegłyśmy do ciemnej sali odpraw i ustawiliśmy się przy bramie. Teraz pozostawało tylko czekać.

Stałam pierwsza, kilkadziesiąt centymetrów od bramy. Odwróciłam się, żeby nie dostać zawrotu głowy. Wolałam już patrzeć na siedzące przy pulpitych gnomy skąpane w żółtym świetle bijącym z ekranów. Żaden nie odwzajemnił mi się spojrzeniem. Nie lubią nas zbytnio. Ja też za nimi nie przepadam. Zwiędłe głodomory. Nasze grube nogi, pośladki i piersi są dla nich obrazą, przypominają im, że łapiduchy dostają pięciokrotnie wyższe racje żywnościowe, żeby móc brać udział w maskaradzie. A tymczasem nie przestajemy gnić. Któregoś dnia ja też zasiądę za pulpitem. Któregoś dnia zostanę wbudowana w pulpit, ze wszystkimi wnętrznościami na zewnątrz i z mojego ciała zostanie tylko smród. Niech ich szlag trafi.

Schowałam rewolwer do torebki pod papierowe chusteczki i kredki do warg. Elfreda przyglądała mi się spod oka.

— Gdzie ona jest? – spytałam.

— W motelu. Była sama od dziesiątej wieczorem do południa w dniu lotu. Odlot był o trzynastej piętnaście.

Będzie się spieszyć. To lepiej.

— Możesz ją złapać w łazience? Najlepiej w wannie?

— Staramy się. – Końcem palca nakreśliła uśmiech na martwych wargach. Wiedziała, jak lubię działać, ale dawała mi do zrozumienia, że muszę brać, co mi dają. Nigdy nie zaszkodzi spytać. Ludzie są najbardziej bezbronni, kiedy leżą po szyję w wodzie.

— Start! – krzyknęła Elfreda. Przeszłam przez bramę i zaczęły się kłopoty. Byłam skierowana w złą stronę i zamiast wchodzić

do łazienki wychodziłam z niej do sypialni. Odwróciłam się i przez mgiełkę bramy zobaczyłam Mary Sondergard. Nie mogłam do niej dotrzeć nie przekraczając bramy. Nie mogłam nawet strzelić nie raniąc kogoś po drugiej stronie.

Sondergard stała w najgorszym możliwym miejscu, przed lustrem. Niewielu ludzi rozpoznaje siebie od razu, ale ona akurat patrzyła na siebie. Zobaczyła mnie i szeroko otworzyła oczy. Zesłam czym prędzej z jej pola widzenia.

— Co to, do cholery... hej? Kto...

Zwróciłam uwagę na głos, który bywa najtrudniejszy do naśladowania.

Uznałam, że była bardziej zaintrygowana niż przestraszona. Wyszła z łazienki przechodząc przez bramę, jakby jej nie było, zresztą nie było jej rzeczywiście, gdyż brama ma tylko jedną stronę. Była owinięta ręcznikiem.

— Jezu Chryste! Co robisz w moim... – W takich chwilach ludziom brak słów. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, tylko co? „Przepraszam, czy to panią widziałam w lustrze?”

Uśmiechnęłam się, jak przystało na stewardesę i wyciągnęłam rękę.

— Przepraszam za najście. Zaraz wszystko wyjaśnię. Widzi pani... – Uderzyłam ją w skroń. Zatoczyła się i padła jak długa. Ręcznik jej spadł – ...ja zarabiam na studia. – Zaczęła się podnosić, więc poprawiłam jej w szczękę moim sztucznym kolaniem. Tym razem została na podłodze.

— Niech to szlag! – syknęłam rozcierając kostki dłoni. Nie było czasu. Uklękłam obok niej, sprawdziłam puls. Nic jej nie będzie, ale chyba obruszałam jej przednie zęby. Zatrzymałam się na



chwilę. Boże, tak wyglądać bez makijażu, bez protez! Prawie jej pożałowałam.

Chwyciłam ją pod kolana i zaciągnęłam do bramy. Jak worek klusek. Ktoś się wychylił, złapał ją za stopy i wciągnął. Żegnaj, lalczko. Co byś powiedziała na daleką podróż?

Przysiadłam na jej łóżku, żeby złapać oddech. W torebce miała kluczyki do samochodu i papierosy. Prawdziwy tytoń, na wagę krwi. Zapaliłam sześć, obliczywszy, że mam dla siebie pięć minut. Pokój wypełnił się słodkim dymem. Teraz już takich nie robią.

Wynajęty samochód stał na parkingu. Wsiadłam i skierowałam się na lotnisko. Głęboko wdychałam powietrze przesycone węglowodarami. Widziałam na setki jardów przed sobą. Rozległy widok omal nie przyprawił mnie o zawrót głowy, ale przecież dla takich chwil żyję. Nie sposób wyjaśnić, jak to jest w tym dawnym świecie. Słońce przeświecało przez mgiełkę jaskrawą, żółtą kulą.

Weszłam na pokład 707 z innymi stewardesami. Niektóre znały Sondergard, nie wdawałam się więc w rozmowy markując kaca. Rzec została przyjęta wśród porozumiewawczych uśmiechów i żarcików. Widocznie nie było to nic nowego. Zajęłyśmy stanowiska i czekałyśmy na swoje barany.

Wyglądało, że wszystko jest w porządku. Czwórka naszych po drugiej stronie bramy była sobowtórkami kobiet, z którymi pracowałam. Nie pozostawało nic innego, jak grać rolę stewardesy do czasu odlotu. Miałam nadzieję, że nie będzie już żadnych sęków. Uruchomienie bramy dla skoku na motel to jedna sprawa, a w Boeingu na wysokości dwudziestu tysięcy

stóp...

Samolot był prawie pełen, kiedy stewardesa, którą miała odgrywać Pinky, zamknęła przednie drzwi. Podkołowaliśmy do końca pasa i już byliśmy w powietrzu. Zaczęłam zbierać zamówienia na napoje.

Stado mieliśmy typowe dla roku 1979. Wszyscy tłuści i wystrojeni, nieświadomi, że żyją w raju, jak ryby, które nie wiedzą, że żyją w wodzie. Co byście państwo powiedzieli na małą wycieczkę w przyszłość? Nie? Nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiona. A gdybym tak państwu powiedziała, że ten samolot...

Odezwał się mój brzeczyk na znak, że osiągnęliśmy wysokość podróŜną. Zerknęłam na wskaźnik pod moim ręcznym zegarkiem a potem na drzwi do jednej z toalet. Poczułam wibrację wstrząsającą samolotem. Cholera, nie tak szybko.

Brama była tam. Ruszyłam czym prędzej i dałam znak Diane Cleason (robił ją Dave), żeby podeszła.

— SpóŜrz na to – powiedziałam z wyrazem obrzydzenia. Zaczęła wchodzić do toalety, ale zatrzymała się na widok zielonej poświaty. Przystawiłam jej nogę do tyłka i pchnęłam. Doskonale. Dave miał okazję usłyszeć jej głos przed wejściem. Choć właściwie tylko krzyczała, kiedy zobaczyła gdzie jest...

Dave przekroczył bramę poprawiając swój idiotyczny kapelusik. Diane widocznie stawiała opór.

— Udawaj obrzydzenie – szepnęłam.

— Ohyda – powiedział wychodząc z toalety. Nieźle wpadł w ton Diane, choć akcent był niezupełnie ten sam. Niedługo przestanie to mieć znaczenie.

— Co tam jest? – zaciekawiała się stewardesa z klasy

turystycznej. Rozstąpiłyśmy się, żeby mogła zajrzeć i Dave ją przepchnął. Natychmiast wyskoczyła Pinky.

— Jesteśmy do tyłu z czasem – powiedziała. – Straciliśmy pięć minut po tamtej stronie.

— Pięć minut! – pisnął Dave, czyli Diane. Ja czułam to samo. Mieliśmy do załatwienia stu trzech pasażerów.

— Stracili kontakt, kiedy przepchnęliście moją. Musieli się na nowo dostroić.

Człowiek się przyzwyczaja. Czas płynie inaczej po obu stronach bramy, chociaż zawsze w tym samym kierunku, z przeszłości do przyszłości. Z chwilą, kiedy zaczęliśmy akcję moim wkroczeniem do pokoju Sondergard, po żadnej stronie nie można już było cofnąć się przed ten moment. Tutaj, w 1979, mieliśmy na przeprowadzenie całej akcji równo dziewięćdziesiąt cztery minuty. Po drugiej stronie brama nie mogła być otwarta dłużej niż przez trzy godziny.

— Ile czasu upłynęło od alarmu, kiedy przechodziłaś?

— Dwadzieścia osiem minut.

— Niedobrze. Samo wyprawianie klientów zajmie przynajmniej dwie godziny. Zakładając, że nie zdarzą się już poślizgi czasu w 1979, mogliśmy zdążyć. Ale zawsze zdarza się jakiś poślizg. Przebiegł mnie dreszcz na myśl, że mogę utknąć w samolocie.

— Nie ma się co dalej bawić – powiedziałam. – Pinky, idź do turystycznej i zawołaj tu obie dziewczyny. Powiedz im, że mamy kłopoty i żeby przychodziły pojedynczo. Wiesz, jak to zrobić.

— Wiem. Mam powstrzymywać łyzy.

Poszła do tylnej części. Prawie natychmiast pokazała się

pierwsza stewardesa. Na twarzy miała odciśnięty obowiązkowy uśmiech Linii Słonecznych, ale żołądek pewnie podchodził jej do gardła. O Boże, stało się!

Wzięłam ją za łokieć i wciągnęłam za kotarę oddzielającą przód samolotu. Oddychała nerwowo.

— Witaj w strefie przejściowej – powiedziałam i przyłożyłam jej rewolwer do głowy. Musiałam ją złapać, żeby nie upadła. Pinky i Dave pomogli mi przepchnąć ją przez bramę.

— Cholera, to świństwo zaczyna filować!

Pinky miała rację. Zły znak. Wkrótce zielona poświata ustabilizowała się na naszych oczach, diabli wiedzą z jakim poślizgiem po tamtej stronie. Wskoczyła Czistabel.

— U nas plus trzydzieści trzy minuty – oznajmiła. Nie miało sensu mówić tego, co wszystkie myślałyśmy: było niedobrze.

— Idź do turystycznej – powiedziałam. – Bądź dzielna, uśmiechaj się na prawo i lewo, ale tak, żeby było widać, że nadrabiasz miną. Jasne?

— Jasne.

Pozostałe stewardesy załatwiłyśmy szybko, bez incydentów. Potem nie było już czasu na rozmowy. Za osiemdziesiąt dziewięć minut lot 128 rozwali się o górę, czy skończymy, czy nie.

Dave poszedł do kabiny pilotów pilnować, żeby nam nie przeszkadzali. Ja i Pinky miałyśmy się zająć pierwszą klasą a potem pomóc Lizie i Czistabel w turystycznej. Używałyśmy sztamkowego zagrania „kawa, herbata, mleko” licząc na naszą szybkość i ich bezwładność.

Pochyliłam się nad pierwszymi fotelami z lewej.

— Jak się państwu podoba lot? Puch, puch. Dwa naciśnięcia

spustu przy głowach, tak żeby reszta baranów nie widziała.

— Dzień dobry państwu. Jestem Mandy. – Puch, puch.

W połowie drogi kilka osób przyglądało się nam z zainteresowaniem. Na szczęście ludzie nie podnoszą szumu zbyt łatwo. Jeden baran w ostatnim rzędzie wstał, więc go usadziłam. Zostało już tylko ośmioro przytomnych. Przestałam się uśmiechać i oddałam cztery szybkie strzały. Pinky załatwiła resztę. Wybiegłyśmy za kotarę, jak się okazało w samą porę.

W turystycznej przeszło połowa baranów była załatwiona i zaczynał się szum. Czistabel spojrzała na mnie, dałam jej znak głową.

— Cisza! – wrzasnęła. – Siedzieć cicho i słuchać. Siadaj, kretynie, bo cię kopnę w dupę.

Szok wywołany jej słowami zyskał nam chwilę czasu. Utworzyłyśmy tyralierę przez szerokość samolotu z bronią wycelowaną w grupę drepcących.

Zaczęła się mordercza rutyna. Łapie się za uprząż na ramionach pustaka i ciągnie się go wzdłuż samolotu po sprawdzeniu numeru fotela, który ma wymalowany na czole. Farba niknie po trzech minutach. Pustaka trzeba posadzić, zapiąć pasy i zdjąć z niego uprząż, którą trzeba zabrać i przerzucić przez bramę, kiedy się odbiera następnego. Zakłada się, że ci po drugiej stronie dobrze wykonali swoją robotę: plomby, odciski palców, wzrost, waga i kolor włosów muszą się zgadzać. Większość z tych rzeczy nie ma większego znaczenia, zwłaszcza w locie 128, który zakończył się katastrofą i pożarem. Zostaną jedynie kawałki i to spalone na skwarki. Ale mimo to nie wolno ryzykować. Ekipy ratownicze są bardzo drobiazgowo

pracy nad tym, co znajdują; szczególnie ważne jest użębienie i odciski palców.

Nie cierpię tych pustaków, autentycznie ich nie cierpię. Za każdym razem, kiedy chwytam uprząż, w której jest dziecko, zastanawiam się, czy to nie Alice. Czy to ty jesteś moim dzieckiem, ty jarzyno, ty klocu, ty oślizły robalu? Zgłosiłam się do łapiduchów po tym, kiedy pasożyty mózgowe wyjadły życie z głowy mojej córeczki. Nie mogłam znieść myśli, że należała do ostatniego pokolenia, że ostatni ludzie będą wegetować z pustką w głowie, klinicznie martwi według standardów obowiązujących nawet w roku 1979, z mięśniami pobudzonymi przez komputery, żeby nie znikły. Człowiek dorasta, osiąga – jako jeden na tysiąc – dojrzałość płciową, pośpiesznie zachodzi w ciążę. A potem stwierdza, że mamusia i tatuś przekazali mu chroniczną chorobę zakodowaną w genach i żadne z jego dzieci nie będzie zdrowe. Wiedziałam, co to jest paratrąd, od dzieciństwa traciłam palce od nóg. Ale to było ponad moje siły. Ale co można zrobić?

Tylko co dziesiąty pustak miał twarz. Trzeba czasu i nie lada umiejętności, żeby stworzyć twarz, która wytrzyma autopsję medyczną. Reszta przychodziła wstępnie okaleczona. Mieliśmy ich miliony i nietrudno było znaleźć odpowiednie ciało. Większość oddychała do końca – za tępa, żeby przestać – dopóki nie rozbiła się wraz z samolotem.

Samolotem rzuciło, ostro. Spojrzałam na zegarek. Zderzenie za pięć minut. Powinniśmy zdążyć. Ciągnęłam ostatniego pustaka. Słyszałam, jak Dave gorączkowo wzywa ziemię. Podano przez bramę bombę i podrzuciłam ją do kabiny pilota. Pinky włączyła zapalnik ciśnieniowy i wybiegła, Dave tuż za nią. Liza już

przeszła. Złapałam bezwładne ciała w strojach stewardes i rzuciłam je na podłogę. Odpadł silnik i jakiś jego fragment przebiłabinę. Zaczęło spadać ciśnienie. W kabinie pilota wybuchła bomba (ekipa ratunkowa stwierdzi – na to liczyliśmy – że część silnika wpadła do kabiny zabijając załogę: pilot przestał się odzywać) i skręciliśmy wolno w lewo i w dół. Pociągnęło mnie w stronę dziury w boku samolotu, ale udało mi się przytrzymać fotela. Czistabel nie miała tyle szczęścia. Zmiotło ją do tylnej części.

Zaczęliśmy się lekko wznosić, tracąc szybkość. Nagle, do miejsca, gdzie leżała Czistabel, było pod górę. Z jej skroni sączyła się krew. Obejrzałam się. Wszyscy już wyszli, na podłodze leżały trzy ciała w strojach stewardes. Teraz samolot poszedł w dół i nagle straciłam oparcie.

— Wstawaj, Bel! – wrzasnęłam. Byłam tylko o trzy stopy od bramy, ale zaczęłam się podciągać tam, gdzie unosiła się w powietrzu Czistabel. Samolot podskoczył i spadła na podłogę. Paradoksalnie, to jej wróciło przytomność. Zaczęła podciągać się w moją stronę i złapałam ją za rękę w momencie, kiedy znów rozplaszczyło nas na podłodze. Czołgając się w samolocie, którym wstrząsały przedśmiertne drgawki, dotarliśmy do toalety. Bramy nie było.

Szkoda słów, spadałyśmy. Niełatwo jest utrzymać bramę na miejscu w samolocie, który leci prostym kursem. Kiedy maszyna wpada w korkociąg i zaczyna się rozpadać, zadanie jest niewyobrażalnie trudne. Tak mi tłumaczono.

Objęłam Czistabel i przytuliłam jej zakrwawioną głowę. Była zamroczona, ale zdobyła się na uśmiech i wzruszenie ramion.

Człowiek bierze, co mu dają. Wciągnęłam ją do toalety i usiadłyśmy na podłodze. Plecami do przedniej przegrody. Czistabel między moimi nogami, plecami do przodu. Jak na szkoleniu. Stopy wparłyśmy w przeciwległą ścianę. Objęłam ją z całej siły i rozplakałam się.

I wtedy się pokazała. Zielona poświata z lewej strony. Rzuciłam się, w jej stronę ciągnąc Czistabel, unikając dwóch pustaków, które przerzucono nad naszymi głowami. Wyciągnęły się po nas ręce. Czołgałam się jak oszalała przez dobre pięć jardów. Zdarza się zostawić po drugiej stronie nogę, a to była moja ostatnia.

Usiadłam, kiedy Czistabel brano na nosze. Poklepałam ją po ramieniu, ale była nieprzytomna. Sama bym chętnie straciła przytomność.

Przez jakiś czas człowiek nie wierzy, że to się naprawdę zdarzyło. Czasami okazuje się, że się nie zdarzyło. Wraca się i stwierdza, że wszystkie barany rozpląły się w nicość, gdyż czasoprzestrzeń odrzuciła zmiany i paradoksy, które w nią wprowadziliśmy. Uratowani z takim wysiłkiem ludzie leżą rozchlapani niczym sos pomidorowy na jakimś cholernym wzgórzu w Karolinie i ma się tylko gromadę popsutych pustaków i wyczerpaną ekipę łapiduchów. Ale tym razem było inaczej. Widziałam drepczące w zagrodzie nasze barany, nagie i ogłupiałe. Dopiero teraz zaczynające odczuwać prawdziwy strach.

Elfreda dotknęła mnie, kiedy koło niej przechodziłam. Kiwnęła głową, co w jej ograniczonym repertuarze gestów oznaczało pochwałę. Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się,



czy mnie to wzrusza, ale że wciąż miałam we krwi ładunek adrenaliny, stwierdziłam, że się uśmiecham od ucha do ucha. Kiwnęłam jej głową w odpowiedzi.

Gene stał przy kojcu. Podeszłam i objęłam go. Poczułam żywsze pulsowanie krwi. Do licha, zdobądźmy gdzieś przydział i zabawmy się trochę.

Ktoś walił w hermetyczną szybę kojca. Mary Sondergard. Obrzucała nas wyzwiskami. Dlaczego? Co z nami zrobiliście? Domagała się od swojego łysego, jednonogiego sobowtóra, żeby jej wytłumaczył. Wyobrażała sobie, że ma kłopoty. Boże, ależ była piękna. Nienawidziłam jej.

Gene odciągnął mnie od szyby. Miałam obolałe dłonie i połamane sztuczne paznokcie bez drapania po szkle. Sondergard osunęła się na podłogę i płakała. Usłyszałam głos instruktora odpraw z głośnika.

*Trzecia Centaura jest gościnna, z klimatem podobnym do ziemskiego. To znaczy do tego, jaki znacie, nie do obecnego. Przekonacie się sami. Podróż potrwa pięć lat według czasu pokładowego. Po wylądowaniu będziecie mieli prawo do jednego konia, pługu, trzech siekier, dwóch cetnarów ziarna siewnego...*

Oparłam się o ramię Gene'a. Nawet w tej chwili, na dnie rozpacz, byli w nieskończenie lepszej sytuacji niż my. Zostało mi może dziesięć lat, połowa z tego w łóżku. Oni są naszą największą i jedyną nadzieją. Od nich zależy wszystko.

*...że nikogo nie zmuszamy do emigracji. Chcemy przypomnieć jeszcze raz, ale nie po raz ostatni, że bez naszej interwencji już*

*byście nie żyli. Są jednak rzeczy, które powinniście wiedzieć. Nasze powietrze jest dla was zabójcze. Jeżeli pozostaniecie na Ziemi, nie będziecie mogli opuścić tego budynku. My jesteśmy inni. Jesteśmy mutantami powstałymi w rezultacie doboru genetycznego. Przeżyliśmy, ale nasi wrogowie też podlegali ewolucji. I oni zwyciężają. Wy jednak jesteście odporni na choroby, które nas zabijają...*

Nie wytrzymałam i odwróciłam się.

*Z drugiej strony, jeżeli wyemigrujecie, uzyskacie szansę nowego życia. Nie będzie wam łatwo, ale jako Amerykanie powinniście odczuwać dumę z dziedzictwa pionierów. Wasi przodkowie zakorzenili się na nowej ziemi i wy dokonacie tego samego. Będzie to wielka przygoda i gorąco was zachęcam...*

No jasne. Spojrzeliśmy na siebie z Gene'em i wybuchnęliśmy śmiechem. Wiecie co, ludzie? Pięć procent z was załamie się nerwowo w ciągu najbliższych dni i nigdzie nie wyjedzie. Mniej więcej tyle samo popełni samobójstwo, tutaj albo w drodze. Kiedy dotrzecie na miejsce, sześćdziesiąt do siedemdziesięciu procent zginie w pierwszych trzech latach. Będziecie umierać przy porodach, będziecie pożerani przez drapieżniki, pochowacie dwoje albo troje dzieci, będziecie głodować, jeżeli nie przyjdą deszcze. A jeżeli przeżyjecie, będziecie gnać grzbiety za pługiem od świtu do zachodu. Ludzie, Nowa Ziemia to raj!

Boże, dałabym wszystko, żeby móc z nimi lecieć.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

John Varley (ur. 1947) jeden z najbardziej znaczących amerykańskich autorów SF. Urodzony w Austin, studiował na Michigan State University. Zadebiutował opowiadaniem *Picnic on Nearside* w 1974. Od tamtej pory utrzymuje się wyłącznie z pisania.

Szczególnie upodobał sobie formę literacką dłuższego opowiadania i krótkiej powieści. Przełom lat 70. i 80. należał do niego, większość publikowanych utworów albo zgarniała najważniejsze nagrody, albo była do nich nominowana.

Sławę przyniosły mu nowele: *Gotta Sing, Gotta Dance, The Phantom in Kansas, W pałacu władców Marsa, Barbie Murders*.

Mikropowieść *Uporczywość widzenia* otrzymała w 1979 roku Hugo i Nebulę. *Pchacz* dostał Hugo w 1982, *Naciśnij ENTER* w 1985.

Jednocześnie wielką popularnością cieszyła się trylogia *Gea: Tytan, Czarodziejka, Demon*.

John Varley chętnie mierzył się z wyeksploatowanymi – zdawałoby się – motywami science fiction i tak je przerabiał, że wydawały się nowatorskie. Opowiadanie *Porwanie* dało początek powieści *Millenium*, następnie sfilmowanej.

Ostatnio Varley pisze już mniej, ale jego starsze opowiadania wciąż pojawiają się w różnych antologiach retrospektywnych. Obecnie mieszka w Los Angeles.

---

## R.A. LAFFERTY

---

*Lafferty, autor kilku absolutnie genialnych opowiadań, wielu dobrych, także takich, w których przechodzi na drugą stronę lustra, zostawiając czytelnika po tej. Lubił wybierać na bohaterów Indian lub Cyganów, ludzi żyjących na marginesie naszego świata. Lafferty jest najlepszy, kiedy miesza świat swojej niezwykle wyobraźni z konkretną, znaną sobie rzeczywistością. Missisipi była potężną arterią komunikacyjną i oglądanie jej brzegów z pokładu statków było niewątpliwie czymś fascynującym. Mark Twain, pilot prowadzący statki po tej rzece, wziął swój pseudonim literacki od okrzyku żeglarza badającego głębokość wody. Lafferty, który był samotnikiem i nigdy nie chodził do szkoły, wiedział masę rzeczy, między innymi o prehistorii i przyrodzie Ameryki. Zwróćmy też uwagę na charakterystykę postaci (rzecz rzadka w science fiction) i dialogi, jakby pisane na scenę czy do słuchowiska radiowego.*

### Najdłuższy obraz świata

Był to bardzo długi, poszarpany, nieprawdopodobnie zawiły i bogaty w szczegóły brzeg rzeki. Potem zdarzyła się z nim rzecz zabawna. Został podzielony, pocięty na kawałki. Niektóre z tych kawałków zwinięto i sprasowano w bele. Inne zrolowano w rolki. Jeszcze inne pocięto na mniejsze kawałki i używano jako

ozdób i amuletów. Fragmenty brzegu w szpulach i belach trafiły do stodół i szop, na strychy i do jaskiń. Niektóre zostały zakopane w ziemi.

Mimo to sama rzeka nadal istnieje i jej brzegi również, o czym każdy łatwo może się przekonać. Ale brzeg, jaki zobaczycie wzdłuż rzeki dzisiaj, różni się od tego, który został podzielony, zbelowany w bele i zrolowany w rolki, jest niezupełnie taki, jak na fragmentach, które znajdziecie na strybach i w jaskiniach.

Nazywał się Leo Nation i znany był jako bogaty Indianin. Jednak obecnie całe to bogactwo ulokował w swoich kolekcjach, jako że był człowiekiem dociekliwym i przedsiębiorczym. Miał stada bydła, miał pszenicę, miał nieco nafty i wydawał wszystko, co zarobił. Gdyby miał jeszcze większe dochody, to też wszystko wydawałby na swoje zbiory.

Kolekcjonował stare pistolety, stare kule armatnie, żarna, stare wiatraki, kieraty, zgrzebła do lnu, wozy plemienia Conestoga, beczki z mosiężnymi okuciami, ceremonialne szaty czcicieli bawołów, meksykańskie siodła, siodła kowbojskie, kowadła, lampy Arganda, piecyki na siano, wędzidła, żelaza do piętnowania bydła, kuchnie polowe, rogi longhornów, wyszywane poncza, meksykańskie i indiańskie wyroby ze skóry, skórzane spodnie, paciorki, pióra, bransoletki na nogi z wiewiórczych ogonów, groty strzał, koszule z jeleniej skóry, lokomotywy, tramwaje, koła młyńskie, barki rzeczne, bryczki, jarzma, stare fisharmonie, brukowe powieści, stare plakaty cyrkowe, dzwoneczki od uprzęży, meksykańskie dwukółki, drewniane figury Indian ustawione niegdyś przed sklepami z tytoniem, piekielnie mocny, stuletni tytoń, spluwaczki (czterysta

sztuk), diabelskie młyny, wozy i różne rekwizyty z wesołych miasteczek, wielkie reklamy malowane na płótnie. Teraz miał zamiar zbierać coś nowego. Rozmawiał o tym z jednym ze swych znajomych, Charlesem Longbankiem, człowiekiem, który wiedział wszystko.

— Charley – spytał go – czy wiesz coś o „Najdłuższych Obrazach Świata”, które pokazywano kiedyś w wesołych miasteczkach i hipodromach?

— Tak, wiem o nich co nieco. To ciekawe americana: przykład dziewiętnastowiecznej prowincjonalnej manii. Przedstawały rzekomo brzeg Missisipi. Reklamowano je jako długie na milę, pięć czy nawet dziewięć mil. W rzeczywistości najdłuższy odcinek miał, jak mi się wydaje, około stu jardów. Przedstawały niechlujnie, odmalowane na marnym płótnie koślawe drzewa, bagnisty brzeg, uproszczone sylwetki, a wszystko powtarzało się jak wzór na tapecie. Silny facet z dużym pędzlem i większą ilością taniej farby w trzech kolorach mógł tego namalować ładnych parę jardów dziennie, ale to rzeczywiście coś specyficznie amerykańskiego. Chcesz je zbierać, Leo?

— Tak. Ale autentyczne nie są takie, jak mówisz.

— Leo, widziałem jedno z nich. To tylko bardzo duże prymitywne malowidła.

— Mam dwadzieścia takich, o jakich mówisz, Charley, ale mam też trzy zupełnie inne. Tutaj masz stary jarmarczny afisz, który wspomina o jednym z tych autentycznych.

Leo Nation mówiąc pomagał sobie wymownymi gestami. Teraz pieczołowicie rozwinął pożąłkły plakat:

*WĘDROWCY Z ARKANSAS.*

*Najlepsze wesołe miasteczko świata.*

*Osiem wagonów. Diabelski młyn. Dzikie zwierzęta.*

*Tańczące dziewczęta. Zagadkowy pokaz. Potwory.*

*Koło Fortuny oraz*

*Najdłuższy Obraz Świata, cztery mile niezrównanego malarstwa.*

*To nie marna imitacja, ale gwarantowany fragment oryginalnej panoramy.*

— Sam widzisz, Charley, że była różnica: istniały fragmenty oryginału i prymitywne kopie.

— Możliwe, że niektóre były wykonane lepiej, bo trudno sobie wyobrazić coś gorszego. Oczywiście możesz je zbierać, jeżeli chcesz. Kolekcjonowałeś już mniej ciekawe rzeczy.

— Charley, ja mam fragment tego obrazu, który kiedyś wystawiali Wędrowcy z Arkansas. Pokażę ci go. A tu jest inny plakat.

*WESOŁE MIASTECZKO KINGA.*

*Król wesołych miasteczek.*

*Czternaście wagonów. Dziewięć tysięcy atrakcji.*

*Zobaczcie Człowieka Gumę.*

*Zobaczcie Ognistych Nurków.*

*Zobaczcie Najdłuższy Obraz Świata, zobaczcie słonie nad Missisipi.*

*Autentyczna panorama brzegu, a nie fuszerka, jaką pokazują gdzie indziej.*

— Powiadasz, Leo, że masz dwadzieścia zwykłych obrazów i

trzy inne?

— Tak jest, Charley. I spodziewam się zdobyć więcej tych prawdziwych. Mam nadzieję, że odnajdę całą rzekę.

— Obejrzyjmy jeden z nich, Leo, i zobaczmy, na czym polega różnica.

Udali się we dwójkę do jednej ze stodół, gdyż Leo Nation przechowywał swoje zbiory w stodołach.

— A co miałem robić? – tłumaczył. – Zawołać cieślę i kazać postawić muzeum? Powiedziały mi: „Leo, nie mogę budować muzeum bez planów i wszystkiego, co trzeba. Postaraj się najpierw o plany”. A skąd miałem wziąć plany? Dlatego zawsze każę mu budować stodołę sto stóp na sześćdziesiąt i wysoką na pięćdziesiąt stóp. Potem zawsze sam dzielę ją na cztery albo pięć pięter, zostawiając otwory na wyższe eksponaty. Poza tym uważam, że stodoła kosztuje taniej niż muzeum.

— To będzie nieprosta sprawa, Charley – powiedział Leo Nation, gdy wchodzili do jednej z jego stodół. – Będzie ci potrzebna cała twoja wiedza ze wszystkich dziedzin, żeby to rozgryźć. Każdy z moich trzech autentyków ma około stu osiemdziesięciu jardów długości. Sądzę, że jest to w zasadzie długość standardowa, choć niektóre odcinki mogą być jej wielokrotnością. W latach, kiedy je wystawiano, uchodziły za malowidła, ale to nie są obrazy, Charley.

— W takim razie co to jest, Leo?

— Płacę ci za to, żebyś znalazł odpowiedź na to pytanie. Jesteś przecież człowiekiem, który wszystko wie.

No więc stały tam dwie szpule, każda wysokości człowieka, a za nimi kilka innych.



— Ten stary mechanizm obrotowy jest prawdopodobnie więcej wart niż sam obraz – powiedział Charles Longbank do Leo Nationa. – Był napędzany przez muła chodzącego w kieracie i niewykluczone, że pochodzi z osiemnastego wieku.

— Tak, ale ja podłączam go do silnika elektrycznego – odparł Leo. – Jedyne muł, jaki mi pozostał, jest moim osobistym przyjacielem i nie każę mu chodzić w kieracie, bo wiem, że on też by mi tego nie zrobił, gdybym to ja był mułem. Wydaje mi się, że ustawiłem wszystko tak, jak trzeba: pełna szpula od północy, a pusta od południa. Teraz puścimy. W ten sposób będziemy oglądać obraz, jakbyśmy płynęli z południa na północ, w górę rzeki, z twarzą zwróconą na zachód.

— Dziwne płótno i dziwna farba, znacznie lepsza od tych, które widziałem – zauważył Charles Longbank. – I wcale nie zniszczone po tylu latach.

— Bo to nie jest ani płótno, ani farba – wtrąciła Ginger Nation, żona Lea, wyłaniając się nie wiadomo skąd. – To jest obraz.

Leo Nation puścił szpule w ruch. Obraz przedstawiał porośnięty lasem brzeg rzeki. Brzeg był zwirowo-wapienny z warstwą tłustej gleby, nieco podmyty. I do samego brzegu dochodził gęsty las.

— Niewątpliwie dobra robota – przyznał Charles Longbank.

— Po tym, co dotychczas widziałem i czytałem na ten temat, jestem naprawdę zaskoczony.

Nie było wątpliwości, że obraz się nie powtarza, choć widz mniej uważny od autora obrazu mógł pomyśleć, że sam brzeg jest nieco monotony.

— To jest dziewiczy las, głównie liściasty – mówił Charles

Longbank – i jestem pewien, że w strefie umiarkowanej nie ma już takiego lasu nad brzegiem dużej rzeki nigdzie na świecie. Zostałby dawno wycięty. Nie sądzę, aby nawet w dziewiętnastym wieku przetrwało wiele takich połąci lasu. A mimo to mam wrażenie, że to jest wierne odtworzenie rzeczywistości, a nie dzieło wyobraźni.

Przed ich oczami przesuwał się brzeg: drzewa bawełniane, sosna karaibska, platan, wiąz gładki, znowu sosna.

— Jak już będę miał bardzo dużo tych obrazów, sfilmujesz je, Charley, i przeanalizujesz je sam albo dasz jakiemuś komputerowi. Na podstawie kąta padania promieni słonecznych będziesz mógł określić właściwą kolejność fragmentów i to, jak duże są między nimi przerwy.

— Niestety, Leo. Byłoby to możliwe tylko pod warunkiem, że wszystkie obrazy były zrobione tego samego dnia i o tej samej godzinie.

— Ależ to był ten sam dzień i ta sama godzina – wtrąciła się Ginger Nation. – Jak można zrobić jeden obraz w różnych godzinach i w różne dni?

— Ona ma rację, Charley – powiedział Leo Nation. – Wszystkie autentyczne obrazy są fragmentami jednego oryginału. Zawsze byłem tego pewien.

Znowu brzeg z sosną, dębem laurowym, orzechem olejnym, persymonem, znowu sosną.

— Cokolwiek to jest, zadziwia wiernością – zauważył Charles Longbank – ale obawiam się, że po pewnym czasie i tak będzie to nudne jak powtarzający się wzór na tapecie.

— Jak na człowieka inteligentnego masz wyjątkowo

nieuważne oczy – powiedział Leo. – Każde drzewo, każdy liść są inne. Wszędzie zieleń jest młoda. To musi być obraz zrobiony gdzieś pod koniec marca. Wszystko zależy od tego, jaką część rzeki przedstawia. To może być koniec marca albo początek kwietnia. A ptaki – człowieku, który wiesz wszystko – dlaczego nie widzimy więcej ptaków na tym kawałku? I w ogóle co to za ptaki?

— Gołąb wędrowny, Leo, wymarły już ładne kilkadziesiąt lat temu. Dlaczego nie widzimy więcej ptaków? Mam na to zabawną odpowiedź, ale trzeba założyć, że ta rzecz jest autentyczna i bardzo stara. Nie widzimy więcej ptaków, ponieważ są zbyt dobrze zamaskowane. Ameryka Północna jest teraz rajem dla ornitologów amatorów, ponieważ bardzo wiele kolorowych ptaków zostało przywiezionych z Europy i wyparło gatunki rodzime. Nie zdążyły przystosować się do miejscowego krajobrazu i dlatego rzucają się w oczy. Tak, Leo, to fakt. Ptak nie może się przystosować przez głupie czterysta czy pięćset lat. A na tym obrazie jest mnóstwo ptaków, jeżeli się dobrze przyjrzeć.

— Ja się dobrze przyglądałem, Charley. Chciałem tylko, żebyś ty się dobrze przyjrzał.

— Ta przewijająca się wstęga płótna, czy co to jest, ma sześć stóp szerokości i według mnie skala obrazu jest jak jeden do dziesięciu, sądząc po wysokości dorosłych drzew i innych oznakach.

— Tak, ja też tak sędzę, Charley. Myślę, że każdy z moich dobrych fragmentów przedstawia około mili brzegu. Jest jednak w tych obrazach coś, o czym prawie boję się powiedzieć. Nie jestem pewien, czy masz dość mocne nerwy. Ale możesz

przekonać się sam, jeżeli przyjrzesz się obrazowi z bliska.

— Powiedz mi lepiej od razu, żebym wiedział, czego szukać.

— Tam jest wszystko, Charley. Najmniejszy listek, każde załamane kory, każda kępka mchu. Oglądałem wycinki pod mikroskopem, w dziesięciokrotnym, pięćdziesięciokrotnym i czterystukrotnym powiększeniu. Są tam szczegóły, których nie można dostrzec gołym okiem, choćby się jeździło nosem po płótnie. Widać nawet komórki liści i mchu. Weź zwykły obraz pod takie powiększenie i zobaczysz tylko drobiny farby oraz góry i doliny po pociągnięciach pędzla. Charley, na całym obrazie nie znajdziesz ani jednego śladu pędzla! To dotyczy wszystkich autentyków.

Przyjemnie było posuwać się w górę rzeki w powolnym tempie odpowiadającym może czterem milom na godzinę, jeżeli przyjąć skalę jeden do dziesięciu. W rzeczywistości to obraz przewijał się przed ich oczami z prędkością około pół mili na godzinę. Wiąz, sosna, czarna wierzba, srebrna wierzba...

— Powiedz mi, Charley, dlaczego są tu srebrne wierzby, a nie ma białych? – spytał Leo.

— Jeżeli to jest rzeczywiście Missisipi i obraz jest autentyczny, to znaczy, że oglądamy odcinek północny.

— Nie. To jest Arkansas, Charley. Zawsze potrafię rozpoznać Arkansas. Skąd srebrna wierzba w Arkansas?

— Jeżeli to jest Arkansas i jeżeli obraz jest autentyczny, to znaczy, że wtedy było chłodniej.

— A dlaczego nie ma białych wierzby?

— Biała wierzba jest przybyszem z Europy, choć przybyła bardzo wcześnie i rozprzestrzeniła się gwałtownie. Są na tym

obrazie rzeczy, które pasują do siebie aż nazbyt dobrze. Czy te trzy dobre obrazy, które masz, są podobnej jakości?

— Tak, ale przedstawiają różne odcinki rzeki. Słońce świeci na każdym pod nieco innym kątem i poszycie leśne jest nieco inne.

— Czy myślisz, że uda ci się zdobyć więcej tych obrazów?

— Tak. Sądzę, że oryginał obejmował przeszło tysiąc mil brzegu. Sądzę, że zdobędę przeszło tysiąc fragmentów, jeżeli tylko będę wiedział, gdzie ich szukać.

— Zapewne większość z nich dawno uległa zniszczeniu, jeżeli w ogóle było ich kiedykolwiek więcej niż tuzin, sądząc po ogłoszeniach. I prawdopodobnie wśród tych reklamowanych też trafiały się kopie. Wesołe miasteczka często zmieniały atrakcje i może nigdy nie było więcej niż te trzy obrazy. Każdy z nich mógł być wystawiony w różnym czasie w różnych wesołych miasteczkach i hipodromach.

— Było ich więcej, Charley. Brak mi jeszcze tego ze słoniami. Myślę, że jest tych obrazów ponad tysiąc. Ogłoszę, że ich poszukuję (oryginałów, a nie marnych kopii), i wkrótce zacznę otrzymywać oferty.

— Ile ich było, tyle jest – powiedziała Ginger Nation. – One się nie niszczą. Jeden z naszych miał spaloną szpulę, a obraz był cały. One się nie palą.

— Obawiam się, Leo, że wydasz masę pieniędzy na masę starego płótna – powiedział Charles Longbank. – Ale skoro chcesz, mogę je dla ciebie zbadać, kiedy tylko uznasz, że masz ich wystarczająco dużo.

— Zaczekaj, aż zbiorę więcej – powiedział Leo Nation. – Dam sprytne ogłoszenie. Napiszę, że uwalniam ich od tych gratów i

myślę, że ludzie będą zadowoleni mogąc pozbyć się staroci, które się nie palą, nie dają się zniszczyć i ważą ze szpulami tonę. Tylko autentyczne obrazy nie podlegają zniszczeniu. Spójrz na tego wielkiego suma tuż pod powierzchnią! Spójrz na te złośliwe oczka. Rzeka nie była wówczas tak zamulona jak dzisiaj, mimo że obraz pochodzi z okresu wiosennego przyboru.

Przesuwający się brzeg i drzewa: sosna, dereń, czerwony cedr, dąb, pekan, znowu sosna, hikora. A potem obraz się skończył.

— Nieco ponad dwadzieścia minut – powiedział Charles Longbank. – Rzeczywiście kmiotek z ubiegłego wieku mógł uwierzyć, że obraz ma milę albo nawet pięć czy dziewięć mil długości.

— Nie – powiedział Leo. – Oni nie byli tacy głupi, Charley. Najprawdopodobniej ten kmiotek wiedziałby, że obraz ma około dwustu jardów długości, tak jak to jest naprawdę, ale i tak by mu się podobał. Poza tym może są fragmenty długości pięciu lub nawet dziewięciu mil. W przeciwnym razie po co mieliby je tak reklamować? Myślę, że jeżeli trochę pojeżdżę, to uda mi się wywęszyć całą masę takich obrazów. Będę co jakiś czas dzwonić i Ginger powie mi, czy ktoś odpowiedział na ogłoszenia. Przyjedź za pół roku, Charley, a będę miał wystarczająco dużo fragmentów, abys mógł przystąpić do analizy. Wytrzymasz chyba te sześć miesięcy samotności, Ginger?

— Wytrzymam. Będą tu żniwiarze i mężczyźni przyjeżdżający na aukcję bydła, poszukiwacze nafty, i Charley Longbank może tu zajrzy, będą mężczyźni z miasteczka i z Tawerny na Wzgórzu. Nie będę się nudzić.

— Nie słuchaj jej, Charley. Ona wcale nie ugania się za

mężczyznami.

— Wcale nie żartuję – powiedziała Ginger. – Jeśli o mnie chodzi, możesz wyjechać i na siedem miesięcy.

Leo Nation najbliższe pięć miesięcy spędził w podróżach. Zdobył przeszło pięćdziesiąt autentycznych fragmentów rzeki i wydał na nie ładnych parę tysięcy dolarów. Zadłużył się na kilka lat, aby je kupić. Byłoby dużo gorzej, gdyby nie to, że niektórzy dawali mu obrazy za darmo, a wielu żądało za nie bardzo mało. Byli jednak także ludzie uparci, którzy obstawali przy wysokiej cenie. Jest to coś, co obrzydza życie wszystkim kolekcjonerom. Jednak te drogo kupione fragmenty były szczególnie wartościowe i Leo nie mógł wypuścić ich z rąk.

W jaki sposób znalazł aż tyle kawałków, pozostanie jego tajemnicą, ale Leo Nation rzeczywiście miał nosa do takich rzeczy. Kolekcjoner musi mieć dobrego nosa.

Pewien profesor w Rolla, w stanie Missouri, wyłożył sobie podłogę w całym domu kawałkami autentycznego obrazu.

— Niezwykle trwałe materiały, panie Nation – mówił ten jegomość. – Leży u mnie na podłodze od czterdziestu lat i ani śladu zużycia. Niech pan spojrzy, jak świeżo wyglądają te drzewa! Musiałem to ciąć piłą łańcuchową i powiadam panu, że pomimo elastyczności jest to twardsze od najtwardszego drewna.

— Ile pan chce za te wszystkie chodniki, za wszystkie kawałki, jakie pan ma u siebie? – spytał Leo niepewnie. Było coś niewłaściwego w użyciu kawałków obrazu na chodniki, ale sam profesor sprawiał wrażenie sympatyczne.

— Nie sprzedam panu moich dywaników, dam je panu, skoro tak to pana ciekawi, dodam też duży kawałek, jaki mi jeszcze

został. Nigdy nie mogłem tym nikogo zainteresować. Analizowaliśmy próbki materiału na uczelni. To ogromnie skomplikowany materiał. Potrafilibyśmy go odtworzyć albo zrobić coś bardzo zbliżonego, ale kosztowałoby to nieprawdopodobnie drogo, tymczasem niewiele tylko gorsze tworzywa są zupełnie tanie. Najzabawniejsze jednak, że mogę prześledzić historię tego obrazu do czasów wyprzedzających o kilkadziesiąt lat wyprodukowanie pierwszego plastyku. Jest w tym jakaś wielka zagadka dla kogoś, kto jest na tyle dociekliwy, by się tym zająć.

— Ja jestem tak dociekliwy, że już się tym zająłem – odparł Leo Nation. – Ten fragment, który ma pan na ścianie... wygląda to jak... gdybym tylko mógł zobaczyć to w powiększeniu...

— Ależ oczywiście, panie Nation. To wygląda jak rój pszczół i to jest rój pszczół. Zrobiłem z małego wycinka przeźrocze. Proszę je sobie obejrzeć. Pokazywałem je wielu inteligentnym ludziom i wszyscy mówili: „No to co?” Jest to podejście, którego zupełnie nie rozumiem.

Leo Nation studiował przeźrocze z zadowoleniem.

— Tak – powiedział. – Widzę nawet włoski na nogach pszczół, na jednym z włosków można nawet dostrzec komórki. – Przez dłuższą chwilę manipulował powiększeniem. – Te pszczoły są jakieś dziwne – powiedział. – Ojciec opowiadał mi kiedyś o takich pszczołach i myślałem, że kłamię.

— Nasze obecne pszczoły są późnymi przybyszami z Europy, panie Nation. Rodzime pszczoły amerykańskie były dziwne i mało wydajne z ludzkiego punktu widzenia, ale nawet do dzisiaj nie wymarły całkowicie. Na niektórych kawałkach są jeszcze



dziwniejsze stworzenia.

— A co to za pocieszne zwierzaki, które pan ma na podłodze w kuchni? – spytał Leo. – Oj! Ależ one są wielkie!

— Leniwce olbrzymie, panie Nation. Przesuwa to datę powstania obrazu dość daleko w przeszłość. Jeżeli są mistyfikacją, to byłaby to najznakomitsza mistyfikacja, z jaką się kiedykolwiek zetknąłem. Trzeba niezłej wyobraźni, aby wyposażyć wymarłe zwierzę w szczególną formę uwłosienia, jakiej nie posiadają dzisiejsze leniwce żyjące w tropikach, a jaką najprawdopodobniej miały leniwce z chłodniejszego klimatu. Lecz ile trzeba lat, aby namalować choć parę decymetrów kwadratowych z taką drobiazgowością? Nigdzie nie ma najmniejszego przeoczenia, panie Nation, każdy centymetr kwadratowy obrazu pełen jest zadziwiających szczegółów.

— Dlaczego konie są takie małe w porównaniu z bizonami?

— Nie wiem, panie Nation. Trzeba by specjalisty od setek nauk, by odpowiedzieć na wszystkie pytania, chyba że taki właśnie specjalista dokonał mistyfikacji. I skąd by się wziął taki człowiek dwieście pięćdziesiąt lat temu?

— Więc może pan prześledzić historię swego obrazu tak głęboko w przeszłość?

— Tak. Natomiast przedstawiona scena pochodzi sprzed około piętnastu tysięcy lat. Powiadam panu, że to tajemnicza historia. Tak, może pan zabrać te kawałki, a resztę wyślę na pański adres.

Pewien człowiek w Arkansas ustawił fragment obrazu w jaskini. Jaskinia miała być atrakcją turystyczną, ale panorama brzegu rzecznoego nie wzbudziła entuzjazmu.

— Ludzie myślą, że to jakaś projekcja filmowa – powiedział.

— „Kto włązi do jaskini oglądać filmy – mówią. – Jak będziemy chcieli obejrzeć brzeg rzeki, to pojedziemy obejrzeć brzeg rzeki – mówią – a nie będziemy go oglądać w jaskini”. Myślałem, że to przyciągnie turystów, ale okazało się, że nie.

— Jak pan to tutaj wtaszczył, człowieku? – spytał Leo Nation. – Otwór jaskini jest przecież za mały.

— To już tu stało, razem z rolkami, kiedy piętnaście lat temu przerąbałem wejście, aby się tu dostać.

— A więc obraz musiał tu być bardzo długo, a ściana powstała później...

— Nie, nie bardzo długo. Kurtyny wapienne tworzą się szybko, zwłaszcza jeżeli woda dosłownie kapie ze skały, tak jak tutaj. Ta rzecz mogła tu być wniesiona nie dawniej niż pięćset lat temu. Owszem, chętnie ją panu sprzedam. Wyłamię nawet kawałek ściany, żeby móc to wyciągnąć. I tak muszę powiększyć wejście dla zwiedzających. Turyści nie lubią wczołgiwać się do jaskiń. Nie rozumiem dlaczego. Ja zawsze lubiłem wczołgiwać się do jaskiń.

Ten fragment panoramy był jednym z najdroższych, jakie Leon Nation zakupił. Zapłaciłby jeszcze drożej, gdyby zdradził się ze swym zainteresowaniem dla pewnych scen widocznych za drzewami. Nationowi serce podskoczyło do gardła, gdy dostrzegł tę scenę, ale musiał połknąć je z powrotem i zachować kamienne oblicze. To był fragment ze słoniami nad Missisipi.

Słonie (*Mamut americanum*) były ściślej mówiąc mastodontami. Leo wiedział to od Charlesa Longbanka. Najważniejsze, iż miał wreszcie słonie: jeden z kluczowych fragmentów łamigłówni.

Dużo obrazów można znaleźć w Meksyku. Wszystko, co nabiera patyny, przecieka w końcu do Meksyku. Leo Nation rozmawiał z bogatym mieszkańcem Meksyku, Indianinem jak i on.

— Nie, nie wiem, skąd przywędrował Długi Obraz – powiedział Meksykanin – ale wiem, że przybył do nas z północy, skądś z nad brzegów Missisipi. W czasach De Soto, a więc niespełna pięćset lat temu, krążyły jeszcze indiańskie legendy o Długich Obrazach, których on nie rozumiał. Wy, z północy, jesteście jak dzieci. Nawet plemiona pamiętające, jak Kaddosi, nie sięgają pamięcią głębiej niż na pięćset lat.

My mamy lepszą pamięć. W tej sprawie jednak wiemy tylko tyle, że każda z naszych wielkich rodzin wzięła ze sobą kawałek Długiego Obrazu, kiedy ruszyliśmy do Meksyku. Było to może z osiemset lat temu i przybyliśmy wówczas na południe jako zdobywcy. Te obrazy są teraz jak skarby dla starych wielkich indiańskich rodzin, jak ukryte skarby, są pamiątką po jednym z naszych poprzednich miejsc zamieszkania. Inni członkowie starych rodzin nie zechcą z panem o nich rozmawiać. Będą nawet zaprzeczać, że je mają. Ja mówię z panem o tym, pokazuję to panu, a nawet daję to panu, ponieważ jestem heretykiem, człowiekiem zgorzkniałym i innym niż wszyscy.

— Czy stare indiańskie podania, Don Caetano, mówią, skąd się wziął Długi Obraz i kto go namalował?

— Oczywiście. Mówią, że malowała je bardzo dziwna olbrzymia istota, która nazywała się (i tu niech pan uważa) Wielki Malarz Obrazu Brzegu Rzeki. Myślę, że bardzo to panu pomoże. Co zaś do kiepskich imitacji, to niesłusznie ma je pan w

takiej pogardzie. Nie są tym, za co je pan uważa i nie były robione dla zysku. Te marne naśladownictwa powstały w Meksyku, podczas gdy lśniące oryginały pochodzą ze Stanów. Malowano je dla nowych wielkich rodzin, które małpowały stare wielkie rodziny w nadziei, że zapewni im to powodzenie i uczestnictwo w pradawnym dziedzictwie przodków. Ponieważ sam niedawno przestałem małpować inne wielkie rodziny, więc dobrze rozumiem te imitacje. Pech chciał, iż sporządzono je późno, w okresie upadku sztuk, lecz kontrast w stosunku do oryginału zawsze byłby równie rażący: każda sztuka musiałaby się wydać bezsilna wobec tej, jaką rozporządzał Wielki Malarz Obrazu Brzegu Rzeki.

Niektóre z tych marnych imitacji zostały zrabowane przez amerykańskich żołnierzy wraz z innymi skarbami rodzinnymi w czasie Wojny Meksykańskiej. Z rąk grabieżców obrazy trafiły do ubiegłowiecznych wesołych miasteczek w Stanach.

— Don Caetano, czy wie pan, że fragmenty obrazu wytrzymują każde powiększenie, że są na nich szczegóły niezwykle małe, niedostrzegalne gołym okiem?

— Cieszę się, że pan to potwierdza. Dotychczas wierzyłem w to na słowo, ale moja wiara była zbyt chwiejna, abym ją wystawił na próbę. Tak, my zawsze byliśmy przekonani, że te obrazy kryją w sobie nieznane głębie.

— Dlaczego tu widać meksykańskie dzikie świnie, Don Caetano? Wygląda na to, że ten fragment ma w sobie coś meksykańskiego.

— Nie, panie Nation. Pekari zamieszkiwało całą Amerykę aż do lodów Północy. Później wszędzie, z wyjątkiem naszych lasów,

wyparły je świnię europejskie. Chce pan ten obraz? Każę go służbie zapakować i wysłać na pański adres.

— Chętnie coś panu zapłacę za niego, oczywiście...

— Nie, daję go panu w prezencie. Pan mi się podoba. Niech pan bierze i Bóg z panem! I jeszcze na pożegnanie... Skoro zbiera pan kurioza, to może zainteresują pana te błyskotki. Myślę, że to tylko bezwartościowe granaty, ale czy nie są ładne?

Granaty? To nie były granaty. Bezwartościowe? To dlaczego Nationowi pociemniało w oczach, a serce podeszło mu do gardła? Z uwielbieniem obracał kamienie w drżących palcach. I kiedy Don Caetano oddał mu je za symboliczną cenę tysiąca dolarów, nie posiadał się z radości.

A jednak to rzeczywiście były bezwartościowe granaty. A co pomyślał sobie Leo Nation w owej decydującej chwili? I jaki urok rzucił na niego Don Caetano, że tak się pomylił?

No cóż, zysk i strata chodzą w parze. Zresztą Don Caetano naprawdę wysłał obraz na swój koszt.

Po pięciu miesiącach wędrówek i poszukiwań Leo Nation wrócił do domu.

— Wytrzymałam bez ciebie pięć miesięcy – powiedziała Ginger. – Ale nie wytrzymałabym sześciu miesięcy, a już na pewno siedmiu. Żartowałam. Nie zadawałam się z żadnymi mężczyznami. Kazałam cieśli zbudować nową stodołę na obrazy, które przysłałeś. Było ich przeszło pięćdziesiąt.

Leo Nation sprowadził swego przyjaciela Charlesa Longbanka.

— Pięćdziesiąt siedem nowych – powiedział Leo. – To razem sześćdziesiąt z tymi, które miałem wcześniej. Sądzę, że mam teraz sześćdziesiąt mil brzegu rzeki. Przeanalizuj je, Charley.

Wyłuskaj z nich jakoś dane i przepuść je przez swoje komputery. Przede wszystkim chcę wiedzieć, w jakiej kolejności idą po sobie z południa na północ, i jak duże są między nimi przerwy.

— Leo, usiłowałem ci już wytłumaczyć, że to jest możliwe – założywszy ich autentyczność – tylko wówczas, jeżeli wszystkie były zrobione o tej samej godzinie i tego samego dnia.

— Załóżmy to, Charley. Obrazy były zrobione w tym samym czasie, a w każdym razie przyjmujemy, że były. Będziemy pracować opierając się na tym założeniu.

— Leo... – ja miałem przez cały czas nadzieję, że nie uda ci się odnaleźć tych obrazów. Nadal uważam, że nie powinniśmy się nimi zajmować.

— Co do mnie, to miałem przez cały czas nadzieję, że mi się uda i moja nadzieja okazała się mocniejsza. Czyżbyś bał się duchów? Ja stykam się z nimi bez przerwy. Tylko dzięki nim mamy jakiś powiew w tym upale.

— Boję się tego, Leo. Dobrze, sprowadzę tu jutro aparaturę, ale boję się. Do diabła, Leo, kto tu mógł być?

— Nie było nikogo – zaprotestowała Ginger. – Powiadam panu, że żartowałam i że inni mężczyźni mnie nie interesują.

Następnego dnia Charles Longbank sprowadził aparaturę.

Wyglądał nie najlepiej, jakby nieco skacowany, zdenerwowany i ciągle oglądał się za siebie, jakby mu zmora siedziała na karku. Mimo to pracował przez kilka dni filmując kolejno fragmenty obrazu. Następnie miał zaprogramować swój komputer i nakarmić go danymi z taśmy filmowej.

— Jest coś jakby cień, jak lekki obłok na niektórych obrazach – powiedział Leo Nation. – Czy zastanawiałeś się, co to może być,

Charley?

— Słuchaj, Leo, wczoraj w nocy wstałem i przebiegłem ze dwie mile po tej twojej kamienistej drodze, żeby się trochę otrząsnąć. Zdjął mnie strach, bo zacząłem się domyślać, czym są te rzadkie obłoki. Na Boga, Leo, kto tu był?

Charles Longbank zabrał taśmy do miasta i przepuścił je przez swoje komputery.

Po kilku dniach wrócił z wynikami.

— Leo, to mnie przeraża coraz bardziej – powiedział i rzeczywiście wyglądał, jakby upiory dobrze go wzięły w obroty. – Dajmy lepiej temu spokój. Chętnie ci nawet zwrócę zaliczkę.

— Nie, człowieku, nie. Wzięłeś zaliczkę, więc jesteś zaliczony. Czy ustaliłeś właściwą kolejność obrazów?

— Tak, masz tu kolejność z południa na północ. Ale nie rób tego, Leo, nie rób tego.

— Zaraz je poprzerzucam i ustawię we właściwej kolejności. Za godzinę będę gotów.

I po godzinie był gotów.

— Dobrze, teraz obejrzymy najpierw południowy odcinek, a potem północny.

— Nie, Leo, nie, nie! Nie rób tego.

— Dlaczego?

— Bo mnie to przeraża. One rzeczywiście układają się w pewien ciąg. Wygląda na to, że naprawdę były zrobione tego samego dnia, o tej samej godzinie. Kto tu był, Leo? Czuję, że jakiś olbrzym zagląda mi przez ramię.

— Tak, musiał być wielki, prawda, Charley? Ale był dobrym artystą, artyści zaś mają prawo do małych dziwactw. Ja też mam

często uczucie, że ktoś zagląda mi przez ramię.

Leo Nation puścił południowy odcinek Długiego Obrazu. Był na nim ląd i woda; wysepki, starorzecza i bagna, odnogi i fale oceanu zmieszane z mulistą rzeką.

— Owszem, ładne, ale to nie jest Missisipi – odezwał się Leo, patrząc na przewijający się obraz. – Poznałbym ją nie wiem po ilu latach. To jest ta druga rzeka.

— Tak – jęknął Charles Longbank. – To jest Atchafalaya. Dzięki porównaniu wysokości kątownej słońca na tych odcinkach, które udało się ściśle zidentyfikować, komputer umiejscowił dokładnie wszystkie fragmenty. To jest rzeka Atchafalaya, która w geologicznej przeszłości wielokrotnie stanowiła główne ujście Missisipi. Ale skąd on mógł o tym wiedzieć, jeżeli go tu wówczas nie było? Boję się, Leo. Znowu czuję potwora za plecami.

— Słuchaj, Charley, człowiek powinien się dobrze przestraszyć przynajmniej raz dziennie, żeby potem dobrze spać w nocy. Co do mnie, to jestem przestraszony co najmniej od tygodnia, ale czuję sympatię do tego wielkiego faceta. No więc to byłby jeden koniec, a teraz zobaczymy drugi, północny. Tak, Charley. Przeraża cię to, że te obrazy są prawdziwe. A ja się zastanawiam, dlaczego on musi patrzeć nam przez ramię, kiedy je oglądamy. Jeżeli on jest tym, o kim myślę, to przecież zna je wszystkie.

Leo Nation puścił ostatni północny fragment obrazu.

— Jak daleko na północ sięga ten odcinek? – spytał.

— W przybliżeniu na wysokości późniejszych rzek Cedar i Iowa.

— I to jest najdalszy? W takim razie brakuje mi jednej trzeciej długości rzeki w północnym biegu.



— Tak, ten odcinek sięga najdalej na północ, Leo. To jest ostatni fragment.

— Co to, na tym fragmencie też chmura? Co powiesz, Charley? Bardzo mroźna scena, jak na wiosnę nad Missisipi.

— Wyglądasz, jakby ci było niedobrze, Charley – powiedziała Ginger Nation. – Czy nie myślisz, że trochę whisky z krwią oposa dobrze ci zrobi?

— Czy nie mógłbym dostać whisky bez dodatków? Zresztą niech będzie, może to jest to, czego potrzebuję. Pośpiesz się, Ginger.

— Nadal nie rozumiem, jak obraz może być aż tak doskonały? – zastanawiał się Leo.

— Jeszcze nie rozumiesz, Leo? – powiedział Charley i przebiegł go dreszcz. – To nie jest obraz.

— Mówiłam wam to od początku, ale nie słuchaliście – odezwała się Ginger Nation. – Mówiłam, że to nie jest płótno ani farby tylko obraz. I Leo powiedział to samo, a potem zapomniał. Wypij to, Charley.

Charles Longbank pił leczniczą mieszankę dobrej whisky z krwią oposa, patrząc na przewijający się północny odcinek rzeki.

— Znowu cień na obrazie – powiedział Leo. – Wygląda, jak wielka plama w powietrzu między nami a brzegiem.

— Będzie ich więcej – jęknął Charley. – To znaczy, że zbliżamy się do końca. Kim oni byli, Leo? Jak dawno temu to się działo? Zresztą obawiam się, że na to ostatnie pytanie znam odpowiedź, ale przecież wtedy nie mogło jeszcze być ludzi, prawda? Słuchaj, jeżeli to był tylko marny druk reklamowy, to dlaczego oni wciąż jeszcze unoszą się w powietrzu?

— Spokojnie, Charley, spokojnie. Spójrz, rzeka jest coraz bardziej spieniona. Czy nie mógłbyś tego wszystkiego skopiować na mikrofilmie i przeanalizować w swoich komputerach?

— Na Boga, Leo, przecież to już jest...

— Hej, co to za mgła? I co to za masa bieleje we mgle?

— To lodowiec, ty zakuta pało, lodowiec! – jęknął Charley Longbank. I najdalej na północ wysunięty odcinek Długiego Obrazu dobiegł końca.

— Zrób nam jeszcze trochę dobrej whisky z krwią oposa, Ginger – powiedział Leo Nation. – Zdaje się, że wszystkim nam to dobrze zrobi.

— Więc to jest takie stare? – spytał Leo w chwilę później, kiedy wszyscy z trudem łapali oddech po wypiciu piekielnej mieszanki.

— Tak, to jest takie stare – odparł drżącym głosem Charles Longbank. – Ale powiedz, kto tu był, Charley?

— Mówiłeś, że to jest co?...

— Że to jest mikrofilm, Leo. Dla nich. Odrzucona rolka, jak sądzę.

— Mogę zrozumieć, dlaczego whisky z krwią oposa nie przyjęła się jako napój – powiedział Leo. – Czy były tu wtedy oposy?

— Oposy były. Nas jeszcze nie było – zadrżał Charles Longbank. – Ale znowu mam uczucie, że coś większego od oposa węszy wokół nas swoim znacznie większym nochalem.

Charlesem Longbankiem wstrząsnął dreszcz. Niewiele brakowało, aby stracił panowanie nad sobą.

— A te chmury na filmie, Charley, co to może być? – spytał Leo Nation.

I Charles Longbank stracił panowanie nad sobą.

— Boże Wszechmogący – jęknął rozlatanymi wargami. – Chciałbym, żeby to były chmury. Kim oni byli, powiedz, kim oni byli?

— Zimno mi, Charley – powiedział Leo Nation. – Skądś tu powiało diabelnym chłodem.

Ślady na taśmie filmowej... przypominające coś dobrze znanego, ale o wiele za duże: linie papilarne o średnicy osiemnastu stóp...

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

R(aphael) A(loysius) Lafferty (1914 – 2002) amerykański pisarz, znany z bardzo oryginalnego stylu. Nie ukończył studiów, choć kształcił się korespondencyjnie, pracował w firmie elektrycznej w Tulsa, w Oklahomie, gdzie spędził większość swego życia. W czasie drugiej wojny światowej służył na Pacyfiku. Nigdy się nie ożenił.

Debiutował opowiadaniem *Day of the Glacier* w 1960 roku, a zaraz potem kolejne teksty zaczęły się ukazywać we wszystkich najważniejszych czasopismach SF w Ameryce. Pisał do lat 90. Opowiadania Lafferty'ego były publikowane w licznych antologiach, podsumowaniach opowiadań, w prasie. Sporo opowiadań było nominowanych, ale wyróżniono tylko *Matkę Euremy* (Hugo). Pisał nie tylko fantastykę, ale także powieści historyczne i autobiografię.

Styl Lafferty'ego jest bardzo charakterystyczny, bohaterami są zwykli ludzie, akcja rozgrywa się najczęściej współcześnie, choć niekoniecznie w naszej rzeczywistości. Lafferty bardzo zręcznie żonglował metaforą, porównaniem, w swoich opowiadaniach reprezentował czystą rozrywkę, potrafił zaintrygować czytelnika i uwieść go od pierwszego zdania. Przy lekturze ma się wrażenie obcowania z czymś mitycznym.

Jego twórczość była bardzo bogata, nie wszystkie utwory opublikowano. Spadkobiercy ogłaszają chęć sprzedaży całej spuścizny Lafferty'ego, czyli 29 powieści i 225 opowiadań za 70

tysięcy dolarów.

Tak jak bohater opowiadania *Najdłuższy obraz świata* był hobbystą, zbierał stare dokumenty, instrumenty, artefakty – całą kolekcję po śmierci przekazano bibliotece uniwersyteckiej w Tulsa.

---

## IAN WATSON

---

*Watson w najwyższej formie. Bardzo brytyjski, nieśpieszny, wystylizowany na koniec XIX wieku. Dwa światy, oba obce. Pierwszy można by poskładać z różnych miejsc i czasów naszego świata, prawie widzi się jakiś obraz Breugla. I drugi świat, o którym nic nie wiemy, który do końca pozostaje poza linią horyzontu dla mieszkańców pierwszego. Rzadki przypadek, kiedy w opowiadaniu nie występuje ani nasz świat, ani jego przedstawiciel.*

### Powolne ptaki

Tego roku majowy festiwal, którego głównym punktem były zawody łyżwiarskie, odbywał się w Tuckerton. Późnym rankiem, kiedy sędziowie wyznaczyli na szklanej tafli tor za pomocą czerwonych chorągiewek, na błękitnym dotąd niebie zaczęły się gromadzić cumulusy, zapowiadając idealne warunki do popołudniowych zawodów. Nie padało, szkło nie będzie więc zalane wodą jak zeszłego roku w Atherton. Nie było jaskrawego słońca, które tak oślepiało widzów przed dwoma laty w Buckby. I wiatr, dość silny, ale nie porywisty: idealny, żeby zawodnicy mogli nabrać prędkości wykorzystując żagle, a jednocześnie nie zwalający z nóg jak przed czterema laty w Edgewood, kiedy to zdarzyło się wiele kontuzji.

Po zawodach miało być pieczenie wieprzka, a właściwie spożywanie jego smakowitego mięsa, bo wieprzek obracał się z wolna na rożnie już od trzydziestu sześciu godzin. Miały być też otwarte beczki przedniego piwa. Jednak na razie wszystkie myśli Jasona Babbidge'a pochłaniało sprawdzanie łyżew i pięknego, szafranowego żagla.

Miał on wysokość rosłego mężczyzny i zrobiony był z najlepszego, starego jedwabiu łatanego tylko w kilku miejscach. Uchwyt z giętkiego jesionu ściągnięty był w łuk mocną konopną linką. Jason niczym harfiarz trącał ją w skupieniu, sprawdzając naciąg. Część zawodników wyszła już na taflę, demonstrując przy aplauzie widzów swoje umiejętności. Byli to przeważnie ludzie z Tuckerton, zachowujący się, jakby byli właścicielami tafli i znali ją lepiej niż goście, choć oczywiście niczym nie różniła się ona od takiego samego toru koło Atherton.

Młodszy brat Jasona, Daniel, gwizdnął z podziwem na widok miejscowego zawodnika zataczającego w pełnej szybkości idealne kręgi z fioletowym żaglem trzepoczącym przy halsowaniu.

— Spójrz na niego, Jason!

— Co, Bob Marchant? Miał wywrotkę w zeszłym roku. Po co się męczyć przed gwizdkiem?

Teraz wyszły na szkło dwie siostry z Buckby, które z dobranymi czarnymi żaglami zataczały wokół siebie ósemki, o włos od zderzenia.

— Idź, Jason, pokaż im – zachęcał brata Daniel. Zawodnicy z innych wsi też zaczynali wychodzić na szkło, ale Jason zauważył, że Max Tarnover stał nieopodal, obserwując ich wyczyny z

uśmiechem wyższości. Mistrz Tarnover z Tuckerton, ubiegłoroczny zwycięzca z Atherton mimo ulewy... Biorąc z niego przykład, a nawet idąc dalej, Jason odwrócił się od tafli i lustrował tłum widzów.

Zauważył wuja Johna Babbidge'a, prowadzącego ożywioną rozmowę z jakimś człowiekiem z Edgewood tuż koło orkiestry dętej. Nie było to najdogodniejsze miejsce do towarzyskiej pogawędki, widocznie więc ubijali jakiś interes. Tymczasem na łące za orkiestrą dzieciaki z pięciu wsi roiły się jak pszczoły wokół przygotowanych dla nich atrakcji. Zaś ci dorośli, którzy nie interesowali się popisami orkiestry, rozgrzewką zawodników ani plotkami, oblegali kramy z towarami i wyrobami rzemiosła. Zebrało się tu chyba z tysiąc osób i pobliska wioska wyglądała na całkiem wyludnioną. Nawet dla starych ludzi przygotowano do siedzenia derki, ławy i puste baryłki.

Kiedy orkiestra opuściła instrumenty, żeby odpocząć po odegraniu Tańca Kwiatów, ponad gwar osób wzbił się przerażony bek owcy. To jakiś wieśniak wskoczył do małej zagrody, gdzie jagnię, prawie już dorównujące wielkością ostrzyżonej i broniącej się przed nim matce, wpychało się pod jej brzuch, usiłując ssać i chować się jednocześnie. Śmiejąc się wieśniak podniósł jagnię za szyję i tylne nogi, żeby ocenić jego wagę i może zdobyć jakąś nagrodę. Przez tłum przeciskała się teraz matka Jasona, przeżuując resztę pasztecika.

— Powodzenia, synu! – uśmiechnęła się.

— Mówiłem ci, mamó, że życzenie powodzenia przynosi pecha – zaprotestował Jason.

— A, wypchaj się! Do licha z zabobonami! – Dotknęła szyi,



jakby chciała popchnąć ostatni kęs, ale naprawdę pokazała, że nie nosi żadnych amuletów.

— Chyba trochę się rozruszam. – Zrzuciwszy sandały Jason usiadł, żeby założyć łyżwy. Potem przy pomocy brata podniósł się i stał z kolanami w iks, na wrzynających się w trawę łyżwach, podczas gdy Daniel mocował mu do ramion żagiel. Jason chwycił sznurki kierujące rejką i żaglem.

— W porządku. – Poruszył żaglem w jedną i drugą stronę.

— Chodźmy.

Ale w chwili, kiedy miał wkroczyć na szkło, w odległości niespełna stu metrów nad taflą pojawił się powolny ptak.

Zmaterializował się tuż przed jedną z sióstr Buckby. Nie mogąc już skręcić, nie miała innego wyboru, jak paść na plecy. Krzycząc ze złości, a może też z bólu, przejechała pod powolnym ptakiem na wznak, na zniszczonym żaglu...

Nazywano je powolnymi ptakami, bo leciały w powietrzu z dostojną prędkością dwóch metrów na minutę.

Wyglądem też trochę przypominały ptaki, ale tylko trochę. Ich walcowate metalowe ciała zaokrąślały się w przedniej części, w tylnej zwężały się w usterzony ogon, a pośrodku miały dwa krótkie skrzydła. Te skrzydła nie mogły mieć nic wspólnego z utrzymaniem ich masy w powietrzu; ptaki miały obwód końskiego tułowia i długość dwóch leżących mężczyzn. Może te skrzydła służyły do utrzymywania kierunku albo wysokości.

Barwę miały srebrnoszarą, ale była to tylko barwa ich zewnętrznej powłoki z miękkiego metalu podobnego do ołowiu. Pod jego półcentymetrową warstwą wewnętrzny kadłub był czarny i sztywny jak stal. Dzioby ptaków miały zawsze po kilka

rys od zderzeń z różnymi przeszkodami w ciągu wielu lat. Powolne ptaki utrzymywały stale tę samą wysokość nad powierzchnią ziemi – brzuch na poziomie ludzkich ramion – i zmieniały kurs, omijając solidniejsze budynki i stare drzewa, ale przez wszystkie słabsze przeszkody po prostu się przeciskały. Stąd brały się charakterystyczne rysy na każdym z nich. Jednak znacznie łatwiejszym sposobem ich rozróżniania były rysunki i napisy wydrapane na ich bokach: inicjały w sercach, daty, nazwy miejscowości, urywki tekstów. Można było z tego wywnioskować, ile było tych powolnych ptaków. Bo nikt nigdy nie widział dwa razy tego samego. Każdy z nich pojawiał się – nad wzgórzem, w dolinie, pośrodku doliny – leciał powoli przez jakiś czas, od godziny do doby, pokonując odległość od kilkudziesięciu metrów do dwóch, trzech kilometrów. I znów znikał, żeby ukazać się znienacka zupełnie gdzie indziej, daleko lub blisko, po długim czasie albo prawie natychmiast.

Zazwyczaj ptak znikał, żeby pojawić się ponownie. Nie zawsze jednak. Kilka razy w roku, na obszarze tego wyspiarskiego kraju, powolny ptak osiągał kres swojej wędrówki. Niszczył wtedy siebie i cały teren w promieniu czterech kilometrów, topiąc wszystko w tafłę szkła. Spolaryzowana, ściśle ograniczona strefa śmierci. Kilka metrów od jej obrzeża człowiek mógł ujść cało, chwilowo tylko ogłuszony i oszołomiony.

Jak dotąd nie zdarzyło się, żeby powolny ptak eksplodował nad już istniejącą tafłą szkła. W rezultacie wiele wsi i miasteczek powstawało jak najbliżej tego, co już zostało zniszczone, a wieść o powstaniu nowej tafli powodowała przesuwanie się tam gospodarstw i całych osad. Większość jednak ludności trzymała

się fatalistycznie dawnych, historycznych miejscowości. Liczyli na to, że żaden powolny ptak nie wybuchnie tam za ich życia. A gdyby nawet tak się stało, to i tak nie będą nic o tym wiedzieć. Chyba że szkło pokryłoby tylko część miejscowości, a wtedy, po okresie żałoby, pozostali przy życiu mieszkańcy mogliby poczuć się bezpiecznie.

Co prawda, na dłuższą metę cały kraj od wybrzeża do wybrzeża, z północy na południe, pokryje się jedną wielką taflą szkła. Albo może raczej szachownicą stykających się kręgów, szklaną mozaiką. A co między nimi? Spłachcie pustynnego piasku, jeżeli klimat będzie coraz suchszy z powodu odbicia promieni słonecznych od szkła. Albo bagna. Ale do tego było jeszcze daleko: sto, dwieście, trzysta lat. Więc ludzie nie przejmowali się zbyt. Przyzwyczaili się do tego przez całe życie, a przed nimi ich rodzice. Może któregoś dnia powolne ptaki przestaną się pojawiać. I zniknąć. I wybuchnąć. Tak jak kiedyś zaczęły się pojawiać. W każdym razie według wszystkich danych sytuacja wyglądała tak samo wszędzie na świecie. Jedynie oceany były bezpieczne. Może więc pewnego dnia ludzkość będzie musiała przenieść się na tratwy. Tylko z czego je wtedy zbuduje? Tymczasem ludzie jakoś żyli i większość już od dawna przestała zadawać pytania. Bo odpowiedzi nie było.

Siostra pomogła dziewczynie wstać. Chyba nic sobie nie złamała. Ucierpiała głównie jej godność – i, oczywiście, żagiel.

Wszyscy łyżwiarze zatrzymali się i wrogo przyglądali się rakiemie. Jej brzuch i boki były niemal pozbawione napisów, i widząc to kilku chłopców wysypało się na taflę, trzymając w pogotowiu scyzoryki, zardzewiałe gwoździe i inne ostre

narzędzia. Sędzia przegonił ich gniewnym gestem.

— Sio! Wynoście się! – Jego spojrzenie zatrzymało się na Jasonie, który przez chwilę pomyślał, że sędzia zwróci się do niego, ten jednak zawołał: – Mistrzu Tarnover! – I Max Tarnover mijając Jasona podjechał do sędziego.

Po krótkiej naradzie sędzia przyłożył dłonie do ust.

— Opóźniamy start o pół godziny – huknął. – Młoda dama musi mieć szansę naprawy żagla, bo, jak wszyscy widzieli, nie była to jej wina.

Jason odnotował lekki grymas rozbawienia na twarzy Tarnovera, bo teraz pozostali zawodnicy musieli albo jeździć dalej, tracąc energię na przedłużoną rozgrzewkę, albo zejść z tafli na przerwę, rozładowując się psychicznie. Prawie wszyscy wybrali przerwę i napoje orzeźwiające.

— To ci szczęście! – parsknęła pani Babbidge, kiedy Max Tarnover przechodził koło nich.

Tarnover zatrzymał się przed Jasonem.

— Prawdę mówiąc, myślę, że z jej żagla nic nie będzie – wyznał. – Ale co można zrobić? Inaczej te siostry z Buckby miałyby pretensje. „Na pewno by wygrała, gdyby jej dali dziesięć minut na naprawę żagla. Nie jej wina, że wyrosło przed nią to paskudztwo” – Tarnover obrzucił łaskawym spojrzeniem żagiel Jasona. – Jak tam forma?

Daniel Babbidge wpatrywał się w Tarnovera z mieszaniną ubóstwienia i wrogości wynikającej z kibicowania bratu.

— Nieźle. – Nie był pewien, czy Tarnover okazuje mu uprzejmość, czy ostentacyjną wyższość. A może to pytanie oznaczało, że Tarnover rzeczywiście uznaje Jasona za

poważnego rywala w tegorocznej walce o srebrny puchar?

Młodszy brat wyraźnie uznał odpowiedź Jasona za niewystarczającą.

— Jak pan myśli, mistrzu – odezwał się cienkim głosem – gdzie się podziewają te ptaki, kiedy nie ma ich u nas?

Dobre pytanie: bez odpowiedzi, ale Max Tarnover zapewne poczuje się zobowiązany, żeby coś powiedzieć, choćby tylko dla podtrzymania swojej opinii światowca. Jason poczuł przypływ sympatii dla brata, a matka chłopców zorientowawszy się w sytuacji powiedziała karcącym głosem: — Nie zawracaj mistrzowi Tarnoverowi głowy. Na pewno nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

— Ależ nie, zastanawiałem się – powiedział Tarnover.

— I co? – naciskał chłopiec.

— Hm... może nigdzie się nie podziewają.

Pani Babbidge parsknęła śmiechem i Tarnover zaczerwienił się.

— Mam na myśli to, że może przestają istnieć w jednym miejscu i w tej samej chwili pojawiają się w innym.

— Gdyby tak można jeździć na łyżwach! – roześmiał się Jason.  
– Tyle że trochę wolno... W ostatniej chwili i tak wszyscy by takiego przegonili.

— Muszą się gdzieś podziewać – upierał się Daniel. – Może przenoszą się gdzieś, gdzie ich nie widzimy. Do jakiegoś innego miejsca, z innymi ludźmi. Może to oni budują ptaki.

— Słuchaj, piegusie, ptaki nie pochodzą ani z Rusji ani z Merki, ani z żadnego innego kraju. Gdzie jest więc to twoje inne miejsce?

— Może jest tutaj, tylko go nie widzimy.

— Może świnię mają skrzydła. – Tarnover zwrócił się w stronę stoiska z napojami, ale pani Babbidge wtrąciła zręcznie: — O, jeśli o to chodzi, to jestem pewna, że nasza maciora Betsy nie mogłaby latać, nawet gdyby miała skrzydła. Najwyżej wisiłaby w powietrzu tak jak to, i równie ciężko.

— Ważyła pani kiedyś takiego ptaka?

— Wyglądają dość ciężko, mistrzu Tarnover.

Tarnover z rozpiętym żaglem nie mógł się precyzyjnie przycisnąć obok pani Babbidge, zadowolili się więc tym, że nie patrząc na nią mruknął: — Jak nie potrafimy nic sensownego na ich temat powiedzieć, to sądzę, że lepiej nic nie mówić.

— Wcale nie lepiej – zaprotestował Daniel. – One rozwalają świat. Kawałek po kawałku. Zupełnie jakby prowadziły z nami wojnę.

Jason poczuł przypływ dowcipu.

— Może tak jest. Może ci inni ludzie, o których mówił Daniel, prowadzą z nami wojnę, tylko zapomnieli nas o tym zawiadomić. A kiedy nas całkiem pokryją szkłem, będą tu przyjeżdżać na wakacje, żeby sobie pojeździć na łyżwach.

— Diabło długa wojna, jeżeli tak – westchnął Tarnover. – Ciągnie się od przeszło stu lat.

— Może dlatego te ptaki tak wolno latają? – wtrącił Daniel.

— Może nasz rok to dla tamtych jedna godzina? Może dlatego ptaki nie spadają. Bo nie mają czasu.

Na twarzy Tarnovera odmalowała się prawie wściekłość.

— A co, jeżeli te ptaki przybywają jako kara za nasze grzechy? Jeżeli są po prostu nadprzyrodzonym dowodem...

— ...że Bóg się o nas troszczy? I że pewnego dnia nam przebaczy? – Pani Babbidge uśmiechnęła się promiennie. – Chyba nie jest pan jednym z nich? Taki inteligentny, młody człowiek jak pan. Ja nie palę nawet świec w oknach i nie wiążę supłów na prześcieradle, żeby przepędzić ptaki. – Potargąła rudą czuprynę młodszego syna. – Wszyscy umrzemy wcześniej czy później. Przyzwyczaisz się do tego, kiedy dorośniesz. Kiedy przychodzi czas śmierci, trzeba umierać.

Tarover był wściekły, ale młody Daniel również wyglądał na zmartwionego.

— A kiedy ma się pragnienie, trzeba się napić! – Korzystając z okazji, Tarover wyminął panią Babbidge i odszedł.

Roześmiała się, odprowadzając go wzrokiem.

— Stracił trochę wiatru – powiedziała.

Czterdziestu jeden zawodników, oprócz Jasona i Tarnovera, zebrało się na starcie. Nie było wśród nich dziewczyny, która miała wypadek; mimo wszelkich starań odpadła z wyścigu i siedziała ponuro razem z widzami.

Potem sędzia z Tuckerton gwizdnął i ruszyli.

Tor miał kształt długiego bochenka chleba. Najpierw przez tysiąc dwieście metrów biegł łagodną krzywizną wzdłuż skraju tafli, potem skręcał raptownie półkolem i zawracał po prostej do Tuckerton. Na końcu prostej drugie ostre półkole sprowadzało go do linii startu i finiszu. Uczestnicy mieli przebyć trzy okrążenia. Przy dłuższej trasie różnice między czołówką a maruderami mogłyby doprowadzić do zamieszania na torze.

Przed pierwszym wirażem Jason prowadził wyścig, całoroczny trening owocował. Jego łyżwy pewnie ślizgały się po lodzie, wiatr

zdecydowanie popychał go do przodu. Na samym zakręcie przerzucając żagiel w nowe położenie zauważył, że Max Tarnover trzyma się czwartej pozycji. Postanowiwszy zwiększyć jeszcze przewagę, Jason przy wejściu na prostą przeszedł tak blisko chorągiewki, że omal jej nie przewrócił. Chcąc to naprawić odbił w prawo i stracił kilka jardów. Kiedy wśród dopingu mieszkańców Atherton po raz pierwszy minął linię mety, Tarnover znajdował się na trzecim miejscu i nie wysiłał się zbytnio, żeby przesunąć się do przodu. Jason zrozumiał, że Tarnover zwyczajnie wypuszcza go na prowadzenie.

Ale jazda na łyżwach z żaglem to nie to samo, co zwykły bieg, w którym prowadzący z reguły odpada z walki o zwycięstwo. Jason rwał do przodu. Mimo to, po drugim okrążeniu Tarnover był tylko o dziesięć metrów za nim i płynął bez widocznego wysiłku, jakby on i jego żagiel, wiatr i tafla były jednym. Zauważywszy spojrzenia Jasona Tarnover uśmiechnął się i przyśpieszył, żeby zmusić prowadzącego do jeszcze większego wysiłku. Wchodząc na ostatnie okrążenie Jason odnotował w myśli postęp, jaki zrobił powolny ptak, znajdujący się teraz na lewo od niego i posuwający się ogólnie w kierunku Edgewood. Nawet maruderzy powinni zdążyć ukończyć bieg, zanim ptak przetnie im drogę, obliczył.

Ten krótki moment nieuwagi był błędem: Tarnover zbliżył się niebezpiecznie, z żaglem ustawionym pod kątem, który musiał strasznie obciążać przeguby. Już teraz odbijał w prawo, żeby wyprzedzić Jasona. I w tej chwili Jason zrozumiał, że może wygrać pozwalając Tarnoverowi myśleć, że zmusił go już do maksymalnego wysiłku – tak, żeby Tarnover nabrał się i dał z



siebie wszystko zbyt wcześnie.

— Nie dogonisz mnie! – krzyknął Jason na wiatr, domyślając się, że Tarnover weźmie to za przechwałkę i uzna, że Jason nie ma żadnej taktyki. Jednocześnie lekko zwolnił, mając nadzieję, że rywal tego nie zauważy, jako że stało to w sprzeczności z wcześniejszą przechwałką. Udając panikę pozwolił Tarnoverowi wyjść na prowadzenie – i zobaczył, że Tarnover nadal ściska z całej siły rejkę żagla, mimo że faktycznie biegł nieco wolniej niż poprzednio. Nieświadomie Tarnover utrzymywał zły kąt żagla i niepotrzebnie forsował nadgarstki.

Tarnover biegł teraz na czele. Jason natychmiast uwolnił się od wszelkiego napięcia psychicznego. Z lekkością i wdziękiem trzymał się o kilka metrów z tyłu, tam gdzie mógł korzystać z „oka” powietrza za plecami Tarnovera. Wytrzymał tak do połowy ostatniej prostej, czując się jak sokół, który zanim spadnie na ofiarę, unosi się w powietrzu za pomocą lekkich tylko drgnień skrzydeł.

Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz. Potem nagle zmieniając pochylenie żagla wyskoczył znów na prowadzenie.

To był błąd. To był błąd od początku. Bo kiedy wyprzedzał Tarnovera, ten się roześmiał. Ustawivszy swój brązowo-pomarańczowy żagiel pod bardziej naturalnym, korzystniejszym kątem Tarnover zaczął pracować nogami jak szatan. Już był znów na przedzie. O pięć metrów. O dziesięć. I już wpadł na końcową krzywiznę.

Usiłując dogonić go w niewielu chwilach, jakie pozostały, Jason już wiedział, jak został nabrany, chociaż zrozumienie przyszło zbyt późno. Tarnover tak chytrze skupił uwagę Jasona na żaglach

– przez to, że swój trzymał tak nienaturalnie tworząc to dogodne „oko” powietrza – że Jason całkowicie zlekceważył sprawę nóg i łyżew, przestał je śledzić z sekundy na sekundę. Wystarczyła chwila, żeby się ocknął i poderwał do największego wysiłku, ale ta chwila okazała się fatalna. Jason minął linię mety o metr za zeszłorocznym zwycięzcą, który zwyciężył również w tym roku.

Jason wyhamował i mimo goryczy porażki zdawał sobie sprawę, że musi zachować się sportowo, żeby Tarnover nie wykorzystał i tej okazji.

Głośno, żeby wszyscy słyszeli, zawołał: — Wspaniale, Max! Wspaniały bieg! Rzeczywiście zaskoczyłeś mnie tam na wirażu.

Tarnover uśmiechnął się na użytek widzów.

— Jesteście strasznie hałaśliwą rodziną – powiedział pod nosem i odjechał, żeby raz jeszcze odebrać srebrny puchar.

Znacznie później tego popołudnia, najedzony pieczenią i piwem, Jason wywijając pustym kuflem rozmawiał w hałaśliwym tłumie z Bobem Marchantem. Z Bobem, który miał tak widowiskową wywrotkę w zeszłym roku. Może dlatego teraz jechał zbyt ostrożnie i zajął jedno z ostatnich miejsc.

Niebo pokryły ciężkie chmury, zapadł zmierzch. Wkrótce ludzie zaczną rozchodzić się do domów.

Jeden z kolegów Jasona z Atherton, Sam Partridge, przepchnął się do Jasona.

— Słuchaj, twój braciszek jest na tafli. Wdrapał się na grzbiet ptaka i jedzie na nim.

— Co?

Jason momentalnie wytrzeźwiał i pobiegł za Partridge’em, a Bob Marchant za nimi.

I rzeczywiście, w odległości może dwustu metrów w zapadającym mroku Daniel siedział okrakiem na powolnym ptaku. Ruda czupryna wykluczała wątpliwości. Teraz wielu innych ludzi zauważyło go i pokazywało palcami. Rozlegały się okrzyki zachęty, tu i ówdzie gniewne protesty.

Jason ścisnął Partridge'a za ramię.

— Ktoś musiał go podsadzić. Nie wiesz, kto to zrobił?

— Nie mam pojęcia. Powinien dostać lanie.

— Daniel Babbidge! – krzyknęła gdzieś w pobliżu pani Babbidge. Więc ona też zobaczyła. Ostrożnie weszła na taflę, pilnując się, żeby nie stracić równowagi.

Jason i jego towarzysze natychmiast znaleźli się przy niej.

— Spokojnie, mam – powiedział. – Zaraz ściągnę tego małego urwipółcia.

Bob Marchant po rycersku zaoferował swoje ramię i odprowadził panią Babbidge z powrotem na pewny grunt. Jason i Partridge ruszyli po szklistej nawierzchni w towarzystwie co najmniej tuzina ciekawskich.

— Czy ktoś widział, kto go podsadził? – dopytywał się Jason.

Nikt się nie przyznawał.

Kiedy grupa była o dobre dwadzieścia metrów od ptaka, wszyscy prócz Jasona stanęli. Idąc dalej sam, Jason powiedział groźnie, zniżając głos tak, żeby tylko brat go słyszał: — Złaż natychmiast. Wystawiasz matkę i mnie na pośmiewisko.

— Nie – szeptem odpowiedział Daniel wczepiony w ptaka, ściskając go kolanami jak dżokej, z dłońmi przywartymi jak przyssawki. – Chcę zobaczyć dokąd on pójdzie.

— Do diabła! Nie będę tracił czasu na kłótnie. Złaż w tej chwili!

Jason złapał brata za kostkę i pociągnął, ale jedynym skutkiem było to, że sam podjechał bliżej do ptaka. Obok stopy Dana widniało serce z przeplecionymi inicjałami ZB i EF. Jason odwrócił się i zawołał.

— Hej tam, pomóżcie mi! Niech ktoś przyjdzie i mnie podsadzi! Nikt się nie kwapił z pomocą, nawet Partridge.

— To was nie ugryzie! Ptaka można dotykać. Każde dziecko to wie. – Ze złością wrócił ostrożnie do nich. – Do diabła, Sam!

Tym razem Sam Partridge z ociąganiem zrobił kilka kroków, za nim paru innych. Ale nagle stanęli wytrzeszczając oczy. Wyraz ich twarzy zdumiał Jasona na chwilę – dopóki Sam Partridge nie pokazał ręką, dopóki Jason się nie obejrzał.

Powietrze za nim było puste.

Powolny ptak nagle zniknął zabierając ze sobą jeźdźca.

W pół godziny później tylko goście z Atherton i gospodarze pozostali na terenach sportowych Tuckerton. Grupy z Buckby, Edgewood i Hopperton odeszły do siebie. Wujek John wciąż jeszcze pocieszał chlipiącą panią Babbidge. Większość twarzy w otaczającym ją tłumie wyrażała współczucie, chociaż wśród części ludzi z Tuckerton wyczuwało się także niezadowolenie, że oto wybryk jednego wyrostka rzucił cień na ich majową uroczystość.

Jason z płonąącym wzrokiem rozglądał się po zebranych.

— Czy ktoś widział, kto podsadził mojego brata? – krzyknął. – Przecież nie mógł wsiąść sam, prawda? Gdzie jest Max Tarnover? Gdzie on jest?

— Czyżbyś chciał oskarżyć mistrza Tarnovera? – zahuczał potężny farmer z dużą brodawką na policzku. – Uważaj na

zakrętach, bo możesz się przewrócić.

— Gdzie on jest, do diabła?

Wujek John położył rękę na ramieniu siostrzeńca.

— Jason, chłopcze, uspokój się. W ten sposób nie pomożesz matce.

Ale wtedy tłum się rozdzielił i ukazał się Tarnover ze srebrnym pucharem w ręku.

— Słucham, mistrzu Babbidge – powiedział. – Podobno chciał pan ze mną mówić.

— Czy widział pan, kto podsadził mojego brata na tego ptaka? Widział pan?

— Nie widziałem – odpowiedział Tarnover zimno.

Niewłaściwe pytanie, uświadomił sobie Jason. Bo przecież jeżeli Tarnover sam to zrobił, to nie mógł samego siebie widzieć.

— No to, czy pan...

— Hej, tam – wtrącił się ten sam farmer. – Spytałeś go i dostałeś odpowiedź.

— I myślę, że twój brat też otrzymał odpowiedź na swoje pytanie – powiedział Tarnover. – Mam nadzieję, że jest z niej zadowolony. Oczywiście, wyrażam też swoje głębokie współczucie pani Babbidge. Jeżeli chłopca spotkało coś złego, ale przecież nic nam na ten temat nie wiadomo, prawda?

— No właśnie!

Jason sprężył się, ale wujek John przytrzymał go.

— Daj spokój, chłopcze. Nie ma sensu.

Długa droga do domu upłynęła trójce pozostałych Babbidge'ów w przygnębiającym milczeniu, chociaż niektórzy podpici mieszkańcy wsi idąc za nimi wesoło śpiewali. Co jakiś

czas Jason rozglądał się szukając Sama Partridge'a, ale on skutecznie go unikał.

Następnego dnia, drugiego maja, pani Babbidge otrząsnęła się i ogłosiła „dzień porządków”, co oznaczało czule zajmowanie się ubraniami, książkami i starymi zabawkami Daniela, a potem schowanie ich głęboko. Jasona odesłała do jego pracy w tartaku, złąjawszy go przedtem, że snuje się za nią jak cień.

Jason pracował przy cięciu desek, a po głowie tłukły mu się w kółko wciąż te same gniewne, bezsilne myśli: „Dla mnie on jest mordercą... Nie daje się dziecku noża do zabawy. Nic go to nie wzruszyło. Był zimny jak lód. Zadowolony z siebie...”

Ale co można było na to poradzić? Ptak mógł tam wisieć jeszcze przez wiele godzin. Tyle że wyszło inaczej...

Wyruszyć na poszukiwanie Daniela? Ale jak? I dokąd? Ptaki pojawiały się, jak chciały. Tu, tam, wszędzie. Bez ładu i składu. Więc poszukiwania też byłyby bez sensu.

Wyprawa, żeby udowodnić, że Daniel żyje. A gdyby się okazało, że żyje, wówczas Tarnover nie byłby mordercą.

„Dla mnie jest mordercą...”, myśli Jasona krążyły bezsilnie. Było to jak jazda na łyżwach ze związanymi nogami.

W trzy dni później zauważono powolnego ptaka przy drodze do Edgewood. Jim Mitchell, cieśla z Edgewood, odszukał Jasona w tartaku, żeby go o tym zawiadomić. I tak miał tu coś do załatwienia.

Jego wizyta była niewątpliwie dowodem życzliwości, ale Jasona nie tyle podniosło to na duchu, co przepełniło poczuciem winy. Bo teraz musiał iść i zobaczyć na własne oczy, choć było jasne, że nie ma tam nic do oglądania. Odłożywszy narzędzia

pośpieszył do domu po łyżwy i żagiel, i pojechał do Edgewood.

Ptak jeszcze tam był, ale był to inny ptak. Nie miał wydrapanego serca ze splecionymi inicjałami ZB i EF.

A w cztery dni później przyszła wiadomość z Buckby o ptaku dostrzeżonym kilka kilometrów na zachód od wsi, przy głównej drodze do Harborough. Tym razem Jason pożyczył konia i pojechał. Okazało się, że wiadomość była spóźniona. Ptak przeleciał o dzień wcześniej. Mimo to, Jason czuł się w obowiązku obejrzeć miejsce jego ukazania się, żeby sprawdzić, czy nie ma tam ciała lub jakichś śladów.

W tydzień później ptak zniknął niedaleko Atherton; akurat w chwili, kiedy Jason przybył na miejsce...

Potem pewnego wieczoru Jason poszedł „Pod kłosa”. Już od wielu tygodni nie był w piwiarni i teraz postanowił się upić przy długim barze pod trofeami z wyścigów konnych.

Popijali tam już Sam Partridge i Frank Yardley, a jakąś godzinę później zjawił się również Ned Darrow ze swoją zalatującą piwem radą.

— Posłuchaj, Jason, po diabła latasz za każdym razem, kiedy ktoś wypatrzy cholernego ptaka? Rób tak dalej i wyjdiesz na cholernego durnia. A co będzie, jak ptak wyskoczy w Tuckerton? Prędzej czy później musi się to zdarzyć. Czy tam też polecisz z wywieszonym językiem?

— Stale zwalniasz się z pracy – powiedział Frank Yardley. – Skończy się tak, że cię wyleją. Ja ci radzę, żyj jak wszyscy.

— A ja nie wiem – odezwał się niespodziewanie Sam Partridge. – Myślę, że człowiek ma prawo dochodzić swojej krzywdy. Jeżeli Tarnover rzeczywiście zrobił to świństwo Babbidge’om...

— Jakie „jeżeli”? – przerwał mu gniewnie Jason.

— Spokojnie, Jason. Chciałem powiedzieć, że jeżeli zrobił to świństwo Babbidge’om, którzy są z Atherton, to tak, jakby zrobił to nam wszystkim, nie?

— Dzięki temu, że niektórzy nie śpieszyli się z pomocą.  
Sam się zaczerwienił.

— Nie rzucaj się na oślepa na wszystkich. Pewnie, że nikt nie jest doskonały, ale pamiętaj, kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem.

— Będę pamiętał, nie bój się.

Frank przechylił pusty kufel.

— Słusznie. Czyja kolejka?

I tak to szło... aż następnego ranka Jason obudził się z ciężką głową.

Wieczorem do drzwi Babbidge’ów zapukał Ned.

— Ptak nad taflą, Sam kazał ci powiedzieć – oświadczył. – Może przejdziemy się, żeby go obejrzeć.

— Jeśli pamiętam, wczoraj wieczorem tłumaczyłeś mi, że to strata czasu.

— Co innego latać po całym hrabstwie, ale to tylko spacer, wieczór jest ładny. Zresztą, jak ci się nie chce... Tyle że moglibyśmy potem wypić parę piw „Pod kłosem”.

Chłopakom musiało go brakować przez te ostatnie kilka tygodni. Szybko zgarnął łyżwy i żagiel.

— A co z kolacją? – spytała matka. – Krupnik na baraniej głowie.

— Przecież się nie zepsuje do jutra. Mogę coś zjeść „Pod kłosem”.



— Może i lepiej, żebyś się trochę rozerwał – powiedziała matka. – Nawet się cieszę. Zajmę się szyciem.

W dwadzieścia minut później Jason, Sam i Ned byli już na środku tafli. Niebo było purpurowe z ławicami chmur, a wzdłuż horyzontu płynęła rzeka złota: marna pogoda na jutro, ale piękna dzisiaj. Szklana przestrzeń połyskiwała czerwonymi i złotymi refleksami: jezioro krwi, złota i roztopionego metalu. Początkowo nie zauważyli pojedynczego łyżwiarza ani on ich, aż znaleźli się całkiem blisko powolnego ptaka.

Sam zorientował się pierwszy.

— Hej, kto to jest? – spytał. Brązowo–pomarańczowy żagiel. Jason poznał go od razu.

— To Tarnover!

— No to teraz masz okazję, żeby się dowiedzieć – powiedział Ned.

— Mówisz poważnie?

Ned wyszczerzył zęby.

— Dlaczego nie? To może być zabawne. Łapmy go.

Trzej łyżwiarze rozbiegli się, żeby otoczyć Tarnovera, który też ich rozpoznał i zaczął zawracać. Za ostro. Albo trafił na kałużę wody na szkle. Ku uciesze Jasona Max Tarnover, mistrz pięciu wsi, przewrócił się jak długi.

Złapali go. Nie trzeba było wielkiej siły, żeby przytrzymać łyżwiarza, choćby nie wiem jak szarpał się i wierzgał, ale Jason wymierzył Tarnoverowi cios w szczękę, po którym ten stracił przytomność.

— Po co, do diabła, to zrobiłeś? – spytał Sam, podtrzymując Tarnovera, żeby się nie potłukł padając.

— A jak inaczej wsadzimy go na ptaka?

Sam spojrział na Jasona, potem powoli kiwnął głową.

Nie była to najłatwiejsza operacja – wciągnięcie bezwładnego i ciężkiego ciała na wolno poruszający się przedmiot, kiedy samemu stoi się na śliskiej powierzchni – ale po zdjęciu łyżew okazało się to możliwe. Wkrótce Tarnover leżał na metalowym cielsku ze zwisającymi nogami. Jason pośpiesznie odciął scyzorykiem linkę od żagla Tarnovera i związał mu kostki pod brzuchem ptaka.

W tym momencie Tarnover ocknął się i półprzytomnie starał się wyprostować. Jęknął, zachwiał się, odzyskał równowagę.

— Babbidge... Partridge, Ned Darrow...? Co wy do diabła robicie?

Jason oparł ręce na biodrach.

— Tak sobie tylko żartujemy, tak jak ty z moim bratem. Który zaginął przez ciebie, może na zawsze.

— Ja nie...

— Przyznaj się, to może cię odetniemy.

— Albo i nie – powiedział Ned. – W każdym razie nie przed zamknięciem Wheatsheaf. Ale nie trać nadziei, może cię uwolnimy.

Tarnover napiął mięśnie nóg próbując więzów. Skrzywił się.

— Naprawdę nie chciałem zrobić krzywdy twojemu bratu.

Sam uśmiechnął się krzywo.

— My też nie chcemy ci zrobić krzywdy. To nie nasza wina, jeżeli ptak postanowi odlecieć. Zresztą jest tu dopiero od jakiejś godziny. Równie dobrze może tu wisieć przez całą noc. Dobrze mówię?

— Tak jest – powiedział Ned. – A ja mam pragnienie. Ścigamy się? Ostatni stawia.

— On się przyznał, że to zrobił – powiedział Jason. – Słyszeliście.

— Słuchaj, naprawdę żałuję, jeżeli...

— Zamknij się – powiedział Sam. – Możesz się tu trochę pomarynować za to, co zrobiłeś Babbidge'om. Możesz sobie pomyśleć o tym, jak żałujesz. – Partridge postawił żagiel.

Jason niezupełnie tak sobie wyobrażał swoją zemstę. Czuł się trochę rozczarowany. Jednak dla Tarnovera sprawa była poważna. Czoło mistrza pokryło się potem. Jason również postawił żagiel i wszyscy trzej młodzi ludzie odjechali... żeby jak na komendę zatrzymać się o kilkaset metrów dalej. Odwrócili się w stronę małej postaci Tarnovera, przywiązanej do metalowego wierzchowca.

— Gdybym to był ja – zauważył Sam – to posuwałbym się do przodu, aż bym spadł na szkło... Można się trochę potłuc, ale to jest sposób.

— Nie ma po co wracać – powiedział Ned. – Hej, co on wyrabia?

Postać fiknęła kozła. Widocznie Tarnover wpadł w panikę i stracił głowę, bo wyglądało to, jakby wychylił się próbując rozwiązać nogi. Nagle odległa postać obróciła się wokół ptaka i teraz wisiała głową w dół machając rękami. Albo może Tarnover liczył na to, że sznur zerwie się pod jego ciężarem, ale tak się nie stało. A z chwilą, kiedy znalazł się w tej pozycji, nie mógł już wrócić do poprzedniej, ani też posuwać się stopniowo do przodu ptaka.

Ned gwizdnął.

— Ale się teraz załatwił! Sam się, cholera, ukrzyżował.

Jason zawahał się, zanim powiedział: — Może powinniśmy wrócić? Wiecie, człowiek może umrzeć, jak wisi za długo głową na dół... – Nagle cały ten epizod wydał mu się jakiś nieprzyjemny, odrażający.

— Wracać? – oburzył się Sam Partridge. – Wczoraj wieczorem to ty się odgrażałeś. A czyj to był pomysł, żeby go przywiązać do ptaka? Chciałeś dać mu nauczkę i ma teraz nauczkę. My ci tylko pomagamy.

— Bardzo wam dziękuję.

— Dosyć już tego gadania. Przecież nie zwiędnie jak bukiet kwiatów, zanim wypijemy po dwa piwka.

Pojechali więc z powrotem „Pod kłosa” w Atherton.

O wpół do jedenastej trzej młodzi ludzie, nieco mniej pewnie trzymając się na nogach, wysypali się z piwiarni na ulicę. Sierp księżycy wyglądał co jakiś czas przez przerwy w chmurach dając niewiele światła.

— Ja idę spać – powiedział Sam. – Niech ten pedał sam znajdzie sposób, jak zleźć.

— A nawet jak nie zlezie? – zawtórował mu Ned. – W ten sposób nikt się nie dowie. Potrzebny nam wróg do końca życia? Chcesz tego, Jason? A tak nie wiadomo, co będzie. Może się zdarzyć, że Tarnover przyprowadzi twojego brata.

Zarzuciwszy zwinięty żagiel na ramię i machając łyżwami Ned odszedł ulicą.

— Ale...

Jason czuł się tak, jakby wlażł w łajno. Wszystko to jakoś mu

śmierdziało. Myśl o Tarnoverze wiszącym głową w dół nie dawała mu spokoju.

— Ale co? – spytał Sam.

Jason udał, że ziewa.

— Nic. Cześć. – I ruszył do domu.

Jak tylko jednak zniknął Samowi z oczu, skręcił w pierwszą uliczkę prowadzącą na szkło. Panowały tam ciemności bez gwiazd tylko z przebłyskami światła księżycowego, ale wiał również wiatr i na tafli nie było się o co przewrócić. Ptak nie mógł się posunąć dalej jak o sto metrów. Jason popędził w jego stronę.

Powolny ptak znajdował się tam, gdzie powinien, ale Tarnovera na nim nie było.

Kiedy Jason stanął, żeby się lepiej rozejrzeć, z ciemności poderwały się postacie, które dotąd leżały przykryte żaglami. Sześć. Osiem. Dziewięć. Wszystkie czały się w odległości dwustu, trzystu metrów od ptaka, nie za blisko i nie od strony Atherton. Pozostawiły szeroki korytarz, który teraz zamknęły.

Jason stał nieruchomo, kiedy ludzie z Tuckerton zbliżali się do niego, wiedząc, że nie ma żadnych szans.

Max Tarnover podjechał pierwszy w towarzystwie potężnego farmera z brodawką.

— Wróciłem po ciebie – zaczął Jason.

Farmer odezwał się, ale nie do Jasona.

— No, proszę. To wspaniale z jego strony. Mógł się nie fatygować, bo Tim Earnshaw i tak trafił na mistrza Tarnovera. Więc co z nim robimy?

— Oko za oko. – Podpowiedział inny głos.

— Niech idzie poszukać swojego braciszka – zaproponował trzeci. – Zamiast posyłać innych w swoich sprawach... Bezczelny facet.

Sam Tarnover nic nie mówił. Stał tylko w milczeniu.

Wkrótce Jasona posadzono na grzbiecie ptaka i zawiązano mu nogi pod jego brzuchem, Związano mu również dłonie i na wszelki wypadek koniec sznura przeciągnięto przez jego pasek.

Po kilku minutach wszyscy łyżwiarze pomknęli do Tuckerton.

Jason został sam. Przypomniawszy sobie słowa Sama usiłował przesunąć się do przodu, ale z rękami przywiązany do pasa okazało się to niemożliwe. Poza tym bał się, że straci równowagę, tak jak Tarnover.

Siedział i myślał o matce. Może się zaniepokoi, że Jason nie wraca, może pójdzie i obudzi wujka Johna... A może już śpi.

Ale może obudzi się w nocy, zajrzy do jego pokoju i przyśle pomoc. Z rozpaczliwą koncentracją usiłował wysłać do matki myśli i obrazy.

Minęła godzina, potem dwie; tak w każdym razie sądził na podstawie przesuwania się sierpa księżyca. Najchętniej opadłby do przodu i zasnął. To mogłoby być najlepsze; wtedy o niczym by nie wiedział. Wciąż jeszcze był tak pijany, że mógł zasnąć z twarzą przywartą do metalu. Ale wtedy mógł przez sen ześlizgnąć się z grzbietu ptaka.

Jak matka przeżyje podwójną stratę? Wyglądało to tak, jakby na rodzinę Babbidge'ów spadło przekleństwo. Oczywiście, to przekleństwo miało imię i nazwisko: Max Tarnover. Przez chwilę więc Jason przeklinał go i wyobrażał sobie zemstę z udziałem wszystkich mieszkańców Atherton. Krwawa vendetta. Domy w

płomieniach. Może jakiś gwałt. Zabójstwa nawet. Koniec z majowymi festiwalami.

Ale czy Sam i Ned opowiedzą o wszystkim? I czy mieszkańcy Atherton będą aż tak oburzeni, żeby zniszczyć harmonię pięciu wiosek w świecie, w którym tak niewiele rzeczy dawało oparcie? Na dodatek jakieś niezbyt życzliwe dusze mogły powiedzieć, że to Jason, Sam i Ned wszystko zaczęli.

Jason był tak pochłonięty wyobrażaniem sobie przyszłej vendetty między Atherton i Tuckerton, że prawie zapomniał, gdzie się znajduje. Nie czuł żadnego ruchu, nie miał zupełnie poczucia, że dokądś jedzie. Kiedy sobie uświadomił swoje położenie, było to dla niego wstrząsem.

Siedział na ptaku.

Tylko od jak dawna?

Tkwi tutaj ile, sześć godzin? Ptak mógł się tak unosić przez całą dobę. W takim razie miałyby jeszcze osiemnaście godzin na ratunek. A gdyby ptak był tu tylko przez pół doby, to dawałoby mu czas do rana. Tylko.

Przyłapał się, że myśli o tym, co kryje się pod metalową powłoką ptaka. Coś, co potrafi przekształcić osiem kilometrów krajobrazu w szklaną tafłę, niewątpliwie. Ale także inne rzeczy. Takie, które pozwalają ptakowi ignorować grawitację. Rzeczy, które umożliwiają mu pojawianie się i znikanie. Może nawet jakiś rodzaj mózgu?

— Czy mnie słyszysz, ptaku? – odezwał się. Może nikt dotąd nie próbował rozmawiać z powolnym ptakiem.

Powolny ptak nie odpowiadał.

Może nie potrafi mówić, ale słyszy. Może reaguje na polecenia.

— Nie znikaj, póki na tobie siedzę – powiedział mu. – Zostań tu. Leć tak, jak teraz.

Ponieważ jednak ptak robił to już przedtem, Jason nie wiedział, czy ptak go słucha, czy nie.

— Wyląduj, ptaku. Osiądź na szkle. Zatrzymaj się.

Ptak go nie słuchał. Jason poczuł się głupio. Nic nie wiedział o ptaku. Nikt nic o nim nie wiedział. Ale ktoś gdzieś wiedział. Chyba że powolne ptaki rzeczywiście pochodziły od Boga, jako karzące cuda. Mające przejąć ludzi lękiem przed Bogiem. Ale dlaczego Bóg miałby chcieć, żeby ludzie się Go bali? Chyba że Bóg oszalał i wtedy ptaki mogły być Jego posłańcami.

Były czymś irracjonalnym, czymś z innego świata, czymś, czego ich ofiary nie mogły zrozumieć, podobnie jak kolonia mrówek nie rozumie buta ogrodnika odsłaniającego ich białe jaja przed słońcem i wróblami.

Może coś z innego świata zagnieździło się w oceanach, coś, co nie lubi istot lądowych. Żadnych. Ludzi ani owiec, ptaków, robaków, roślin... Mało prawdopodobne. Woda morska pokonałaby metal. Po raz pierwszy w swoim życiu Jason myślał z takim natężeniem.

— Czym ty jesteś, ptaku? Po co tu przybyłeś?

A po co, myślał, jest wszystko inne? Po co jest świat i niebo, i gwiazdy? Mogłaby przecież istnieć tylko nicość na zawsze. Może na tym polega istota śmierci: nicość na zawsze. I życie człowieka jest jak powolny ptak. Pojawia się i znika, z nicości w nicość.

W niezmierny czas później niebo za jego plecami zaczęło rozświetlać brzask przetwarzający czerń w szarość. Ta szarość rozlewała się stopniowo, w miarę jak grube chmury filtrowały



wschodzące, ale niewidoczne słońce. Wkrótce zrobiło się całkiem jasno. Musiała być piąta, może szósta. Ale szara tafla pozostawała całkowicie pusta.

Kim ja jestem, zastanawiał się Jason chłodno i spokojnie. Dlaczego mam świadomość świata? Dlaczego ludzie mają umysły i myślą? Po raz pierwszy w życiu czuł, że naprawdę myśli – i myślenie prowadziło donikąd.

Uświadomił sobie, że przygotowuje się do śmierci. Podobnie cała ziemia będzie musiała umrzeć kawałek po kawałku stapiając się w szkło. Wtedy nikt już nie będzie myślał i nie będzie miało żadnego znaczenia, że jakiś Jason Babbidge przestał myśleć o wpół do siódmej pewnego ranka pod koniec maja. Ostatecznie to samo działo się co noc, kiedy zasypiał. Też przestawał myśleć. Przestać myśleć. Może wszystko będzie wtedy czystsze i jaśniejsze. Mniej zanieczyszczone, mniej gorączkowe: czysta szklana kula. Zupełnie spokojna, nawet gdyby zderzyły się wszystkie gwiazdy na niebie, nawet gdyby Słońce pochłonęło Ziemię. Cisza, na zawsze, skoro nie będzie nikogo, kto by słuchał.

Może to miały ludziom powiedzieć powolne ptaki. A tymczasem ludzie tylko wydrapywali na nich swoje inicjały. I serca. I jeszcze nazwy miejsc, które w jednym błysku stopiły się w szkło, albo takich, które się stopią.

Staję się filozofem, pomyślał ze zdziwieniem Jason.

Widocznie przeskoczył w stan jakiejś nadświadomości: pełna jasność, jednak bez świadomości otoczenia. Bo nie zdawał sobie w pełni sprawy, że przybyła pomoc, dopóki nie został przecięty sznur krępujący jego kostki, po czym prawa noga gwałtownie podskoczyła w górę i Jason spadł z drugiej strony ptaka prosto w

oczekujące na niego ramiona.

Sam Partridge, Ned Darrow, Frank Yardley, wujek John i Brian Sefton z tartaku, który kucnął z nożem pod brzuchem ptaka i rozciął drugi sznur uwalniając nogi Jasona.

Oddalili się pośpiesznie prowadząc między sobą Jasona, który stawiał słaby opór, wyciągając ręce w stronę ptaka.

— Już wszystko dobrze, chłopcze – pocieszał go wujek John.

— Nie, ja chcę odlecieć – protestował. – Co?

W tym momencie powolny ptak, który był tu i tak dość długo, znikł. Jason jak zaczarowany wpatrywał się w miejsce, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą.

W końcu wujek i koledzy musieli go siłą odprowadzić, jak jakiegoś idiotę, z niczym nie wyróżniającego się miejsca na tafli. Jak kogoś, kto postradał zmysły.

Ale Jasonowi nie na długo odjęło mowę. Wkrótce zaczął nauczać. Albo wygłaszać kazania. Jedno albo drugie. A ludzie go słuchali; najpierw w Atherton, potem i gdzie indziej.

Mówiono o nim, że nauczył się od powolnego ptaka mądrości. Nawiązał kontakt z ptakiem podczas całonocnego czuwania tam na tafli.

Jego nauka o nicości i ciszy szerzyła się, trafiając na żyzny grunt wszędzie tam, gdzie jeszcze był żyzny grunt, a nie szkło, czyli w większej części kraju. Pewien może paradoks krył się w tym, że z taką elokwencją mówił o milczeniu. Ale w ten sposób jakby zmuszał ciszę szklanych jezior do śpiewu i ludzie słuchali tego, jako czegoś nowego.

Jason wędrował po całej wyspie. To był drugi paradoks, bo jego nauki były pochwałą bierności, błógiego oczekiwania na

śmierć, która nie była czymś tylko osobistym, była również śmiercią słońca, gwiazd i wszelkiego istnienia, była kosmiczną śmiercią przetwarzającą jednostkową śmiertelność. Czasami nawet przemawiał do tłumu siedząc na grzbiecie ptaka, który się pokazał w pobliżu – jakby kusił los albo zachęcał, nawet błagał ptaka, żeby go zabrał ze sobą.

Nigdy jednak nie siedział dłużej niż godzinę, potem schodził na dół, drżący, ale i spokojnie rozpromieniony. Z tego powodu znany był nie tylko jako „Milczący Prorok”, lecz także jako „Człowiek, który jeździ na powolnych ptakach”.

W sumie można powiedzieć, że czynił wiele dobrego dla psychicznego zdrowia tych wspólnot, które przetrwały, i jego słowa zawędrowały nawet za ocean. Matka umierając była z niego dumna – tak myślała – choć w jej stosunku do niego przy całej czułości był zawsze pewien dystans...

W wiele lat później, kiedy Jason Babbidge zbliżał się do sześćdziesiątki i nadal żaden ptak nie zabrał go ze sobą, osiadł na stałe w Atherton w swoim dawnym domu, do którego przybywali pielgrzymi milczenia, zapewniając dobrobyt całej wiosce, a zwłaszcza piwiarni „Pod kłosem”, prowadzonej obecnie przez córkę dawnego właściciela.

W każde majowe święto odbywał się festiwal, ale teraz już zawsze na tafli w Atherton, jednak nie były to już wyścigi, bo przecież w biegu życia nie można wygrać. Teraz było to święto, balet na łyżwach, odtworzenie wydarzeń sprzed wielu lat – misterium pasyjne odgrywane przez cztery pozostałe wioski. Tuckerton ze wszystkimi swoimi mieszkańcami zostało przed dziesięciu laty zamienione w szkło przez ptaka, który

ekspłodował w takim miejscu, że krąg zniszczenia zetknął się dokładnie ze skrajem starej tafli w miejscu, gdzie stało Tuckerton.

Pewnego ranka, na dzień przed festiwalem, rozległo się pukanie do drzwi Jasona. Jego gospodyni, Martha Perstidge, wyszła po zakupy i Jason otworzył sam.

W drzwiach stał chłopiec. Rudowłosy i piegowaty.

Przez chwilę Jason go nie poznawał. Potem jednak zrozumiał, że to Daniel. Daniel nie zmieniony. Może trochę, może o rok starszy.

— Dan...?

Chłopiec oglądał Jasona z niedowierzaniem: łysawa głowa, obwisły brzuch, patykowate nogi i wielka laska z rączką w kształcie głowy ptaka, na której spoczywała dłoń z wątrobianymi plamami.

— Jason – powiedział chłopiec po chwili – ja wróciłem.

— Wróciłeś? Ale...

— Teraz już wiem, czym są ptaki. To jest broń. Rakiety. Dziesiątki i setki tysięcy. Toczy się wojna, ale jest to jednocześnie jakby gra: planszowa gra rozgrywana przez maszyny. Maszyny, które myślą. W ich czasie gra toczy się zaledwie od kilku dni. Rakiety dążąc do swoich celów wędrują przez czas. Ale ze względu na prawa skutku i przyczyny nie mogą przemieszczać się w czasie w tamtym świecie. Dlatego robią to w naszym świecie, w świecie równoległym.

— To bzdura. Nie chcę tego słuchać.

— Musisz, Jason! Można to u nas zatrzymać, zanim będzie za późno. Wiem jak. Obie strony mogą oddziaływać wzajemnie na

swoje rakiety i unieszkodliwiać je w swoim świecie – czyli eksplodować w naszym – jeżeli potrafią je odpowiednio szybko wykryć. Ale tam wojna całkowicie wymknęła się spod kontroli ludzi. Zwycięstwo ważne jest tylko dla maszyn, które są ukryte głęboko pod powierzchnią. Budują wielkie ilości ptaków z materiału skorupy ziemskiej i automatycznie wysyłają je w inny czas.

— Dan, przestań.

— Spadłem tam z ptaka, ale do jeziora, więc się nie zabiłem, tylko potłukłem. Zostały tam jeszcze kawałki lądu koło baz. Ludzie stamtąd postawili mnie na nogi. Zostało im najwyżej kilka godzin w ich czasie, ale dla nas to dziesięciolecia. Przyniosłem im wielką nadzieję, bo dowiedzieli się, że nie wszelkie życie zginie, tylko ich. Życie może przetrwać. Musimy tylko zbudować maszynę, która uniemożliwi ich maszynom wykrywanie powolnych ptaków u nas. Trzeba wywołać zakłócenia w powietrzu. Takie fale. Jak fale światła, tylko niewidzialne.

— Bredzisz.

— Wtedy ptaki będą się nadal pojawiać, ale będą nieszkodliwe. A za sto albo za kilkaset lat przestaną się pojawiać, bo jedna ze stron tam osiągnie zwycięstwo. Jedna z maszyn wojennych uzna, że przegrała, i podda się. Oczywiście, powinna móc poddać się już teraz, ale w mózgu maszyn zaprogramowano element irracjonalizmu, który nie pozwala im poddać się zbyt wcześnie. Zanim któraś to zrobi, na lądach nie będzie już żywej duszy. Niektórzy z tamtych myślą, że maszyny w ostatniej fazie wojny zaczną pokrywać szkłem oceany. Ale my możemy zbudować zakłóczacz fal. Zakodowano tę wiedzę w moim mózgu.

Wydobycie właściwych metali, sporządzenie narzędzi i budowa potężnego źródła energii zajmie nam kilka lat... – Danielowi zabrakło tchu. – Mieli prototyp powolnego ptaka. Wsadzili mnie na niego i wysłali z powrotem w nasz czas. Wycelowali dobrze. Pojawił się zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Więc przyszedłem do domu.

— Prototyp? Fale w powietrzu? Źródło energii? Co to wszystko ma znaczyć?

— Mogę ci wytłumaczyć.

— To tylko słowa. Bezmyślna gadanina. Ach, kiedy wreszcie ucichnie ta paplanina świata.

— Daj mi trochę czasu i ja...

— Czasu? Ty chcesz czasu? Zwariowanego cykania ludzkich umysłów zamiast wielkiej, czystej pustki, wiecznej ciszy? Odrzucasz posłuszeństwo? Chcesz, żebyśmy bez przerwy wiercili się bezcelowo, ogłuszając sami siebie hałaśliwą gadaniną?

— Posłuchaj... Na pewno miałeś długie i ciężkie życie, Jason. Może nie powinienem zaczynać od ciebie.

— Ależ właśnie, że powinieneś, mój ty w gorącej wodzie kąpany braciszku. A poza tym nie uważam, żeby moje życie poszło na marne.

Daniel postukał się w czoło.

— To wszystko jest tutaj, ale trzeba to zapisać. A potem zrobić kopie i rozesłać wszędzie – na wypadek, gdyby Atherton zostało zniszczone. Wtedy ktoś inny będzie wiedział, jak zbudować nadajnik. Życie będzie trwało dalej. Oni tam uważają, że ludzie są jedyną rozumną rasą w całym wszechświecie. Dlatego mamy obowiązek żyć dalej. Tamci zniszczyli się sami, kłócąc się o to, jak

żyć. Ale my mamy jeszcze dość czasu. Możemy zbudować statki, które polecą do gwiazd. Na ten temat też trochę wiem. Powiadam ci, moja wizyta sprawiła im naprawdę radość w tych ich ostatnich godzinach, bo zrozumieli, że wszystko jest jeszcze możliwe.

— Oh, Daniel, Daniel – jęknął Jason. Podobny patriarsze wzniosł swoją laskę i z całej siły uderzył nią Daniela w głowę.

Wmawiał sobie, że nie widział krwi w długich włosach Daniela. Ale widział.

Ciało chłopca osunęło się na próg. Z wysiłkiem Jason wciągnął je do środka, a potem z jeszcze większym wysiłkiem po dębowych schodach na strych, gdzie jego gospodyni prawie nigdy nie zaglądała. Ciało będzie musiało po jakimś czasie zacząć cuchnąć, ale można je będzie w coś zawinąć.

Powrót Marthy z zakupów przerwał Jasonowi. Zostawiając ciało na podłodze wyszedł, zamknął drzwi na klucz i włożył go do kieszeni.

Stało się zwyczajem domu zapraszanie wybranych gości po majowej uroczystości, wiadomo więc było, że przez całą resztę dnia Martha będzie sprzątać, gotować i w ogóle doprowadzać dom do porządku. Jak to gospodyni, dała Jasonowi do zrozumienia, żeby się nie plątał pod nogami. Poszedł więc na taflę i tam, na jej idealnie płaskiej powierzchni stał i medytował. Mieszkańcy wioski i przybysze z okolicy na widok jego samotnej postaci z zadowoleniem kiwali głowami. Ich prorok był spokojny i nadawał ich życiu sens. Życiu i śmierci.

Przedstawienie, misterium pasyjne na łyżwach, zostało następnego dnia odegrane, jak zwykle, z uczuciem i wdziękiem.

Dopiero na trzeci dzień Jason zdołał się zmusić do powtórnego wejścia na strych, tym razem z workami i sznurem. Otworzył drzwi.

Ale poza ciemną plamą zakrzepłej krwi na podłodze nie było nic. Nic, tylko różne graty upchnięte pod ścianami. Żadnego trupa. I otwarte okno.

Więc jednak nie zabił Daniela. Chłopiec doszedł do siebie po ciosie. Jasonem targnęły sprzeczne uczucia naruszając jego zwykle opanowanie. Wyjrzał przez okno, jakby się spodziewał, że ujrzy chłopca leżącego na bruku. Ale nie było tam żadnego śladu Daniela. Przeszukał całe Atherton, jak nawiedzony, nie zadając pytań, ale zaglądając wszędzie z napięciem. Nie znalazłszy żadnego śladu wziął wóz i konia i pojechał do Edgewood. Objechał dookoła całą taflę przez Buckby i Hopperton, teraz już wypytujac, czy nie widziano rudowłosego chłopca. Mieszkańcy wiosek opowiadali sobie potem, że Jason Babbidge znów miał widzenie.

Nie upłynął rok, a z daleka zaczęły nadciągać wieści o nauczycielu, głoszącym nową naukę. Ten nowy nauczyciel był bardzo młody, ale on też jeździł na powolnym ptaku, i to dużo dalej niż Milczący Prorok.

Z tym nowym nauczycielem nie wszystko jednak było w porządku, bo nie pamiętał niektórych szczegółów swojego posłannictwa, tego, co miał ludziom przekazać. Wtedy w przystępie rozpaczy bił się pięściami po głowie. Paradoksalnie, takie teatralne sceny odpowiadały jakimś niespokojnym, awanturnicznym rysom jego audytorium. Wierzyli mu, bo widzieli jego udrękę, która odbijała ich własne tłumione niepokoje i



pragnienia.

Jason Babbidge z ogniem, nie szczędząc sił występował przeciw nowym ideom. Całe filozoficzne piękno, jakim obdarzył ginący świat, zostało zagrożone, choć niechętnie więc, ale wezwał do „krucjaty” przeciwko nowemu nauczycielowi, w obronie swojej wizji Posłuszeństwa.

W dwa lata później być może żałował swoich słów, bo w ich rezultacie ludzie deptali pola między strefami zniszczenia uzbrojeni w bosaki, widły, siekiery i sierpy. Płonęły wsie, setki ludzi zginęły i gwałcono kobiety – jak w koszmarnej wizji Jasona poprzedzającej jego objawienie.

W trzecim roku tej niekończącej się wojny między „pacyfistami” a „obrońcami życia” Jason umarł, kryjąc gorycz pod maską spokoju. Pochowano go, przywiązując jego ciało do powolnego ptaka. Najwierniejsi żałobnicy towarzyszyli ptakowi w milczącej procesji, aż znikł wraz z ciałem po kilku godzinach. Wkrótce potem, całkiem niespodziewanie, po Bitwie na Taflie Ashton wojna skończyła się zwycięstwem obrońców życia pod wodzą ich rudowłosego przywódcy, który, jak zauważono, był uderzająco podobny do starego Jasona Babbidge’a. Zupełnie, jakby w świecie walczyły dwie przeciwstawne zasady istnienia, dwa aspekty tej samej istoty, dwa oblicza tego samego człowieka.

W pięćdziesiąt lat później, kiedy już przeszło jedną trzecią ładu pokrywało szkło i klimat zaczął się pogarszać, Uniwersytet Obrony Życia w Asthon zbudował wreszcie obiecaną maszynę i od tego czasu powolne ptaki nadal pojawiały się i znikwały, ale już nie wybuchały.

A w sto lat później powolne ptaki przestały się pokazywać.

Gdzieś tam wojna dobiegła kresu, logicznie i ostatecznie.

Ale do tego czasu z Ziemi, której powierzchnia w czterech piątach będzie pustynią lub bagnem, spomiędzy naszyjników szklanych paciorków wystartuje pierwszy gwiazdolot.

Będzie się nazywał „Powolny Ptak”, bo będzie leciał do gwiazd powoli. Powoli w kategoriach ludzkich, bo przez dwa pokolenia. Ale i tak stosunkowo szybko.

W ślad za nim polecą drugi statek pod nazwą „Daniel”.

Po tym ogromnym, wyczerpującym wybuchu energii dalszych wypraw nie będzie. Reszta ludzkości zajmie się uprawianiem tego, co pozostało z jej ogródka między wydymami, bagnami i hektarami szkła. To, czy któryś ze statków znajdzie nową ojczyznę – równie gościnną jak stara, choćby i częściowo pokryta martwym szkłem Ziemia – pozostanie sprawą wiary. Osiemdziesięcioletni Daniel, który nigdy nie przyznał się do swojego nazwiska, leżał na łożu śmierci w Asthon.

Jego pokój był nieprzyzwoicie zatłoczony, choć dobrze przewietrzony ciepłym podmuchem idącym od Tafla Asthon i dobrze oświetlony srebrzystą poświatą odbitą od szklatego bezmiar.

Umierający starzec, przykryty tylko cienkim prześcieradłem, sam przypominał teraz ptaka: wychudzony, kościsty, ze spiczastym nosem, małymi oczkami i kogucim grzebieniem rudych włosów na głowie.

Uniósł słabą rękę, jakby przyzywał tych najbliższych stojących jeszcze bliżej. W rzeczywistości chciał dotknąć starej rany na głowie, która ostatnio zaczęła mu bardzo dokuczać, jakby miała się rozpęknąć, albo zapaść do środka, otwierając drzwi pamięci –

choć ukryty tam klucz nie był już potrzebny, bo ludzie z jego uniwersytetu odkryli wszystko samodzielnie, skoro tylko dowiedzieli się, że coś takiego istnieje.

Pochyliły się nad nim śmiało, oddane twarze.

— Więc przestały wybuchać? – upewnił się.

— Tak, tak, już wiele lat temu! – uspokoili go.

— A gwiazdy...?

— Zbudujemy statki. Nauczymy się, jak to zrobić.

Koścista dłoń opadła na prześcieradło.

— Nazwijcie jeden z nich...

— Jak?

— Daniel. Dobrze?

Obiecali mu to.

— W ten sposób... mój duch... polecą w kosmiczną ciszę.

Słowa te zdziwiły nieco świadków jego zgonu, którzy nie mogli znać ostatniej myśli Daniela, że dzień startu będzie mógł być dniem pojednania między nim a bratem.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Ian Watson brytyjski pisarz urodzony w 1943 roku, ukończył filologię angielską w Oxfordzie. Dużo podróżował, mieszkał w wielu krajach, m. in. w Ugandzie, Tanzanii, Japonii, gdzie wykładał angielski.

Debiutował opowiadaniem w redagowanym w Ugandzie piśmie *Transition* w 1966 roku. Właściwym debiutem była powieść *A Cats Eye View* dla młodego czytelnika (1969). Na polu science fiction debiutem była powieść *The Embedding* (1975), za którą otrzymał Prix Apollo.

W Polsce znany głównie ze znakomitych opowiadań (m. in. ze zbioru *Powolne ptaki*) oraz powieści *Łowca śmierci*, *Podróż Czechowa*, *Magia Króla*, *Magia Królowej*.

Watsona charakteryzuje niepowtarzalny styl, dziwaczne światy jakie tworzy lub niesamowite, czasem groteskowe pomysły są jego znakiem firmowym. Interesuje go tematyka transcendentalna, próba zrozumienia rzeczywistości i natury wszechświata, wszystko oparte na solidnych podstawach naukowych.

Współpracował przy scenariuszu filmu *A.I.*, pisywał powieści z Michaeliem Bishopem, czy Włochem Roberto Quaglia. Odwiedził Polskę jako gość jednego z Polconów.

---

---

## THEODORE STURGEON

---

---

*Sturgeon, który debiutował w roku 1939, był stale obecny w amerykańskiej SF i od powieści Więcej niż człowiek z roku 1953, cieszył się wielkim szacunkiem, choć Lem w swojej Fantastyce i Futurologii wdeptuje go w glebę. Ale Lem wdeptuje prawie wszystkich. Skalpel Occama, utrzymany w staromodnym stylu, przedstawia niezwykle skomplikowane oszustwo, mające przynieść ratunek chorej Ziemi. Wydaje mi się, że do dzisiaj jest oryginalne w swojej zielono-ekologicznej tematyce. Bez gwałtownej akcji i niezwykłych bohaterów, przekazuje wewnętrzne napięcie.*

### Skalpel Occama

---

---

## I

---

---

Joe Trilling znalazł niecodzienny sposób zarabiania na życie. Zarabiał sporo, choć nie tyle, ile mógłby zarabiać w mieście. Z drugiej strony mieszkał sobie w górach o pół mili od malowniczej wioski, w czystym powietrzu wśród sosnowo-brzozowych lasów, górskich wawrzynów i był sam sobie szefem. W tym, co robił, nie

miał zbyt dużej konkurencji, był przez cały czas z żoną i dziećmi i dostawał więcej zamówień niż mógł wykonywać. Należał do nocnych marków i kiedy rodzina szła spać, mógł pracować spokojnie i bez przeszkód. Był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Jednak pewnej nocy, właściwie już nad ranem, ktoś mu przeszkodził.

Puk–puk, puk, puk w okno. Dwa krótkie, dwa długie. Zastygł a potem odwrócił się błyskawicznie, bo znał ten sygnał. Nie słyszał go od lat, ale był on częścią jego życia od urodzenia. Zobaczył twarz za szybą i nabrał powietrza, żeby wydać okrzyk, który poderwałby na nogi straż pożarną we wsi, ale zobaczył palec przyłożony do ust i wypuścił powietrze z powrotem. Palec przyzywał go, zakręcił się więc ponownie, zgasił płomień pieca, odczytał wynik, wprowadził zapis, wyłączył wszystko i z radością ale po cichu wybiegł na zewnątrz. Starannie zamknął za sobą drzwi i wpatrzył się w mrok.

— Karl?

— Cśśś.

Karl stał na skraju lasu. Joe Trilling podszedł do niego i przywitał się szeptem, skoro Karl sobie tego życzył. Walili się po plecach, przeklinali, obrzucali się najgorszymi wyzwiskami. Niełatwo byłoby wyjaśnić to jakiemuś kosmicie, zresztą i wśród ludzi nie jest to zachowanie obowiązkowe. Jest to coś wynikającego z kultury. Znaczący tyle, co kocham cię i chcę cię dotknąć, ale że byli mężczyznami i braćmi, to oklepywali się po plecach i po ramionach, obsypywali się obelgami, aż wreszcie i to nie wystarczało, stali więc w cieniu, ściskając nawzajem swoje

bicepsy, szczerząc zęby i przewiercając się wzrokiem. Potem Karl Trilling wskazał głową w stronę drogi i odeszli dalej od domu.

— Nie chcę, żeby Hazel usłyszała, jak rozmawiamy – powiedział Karl. – Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tu byłem. Jak tam ona?

— Piękna, jak zawsze. Nie chcesz się z nią zobaczyć, ani z dziećmiakami?

— Chcę, ale nie tym razem. Porozmawiajmy lepiej w samochodzie. Naprawdę boję się tego drania.

— Rozumiem – powiedział Joe. – Jak się ma wielki człowiek?

— Kiepsko. Ale mówimy o dwóch różnych draniach. Ten wielki człowiek jest tylko największym bogaczem na świecie, ale nie jego się boję, zwłaszcza teraz. Mówię o Clevelandzie Wheelerze.

— Kto to jest Cleveland Wheeler?

Wsiedli do samochodu.

— Jest wynajęty – powiedział Karl. – Faktycznie jest to już drugi wynajęty samochód. Wysiadłem z firmowego odrzutowca, odjechałem wozem służbowym, potem przesiadłem się do wynajętego, a potem do tego. Prawie pewne, że nie ma podsłuchu. Niech to posłuży za odpowiedź, kto to jest Cleveland Wheeler. Poza tym, to człowiek stojący za tronem. Następca. Wszechstronny geniusz. Rekin ludojad.

— Następca – zareagował Joe na jedyne określenie, które coś mówiło. – Więc stary się kończy?

— Oficjalnie, i jest to oficjalna tajemnica, jego odczyt hemoglobiny wynosi cztery. Czy to coś panu mówi, doktorze?

— Jasne, doktorze. Anemia z niedożywienia, jeżeli inne słuchy

są prawdziwe. Najbogatszy człowiek świata umiera z głodu.

— I ze starości, uporu i obsesji. Chcesz usłyszeć o Wheelerze?

— Opowiedz.

— Dziecko szczęścia. Urodził się, mając wszystko. Profil jak z greckiej monety. Mięśnie jak z Michała Anioła. Odkryty wcześniej przez bystrego dyrektora szkoły podstawowej, został wysłany do szkoły prywatnej, gdzie od rana wchodził prosto do pokoju nauczycielskiego, żeby opowiedzieć, o czym czytał i myślał. Wyznaczono wówczas kogoś z nauczycieli, żeby z nim popracował albo gdzieś go zabrał, coś z nim zrobił. Szkoła średnia w wieku lat dwunastu, reprezentował szkołę w lekkiej atletyce, koszykówce, futbolu i skokach z wieży, wszędzie na czele i skończył szkołę z wyróżnieniem w ciągu trzech lat. Czytał wszystkie podręczniki do końca na początku roku i nigdy już do nich nie zaglądał. Sukces był dla niego normą.

W college'u to samo: skończył szesnaście lat na pierwszym semestrze, wszystko szło mu jak po maśle. Ogólnie lubiany. Ukończył studia na pierwszym miejscu, oczywiście.

Joe Trilling, który przebrnął przez studia jak tragarz cegieł, stęknął z zazdrości.

— Widziałem paru takich, wszyscy ich podziwiają, nikt nie widzi, jakie to dla nich łatwe.

Karl pokręcił głową.

— Z Clevem Wheelerem było nie całkiem tak. Jeżeli coś przychodziło mu łatwo, to tylko z racji wyposażenia przez naturę. Był jak samochód z silnikiem o mocy czterech koni wśród samochodów o mocy sześćdziesięciu koni. Kiedy musiał coś zrobić, wykorzystywał swoje możliwości. Nigdy się nie lenił.



Wszystkie drogi stały przed nim otworem, co tam, wszystkie kariery. Zaczął pracować w firmie architektonicznej, gdzie mógł wykorzystać swoją znajomość matematyki, zdolności administracyjne, prezencję, znajomość materiałów i sztuki. Szybko wypłynął, został wspólnikiem. Po drodze zrobił doktorat. Znakomicie się ożenił.

— Dziecko szczęścia – powiedział Joe.

— Tak, dziecko szczęścia. Posłuchaj. Wheeler został wspólnikiem, wykonywał swoją pracę i znał się na niej, wiedział wszystko, czego można się nauczyć i co można zrozumieć. Ale wiedza i rozum to za mało, kiedy się ma do czynienia z takimi czynnikami jak chciwość, nieoczekiwana głupota, przypadek albo zwyczajny pech. Dwaj pozostali wspólnicy wdali się w interes, którego szczegółami nie chcę cię zamęczać: osiedle apartamentowców w niewłaściwym miejscu, dla nie tych mieszkańców, na niewłaściwie zakupionej ziemi. Wheeler widział, co się dzieje i ostrzegł ich. Pokiwali głowami, a potem i tak zrobili jak chcieli, czego Wheeler nigdy by się nie spodziewał. Jedyłą rzeczą, jakiej talent, uczciwość i znakomite wykształcenie nie zapewniają, jest utrata niewinności. Wheeler był naiwny.

Katastrofa, jaką Cleve zapowiedział nastąpiła, tylko jeszcze gorsza. Kiedy coś takiego wypływa na wierzch, odsłaniają zwykle masę ukrytej wcześniej zgnilizny. Firma upadła. Cleve Wheeler nigdy dotąd nie zaznał klęski. Była to jedyna rzecz, na którą życie go nie przygotowało. Każdy przeciętnie inteligentny facet zorientowałby się, że jest czas, żeby odejść, dać sobie spokój. Zminimalizować straty. Ale jemu to chyba nawet nie przyszło do głowy.

Karl Trilling roześmiał się nagle.

— W jednej z powieści Philipa Wylie jest wspaniały opis pożaru lasu, przed którym uciekają zwierzęta, lisy i króliki biegną ramię w ramię, sowy lecą w dzień.

I jest tam też żuczek, który drepcze po ziemi, aż dochodzi do wypalonego terenu, granicy dwudziestu akrów żarowiska. Zatrzymuje się, rusza czułkami, skręca i zaczyna obchodzić pożar... – Karl znów się roześmiał. – I to jest ta szczególna właściwość Clevelanda Wheelera, niezależna od jego mięśni, umysłu i talentów. Gdyby był żukiem, nie odwróciłby się i nie zrezygnował. Gdyby nie miał innego wyjścia, jak obejść pożar, ruszyłby w drogę.

— I co się stało? – spytał Joe.

— Zawział się. Wykorzystał wszystko, co miał. Wykorzystał swoje umiejętności, osobowość, reputację i wszystkie swoje dobra doczesne. Także pożyczał, obiecywał i... pracował. I to jak pracował! Utrzymał firmę. Wyczyścił z niej zgniliznę, odbudował ją od wewnątrz, silną i uczciwą tym razem. Ale zapłacił wielką cenę.

Zapłacił czasem, wszystkimi godzinami każdego dnia poza czterema, które poświęcił na sen. I kiedy już wszystko wyprowadził na czysto i zaczynał się odbijać od dna, stracił żonę.

— Powiedziałaś, że dobrze się ożenił.

— Ożenił się tak, jak żenią się młodzi, przebojowi ludzie, mający przed sobą świetlaną przyszłość. Była, jak myślę, całkiem sympatyczną dziewczyną i pewnie nie można mieć do niej pretensji, ale nie była bardziej od niego przygotowana na klęski. Tyle że on potrafił to obejść. Mógł wynająć pokój i jeździć

autobusem. A ona tego nie potrafiła i oczywiście, w przypadku takich kobiet zawsze gdzieś za kulisami czeka odrzucony zalotnik.

— Jak on to przyjął?

— Ciężko. Ożenił się tak, jak grał w piłkę i zdawał egzaminy, poszedł na całość. To się na nim odbiło. Wszystko się na nim odbiło, to chyba najbardziej. Ale nie pozwolił, żeby coś go powstrzymało. Nic go nie mogło powstrzymać. Pracował, aż wszystkie rachunki zostały spłacone, co do centa. Z procentami. Nie spoczął, póki firma nie odzyskała wartości, jaką miała, zanim jego byli wspólnicy nie zaczęli jej rujnować. Wtedy ją oddał. Oddał! Sprzedał wszystkie prawa i tytuły własności za jednego dolara.

— Wreszcie się załamał, co?

Karl Trilling spojrział na brata z wyrzutem.

— Załamał się? To kwestia definicji. Celem Wheelera było zero, możesz to zrozumieć? Zresztą, co to jest sukces? Czy nie polega to na tym, że stawiasz przed sobą cel, a potem go realizujesz do końca?

— W takim razie – powiedział pod nosem jego brat – samobójstwo jest sukcesem.

Karl zmierzył go długim, przenikliwym spojrzeniem.

— Masz rację – powiedział i zastanowił się przez chwilę.

— A tak nawiasem mówiąc – spytał Joe – dlaczego zero?

— Dużo myślałem na temat Cleve'a Wheelera, ale nie mogłem przeniknąć do jego głowy. Nie wiem, ale mogę się domyślać. Nie chciał nikomu czegokolwiek zawdzięczać. Nie wiem, co myślał o firmie, którą uratował, ale potrafię to sobie wyobrazić. Człowiek,

jakim się stał, jakim się stawał, nie chciał nic zawdzięczać tej firmie. Chciał odejść, ale na swoich warunkach, co znaczyło też, że nie życzył sobie, żeby coś tam jeszcze na niego pracowało.

— Rozumiem – powiedział Joe.

„Stary Joe ma tę piękną cechę, że potrafi czekać – pomyślał Karl Trilling. – Po tylu latach niewidzenia się, bez żadnego kontaktu poza kartkami na urodziny, i to nie zawsze, jest taki, jakbyśmy spotykali się codziennie. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie chodziło o coś ważnego. Nie mówiłbym mu tego wszystkiego, gdyby nie musiał tego wiedzieć. A nie musiałby tego wiedzieć, gdybym nie potrzebował jego pomocy.

I wszystko to bez słów, nie muszę go o nic prosić. Co moja wizyta zmieni w jego życiu? Mogę się o to nie troszczyć, on sam się tym zajmie”.

— Cieszę się, że tu przyjechałem – powiedział.

— I bardzo dobrze – odpowiedział Joe i było w tym to wszystko, o czym Karl myślał. Karl wyszczerzył zęby w uśmiechu, walnął go w ramię i mówił dalej.

— Wheeler wycofał się ze społeczeństwa. Nie jest łatwo prześledzić jego ruchy w tym okresie. Wypływał tu i tam. Żył przynajmniej w trzech komunach, w każdym razie w tych trzech zastał bałagan a zostawił po sobie wzorowy porządek. Otwierał interesy, robił rzeczy, których nikt przed nim nie robił: supermarket bez półek, bez muzyki, bez gier i bajerów, tylko równe rzędy otwartych skrzynek, z których klient wybierał, co chciał i zapisywał wiszącym na sznurku markerem cenę podaną na skrzyni. Jajka, mrożone mięso, ryby i tym podobne oraz produkty lokalne. Kosztowały równo dwa procent ponad cenę

hurtową. Ludzie nie oszukiwali, bo nigdy nie mogli być pewni, czy kasjer nie zna ceny wszystkiego, poza tym oszukiwanie, kiedy ceny są wyraźnie wymienione, byłoby zbyt upokarzające. Jedynym kosztem było wielkie puste pomieszczenie, a bez pracowników, spędzających tysiące roboczogodzin na metkowaniu towarów, ceny były konkurencją na głowę. To również sprzedał i poszedł dalej. Zapoczątkował linię naturalnych produktów dla dzieci bez konserwantów, stworzył sieć sklepów i znów ruszył dalej. Wynalazł plastikowy, rozkładający się biologicznie pojemnik, opatentował go i sprzedał.

— Słyszałem o nim, ale go jeszcze nie widziałem.

— Może zobaczysz – powiedział Karl ostrożnie. – Może zobaczysz. Miał w Pasadenie biuro księgowo, które zajmowało się szczegółami i prowadziło jego interesy. Nigdy nie słyszałem, żeby coś mu się nie udało.

— Wygląda na młodsze wydanie tego wielkiego człowieka, twojego szacownego szefa.

— Nie ty pierwszy na to wpadłeś. Wielki szef może być palantem pod wieloma względami, ale nikt mu jeszcze nie zarzucił, że nie ma nosa do interesów. Jego macki zawsze wyszukiwały okazy niezwykłej siły roboczej. O ile wiem, namierzył Clevelanda Wheelera lata temu. Podejrzewam, że co jakiś czas składał mu propozycje, tyle że wtedy Wheeler nie planował pracy dla kogoś tak wielkiego. Cały jego styl to praca po swojemu, a w imperium o ustalonej reputacji nie ma na to miejsca.

— Następca tronu – mruknął Joe, nawiązując do czegoś, co

powiedział wcześniej.

— Właściwie – Karl kiwnął głową. – Wiedziałem, że złapiesz, o co chodzi, zanim skończę.

— Mimo to dokończ.

— Dobrze. Chcę, żebyś po prostu wiedział to, co ci teraz powiem. Nie oczekuję, że to zrozumiesz wraz ze wszystkimi następstwami i tym, jak to wpłynęło na Wheelera. Potrzebuję twojej pomocy, a nie będziesz mógł mi naprawdę pomóc, jeżeli nie poznasz całej historii.

— Wal.

Karl Trilling wałnął: — Wheeler znalazł kobietę. Nazywała się Clara Prieta i jej rodzice pochodzili z Meksyku. Była inteligentna jak diabli, na swój sposób dorównywała chyba Wheelerowi, chociaż miała jedną dziesiątą jego wykształcenia. Była też piękna i chciała Cleve'a, a nie tego, co on może jej dać. Zakochała się w nim, kiedy nie miał grosza przy duszy i kiedy nie chciał nic. Byli dla siebie codzienną radością. Chyba wtedy zaczął rozkręcać ten interes i znów coś budować. Kupił mały domek i samochód. Dwa samochody, jeden dla niej. Myślę, że jej na tym nie zależało, ale on stale chciał coś jeszcze dla niej zrobić. Pojechali na wieczór do znajomych, ona z zakupów, on z pracy, wzięli więc oba samochody. Jechał za nią w drodze do domu i musiał patrzeć, jak ona traci kontrolę nad swoim wozem i wpada w poślizg. Umarła w jego ramionach.

— Jezu.

— Dziecko szczęścia. Posłuchaj, w tydzień później skręcił za róg w śródmieściu i stał się świadkiem napadu na bank. Trafiła go zbłąkana kula, drasnęła go w kark. Miał siedem miesięcy,

żeby leżeć bez ruchu i rozmyślać. Kiedy wyszedł ze szpitala, dowiedział się, że jego dyrektor handlowy okradł go ze wszystkiego i udał się na południe z jego sekretarką. Ze wszystkiego.

— I co zrobił?

— Poszedł do pracy i spłacił rachunek za szpital.

Siedzieli w samochodzie po ciemku przez dłuższą chwilę.

— Czy był sparaliżowany, tam w szpitalu? – odezwał się wreszcie Joe.

— Przez prawie pięć miesięcy.

— Ciekawe, o czym wtedy myślał.

— Mogę sobie wyobrazić, o czym myślał – powiedział Karl Trilling. – Natomiast nie potrafię sobie wyobrazić, co postanowił. Do jakich wniosków doszedł. Kim zdecydował się zostać. Do licha, brakuje na to słów. Wszyscy staramy się osiągnąć maksimum z tym, czym dysponujemy. W każdym razie powinniśmy się starać. A on to zrobił, przy czym z najlepszym możliwym materiałem. Rozegrał to uczciwie, ciężko pracował, był uczciwy i przestrzegał prawa. Był sprawny fizycznie i wybitnie inteligentny. Wyszedł ze szpitala z tymi dwiema ostatnimi cechami nienaruszonymi. Bóg jedyny wie, co stało się z resztą.

— Zaczął wtedy pracować dla starego?

— Tak i coś w tym mnie przeraża. Było tak, jakby wszystkie jego talenty nie wystarczały, żeby ich obu zadowolić... dopóki wszystko to na niego nie spadło, dopóki nie uczyniło z niego tego, kim jest.

— A kim teraz jest?

— Nie ma na to prostej odpowiedzi, Joe. Stary stał się postacią mityczną. Nikt go nie widuje. Nikt nie potrafi odgadnąć, co robi i dlaczego. Cleveland Wheeler wszedł w jego cień i zniknął prawie równie kompletnie jak sam szef. Jest bardzo niewiele rzeczy, które można stwierdzić z całą pewnością. Szef zawsze był samotnikiem, a w ciągu tych dziesięciu lat, kiedy jest z nim Wheeler, stał się nim jeszcze bardziej. Poza tym wszystko jest tak jak zawsze, to znaczy te same długie okresy ciszy, a potem te spektakularne, nieoczekiwane transakcje. Jest tak, jakby te sprawy leżały się w głowie starego, a jakiś genialny i superenergiczny podwładny je realizował. Ale możliwe, że to ten geniusz jest pomysłodawcą, kto to może wiedzieć? Tylko ludzie z jego najbliższego otoczenia, Wheeler, Epstein, ja. Ale ja nie wiem.

— A Epstein zmarł?

Karl Trilling kiwał w ciemności głową.

— Epstein zmarł. To znaczy, że tylko Wheeler został, żeby pilnować sklepu. Ja jestem osobistym lekarzem starego, nie Wheelera, i nie ma gwarancji, że zostanę jego lekarzem.

Joe Trilling założył nogę na nogę i odchylił się na siedzeniu, wpatrując się w wypełniony szeptami mrok.

— Wszystko zaczyna nabierać konkretnych kształtów – mruknął. – Stary jest na ostatnich nogach, prócz Wheelera nie ma nikogo, kto mógłby przejąć firmę, a ty możesz zostać jego lekarzem.

— Tak, tylko wiem, kim on jest i co robi. Wiem, że będzie miał większą władzę niż jakakolwiek istota ludzka na Ziemi. Będzie miał tyle, że nie będzie go dotyczyć żadne pożądanie, które ty albo ja moglibyśmy sobie wyobrazić. Ale widzisz, to jest



człowiek, który odczuł na własnej skórze, że bycie dobrym, inteligentnym, silnym i uczciwym wcale nie popłaca. Dokąd on z tym wszystkim dojdzie? A zakładając, że ostatecznie to on podejmował większość decyzji, to dokąd on już zmierza? Jednego można być pewnym, że osiągnie to, co zamierzy. Taką już ma naturę.

— Jaki jest jego cel? Czy tego próbujesz się domyślić? Czego może chcieć ktoś taki jak on, jeżeli wie, że może to osiągnąć?

— Wiedziałem, że przychodzę pod właściwy adres – powiedział Karl z zadowoleniem w głosie. – O to właśnie chodzi. Co do mnie, to mam wszystko, czego potrzebuję i jest wiele miejsc, gdzie mogę się zatrzymać. Wolałbym, żeby był z nim Epstein, ale on zmarł i został spalony.

— Spalony?

— Tak. Nie możesz tego wiedzieć. Według instrukcji starego sam wszystkiego doglądałem. Słyszałeś o prywatnych basenach z zimną i ciepłą wodą, ale założę się, że nie słyszałeś o człowieku z prywatnym krematorium na drugiej kondygnacji pod ziemią.

Joe wyrzucił w górę rękę.

— Domyślałam się, że jak gość może sięgnąć do kieszeni i wyjąć kilka miliardów prawdziwych dolarów, to może mieć wszystko, co zechce. Nawiasem mówiąc, czy to było zgodne z prawem?

— Jak powiedziałaś, kiedy się ma kilka miliardów dolarów... Przyjechał lekarz sądowy i podpisał odpowiednie papiery. Przyjedzie też, kiedy sam szef wyciągnie nogi – wszystko to jest w jego testamencie. Ej, zaczekaj, nie chcę rzucać żadnych podejrzeń na lekarza. Nie został przekupiony. Przeprowadził bardzo kompetentne oględziny Epsteina.

— Wiemy zatem, czego się spodziewać, kiedy ta chwila nadejdzie. Tobie chodzi o to, co będzie dalej.

— Słusznie. Co ten stary człowiek, mówię teraz o nim jako o szefie, robił przez te ostatnie dziesięć lat, kiedy miał przy sobie Wheelera? I czy jest jakaś różnica w stosunku do tego, co robił przedtem? A jeżeli tak, to ile w tej różnicy jest Wheelera, a ile starego? To wszystko, co mamy do dyspozycji i na podstawie tego musimy wywnioskować, co Wheeler zrobi z największą prywatną potęgą gospodarczą, jaką znał ten świat.

— Porozmawiajmy o tym – zaproponował Joe, zaczynając się uśmiechać.

Karl Trilling znał ten uśmiech i sam też się lekko uśmiechnął. Zaczęli o tym rozmawiać.

---

## II

---

Krematorium na drugim poziomie piwnicy było czysto funkcjonalne, jakby wszystkie ustępstwa na rzecz uczuć i rytuału odbywały się gdzie indziej albo z nich zrezygnowano. To ostatnie wiernie oddawało to, co się działo, kiedy wreszcie stary szef umarł. Wszystko odbywało się dokładnie według instrukcji, jak tylko został uznany za zmarłego i zanim ukazał się oficjalny komunikat, włącznie z momentem, kiedy z przyprawiającym o dreszcz szczękiem otworzyła się kwadratowa paszcza pieca, buchając gorącem i blaskiem ognia w kolorze, który dawni kowale nazywali słomkowym. Prosta trumna szybko wjechała do środka, na jej rogach zaigrały małe płomyki i drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Trzeba było chwili, żeby oczy przywykły do gołego pomieszczenia, pustych, naoliwionych szyn i zamkniętych drzwi. Tyle samo czasu potrzebowały klimatyzatory, żeby usunąć nagłą woń palonej sosny.

Lekarz sądowy pochylił się nad małym stolikiem i podpisał się dwukrotnie. To samo zrobili Karl Trilling i Cleveland Wheeler. Lekarz oderwał kopie, złożył je i wsunął do kieszeni na piersi. Spojrzał na zamknięte żelazne drzwi, otworzył usta, zamknął je z powrotem i wzruszył ramionami. Wyciągnął rękę.

— Dobranoc, doktorze.

— Dobranoc, doktorze. Szofer czeka, żeby pana odwieźć.

Lekarz bez słowa podał rękę Wheelerowi i wyszedł.

— Wiem, co on czuje – powiedział Karl. – Coś należało powiedzieć. Coś pamiętnego na zamknięcie pewnej epoki. W rodzaju „Jeden mały krok dla człowieka...”

Cleveland Wheeler uśmiechnął się olśniewającym uśmiechem bohatera college’u sprzed piętnastu lat: nieco mniej szerokim, nieco mniej równym, dużo mniej odbijającym się w oczach i odezwał się głosem, który rozkazywał, niezależnie od tego, co mówił.

— Jeżeli pan myśli, że cytuje pierwsze słowa wypowiedziane przez człowieka na Księżycu, to się myli. Pierwsze słowa wypowiedział jeszcze na drabinie, kiedy dotknął butem gruntu. Powiedział: „To jest coś miękkiego, mogę to kopnąć butem”. Zawsze wołałem te słowa. Były prawdziwe, nie wyuczone na pamięć, nie wydumane i były związane z tą konkretną chwilą. Doktor przed chwilą powiedział dobranoc, a pan powiedział, że przed domem czeka kierowca. Wolę to niż cokolwiek, co ktoś mógłby tu powiedzieć. Myślę, że on też – dodał Wheeler, lekko wskazując silnym podbródkiem w stronę gorących czarnych drzwi.

— Ale on właściwie nie był człowiekiem.

— Tak mówią. – Wheeler lekko się uśmiechnął i jak tylko się odwrócił, Karl poczuł, że został wykluczony, że to całe pomieszczenie przestało się liczyć, że następna sprawa, którą Wheeler planował, a potem następna i jeszcze następna stają się bardziej realne niż tu i teraz.

Karl wkroczył zdecydowanie.

— Mówiłem poważnie, Wheeler – stwierdził spokojnie.

Nie chodziło o słowa, które same przez się mogły wywołać

jeszcze jeden półśmiech i zostać zapomniane. Ważny był ton i może to „Wheeler”. Takie sprawy są objęte rytuałem. Tych niewielu na jego poziomie i o poziom niżej mówiło do niego Cleve. Reszta zwracała się do niego per „mister”, a między sobą mówiła o nim Wheeler. Nikt z równych mu nie nazwałby go mister, chyba że w oficjalnym wystąpieniu lub w tonie obraźliwym. Natomiast nikt z równych mu czy bezpośrednio mu podległych nie zwróciłby się do niego per Wheeler. Nigdy, w żadnym przypadku. Cokolwiek zadziało, Cleveland Wheeler zdjął rękę z klamki i wykonał w tył zwrot. Na twarzy miał wyraz pełnej czujności i zainteresowania.

— Proszę mi powiedzieć, co pan miał na myśli, doktorze.

— Zrobię coś lepszego. Proszę za mną – powiedział Karl. Bez gestów, sugestii czy wyjaśnień ruszył w stronę lewego tylnego rogu pomieszczenia, pozostawiając Wheelerowi decyzję, czy ma za nim pójść, czy nie.

Wheeler poszedł.

W rogu Karl odwrócił się do niego.

— Jeżeli kiedykolwiek wspomni pan o tym komuś, nawet mnie, kiedy stąd wyjdziemy, wszystkiemu zaprzeczę. Jeżeli kiedykolwiek przyjdzie pan tu ponownie, nie znajdzie pan nic na poparcie tego, co pan teraz zobaczy. – Karl wyjął skomplikowane czterocalowe ostrze z nierdzewnej stali i wsunął je między wielkie bloki ściany. Ciężko ale cicho pasmo bloków w rogu zaczęło podjeżdżać do góry. Ukazało się za nim wąskie przejście i w słabym świetle można było zobaczyć, że bloki są rzeczywiście z kamienia, a pokonanie ich bez klucza i wiedzy, jak go użyć, byłoby żmudnym zadaniem.

Karl znów ruszył nie oglądając się za siebie i pozostawiając Wheelerowi decyzję, czy pójść za nim. Wheeler poszedł. Karl słyszał jego kroki za plecami i odnotował z satysfakcją a nawet pewnym podziwem, że kiedy bloki zsunęły się w dół z ciężkim tąpnięciem, Wheeler może się i obejrzał, ale nie przystanął.

— Zauważył pan, że szliśmy wzdłuż pieca, a teraz znajdujemy się za nim – powiedział Karl jak przewodnik wycieczki.

Odsunął się, żeby przepuścić Wheelera do małego pomieszczenia.

Mieściły się tam tylko szyny, wychodzące z tylnych drzwiczek pieca, przy których mogły stanąć dwie osoby. W kącie znajdował się mały stolik z czarną walizeczką. Na szynach stała trumna z nadwęglonymi narożnikami, z wiekiem i bokami mokrymi i lekko parującymi.

— Przepraszam, że musiałem tak zatrzasnąć te kamienne drzwi – powiedział Karl rzeczowym tonem. – Nie spodziewam się tu nikogo, ale nie chciałbym nikomu prócz pana wyjaśniać tego, co tu zobaczymy.

Wheeler wpatrywał się w trumnę. Sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego, ale było to tylko wrażenie. Karl zdawał sobie sprawę, ile go to kosztowało.

— Więc niech pan to wyjaśni mnie – powiedział Wheeler i zaśmiał się.

Karl po raz pierwszy widział, że temu człowiekowi coś się nie udało.

— Już to robię. – Otworzył z trzaskiem walizeczkę i rozłożył ją płasko na stoliku. Błysnął chrom i stal, oraz małe ampułki w specjalnych przegródkach. Pierwszym narzędziem, jakie wziął

do ręki, był śrubokręt. – Nie ma sensu przykręcać śrub, kiedy się ich pali – powiedział z zadowoleniem i wsunął ostrze śrubokrętu pod wieko. Uderzył zręcznie drugi koniec i wieko odskoczyło. – Może pan to oprzeć o ścianę za sobą? – spytał.

Cleveland Wheeler w milczeniu wykonał prośbę. Dało to jakieś zajęcie jego mięśniom, dało mu też możliwość odwrócenia na chwilę głowy i zastanowienia się, a Karłowi sposobność zerknięcia na jego spokojną twarz.

To prawdziwy mężczyzna, pomyślał Wheeler, ostrożnie i starannie odstawił wieko i stali, zaglądając do wnętrza trumny.

— Bardzo się postarzał – powiedział Wheeler po chwili.

— Widział go pan dawno temu, prawda?

— Przelotnie. W ciągu tego ostatniego miesiąca spędziłem w jego towarzystwie więcej czasu niż w ciągu ubiegłych ośmiu czy dziewięciu lat. A i tak była to za każdym razem kwestia paru minut.

Karl ze zrozumieniem kiwnął głową.

— Słyszałem o tym. Telefony o dowolnej porze dnia albo nocy, a potem długie milczenie przez dwa, trzy dni, żadnych telefonów, żadnych spotkań...

— Czy wyjaśni mi pan sprawę tego fałszywego pieca?

— Pieca? On jest jak najbardziej prawdziwy. Jak tylko skończymy, wykona swoją pracę.

— To po co to całe przedstawienie?

— To dla lekarza sądowego. Te papiery, które podpisał, znajdują się teraz w świecie wirtualnym. Kiedy wsuniemy trumnę do środka i włączymy ogień, staną się tak prawomocne, jak on myśli.

— To dlaczego...

— Bo są pewne rzeczy, które powinien pan wiedzieć. – Karl sięgnął do trumny i rozplątał sękatę dłoń. Rozdzieliły się niechętnie, przycisnął je do boków ciała. Rozpiął marynarkę i rozłożył poły, rozpiął koszulę i zamek błyskawiczny przy spodniach. Kiedy z tym skończył, uniósł głowę i napotkał badawczy wzrok Wheelera, skierowany nie na trupa ale na siebie.

— Mam takie uczucie – powiedział Cleveland Wheeler – jakbym widział pana po raz pierwszy.

Karl Trilling odpowiedział w myśli: I tak miało być. Dziękuję ci bracie, miałeś rację. Joe znał odpowiedź na to jedno dręczące pytanie – jak powinienem się zachowywać.

Mów do niego tak, jak on mówi do ludzi, powiedział Joe. Bądź przez cały czas taki jak on.

Bądź taki jak on. Człowiek pozbawiony iluzji (nie sprawdzają się) i bez nadziei (komu ona potrzebna?), który ma niezłomny zwyczaj zwyciężania. I który potrafi powiedzieć „piękny mamy dzień” w taki sposób, że wszyscy wkoło stają na baczność i odpowiadają „tak jest!”

— Był pan bardzo zajęty – odpowiedział Karl krótko, po czym zdjął marynarkę, złożył ją i umieścił na stole obok zestawu narzędzi. Włożył chirurgiczne rękawiczki i zsunął sterylną pochewkę ze skalpela. – Niektórzy ludzie brzydzą się i mdleją, kiedy po raz pierwszy uczestniczą przy sekcji.

Wheeler uśmiechnął się cienko.

— Ja nie krzyczę i nie mdleję. – Ale uwagi Karla nie uszło, że dopiero wtedy, w ostatniej dosłownie chwili, Wheeler spojrział na



ciało starego człowieka. Nie krzyknął i nie zemdlał, stęknął tylko z zaskoczenia.

— Domyślałem się, że to pana zaskoczy. – W razie, gdyby się pan zastanawiał, potwierdzam, że był samcem. Ten gatunek wydaje się być jajorodny. To ssaki, ale jajorodne. Dużo bym dał, żeby obejrzeć ich samicę, To, co pan widzi, to nie jest pochwa, to stek.

— Aż do tej chwili – powiedział Wheeler zahipnotyzowanym tonem – uważałem, że pańska uwaga o jego inności była tylko przenośnią.

— Wcale nie – uciął Karl.

Pozostawiając te słowa zawieszony w powietrzu, tak jak to się dzieje, kiedy mówiący potrafi odizolować je klinami milczenia, Karl zręcznie rozciął trupa od mostka do spojenia łonowego. Dla kogoś oglądającego to po raz pierwszy, jest to zawsze trudny moment. Do człowieka nie dociera, że nieboszczyk nic nie czuje i nie zareaguje. Karl spodziewał się u Wheelera jakiegoś odgłosu albo dreszczu, ale ten tylko wstrzymał oddech.

— Gdybyśmy wdawali się w szczegóły, zajęłoby to nam godziny a może i tygodnie – powiedział Karl, sprawnie wykonując poprzeczne cięcie prawie do kości czworobocznych po obu stronach – ale zależało mi, żeby pan to zobaczył.

Chwyciwszy skórę na skrzyżowaniu cięć, odciągnął ją w lewo i w górę. Odchodziła łatwo wraz z podskórnym tłuszczem, który nie był różowawy, ale biały z lawendowym odcieniem. Odsłoniły się mięśnie na żebrach. – Gdyby pan pomacał klatkę piersiową starego – powiedział – wyczułby pan pozornie normalne ludzkie żebra. Ale niech pan spojrzysz na to.

Kilkoma zręcznymi cięciami Karl oddzielił włókna mięśniowe od kości na powierzchni około czterech cali kwadratowych. Ukazało się żebro i w miarę jak poszerzał odsłoniętą powierzchnię i oczyszczał przestrzeń między żebrami, okazało się, że żebra są połączone cienką elastyczną warstwą kości albo chityny.

— Przypomina to fiszbin – powiedział Karl. – Widzi pan? – wyciął kawałek i wygiął go.

— Boże.

---

### III

---

— A teraz niech pan spojrzy na to. – Karl wyjął z walizeczki chirurgiczne nożyce i przeciął nimi mostek aż do obojczyków, a potem wzdłuż dolnej granicy żeber. Potem wsunął palce w rozcięcie i pociągnął w górę i na boki. Z tęnym trzaskiem cała klatka piersiowa otworzyła się jak drzwi, odsłaniając płuca.

Płuco nie było różowe ani brunatne jak u palacza, ale żółte, jasnożółte barwy czystej siarki.

— Jego przemiana materii – powiedział Karl, prostując wreszcie ramiona – jest fantastyczna. Albo raczej była. Żył tlenem, tak samo jak my, ale uzyskiwał go z tlenku węgla, dwutlenku i trójtlenku siarki i głównie z dwutlenku węgla. Nie mówię, że mógł, on musiał. Jeżeli był zmuszony oddychać tym, co my nazywamy czystym powietrzem, wytrzymywał określony czas, a potem musiał się oddalić i zaczerpnąć kilka łyków swojej własnej atmosfery. Kiedy był młodszy, wytrzymywał tak kilka godzin, ale w miarę upływu lat musiał spędzać coraz więcej czasu w tym swoim smogu. Jego coraz dłuższe nieobecności i unikanie ludzi nie wynikały wcale z dziwactwa.

Wheeler zrobił gest w stronę ciała.

— Więc kim on jest? Gdzie...

— Nie umiem powiedzieć. Poza medycznymi i biochemicznymi szczegółami wiem tyle, co pan. W jakiś sposób, gdzieś, kiedyś przybył do nas. Przybył, zobaczył i zaczął działać.

Proszę spojrzeć na to.

Rozsunął mostek i wskazał dłonią. Płuca nie stanowiły dwóch oddzielnych części, ale ciągnęły się przez środek klatki.

— Jedno płuco, chociaż ma zarysowane dwa płaty. Nerki i gonady charakteryzują się takim samym połączeniem.

— Wierzę panu na słowo – odezwał się Wheeler głosem nieco ochrypłym. – Do licha, więc co to jest?

— Dwunoga istota bez piór, jak Platon kiedyś opisał człowieka. Nie wiem, co to jest, wiem tylko, że to jest i uznałem, że pan powinien wiedzieć. To wszystko.

— Ale musiał pan już widzieć jednego wcześniej, to oczywiste.

— Tak, Epsteina.

— Epsteina?

— Tak. Stary potrzebował pośrednika, kogoś, kto mógł, nie budząc podejrzeń, spędzać z nim długie godziny na osobności. Stary mógł załatwiać przez telefon wiele spraw, ale nie wszystkie. Epstein był, można powiedzieć jego prawą ręką, która potrafiła wstrzymywać oddech dłużej niż on. W końcu jednak zapłacił za to cenę i umarł wcześniej.

— Dlaczego nie powiedział pan o tym dawno temu?

— Po pierwsze, dbam o własną skórę. Mógłbym powiedzieć o reputację, ale skóra jest tu właściwszym słowem. Podpisałem umowę jako jego osobisty lekarz, bo potrzebował osobistego lekarza, jako jeszcze jednej dekoracji. Ale leczyłem go bardzo rzadko, tyle co przez telefon, i dziewięć dziesiątych tego było, jak sobie dopiero niedawno zdałem sprawę, czystą mistyfikacją. Nawet lekarz, jak się okazuje, może być istotą łatwowierną. Jeden albo drugi dzwonił i podawał mi objawy, a ja ostrożnie

proponowałem leczenie. Po jakimś czasie dostawałem drugi telefon, że pacjentowi się poprawiło i tyle. Co tam, dostawałem nawet materiały do analizy, krew, mocz, kał, badałem go i nigdy się nie zorientowałem, że pochodzą z tego samego źródła, które lekarz sądowy zbadał przed podpisaniem aktu zgonu.

— Co pan miał na myśli, mówiąc o tym samym źródle?

Karl wzruszył ramionami.

— Mógł mieć wszystko, czego zażądał, wszystko.

— Więc to, co badał lekarz sądowy, to nie były... – wskazał dłonią trumnę.

— Oczywiście, że nie. Dlatego to krematorium ma tylne drzwi. W ten sam sposób działa sztuczka magiczna, którą można kupić w każdym sklepie z zabawkami. To ciało znajdowało się w komorze. Dubler, sobowtór, który wziął się nie wiadomo skąd, przysięgam, że nie mam pojęcia, czekał przed komorą na lekarza. Po naciśnięciu guzika zapłonął ogień i trumna wjechała do środka, tę wypychając na zewnątrz przez kurtynę wodną. Podczas gdy my byliśmy tutaj, tamto ciało zostało zmienione w popiół. Moje osobiste tajne instrukcje, zarówno w przypadku Epsteina jak szefa, kazały mi się upewnić, że jestem sam, po czym wejść tutaj i po godzinie nacisnąć drugi guzik, który wsunie i tę trumnę do pieca. Nie miałem robić żadnych badań, stawiać żadnych pytań ani pisać raportów. Jak wiele jego poleceń było to logiczne ale niewytłumaczalne. – Karl nagle się roześmiał. – Czy pan wie, dlaczego stary, i Epstein też, jeżeli pan nie zauważył, nigdy nikomu nie podawali ręki?

— Uważałem, że ma obsesję na punkcie bakterii.

— To dlatego, że normalna temperatura jego ciała wynosiła

grubo ponad pięćdziesiąt stopni.

Wheeler dotknął jedną dłońią drugiej i nic nie powiedział.

— No i jak, szefie, co robimy z tym dalej? – spytał Karl, kiedy uznał, że klin milczenia nabrał odpowiedniej grubości.

Cleveland Wheeler odwrócił się od trumny do Karla powoli, jakby z trudem zmieniał tok myśli.

— Jak mnie pan nazwał?

— Taki zwrot retoryczny – powiedział Karl z uśmiechem.

— Formalnie pracuję dla firmy, a firma to pan. Wykonuję polecenia, które zostaną ostatecznie wykonane, kiedy wcisnę ten guzik. Innych poleceń nie mam, jestem więc do pańskiej dyspozycji.

Wheeler znów spojrział na ciało.

— Chodzi panu o niego? O to coś? Co mamy z tym zrobić?

— Tak, właśnie. Czy mamy to spalić i wyrzucić z pamięci, czy zwołać posiedzenie zarządu i chmary uczonych. Czy też śmiertelnie wystraszyć cały świat, zawiadamiając dziennikarzy. Faktycznie, trzeba tu coś postanowić, ale ja myślałem w znacznie szerszych kategoriach.

— Na przykład jakich?

Karl wskazał głową trumnę.

— Co on tutaj robił? Czego dokonał? Jaki był jego cel?

— Proszę mówić dalej. – Wheeler po raz pierwszy powiedział coś w sposób zdradzający brak pewności. – Miał pan czas, żeby się nad tym zastanowić, a ja... – rozłożył bezradnie ręce.

— Doskonale to rozumiem – powiedział Karl łagodnie. – Aż do tej chwili zachowywałem się jak wykładowca. Nie chcę pana zawstydząć komplementami, ale muszę powiedzieć, że nie znam

nikogo, kto przyjąłby te fakty z równie zimną krwią.

— Otóż jest prosta technika, której się uczymy w podstawach algebry. Dotyczy ona budowania wykresów. Umieszczamy na wykresie punkt tam, gdzie mamy informację. Przy następnej informacji stawiamy drugi punkt, a potem trzeci. Mając trzy punkty (oczywiście, im więcej tym lepiej, ale trzy wystarczą) możemy je połączyć i utworzyć krzywą. Ta krzywa ma swoją charakterystykę i możemy pociągnąć ją nieco dalej, zakładając, że późniejsze informacje ją potwierdzą.

— Ekstrapolacja.

— Właśnie. Oś  $x$  to działalność naszego zmarłego szefa. Oś  $y$  to czas. Krzywa wyznacza jego osiągnięcia.

— Imponująca krzywa.

— W ciągu trzydziestu lat.

— Nadal imponująca.

— No dobrze – powiedział Karl. – A teraz w ciągu tych samych trzydziestu lat druga krzywa: zmiany w środowisku. Nie mam zamiaru robić panu wykładu z ekologii, bądźmy bardziej obiektywni i mówmy tylko o zmianach. Zauważalna zmiana średniej temperatury z powodu wzrostu dwutlenku węgla i efektu cieplarnianego. Narysujmy krzywą. Występowanie metali ciężkich, rtęci i litu w tkankach organicznych. Rysujemy krzywą. To samo z freonem, przeżyźnieniem mórz, wzrostem chorób serca... A teraz nałożmy te wszystkie krzywe na ten sam wykres.

— Widzę do czego pan zmierza, ale należy podchodzić z ostrożnością do tego rodzaju gier statystycznych. Jak kiedy wzrost wypadków drogowych zbiega się ze zwiększonym zużyciem puszek aluminiowych i bezpiecznych agrafek dla

dzieci.

— Słusznie, ale nie sądzę, żebym popadł w tego rodzaju pułapkę. Chcę tylko znaleźć racjonalne wyjaśnienie paru nieracjonalnych w przeciwnym razie sytuacji. Oto jedna z nich: jeżeli zmiany zachodzące na naszej planecie są skutkiem zwykłej beztroski, a więc działań przypadkowych, to dlaczego nie ma przejawów tej beztroski, działających na korzyść środowiska? Skreślmy to. Obiecałem, że nie będzie wykładów z ekologii. Ujmijmy to inaczej: jak to się dzieje, że beztroska promuje zmianę, ale nigdy na lepsze?

Następne pytanie: ku czemu zmierzają te zmiany? Czytał pan może rozważania na temat możliwości przystosowania innych planet do życia ludzi. A gdyby tak ktoś starał się przystosować naszą planetę do życia innych istot? Przypuśćmy, że chcą one mieć więcej wody i dążą do stopienia czap lodowych za pomocą efektu cieplarnianego? Zwiększyć procent tlenków siarki i zlikwidować pewne formy życia oceanicznego od planktonu do wielorybów? Zredukować liczbę ludności za pomocą raka, rozedmy płuc, zawałów i nawet wojen?

Obaj mężczyźni zapatrzyli się na śpiącą twarz w trumnie.

— Niech pan pomyśli, czym on się zajmował – powiedział w zadumie Karl. – Petrochemia, paliwa kopalne, przetwarzanie żywności, reklama, wszystkie te rzeczy, które powodują zmiany albo pomagają tym, którym zależy na zmianach...

— Nie powie pan, że to wszystko jego dzieło?

— Oczywiście, że nie. Znalazł miliony chętnych pomocników.

— Nie myśli pan chyba, że dla własnej przyjemności próbował zmienić całą planetę.



— Nie, nie myślę i tu dochodzę do sprawy najważniejszej. Nie wiem, czy jest więcej takich jak on i Epstein, ale podejrzewam jedno: jeżeli zachodzące zmiany będą kontynuowane, to możemy się ich spodziewać.

— Co więcej chciałby pan zrobić? – Spytał Wheeler. – Zmobilizować świat przeciwko najazdowi?

— Nic z tych rzeczy. Myślę, że powoli i po cichu odwróciłbym kierunek zmian. Jeżeli ta planeta w stanie naturalnym jest dla nich nieprzyjazna, to ja bym to utrzymał. Nie sądzę, że trzeba by ich wypędzać. Myślę, że by nie przybyli.

— Albo spróbowaliby innego sposobu.

— Chyba nie. Bo spróbowali tego. Gdyby myśleli, że mogą to zrobić za pomocą floty okrętów kosmicznych i swoich superbroni, to by to zrobili. Nie, oni tak działają i jak im nie wyjdzie, próbują gdzie indziej.

Wheeler w zamyśleniu pociągnął dolną wargę.

— Wystarczyłby im ktoś, kto wie, co robi, kto miałby odpowiednie wpływy i potrafił zrobić z tego dochodowy interes. Mogliby nawet podmienić odpowiedniego człowieka.

Zanim Wheeler zdążył coś powiedzieć, Karl podniósł skalpel.

— Chciałbym, żeby pan coś dla mnie zrobił – powiedział ostrym, rozkazującym tonem, zarezerwowanym dotychczas dla Wheelera. – Chcę, żeby pan to zrobił, bo ja to robiłem i nie chcę być jedynym człowiekiem na świecie, który przez to przeszedł.

Pochylił się nad głową trupa i wykonał cięcie wzdłuż linii włosów, od skroni do skroni. Potem, oparłszy łokcie o brzegi trumny i trzymając skalpel obiema rękami, przeciągnął go wzdłuż środka twarzy od czoła przez nos i górną, a następnie

dolną wargę i brodę do gardła. Wyprostował się.

— A teraz niech pan chwyci za policzki – rozkazał.

Wheeler zmarszczył czoło (kiedy to po raz ostatni ktoś tak do niego mówił?), zawahał się, a potem wykonał polecenie.

— A teraz niech pan pociągnie w dół.

Nacięcie rozszerzyło się nieco pod naciskiem, a potem nagle ciało puściło i cała skóra zeszła z twarzy. Niespodziewany brak oporu sprawił, że ręce Wheelera osunęły się w dół do dna trumny, a jego twarz znalazła się tuż przy twarzy trupa.

Podobnie jak płuca, nerki i oczy (a może oko?) tworzyły jeden organ zwężony pośrodku. Źrenica była owalna, jej dłuższa oś przebiegała poprzecznie. Skóra miała barwę lawendową z żółtymi naczyniami, a na miejscu nosa ział otwór otoczony rzęsami. Usta były okrągłe, podbródek ledwo zaznaczony.

Wheeler, nie zmieniając pozycji, zamknął oczy, nie otwierał ich przez sekundę, dwie, po czym odważnie otworzył je powtórnie. Karl przeskoczył na drugą stronę trumny i objął go ramieniem. Wheeler oparł się przez chwilę całym ciężarem, potem szybko się wyprostował i odtrącił rękę Karla.

— Tego pan nie musiał robić.

— Musiałem – powiedział Karl. – A pan chciałby być jedyną osobą na świecie, która przez to przeszła i nie móc z nikim o tym porozmawiać?

Okazało się, że Wheeler potrafi się jeszcze śmiać.

— Niech pan już naciśnie ten guzik – powiedział, kiedy skończył.

— Proszę mi podać wieko.

Cleveland Wheeler posłusznie przyniósł wieko i razem

przykryli trumnę.

Karl nacisnął guzik i patrzyli, jak trumna wjeżdża w kwadrat ognia. Potem wyszli.



Joe Trilling znalazł niecodzienny sposób zarabiania na życie. Zarabiał sporo, choć nie tyle, ile mógłby zarobić w mieście. Z drugiej strony, mieszkał sobie w górach o pół mili od malowniczej wioski, w czystym powietrzu, wśród sosnowo-brzozowych lasów i górskich wawrzynów, i był sobie szefem. W tym, co robił, nie miał zbyt dużej konkurencji.

Produkował modele okazów medycznych, głównie dla wojska, chociaż miał też dużo zamówień ze szkół medycznych, producentów filmowych i od indywidualnych klientów, którym nie zadawał pytań. Potrafił sporządzać model wszystkiego wewnątrz ciała, przyłączonego do ciała albo przenikającego ciało lub dowolną jego część. Mógł sporządzić modele do patrzenia, dotykania albo wążania. Potrafił zrobić gangrenę, która cuchnęła i gruczoł tarczycowy z prawdziwymi kropelkami rosy. Mógł zrobić coś jedyne w swoim rodzaju albo uruchomić linię produkcyjną. Doktor Joe Trilling był, krótko mówiąc, najlepszy w swoim fachu.

— Przełomowym momentem – mówił do niego Karl (już w znacznie swobodniejszej atmosferze niż poprzednio, w świetle dnia i przy piwie), przełomowym momentem był ten numer z twarzą. Boże, Joe, odwalileś kawał wspaniałej roboty.

— Rutynowa sprawa. Wspaniała był twój pomysł, żeby on tego

dotknął rękami.

— Dlaczego?

— Wracalem do tego myślę – powiedział Joe. – Pewnie sam nie zdajesz sobie z tego sprawy, jakie to było genialne. Jedna rzecz to zorganizować dla faceta pokaz, ale skłonić go, żeby zaangażował nie tylko wzrok i umysł, ale i ręce, to był przebłysk geniuszu. To było jak... pamiętam kiedy jako dzieciak wróciłem ze szkoły i dotknąłem ręką płotu, na który ktoś napluł. – Uniósł dłoń, jakby ją otrząsał. – Przez wszystkie te lata pamiętam to uczucie. Przez wszystkie te lata nie mogłem się tego pozbyć, żadne szorowanie nie potrafiło tego zmyć. To coś więcej, Karl, niż doznanie mózgowe albo psychiczne, więcej niż pamięć jakiegoś zdarzenia. Podejrzewam, że istnieje jakiś mechanizm pamięci w samych komórkach, zwłaszcza w dłoniach. Chodzi mi o to, że Cleve Wheeler do końca życia będzie czuł, jak skóra ześlizguje się pod jego dłońmi, a on prawie nosem dotyka tamtej twarzy. Nie, to ty jesteś geniuszem, nie ja.

— Wcale nie. Ty wiedziałeś, co robisz, a ja nie.

— Akurat. – Joe odchylił się na ogrodowym krześle tak, żeby móc patrzeć na słońce przez swoje piwo.

— Karl? – mruknął, patrząc jak bąbelki unosząc się zwiększają objętość i zniekształcają perspektywę.

— Tak.

— Słyszałeś kiedyś o brzytwie Occama?

— Coś słyszałem, dawno temu. Taka zasada filozoficzna. Albo logiczna. Kiedy mamy skutek i wybór możliwych przyczyn, najprostsza przyczyna jest zawsze najbardziej prawdopodobna. Czy tak?

— Nie całkiem, ale dość blisko – powiedział Joe Trilling leniwie. – Hm. To ty kiedyś twierdziłeś, że logika sama w sobie wystarcza i nie musi mieć nic wspólnego z prawdą.

— Nadal tak twierdzę.

— No dobrze. Ty i ja wiemy, że ludzka chciwość i beztroska same w sobie wystarczą, żeby zrujnować naszą planetę. Uznaliśmy, że to za mało dla ludzi w rodzaju Cleve’a Wheelera, którzy rzeczywiście mogą coś w tej sprawie zdziałać, zbudowaliśmy więc dla niego oddychającego smogiem kosmitę. Chodzi mi o to, że Wheeler nie zrobił nic dla ratowania świata z naszych powodów, wymyśliliśmy więc superpowód specjalnie dla niego. Nasz czysty wymysł.

— Tak. Podyktowany wszystkimi dostępnymi czynnikami. Do czego zmierzasz, Joe?

— Do tego, że nasze skomplikowane fałszerstwo jest w gruncie rzeczy proste, bo sprowadziło wszystko do jednej przyczyny. Brzytwa Occama tnie rozumowanie do najprostszej przyczyny. Pojedyncza przyczyna ma dużą szansę, że jest prawdziwa.

Karl z hukiem odstawił piwo.

— O tym nigdy nie pomyślałem. Byłem zbyt zajęty, żeby o tym pomyśleć. A jeżeli mieliśmy rację?

Spojrzeni na siebie wstrząśnięci.

— Czego mamy się teraz spodziewać, Joe – powiedział Karl po chwili. – Okrętów kosmicznych?

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Theodore Sturgeon (1918 – 1985) amerykański pisarz science fiction, prawdziwe nazwisko to Edward Hamilton Waldo, zmienił je (a przy okazji imię), kiedy jego matka ponownie wyszła za mąż, tym razem za Williama Sturgeona.

Debiutował opowiadaniem nie fantastycznym w 1938, rok później zadebiutował w *Astounding SF*. Krótka forma prozatorska to było to, w czym Sturgeon się lubował. Używał bardzo poetyckiego języka, uważano go za prawdziwego mistrza krótkiej formy. Po jego śmierci ufundowano nagrodę jego imienia dla najlepszych opowiadań SF. Powieści napisał niewiele, najbardziej znana to *Więcej niż człowiek* (Solaris), za którą otrzymał World Fantasy Award, traktowała o ewolucji człowieka. W Europie uznano ją za literaturę najwyższej próby.

Był jednym z najbardziej poważanych pisarzy SF w środowisku, wielu autorów oddawało mu hołd – np. Heinlein zatytułował jedno ze swoich opowiadań *Waldo*, tym samym słowem określono jeden z gadgetów SF, urządzenie do manipulowania czymś na odległość za pomocą mechanicznych rąk.

---

## BARRINGTON J. BAYLEY

---

*Bayley należy do autorów mało pamiętanych, ale dwa opowiadania z morskimi tytułami Statek i Rejs – należą do skarbów fantastyki. Nurek Harrisona to człowiek wchodzący w głąb ziemi jak płetwonurek zanurzający się w oceanie, Rejs po promieniu jest jak wyprawa łodzią podwodną, tyle że pod ziemią. Zwróćmy uwagę, jak ciężka jest atmosfera utworu i jak zagęszcza się w miarę narastania grawitacji.*

### Rejs po promieniu

Ostatnia wyprawa podziemnego okrętu *Drażyciel* rozpoczęła się jako jego rejs próbny. Został właśnie niedawno ukończony: połowa pomieszczeń ziała jeszcze pustką, oczekując na zainstalowanie reszty wyposażenia i urządzenie kajut dla pełnej załogi. Mimo to mieliśmy pokaźny ładunek, dwuosobową załogę i cała część techniczna z uzbrojeniem włącznie była gotowa. Dwa przedziały amunicyjne, jeden na dziobie i drugi na rufie, mieściły komplet torped, a cała masa statku spoczywała pewnie w uchwycie pól wytwarzanych przez polaryzatory, dzięki którym nowo zbudowany okręt mógł przenikać przez ciała stałe.

Okręty podziemne stanowiły ostatnie słowo techniki i *Drażyciel* był piątym z kolei, poprzedzały go jedynie cztery

prototypy. Był ogromny i potężny, jak przystało na okręt wojenny. Na razie kraj nasz nie prowadził wojny, ale wrogów mieliśmy i możliwość przemieszczania się pod ziemią dawała nam łatwo zrozumiałą przewagę.

Tak więc pod komendą kapitana Joule'a i ze mną jako oficerem technicznym wyruszyliśmy w rejs pod kontynentem amerykańskim ze wschodu na zachód na głębokości dziesięciu mil. Przeszliśmy pod łańcuchami górskimi, pod pustyniami i jeziorami, przecięliśmy wszelkie możliwe formacje geologiczne. Sprawdziliśmy prędkość oraz sterowanie głębokościowe i poziome – proces wielce skomplikowany tam, gdzie w grę wchodzi polaryzatory atomowe. Wszystkie urządzenia działały bez zarzutu. Polaryzatory pracowały równomiernie nawet wówczas, gdy skierowaliśmy *Drążyciela* ostro na lewą, a potem natychmiast na prawą burtę. Budowa pierwszego, całkowicie sprawnego okrętu podziemnego została uwieńczona sukcesem.

Byliśmy w znakomitym nastroju. Nie podejrzewaliśmy, zbliżając się do Zachodniego Wybrzeża, że los zgotował nam poważne kłopoty, które miały nas skłonić do nieprzemysłanego kroku i spowodować, że zostaniemy uwięzieni w potężnym uścisku planety.

Znajdowałem się w centrum dowodzenia, gdy kapitan Joule wydał rozkaz wynurzenia się w zawczasu ustalonym miejscu. Nie unosząc dziobu okręt zaczął się stopniowo wznosić.

Na głębokości siedmiu mil metalowy korpus statku rozbrzmiał wysokim dźwiękiem przechodzącym w miarę wznoszenia się w przejmujący pisk. Jednocześnie napłynął pilny meldunek z przedziału polaryzatorów.



Z ekranu wideofonu spoglądała na nas poblada twarz głównego mechanika.

— Kapitanie! Jakaś siła zewnętrzna odkształca pole! Nie możemy go utrzymać!

— Schodzimy głębiej! – zakomenderował kapitan Joule. Poszliśmy w głąb i przeraźliwy dźwięk natychmiast ustał. Kiedy *Drażyciel* drgnął i stanął, Joule zapytał głównego mechanika: – Co to było?

— Pole magnetyczne, bardzo silne. Hałas, który słyszeliśmy, był wynikiem wibracji każdego atomu metalowych części okrętu. Jeszcze pół minuty i cały okręt uległby depolaryzacji!

— Jak silne jest to pole obecnie? – spytał marszcząc czoło kapitan.

Główny mechanik wzruszył ramionami.

— Wskaźniki nie działają. Zupełnie nie rozumiem! Nie przypuszczaliśmy, że na głębokości zaledwie pięciu mil mogą występować tak potężne siły.

— Sekcja bojowa! – zakomenderował Joule po chwili namysłu. – Torpeda pionowo w górę, bez zapalnika!

W sekundę później *Drażyciel* po raz pierwszy zrobił użytek ze swego uzbrojenia. Wystrzeliła w górę torpeda; jej bieg śledziły detektory polaryzacji. Wkrótce po przejściu pułapu pięciu mil pocisk zniknął z ekranów i odebraliśmy serię silnych wstrząsów.

Polaryzatory torpedy przestały działać.

Kapitana to nie przekonało. Powtórnie dał rozkaz do wynurzenia. Ostrożnie podeszliśmy do niebezpiecznej strefy i okręt znów rozbrzmiał piskiem wibrujących atomów. Idąc za zdaniem sekcji polaryzatorów zanurzyliśmy się czym prędzej na

bezpieczną głębokość.

Nasza pewność siebie znikła. Cofnąwszy się spróbowaliśmy jeszcze raz, z takim samym rezultatem. Ponawialiśmy co pewien czas swoje próby w drodze powrotnej na Wschodnie Wybrzeże i przez dwa następne tygodnie błądziliśmy pod kontynentem szukając wyjścia. Ale to samo niewiarygodnie silne zjawisko pokrywało jak kołdra cały ląd.

Co do mnie, wątpiłem w jego magnetyczny charakter. Najprawdopodobniej był to efekt wywołany nietypowym strumieniem cząsteczek, który zaczął płynąć po naszym zanurzeniu.

Kapitan Joule miał ponurą minę, kiedy zapoznałem go ze swoją hipotezą.

— W takim razie – zauważył – to może być sztuczne. Byłaby to niewątpliwie skuteczna broń przeciwko okrętom podziemnym.

Jednak niezależnie od przyczyn zjawiska, fakt pozostawał faktem: na powierzchnię wyjść nie mogliśmy.

Nastrój na *Drążycielu* zmieniał się w miarę, jak sobie to uświadamialiśmy. Rozwiała się radość z sukcesu. Po raz pierwszy zauważyłem, jak puste jest wnętrze okrętu, jak każdy dźwięk odbija się echem w jego pomieszczeniach, jak matowo jego zakrzywione ściany odbijają żółte światło. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak głęboko tkwimy we wnętrzu Ziemi. Spoglądałem na kapitana i wiedziałem, że dręczą go podobne myśli.

Nagle wybuchnąłem śmiechem.

— No więc jesteśmy w pułapce – powiedziałem lekkim tonem – ale co z tego? Tym lepiej. Mamy szansę bezkarnie zagrać na nosie

tym tchórzliwym bubkom z Departamentu Marynarki.

— Co masz na myśli? – spytał Joule.

— Zabronili nam przez wzgląd na ostrożność zanurzać się w pierwszym okresie głębiej niż na dziesięć mil. Skoro jednak nie możemy się wynurzyć, wróćmy na powierzchnię dłuższą drogą – po średnicy planety.

Kapitan uśmiechnął się, rozważając w milczeniu moją propozycję. Pamiętałem poprzednie nasze rozmowy na ten temat w latach, kiedy nad polem polaryzującym prowadzono jeszcze powolne, żmudne badania w laboratoriach marynarki wojennej. Kusilo nas wiele podobnych projektów i czekaliśmy tylko na odpowiednią chwilę, żeby przystąpić do ich realizacji.

— Przedstawmy to pozostałym – zdecydował wreszcie kapitan i zarządził odprawę oficerów.

Centrala dowodzenia mogła przyprawić o klaustrofobię, z chwilą gdy wcisnęło się do niej sześciu oficerów. Przewody wentylacyjne nie były dostosowane do tylu osób i po dziesięciu minutach oddychałem z trudem.

Zanim Joule przemówił, słyszałem równy szum nieruchomego okrętu.

— Teraz chyba już wszyscy wiecie – zaczął – że nie możemy wyjść na powierzchnię. Ross ma propozycję, którą zaraz przedstawi – skinął w moją stronę.

— Gdy tylko idea podziemnych okrętów stała się realna – powiedziałem – zacząłem myśleć o wyprawie w głąb Ziemi, może nawet do środka. W trakcie budowy *Drążyciela* wykorzystałem zdolność silnika polaryzującego do poruszania bardzo dużych mas i poczyniłem wstępne przygotowania do takiej wyprawy.

*Drążyciel* jest znacznie większy, niż to przewidywały pierwotne plany: ma potężniejsze silniki, więcej wyposażenia, żywności i urządzeń do regeneracji powietrza, które wystarczyłyby pełnej załodze na wiele lat. Przygotowałem również warsztaty i zainstalowałem aparaturę chłodzącą dla ochrony przed przegrzaniem.

Wśród oficerów marynarki rozległo się kilka okrzyków zdumienia, kiedy przedstawiłem swój plan, ale ludzie z mojego, cywilnego zespołu już go znali. Nie obawiałem się sprzeciwów. Człowiek cywilizowany nigdy nie jest całkiem obojętny na głód wiedzy.

— *Drążyciel* nie jest jeszcze w pełni wyposażony do podróży, którą miałem na myśli – mówiłem dalej – ale w moim przekonaniu może ją odbyć. Skoro odcięci jesteśmy od Ameryki, proponuję wynurzyć się na drugiej półkuli.

Joule przerwał mi:

— Jedna rzecz, o której należy pamiętać. Możliwe, że bariera zagrządzająca nam drogę jest tworem sztucznym. Jeżeli tak, to znaczy, że naród nasz toczy wojnę i nasi wrogowie wiedzą już o podziemnych okrętach. Wówczas obowiązkiem naszym jest wracać czym prędzej, nie zaś wędrować dla zaspokojenia naszej własnej ciekawości.

— Wyznaję – powiedziałem – że cieszę się z tej okazji do realizacji moich ambicji. Jednak tak czy inaczej, nie ma innego sposobu, żeby *Drążyciel* wziął udział w boju, gdyż najkrótsza droga ku każdemu innemu kontynentowi wiedzie teraz przez jądro Ziemi.

— Czy mogę zadać pytanie techniczne? – spytał jeden z

oficerów. – Jesteśmy już teraz w strefie, gdzie skorupa ziemską przechodzi w gorętszy płaszcz. Głębiej płynne jądro jest jeszcze bardziej rozgrzane. Czy możemy wytrzymać takie warunki?

— Wytwarzane przez nas pole chroni nas teoretycznie przed dowolnym ciśnieniem i temperaturą – odparłem – ale nie przed grawitacją i magnetyzmem. Grawitacja będzie nam początkowo pomagać, a potem przeszkadzać. Magnetyzm również będzie wzrastać w miarę zbliżania się do środka Ziemi, a widzieliśmy już, jak się to odbija na pracy polaryzatorów.

Zebrani zadrżeli, kiedy to powiedziałem.

— Szczerze mówiąc – kontynuowałem – jeżeli natkniemy się na zjawisko podobne do tego, przed którym umknęliśmy, to nie wiem, co zrobimy. Istnieje jednak pomysłowe urządzenie zwane bocznikiem Gaussa, pozwalające kontrolować stopniowy wzrost magnetyzmu za pomocą strumienia mezonów. Jego budowa nie potrwa długo i będziemy mogli zneutralizować stopniowy wzrost magnetyzmu, z jakim się zapewne spotkamy.

Oficerowie rozważali sprawę w milczeniu. Już teraz *Drążyciel* zanurzył się na rekordową głębokość przenikając litą skałę dzięki temu, że atomy okrętu, załogi i powietrza były indywidualnie zorientowane w różnych kierunkach.

Przez cały czas kabiny, ściany, nawet nasze ciała były wypełnione zwartą masą gorącej skały, której nie odczuwaliśmy tylko dzięki delikatnemu stanowi równowagi.

Świadomość tego była dość koszmarna, ale mieliśmy tu twardego ludzi, najlepszych z najlepszych, ożywionych moim entuzjazmem i dowództwem Joule'a.

— Decydujcie się! – zachęcałem. – Nikt jeszcze nie odbył takiej

podróży. To wielka przygoda!

— Popieram propozycję Rossa – powiedział Joule. – Czy są jakieś pytania?

Nie było pytań, a z chwilą gdy Joule zakomunikował swoją decyzję, nie było również żadnych zastrzeżeń.

— Ross powie wam, jak przygotować się do głębokiego zanurzenia – zakończył krótko. – To wszystko.

Na trzy dni *Drążyciel* zawiesił swoją potężną masę na głębokości dziesięciu mil, podczas gdy pracowaliśmy nad bocznikiem Gaussa. Przy naszych zasobach nie było to trudne. Zbudowaliśmy działo mezonowe przy silniku okrętu oraz wewnętrzny szkielet przewodów ze stopu żelaza i srebra zbiegających się na rufie, gdzie nadmiar energii magnetycznej mógł być odprowadzony do ziemi. Bez tego wszystkie metalowe części okrętu uległyby stopieniu na skutek indukcji.

Za pomocą reostatu skontrolowałem zdolność bocznika do regulowania natężenia pola magnetycznego we wnętrzu okrętu; teraz mogliśmy powtórnie włączyć silniki i zmienić powolne zapadanie się pod wpływem siły ciężenia na prawdziwe nurkowanie własnym napędem.

Wnętrze *Drążyciela* wyglądało jak diabelska kuźnia. Stanął mi przed oczami obraz dawnych dni, kiedy jeszcze niecała powierzchnia planety była poznana i drewniane okręty rozwijały żagle ruszając ku nowym oceanom i nowym lądom. Dla nas nie było swobodnych wiatrów, światła i rozkołysanych fal. My przekroczyliśmy granice znanego świata i musieliśmy torować sobie drogę przez mrok, ciśnienie i żar.

Silniki posłusznie pchały nas w głąb Ziemi. W ostrym żółtym

światle – jedynym, na jakie mogliśmy tu liczyć – technicy obserwowali na ekranach zmieniające się formacje skalne, zapisując wskazania instrumentów. Bez trudu zdobywaliśmy informacje, o których geologowie marzyli od stuleci.

Opuszczaliśmy się coraz głębiej ze stale obecną myślą o gęstości otaczającego nas świata i o zuchwalstwie ludzkiego umysłu, który stworzył podziemny okręt. Spokojny szmer działalności wypełniał przypominający wielki hol korpus *Drażyciela*, kiedy przemierzałem go kontrolując różne urządzenia. Mieliśmy za sobą trzysta mil.

Nagle bez żadnego ostrzeżenia rozległo się głośnie „buch”, a potem ciężki zgrzyt i poczuliśmy drganie powietrza. Rozpoznałem je z największym zdumieniem. Słyszałem już coś takiego w laboratoriach marynarki. Nie miało to nic wspólnego z napotkaną wcześniej barierą.

Był to dźwięk powstający przy zderzeniu dwóch pól spolaryzowanych.

Pobiegłem długim korytarzem do centrum dowodzenia. W pomieszczeniu przed centrum obsługa monitorów śledziła okolice i przeszkoda zaczynała ujawniać swój kształt na ekranie.

Mieliśmy do czynienia nie z jednym polem. Ujrzałem całą ich panoramę, rozległy zespół niejasnych kształtów ciągnących się z północy na południe i z zachodu na wschód, piętrzących się, tworzących skupienia i obszerne place. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć własnym oczom...

Natknęliśmy się na podziemne miasto.

Choć brzmi to nieprawdopodobnie, przyroda również odkryła sposób na to, żeby dwa przedmioty mogły jednocześnie

zajmować tę samą przestrzeń i zapełniła wnętrze Ziemi istotami żyjącymi. Aglomeracja miejska, na którą wpadliśmy, była ogromna, nasze monitory nie sięgały do jej kresu. Instrumenty wskazywały na dość słabą polaryzację i można było przypuszczać, że mieszkańcy, o ile ich odczucia dadzą się przełożyć na nasze terminy, żyli w środowisku o konsystencji gęstej melasy. *Drążyciel* musiał spaść na nich jako oślepiająco jasne, nieprzenikliwe i prawie niezniszczalne monstrum.

Wszedłem do centrum dowodzenia, gdzie kapitan Joule wpatrywał się w ten sam widok na ekranie monitora, i usiadłem.

Joule nie zwrócił na mnie uwagi. Włączył mikrofon.

— Maszynownia, czekać na moje rozkazy. I dajcie mi sterowanie.

Usłyszałem pstryknięcie, kiedy maszynownia przekazała sterowanie *Drążyciela* do pulpitu kontrolnego przed fotelem Joule'a. *Drążyciel* zaklinał się między ścianami grupy budynków i wspaniałe, szerokie ramiona kapitana wyrażały wściekłość, a pot kroplami wystąpił mu na czoło, gdy pochylony nad kołem sterowniczym usiłował uwolnić statek i przebić się na wolną przestrzeń.

— Niech pan spojrzy, kapitanie! – zawołałem. – Czy pan widzi?

Kapitan spojrział na ekran. Zbliżały się okręty, płynęła ku nam cała flotylla jakby popychana masywną bryzą. Były to dziwaczne konstrukcje z długich zakrzywionych belek i przez szerokie szpary między nimi mogliśmy z pewnym trudem rozróżnić członków załogi i prymitywne urządzenia statku. Również wokół pobliskich budynków widać było oznaki ożywionej działalności.

Mieszkańcy byli wyraźnie zdecydowani bronić swego miasta.



Zauważyłem, że niektóre okręty, większe od innych, miały na dziobach dziwnie znajome urządzenia i kiedy się im przyglądałem, najbardziej wysunięty do przodu okręt przystąpił do akcji.

— Ależ to katapulta! – krzyknął Joule.

Buch! Korytarze *Drążyciela* rozbrzmiewały uderzeniem pocisku o jego kadłub.

— Niech sobie strzelają! – roześmiał się Joule i pochylił się z powrotem nad pulpitem kontrolnym.

Okazało się, że nie można uwolnić naszego statku i wreszcie pod gradem pocisków mieszkańców wnętrza Ziemi musieliśmy uciec się do naszych broni. Mimo że używaliśmy ich z umiarem, nasze torpedy i miotacze fal sejsmicznych dokonały straszliwych zniszczeń, zanim wyrąbaliśmy sobie drogę i mogliśmy kontynuować podróż. Podziemna flotylla towarzyszyła nam przez pięćdziesiąt mil bombardując ściany statku w próbach odwetu.

— I to na trzystu milach! – zawołał kapitan Joule. – Co znajdziemy dalej?

Perspektywy mogły napawać lękiem. Wnętrze Ziemi jest znacznie rozleglejsze niż jej powierzchnia i może pomieścić wielką różnorodność mieszkańców. Tutaj natknęliśmy się na barbarzyńców. Głębiej możemy znaleźć potężne cywilizacje dysponujące supernauką, dla których *Drążyciel* będzie dziecinną igraszką. A może wewnątrz Ziemi zamieszkują potwory?...

Ale przynajmniej dla mnie odkrycia były głównym celem wyprawy i żadne niebezpieczeństwo nie mogło stanąć na drodze poszukiwań naukowych.

A szansa spotkania wrogów nie była wcale jedynym niebezpieczeństwem. W tym czasie wiedziałem, że coś innego jest nie w porządku.

Sprawdzałem dane instrumentów zewnętrznych. Zgodnie z prawami fizyki wydawało się nieuniknione, aby wielkości określające gęstość i temperaturę rosły w miarę zanurzania się. Tymczasem z niewyjaśnionych przyczyn nie zmieniały się one od chwili, gdy przekroczyliśmy głębokość dziesięciu mil.

Kapitan Joule wykazał zainteresowanie, jak przystało na technika, ale pozostał niewzruszony.

— A co z magnetyzmem? – spytał.

— Też bez zmian – powiedziałem – ale na tej głębokości nie powinno być większych zmian. Bocznik magnetyczny będzie potrzebny później.

Mimo to udaliśmy się obaj na inspekcję bocznika. Zaczęliśmy od działka mezonowego w maszynowni i prześledziliśmy jeden z żelazno-srebrnych kanalików biegnących wzdłuż okrętu aż do rufy. Przyjrzałem się zegarom zamontowanym w izolowanym pomieszczeniu. Wskazówki powinny odchylić się nieco, zaznaczając wzrost magnetyzmu odprowadzanego przez bocznik, tymczasem wszystkie utknęły na zerze.

Podniosłem słuchawkę i połączyłem się z maszynownią.

— Zwiększyć ilość odprowadzanej energii o dwie podziałki – rozkazałem.

Natychmiast drgnęła wskazówka, pokazująca wzrost energii magnetycznej odprowadzanej do środowiska, druga zaś wykazała spadek natężenia magnetyzmu w okręcie.

Joule stęknął.

— Czy coś tu może być uszkodzone?

Rozkazałem nastawić reostat na poprzednią pozycję.

— Nie – powiedziałem – wszystko jest w jak najlepszym porządku. Po prostu będziemy chyba musieli pogodzić się z faktem, że wewnątrz Ziemi jest inne, niż przypuszczaliśmy. Albo to, albo trafiliśmy na warstwę o małej gęstości. Tak czy owak, posuwamy się bez przeszkód.

Jednak dni mijały, a ja codziennie sprawdzałem gęstość, temperaturę i magnetyzm, i wynik zawsze był ten sam. Bez zmian. Zacząłem się poważnie martwić.

Uświadomiłem sobie, że poza własnymi przyborami *Drążyciela* nie mieliśmy sposobu na zmierzenie jego rzeczywistej prędkości. Aby to naprawić, zaprojektowałem masometr, który, jak sądziłem, pomoże nam stwierdzić przebytą drogę mierząc masę Ziemi przed nami i za nami.

Wynik mnie zaskoczył. Suma tych dwóch odczytów nie zgadzała się ze znaną masą Ziemi.

— To śmieszne! – powiedziałem do Joule’a. – Ziemia musiałaby teraz ważyć więcej, niż kiedy wyruszaliśmy. Poza tym przebyliśmy pięćset mil, a dystans przed nami jest wciąż taki sam.

Poruszaliśmy się więc czy nie?

Była to zagadka. Skierowany w jedną stronę masometr mówił, że tak. Skierowany w stronę przeciwną wskazywał, że stoimy w miejscu.

Odczekałem jeszcze tydzień, w czasie którego łamigłówka coraz bardziej się komplikowała. Do tej chwili powinniśmy osiągnąć głębokość tysiąca mil i przekonać się o naszej zdolności

przetrwania w warunkach skrajnych ciśnień! W rzeczywistości mieliśmy na liczniku tysiąc mil głębokości, a mimo to nie zbliżyliśmy się do jądra Ziemi. Wyglądało na to, że posuwamy się po jakiejś paradoksalnej trasie, na której – niezależnie od szybkości poruszania się – odległość do mety pozostaje taka sama.

Świadomość tego działała przygnębiająco. Nie można już było dłużej traktować tego wyłącznie jako intelektualnej łamigłówki.

Nie napotkaliśmy dalszych miast i nikt nas już nie atakował, ale zrobiliśmy wszystko, aby nie powtórzyć błędu. Monitory działały bez przerwy i odnotowały różne słabe błyski polaryzacji w dużej odległości. Godzinami wpatrywałem się w ekran. Zdarzało się, że na granicy pola widzenia przesuwał się jakiś duży obiekt lub pojawiały się niejasne kształty, których pochodzenia nie potrafiliśmy odgadnąć.

Trzynastego dnia podróży kapitan Joule zwołał oficerów do swojej kabiny.

Z niewzruszonym wyrazem twarzy przyjął ich siedząc w swoim fotelu i odczekał, aż w dusznej kabinie zapanuje cisza.

— Panowie – zaczął – chciałbym, żebyśmy zastanowili się nad naszą sytuacją. Ross wyjaśni wam, o co chodzi.

W skrócie powiedziałem o wskazaniach masometru i o tym, że na całej grubości płaszcza stwierdziliśmy jednakowe ciśnienie. Im głębiej schodziliśmy, tym większa była niezgodność w pomiarach różnych instrumentów.

— Poza zdrowym rozsądkiem – zakończyłem – nic nie wskazuje, że zbliżyliśmy się choćby o cal do jądra Ziemi, co było naszym zadaniem.

— Czy to znaczy, że stoimy w miejscu?

— Z jednej strony na to wygląda – przyznałem – ale myślę, że tak nie jest. Nadal zużywamy energię. Silniki pracują doskonale i rezultatem tego musi być ruch. Musimy się dokądś posuwać i wystarczy zresztą spojrzeć na ekrany wykrywaczy, aby stwierdzić, że faktycznie znajdujemy się w ruchu.

— I nie zbliżamy się do celu – wtrącił Joule. – Z punktu widzenia marynarki celem tego rejsu jest powrót do bazy, tymczasem nie widzę, żebyśmy ten cel realizowali.

— Czy proponuje więc pan powrót?

— Myślałem o tym. Może teraz nie napotkamy już przeszkody. Zmartwiły mnie te słowa. Nasze odkrycia tak mnie pochłaniały, że chciałem za wszelką cenę kontynuować rejs, a dziwy i niebezpieczeństwa, jakie spotykaliśmy, potęgowały tylko moje pragnienie, żeby przeć dalej.

Wiedziałem, że kapitan Joule w głębi serca podzielał mój pogląd. Był on naprawdę wspaniałym człowiekiem i oficerem. Niektórzy oskarżają nasze pokolenie o skrajny konserwatyzm i sztywność; ja jednak twierdzę, że to nie jest wada, tylko nieunikniony etap rozwoju. Duch naszego kraju nigdy nie był silniejszy niż obecnie. Wydaliśmy wspaniałych ludzi, znakomitych uczonych. Kapitan Joule znał tacit dictum naszych inżynierów – nie znać co to strach i nigdy się nie cofać – ale miał obowiązki wynikające ze stanowiska, czym ja – wyznaję to ze wstydem – zupełnie się nie kierowałem.

— Dlaczego mamy zawracać? – zawołałem z zapałem. – Musimy kontynuować wyprawę! Zagadka się wyjaśni – a ze wszystkim, co spotkamy pod ziemią, damy sobie radę!

Nie mieliśmy okazji do dalszej dyskusji, gdyż decyzja wymknęła nam się z rąk. W głośnikach rozległ się sygnał alarmu, rozbłysły wszystkie ekrany.

Obsługa monitorów wykryła w odległości kilku mil drugi rodzaj podziemnych istot rozumnych i mieliśmy zaledwie parę minut na przygotowanie się do spotkania.

Ich flota nadpłynęła z dołu i rozwinęła się wokół nas, podczas gdy zajmowaliśmy stanowiska bojowe. Były to długie, okazałe okręty kołyszące się z lekka pod wpływem jakiegoś niewidzialnego fenomenu głębi. Zbliżały się groźnie, powoli, jakby szacowały przeciwnika.

Potem, albo dlatego, że taką mieli zasadę, albo dlatego, że uznali nas za wrogów, zaatakowali.

Byłem zachwycony. Teraz *Drążyciel*, dotychczas nie sprawdzony w bitwie, wykaże wszystkie swoje możliwości i duch naszej wyprawy skryształizuje się ostatecznie. Tym razem nasi przeciwnicy nie byli dzikusami, ich okręty poruszały się własnym napędem, a ich broń mogła być dla nas groźna.

Nie dorównywali nam pod względem technologii. Wystrzeliliwali błyszczące, strzałokształtne pociski, które mogły przebijać nasz pancierz i zręcznie wykorzystywali przewagę liczebną, usiłując zrekompensować wyższość naszego uzbrojenia.

Ale *Drążyciel* unosił się nad nimi potężny, najeżony wyrzutniami torped i wieżami miotaczy fal sejsmicznych; byliśmy godnym przeciwnikiem.

Była to bitwa w pełnym biegu. Maszynownia wyciskała całą moc z silników i parliśmy w głąb jak wieloryb otoczony chmurą

rekinów. Kapitan Joule zrezygnował z prób uniknięcia pocisków przeciwnika i pozostawił naszą obronę złym mocom naszej artylerii.

Kiedy wszedłem do śródokręcia, aby sprawdzić, jak się sprawuje nasze wyposażenie, korytarze huczały niczym dzwony od pocisków przeciwnika i wibrowały od wybuchów naszych własnych torped, które uwalniając się z więzów polaryzacji powodowały tytaniczne wstrząsy Ziemi – założę się, że mieszkańcy otchłani nigdy nie widzieli tej sztuczki! Słyszałem narastający świst wyrzutni, a wysoko rozmieszczone w ścianach stanowiska artylerzystów rozbrzmiewały buczeniem miotaczy sejsmicznych.

Tuż przede mną dwudziestostopowa dzida przebiła ścianę przesywając na ukos obszerny główny korytarz. Zwalił się z góry artylerzysta z rozplataną głową, a obsługiwany przez niego miotacz został zdruzgotany.

Trzydziestokrotnie ich pociski przebiły nasz pancierz i straciliśmy ośmiu ludzi. Ale cóż z tego? Najważniejsze, że niezwyciężony *Drążyciel* okazał się prawdziwym okrętem bojowym.

W końcu przeciwnik wycofał się, poniosłszy ciężkie straty. Możliwe, iż opuściliśmy jego granice.

Jeszcze nie rozwiął się dym bitwy, gdy rozległ się stukot narzędzi i załoga przystąpiła do usuwania szkód. Wróciłem do centrum dowodzenia, gdzie kapitan Joule dokonywał przeglądu polaryzatorów, maszynowni i sprzętu bojowego. Zwrócił się ku mnie, gdy tylko wszedłem.

— Straciliśmy stery – powiedział ponuro. – Teraz już nie mamy

wyboru. Nie chciałem zawracać okrętu na głównym napędzie; jestem pewien, że polaryzatory nie wytrzymałyby obciążenia.

Nic nie odpowiedziałem. *Drążyciel* nie mogąc zawrócić bez skomplikowanej aparatury niezbędnej do zmiany kierunku polaryzacji miał tylko jedno wyjście: przez dalej, coraz dalej.

Wprawdzie zwyciężyliśmy, ale straciliśmy władzę nad swoim przeznaczeniem. W takim właśnie nastroju bezradności oficerowie *Drążyciela* skierowali swój okręt jeszcze głębiej w masę Ziemi.

Przez miesiąc schodziliśmy w głąb pchani mocą silników. Codziennie z niepokojem studiowałem dane instrumentów. Przez cały ten czas charakter otaczającej nas skały nie ulegał zmianie.

Wszystko – z wyjątkiem danych rufowego masometru i prostego faktu, że posuwaliśmy się w głąb – wskazywało, że tkwimy w miejscu na głębokości dziesięciu mil pod powierzchnią.

Joule i ja głowiliśmy się nieustannie nad tym problemem. Czasem przebiegały mnie ciarki. Czyżby to była ta bezdenna otchłań, o której z przerażeniem mówią poeci?

— To niemożliwe! – zawołał Joule wyprowadzony z równowagi. – Skała przesuwa się wokół nas! Żywe istoty pojawiają się przed nami i pozostają w tyle! A jednak nie możemy zbliżyć się do środka Ziemi!

Narysowaliśmy koło przedstawiające Ziemię i sprowadziliśmy tajemnicę do faktu, że masometry dają dwa sprzeczne położenia *Drążyciela* wewnątrz tego kręgu. A może mieliśmy do czynienia z radykalnie nową geometrią, gdzie dwie wielkości nie równają się



ich sumie? Co wiemy o naszym wszechświecie? Znamy tylko doświadczenia z powierzchni swojej planety; może gdzie indziej obowiązują inne prawa?

Eksperymentalnie narysowaliśmy ćwiartkę koła i rozpatrywaliśmy tę figurę. Joule dorysował koncentryczne kręgi i zauważyliśmy, że w ćwiartce koła łuk skraca się proporcjonalnie do promienia.

Była w tym subtelna myśl.

Niezależnie od rozważań filozoficznych zastanawiałem się również, czy boczniki magnetyczne odprowadzając nadmiar energii z powrotem do gruntu nie zniekształcają przypadkiem danych wszystkich instrumentów zewnętrznych i masometrów. Przychodził mi do głowy tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Kapitan Joule spojrział na mnie z przerażeniem, kiedy poprosiłem o zezwolenie na wyłączenie bocznika.

— Jeżeli twoje przypuszczenie okaże się błędne – powiedział zduszonym głosem – wylecimy w powietrze z wielkim hukiem.

— I co z tego? – zawołałem gestykułując gorączkowo. – Przecież dłużej tak nie można. Najwyżej wjedziemy z trzaskiem do piekła. Zresztą może nam się uda, jeżeli wyłączymy bocznik tylko na kilka milisekund.

Zrobiliśmy to w tajemnicy. Własnymi rękami zbudowałem mechanizm zegarowy i podłączyłem go do układu bocznika.

Przez dwadzieścia milisekund bocznik nie działał. Wskaźniki nawet nie drgnęły.

— Spróbuj jeszcze raz! – rozkazał Joule.

Powtórzyłem eksperyment trzykrotnie, a potem wyłączyłem bocznik na stałe. Nigdy nie znajdował się w warunkach, dla

jakich został zbudowany, i okazało się, że był w ogóle niepotrzebny.

— Pozostaje więc to drugie wyjaśnienie – powiedział Joule. – Filozoficzne. Ale wynika z niego względność, o jakiej nie śniło się naszym fizykom...

Powinienem był wiedzieć, że ten chłodny, nieubłagany umysł znajdzie w końcu właściwą odpowiedź. Zanim jednak zdążył mi coś wyjaśnić, nastąpił trzeci podziemny atak.

Była to szybka, mała flotylla, która spadła na nas z góry. Nie mieliśmy pojęcia skąd pochodzą, gdyż nie dostrzegliśmy żadnych śladów osad, jakie widzieliśmy w wyższych warstwach. Najprawdopodobniej mieliśmy do czynienia z piratami lub wojowniczymi nomadami, gdyż byli wyszkoleni, zaciekli i groźniejsi od tych, których spotkaliśmy poprzednio.

Co więcej, potrafili dobrać się do naszej polaryzacji.

Może nasze urządzenia miały dla nich zbyt wielką moc, a może chcieli nas po prostu zastraszyć i zmusić do kapitulacji, dość że tylko przez dwa krótkie momenty usłyszeliśmy rozdierający zgrzyt ich aparatury, jęk naszych polaryzatorów i odczuliśmy duszący żar migocącego pola. Potem znowu puściliśmy w ruch uszczuplone zapasy naszej amunicji.

Ta bitwa nas wykończyła.

Głównym celem napastników było wdarcie się na nasz pokład. Gdy zużyliśmy wszystkie torpedy i musieliśmy polegać na mniej skutecznych miotaczach sejsmicznych, umiejętnie wybili dziurę w naszym pancerzu. W centrali dowodzenia Joule i ja usłyszeliśmy krzyki i dziwne klekocące głosy. W kilka chwil później rozległ się wybuch, ogłuszający w zamkniętej

przestrzeni. To jeden z członków załogi bohatercko wysadził w powietrze sekcję, do której wdarli się napastnicy.

Dalsza walka wewnątrz okrętu była już krótka, ale straciliśmy w niej naszego dowódcę.

Trzej napastnicy, którzy uszli cało z eksplozji, płynęli głównym korytarzem szerząc wokół spustoszenie za pomocą potężnej broni ręcznej i w ciągu kilku minut dotarli do centrum dowodzenia. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy kapitana Joule'a, gdy sięgał po swój pistolet. Nie potrafię wyrazić tego słowami, bo zobaczyłem wszystkie możliwe uczucia, każde z osobna, żadne z nich nie dominowało.

Naszymi przeciwnikami były niskie, niewyraźne postacie w grubych zbrojach; człekokształtne, ale jednocześnie mające w sobie coś gadziego. Bez chwili namysłu dali ognia i Joule padł z rozszarpanym prawym bokiem kładąc trupem pierwszego z napastników.

Ze swego kąta kabiny skosiłem dwóch pozostałych.

Od tej chwili nie widzieliśmy już więcej podziemnych najeźdźców. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego zrezygnowali z dalszych ataków, gdyż nasze monitory zmieniły się w masę poskręcane go złomu i odtąd nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje na zewnątrz.

Podczas gdy pozostali oficerowie schodzili się do centrum dowodzenia, ułożyłem kapitana na kanapie. Oddech miał szybki i płytki, a jego twarz stwardniała od walki z bólem.

— Ze mną koniec – szepnął.

Podłożyłem mu ramię pod plecy i uniosłem go łagodnie. Był słaby, ale jego oczy błyszczały inteligencją.

— Joule – spytałem – co się tu z nami dzieje?

— Oto moja teoria – powiedział z trudnością. – Materia jest odkształceniem przestrzeni. Kiedy materia jest bardziej skoncentrowana, również i przestrzeń, którą zajmuje, ulega koncentracji.

Ucichł i sądziłem, że były to jego ostatnie słowa, jednak po chwili ożywił się i mówił dalej.

— Wewnątrz Ziemi sama przestrzeń jest ściśnięta proporcjonalnie do gęstości. To, co z powierzchni wydaje się całem, w rzeczywistości może odpowiadać tysiącowi mil. Promień Ziemi jest taki sam na każdej głębokości – my sami kurczymy się wchodząc w gęstszą materię, więc dla nas jest zawsze taki sam. Mamy zawsze tę samą drogę przed sobą.

Jego oczy zasnuły się mgłą, potem stały się szkliste. Gdy umarł, zamknąłem mu powieki.

Jestem teraz dowódcą *Drażyciela*. Bezzwłocznie podjąłem niezbędne kroki. Kadłub jest załatany, wszystkie luki zostały zamknięte, a światła przyćmione, aby oszczędzać energię. Silniki są nastawione na najbardziej ekonomiczną prędkość: naszym głównym celem jest utrzymanie polaryzacji na czas długiego, równomiernego opadania do środka Ziemi. Nasze źródła energii są teoretycznie niewyczerpane, ale przestrzeń we wnętrzu Ziemi może być równa całemu systemowi słonecznemu.

Teraz jestem już przekonany, że nie ma nic bardziej przygnębiającego, niż podróż okrętem przez stałą materię. Im głębiej się opuszczamy, tym dotkliwsza staje się świadomość tysięcy mil skały nad naszymi głowami. Mam wyrzuty sumienia. To ja namawiałem kapitana Joule'a na głębsze zanurzenie i kiedy

teraz siedzę w półmroku tej stalowej skorupy – nie mogę uwolnić się od myśli, że namówiłem swoich towarzyszy na wyprawę do piekła.

Nasz okręt jest w ruinie. Ludzie leżą w milczeniu, przy miotaczach fal sejsmicznych nie ma nikogo. Wszyscy pogodziliśmy się z myślą, że nie przeżyjemy tej podróży.

I to jest cała nasza historia. Zapisuję ją, żeby ci, którzy znajdą nasz okręt, kiedy wreszcie wynurzy się po drugiej stronie świata (polaryzatory wyłączą się wówczas automatycznie) dowiedzieli się o warunkach we wnętrzu Ziemi.



Według słów farmera, który, jak twierdził, widział to wydarzenie, okręt wynurzył się ze stoku wzgórza, po czym ześlizgnął się o jakieś dwadzieścia stóp i zatrzymał na wielkim głazie.

Bain chętnie wierzył w tę ostatnią część opowieści, potwierdzoną odłamkami skalnymi na drodze pojazdu, ale pierwsza część była zbyt fantastyczna, zwłaszcza że na stoku nie było ani śladu otworu. Bain specjalizował się w starożytnych cywilizacjach i nie mogąc znaleźć ani jednego znajomego rysu w pojeździe przytłaczającym go swoim pięćsetstopowym masywem, skłaniał się do poglądu, że przybył on z zupełnie innego kierunku.

— To musi być statek kosmiczny – powiedział do metaloznawcy przybyłego z zespołem z Sidney. – To nie może być nic innego. Ten farmer kłamie albo mu się zdawało.

Metaloznawca skinął głową.

— Ja też tak sędzę – odpowiedział – nie rozumiem tylko, jak to się dzieje, że jest tak stary. Proszę tylko spojrzeć na tę pofałdowaną powierzchnię! Wie pan, co to jest? Zmęczenie metalu. Niektórych stopów nie potrafię zidentyfikować!

Bain przerzucił metalowe stronice książki znalezionej w centrum dowodzenia. Stanowiła ona dla niego prawie niezbity dowód gwiazdznego pochodzenia statku: wyglądała na coś w rodzaju logu, ale dziwaczne pismo w niczym nie przypominało żadnego z ziemskich języków, starożytnych i współczesnych.

Nigdy nie znajdziemy kamienia z Rosetty do tego – pomyślał. Odczuł smutek na myśl, że ta relacja nigdy nie zostanie odczytana.

W tym momencie z luku wyszedł profesor Wilson i podszedł do nich podniecony.

— To niewątpliwie statek kosmiczny – powiedział. – Jest tam przyrząd mierzący odległość za pomocą częstotliwości elektromagnetycznych. Każdy fizyk potrafi odczytać z niego przebyty dystans.

Czy wiecie, jaką odległość zanotował ten przyrząd zanim stanął? Prawie jedenaście lat świetlnych, jak stąd do Andromedy!

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Barington J(ohn) Bayley (1937–2008) brytyjski pisarz science fiction, urodzony w Birmingham. Pracował w Królewskich Siłach Powietrznych. W latach 60. związał się z pismem *New Worlds*, które pod przewodnictwem Michaela Moorcocka przyczyniło się do zmiany jakościowej w SF i powstania zjawiska zwanego Nową Falą. Do końca życia przyjaźnił się z Moorcockiem, który dzisiaj rozporządza, wraz z synem autora, prawami do wszystkich utworów Bayleya.

Napisał do pism i antologii kilkadziesiąt znakomitych opowiadań, wiele z nich wciąż jest wymieniane jako kanon brytyjskiej fantastyki, a także 17 powieści. W Polsce znamy tylko trzy: *Kurs na zderzenie* (1973), *Zagłada Chronopolis* (1974) i napisana dla Games Workshop *Oko terroru*.

Bayley używał pseudonimów, m. in. Simon Barclay, John Diamond. W swoich opowiadaniach wprowadzał nowatorskie rozwiązania, niewątpliwie był to jeden z najwybitniejszych twórców krótkiej formy w dziejach science fiction.

---

## WILLIAM TENN

---

*William Tenn, jak wielu amerykańskich autorów SF w początkowym okresie, był pochodzenia żydowskiego. I w niektórych opowiadaniach dawał temu wyraz. Taki jest znakomity Drugi kosmiczny kongres syjonistyczny na Wenus, takie jest i to opowiadanie w formie pojedynku dwóch drobnych oszustów. Tylko czy na pewno drobnych?*

### Bernie Faust

Ricardo przezwał mnie „Bernie Faust”, a ja sam nie wiem, kim jestem. Było tak: siedzę w swoim kantorku sześć na dziewięć i czytam ogłoszenia o wyprzedaży przecenionych towarów z nadwyżek rządowych. Usiłuję wyczytać z nich, gdzie pachnie forszą, a gdzie można znaleźć same kłopoty.

Nagle otwierają się drzwi i kogo widzę? Mały, umorusany facet w brudnym, niemożliwie wygniecionym letnim garniturku. Wchodzi, pokaśluje i mówi: — Nie kupiłby pan dwudziestki za piątkę?

Zmierzyłem go wzrokiem i mówię.

— Co-o?

Przestąpił z nogi na nogę i znowu sobie pokaślał.

— Dwadzieścia – mruknął – dam dwadzieścia za piątkę.

Pod moim spojrzeniem spuścił oczy na swoje buty. Miał



okropne, podarte buty, okropne i brudne jak cała reszta.

— Ja dam panu dwadzieścia – mówił do tych swoich butów – i kupię za to od pana pięć. Ja wyjdę z piątką, a pan zostanie z dwudziestką.

— Jak pan tu wszedł?

— Zwyczajnie – powiedział nieco zbity z tropu.

— „Zwyczajnie” – powtórzyłem przedrzeźniając jego ton.

— To niech pan czym prędzej zejdzie po schodach na dół i wynosi się do diabła. W holu jest napis „Żebrakom wstęp wzbroniony”.

— Ja nie żebrzę – obciągnął na sobie marynarkę. Było to tak, jakby ktoś chciał wygładzić piżamę po przespanej nocy. – Chcę panu coś sprzedać. Dwadzieścia za pięć. Ja dam panu...

— Chce pan, żebym wezwał policjanta?

Wyglądało, że się przestraszył.

— Dlaczego miałby pan wzywać policjanta? Czy ja zrobiłem coś takiego, żeby wzywać policjanta?

— Ostrzegam pana, że zaraz zadzwonię na dół i policjant będzie tu w jednej chwili. W tym budynku nie życzą sobie żebraków. W tym budynku robi się interesy.

Przejechał dłonią po twarzy ścierając nieco brudu, potem otarł rękę o klapę marynarki, na której został cały brud.

— Więc nie reflektuje pan? – spytał. – Dwadzieścia za pięć? Przecież pan kupuje i sprzedaje. Czy ja proponuję panu zły interes?

Podniosłem słuchawkę.

— W porządku – powiedział unosząc umazaną dłoń. – Już idę.

— Bardzo słusznie. I niech pan zamknie za sobą drzwi.

— W razie, gdyby się pan rozmyślił. – Zapusił rękę w kieszeń swoich brudnych, pogniecionych spodni i wydobył wizytówkę. – Może mnie pan znaleźć pod tym adresem. Prawie o każdej porze dnia.

— Spływaj pan – powiedziałem.

Wyciągnął rękę, upuścił wizytówkę na biurko, na stos ogłoszeń o nadwyżkach, kaszlnął ze dwa razy, spojrzął, żeby się upewnić, czy nie chwytam przynęty. Nie? Nie. I poszedł sobie.

Wziąłem wizytówkę w dwa palce, żeby ją wyrzucić do kosza.

I zatrzymałem się. Wizytówka. Było w tym coś diabła dziwnego – taki oberwaniec i wizytówka. Wizytówka.

Właściwie cały jego numer był niezwykły. Teraz trochę żałowałem, że nie pozwoliłem mu rozegrać sprawy do końca. Ostatecznie proponował mi tylko niecodzienną formę rabatu. Dobry rabat nie jest zły. Prowadzę mały interes, kupuję i sprzedaję, ale połowa moich aktywów to dobre pomysły. Pomysły pożyczam nawet od włóczęgów.

Wizytówka była czysta i biała poza brązową plamą pozostawioną przez jego palce. Widniały na niej wypisane ozdobnymi literami słowa *Mr Ogo Eksar*. Poniżej była nazwa i telefon hotelu w okolicy Times Square, niedaleko mojego biura.

Znałem ten hotel: niedrogi, ale i nie jakaś nora – coś tuż poniżej średniej. W rogu wizytówki był numer pokoju. Patrzyłem na ten numer i poczułem się jakoś dziwnie. Sam już nie wiedziałem. Chociaż, jak się zastanowić, dlaczego żebrak nie mógłby zameldować się w hotelu? „Bernie, nie bądź snobem” – powiedziałem sobie. Dwadzieścia za pięć. Jaki żebracki trick krył się za tym wstępem? Zabił mi porządnego ćwieka! Było tylko

jedno wyjście. Spytać kogoś. Ricardo? Ważny profesor z college'u. Jedna z moich najlepszych znajomości. Wiele mu zawdzięczałem – cynk o projekcie rozbudowy college'u wart lekką rączką półtora tysiąca, wyprzedaż mebli biurowych z ONZ, rzeczy w tym rodzaju. Prócz tego ilekroć miałem pytania wymagające wyższego wykształcenia, Ricardo był jak znalazł. Spojrzałem na zegarek. Ricardo powinien być teraz na uczelni i poprawiać prace, lub coś w tym rodzaju. Wykręciłem jego numer.

— Ogo Eksar? – powtórzył po mnie. – Nazwisko jakby fińskie. Albo estońskie. Znad wschodniego Bałtyku, powiedziałbym.

— Daj sobie z tym spokój – przerwałem mu. – Chodzi mi o coś innego. – I opowiedziałem o ofercie dwudziestu dolarów za pięć.

— Znów ten stary kawał! – roześmiał się.

— Czy to jakiś starożytny szwindel, który Grecy wycięli Egipcjanom?

— Nie. To pomysł amerykański. I nie ma tu żadnego oszustwa. Podczas kryzysu jedna z nowojorskich gazet wysłała reportera, który chodził po mieście z dwudziestodolarówką i proponował ją za jednego dolara. Nie było chętnych. Wniosek był taki, że nawet ludzie bez pracy i głodni tak boją się wyjść na frajerów, że gotowi są odrzucić łatwy zysk w wysokości tysiąca dziewięciuset procent.

— Dwadzieścia za jeden? U mnie było dwadzieścia za pięć.

— Sam wiesz, Bernie, inflacja – powiedział ze śmiechem. – I w naszych czasach chodzi zapewne o program telewizyjny.

— Telewizja? Szkoda, że nie widziałeś, jak ten facet był ubrany!

— Po prostu dodatkowy, logiczny chwyt, żeby ludzie nie traktowali propozycji poważnie. Socjologowie robią podobne rzeczy. Kilka lat temu grupa badaczy sprawdzała reakcję publiczności na uliczne kwesty na cele charytatywne. Wiesz, chodzą tacy po ulicach z puszkami: *Pomóż dwugłowym dzieciom. Zbiórka na powodzian z Atlantydy!* Więc poprzebierali studentów...

— Myślisz, że ten mój facet to było coś z tych rzeczy?

— Myślę, że to wielce prawdopodobne. Nie wiem tylko, po co zostawił ci wizytówkę.

— Teraz mogę się domyślić, po co. Jeżeli to jest jakaś sztuczka telewizji, to musi się z tym wiązać wiele innych rzeczy. Jakiś program z nagrodami rzeczowymi: lodówki, samochody, zamek w Szkocji, wszelkiego rodzaju łupy.

— Program z nagrodami? Tak, to możliwe.

Odłożyłem słuchawkę, wziąłem głęboki wdech i zadzwoniłem do hotelu. Eksar był tam rzeczywiście na liście gości i właśnie wrócił do siebie.

Zjechałem czym prędzej na dół i złapałem taksówkę. Kto wie, z kim jeszcze rozmawiał do tego czasu?

W windzie przez cały czas myślałem, jak przejść od dwudziestu dolarów do naprawdę tłustych kąsków, do telewizyjnych nagród nie zdradzając się przed Eksarem, że wiem, co jest grane. Jakoś tam będzie. Może on mi to sam ułatwi.

Zapukałem do drzwi. Powiedział „proszę” i wszedłem. Początkowo nic nie widziałem.

Pokój był mały, jak wszystkie w tym hotelu, mały, ciasny i cuchnący. Eksar nie zapalił światła i opuścił żaluzje.

Kiedy już moje oczy przystosowały się do ciemności, zobaczyłem Ogo Eksara. Siedział na łóżku od mojej strony. Nadal miał na sobie ten kretyński, jak psu z gardła wyjęty letni garnitur.

I co robił? Oglądał program na śmiesznym, małym, tranzystorowym telewizorku, który stał na biurku. Kolorowy, ale rozregulowany. Żadnych twarzy, żadnych obrazów, nic tylko pulsujące kolory. Czerwona plama, pomarańczowa plama i ruchliwa rama z błękitu, zieleni i czerni. Słysząc było głos, ale słowa też nie dawały się rozróżnić, jakieś „Wah–wah, de wah, de wah”.

— Tak – powiedział. – Za dużo zakłóceń. – Wyłączył telewizor i odstawił go. Żałowałem, że nie widziałem, kiedy działa normalnie.

Dziwna sprawa. Spodziewałem się zapachu alkoholu. Spodziewałem się kilku pustych butelek w koszu na odpadki. A tu ani śladu.

Jedynego zapachu, jaki utrzymywał się w pokoju, nie potrafiłem rozpoznać. Chyba był to skoncentrowany zapach samego Eksara.

— Cześć – powiedziałem czując się nieco niezręcznie, ze względu na sposób, w jaki go potraktowałem u siebie w biurze.

Nie wstał z łóżka.

— Ja mam dwudziestkę – powiedział. – A pan ma piątkę?

— Tak, myślę, że znajdę – powiedziałem grzebiąc w portfelu i starając się utrzymać ton żartobliwy. Eksar nie odezwał się słowem, nie zaprosił mnie, żebym usiadł. Wyjąłem banknot. – W porządku?

Pochylił się i spojrział, jakby mógł coś w tych ciemnościach zobaczyć.

— W porządku – powiedział. – Ale potrzebne mi jest pokwitowanie. Potwierdzone.

„E, co tam – pomyślałem. – Pokwitowanie to pokwitowanie”.

— W takim razie musimy zjechać na dół. Na Czterdziestej Piątej jest drogeria.

— Chodźmy – powiedział i wstał, pokaszując czterokrotnie w równych odstępach czasu.

Po drodze wstąpiłem do sklepu papierniczego i kupiłem kwitariusz. Kwit wypisałem na miejscu. Nowy Jork, data. Otrzymałem od Mr Ogo Eksara sumę dwudziestu dolarów w zamian za banknot pięciodolarowy numer...

— Czy to pana urządza? – spytałem. – Wpisuję numer, żeby wyglądało, że chciał pan kupić ten konkretny banknot.

Odwrócił głowę i przeczytał pokwitowanie. Potem sprawdził numer na banknocie, który trzymałem w ręku i kiwnął głową.

Musieliśmy poczekać, aż sprzedawca obsłuży kilku kupujących. Kiedy podpisałem kwit, sprzedawca przeczytał go, wzruszył ramionami i podstemplował.

Dałem mu dwa dolary, jako ten, kto zarabia na transakcji.

Eksar położył nowy, chrzęszczący banknot dwudziestodolarowy na ladzie. Obserwował mnie, kiedy oglądałem pieniądź pod światło, z jednej i z drugiej strony.

— Dobry? – spytał.

— Dobry. Rozumie pan: nie znam pana, nie znam pańskich pieniędzy.

— Jasne. Sam bym tak zrobił z nieznanym.

Schował pokwitowanie oraz moje pięć dolarów do kieszeni i skierował się do wyjścia.

— Halo – powiedziałem. – Spiesz się pan?

— Nie. – Zatrzymał się ze zdziwioną miną. – Nie śpieszę się. Ale dostał pan swoje dwadzieścia dolarów, tak jak się umówiliśmy. Interes skończony.

— Zgoda, interes skończony. Ale może napije się pan kawy? Wahał się.

— Ja stawiam – powiedziałem. – Chodźmy, napijemy się kawy. Zaniepokoił się.

— Pan się chce wycofać? Mam pokwitowanie. Potwierdzone. Dałem panu dwadzieścia, a pan mi pięć. Tak jak się umówiliśmy.

— Zgoda, zgoda – powiedziałem popychając go do stolika.

— Transakcja podpisana, przypieczętowana, towar dostarczony. Kto się wycofuje? Chcę tylko postawić panu małą kawę.

Twarcz rozjaśniła mu się wyraźnie mimo brudu.

— Za kawę dziękuję. Dla mnie zupa, zupa pieczarkowa.

— Dobrze, dobrze. Zupa, kawa, co za różnica? Ja wezmę kawę.

Siedziałem i przyglądałem mu się. Zgarbił się nad zupą i wlewał ją do ust, łyżka za łyżką, żywy obraz włóczęgi, który od rana nie miał nic w ustach.

Taki facet powinien leżeć gdzieś w rynsztoku albo awanturować się z wyrzucającym go policjantem, nie zaś mieszkać w przyzwoitym hotelu i jeść przyzwoitą zupę pieczarkową.

Ale to się zgadzało. Telewizja robi program z nagrodami i wynajmuje do rozdawania pieniędzy jakiegoś cholernie dobrego

aktora. Faceta, który będzie tak dobrym oberwańcem, że ludzie będą się z niego śmiać, kiedy im zaproponuje korzystną transakcję.

— Chce pan może coś jeszcze kupić? – spytałem go. Zatrzymał łyżkę w połowie drogi i zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Na przykład co?

— Czy ja wiem? Może chce pan kupić dziesięć za pięćdziesiąt? Albo dwadzieścia za sto?

Zastanowił się przez chwilę i zabrał się z powrotem do zupy.

— To żaden interes – powiedział z pogardą. – Co to za interes?

— Najmocniej przepraszam. Pomyślałem sobie tylko, że spytam. Nie przyszło mi do głowy, żeby pana wykorzystać. – Zapaliłem papierosa i czekałem.

Mój przyjaciel z umorusaną twarzą skończył zupę i wytarł usta papierową serwetką.

— Nie chce pan już nic kupić? Jestem tutaj i mam akurat trochę czasu. Jeżeli ma pan coś jeszcze na myśli, to możemy się nad tym zastanowić.

Zgniół serwetkę i wrzucił ją do talerza. Zamokła, bo zjadł grzyby, a zupę zostawił.

— Most przez Złote Wrota – powiedział nagle.

— Co? – Papieros wypadł mi z ręki.

— Most przez Złote Wrota. W San Francisco. Kupię go za... – spojrzał na sufit i myślał przez kilka sekund – powiedzmy za sto dwadzieścia pięć dolarów. Gotówka na stół.

— Dlaczego akurat most przez Złote Wrota? – spytałem jak krety.

— Bo ten mi jest potrzebny. Pytał pan, co jeszcze chcę kupić, i



to jest właśnie to. Most przez Złote Wrota.

— A most Washingtona pana nie urządza? Jest tutaj, w Nowym Jorku, nad rzeką Hudson. Po co kupować coś aż na wybrzeżu?

Wyszczерzył zęby, jakby w podziwieniu dla mego sprytu.

— O nie – powiedział poruszając kilkakrotnie lewym ramieniem. – Ja wiem, czego chcę. Most przez Złote Wrota w San Francisco. Sto dwadzieścia pięć. Albo pan sprzedaje, albo nie.

— Sprzedaję. Pan wie lepiej, czego pan potrzebuje. Ale zaznaczam: mogę sprzedać tylko swój udział w moście przez Złote Wrota, taki jaki mi zgodnie z prawem przypada.

Kiwnął głową.

— Potrzebny mi jest kwit. Proszę to zapisać.

Napisałem pokwitowanie i historia się powtórzyła. Właściciel drogerii uwierzył kwit, wrzucił stempel do szuflady pod kontuarem i odwrócił się do nas plecami. Eksar odliczył sześć dwudziestek i jedną piątkę z dużego zwitka szeleszczących nowiutkich banknotów. Resztę schował do kieszeni spodni i znowu skierował się do wyjścia.

— Kawa? – spytałem widząc to. – Może jeszcze zupki?

Odwrócił się z wyrazem zdziwienia i cały się jakby wstrząsnął.

— O co chodzi? Co pan chce jeszcze sprzedać?

Wzruszyłem ramionami.

— A co pan chce kupić? Niech pan powie. Może zrobimy jeszcze jakiś interes?

Wszystko to zabierało mi kupę czasu, ale nie miałem powodu do skarg. W ciągu piętnastu minut zarobiłem sto czterdzieści dolarów. No, powiedzmy sto trzydzieści sześć po odliczeniu kosztów notarialnych, kawy, zupy – uzasadnione i niewielkie

wydatki. Nie uskarżałem się.

Ale wciąż czekałem na wielki numer. Musiał być jakiś wielki numer.

Możliwe oczywiście, że z tym trzeba było wstrzymać się do samego programu. Będą mnie pytać, co myślałem dokonując z Eksarem tych idiotycznych transakcji, ja będę opowiadał i wtedy zaczną dawać lodówki, bony do Tiffany'ego i...

Eksar coś powiedział, kiedy błądziłem myślami po obłokach. Coś, co zabrzmiało cholernie obco. Poprosiłem, żeby powtórzył.

— Morze Azowskie – powiedział. – W Rosji. Dam panu za nie trzysta osiemdziesiąt dolarów.

Pierwsze słyszałem o czymś takim. Wydałem wargi i zastanawiałem się przez chwilę. Dziwna suma – trzysta osiemdziesiąt. I to za całe morze. Spróbowałem coś wytargować.

— Zaokrąglimy do czterystu i będzie po sprawie.

Zaniósł się kaszlem i robił wrażenie zirytowanego.

— O co chodzi? – mówił wśród kaszlu. – Trzysta osiemdziesiąt dolarów to jest zła cena? To jest małe morze, jedno z najmniejszych. Wszystkiego czternaście tysięcy mil kwadratowych. A wie pan, jaką ma największą głębokość?

Zrobiłem mądrą minę.

— Wystarczającą.

— Czterdzieści dziewięć stóp! – krzyknął Eksar. – Całego interesu czterdzieści dziewięć stóp. Kto panu da więcej za takie morze?

— Niech się pan uspokoi – powiedziałem poklepując go po brudnym ramieniu. – Podzielmy różnicę. Pan daje trzysta osiemdziesiąt, ja chcę czterysta. Dlaczego nie zgodzić się na

trzysta dziewięćdziesiąt?

Nie zależało mi specjalnie, dziesięć więcej, dziesięć mniej, ale byłem ciekaw, co z tego wyjdzie.

Uspokoił się.

— Trzysta dziewięćdziesiąt dolarów za Morze Azowskie – mruzczał sam do siebie nieco urażony, że wychodzi na frajera, że daje się nabierać. – Chcę tylko samo morze. Co innego, gdybym prosił pana o dorzucenie Cieśniny Kerczeńskiej albo na przykład Taganrogu...

— Niech pan posłucha – podniosłem rękę. – Nie jestem z kamienia. Pan mi da trzysta dziewięćdziesiąt, a ja dorzucę Cieśninę Kerczeńską jako premię. I co pan na to?

Rozważał tę propozycję. Pociągnął nosem i otarł go wierzchem dłoni.

— Dobra – powiedział wreszcie. – Zgoda. Morze Azowskie z Cieśniną Kerczeńską za trzysta dziewięćdziesiąt.

Buch i przybił pieczętkę właściciel drogerii. To „buch” było za każdym razem głośniejsze.

Eksar wypłacił mi sześć pięćdziesiątek, cztery dwudziestki i dziesiątkę w nowiutkich banknotach z grubej roli, którą trzymał w kieszeni spodni.

Pomyślałem, ile tam jeszcze zostało pięćdziesiątek i poczułem, jak w ustach zbiera mi się ślina.

— W porządku – powiedziałem. – Co teraz?

— Sprzedaje pan dalej?

— Za odpowiednią cenę bardzo chętnie. Co pan potrzebujesz?

— Potrzebuję dużo – westchnął – ale czy muszę wszystko kupić teraz? To jest pytanie, na które muszę sobie odpowiedzieć.

— Teraz ma pan okazję. Czy wiadomo, co będzie później? Może mnie pan nie znajdzie, może inni kupcy będą podbijać ceny – wszystko może się zdarzyć. – Odczekałem chwilę, ale on tylko marszczył się i kasłał. – Może Australia? – zaproponowałem. – Czy nie urządza pana Australia, powiedzmy, za pięćset dolarów? Albo Antarktyda? Antarktydę mógłbym odstąpić na bardzo korzystnych warunkach.

Jakby się zainteresował.

— Antarktyda? Po co komu Antarktyda? Nie – w ten sposób daleko nie zajadę. Kawałek tu, kawałek tam. Za drogo mnie to kosztuje.

— To są bardzo niskie ceny, panie kolego, i pan o tym dobrze wie. Nie zrobiłby pan lepszego interesu kupując hurtem.

— To może załatwimy to hurtem. Ile chce pan za całość?

— Nie wiem, o co panu chodzi. Za jaką całość?

Zniecierpliwił się.

— Za całość. Za świat. Ziemię.

— Ho, ho – powiedziałem. – To rzeczywiście dużo.

— Znudziło mi się kupowanie po kawałku. Czy da mi pan cenę hurtową, jeżeli kupię całość?

Potrząsnąłem głową niezobowiązująco, że to niby nie mówię tak, nie mówię nie. Zbliżała się forsa, wielka forsa. Liczono na to, że w tym miejscu roześmieję mu się w twarz i odejdę. Nawet się nie uśmiechnąłem.

— Przy całej planecie ma pan oczywiście prawo do ceny hurtowej. Ale o co chodzi, co dokładnie chce pan kupić?

— Ziemię – powiedział podchodząc tak blisko, że poczułem jego nieświeży oddech. – Chcę kupić Ziemię. Całą.

— To będzie kosztować. W ten sposób wyprzedam się całkowicie.

— Dam dobrą cenę. Zapłacę dwa tysiące dolarów gotówką, ale dostanę całą planetę, z prawami do bogactw mineralnych i ukrytych skarbów. No jak, zgoda?

— To diabelnie dużo.

— Wiem, że dużo – przyznał. – Ale płacę też dużo.

— To nie jest dużo za to, co pan chce kupić. Muszę się zastanowić.

To była wreszcie wielka forsa, wielka nagroda. Nie wiedziałem, ile pieniędzy telewizja pozwoliła mu wydać, ale byłem pewien, że dwa tysiące to była tylko wstępna propozycja. Tylko jaka powinna być rozsądna cena za cały świat?

Nie chciałem wyjść w telewizji na drobnego kanciarza. Na pewno kierownik programu określił Eksarowi jakąś sumę maksymalną.

— Naprawdę chce pan kupić wszystko? – spytałem. – Ziemię i Księżyc?

Uniósł brudną dłoń.

— Nie chcę całego Księżyca. Tylko prawa do korzystania z powierzchni. Resztę może pan sobie zatrzymać.

— To i tak jest bardzo dużo. Trzeba mieć znacznie więcej niż dwa tysiące, żeby kupić taki szmat nieruchomości.

Eksar zaczął się krzywić i wiercić.

— O ile... o ile więcej?

— Nie oszukujmy się. – Nadeszła wielka chwila! – Nie chodzi już o mosty, rzeki czy morza. Kupuje pan cały świat i kawałek drugiego. Takie rzeczy kosztują i musiał pan być przygotowany

na wydatek.

— Ile? – Eksar wyglądał tak, jakby miał wyskoczyć ze swego brudnego garniturku. Ludzie wchodzący i wychodzący z drogerii przyglądali nam się podejrzliwie. – Ile? – szepnął.

— Pięćdziesiąt tysięcy. Sam pan wie, że to diabelnie tanio.

Z Eksara jakby spuszczo powietrze. Nawet jego niesamowite oczy zapadły się w jednej chwili.

— Pan oszalał – powiedział cicho złamanym głosem. – Pan ma źle w głowie.

Odwrócił się i ruszył ku obrotowym drzwiom znużonym krokiem, który powiedział mi, że faktycznie przeholowałem. Nawet się nie obejrzał. Po prostu chciał się znaleźć jak najdalej.

Chwyciłem go za połą brudnej marynarki i przytrzymałem.

— Panie Eksar – mówiłem szybko, gdy on usiłował się wyrwać – widzę, że przekroczyłem pański budżet. Ale sam pan powie, że może pan dać więcej niż dwa tysiące. Chcę tyle, ile uda mi się wziąć. Niech pan powie, kto jeszcze traciłby tyle czasu na ceregiele z panem?

To do niego dotarło. Przekrzywił głowę, potem zaczął nią kiwać. Puściłem jego marynarkę. Znowu nawiązaliśmy kontakt.

— W porządku. Ja trochę ustąpię, pan trochę ustąpi. Niech pan coś dołoży. Jaka jest pańska najlepsza cena? Na ile pana stać.

Spojrzał na ulicę z namysłem, oblizał brudne wargi. Język też miał brudny. Słowo daje! Cały język miał pokryty jakimś czarnym świństwem.

— A co by pan powiedział – odezwał się po chwili – na dwa i pół tysiąca? To wszystko, co mogę dać. Nie mam ani centa więcej.

Trafił swój na swego. Eksar był urodzonym handlowcem.

— Może pan śmiało dać trzy tysiące – zachęcałem go. – Co to jest trzy tysiące? To tylko o pięć setek więcej. Niech pan pamięta, co pan za to kupuje. Ziemię, całą planetę plus prawa do połowu ryb, poszukiwania minerałów i ukrytych skarbów na Księżycu. Więc jak?

— Nie mogę. Po prostu nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę.

— Potrzęsnał głową, jakby chciał się uwolnić od wszystkich swoich tików i min. – Może zrobimy tak. Dam dwa tysiące sześćset za Ziemię i prawa do połowów oraz ukrytych skarbów na Księżycu. Zatrzyma pan prawa do bogactw mineralnych. Obejdę się jakoś bez nich.

— Dwa tysiące osiemset i może pan mieć prawa do minerałów. Widzę, że ma pan na nie ochotę. Po co sobie odmawiać? Może je pan mieć za marne dwieście dolarów.

— Nie mogę mieć wszystkiego. Niektóre rzeczy są za drogie. Co pan powie na dwa tysiące sześćset pięćdziesiąt z prawami do eksploatacji minerałów bez praw do ukrytych skarbów?

Czułem, że obaj idziemy na całego.

— To moja absolutnie ostatnia oferta – powiedziałem. – Nie mogę tracić na to całego dnia. Zgodzę się na dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt i ani centa mniej. Daję panu za to Ziemię i prawa do połowów na Księżycu. Albo prawa do ukrytych skarbów. Może pan sobie wybrać, co pan woli.

— No dobrze – powiedział. – Twardy z pana człowiek. Ustępuję panu.

— Dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt za Ziemię i prawa do połowów albo do ukrytych skarbów na Księżycu?

— Nie, równe dwa tysiące siedemset bez praw do Księżyca.

Rezygnuję z tego. Dwa tysiące siedemset za samą Ziemię.

— Zgoda! – zawołałem i podaliśmy sobie dłonie. Potem, objęci ramionami – cóż znaczy brudne ubranie, skoro facet wart był dla mnie dwa tysiące siedemset dolarów? – wróciliśmy znów do drogerii.

— Potrzebny mi jest kwit – przypomniał.

— Dobrze – powiedziałem. – Ale wypiszę tak jak poprzednio, że sprzedaję tylko należny mi udział. I tak dostaje pan dużo za swoje pieniądze.

— To pan dostaje dużo za swój towar – odparł natychmiast.

Podobał mi się. Wszystkie te jego tiki i brud nie przeszkadzały mi dostrzec w nim bratniej duszy.

Przyszliśmy do drogerii po poświadczenie i, słowo daję, nigdy w życiu nie widziałem człowieka bardziej zde gustowanego.

— Interes kwitnie, co? – powiedział. – Widzę, że rozkręcacie się coraz lepiej.

— Panie, pan masz tylko poświadczyć – powiedziałem mu i pokazałem kwit Eksarowi. – Czy to pana urządza?

Obejrzał kwit pokaszując.

— Prawnie należny panu udział, który ma pan prawo sprzedać. W porządku, i niech pan doda „jako pośrednik handlowy”. Wie pan, chodzi o pański zawód.

Zmieniłem kwit i podpisałem. Sprzedawca poświadczył.

Eksar wyciągnął swój zwitek banknotów z kieszeni spodni. Odliczył na szklaną ladę pięćdziesiąt cztery szeleszczące nowe pięćdziesięciodolarówki. Potem wziął pokwitowanie, złożył je, schował i skierował się ku drzwiom.

Zgarnąłem pieniądze i pośpieszyłem za nim.



— Może coś jeszcze?

— Nic więcej – powiedział. – To już koniec. Transakcja została zawarta.

— Wiem, ale może znajdziemy jeszcze coś.

— Nie ma już co szukać. Transakcja zawarta. – Z tonu głosu pojąłem, że mówi poważnie.

Zatrzymałem się i patrzyłem, jak wychodzi przez obrotowe drzwi. Wszedł na ulicę, skręcił w lewo i odszedł, jakby mu się Bóg wie jak śpieszyło.

To był koniec naszych interesów. W porządku. Miałem w portfelu trzy tysiące dwieście trzydzieści dolarów zarobionych jednego przedpołudnia.

Czy jednak byłem naprawdę dobry? Jaką maksymalną sumę przewidziano w budżecie programu? Czy dużo mi do niej zabrakło?

Miałem człowieka, który być może potrafił się tego dowiedzieć – Morrisa Burlapa.

Morris Burlap też robi interesy, ale w innej branży. Jest agentem teatralnym i prawdziwym specem w swoim zawodzie. Zamiast sprzedawać partię używanego drutu miedzianego albo, powiedzmy, narożny plac w Brooklynie, sprzedaje artystów. Na przykład zespół taneczny do hotelu w górach, pianistę do baru, didżeja albo komika do programu radiowego.

Zadzwoiłem do niego z najbliższej budki telefonicznej i opowiedziałem mu o programie telewizyjnym z nagrodami.

— Otóż, stary, chciałbym się dowiedzieć...

— Nie ma się co dowiadywać – przerwał mi. – Nie ma takiego programu.

— Musi być, Morris. Coś, o czym nie słyszałeś.

— Nie ma takiego programu. Ani w przygotowaniu, ani w próbach, nigdzie. Posłuchaj: zanim jakiś program zacznie rozdawać taką gotówkę, musi znaleźć się w planie, musi mieć wykupiony czas na antenie. A zanim jeszcze wykupi czas na antenie, musi przedstawić zapowiedź. Do tego czasu zwracają się do mnie w sprawie obsady i wiedziałbym o programie z dziesięciu różnych źródeł. Nie ucz, Bernie, szewca, jak buty robić. Kiedy mówię, że nie ma takiego programu, to znaczy, że nie ma.

Mówił z taką pewnością. Przemknęła mi przez głowę szalona myśl, ale odpędziłem ją. Nie. To niemożliwe. Nie.

— A zatem gazeta albo jakieś badania socjologiczne, tak jak mówił Ricardo.

Morris namyślał się przez chwilę. Gotów byłem siedzieć w tej dusznej budce i czekać, bo Morris Burlap miał głowę.

— Te cholerne dokumenty, pokwitowania... gazety i uczeni tak nie działają. Ani wariaci. Myślę, Bernie, że cię w coś wrabiają. Nie wiem w co, ale cię wrabiają.

To mi wystarczyło. Morris Burlap potrafił wywąchać szwindel, choćby owinięty był w najgrubszą warstwę szklanej waty. Nie mylił się nigdy. Nigdy.

Powiesiłem słuchawkę, usiadłem i myślałem. Szalona myśl wróciła i eksplodowała.

Jacyś faceci z kosmosu chcą mieć Ziemię. Potrzebna im jest jako kolonia, teren wypoczynkowy, diabli wiedzą jako co. Mają swoje powody. Są tak potężni i technicznie zaawansowani, że mogliby ją zająć, ale nie chcą uciekać się do przemocy. Potrzebne

im jest prawne zaczepienie.

No dobrze. Czyżby tym facetom z kosmosu wystarczył kawałek papieru podpisany przez jednego autentycznego mieszkańca Ziemi? Nie, to niemożliwe. Byle jaki kawałek papieru? Podpisany przez pierwszego lepszego?

Wrzuciłem dziesięciocentówkę do automatu i zadzwoniłem do college'u Ricarda. Nie było go. Powiedziałem telefonistce w centrali, że to bardzo ważna sprawa, zgodziła się więc podzwonić i poszukać go.

Cała ta reszta, myślałem sobie, most przez Złote Wrota, Morze Azowskie – wszystko to było przynętą tak samo jak kawał ze sprzedażą dwudziestu dolarów za pięć. Jest tylko jeden niezawodny sprawdzian, że facet ma to, o co mu naprawdę chodziło: kiedy przestaje mówić, zamyka sklep i znika.

W przypadku Eksara chodziło o Ziemię. Cała ta gadanina o prawach do Księżyca! Wszystko po to tylko, żeby zamaskować prawdziwy cel i wytargować lepsze warunki.

W ten sposób mnie urobił. Zupełnie, jakby specjalnie studiował mój styl działania. Jakby musiał kupić akurat ode mnie.

Dlaczego właśnie ode mnie?

Cały tekst na kwicie o moim udziale, o moich zawodowych uprawnieniach, co to wszystko do diabła miało znaczyć? Nie jestem przecież ani właścicielem Ziemi, ani nie zajmuję się sprzedażą planet. Zanim się sprzeda planetę, trzeba ją najpierw mieć. Tego wymaga prawo.

Co ja takiego sprzedawałem temu Eksarowi? Nie mam nieruchomości. Czy zajmą moje biuro, zażądadają kawałka

chodnika, po którym chodzę, stołka, na którym pijam kawę w barze?

To mnie sprowadziło do pierwszego pytania. Kto to są ci „oni”? Kto to są u diabła ci „oni”?

Telefonistka odnalazła wreszcie Ricarda. Był zdenerwowany.

— Jestem na radzie wydziału, Bernie. Może zadzwonię później?

— Tylko na chwilę – poprosiłem. – Wpakowałem się w historię. Nie wiem, co się szykuje. Potrzebuję rady.

Spiesząc się – słyszałem w tle głosy jakichś ważniaków – streściłem mu, co się stało od naszej porannej rozmowy. Jak Eksar wyglądał, jak pachniał, o tym dziwnym przenośnym telewizorku kolorowym, o tym, jak zrezygnował z praw do Księżyca i jak ulotnił się, kiedy tylko upewnił się co do Ziemi. Powiedziałem mu, co o tym sądzi Morris Burlap, o narastających we mnie podejrzaniach, słowem wszystko. – Tyle tylko – roześmiałem się, żeby zademonstrować, że nie biorę sprawy zbyt serio – że kim ja jestem, żeby ze mną robić taki interes, co?

Ricardo widocznie myślał intensywnie przez chwilę.

— Sam nie wiem, Bernie. To wszystko pasuje jedno do drugiego. W aspekcie ONZ.

— W aspekcie ONZ? Co za aspekt ONZ?

— Sprawa w aspekcie ONZ. To... studium ONZ, które opracowaliśmy dwa lata temu. – Mówił szyfrem ze względu na ludzi z college’u znajdujących się w pokoju. Ale zrozumiałem go. Zrozumiałem.

Eksar musiał od początku wiedzieć o interesie ze sprzedażą starego, wycofanego wyposażenia biurowego z siedziby ONZ w

Nowym Jorku, który mi nadał Ricardo. Dostałem wtedy coś, co nazwano pełnomocnictwem. Miałem gdzieś w kartotece kawałek papieru z nadrukiem Narodów Zjednoczonych, stwierdzający, że jestem ich pełnomocnikiem do sprzedaży zbędnego i używanego sprzętu i urządzeń.

Prawne zaczepienie!

— Czy myślisz, że to może wystarczyć? – spytałem Ricardo.

— Rozumiem, że Ziemię można uznać za sprzęt używany, ale zbędny?

— Prawo międzynarodowe jest diablo zawile, Bernie. A to może być jeszcze bardziej skomplikowane. Lepiej, żebyś się jakoś z tego wywikłał.

— Ale jak? Co mam robić, Ricardo?

— Bernie – powiedział poirytowany jak diabli – mówiłem ci, że jestem na radzie wydziału. Na radzie wydziału, rozumiesz? – i odłożył słuchawkę.

Wybiegłem z drogerii jak szalony i złapałem taksówkę z powrotem do hotelu Eksara.

Czego bałem się najbardziej? Sam nie wiem, byłem bliski hysterii. Ta sprawa była za duża na tak małego człowieczka jak ja, za duża i zbyt niebezpieczna. Zapisałbym się w historii jako największy frajer świata. Kto potem chciałby robić ze mną interesy? Czuję się jak ktoś, kogo poproszono by o sprzedaż zdjęcia, on mówi „proszę bardzo”, a potem okazuje się, że sprzedał zdjęcie jakiegoś supertajnego urządzenia wojskowego. Czuję się, jak ktoś, kto sprzedał swój kraj przez pomyłkę. Tyle że było jeszcze gorzej: sprzedałem, niech to szlag, cały swój świat. Musiałem go odkupić, musiałem!

Kiedy dopadłem Eksara, szykował się właśnie do opuszczenia hotelu. Pakował swój dziwny mały telewizorek do tandetnej walizki, jakie sprzedają we wszystkich domach towarowych. Zostawiłem drzwi otwarte, żeby wpuścić trochę światła.

— Transakcja została zawarta – powiedział. – Koniec z interesami.

Zasłoniłem sobą drzwi.

— Panie Eksar – powiedziałem – niech pan posłucha, do czego doszedłem. Po pierwsze, nie jest pan człowiekiem. Nie takim, jak ja, w każdym razie.

— Jestem znacznie bardziej ludzki niż pan, panie kolego.

— Możliwe. Ale chodzi mi o to, że nie jest pan z Ziemi. Po co panu Ziemia...

— Ja jej nie potrzebuję. Jestem tylko pośrednikiem. Reprezentuję kogoś.

Tak jest, wszystko jasne, miał rację Morris Burlap! Patrzyłem w rybie oczy Eksara wwiercające się teraz w moją twarz. Nie zszedłem mu z drogi.

— Jest pan pośrednikiem – powtórzyłem wolno. – Czyim? Po co im Ziemia?

— To ich sprawa. Ja jestem tylko pośrednikiem. Kupuję dla nich.

— Dostaje pan prowizję?

— Nie pracuję dla przyjemności.

Pewnie, że nie pracuje dla przyjemności – pomyślałem. Ten kaszel, te tiki i drgawki. I wówczas uświadomiłem sobie, co to znaczy. Nie był przystosowany do naszej atmosfery. Gdybym ja pojechał do Kanady, to zaraz dostałbym biegunki. Inna woda czy

coś podobnego.

A ten brud na jego twarzy to coś w rodzaju olejku do opalania! Ochrona przed naszym słońcem. Spuszczone żaluzje, twarz nasmarowana i ubranie zapaćkane, żeby pasowało do twarzy, Eksar nie był łązęgą. Co to, to nie. To ja byłem łązęgą. – Pracuj głową, Bernie – myślałem sobie. Ten facet zrobił cię na szaro!

— Za ile pan pracuje, dziesięć procent? – Żadnej odpowiedzi. Naparł na mnie, dyszał ciężko, wstrząsały nim drgawki. – Dam panu więcej niż oni. Wie pan, ile panu dam? Piętnaście procent! Nie mogę wprost patrzeć, jak ktoś tyra za głupie dziesięć procent.

— A co z etyką? – spytał ochrypłym głosem. – Mam przecież klienta.

— I kto tu mówi o etyce! Facet, który kupił, cholera, całą Ziemię za dwa tysiące siedemset! Pan to nazywa etyką?

Teraz on się zirytował. Postawił walizkę i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Nie, nazywam to interesem. Ja proponuję interes, pan przyjmuje. Odchodzi pan zadowolony, że mu się udało. A potem nagle wraca pan z płaczem, że pan tego nie chciał, że sprzedał pan za dużo za tę cenę. Trudno. Ja mam swoją etykę: nie wystrychnę na dudka swojego klienta dla przyjemności jakiejś płaksy.

— Nie jestem płaksą. Jestem tylko biednym człowiekiem, który usiłuje zarobić na kawałek chleba. A mam do czynienia z wielkim rekinem z innego świata, który ma do dyspozycji różnego rodzaju sztuczki, kruczki i wybiegi.

— A jakby pan miał te kruczki i wybiegi, toby pan z nich nie skorzystał?

— Są rzeczy, których bym nie zrobił. Niech się pan nie śmieje, Eksar. Mówię poważnie. Nie nabrałbym faceta leżącego w żelaznym płucu. Nie nabrałbym biednego człowieka z małego kantorka pod schodami na sprzedaż całej jego planety.

— Pan ją rzeczywiście sprzedał – powiedział. – Ten kwit uznają wszędzie. Rozporządzamy odpowiednim aparatem, który tego dopilnuje. Z chwilą gdy mój klient wejdzie w posiadanie Ziemi, ludzkość jest skończona, kaput, przepadła. I pan będzie tego sprawcą.

Było gorąco w tym hotelu i pocilem się jak mysz pod miotłą. Ale czułem się już lepiej. Okazało się, że Eksar gotów był do pertraktacji. Wyszczrzyłem do niego zęby.

Zmienił się trochę na twarzy pod tym całym brudem.

— Więc co mi pan proponuje? – spytał przez kaszel. – Niech pan wymieni sumę.

— Niech pan zaproponuje cenę. Pan ma towar, ja mam gotówkę.

— Ech! – stęknął zniecierpliwiony i odepchnął mnie z przejścia. Ależ był silny! Pobiegłem za nim do windy.

— Ile pan chce, Eksar? – spytałem, kiedy zjeżdżaliśmy na dół. Wzruszył ramionami.

— Mam planetę i mam na nią kupca. To pan ma nóż na gardle i musi kombinować.

To gnida! Ma odpowiedź na każdy ruch!

Wymeldował się z hotelu i wyszedłem za nim na ulicę. Szliśmy Broadwayem i ja proponowałem mu trzy tysiące dwieście trzydzieści, które od niego dostałem, on zaś dowodził, że nie zarobi na życie dając i odbierając tę samą sumę pieniędzy przez



cały dzień.

— Trzy tysiące czterysta? – zaoferowałem. – Chciałem powiedzieć trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt. – Szedł przed siebie nie zwalniając.

Jeżeli nie uda mi się wymienić sumy, jakiegokolwiek sumy, to będzie po mnie.

Zabiegłem mu drogę.

— Eksar, przestańmy się nawzajem kołować. Niech pan wymieni cenę. Zapłacę, ile pan zażąda.

To go ruszyło.

— Naprawdę? Nie będzie się pan targował?

— Czy ja się mogę targować? Jestem przyparty do muru.

— No, dobrze. Pójdę panu na rękę i zaoszczędzę sobie długiej podróży do klienta. Jaka cena będzie najsprawiedliwsza dla mnie, dla pana i dla wszystkich? Powiedzmy równe osiem tysięcy?

Osiem tysięcy – to było prawie dokładnie tyle, ile miałem w banku. Znał stan mojego konta na dzień bieżący!

Znał również moje myśli.

— Kiedy się chce z kimś zrobić interes – powiedział przez kaszel – to się go trochę sprawdza. Ma pan osiem tysięcy i trochę drobnych. To nie jest dużo za uratowanie życia.

Wszystko we mnie zawrzało.

— Nie dużo? No to dowiedz się, cholerna siostró miłosierdzia, że ich nie dostaniesz! Trochę mogłem dać, ale oddać wszystko co do grosza? Tego nie zrobię dla ciebie, dla Ziemi, dla nikogo!

Na mój krzyk zbliżył się policjant i musiałem się pohamować, dopóki się nie oddalił.

Ratunku! Policja! Kosmici rabują! – chciało mi się zawołać. Jak będzie wyglądać za dziesięć lat ulica, na której stoimy, jeżeli nie wydobędę od Eksara rachunku?

— Panie Eksar, w dniu kiedy pański klient obejmie w posiadanie Ziemię powiewając moim kwitem, zawisnę na latarni. Ale mam tylko jedno życie i to życie polega na kupowaniu i sprzedawaniu. Bez kapitału nie mogę sprzedawać i kupować. Zabierzcie mi kapitał i jest mi wszystko jedno, do kogo należy Ziemia.

— Gadaj pan zdrów – powiedział Eksar.

— Nie żartuję. Mówię szczerą prawdę. Zabierzcie mi mój kapitał i życie traci dla mnie wszelką wartość.

Ten ostatni kawałek jakby go ruszył. Sam miałem prawie łyzy w oczach, kiedy to mówiłem. Zapytał, ile tego kapitału potrzebuję – pięćset dolarów? Powiedziałem mu, że nie wytrzymałbym w interesie jednego dnia, bez sumy siedmiokrotnie wyższej. Na to on spytał, czy rzeczywiście chcę kupić swoją zakichaną planetę, czy też może mam urodziny i spodziewam się, że on mi zrobi z niej prezent.

— Niech mi pan nie daje swoich prezentów – odpowiedziałem. – Niech je pan daje grubym ludziom. Pomogą im lepiej niż dieta cud.

I tak dalej. Obaj wychodziliśmy ze skóry, żeby przegadać tego drugiego, przysięgaliśmy na wszystkie świętości, spieraliśmy się i targowaliśmy, kręciliśmy i kombinowaliśmy. Żaden z nas nie chciał się poddać.

Żaden też się nie poddał. Trzymaliśmy się obaj, aż doszliśmy do sumy, na którą liczyłem od początku, no, może nieco większej.

Sześć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów.

Było to i tak znacznie więcej, niż ja dostałem od Eksara. Ostateczna transakcja. No cóż, mogło skończyć się gorzej.

Znowu omal nie zerwaliśmy umowy, kiedy doszło do płacenia.

— Pański bank jest niedaleko. Zdążymy przed zamknięciem.

— Po co się spieszyć, żebym dostał zawału? Mój czek jest wart tyle, co złoto.

Wreszcie udało mi się przekonać go, żeby przyjął czek. Wypisałem, wręczyłem mu, a on oddał mi wszystkie moje pokwitowania. Co do jednego. Potem chwycił swoją walizeczkę i odszedł.

Prosto, Broadwayem, bez pożegnania. Sam interes, nic tylko interes. Nawet się nie obejrzał.

Nic tylko interes. Nazajutrz rano dowiedziałem się, że poszedł prosto do mojego banku i zdążył zarejestrować mój czek. I co wy na to? Nie mogłem nic poradzić. Byłem biedniejszy o sześć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów. Zachciało mi się z nim porozmawiać.

Ricardo nazwał mnie Faustem. Wyszedłem z banku waląc się pięścią w czoło, po czym zadzwoniłem do niego i do Morrisa Burlapa, żeby umówić się z nimi na lunch. W drogiej restauracji wybranej przez Ricarda opowiedziałem im całą historię.

— Bernie Faust – powiedział Ricardo.

— Jaki Faust? – spytałem. – Co za Faust? Kto to jest Faust?

No i Ricardo opowiedział nam o Fauście. Tyle że ja byłem nowym Faustem, dwudziestowiecznym amerykańskim Faustem. Tamci chcieli wiedzieć, a ja – posiadać.

— Ale ja nic nie posiadałem – przypomniałem mu. – Ja

straciłem. Dałem się zrobić na sześć tysięcy sto pięćdziesiąt dolarów.

Ricardo roześmiał się i odchylił na oparciu krzesła.

— O, moje kochane złoto – powiedział pod nosem. – O, moje kochane złoto.

— Co mówisz?

— Cytuję, Bernie. Z „Tragicznej historii doktora Faustusa” Marlowe’a. Nie pamiętam kontekstu, ale to pasuje: „O, moje kochane złoto”.

Spojrzałem na Morrisa Burlapa, ale z jego twarzy nie można było nic odczytać. Prawdę mówiąc w swoim tweedowym ubraniu i z poważnym, zamyślonym spojrzeniem bardziej wygląda na profesora niż Ricardo. Ricardo jest nieco zbyt elegancki.

We dwójkę reprezentowali tyle wiedzy i inteligencji, ile tylko można sobie wymarzyć. Dlatego właśnie na domiar strat, jakie poniosłem przez Eksara, płaciłem ciężko za ten lunch.

— Morris, powiedz szczerze. Czy ty go rozumiesz?

— Co tu jest do rozumienia, Bernie? Cytat o złocie? Może w tym jest cała odpowiedź.

Spojrzałem na Ricarda. Zajadał włoski budyń śmietankowy. Równie dwa dolary kosztuje tutaj taki budyń.

— Powiedzmy, że to był kosmita – odezwał się Morris Burlap.

— Powiedzmy, że przybył skądś z kosmosu. No dobrze, ale po co kosmicie amerykańskie dolary? Po ile im tam wymieniają dolary?

— Myślisz, że potrzebował ich, żeby kupić coś na Ziemi?

— Tak właśnie myślę. Ale co chciał kupić? Oto jest pytanie. Co

mógł z Ziemi potrzebować?

Ricardo skończył budyń i otarł usta serwetką.

— Sądzę, Morris, że jesteś na właściwym tropie – powiedział i skierował teraz uwagę na niego. – Wyobraźmy sobie cywilizację znacznie bardziej rozwiniętą niż nasza. Taką, która uważa, że nie dojrzeliliśmy do kontaktu z nimi i ogłosiła małą, zacofaną Ziemię strefą zakazaną. Jedynie zdecydowani na wszystko przestępcy ważyliby się łamać ten zakaz.

— Skąd przestępcy w tak rozwiniętym społeczeństwie?

— Każde prawo rodzi przestępców, tak jak kura znosi jajka. Poziom cywilizacji nie ma z tym nic wspólnego. Zaczynam teraz rozumieć tego Eksara. Pozbawiony skrupułów rycerz fortuny, kosmiczna wersja zabijaki z tych, którzy sto i więcej lat temu wyruszyli na morza południowe. Zdarzało się, że statek rozbijał się na rafie koralowej i wówczas cholerny poszukiwacz skarbów z Bostonu zostawał do końca życia wśród prymitywnych, zacofanych krajowców. Jestem pewien, że potraficie dopowiedzieć sobie dalszy ciąg.

— Ja nie potrafię. Gdybyś zechciał, Ricardo...

Morris Burlap zażyczył sobie jeszcze jeden koniak. Zamówiłem. Nigdy nie widziałem, żeby był tak bliski uśmiechu. Pochylił się ku mnie konfidencjonalnie.

— Ricardo ma rację, Bernie. Postaw się na miejsce tego Eksara. Rozbija swój statek na brudnej małej planecie, do której *notabene* nie miał prawa się zbliżyć. Może dokonać prowizorycznego remontu materiałami dostępnymi na miejscu, ale musi je kupić. Najmniejszy szum, rozgłos i siedzi w mamrze za kosmiczne przestępstwo. Powiedzmy, że ty jesteś Eksarem, co byś zrobił?

Teraz rozumiałem.

— Kombinowałbym i handlował, czym się da. Miedziane bransoletki, szklane paciorki, dolary, wszystko, co by mi wpadło w ręce, żeby tylko kupić potrzebne części. Może zacząłbym od sprzedania czegoś ze statku, znalazłbym jakąś nowinkę, która spodobałaby się krajowcom. Ale wszystko to są ziemskie, ludzkie pojęcia o interesach.

— Słuchaj, Bernie – powiedział Ricardo – swego czasu Indianie wymieniali skóry bobrów na ładne muszelki w miejscu, gdzie teraz stoi Giełda Nowojorska. Zapewniam cię, że w świecie Eksara też robi się interesy i to takie, przy których nasze transakcje giełdowe wyglądają jak gra w klasy.

— Więc od początku bawił się ze mną jak kot z myszą. Zostałem zrobiony na perłowo ze szlaczkiem przez oszusta supermana – mruknąłem pod nosem.

Ricardo kiwnął głową.

— To był handlowy Mefistofeles uchodzący przed gromami z niebios. Musiał podwoić swoje pieniądze, żeby mu starczyło na zakup części. Posłużył się w tym celu fantastycznie rozwiniętą techniką handlową swego świata.

— Ricardo chce ci powiedzieć – wtrącił prawie szeptem Morris Burlap – że facet, z którym przegrałeś, był od ciebie o wiele większy.

Czułem, jak ramiona opadają mi bezwładnie.

— Co za różnica – powiedziałem – czy stratował kogoś koń, czy słoń? Ważne, że jest stratowany.

Zapłaciłem, wziąłem się w garść i wyszedłem. Potem zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę było tak, jak mówili. Bawiło ich

wyobrażanie sobie mnie w roli kosmicznego frajera. Ricardo to błyskotliwy umysł, Morris Burlap jest bystry jak diabli, ale co z tego? Pomysły, tak. Fakty, nie. A oto fakt.

Z końcem miesiąca bank przysłał mi zawiadomienie o stanie konta. Czek, który dałem Eksarowi został zrealizowany w wielkim sklepie na ulicy Cortland. Znałem ten sklep. Robiłem z nimi interesy. Pojechałem tam i przepytalem ich.

Sprzedają głównie przeceniony sprzęt elektroniczny i to właśnie, jak mi powiedziano, kupił Eksar. Złożył oszaleńczo wielkie zamówienie na tranzystory i transformatory, rezystory i obwody drukowane, lampy, przewody, narzędzia i tym podobne. Groch z kapustą, jak mi powiedzieli, kupa części, które do siebie nie pasują. Ekspedient odniósł wrażenie, że klient musiał wykonać jakąś pilną pracę i kupował rzeczy najbardziej zbliżone do tego, czego naprawdę potrzebował. Zapłacił kupę forsy za transport: kazał wszystko wysłać do jakiejś zabitej deskami miejsciny w północnej Kanadzie.

To jest fakt. Muszę go przyjąć. A oto następny fakt.

Jak już wspomniałem, robiłem z tym sklepem interesy. Mają najniższe ceny w okolicy. I jak myślicie, dlaczego mogą tak tanio sprzedawać? Jest tylko jedna odpowiedź: dlatego, że tanio kupują. Kupują po najniższych cenach i guzik ich obchodzi jakość: chcą wiedzieć tylko, ile zarobią. Ja sam opchnąłem im kupę elektronicznego złomu, którego nikt inny nie chciał, wybrakowane elementy, niepewne, prawie niebezpieczne.

Rozumiecie? To jest coś, co mi poprawia humor.

Widzę tego Eksara w kosmosie. Naprawił swój statek i leci zrobić następny interes. Silniki mruczą, statek leci, a on siedzi

sobie z wielkim uśmiechem na brudnej gębie: wspomina, jak mnie wykołował i jak mu łatwo poszło.

Pęka ze śmiechu.

Nagle zgrzyt i woń spalenizny. W obwodzie przedniego silnika iskra przebiła słabą izolację i obwód kopci się jak diabli. Przestraszył się. Włącza pomocnicze. Pomocnicze silniki nie działają – wiecie dlaczego? Wysiadają w nich lampy, które od początku były do niczego. Bach! To krótkie spięcie w tylnym silniku. Trach! To stopił się wadliwy transformator w środkowym sektorze.

I siedzi otoczony milionami mil pustki kosmicznej, bez części zamiennych, bez narzędzi, które rozsypują mu się w rękach – i nigdzie żywej duszy, którą mógłby okpić.

Ja zaś siedzę u siebie w biurze myśląc o tym i pękam ze śmiechu. Bo bardzo prawdopodobne, że to, co nawala w jego statku, pochodzi z któregoś transportu elektronicznego złomu, który ja, Bernie Faust, osobiście sprzedałem do tego sklepu.

Tego tylko pragnę. Żeby tak właśnie się zdarzyło.

Faust. Wtedy on dostałby Fausta ode mnie. Prosto w nos. Faust. Rozwalić mu ten łeb. Faust. Ja bym mu pokazał Fausta!

Cały szkopał w tym, że nigdy się nie dowiem, jak tam było naprawdę. Za to wiem na pewno, że jestem jedynym w dziejach ludzkości facetem, który sprzedał, cholera, całą planetę.

A potem odkupił ją z powrotem!

*Przełożył Lech Jęczmyk*



## O autorze

William Tenn (1920–2010), pseudonim amerykańskiego pisarza Philipa Klassa, urodzonego w Anglii. William Tenn to autor wielu znakomitych opowiadań, humorystycznych, zaskakujących kolejnymi zwrotami akcji. W Polsce nakładem Phantom Pressu i staraniem Wiktora Bukato ukazało się aż 5 tomików jego opowiadań. Ma na swoim koncie 2 powieści i 60 opowiadań, artykuły i eseje naukowe. Po rozpoczęciu pracy akademickiej pisał już rzadziej fantastykę, ale był jej wierny do końca.

Jego ulubionym tematem była podróż w czasie i wynikające z niej komplikacje, co pozwalało mu znakomicie rozwinąć swoje talenty satyryczne.

Mistrz krótkiej formy, Theodore Sturgeon nazwał Tenna jednym z najbardziej genialnych i dowcipnych pisarzy SF wszech czasów. Całkowicie zasłużenie.

Opowiadanie *Bernie Faust* pochodzi z 1965 roku i jest znakomitym przykładem dowcipu Williama Tenna.

---

## ROBERT ZACKS

---

*Są autorzy trafiający do fantastyki przypadkiem, przejazdem, napiszą jedno zacne opowiadanie i słuch po nich ginie. Taki jest Kontroler Zacksa. Niewiele wiadomo o samym autorze, ale tym tekstem trafił w sedno. Dzisiaj wszyscy mają manię na punkcie praw autorskich i copyrightów, znakomity pisarz Harlan Ellison na procesowanie się wydał cały majątek. Czy urządzenie takie jak kontrolerks załatwiłoby sprawę?*

### Kontroler

Jes wypadł z łóżka. Śniło mu się, że płynie na lodowcu, a wichur złowieszczo chichoce. Kiedy drząc całym ciałem otworzył oczy, zrozumiał, że jego żoneczka, Laurie, wyłączyła dopływ ciepła. Teraz stała nad nim, świdrując posępnym wzrokiem. Włosy miała dziś karminowe o ślicznym odcieniu, z modną złotą pręgą nad czołem. Nie łagodziło to jednak mroźnego wyrazu twarzy.

— Wstawaj, nicponiu – rzekła swym słodkim kontraltem. – Wstawaj i idź zarobić trochę kredytek, bo cię podam do rejestracji.

Na samą myśl, że Agencja Ekonomiczna mogłaby go przerejestrować do Wyznaczonych Robót, co oznaczało też beznadziejną nudę Opieki Świetlicowej, JES skoczył na równe

nogi i zaczął szukać butów.

— Cudna dziś jesteś, kochanie! – próbował ją ułagodzić. – Nie zasłużyłem na taką żonę!

— Co to, to masz rację! – odparła z goryczą Laurie. – Kiedy pomyślę o prawdziwych mężczyznach, za których mogłam wyjść, o wspaniałym życiu, jakie mogłam prowadzić, zamiast się marnować przy takim niedołędzie jak ty...

— Czasami zarabiam przecież nieźle. Trzy lata temu wysłałem cię na miesiąc do Pałacu Rozkoszy, pamiętasz?

— Trzy lata temu! Wielkie rzeczy!

Wybiegła z pokoju. Jes podszedł smutny do szafy i obejrzał różne mundury i przebrania, stanowiące część jego wyposażenia jako Kontrolera Rejestrowego. Wybrał czarnosrebrzysty trykot Inspektora Zanieczyszczeń Powietrza, myśląc tęsknie o dobrych czasach, kiedy Laurie jeszcze się uśmiechała do niego. Natychmiast też doznał przyływu zdecydowania, by dzisiaj dokonać wielkich rzeczy. Może los będzie mu sprzyjał i zarobi wysoką prowizję. A wtedy Laurie...

Telewizor bzyknął, błysnął i na ekranie ukazała się dobroduszna twarz urzędnika z Biura Stosunków Małżeńskich.

— Dzień dobry, Jes – rzekł z uśmiechem. – Jak układają się sprawy między tobą i twoją ukochaną?

— Nędznie – jęknął Jes. – Laurie ma dziś humorek doprawdy ohydny.

— Świetnie, świetnie, cieszę się, że to słyszę. – Biuro Stosunków Małżeńskich było zupełnie rozpromienione.

— Co? – wybąkał Jes.

— Jej Wskaźnik Sadyzmu skoczył o pięć punktów – wyjaśnił

urzędnik. – Chciałem się właśnie upewnić, czy nie popełniliśmy jakiejś omyłki. Ale teraz widzę, że wszystko rozwija się dobrze. Macie najlepsze widoki przed sobą.

— Dobrze? Najlepsze widoki? Kpisz sobie ze mnie?

— Spokój, spokój! Już my lepiej wiemy, co dla ciebie jest dobre. Masz, jak ci wiadomo, wcale wysoki wskaźnik masochizmu. Więc Laurie jest dla ciebie w sam raz. Powiedziałbym, że jesteście po prostu stworzeni dla siebie.

Urzędnik raptownie urwał, jakby coś nagle zaparło mu dech. Telewizor błysnął parę razy i zgasł, Jes jednak nie miał czasu się dziwić, gdyż srebrzysty głos dzwonka – *dzyń* – skierował jego uwagę na Kontrollex. Był to płaski przenośny aparacik, dwa cale na sześć, z którym Jes nigdy się nie rozstawał. Kontrollex stał teraz na półce, a czerwony znak alarmowy sygnalizował jakieś pogwałcenie. Na tarczy widniała wskazówka: Bx-P-203.

Drżącą dłonią Jes nacisnął guzik z lewej strony Kontrollexu, a z głośnika ukrytego w aparaciku, rozległ się mechaniczny głos, podający szczegóły.

— Bx-P-203 – Godzina ósma dziesięć, Kontrollex 27965 Kontrolera Rejestrowego Jesa stwierdził naruszenie praw do frazesu „stworzeni dla siebie”. Frazes stanowi własność zgłoszoną do Rejestru na zasadzie Ustawy z roku 1996 o Frazesach Słownych przez właścicieli: Wytwórnię Filmową Magnum i Powszechną Spółkę Wydawniczą. Należność za użycie frazesu – 80 kredytek, prowizja – 50 procent.

Głos ucichł, a Kontrollex rozjarzył się napisem: Płatne natychmiast i bez rozkładania na raty.

Jes pisnął z radości, a Laurie przybiegła z drugiego pokoju.

— Słyszałam, jak Kontrolex dzwonił – wykrzyknęła.

— A tak! – piszczał z uciechy Jes. – Dobrze się spisuję, co? Byłem na tyle sprytny, że zostawiłem Kontrolex otwarty na całą noc. I przychwycił pogwałcenie wyłączności słownej...

— Zostawiłeś otwarty na całą noc? – wrzasnęła Laurie, której radość od razu zgasła. – Ty ośle! Opłata za czynny Kontrolex wynosi dziesięć kredytek za godzinę, prawda? A ile dostaniesz prowizji od tego pogwałcenia?

— Czterdzieści. Tym razem może się nie opłaciło, ale...

Laurie zakomunikowała mu swoje zdanie o jego rzekomym sprycie.

Nieszczęsny Jes podszedł do telewizora i nacisnął wyłącznik, który przywołał na ekran postać urzędnika z Biura Stosunków Mażeńskich. Zaraz cofnął się gwałtownie na widok jego twarzy.

— Strasznie mi przykro, staruszkule – bąknął potulnie Jes – ale to mój zawód. Będziesz musiał bulić za tych „stworzonych dla siebie”. Frazes jest własnością...

— Ach, ty obmierzły szpiclu! – ryczała twarz z ekranu telewizora. – Twój dziadek brał pewnie procent za donosy na przemytników brylantów!

— Mój dziadek... – łagodnie oponował Jes.

— Do diabła! – miotał się tamten. – Żeby człowiek nie mógł nawet powiedzieć kilku słów bezpłatnie...

Jes zmieszał się jeszcze bardziej i zaczął gwałtownie manipulować wyłącznikami. Środek ekranu opustoszał, Biuro Stosunków Mażeńskich przesunęło się w prawo, a z lewej strony ukazała się sucha, ascetyczna twarz bezpośredniego zwierzchnika Jesa – Dirdona.

— O co chodzi? – zapytał Dirdon przeszywając Jesa oczyma.

— Zażalenie na cel i sens Prawa o Rejestrze – odparł nerwowo Jes. – Może pan to rozpatrzy, szefie? Przełączam.

Dirdon zacisnął usta i skinął głową, a Jes przestawił wyłącznik. Rozmówcy zaraz się odwrócili do niego profilem, gdyż widzieli siebie nawzajem na swoich ekranach.

— Zgłasza pan zażalenie? – spytał Dirdon.

— Nie wiem, coś pan za jeden – wrzeszczało Biuro Stosunków Mażeńskich – ale przypuszczam, że należysz do bandy tych rejestrowanych kanciarzy. To zupełnie dzika historia z tą nową ustawą. Rozumiem, że można zastrzegać prawo do dzieła sztuki czy wynalazku. Ale rozciągać to na mowę codzienną, na utarte zwroty...

— Chwileczkę! – przerwał mu Dirdon. – Myślę, że kupuje pan karty z życzeniami?

— Kupuję! No to co?

— A czym one są, ściśle biorąc? Po prostu kawałkami papieru z paru słowami wyrażającymi jakieś uczucia. Z paru słowami, które każdy potrafi...

— Każdy kretyn potrafi lepiej wyrazić swoje uczucia niż te parszywe karty.

— Mimo to pan je czasem kupuje?

— Tak... czasami...

— A dlaczego?

— Chyba dlatego, że mi to oszczędza kłopotu pisania – odmruknął tamten.

— Zgoda. Ale płaci pan za tych parę kretyńskich frazesów. Płaci pan w dobrych, solidnych kredytkach. Bo karty są

chronione. Więc dlaczego odmawiać ochrony właścicielowi frazesu wtedy, kiedy ktoś używa go słownie?

— Ależ ja nie chciałem naruszać Prawa o Rejestrze – wołał tamten z rozpaczą. – Nie wiedziałem wcale, że ten frazes jest zarejestrowany. Skąd miałem wiedzieć? Codziennie ich przybywa, codziennie ktoś zgłasza wyłączność! Jeszcze trochę i nie zostanie ani jednego wolnego słowa.

— To nieprawda – zaproponował Dirdon. – Prawo o Rejestrze to prawdziwe dobrodziejstwo dla społeczeństwa. Paragraf 7 stawia za warunek wzięcia pod ochronę, by frazes *był wytarty, nadużywany i artystycznie tak już zwietrzały, że stał się nużącym truizmem*. Oznacza to karne opłaty za banał słowny, co jest rzeczą słuszną i właściwą. Panie, pan przecież powinien się wstydzić użycia takiego zwrotu jak „stworzeni dla siebie”. Więc należy się wdzięczność kontrolerom, takim jak Jes, którzy zmuszają pana do ostrożności w mówieniu i namysłu, nim pan cokolwiek powie.

— Słuchaj pan, głupcze...

— Obywatele – ciągnął Dirdon w zapale oratorskim – już teraz używają słownictwa bardziej bogatego, przejawiają inwencję słowną, odrzucają zwroty oklepane!

Biuro Stosunków Mażeńskich skrzywiło się ze wstrętem.

— A niechże cię diabli wezmą!

*Dzyń!*

Urzędnik z BSM jęknął tylko, gdy Kontroler Jesa zapłonął czerwonym sygnałem nowego naruszenia. Jes wesoło uśmiechnął się i włączył głośnik.

— MzR14 – wybrzecztał mechaniczny głos. – Godzina ósma

trzydzieści. Kontrolex 27965 Kontrolera Rejestrowego Jesa stwierdził naruszenie...

Tamten zasłonił uszy. Po chwili opuścił ręce i patrzył otepiały z ekranu, podczas gdy Dirdon wykrzywił się szyderczo.

— Ile się za to należy? – spytał.

— Użycie słów „niech cię diabli” kosztuje dziesięć kredytek – rzekł Jes. – Wystawimy jeden rachunek za oba pogwałcenia.

Twarz Dirdona promieniała, gdy Jes całkowicie wyłączył telewizor.

Nagle przypomniał sobie, że Laurie stoi tuż przy nim. Zwrócił się do niej.

— Widzisz, kwiatuszku? – powiedział radosnym tonem. – Nawet jeśli straciłem parę kredytek przez to, że zostawiłem Kontrolex otwarty całą noc, dzień zaczął się szczęśliwie. Mogę iść o zakład, że dzisiaj zarobię tyle, żeby cię wysłać na jakąś przyjemną wycieczkę.

Laurie spojrzała nań zimno spod przymrużonych powiek.

— Radzę, żebyś się postarał – odparła. – Bo mam już ciebie powyżej uszu. I albo wrócisz z workiem kredytek, albo jeszcze dziś przed północą podam cię do rejestracji.

Jes skinął tylko głową ze strachem. Pochwycił z wieszaka pas grawitacyjny, wypadł z pokoju i zatrzymał się, by zapiąć sprzączki, dopiero wtedy, gdy Laurie trzasnęła za nim drzwiami.

Wzdychając, umocował pas i wzbił się w powietrze. Wyfrunął przez wylot sześćdziesiątego piętra i zmieszał się z tłumem na wysokości dwóch tysięcy stóp.

Nastawił pas na szybkość trzydziestu mil na godzinę i zrównał się z osobnikiem w ciemnoszarym mundurze Obywatela bez



Przydziału. Widząc nieszczęsny wyraz poranej zmarszczkami twarzy tego człowieka Jes tak się rozczulił, że nie myślał wcale chować Kontrolexu w puszcze maskującej. Trzeba by nie mieć serca, aby chcieć zarobić na takim biedaku. „Do licha – pomyślał – niech widzi i niech uważa na słowa! A mój inspektor może sobie patrzeć!”

Obywatel bez Przydziału spoglądał tymczasem na rozsnuty pod nimi obraz wielkiego miasta. W powietrzu, na różnych poziomach, fruwały w najrozmaitszych kierunkach miliony obywateli. Na dnie wąskich kanionów, dzielących kolosalne wieże budynków, biegły linie chodników rojące się od ludzkich mrówek.

— Paskudne, co? – spytał Jes.

Odpowiedziało mu smutne spojrzenie.

— Może mi pan nie uwierzy, ale dla mnie ten widok jest dzisiaj bardzo piękny. Zwłaszcza w porównaniu z tym, dokąd lecę.

Jes był wstrząśnięty.

— Jak to?

— Zostałem podany do rejestracji – wyznał szczerze tamten. – Nie starcza mi kredytek na utrzymanie żony. Musiałem się zwrócić do Biura Opieki i prosić o zasiłek. Jeszcze miesiąc temu miałem własny warsztat naprawy pasów grawitacyjnych. Ale nowe pasy w ogóle się nie psują, interes przestał iść. Koniec wiadomy.

— Mój Boże! – westchnął Jes – to doprawdy okropne. Ale dlaczego pan mówi „w porównaniu z tym, dokąd lecę”? Przecież będzie pan tutaj, chociaż przydzielą pana do jakiejś wstrętnej roboty pod ziemią, może przy kablach?

— Więc pan jeszcze nie wie? – uśmiechnął się ponuro człowieczek. – Ostatnio zgłoszono do rejestracji tak wielu drobnych przedsiębiorców, jak ja, że w Biurze Opieki nie mają już wolnych miejsc. Ale według przepisów każdy musi mieć jakiś przydział. A tak się złożyło, że właśnie teraz otwierają na Marsie nowe kopalnie i brakuje tam siły roboczej. Nie mam wyboru.

— Na Marsie? – wzdrygnął się Jes. – W tym pyłe melbonitowym? Niech tylko jedna drobina dostanie się pod kombinezon, a tworzą się oparzenia, których wciąż jeszcze nie umieją leczyć! – Dreszcz go przeszedł na samą myśl. Ale na widok twarzy Obywatela bez Przydziału dodał pocieszająco: – Słyszałem, że obecne kombinezony są bez zarzutu. Całkiem nieprzenikliwe.

— Nie zawsze – odparł człowiek w szarym mundurze. – W każdym razie nie rozwiążali sprawy wentylacji. Kiedy ostatnio założono wentyle do kombinezonów, dostawało się przez nie tyle pyłu melbonitowego, że... – wstrząsnął się z przerażenia.

— Więc używają dalej niewentylowanych ubrań, co jest potwornie męczące. Idę w żywe piekło...

*Dzyń!*

Kontroler Jesa zapłonął szkarłatem sygnalizując pogwałcenie Rejestru. „Żywe piekło” było staroświeckim dramatycznym frazesem, który jakiś spryciarz wykopał po skrupulatnych badaniach i zgłosił do ochrony, w nadziei zarobienia paru kredytek.

Podczas gdy Jes słuchał z tępyim wyrazem twarzy, jak brzęczący głos podawał szczegóły i wysokość opłaty – cztery kredytki – człowiek w szarym ubraniu powiedział żałośnie: –

Tego mi brakowało do szczęścia. Dziękuję, przyjacielu, za miłą pamiątkę.

Jes zatrzasnął Kontrollex.

— Słuchaj pan – rzekł pośpiesznie – to był czysty przypadek. I pójdzie na mój rachunek. Bierz pan. – Wyjął z kieszeni cztery srebrzyste kwadraty i wetknął Obywatelowi bez Przydziału do rąk. – Niech pan odłoży te kredytyki na bok i zapłaci nimi po otrzymaniu nakazu. Zgoda?

— Dziękuję – odparł tamten z wdzięcznością. – Będę o panu pamiętał.

Bolesny uśmiech wykrzywił usta Jesa.

— Może nie będzie potrzeby, kolego. Może w następnym transporcie znajdziemy się obok siebie. Moja żona ma właśnie zamiar zgłosić mnie do rejestracji za brak wystarczających dochodów. I jeśli nie załapię jeszcze dziś jakiejś sutej prowizji, to nie ma co gadać – jadę do kopalni.

Obywatel bez Przydziału miał już na ustach słowo „Pomyślności!”, gdy Jes wtrącił z pośpiechem: – Tss, to pod ochroną! Ale nie przejmuj się pan.

— Uhm... serce moje będzie ci towarzyszyć – odparł tamten, starannie dobierając wyrazy. – Ramiona mego współczucia wesprą cię z całej siły. A teraz ściskam cię na rozstanie.

— Wspaniale! – zawołał Jes. Potrząsnął dłonią przyszłego mieszkańca Marsa. – To mi się naprawdę podoba. Ma w sobie świeżość wyrazu.

Wymienili uśmiechy. Po chwili ukazał się owalny gmach, w którym mieściła się Centralna Super-Kontrollexja. Jes skinął na pożegnanie, opuścił główny szlak ulicznego ruchu i spłynął

przepisową spiralą ścigany podejrzliwym wzrokiem policjanta w złocistym pancerzu. Lądował na tarasie u wylotu dziewięćdziesiątego piętra i korytarzami przedostał się do wielkiej sali, której środek stanowiła kolista ściana, pokryta mnóstwem tablic rozdzielczych, kontaktów i tarcz.

Przywitał się z paru kolegami, ale nie wdawał się z nimi w pogawędkę. Nie umiałby dzielić pogodnego nastroju tych, którzy opowiadali wesoło, jak zręcznie udało im się przychwycić różne pogwałcenia. Jes podszedł do kolistej ściany, włączył swój Kontrolex, nacisnął guzik z napisem „Uzupełnienia Rejestru” i czekał, aż brzęczenie ucichło, co znaczyło, że jego aparat ma teraz w obwodzie frazesy dodane ostatnio do kolosalnej liczby chronionych zwrotów.

Napełniwszy w ten sposób zasób pamięciowy przyrządu, Jes udał się do hali sprzętu i wypisał zapotrzebowanie na pusty licznik zanieczyszczeń powietrza, w którym zwykle ukrywał Kontrolex. Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia.

— Jak się masz! – zawołał kontroler Platt, chudy, przesadny osobnik, którego Jes szczerze nie lubił. – Właśnie wracam z nocnego dyżuru. Miałem wspaniałą połów.

— Tak? – spytał Jes z niesmakiem. Platt specjalizował się w wyłapywaniu pogwałceń w okolicy jezior i w parkach, gdzie kochankowie wciąż powtarzali słowa od dawna już nie nowe, a mocno kosztowne.

— Moją kopalnią kredytek był jeden prosty dźwięk, od wczoraj pod ochroną! – chichotał Platt. – Stary, poczciwy gwizd przy zaczepianiu kobiet. Opłata sto kredytek.

— Ależ to wcale nie frazes! – zdumiał się Jes.

— Nie. Ale „wytarty, nadużywany i zwietrzały truizm”. Więc przyjęli zgłoszenie.

— Ładny kwiatek! Następnym razem dowiemy się, że wzięto pod ochronę głębokie westchnienie czy odgłos pocałunku.

Platt roześmiał się zachwycony tą perspektywą. I podczas gdy Jes krzywiąc się, dopasowywał Kontroler do pokrywy licznika zanieczyszczeń powietrza, Platt częstował go szczegółami dalszych pogwałceń, na których też suto zarobił.

— Trafiłem na damulkę, zresztą wcale, wcale, która siedziała z facetem w parku na ławeczce. Ściskanie odchodziło takie, że aż ha! Wtem ona powiada: „Czy wiesz, że to pierwszy mój pocałunek?” Trzech i pięćdziesiąt kredytów opłaty. Inną parę złapałem w łódce przy brzegu. Księżyc, jezioro. Gość powiada: „Nie ożeniłem się dotąd, ale teraz...” Nie zdążył – dokończył Platt – trzydzieści kredytów! Tak, miałem dobre żniwo. Na twoim miejscu przeszukałbym różne zaciszne kąciki. Ostatnio wpisano do rejestru całą porcję różnych zwrotów miłosnych, a nikt o tym nie wie.

— Niezła myśl – bąknął Jes, który nie lubił robić sobie wrogów i nie chciał wypowiadać swego zdania o czerpaniu zarobków z takiego źródła. – Co prawda w tej chwili mam już ułożony plan. Ale to niezła myśl i będę o niej pamiętał.

— A dokąd się wybierasz?

Jes z ulgą posłyszał ostry głos dzwonka, który ostrzegał kontrolerów, by przestali plotkować i ruszali w teren chwycić pogwałcenia i pomnażać dochody przedsiębiorstwa. Brzuchaty kierownik, siedzący na balkoniku, skąd widać było całą olbrzymią salę, zawrzał z oburzeniem, że jak zwykle nikt nie

zważa na sygnał. Nacisnął guzik na tablicy przed sobą, powietrze wypełniło się odrażającym zapachem, a kontrolerzy chwytali z pośpiechem sprzęt i pędem opuścili gmach.

Jes chętnie znalazł się w labiryncie wąwozów rozdzielających drapacze chmur. Zamiast jednak unieść się w górę, opadł jakieś czterdzieści pięter w dół i zaczął myszkować, odruchowo zatykając nos, gdyż powietrze na tej wysokości było fatalne. Przez głowę przemknęła mu irytująca myśl, że wobec dzisiejszego stanu technologii tolerowanie gdziekolwiek zepsutego powietrza jest niedopuszczalne.

— Ach! – rozstrzygnął sprawę. – Z pewnością w najbliższym czasie ktoś się tym zajmie. A moje zadanie w tej chwili to postarać się, żeby Laurie nie mogła mnie podać do rejestracji.

Zimno mu się zrobiło na samo wspomnienie pogroźek żony. Szybko skierował się do pierwszego z kolei miejsca, gdzie miał nadzieję łatwego zarobku: wydziału kadr Centralnego Zarządu Kontroli Zanieczyszczeń Powietrza. Wyłączył grawitacyjny pas, minął ciemny korytarz i znalazł się w ponurym, szarozielonkawym biurze, gdzie grupa inspektorów nerwowo czekała swojej kolei.

Jes przyłączył się do nich, a w swoim inspektorskim mundurze nie zwrócił niczyjej uwagi. Usiadł, jak inni, na jednej z twardych ławek i razem ze wszystkimi przysłuchiwał się składaniu raportów, które przyjmował dobroduszny, łysawy jegomość siedzący za barierką. Inspektor, raportujący w tej chwili, był blady, przejęty i zatroskany.

— Tak, przebieg pańskiej służby jest bez zarzutu – mówił personalny. – Żadnej absencji w ciągu pięciu lat, żadnego

spóźnienia. Zupełnie bez zarzutu.

— W takim razie – wyrzekł z nadzieją w głosie inspektor – mogę chyba liczyć na podwyżkę? Obiecaną mam od dwóch lat.

Personalny odchrząknął i nadal promieniał uśmiechem.

— Jak tylko choć trochę poprawią się interesy, damy panu i awans, i podwyżkę...

*Dzyń!*

Wśród oczekujących wybuchła wesołość, gdy Jes nerwowo wy dobył Kontrolex ukryty w pokrywie licznika zanieczyszczeń i odczytał rozwścieczonemu personalnemu wymiar kary: pięćdziesiąt kredytów za użycie zastrzeżonego frazesu „Jak tylko choć trochę poprawią się interesy, damy panu i awans, i podwyżkę”.

Jes umknął przed wybuchem gniewu swej ofiary, a jeden z inspektorów mruknął: – Ha! Będzie teraz musiał dobrze wysilić mózdzek, żeby znaleźć nowy sposób nabierania ludzi.

W ciągu następnych trzech godzin Jes pracował bez wytchnienia. Zainkasował dwadzieścia kredytów od portiera teleteatru, który wykrzykiwał: „Pełno wolnych miejsc!” Na innym pogwałceniu przyłapał osobnika o zmętniałych oczach i sinym nosie, który szeptał w barze do bufetowej: „To już naprawdę ostatni!”. Zatrzymał się przy budce telefonicznej i po chwili Kontrolex już dzwonił pod wpływem słów jakiegoś przystojnego bruneta, który mruczał w słuchawkę: „Mam dzisiaj mnóstwo pracy, kochanie, więc późno wrócę do domu”.

Czas leciał szybko i kiedy Jes postanowił coś zjeść, stwierdził z przerażeniem, że minęła już większa część dnia, a choć wynik był znośny, daleko mu było do zawrotnej sumy, jaką przyrzekł

Laurie. Na opłatach po dziesięć czy dwadzieścia kredytek nie można się było wzbogacić.

„Potrzeba mi czegoś naprawdę niezwykłego” myślał z rozpaczą Jes.

Drżącymi palcami przycisnął guzik z boku Kontrolera.

Aparat rozjarzył się błękitno.

— Informacja! – wybrzęczał mechaniczny głos.

— Za co – spytał Jes z podnieceniem – wyznaczone są stawki od tysiąca kredytek wzwyż?

Po krótkiej chwili mechaniczny głos obwieścił, że właśnie wpisano wyłączenie całej masy politycznych sloganów ze względu na toczącą się kampanię wyborczą – Jes z rosnącym przejęciem słuchał, jak głos wyliczał takie na przykład zdania: „Jeśli będę wybrany, dopilnuję zniżki podatków... Patrząc w rozumne oblicza słuchaczy, nie wątpię... Przypomina mi to historię z... Co za urocze dziecko, droga pani... Helikopter na każdym dachu...” Jes przekręcił wyłącznik i otarł pot z czoła. Prawdziwa żyła uranu: zdumiewała go szalona wysokość opłat: tysiąc kredytek za każde pogwałcenie! Partia rządząca nie cofała się widać przed żadnym sposobem pogwałcenia opozycji Tradycjonalistów. Ale przy tej okazji Jes mógł dzisiaj zrobić najlepszy interes w swojej karierze.

Pod warunkiem, rzecz jasna, że wyjdzie z tego żywy.

Pełen nadziei pofrunął do wielkiej sali zebrań w siedzibie Tradycjonalistów, mieszczącej się na pięćdziesiątym piętrze pobliskiego drapacza. Wystraszone nadnercze pobudzało mu serce do nieprzytomnego bicia. Chłopcy z bojówki Tradycjonalistów nie żartowali. Niejeden obywatel z żyłką do



dysput został później odnaleziony w górnej stratosferze, zmarznięty na kość, z pasem grawitacyjnym wyregulowanym na maksimum i związanymi rękoma, by nie mógł powstrzymać wznoszenia się w górę.

Jes wpłynął nerwowo w wylot gmachu i wyłączył pas. Wśliznął się przez otwarte drzwi i rozejrzał po sali wypełnionej po brzegi. Na podwyższeniu przemawiał tęgi osobnik o czerwonej twarzy.

Po krótkim niespokojnym szukaniu Jes wypatrzył z zadowoleniem boczne wyjście z sali. Prowadziło do jakichś korytarzy, pełnych kurzu, gdzie stały drabiny i leżały stosy żelastwa. Stwierdziwszy możliwość odwrotu, Jes zaczął przeciskać się wzdłuż spadzistego przejścia w stronę trybuny i dotarł do ukrytego pod nią, odgradzonego miejsca, gdzie dawniej zwykła przygrywać orkiestra.

Ciężko dysząc przyczał się w mroku. Tuż nad nim huczał mówca, którego głos docierał aż tutaj, trochę tylko stłumiony. Przyłożył Kontrolex do szpary w deskach nad głową i głos stał się całkiem wyraźny. „Słuchajcie, chłopcy – wołał – jesteście wszyscy kierownikami obwodów, ale to diabła warte, póki nasza partia nie dojdzie do władzy. Ale jak już znajdziemy się znowu na karuzeli... no, nie muszę chyba tłumaczyć?”

Zduszony ryk widowni sprawił, że Jes przycupnął ze strachu.

— Więc te wybory – grzmiał dalej mówca – musimy wygrać, żeby nie wiem co! Chcę widzieć was wszystkich, was, oddani działacze partyjni...

*Dzyń!*

Wściekłe wycie wstrząsnęło murami sali, dając Jesowi znać, że

banda politycznych najmitów rozpoznała dźwięk Kontrolexu. Wszyscy zrozumieli, że ktoś ukrył się z aparatem, który automatycznie utrwałił na taśmie głos mówcy w chwili, gdy naruszył wyłączność opatentowanego frazesu.

— Zabić podłego szpicla! – wrzasnął mówca.

*Dzyń!* – zadzwonił Kontrolex.

— Zlinczować go!

*Dzyń!*

W ciągu krótkich trzech minut bezkarności Jes zainkasował dziesięć tysięcy kredytek w pogwałceniach, których nie można było się wyprzeć, ponieważ wszystkie głosy jak i odciski palców były zarejestrowane u władz.

Jes wykradł się bocznym wyjściem, pełznął na czworakach przez chwilę, po czym puścił się pędem. Na zakręcie wpadł jednak prosto w ramiona jakiejś dużej postaci. W okamgnieniu znalazł się na ziemi, a czyjeś twarde pięści zaczęły go okładać.

Wtem rozległ się policyjny gwizdek, w ciemności błysnął złocisty pancerz, twarde pięści znikły, jak za dotknięciem magicznej laseczki, a półprzytomny Jes uniósł głowę.

Mętnie rozejrzał się wkoło. Policjant patrzył na niego uważnie, a władczą dłonią przytrzymał Jesa za ramię.

— Akurat w porę przyszedłem, co? – zagadnął. – Uratowałem ci skórę.

*Dzyń!* – brzęknął Kontrolex.

— To nic! – pośpiesznie zawołał Jes. – To na rachunek firmy.

— Spodziewam się – burknął policjant. – Jeśli masz trochę rozumu...

*Dzyń!* – zadźwięczał Kontrolex.

— Wynoś się stąd! – wrzasnęła władza. – Wynoś się, pókim dobry!

*Dzyń!* – zadźwięczał Kontrolex.

— Baw się dobrze, kochanie! – wołał Jes do Laurie, która wsiadała do przestrzennego statku ściskając w ręku torebkę wypchaną kredytami. Było tego dosyć na dwa miesiące pobytu w Pałacu Rozkoszy.

— Możesz się o to nie martwić – rzuciła mu Laurie przez ramię.

Jes wrócił do mieszkania. Wyciągnął się na tapczanie, zadowolony z siebie. Otworzył stojącą obok staroświecką komodę, nacisnął ukrytą sprężynę i wewnątrz komody pokazała się zręcznie zamaskowana lodówka. Wyjął przezroczysty zbiorniczek z piwem.

— Aaa! – westchnął z ulgą. – Jak cudownie zostać samemu! Całe dwa miesiące wolne od zrzędzeń Laurie. Co za wspaniała nagroda za tyle ciężkiej pracy. Jaki świetny pomysł miał rząd wprowadzając takie zasady.

Po chwili wszakże jego zadowolenie stopniało jak wosk. Było naprawdę bardzo spokojnie, może aż za bardzo?

Po półgodzinie czuł się zupełnie głupio, choć nie wiedział dlaczego. Drżąc z niepokoju nastawił telewizor i na ekranie pokazał się urzędnik z Biura Stosunków Małżeńskich. Popatrzył na Jesa i ostrożnie rozglądał się po pokoju, aż wypatrzył Kontrolex.

— Wyłącz tę sztukę albo z tobą nie gadam – warknął.

— Wyłączona! Słuchaj, nie wiem sam, co mi jest. Czy możecie mi dać zezwolenie, żebym spędził wakacje razem z moją żoną?

Albo żeby Laurie wróciła?

— Chyba nie – odparł tamten. – Zasada, że trzeba tyle zarabiać, aby żona miała wakacje, ustaliła się w ciągu wieków i rząd tylko ujął ją w formę prawa. Natomiast twój wyjazd do niej albo sprowadzenie jej z powrotem, byłyby wbrew ustawie.

— Ależ to nieuczciwie! – krzyknął Jes.

— Doprawdy? – uśmiechnął się jego rozmówca. – To dobrze. Cieszę się, żeśmy tak znakomicie dobrali ci żonę i że tworzycie tak szczęśliwe stadło. – Zatarł ręce z zachwytem. – Ledwo wyjechała, a już za nią tęsknisz. Wspaniale.

— Wspaniale? Ależ ja cierpię!

— Naturalnie, że cierpisz! – Jegomość ze Stosunków Mażeńskich rzucił okiem na stojący obok aparat pomiarowy. – Cierpienie jest ideałem rozkoszy dla masochisty. Pomyśl tylko, jakie cudowne dwa miesiące tęsknoty masz przed sobą!

— No, dobrze! Więc powiedzmy, że przepis każe mi ją wysłać na wakacje i nie pozwala jechać razem z nią – żalił się zrozpaczony Jes. – Ale to nie znaczy, że jej tam ma być przyjemnie!

— Zaraz ci wytłumaczę – odparły Stosunki Mażeńskie. – Twój wskaźnik masochizmu spadł bardzo wyraźnie. A teraz się nawet wściekasz!

— Oczywiście! – przyznał zdziwiony Jes. – A co mogę zrobić?

— To – wyjaśniły Stosunki Mażeńskie – co zawsze robili mężczyźni, od kiedy pracują po to, aby wysłać żony na wakacje. Kiedy kota nie ma, jak wiesz... – urwał przerażony.

— Już ci mówiłem – roześmiał się Jes – że wyłączyłem aparat. Ale dziękuję za przypomnienie, choć powiedziałeś oklepany

banal. Laurie sobie myśli, że tylko ona jedna może mieć wakacje, co? A ja jej pokażę!

— Zawsze do usług – odparł tamten. – Mogę tak mówić – dodał wojowniczo – bo tym razem wyłączność należy do nas.

Postać znikła z ekranu, a Jes zaczął myszkować po różnych niewinnych kryjówkach w poszukiwaniu małej czarnej książeczki, której nie miał w ręku od lat. Po chwili wyśpiewywał na cały głos „Żoneczka wyjechała, hura, hura, wyjechała!”. Nagle w przerażeniu zakrył dłonią usta: Kontroler! Lecz zaraz sobie przypomniał, że Kontroler jest wyłączony.

*Przełożył Julian Stawiński*

## O autorze

Robert Zacks, amerykański pisarz i scenarzysta, którego gwiazda tylko na krótko zalsniła na firmamencie autorów spod znaku science fiction. Za to bardzo jasno.

Najbardziej znany z pisania w latach 50. scenariuszy telewizyjnych.

Niniejsze opowiadanie ukazało się w pierwszych *Rakietowych szlakach* i jego aktualność po ponad pół wieku nic nie osłabła. Dzisiaj rejestruje się w Internecie nazwy różnych domen, by w przyszłości zarobić na ich sprzedaży firmom o tych nazwach. Czy trudno więc sobie wyobrazić rzeczywistość, gdzie copyrihtem będą opatrzone slogany i wyrażenia potoczne?

---

## DYMITR BILENKIN

---

*Czytałem kilka opowiadań radzieckich o lewitacji, wszystkie osadzone w prząsnej, kołchozowej rzeczywistości. Może takie latanie miało subtelnie antyradziecką wymowę, przecież podważa to naukowy światopogląd. Choć z drugiej strony, co my wiemy o życiu w zabitym deskami kołchozie – większość mężczyzn wpada tam w alkoholizm, ale może niektórzy unoszą się w górę. Bilenkina nazwałem kiedyś radzieckim Sheckleyem.*

### To niemożliwe

Profesor Arcimowicz wgryzał się w problemy naukowe niczym kwas solny, a twardy był jak molibdenowa stal. Ale nawet stal podlega zmęczeniu. Tego dnia tak go wyczerpały tańczące przed oczami czarne muszki, że wbrew swoim zwyczajom wziął rower i pojechał odetchnąć świeżym powietrzem.

Z miasteczka akademickiego było blisko do pierwszych przysiółków i profesor już wkrótce znalazł się w nieznaney okolicy. Spokojnie świeciło słońce, po lewej stronie piaszczystej drogi rosły sosenki, po prawej zielenił się owies, a z naprzeciwka leciał w stronę Arcimowicza człowiek.

Ściślej mówiąc unosił go wiatr, a człowiek tylko z lekka poruszał rękami, rozpostarty w powietrzu jak żaba. Miał

wypchane na kolanach spodnie.

Profesor zahamował.

„No i doigrałem się – pomyślał przerażony. – Halucynacje”.

Wiatr ustał i człowiek zawisł o jakieś półtora metra nad Arcimowiczem. Profesor patrzył z zadartą głową. Było mu bardzo siebie żal.

— Przepraszam – odezwał się wreszcie. – Czy zna się pan na halucynacjach?

— Nie – odparł ochrypłym głosem człowiek. – Nie znam się.

— Oczywiście, oczywiście – zgodził się Arcimowicz. – Skoro sam pan jest halucynacją, to rzecz jasna nie może pan się na nich znać. Ja niestety także nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

— Nie jestem halucynacją – zaprotestował człowiek. – Nazywam się Sidorów. Posiadam dokumenty.

Człowiek pomacał się po kieszeniach obwisłej kurtki i na jego twarzy odmalował się wyraz zawodu.

— Zostawiłem w marynarce...

Arcimowicz kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Nie mogło być inaczej – powiedział. – Halucynacja wzrokowo-słuchowa, to jeszcze można jakoś strawić, ale halucynacja okazująca dokumenty, to już, wybacz pan, nonsens.

— Co? – spytał człowiek.

— Nonsens.

— Aha...

Człowiek zamilkł zbity z tropu.

Profesor również się zadumał. Był zdenerwowany i zmartwiony, ale dumny, że postępuje, jak przystało na uczonego: nie stracił głowy, nie wpadł w panikę i nie uwierzył w cuda. Sam



ponosi odpowiedzialność za to, co się stało, nie może mieć do nikogo pretensji. Nie oszczędzał się, pracował ponad siły i coś takiego musiało się przydarzyć. Jak nie halucynacje, to nadciśnienie albo, nie daj Boże, zawał. Można nawet uważać, że miał szczęście. Halucynacja to nie choroba umysłowa, a zwykła nerwica. Leczenie łatwiejsze niż na przykład przy nadciśnieniu i nie boli; jak choćby zęby. A swoją drogą szkoda, że nie jest psychiatrą – taki materiał do samoobserwacji pójdzie na marne! Zresztą zrobi wszystko, co w jego mocy. Ostatecznie to jest jego obowiązek jako uczonego.

— Więc, znaczy się, pan we mnie nie wierzy? – usłyszał z góry.

— Wiara to kategoria pozanaukowa, a ja jestem uczonym. I dlatego wiem, że jest pan irrealnym wytworem mego, niestety przepracowanego, umysłu.

— Ale przecież ja istnieję! – zawołał płaczliwie latający człowiek. – Mam dzieci!

— A ja wcale nie twierdzę, że pan nie istnieje. Pan istnieje pozornie.

— Ale ja latam!

— Właśnie. A człowiek bez przyrządów nie może latać. Byłby to cud. Ludzie słabo znający fizykę skłonni są w tej sprawie do łatwowierności, ale my wiemy dobrze, że w przyrodzie nie ma miejsca na cuda.

— A ja czytałem gdzieś o tej... jak ją tam... antygravitacji!

— Szkodliwość popularnych publikacji polega na tym, że rozpowszechniają półprawdy i gonią za sensacjami – zauważył surowo profesor. – Antygravitacja w takiej postaci podważa... Pan sobie nawet wyobrazić nie może, co ona podważa.

— To prawda – przyznał człowiek. – Ja po prostu latam.

— O to chodzi! Każdy niezwykły fenomen ma ściśle naukowe wyjaśnienie. Dlatego też pański przypadek jest całkowicie jasny. Nawet gdyby antygravitacja niczego nie podważała, to gdzie jest źródło energii, które pana unosi? W panu? Śmieszne!

— Możliwe, że na obiad zjadłem albo wypilem coś takiego... Teraz we wszystkim są jakieś środki chemiczne i bardzo łatwo...

Profesor otworzył usta, aby zaprotestować, ale w tym momencie poraziła go myśl, że przecież rozmawia z samym sobą!

Ma przed sobą nie drugiego człowieka, lecz halucynację. I rozmawia z własną halucynacją!

Arcimowicz spojrział z nienawiścią na latającego człowieka, który kołysał się nad nim jak balonik. I przez cały czas przebierał łapkami, jakby chciał zanurkować. Nogami gorączkowo młócił powietrze; na prawej nie miał buta, z dziurawej skarpety wystawał palec.

— Nie mogę wylądować – w jego głosie brzmiało cierpienie.

— Jak się uniosłem pół godziny temu, tak latam... Ciągnie mnie w górę... O, but zgubiłem... Może pan by mi pomógł, co? Zahaczył czymś i doholował do drzewa?

Profesor zamknął oczy. Badacz powinien pozostać badaczem, to prawda. Ale on, cokolwiek by mówić, jest jednak specjalistą z innej dziedziny! „Policzę do stu, a potem spojrzę – postanowił. – Obiekt powinien w tym czasie ulec metamorfozie”.

— Czyli przyjdzie mi zginąć – westchnął głos nad jego głową. – Niech pan chociaż rodzinę zawiadomi... Żonę... W Małych Przysiółkach...

Głos zaczął się oddalać.

Wiatr musnął twarz profesora. „Siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt jeden...”

Na „sto” otworzył oczy. Obiekt uległ metamorfozie. Zniknął. Tylko wysoko w górze czerniał jakiś punkt, ni to ptak, ni to nie ptak.

Potem i on się rozpląnął. Opustoszał bezkres błękitu.

Jeszcze tego samego dnia profesor udał się do polikliniki. Psychiatra z miną człowieka, który wszystko wie z góry, wysłuchał go, przebadał, sprawdził odruchy i bąknął: „Wszystko w normie, profesorze...” Diagnoza brzmiała, że profesor cierpi na rozstrój nerwowy, ale nie ma specjalnych powodów do obaw.

Przez miesiąc profesor przyjmował leki i przestrzegał ustalonego trybu życia. Halucynacje się nie powtórzyły.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Dymitr Bilenkin (1933–1987) rosyjski pisarz SF, z zawodu geolog, razem ze Strugackimi i Bułyczowem należał do Wielkiej Trójki rosyjskich fantastów. Specjalizował się w opowiadaniach, niektóre z nich rozrosły się w cykle, jak ten o przygodach Połynowa, który rozwiązuje najtrudniejsze zagadki galaktyki. Należą do niego takie utwory jak *Desant na Merkurego* i *Kosmiczny bóg*. Był też jednym ze współautorów spółki literackiej publikującej pod nazwiskiem Paweł Bagriak (w Polsce *Komisarz Hard i błękitni ludzie*, Iskry). Do spółki oprócz Bilenkina wchodzili: Walerij Agranowski, Jarosław Gołowanow, Władimir Gubariew, Wiktor Komarow oraz rysownik Paweł Bunin.

W Polsce opublikowano w prasie, fanzinach i antologiach około 50 opowiadań Bilenkina, ale dzisiaj jest on już zapomnianym autorem. A szkoda.

---

## BRIAN W. ALDISS

---

*O czasie wiemy tylko tyle, że jesteśmy w nim zanurzeni i że płynie zawsze w tę samą stronę. Tyle samo ryby wiedzą o rzece. Można podejrzewać, że czas nie dla wszystkich płynie z tą samą prędkością. Jednym się dłuży, innym ucieka. Już w starożytnym Rzymie pewien stary filozof, słysząc, że czasy się zmieniają, mówił: – To wy się zmieniacie, czasy zostają. Po tych wszystkich opisach podróży w czasie trzeba było Aldissa, żeby przeniósł bohatera o trzy minuty z ułamkiem. Jak to cudownie komplikuje sprawę! A poza tym, jest to nie jedyne u Aldissa opowiadanie o niemożności porozumienia. Przypomnijcie sobie, nie raz widzieliście parę, ona mówi coś szybko, a on nieobecny duchem, przesunięty w fazie o parę minut, widać, że świeżo wrócił z Marsa.*

### Człowiek ze swoim czasem

#### **Jego nieobecność**

Janet Westermarck obserwowała uważnie trzech obecnych w gabinecie mężczyzn: dyrektora Instytutu, który miał właśnie zniknąć z jej życia, psychologa, który miał w nie wkroczyć, i męża, którego życie biegło równoległe z jej życiem, a jednak całkiem osobno.

Nie tylko ona pochłonięta była obserwacją. Psycholog Clement Stackpole siedział zgarbiony w fotelu, silnymi brzydkimi dłońmi

obejmując kolana i wysuwając do przodu małą, inteligentną twarz, żeby lepiej widzieć Jacka Westermarka – nowy przedmiot swoich badań.

Dyrektor Instytutu Badań Psychiczych mówił głośno i z ożywieniem. Rzeczą charakterystyczną było, że tylko Jack Westermark sprawiał wrażenie, jakby był tu nieobecny.

### **Szczególny przypadek, niepokój**

Ręce jego spoczywały bez ruchu na kolanach, ale był niespokojny, mimo że najwyraźniej panował nad niepokojem. „Zupełnie jakby znajdował się w tej chwili gdzie indziej i wśród innych ludzi” – pomyślała Janet. Zauważyła, że spojrzał na nią, kiedy właściwie nie patrzyła na niego, ale zanim odwzajemniła mu spojrzenie, już odwrócił oczy i znów zamknął się w sobie.

— Wprawdzie pan Stackpole nie miał dotąd do czynienia z takim szczególnym przypadkiem jak twój – mówił dyrektor – ale ma ogromne doświadczenie. Wiem...

— Dziękujemy bardzo, oczywiście – powiedział Westermark zakładając ręce i pochylając lekko głowę.

Dyrektor sprawnie zanotował tę uwagę, wpisał obok niej dokładny czas i mówił dalej: — Wiem, że pan Stackpole jest zbyt skromny, żeby miał sam o tym mówić, ale wspaniale nawiązuje kontakt z ludźmi i...

— Jeżeli uważasz to za konieczne – przerwał Westermark – chociaż na jakiś czas mam dość oglądania waszej aparatury.

Ołówek przesunął się po papierze, głos bez zająknięcia ciągnął dalej: — Tak. Wspaniale nawiązuje kontakt z ludźmi i jestem pewien, że wkrótce się państwo przekonają, jak dobrze go mieć przy sobie. Proszę pamiętać, że jego zadaniem jest pomóc

państwu obojgu.

Janet uśmiechnęła się i starając się ogarnąć uśmiechem zarówno dyrektora, jak i Stackpole'a, powiedziała z wysepki swojego krzesła: — Jestem pewna, że wszystko się uda...

Przerwał jej mąż, który wstał, opuścił ręce i, odwracając się nieco w bok, powiedział w powietrze: — Czy mógłbym pożegnać się z siostrą Simmons?

### **Głos jej już nie drżał**

— Wszystko na pewno będzie dobrze – powiedziała czym prędzej. A Stackpole z miną spiskowca skinął głową, żeby wiedziała, że podziela jej punkt widzenia.

— Jakoś się porozumiemy, Janet – powiedział.

Nie zdążyła jeszcze przejść do porządku nad tym, że nagle zwrócił się do niej po imieniu, dyrektor zaś nadal patrzył na nią z owym dodającym otuchy uśmiechem, którym tyle osób darzyło ją, odkąd jej męża wyciągnięto z oceanu w pobliżu Casablanki, gdy naraz Westermark, wciąż prowadząc samotną rozmowę z powietrzem, odpowiedział: — Tak, oczywiście. Powinienem był pamiętać.

Podniósł rękę do czoła – a może do serca? – zastanowiła się Janet, ale w połowie drogi opuścił ją i dodał: — Może przyjdzie nas kiedyś odwiedzić.

Potem zwrócił się z uśmiechem i lekkim, jakby proszącym skinieniem głowy do innego pustego miejsca w pokoju: — Byłoby nam miło, prawda, Janet?

Spojrzała w jego stronę, starając się instynktownie napotkać jego wzrok, i odpowiedziała zdawkowo: — Oczywiście, kochanie.

Głos jej już nie drżał, kiedy zwracała się do nieobecnego

myślami męża.

### **Promienie słońca, przez które się widzieli**

Jeden róg pokoju oświetlały promienie słoneczne wpadające przez okno weneckie. Kiedy wstała, widziała przez chwilę profil męża podświetlony tymi promieniami.

Twarz miał chudą i zamkniętą w sobie. Inteligentną: zawsze uważała, że nadmierna inteligencja musi mu ciążyć, ale teraz dostrzegła wyraz zagubienia i pomyślała o tym, co powiedział jej wzywany poprzednio psychiatra: — Musi pani pamiętać, że budzący się na nowo umysł jest nieustannie atakowany przez podświadomość.

### **Atakowany przez podświadomość**

Starając się nie myśleć o tych słowach, powiedziała wpatrując się w uśmiech dyrektora – uśmiech, który niewątpliwie bardzo się przyczynił do jego kariery: — Bardzo mi pan pomógł. Nie wiem, jak bym sobie dała radę bez pana w ciągu tych miesięcy. A teraz już chyba pójdziemy.

Sama słyszała, że szybko wyrzuca z siebie słowa w obawie, żeby mąż znów jej nie przerwał, co jednak nastąpiło: — Dziękuję za wszystko. Jeżeli odkryjecie coś nowego...

Stackpole podszedł cicho do Janet, a dyrektor podniósł się i rzekł: — Proszę o nas pamiętać, gdyby mieli państwo jakieś kłopoty.

— Dziękujemy bardzo, oczywiście.

— I jeszcze jedno, Jack. Powinieneś zgłaszać się do nas co miesiąc na badania kontrolne. Szkoda marnować tę całą kosztowną aparaturę, rozumiesz, a ty przecież jesteś naszą



gwiazdą – hm... pokazowym pacjentem.

Uśmiechnął się z przymusem i zajrzał do notesu, żeby sprawdzić, co mu Westermark odpowiedział. Ale Westermark był teraz do niego odwrócony plecami. Westermark szedł już wolno do drzwi, Westermark pożegnał się wcześniej, wyobcowany w swej samotnej egzystencji.

Nim zdążyła się opanować, Janet spojrzała bezradnie na dyrektora i Stackpole'a. Wstrętny był ten ich zawodowy spokój, który kazał im nie dostrzegać niegrzecznego na pozór zachowania jej męża. Stackpole z miną dobrotliwej małpy ujął ją grubą łapą pod ramię.

— No to chodźmy. Mój samochód czeka przed kliniką.

### **Milczenie, domysły, potakiwanie, sprawdzanie czasu**

Kiwnęła głową nic nie mówiąc, notatki dyrektora nie były jej potrzebne, żeby się domyślić: To właśnie w tym miejscu powiedział: „Czy mógłbym się pożegnać z siostrą – jak jej tam – Simmons?” Powoli uczyła się dążyć śladem męża po wyboistych ścieżkach jego konwersacji. Teraz był już na korytarzu, otwarte drzwi ciągle się kołysały, a dyrektor mówił w powietrze: — Ma dzisiaj wolny dzień.

— Doskonale pan sobie radzi z tą rozmową – powiedziała, czując rękę zaciskającą się na jej ramieniu. Strząsnęła ją delikatnie – okropny ten Stackpole – usiłując przypomnieć sobie, co się zdarzyło zaledwie cztery minuty temu.

Jack coś do niej powiedział, nie pamiętała co; nie odezwała się więc, spuściła oczy, wyciągnęła rękę i mocno ucisnęła dłoń dyrektorowi: — Dziękuję.

— Do widzenia państwu – odpowiedział głośno, przenosząc

wzrok kolejno z zegarka na notes, potem na nią, a w końcu na drzwi.

— Oczywiście – powiedział – jeśli tylko coś odkryjemy. Jesteśmy najlepszej myśli...

Poprawił krawat, znów spoglądając na zegarek.

— Pani mąż już wyszedł – oznajmił swobodniejszym już tonem. Podeszedł z nią do drzwi i dodał: – Była pani bardzo dzielna i zdaję sobie sprawę, wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że będzie pani nadal musiała być dzielna. Z czasem stanie się to łatwiejsze, czyż Szekspir nie powiedział w „Hamlecie”: „Przywyknienie zdolne jest nieledwie odmienić stempel natury”? Jeśli wolno, to radziłbym pani pójść za naszym przykładem i notować wypowiedzi męża wraz z dokładnym czasem.

Spostrzegli jej wahanie, stanęli przy niej, dwaj mężczyźni niezupełnie obojętni na wdzięki tej przystojnej kobiety. Stackpole chrząknął, uśmiechnął się i powiedział: — On tak łatwo może poczuć się odizolowany, sama rozumiesz. To bardzo ważne, żebyś właśnie ty odpowiadała na jego pytania, w przeciwnym razie poczuje się zupełnie osamotniony.

### **Zawsze o krok w przodzie**

— A co z dziećmi? – spytała.

— Niech państwo najpierw sami spędzą jakiś czas w domu – odpowiedział dyrektor – powiedzmy jakieś dwa tygodnie. A potem, jak już się wszystko ułoży, pomyślimy o ich spotkaniu z ojcem.

— Tak będzie lepiej dla wszystkich, Janet, dla nich, dla Jacka i dla ciebie – dodał Stackpole.

„Och, nie bądźcie tacy gładcy – pomyślała Janet. – Bóg najlepiej

wie, jak potrzeba mi otuchy, ale wy to wszystko traktujecie zdawkowo”. Odwróciła twarz w obawie, że ostatnio za łatwo odzwierciedlają się na niej uczucia.

Na korytarzu dyrektor powiedział na pożegnanie: — Zdaję sobie oczywiście sprawę, że babcia na pewno strasznie je rozpieszcza, ale, jak to się mówi, trudna rada.

Uśmiechnęła się do niego i szybko odeszła, o krok przed Stackpole'em.

Westermarck siedział w samochodzie przed budynkiem, usiadła obok niego na tylnym siedzeniu. On w tej samej chwili szarpnął się gwałtownie do tyłu.

— Kochanie, co ci jest?

Nie odpowiedział. Stackpole nie wyszedł jeszcze z budynku, widocznie chciał zamienić kilka słów z dyrektorem. Janet skorzystała z okazji, nachyliła się i pocałowała męża w policzek, zdając sobie jednocześnie sprawę, że z jego punktu widzenia żona widmo już to zrobiła. Jego reakcja była znów czymś niesamowitym dla niej.

— Jakie zielone są te łąki – powiedział, mrużąc oczy i wpatrując się w szare mury budynku naprzeciw.

— Tak – odpowiedziała.

Stackpole zbiegł pośpiesznie ze schodów i przepaszając za spóźnienie usiadł przy kierownicy. Zbyt gwałtownie zwolnił pedał sprzęgła, samochód szarpnął i ruszył. Janet zrozumiała, dlaczego jej męża przed chwilą tak mocno odrzuciło do tyłu. Teraz, kiedy samochód rzeczywiście ruszył, Jack potoczył się bezwładnie w głąb siedzenia. Podczas jazdy trzymał się kurczowo uchwytu przy drzwiczkach, bo jego ciało kołysało się

w rytmie niezgodnym z ruchem samochodu. Gdy wyjechali z bramy Instytutu, znaleźli się od razu wśród zieleni w pełnym rozkwicie sierpniowego dnia.

### **Jego teorie**

Westermarck, skupiając całą uwagę, potrafił dostosować się do pewnych praw czasu, który nie był już jego czasem. Gdy samochód wjechał na podjazd i stanął przed domem (znajomym, a jednak jakby obcym przez nie przystrzyżony żywopłot i brak dzieci), pozostał na miejscu przez całe trzy i pół minuty, zanim odważył się otworzyć drzwiczki. Wysiadł i ze zmarszczonym czołem patrzył na żwir pod nogami. Czy jest taki sam jak zawsze, równie konkretny? Czy też ma jakiś połysk? – jakby coś przeświecało z wnętrza ziemi i prześwietlało wszystko dokoła? A może on sam jest odgradzony szklaną taflą od reszty świata? Trzeba się zdecydować na jedną z tych dwóch teorii, musi bowiem żyć według praw którejs z nich. Miał nadzieję udowodnić, że to właśnie teoria przenikania światła jest słuszna, gdyż według niej byłby tylko, wraz z resztą ludzkości, jednym z czynników składających się na funkcjonowanie wszechświata. Według teorii szklanej tafli byłby odcięty nie tylko od całej ludzkości, ale i od całego kosmosu (z wyjątkiem Marsa?). Ale za wcześnie na decyzje, musi jeszcze wiele spraw przemyśleć, dokładna obserwacja i dedukcja bez wątpienia nasuną mu jakieś nowe rozwiązania. Nie wolno nic rozstrzygać pod wpływem emocji, trzeba odzyskać całkowity spokój. Rewolucyjne zgoła teorie mogą być wynikiem tego... tych jego cierpień.

Zobaczył przy sobie żonę, trzymała się nieco na uboczu, żeby przypadkiem nie doszło do kłopotliwego lub bolesnego dla

obojga zderzenia. Uśmiechnął się do niej z wysiłkiem poprzez otaczającą ją połyskliwą mgiełkę. Powiedział: — To ja, ale nie mam ochoty udzielać wywiadu.

Skierował się w stronę domu, zauważył, że śliski żwir pozostaje nieruchomy pod jego stopami, poruszy się dopiero, gdy pozwoli mu na to czas ziemski. Odezwał się raz jeszcze: — Bardzo cenię pańskie pismo, ale w tej chwili nie mam ochoty udzielać wywiadu.

### **Słynny astronauta wraca do domu**

Na werandzie przed domem zastali jakiegoś mężczyznę, który z błagalnym uśmiechem na ustach czatował na powrót Westermarka do domu. Z miną niezbyt pewną, a mimo to rzeczową, zbliżył się i spojrzał pytająco na trzy osoby, które wysiadły z samochodu.

— Przepraszam, kapitan Jack Westermark, tak?

Odsunął się na bok, bo Westermark szedł prosto na niego.

— Jestem korespondentem działu psychologii dziennika „Guardian”. Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

Matka Westermarka otworzyła drzwi frontowe i stanęła w nich uśmiechając się na powitanie, jedną ręką nerwowo poprawiając siwe włosy. Syn przeszedł koło niej. Dziennikarz odprowadził go zdumionym spojrzeniem.

Janet odezwała się przepaszająco: — Proszę nam wybaczyć. Mąż panu odpowiedział, ale on naprawdę nie może jeszcze z nikim rozmawiać.

— Kiedy mi odpowiedział, proszę pani? Zanim usłyszał, co mam do powiedzenia?

— Ależ oczywiście, że nie – ale jego życie biegnie...

przepraszam, nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Żyje z wyprzedzeniem czasu, prawda? Czy mogłaby pani powiedzieć mi kilka słów o tym, jak się pani czuje teraz, kiedy minął już pierwszy szok?

— Doprawdy musi mi pan wybaczyć.

Janet przemknęła się obok niego. Kiedy wchodziła za mężem do domu, usłyszała, że Stackpole mówi: — Tak się składa, że czytuję „Guardiana”, więc może mógłbym się panu przysłużyć. Instytut zlecił mi opiekę nad kapitanem Westermarkiem. Nazywam się Clement Stackpole – może zna pan moją książkę: „Trwałe związki międzyludzkie”? Ale proszę nie pisać, że Westermark żyje z wyprzedzeniem czasu – to zupełnie błędne określenie. Natomiast może pan powiedzieć, że niektóre jego procesy psychiczne i fizjologiczne zostały w jakiś sposób przesunięte w czasie...

— Osioł – mruknęła do siebie Janet. Przystanąła na progu, żeby posłuchać, co Stackpole mówi. Teraz wsunęła się do środka.

### **Rozmowy wiszące w powietrzu podczas długiej kolacji**

Kolacja tego wieczoru miała swoje kłopotliwe chwile, mimo że Janet i jej teściowej udało się wprowadzić nastrój melancholijnej pogody: postawiły na stole dwa skandynawskie świeczniki, pamiątki z wakacji spędzonych w Kopenhadze, i zadziwiły obu mężczyzn zestawem wesołych i kolorowych przekąsek. „Nasza rozmowa też przypomina przekąski” – pomyślała Janet. – „Małe, ponętne, osobne kawałeczki zdań, nie zaspokajające głodu”.

Starsza pani Westermark nie nauczyła się jeszcze rozmawiać z synem i zwracała się tylko do Janet, chociaż często patrzyła w jego stronę.

— Jak tam dzieci? – spytał ją.

Zdając sobie sprawę, jak długo musiał czekać na jej odpowiedź, straciła głowę, odpowiedziała coś bez związku i upuściła nóż.

Janet, chcąc rozładować napięcie, przygotowywała w myśli jakąś uwagę na temat dyrektora Instytutu Badań Psychiczych, kiedy Westermark powiedział: — W takim razie jest równie troskliwy jak czytany. To rzadkie u tego rodzaju ludzi i chwali mu się. Odniosłem wrażenie, tak jak i ty zapewne, Janet, że interesuje się nie tylko własną karierą, ale i postępem badań. Można by nawet powiedzieć, że da się lubić. Ale pan zna go lepiej – zwrócił się do Stackpole’a – co pan o nim myśli?

Bawiąc się okruszkami chleba, żeby ukryć zmieszanie faktem, że nie wie, o kim właściwie rozmawiają, Stackpole odpowiedział: — Och, nie wiem, naprawdę trudno powiedzieć – i próbował zyskać na czasie, udając, że wcale nie zerka na zegarek.

— Dyrektor był bardzo miły, prawda, Jack? – odezwała się Janet, pomagając w ten sposób Stackpole’owi.

— Owszem, wygląda na niezłego gracza – ton Westermarka wskazywał na to, że zgadza się z czymś, co jeszcze nie zostało powiedziane.

— A, on! – zawołał Stackpole. – Tak, ogólnie rzecz biorąc, chyba równy z niego facet.

— Zacytował Szekspira i troskliwie poinformował mnie, skąd ten cytat pochodzi – powiedziała Janet.

— Nie, dziękuję, mam – wtrącił Westermark.

— Niewiele z nim mam do czynienia – kontynuował Stackpole – ale raz czy dwa graliśmy razem w krykieta. Całkiem niezły z

niego gracz.

— Pan, naprawdę? – zawołał Westermarck.

Tu wszyscy umilkli. Matka Jacka rozejrzała się bezradnie dokoła, napotkała szklany wzrok syna, powiedziała, byle tylko coś powiedzieć: — Weź jeszcze trochę sosu, Jack – przypomniała sobie, że już dostała odpowiedź, nóż ponownie o mało nie wypadł jej z ręki i w końcu w ogóle przestała jeść.

— Ja sam jestem bramkarzem – oznajmił Stackpole.

Zabrzmiało to jak odgłos młota pneumatycznego, po czym znów zapadła cisza. Nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął uparcie dalej, rozwodząc się nad zaletami krykieta. Janet siedziała obserwując go, trochę zdziwiona tym, że podziwia Stackpole'a i zastanawiając się, dlaczego właściwie ją to dziwi. Potem przypomniała sobie, że postanowiła go nie lubić i natychmiast zmieniła to postanowienie. Czyż nie był po ich stronie? Nawet jego silnie owłosione ręce były bardziej do przyjęcia, kiedy wyobraziła sobie, jak trzymają kij do krykieta, a szerokie ramiona kołyszą się gotowe do odbicia piłki... Zamknęła oczy, usiłując skupić się na tym, co Stackpole mówi.

## **Gracz**

Spotkała później Stackpole'a na piętrze. Palił cygaro, ona niosła poduszki. Zastąpił jej drogę.

— Czy mógłbym w czymś pomóc, Janet?

— Ściele tylko sobie łóżko.

— Nie śpisz z mężem?

— Wie pan, on chce zostać sam na kilka nocy. Będę na razie spała w pokoju dzieciennym.

— Więc pozwól mi zanieść te poduszki. I bardzo proszę, mów



mi po imieniu – Clem. Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają.

Usiłowała być miłsza, odprężyć się trochę, przypomnieć sobie, że Jack nie usuwa jej z sypialni na zawsze, ale kiedy odpowiedziała: — Przepraszam, to tylko dlatego, że mieliśmy kiedyś teriera o imieniu Clem – nie zabrzmiało to tak jak chciała.

Położył poduszki na niebieskim łóżku Piotra, zapalił lampkę nocną i siadł na brzegu łóżka, trzymając w ręku cygaro i dmuchając w jego żarzący się koniuszek.

— To może być trochę krępujące, ale muszę ci coś powiedzieć, Janet.

Nie patrzył na nią. Przyniosła mu popielniczkę i stanęła przy nim.

— Obawiamy się, że zdrowie psychiczne twojego męża jest zagrożone, chociaż zapewniam cię, że jak dotąd nie zdradza żadnych objawów utraty równowagi psychicznej, może poza niezwykle zaabsorbowaniem otaczającymi go zjawiskami – ale nawet w tym wypadku nie można powiedzieć, na pewno nie można, że zaabsorbowany jest bardziej, niż należałoby się spodziewać. To znaczy spodziewać w takich bezprecedensowych okolicznościach. Musimy o tym porozmawiać w najbliższych dniach.

Czekała, co będzie dalej, lekko ubawiona tym, co wyczyniał z cygarem. Nagle spojrzął jej prosto w oczy i powiedział: — Szczerze mówiąc, uważamy, że pomogłoby to mężowi, gdybyś zaczęła znów z nim współżyć.

Nieco zaskoczona, odpowiedziała: — Czy może pan sobie wyobrazić... – ale zaraz się poprawiła: – to zależy od mojego męża. Nie jestem nieprzystępna.

Podchwycił to natychmiast i odpowiedział prostym i bezpośrednim strzałem: — Jestem tego pewien.

### **Przy zgaszonym świetle leżała w łóżku syna**

Leżała w łóżku Piotra przy zgaszonym świetle. Oczywiście, że miała na to ochotę, nawet wielką – skoro już pozwalała sobie o tym myśleć. Podczas długich miesięcy wyprawy na Marsa, kiedy ona została w domu, a on oddalał się od tego domu coraz bardziej, kiedy właściwie był mieszkańcem tamtej planety, pozostała mu wierna. Opiekowała się dziećmi, odwiedzała sąsiadów, sprawiało jej przyjemność pisanie artykułów do pism kobiecych i udzielanie wywiadów w telewizji, kiedy już ogłoszono, że statek kosmiczny opuścił Marsa i jest w drodze powrotnej. Żyła jakby w letargu.

A potem ta wiadomość, z początku starannie przed nią ukrywana, że są trudności w porozumiewaniu się z załogą statku. Sensacyjny brukowiec zdradził tajemnicę, podając, że cała dziewięcioosobowa załoga postradała zmysły, a statek przekroczył strefę lądowania i spadł do Atlantyku. Jej pierwsza reakcja była czysto egoistyczna – nie, może nie egoistyczna, ale osobista: nigdy już nie pójdzie ze mną do łóżka. Bezgraniczna miłość i żal.

Kiedy został w końcu uratowany, jeden jedyny, cudem jakimś cały i nie okaleczony, jej pragnienia znów się ocknęły. I żyły w niej dotąd, tak jak on żył w przesuniętym czasie. Spróbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałaby teraz ich miłość, gdyby on odczuwał wszystko wcześniej, zanimby ona nawet zaczęła... osiągnęłaby rozkosz jeszcze zanim ona... Nie, to niemożliwe! Chociaż tak, oczywiście to możliwe, gdyby najpierw wszystko

dokładnie obmyślili – wówczas, gdyby po prostu leżała bez ruchu... Ale to, co usiłowała sobie wyobrazić, co mogła sobie wyobrazić, to nie była miłość, tylko upokarzające przystosowanie się do funkcji gruczołów i do upływu czasu.

Usiadła na łóżku, spragniona ruchu, swobody. Zerwała się, żeby otworzyć okno, w pokoju ciągle unosił się zapach cygara.

### **Gdyby wszystko dokładnie obmyślili**

W ciągu kilku dni nabrali pewnej wprawy. Słoneczna pogoda jak gdyby przyszła im z pomocą, podtrzymując równowagę ducha. Musieli wolno i ostrożnie, trzymając się lewej strony, przechodzić przez drzwi, aby się ze sobą nie zderzyć – zanim to ustalili, poszła cała taca kieliszków. Zastosowali prosty system pukania do drzwi przed wejściem do łazienki, porozumiewali się za pomocą krótkich komunikatów, nie zadając pytań, o ile nie było to absolutnie konieczne. Chodzili trzymając się w pewnej od siebie odległości. Słowem, każde pozostawało w obrębie własnego życia.

— W gruncie rzeczy to całkiem proste, jeżeli się tylko uważa – powiedziała pani Westermarck do Janet. – A kochany Jack jest taki cierpliwy!

— Mam nawet wrażenie, że ten stan rzeczy mu odpowiada.

— Ależ moja droga, jak może mu odpowiadać taka nieznośna sytuacja?

— Mamo, zdajesz sobie chyba sprawę z tego, jak wygląda nasze życie? Nie, to zbyt straszne, nie mogę o tym mówić.

— Bardzo cię proszę, tylko nie nabijaj sobie głowy jakimiś głupstwami. Byłaś bardzo dzielna, nie czas więc, żebyśmy się zaczęły przejmować właśnie teraz, kiedy wszystko idzie jak

najlepiej. Jeżeli cię coś gnębi, porozmawiaj z Clemem. Po to tutaj jest.

— Wiem.

— No więc!

W tej chwili zobaczyła w ogrodzie Jacka. Spojrzał w górę, uśmiechnął się, powiedział coś do siebie, wyciągnął rękę, cofnął ją, wciąż uśmiechnięty podszedł do ławki na trawniku i usiadł na jej brzegu. Janet, wzruszona, podbiegła do drzwi balkonowych, chcąc natychmiast biec do męża.

Zatrzymała się. Zobaczyła z góry wszystko, co zaraz zrobi, wszystkie swoje ruchy, gdyż Jack wytyczył już linię najbliższej przyszłości, wyprzedzając ją w czasie. Wyjdzie na trawnik, zawoła go, uśmiechnie się i podejdzie, kiedy on odpowie jej uśmiechem. Potem podejdą razem do ławki i usiądą, każde na przeciwległym końcu.

Świadomość ta odebrała jej naraz wszelką spontaniczność. Może się już nie spieszyć, skoro, jeśli chodzi o Jacka, zrobiła już to, co zamierzała. A gdyby tak w ogóle nie wyszła, zbuntowała się, wróciła do rozmowy z teściową o gospodarstwie? Wówczas Jack jak wariat rozmawiałby na trawniku sam ze sobą, tkwiąc w fantastycznym świecie, do którego ona nie ma dostępu. Dobrze, niech Stackpole to zobaczy, wtedy porzucą teorię o wyprzedzaniu czasu i będą musieli postarać się uleczyć Jacka ze zwykłego obłądu i urojeń. W rękach Clema będzie bezpieczny.

Ale zachowanie się Jacka dowodziło, że ona musi do niego pójść. Szaleństwem byłoby, gdyby nie poszła. Szaleństwem? Sprzeciwić się sprawom wszechświata to rzecz niemożliwa, a nie szalona. Jack nie sprzeciwiał się im, potknął się tylko o prawo, o

którym aż do pierwszej wyprawy na Marsa nikt nie wiedział. To oczywiste, że odkryto coś o wiele bardziej doniosłego i nieprzewidzianego, niż się ktokolwiek spodziewał. A ona straciła – nie, jeszcze nie straciła! Wybiegła na trawnik, zawołała go, pozwoliła, aby ruch uspokoił zamęt w jej myślach.

W powtórzonym zdarzeniu zachowało się jednak trochę świeżości, bo przypomniała sobie, że jego uśmiech, który dostrzegła z okna, miał w sobie czułość i ciepło, jakby mąż chciał jej dodać otuchy. Co wtedy powiedział? To było stracone. Podeszła do ławki i usiadła obok niego.

Czekał z wypowiedzią, aż minie ustalony i niezmienny odstęp czasu.

— Nie martw się, Janet – powiedział. – Mogłoby być gorzej.

— Jak to? – spytała, ale on już odpowiadał: — Mógłby być dzień różnicy. 3,3077 minuty przynajmniej umożliwiają pewne porozumienie.

— To wspaniale, że traktujesz to z takim filozoficznym spokojem – rzuciła.

Sarkazm w jej tonie przeraził ją.

— Porozmawiamy?

— Jack, już od dłuższego czasu chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

## Ja?

Wysokie buki, osłaniające ogród od północy, były tak nieruchome, że pomyślała: „Wyglądają tak samo dla niego jak i dla mnie”.

Wygłosił swój komunikat patrząc na zegarek. Miał bardzo chude ręce. Wyglądał jeszcze bardziej krucho niż wtedy, gdy

wychodził ze szpitala.

— Kochanie, zdaję sobie sprawę, jakie to musi być dla ciebie przykre. Oddziela nas od siebie to zdumiewające przesunięcie w czasie, ale ja przynajmniej mam tę pociechę, że poznaję zupełnie nowe zjawisko, podczas gdy ty...

— Ja?

### **Rozmowa na odległość międzygwiazdną**

— Chciałem powiedzieć, że ty jesteś uwięziona w niezmiennym, starym świecie, który cała ludzkość zna od zarania dziejów, ale ty przypuszczalnie patrzysz na to inaczej – w tej chwili dotarła do niego widocznie jakaś uwaga Janet, bo dodał bez związku: — Ja też chciałem porozmawiać z tobą sam na sam.

Janet ugryzła się w język i powstrzymała od odpowiedzi, bo właśnie podniósł ostrzegawczo palec i zirytowanym tonem powiedział: — Proszę cię, odmierzaj w czasie swoje wypowiedzi, żeby nie utrudniać porozumienia. I ograniczaj się do rzeczy zasadniczych. Doprawdy, kochanie, dziwię ci się, że nie stosujesz się do rady Clema i nie zapisujesz, co i kiedy zostało powiedziane.

— Ależ ja... ja chciałam tylko... przecież nie możemy stale zachowywać się tak, jakbyśmy brali udział w jakiejś konferencji. Chcę wiedzieć, co czujesz, jak ci jest, o czym myślisz, chcę ci pomóc, żebyś mógł kiedyś wrócić do normalnego życia.

Patrzył cały czas na zegarek, więc odpowiedź padła natychmiast.

— Nie cierpię na żadne zaburzenia psychiczne i odzyskałem już zdrowie fizyczne po wypadku. Nie ma powodu, żeby sądzić, że moja percepcja kiedykolwiek się cofnie i zrówna z waszą.

Odkąd nasz statek opuścił powierzchnię Marsa, ta percepcja wyprzedza niezmiennie o 3,3077 minuty czas ziemski.

Umilkł. Pomyślała: „Na moim zegarku jest teraz 11.03, a tyle rzeczy mam mu do powiedzenia. Ale dla niego jest już 11.06 z kawałkiem i on już wie, że nie mogę powiedzieć nic. Rozmowa poprzez dystans jego 3 i coś tam minuty wymaga takiego wysiłku i trudu, jakbyśmy rozmawiali na odległość międzygwiazdną”.

Widocznie on również zgubił wątek rozmowy, bo uśmiechnął się i wyciągnął rękę w powietrze. Janet obejrzała się. Z tacą pełną kieliszków zbliżał się do nich Clem Stackpole. Postawił ją ostrożnie na trawie, wziął martini i wsunął kieliszek Jackowi między palce.

— Jak się macie – powitał ich z uśmiechem. – A to dla ciebie – podał Janet gin z tonikiem. Sobie przyniósł butelkę jasnego piwa.

— Clem, czy mógłbyś dokładniej wytłumaczyć Janet moją sytuację? Ona jeszcze chyba jej nie rozumie.

Janet odwróciła się gniewnie do psychologa.

— To miała być rozmowa bez świadków, tylko między moim mężem a mną.

— Przepraszam, ale w takim razie nie bardzo wam to idzie. Może spróbuję wyjaśnić ci pewne rzeczy. Wiem, jakie to wszystko jest trudne.

### **3,3077**

Mocnym ruchem zerwał kapsel z butelki i nalał do szklanki piwa. Popijając, mówił:

— Zawsze zwykliśmy sądzić, że czas jest dla wszystkich w swej istocie niezmienny. Mówiąc o upływie czasu zakładamy, że czas płynie zawsze i wszędzie z tą samą prędkością. Zakładamy także,

że jakiegokolwiek życie na innej planecie w dowolnej części naszego wszechświata upływa z tą samą prędkością. Inaczej mówiąc, chociaż od dawna dzięki teorii względności przyzwyczailiśmy się do pewnych osobliwości czasu, to z drugiej strony przywykliśmy również do pewnych błędów w rozumowaniu. Teraz będziemy musieli myśleć inaczej. Rozumiesz, co mówię?

— Doskonale.

— Wszechświat nie jest w żadnym wypadku zwykłym pudełkiem, jak to sobie wyobrażali nasi przodkowie. Możliwe, że każda planeta otoczona jest własnym polem czasowym, tak jak otoczona jest własnym polem grawitacyjnym. Wszystko wskazuje na to, że pole czasowe Marsa wyprzedza nasze, ziemskie, o 3,3077 minuty. Wnosimy o tym z faktu, że twój mąż i pozostałych ośmiu mężczyzn, którzy byli z nim na Marsie, nie odczuwali między sobą żadnych różnic czasowych i nie zdawali sobie sprawy, że coś się zmieniło, póki nie opuścili Marsa i nie usiłowali nawiązać ponownie kontaktu z Ziemią. Wtedy natychmiast wyszła na jaw rozbieżność czasów. Twój mąż żyje nadal według czasu marsjańskiego. Niestety, pozostali członkowie załogi nie przeżyli katastrofy, ale gdyby ocaleli, z pewnością wystąpiłyby u nich te same objawy. To chyba jasne?

— Najzupełniej. Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego te objawy, jeżeli jest tak, jak twierdzisz...

— Nie ja tak twierdzę, ale do takich wniosków doszli ludzie znacznie mądrzejsi ode mnie. – Uśmiechnął się i dodał na marginesie: – Co nie przeszkadza, że ustawicznie korygujemy, a nawet zmieniamy nasze wnioski.



— Więc dlaczego nie zaobserwowano podobnych objawów u Rosjan i Amerykanów, którzy wrócili z Księżyca?

— Tego nie wiemy. Jest jeszcze bardzo dużo rzeczy, których nie wiemy. Przypuszczamy tylko, że w tym wypadku nie istnieje niezgodność czasu, ponieważ Księżyc jest satelitą Ziemi i w związku z tym pozostaje w zasięgu jej pola grawitacyjnego. Ale dopóki nie będziemy mieli nowych danych, dopóki nie posuniemy się dalej, będziemy wciąż wiedzieć zbyt mało i będziemy nadal mogli tylko snuć domysły. To zupełnie tak, jakby się chciało ustalić wynik meczu już po pierwszym strzale. Kiedy powróci ekspedycja z Wenus, będzie nam znacznie łatwiej opracować jakąś teorię.

— Jaka ekspedycja na Wenus? – zapytała, przerażona.

— Zanim wylecą, może minąć jeszcze rok, ale przyspieszają program. To nam dostarczy naprawdę bezcennych danych.

### **Czas przyszły oraz jego plusy i minusy**

Zacząła mówić: — Ależ po tym, co się stało, nie będą chyba tacy głupi...

Urwała jednak. Wiedziała, że będą tacy głupi. Przypomniały jej się słowa syna: „Ja też zostanę kosmonautą. Chcę być pierwszym człowiekiem na Saturnie!”

Mężczyźni patrzyli na zegarki. Westermark przeniósł wzrok z zegarka na ziemię i powiedział: — Ta liczba 3,077 na pewno nie jest wielkością stałą dla całego wszechświata. Może się zmieniać – myślę, że zmienia się w zależności od układu planetarnego. Osobiście sądzę, że musi to się w jakiś sposób wiązać z aktywnością słoneczną. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to może się okazać, że załoga powracająca z Wenus będzie miała percepcję

nieco opóźnioną w stosunku do czasu ziemskiego.

Wstał nagle, wyraźnie czymś poruszony.

— To mi nie przyszło do głowy – powiedział Stackpole, robiąc odpowiednią notatkę. – Jeżeli załoga lecąca na Wenus zostanie o tym wszystkim wcześniej dokładnie poinformowana, nie powinno być żadnych kłopotów ze sprowadzeniem ich na Ziemię. W końcu uporządkujemy kiedyś ten chaos i bez wątpienia przyczyni się to ogromnie do wzbogacenia kultury ludzkości. Możliwości są tu tak olbrzymie, że...

— To okropne! Jesteście wszyscy obłąkani! – krzyknęła Janet, zerwała się z ławki i pobiegła w stronę domu.

### **Z drugiej strony**

Jack ruszył za nią do domu. Na jego zegarku, wskazującym czas ziemski, była godzina 11.18 i dwanaście sekund. Pomyślał, już nie po raz pierwszy, że powinien sprawić sobie drugi zegarek na prawą rękę, który by wskazywał czas marsjański, bo z zegarka na tej ręce częściej korzysta i do niego się stosuje, nawet kiedy musi się porozumiewać z ludźmi, którzy nie znają nic prócz Ziemi.

Zdał sobie sprawę, że według odczucia Janet, wyprzedził ją. Ciekawe byłoby spotkać kogoś, kto by w swoich doznaniach wyprzedzał jego – na rozmowie z kimś takim zależałoby mu na pewno i chętnie zadałby sobie trud jej prowadzenia. Co prawda utraciłby wówczas swój prymat w świecie, owo wspaniałe uczucie, że jest ustawicznie pierwszy we wszechświecie, pierwszy wszędzie, a wszystko dla niego lśni dziwnym blaskiem – światłem marsjańskim! Tak to będzie nazywał, dopóki nie uda mu się tego zjawiska sklasyfikować – romantycznej wizji wolno

poprzedzać wyniki naukowe, zanim wkroczy ścisła dyscyplina badań. A z drugiej strony przypuśćmy, że naukowcy mylą się w swoich teoriach i ta mgiełka świetlna jest po prostu złudzeniem optycznym, skutkiem odbicia tak długiej podróży kosmicznej; albo przypuśćmy, że upływ czasu ma charakter kwantowy... przypuśćmy, że wszelki upływ czasu ma charakter kwantowy. W końcu proces formowania się świata – zarówno organicznego, jak i nieorganicznego, przebiega skokami, a nie jest zjawiskiem ciągłym.

Stał teraz na trawniku w zupełnym bezruchu. Trawa w przenikającym ją blasku wydawała się krucha, a każde jej źdźbło było zabarwione maleńkim widmem świetlnym. Czy gdyby jego percepcja jeszcze bardziej wyprzedziła czas ziemski, światło marsjańskie byłoby mocniejsze, a Ziemia bardziej przejrzysta? Jakież by to był piękny widok! Po dłuższej podróży do gwiazd wracaloby się na Ziemię przezroczystą jak pajęczyna, cofniętą o setki lat w tył, będącą ucieleśnieniem światła, pryzmatem. Skwapliwie próbował to sobie wyobrazić. Ale najpierw trzeba było powiększyć zasób wiedzy.

Nagle pomyślał: „Gdybym tak mógł wziąć udział w wyprawie na Wenus! Jeżeli ci z Instytutu mają rację, miałbym sześć, może pięć i pół... nie, nie można tego określić dokładnie, ale w każdym razie wyprzedzałbym tamten czas. Muszę tam polecieć! Będę dla nich cennym nabytkiem, trzeba się tylko zgłosić”.

Nie zauważył, że Stackpole dotknął przyjaźnie jego ramienia i minął go, wchodząc do domu. Jack stał, wpatrując się w ziemię, jakby widział przez nią kamienne doliny Marsa i nieodgadnione krajobrazy Wenus.

## Ruchome liczby

Janet zgodziła się pojechać ze Stackpole'em do miasta. Miał odebrać z naprawy buty do krykieta, a ona postanowiła kupić przy okazji baterie do aparatu fotograficznego. Dzieciom na pewno sprawią przyjemność zdjęcia przedstawiające ją i tatusia razem. Stojących razem.

Kiedy samochód mijał drzewa przy drodze, ich cienie migały jej przed oczami w postaci czerwonych i zielonych plamek. Stackpole prowadził bardzo pewnie, pogwizdując przez zęby. Dziwne, ale nie miała mu za złe tego gwizdania, które kiedy indziej uznałaby za irytujące, teraz bowiem wydawało się jej objawem pewnego skrępowania.

— Mam przykre wrażenie, że lepiej ode mnie rozumiesz teraz mojego męża – powiedziała.

Nie zaprzeczył.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wydaje mi się, że ta okropna izolacja wcale mu nie przeszkadza.

— Jest bardzo dzielny.

Westermark już od tygodnia był w domu. Janet czuła, że z każdym dniem bardziej oddalają się od siebie, bo Jack odzywał się coraz rzadziej, natomiast coraz częściej stał nieruchomo jak posąg, wpatrując się z napięciem w ziemię. Przypomniała sobie coś, czego nie miała kiedyś odwagi powiedzieć teściowej; z Clemem Stackpole'em czuła się mniej skrępowana.

— Widzisz chyba, w jaki sposób udaje się nam żyć we względnym spokoju – powiedziała. Stackpole zwolnił tempo jazdy i patrzył na nią z ukosa. – Radzimy sobie jakoś tylko dlatego, że usunęliśmy z naszego życia wszystko: zdarzenia,

dzieci, przyszłość. W przeciwnym razie odczuwalibyśmy co chwila, jak bardzo jesteście sobie obcy.

Stackpole posłyszał napięcie w jej głosie i powiedział uspokajająco: — Jesteś nie mniej dzielna od męża, Janet.

— Po uszy mam dzielności! Nie mogę znieść tej pustki.

Widząc znak drogowy, Stackpole zerknął do lusterka i zmienił bieg. Na szosie oprócz nich nie było nikogo. Zaczął znów pogwizdywać, ale Janet nie mogła już umilknąć, musiała mówić dalej.

— Już dosyć narobiliśmy zamieszania wokół problemu czasu, mam na myśli nas wszystkich – ludzi. Czas to europejski wynalazek. Jak się w nim zapłaczymy, Bóg jeden wie, do czego nas to doprowadzi, jeżeli... no, jeżeli będziemy brnąć dalej. – Zła była na siebie, że mówi tak chaotycznie.

Stackpole odezwał się dopiero wtedy, kiedy zjechał na pobocze i zatrzymał samochód w cieniu bujnie rosnących krzewów. Odwrócił się do niej z wyrozumiałym uśmiechem: — Czas był wynalazkiem Boga – jeżeli się wierzy w Boga. Ja osobiście wolę wierzyć. Obserwujemy czas, poskramiamy go, a kiedy to możliwe, eksploatujemy.

— Eksploatujemy!

— Nie możesz myśleć o przyszłości tak, jakbyśmy wciąż brnęli po kolana w błocie. – Roześmiał się krótko, opierając ręce na kierownicy. – Jaka cudowna pogoda. Przyszło mi coś do głowy... W niedzielę gram tu w miasteczku w krykieta. Może chciałabyś zobaczyć mecz? Moglibyśmy potem pójść gdzieś na herbatę.

### **Zdarzenia, dzieci, przyszłość**

Nazajutrz rano przyszedł list od Jane, jej pięcioletniej córki, i

list ten dał jej dużo do myślenia. Było w nim tylko kilka słów: „Kochana Mamusiu! Dziękuję za lalki. Całuję mocno – Jane”, ale Janet wiedziała, ile wysiłku kryje się za wysokimi na cal literami. Jak długo potrafi znieść to, że dzieci pozbawione są domu i jej opieki?

Równocześnie przypomniała sobie niesprecyzowane myśli z poprzedniego wieczoru: gdyby miało być „coś” pomiędzy nią a Stackpole’em, to lepiej, aby nie było tu dzieci – po prostu dlatego, jak to sobie teraz uświadomiła, że ich nieobecność byłaby im obojgu na rękę. Nie myślała wtedy o dzieciach, myślała o Stackpole’u, który wprawdzie okazał się nadspodziewanie delikatny, ale w gruncie rzeczy jej nie pociągał.

„I jeszcze jedna głęboko niemoralna myśl – zgnębiona szepnęła do siebie – kogóż mam innego poza Stackpole’em?”

Wiedziała, że mąż jest w gabinecie. Było zimno, zbyt zimno i mokro, żeby mógł odbyć swoją codzienną wędrówkę po ogrodzie. Zdawała sobie sprawę, że Jack coraz bardziej izoluje się od świata, pragnęła mu pomóc, bała się, że padnie ofiarą tej izolacji, nie chciała tego, pragnęła żyć pełnią życia. Upuściła list, przycisnęła rękę do czoła i zamknęła oczy czując, jak pod czaszką kłębią się wszystkie dalsze możliwości, a ewentualne przyszłe posunięcia ścierają się i nawzajem unicestwiają.

Stała jak przygwożdżona, kiedy do pokoju weszła teściowa.

— Szukam cię wszędzie – powiedziała. – Czuję, moje dziecko, że jesteś bardzo nieszczęśliwa.

— Mamo, ludzie zwykle kryją się z tym, że cierpią. Czy tak jest zawsze?

— Przede mną nie staraj się nic ukrywać... zwłaszcza że nie

potrafisz.

— Ale nie wiem, jak bardzo ty cierpisz, a w tym wypadku powinniśmy obydwie wszystko o sobie wiedzieć. Dlaczego jesteśmy tak okropnie skryte? Czego się boimy – politowania czy śmieszności?

— Może pomocy.

— Pomocy! Może masz rację... To bardzo przykre.

Stały patrząc na siebie, dopóki matka Jacka nie odezwała się:  
— Nieczęsto rozmawiamy tak szczerze, Janet.

— To prawda.

Chętnie by powiedziała coś więcej. Nieznajomej osobie spotkanej przypadkiem w pociągu opowiedziałaby pewnie wszystko, ale teraz nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Czując, że nic już na ten temat nie usłyszy, starsza pani Westermark rzekła: — Chciałam ci powiedzieć, że może będzie lepiej, jeśli dzieci nie wrócą tu na razie, dopóki tak się sprawy przedstawiają. Jeżeli chcesz pojechać, zobaczyć się z nimi i zostać tam u rodziców przez jakiś tydzień, mogę tymczasem zająć się tu gospodarstwem. Nie wydaje mi się, żeby Jack chciał się widzieć z dziećmi.

— To bardzo miło z twojej strony, mamó. Zobaczę jeszcze. Przynależam Clemowi... to znaczy powiedziałam panu Stackpole'owi, że może jutro pójde popatrzeć na mecz krykieta, w którym bierze udział. To nie takie ważne, oczywiście, ale jednak obiecałam... w każdym razie mogę pojechać do dzieci w poniedziałek, jeżeli zostaniesz na posterunku.

— Masz jeszcze moc czasu, gdybyś miała ochotę pojechać dzisiaj. Jestem pewna, że pan Stackpole cię zrozumie.

— Wolę odłożyć to do poniedziałku – powiedziała Janet nieco chłodno, bo zaczęła się domyślać, jakie pobudki kierują teściową.

### **Do czego nie odważył się posunąć „Przegląd Naukowy”**

Jack Westermark odłożył „Przegląd Naukowy Ameryki” i wbił spojrzenie w blat biurka. Przyłożył rękę do piersi i sprawdził, jak bije mu serce. W piśmie był artykuł o nim, ilustrowany zdjęciami zrobionymi w Instytucie Badań Psychiczych. Ten przemyślany artykuł różnił się diametralnie od innych sensacyjnych i płytkich relacji prasowych, określających Westermarka jako „człowieka, który bardziej niż Einstein zrewolucjonizował nasze pojęcie o wszechświecie”. Z tego też powodu stanowił większą rewelację i poruszał pewne aspekty sprawy, których sam Westermark nie wziął jeszcze pod uwagę.

Rozmyślając nad wnioskami artykułu, odpoczywał teraz po wysiłku, jakiego tu na Ziemi wymagało od niego czytanie, a Stackpole siedział przy kominku paląc cygaro i czekając, aż Westermark będzie gotów dyktować. Zwykle czytanie pisma urastało do rozmiarów wyczynu w czasoprzestrzeni i wymagało współpracy i porozumienia. Stackpole w odmierzonych odstępach czasu przewracał strony, a Westermark czytał, kiedy leżały płasko przed nim. Sam nie mógł ich przewrócić, ponieważ w swoim wąskim wycinku czasoprzestrzeni nie były w danej chwili przewracane, dla jego palców były jak pokryte szklistą powłoką – co stanowiło złudzenie optyczne, reprezentujące niepokonaną inercję kosmiczną.

Inercja ta nadawała osobliwy połysk również powierzchni biurka, w które się Westermark wpatrywał, zgłębiając w myślach



tezy artykułu z „Przeglądu Naukowego”.

Autor artykułu zaczął od przytoczenia faktów, po czym nadmienił, że wskazują one na istnienie „czasów lokalnych” w różnych punktach wszechświata; gdyby tak było rzeczywiście, można się spodziewać nowego wytłumaczenia zjawiska ucieczki galaktyk oraz rozbieżności w ocenach wieku wszechświata (i oczywiście stopnia jego złożoności). Następnie autor zajął się problemem, który nurtował także innych naukowców – mianowicie, dlaczego Westermarck zatracił czas ziemski na Marsie, a nie zatracił czasu marsjańskiego po powrocie na Ziemię. Fakt ten bardziej niż cokolwiek innego wskazywałby na to, że „czasy lokalne” nie działają w sposób mechaniczny, ale również, przynajmniej do pewnego stopnia, w sposób psychiczno–biologiczny.

W blacie biurka, jak w lustrze, Westermarck ujrzał siebie w chwili, gdy go proszą, żeby ponownie poleciał na Marsa, wziął udział w drugiej wyprawie na tę planetę rdzawych piasków, gdzie struktura czasoprzestrzeni w jakiś tajemniczy i niepokonany sposób wyprzedza ziemską normę o 3,3077 minuty. Czy jego zegar wewnętrzny znów by się przesunął naprzód? Co by się stało z połyskiem otaczającym wszystko na Ziemi?

I jakie byłyby skutki stopniowego wyzwiania się spod żelaznych praw, według których żyła ludzkość od swego zamierzchłego, plejstocenińskiego dzieciństwa?

Niecierpliwie wybiegł myślami w przyszłość wyobrażając sobie dzień, w którym Ziemia będzie siedliskiem wielu „czasów lokalnych”, pokłosa licznych podróży po bezkresach kosmosu – te bezkresy rozciągają się również w czasie – wtedy owa mała

zrozumiała koncepcja (Mc Taggart w ogóle podał w wątpliwość jej realność) wejdzie w sferę możliwości pojmowania człowieka. W ten sposób ludzkość posiadłaby największą tajemnicę bytu: możliwość zrozumienia nurtu, w którym rozgrywa się istnienie, podobnie jak sen rozgrywa się w pierwotnych granicach umysłu.

Tak... ale... czy ten dzień nie unicestwi zarazem lokalnego ziemskiego czasu? I właśnie on, Westermark, to rozpoczął. Istnieje tylko jedno wytłumaczenie: „czas lokalny” nie jest wytworem sił planetarnych – autor artykułu w „Przeglądzie Naukowym” nie odważył się posunąć aż tak daleko – „czas lokalny” jest wyłącznie tworem psychiki ludzkiej. Ten zagadkowy, najtajniejszy twór, który potrafi trzymać się określonego, dokładnego czasu nawet wówczas, kiedy człowiek leży nieprzytomny, jest na razie prowincjuszem, ale można go będzie wychować na obywatela wszechświata. Westermark zrozumiał, że jest pierwszym przedstawicielem nowego gatunku, którego jeszcze przed kilkoma miesiącami nie wymyśliłby nikt obdarzony największą nawet fantazją. Jest uniezależniony od wroga, bardziej niż śmierć zagrażającego współczesnemu człowiekowi: od Czasu. Tkwią w nim zupełnie nowe możliwości. Nadczłowiek wkroczył na scenę.

Nadczłowiek z trudem poruszył się na krześle. Siedział zatopiony w myślach tak długo, że zdrętwiały mu ręce i nogi, a on nawet tego nie zauważył.

### **Dokładnie odmierzone w czasie refleksje o zasadniczym znaczeniu**

— Dyktuję – powiedział i czekał niecierpliwie, aż polecenie dotrze w przepastną otchłań przy kominku, gdzie siedział

Stackpole. To, co miał do powiedzenia, było niezmiernie ważne, a mimo to musiało czekać na tych ludzi...

Jak to miał w zwyczaju, wstał i zaczął chodzić wokół biurka, mówiąc szybkimi, urywanymi zdaniami. Miało to być przesłanie dla ludzi na nową drogę życia...

— Świadomość nie jest jednolita, ale wieloraka... w początkowym okresie rozwoju ludzkości mogło istnieć wiele miar czasu... chorzy umysłowo częstokroć żyją w czasie mającym inne tempo... Dla niektórych dzień ciągnie się w nieskończoność... Wiemy z doświadczenia, że dzieci odbierają czas w krzywym zwierciadle świadomości, powiększony i zniekształcony poza swoim punktem ogniskowym...

Na moment zirytowała go przerażona twarz żony w oknie, odwrócił się od niej i kontynuował: — ...punktem ogniskowym... Ale człowiek w swojej ignorancji wciąż sobie wmawiał, że czas ma charakter jednokierunkowego nurtu mającego przy tym tę samą i niezmienną prędkość... mimo iż fakty świadczą o czymś wręcz przeciwnym... Nasze wyobrażenie o nas samych... nie... to błędne wyobrażenie stało się podstawowym założeniem życia...

### **Córki córek**

Matka Westermarka nie była na ogół skłonna do rozważań metafizycznych, ale wychodząc z pokoju zatrzymała się w drzwiach i powiedziała do synowej: — Wiesz, co mi czasami przychodzi na myśl? Jack wydaje się taki obcy, często w nocy zastanawiam się, czy mężczyźni i kobiety z każdym pokoleniem nie oddalają się od siebie coraz bardziej w sposobie bycia i myślenia – zupełnie jakby stanowili dwa odrębne gatunki. Moje pokolenie dokonało wielkiego wysiłku, żeby doprowadzić do

równouprawnienia obu płci, ale wygląda na to, że nic z tego nie wyszło.

— Z Jackiem niedługo wszystko będzie dobrze – Janet usłyszała powątpiewanie w swoim głosie.

— To samo myślałam – o tym, że mężczyźni i kobiety coraz bardziej się od siebie oddalają – kiedy zginął mój mąż.

Współczucie, które Janet zaczęła odczuwać, nagle wyparowało. Wiedziała już, na jaki temat zejdzie teraz rozmowa i poznała ton, starannie oczyszczony ze wszelkich nutek litowania się nad sobą, kiedy teściowa dodała: — Bob miał pasję szybkości. To go właśnie zabiło, a nie ten głupiec, który zajechał mu drogę.

— Nikt przecież nie winił twojego męża. Powinnaś przestać o tym myśleć.

— Ale sama chyba widzisz związek... Cały ten postęp. Bob, który chciał zawsze, za wszelką cenę być pierwszy za zakrętem, a teraz Jack... No cóż, kobieta nic na to nie poradzi.

Zamknęła za sobą drzwi. Janet bezwiednie wzięła do ręki list od następnego pokolenia kobiet: „Dziękuję za lalki”.

### **Decyzje i związane z nimi niespodziewane wypadki**

Był ich ojcem. Może jednak Jane i Piotr powinni wrócić do domu, mimo pewnego ryzyka. Janet stała przez chwilę w rozterce, aż nagle podjęła decyzję, że od razu rozmówi się z Jackiem. Jest taki drażliwy, taki nieprzystępny, ale ona może przynajmniej zobaczyć, co on robi, zanim mu przerwie.

Kiedy wyszła do przedpokoju i ruszyła do tylnych drzwi, usłyszała, że woła ją teściowa.

— Chwileczkę! – odpowiedziała.

Słońce przebiło się przez chmury i spijało wilgoć z ogrodu. Jesień niewątpliwie już nadeszła. Janet skręciła za róg domu, obeszła rabatę róż i zajrzała do gabinetu męża.

Wstrząśnięta zobaczyła, że zgięty wpół pochyła się nad stołem. Rękami zasłaniał twarz, spomiędzy palców ściekały krople krwi i padały na otwarte stronice pisma.

W tej samej chwili uświadomiła sobie, że Stackpole cały czas siedzi obojętnie przy elektrycznym kominku.

Wydała stłumiony okrzyk i pobiegła z powrotem do domu, zderzając się w drzwiach z matką Jacka.

— Chciałam właśnie... Janet, co się stało?

— Mamo, Jack! Dostał udaru albo miał jakiś straszny wypadek!

— Ale skąd wiesz?

— Prędko, musimy zadzwonić do szpitala... muszę iść do niego.

Pani Westermarck chwyciła Janet za rękę.

— Może lepiej zostawmy to panu Stackpole'owi, dobrze? Boję się, że...

— Mamo, musimy zrobić, co w naszej mocy. Wiem, że nie jesteśmy kompetentne, ale... Proszę cię, puść mnie.

— Nie, Janet. My... to jest ich świat. Boję się. Przyjdą tu, jeżeli będą nas potrzebować.

Ogarnięta paniką, trzymała Janet kurczowo za ramię. Przez chwilę patrzyły na siebie nieprzytomnie, jakby widząc przed sobą zupełnie co innego, potem Janet wyrwała się.

— Muszę do niego iść – powiedziała.

Przebiegła przez hol i otworzyła gwałtownie drzwi gabinetu. Jej mąż stał teraz przy oknie w drugim końcu pokoju, z nosa

płynęła mu krew.

— Jack! – krzyknęła.

Kiedy biegła do niego, coś niewidzialnego uderzyło ją nagle w czoło. Zatoczyła się i wpadła na regał z książkami. Grad mniejszych tomów z górnej półki posypał się na nią i wokół niej. Stackpole z okrzykiem przerażenia zerwał się upuszczając notes i pobiegł do niej wokół biurka. Nawet w chwili kiedy biegł jej na pomoc, zerknął na zegarek i zanotował w myślach dokładny czas: 10.24.

### **Pomoc po godz. 10.24 i zacisze pokoju**

W drzwiach ukazała się pani Westermark.

— Proszę stać w miejscu – krzyknął Stackpole – bo będą nowe kłopoty! Janet, widzisz, coś narobiła. Wyjdź stąd, proszę cię. Jack, już do ciebie idę – Bóg jeden wie, co przeżywałeś pozostawiony bez pomocy przez trzy i jedną trzecią minuty!

Zagniewany podszedł i stanął na odległość ramienia od swojego pacjenta. Rzucił na biurko chusteczkę do nosa.

— Proszę pana... – zaczęła od progu matka Jacka, obejmując wpeł synową.

Odwrócił się i rzucił przez ramię: — Ręczniki, szybko! Proszę zadzwonić do Instytutu po karetkę i niech się pośpieszą.

Zanim minęło południe, Westermark leżał już w zacisznym pokoju, a karetka z lekarzem, który udzielił mu pomocy, czyli po prostu zatamował krew płynącą z nosa, odjechała. Stackpole zamknął za lekarzem drzwi, odwrócił się i zmierzył wzrokiem obydwie kobiety.

— Uważam za swój obowiązek ostrzec panie – powiedział z naciskiem – że następny taki wypadek może być śmiertelny. Tym

razem uszło nam prawie na sucho. Ale jeżeli znów zdarzy się coś podobnego, będę musiał zalecić, aby pana Westermarka zabrano z powrotem do Instytutu.

### **Nowa definicja przypadku**

— Nie będzie chciał tam wrócić – powiedziała Janet. – Poza tym jesteś śmieszny, to był zupełny przypadek. A teraz chcę iść na górę i zobaczyć, jak się Jack czuje.

— Zanim pójdziesz, pozwól sobie powiedzieć, że to, co się zdarzyło, to nie był przypadek – w każdym razie nie w zwykłym sensie tego słowa, skoro skutek swojego wtargnięcia widziałś przez okno, zanim jeszcze weszłaś do pokoju. Można ci mieć za złe...

— Ależ to nonsens... – zaczęły obie kobiety naraz. Janet mówiła dalej: – Nigdy bym tak nie wpadła do pokoju, gdybym nie zobaczyła przez okno, że Jackowi coś się stało.

— Zobaczyłaś skutek swego późniejszego wtargnięcia.

Z westchnieniem ciężkim jak jęk, matka Jacka powiedziała: — Nic z tego nie rozumiem. Na co wpadła Janet, kiedy wbiegła do pokoju?

— Wpadła, proszę pani, na miejsce, w którym jej mąż stał 3.3077 minuty temu. Chyba zrozumiały już panie ten podstawowy problem inercji czasu?

Kiedy zaczęły mówić obie naraz, patrzył na nie bez słowa, dopóki nie umilkły. Potem powiedział: — Przejdźmy do bawialni. Jeśli chodzi o mnie, chętnie bym się czegoś napił.

Nalał sobie whisky i dopiero trzymając w ręku szklaneczkę zaczął mówić: — Nie chcę tu urządzać paniom wykładu, ale myślę, że najwyższy już czas, żeby panie zrozumiały, że nie

żyjemy w starym bezpiecznym świecie klasycznej mechaniki, którą rządzą osiemnastowieczne prawa wieku Oświecenia. Wszystko, co się tu zdarzyło, jest całkowicie racjonalne, ale jeżeli chcą panie udawać, że wykracza to poza możliwości kobiecego umysłu...

— Panie Stackpole – przerwała ostro Janet – czy może pan trzymać się tematu, nie obrażając nas? Dlaczego to, co się zdarzyło, to nie był przypadek? Rozumiem teraz, że kiedy patrzyłam przez okno gabinetu, widziałam u męża skutki zderzenia, które dla niego miało miejsce trzy i coś tam minuty wcześniej, a dla mnie miało nastąpić dopiero za trzy i coś tam minuty, ale wtedy byłam tak przerażona, że zapomniałam...

— Nie, nie, źle to obliczasz. Cała różnica czasu wynosi tylko 3.3077 minuty. Kiedy zobaczyłaś męża, cierpiał na skutek uderzenia dopiero połowę tego czasu – 1,65385 minuty, a następne 1,65385 minuty miało jeszcze upłynąć, zanim wpadłaś do pokoju i uderzyłaś go.

— Ależ ona go nie uderzyła! – zaprotestowała pani Westermark.

Stackpole odczekał chwilę, nim odpowiedział: — Uderzyła go o 10.24 czasu ziemskiego plus około 36 sekund czasu na Marsie, czyli czasu Jacka, co się równa 9.59 czasu Neptuna, co się równa z kolei 156 i pół czasu Syriusza. Wszechświat jest duży, proszę pani! Nie zrozumie pani nic z tego, dopóki będzie pani mieszać te dwa pojęcia: zdarzenie i czas. Może zechce pani usiąść i napić się czegoś?

— Pomijając liczby – rzekła Janet, ponawiając atak (cóż za wstrętny oportunistą z tego człowieka!) – jak możesz mówić, że



to nie był przypadek? Nie twierdzisz chyba, że zraniłam męża umyślnie? Z tego, co mówisz, wynika, że byłam bezsilna od chwili, kiedy zobaczyłam go przez okno.

— Pomijając liczby... – powtórzył. – Na tym właśnie polega twoja wina. Widziałaś przez okno skutek swojego czynu, a wtedy było już rzeczą nieuchronną, że musisz ten czyn popełnić, bo właściwie został już popełniony.

### **Powiew czasu**

— Nie rozumiem! – ścisnęła rękami czoło, przyjmując z wdzięcznością papierosa od teściowej, ale wzruszając ramionami na jej współczujące słowa: — Nie staraj się tego zrozumieć, kochanie.

— Przypuśćmy, że widząc krew płynącą Jackowi z nosa, spojrzełabym na zegarek i pomyślała: „Jest teraz 10.20, czy która tam była, i on być może cierpi na skutek mojego niespodziewanego wtargnięcia, więc lepiej będzie, jeśli nie wejde” i rzeczywiście bym nie weszła. Czy wtedy nos by mu się jakimś cudem zagoił?

— Oczywiście, że nie. Masz takie mechanistyczne podejście do świata. Staraj się patrzeć na rzeczy z pozycji rozumu, postaraj się żyć w naszych czasach! Nie mogłabyś pomyśleć tego, co przed chwilą powiedziałaś, bo nie leży to w twojej naturze, podobnie też nie w twojej naturze jest rozsądne korzystanie z zegarka i podobnie z reguły „pomijasz liczby”, jak to ujęłaś. Nie, nie chcę cię wcale urazić, to wszystko jest bardzo kobiece i na swój sposób pociągające. Chcę tylko powiedzieć, że gdybyś była taką osobą, która przed zajrzeniem do okna myśli: „Bez względu na to, w jakim stanie zobaczę męża, muszę pamiętać, że ma on już za

sobą doświadczenie następnych 3,3077 minuty”, mogłabyś wówczas spokojnie zajrzeć i zobaczyłabyś, że jest zdrow i cały i nie wpadłabyś bez opamiętania do pokoju.

Zaciągnęła się papierosem, oszołomiona i do żywego dotknięta.

— Mówisz, że stanowią zagrożenie dla własnego męża.

— To twoje słowa, nie moje.

— Boże, jak ja nienawidzę mężczyzn! Jesteście tacy cholernie logiczni, tacy zadowoleni z siebie!

Skończył whisky, postawił szklaneczkę przy niej na stole i jednocześnie pochylił się nad nią.

— Jesteś w tej chwili wytrącona z równowagi – powiedział.

— Pewnie, że jestem wytrącona z równowagi! A coś ty myślał? Najchętniej rozplakałaby się albo dała mu w twarz.

Zapanowała jednak nad sobą i obróciła się do matki Jacka, która delikatnie ujęła ją za rękę.

— Kochanie, najlepiej jedź teraz do dzieci i zostań z nimi na weekend. Wrócisz, kiedy będziesz miała ochotę. O Jacka się nie martw, zaopiekuję się nim – o ile w ogóle potrzeba mu opieki.

Janet rozejrzała się po pokoju.

— Jadę. Zaraz spakuję rzeczy. Dzieci ucieszą się z mojego przyjazdu. – Mijając Stackpole’a, dodała z goryczą: – Ich przynajmniej nic nie obchodzi lokalny czas na Syriuszu.

— Może przyjdzie taki dzień – odparł Stackpole z niewzruszonym spokojem – że będzie je to musiało obchodzić.

Zdarzenia, dzieci, przyszłość.

*Przełożyła Blanka Kuczborska*

## O autorze

Brian W(ilson) Aldiss (ur. 1925), najbardziej znany brytyjski pisarz SF, za zasługi dla literatury odznaczony Orderem Imperium Brytyjskiego. W czasie II wojny światowej służył na Dalekim Wschodzie. Po powrocie do Anglii pracował jako księgarz, w 1954 debiutował powieścią *Starswarm*. Już trzecia jego książka, *Non stop*, opublikowana w 1958 przyniosła mu wielkie uznanie. To historia potomków załogi wielopokoleniowego statku kosmicznego. A wydana w 1962 *Cieplarnia* przyniosła mu nagrodę Hugo. Otrzymał jeszcze nagrodę Nebula za *The Saliva Tree*. Wiele jego utworów było nominowanych do tych nagród, w tym *Człowiek ze swoim czasem*.

Aldiss pisze równie chętnie powieści, co opowiadania. Tu jego dorobek jest olbrzymi. W Polsce opublikowano dwa jego zbiory *The Best: Kto zastąpi człowieka?* oraz *Chwilę zaćmienia*, zawierającą opowiadania, które Aldiss sam wybrał dla polskiego czytelnika jako najbardziej interesujące.

Twórczość Aldissa jest bardzo różnorodna, od science fiction, której jest cały czas wierny (napisał m. in. historię SF, *Billion Year Spree*, wywodząc jej dzieje od *Frankensteina* Mary Shelley), przez powieści głównonurtowe, poezję, krytykę literacką po autobiografię. Wciąż bardzo aktywny zawodowo, także w ruchu fanowskim (odwiedził Polskę dwukrotnie).

Wśród powieści należy wymienić trylogię *Helikonia* (o

planecie w niezwykłym układzie gwiazdnym, na której pory roku trwają całe stulecia: *Wiosna Helikonii*, *Lato Helikonii* i *Zima Helikonii*), *Mroczne lata świetlne* (o niemożności nawiązania kontaktu z cywilizacją, która z powodu swojej fizjologii i tabu jest uważana za zwierzęcą, pomimo wysokiej inteligencji), *Malaczański gobelin* (liryczne arcydzieło o świecie w stanie permanentnej stagnacji), *Siwobrody* (o końcu cywilizacji ludzkiej, która staje się sterylne).

Każda powieść Aldissa jest oryginalna, autor nie wędruje utartymi ścieżkami, a poszukuje wciąż nowych tematów i rozwiązań.

---

## ALEXANDER JABLOKOV

---

*To niezwykle opowiadanie nieznanego mi autora było jak znaleziona żyła złota. Wtedy jeszcze takich miejskich horrorów chyba nie pisano. Czekalem na dalszy ciąg. Okazało się, że to nie była żyła, tylko wielki samorodek. Jabłokova wciągnęła niewidoczna ręka rynku i jak to częste u Amerykanów, pierwsza rzecz pozostaje najlepszą. Błyskotliwy debiut daje przepustkę do świata chałtury.*

### Strażnik Śmierci

Stacja kolejki podmiejskiej była zupełnie opustoszała, gdy zimowe, niedzielne popołudnie nad Chicago zmieniało się w noc. Stanley Paterson stanął przy obrotowych drzwiach i w zamyśleniu potarł nos. Latarnie rozlewały na nierównej nawierzchni kałuże światła, ale Stanley czuł się przez to jakby odsłonięty, światło nie dawało mu poczucia bezpieczeństwa. Zgarbiony, westchnął tylko i ruszył peronem, spoglądając w stronę, skąd miał nadjechać pociąg. Ciągle myślał o sprawach finansowych przedsiębiorstwa handlu metalami w Des Moines. Mieli je wykupić. Projekt był ważny, wart roboczych weekendów, ale w rezultacie Stanley zupełnie stracił kontakt ze światem – z wyjątkiem swojego mieszkania, swojego biura i wagonów licznych pociągów podmiejskich. Był raz na Oak St. Beach, chyba

pod koniec lata. A może w zeszłym roku?

Wiatr niósł zeschnięte liście – delikatnie wygięte, żyłkowane i kruche. Stojąc wśród nich, Stanley miał wrażenie, że jest ociężały i niezgrabny. Pomyślał o diecie. Zawsze tak jest, kiedy człowiek ciężko pracuje, usprawiedliwił się. Cierpi na tym sposób odżywiania. Co właściwie dziś jadł? Nie mógł sobie przypomnieć. Poły płaszcz uderzały o łydki. Z nosa mu ciekło, coś swędziało pod prawą łopatką. W dodatku był głodny. Zastanawiał się, co włożyć do kuchenki mikrofalowej, gdy dotrze do domu. Co zostawił w lodówce? Coś chińskiego? Kurczę po kijowsku? Zobaczy, gdy będzie na miejscu. Wysoko w górze unosiły się oświetlone okna miasta, rząd za rządem, jak cherubiny.

Trzasnęła metalowa bramka. Stanley powtarzał sobie, że to śmieszne odczuwać lęk, nawet po ciemku na pustym peronie.

Osiągnął tyle, że czuł się i śmieszny i przestraszony. Pochylony, spojrział wzdłuż torów, próbując siłą wzroku przyciągnąć wagony pociągu. Nic z tego. Obejrzał się. Przy wejściu jak cień stał jakiś człowiek. Nie był zbyt wysoki, a na głowie miał kapelusz, który w mroku wyglądał na skórzany. Porządni ludzie nie noszą kapeluszy, pomyślał Stanley. A już z pewnością skórzanych. Człowiek odwrócił się i wolnym, spokojnym krokiem ruszył w jego stronę.

Stanley pomyślał o ucieczce, ale zrezygnował. Wyszedłby tylko na idiotę. Zakołysał się na piętach, wcisnął ręce w kieszenie i nie zwracał na tamtego uwagi. Usiłował emanować aurą spokoju i pewności siebie. Peron po drugiej stronie torów był zupełnie pusty.

Nic nie zauważył, ale poczuł twarde ostrze noża, kłujące w

bok, tuż nad nerką. Jakoś od razu zgadł, co to za przedmiot.

— Dawaj forszę.

— Słucham? Nie...

— Dawaj forszę.

Ostrze rozcięło kosztowny materiał płaszcza i zadrapało skórę. Na myśl o tej niepotrzebnej stracie ogarnęła Stanleya irytacja. Spontanicznie, bez zastanowienia, krzyknął i pięścią uderzył napastnika w twarz. W ostatniej chwili przypomniał sobie, by nie chować kciuka między palce. Uderzenie było podobne do ciosów zadawanych we śnie, ale tym razem nie przebudził się jak zwykle, zlany potem i zaplątany w pościel. Wokół trwała zimna, ciemna noc. Mężczyzna zatoczył się, a Stanley pochwycił go, usiłując zewrzeć palce na krtani. To był mały człowieczek. Stanley nie pamiętał już, czemu odczuwał strach. Błysnęło ostrze. Poczuł, jak przebija ciało. Krzyk rozciął ciszę. W brzuchu Stanleya zajaśniał ciepły blask, z wolna ogarniający klatkę piersiową. Poczuł zawrót głowy i cisnął nieważkiego nagle napastnika wzdłuż peronu. Widział, jak ten maleje, wciąż maleje odpływając z wiatrem, tańcząc z liśćmi, wreszcie znikając u wyjścia za bramką, która znowu zaklekotała. Ciemność ogarnęła Stanleya jak fala przyływu, gasząc światła okien. Mroczna ociążałość powaliła go na ziemię. Słyszał zawodzący jęk niby głos syren czy płacz dziecka. Spoczął na peronie, miękkim teraz jak kobieca pierś. Było późno, czuł się zmęczony, pociąg wyraźnie nie zamierzał przyjechać. Postanowił więc uciąć sobie zasłużoną drzemkę.



Pielęgniarka podeszła, by zmierzyć Margaret tętno. Kiedy odsunęła kołdrę, odkryła, że pacjentka zmieniała się w kłębowisko ogromnych, czarnych nietoperzy, które wyfrunęły z pościeli, wypełniając sypialnię głuchym łopotem skrzydeł. Zaczęła krzyczeć, a krzyk stawał się z wolna ostrym dzwonkiem telefonu. Matthew Harmon poderwał się drżąc. Szarpnął za kabel, a kiedy aparat spadł na łóżko, przycisnął do ucha słuchawkę.

— Doktor Harmon – odezwał się jakiś głos. Zwykle, proste stwierdzenie, jak gdyby ktoś dzwonił w środku nocy tylko po to, żeby upewnić rozmówcę co do jego tożsamości. Harmon poczuł gniew i wiedział, że wraca do życia. Wyciągnął rękę i włączył nocną lampkę, która żółtym blaskiem zalała pościel. Nie patrzył na drugą połowę łóżka, choć słyszał, jak Margaret oddycha z trudem. Wymruczała coś jakby „Odbierz, Matt... telefon...” i zakrztusiła się, jak przy ataku serca. Przynajmniej nie było nietoperzy.

— Tak – powiedział. – Słucham, o co chodzi?

Znowu bolało go gardło i miał lekką chrypkę. Chwila milczenia.

— Proszono mnie, żebym do pana zadzwonił. Wbrew mojej opinii... chyba nie powinien pan otrzymywać takich informacji. Ale... – głębokie westchnienie. – Wydaje się, że mamy tu jedną z tych... jak pan to nazywa... opuszczonych dusz.

Kolejna przerwa, dłuższa niż pierwsza.

— To głupie. Sam nie wiem, dlaczego telefonuję do pana.

— To razem jest nas dwóch.

Głos w słuchawce był lekko pogardliwy, ale i zakłopotany, mimo przewagi wynikającej z anonimowości i pełnego



rozbudzenia. Znajomy głos. Głos z przeszłości, jeden z tylu pamiętanych lepiej lub gorzej, należących do studentów, praktykantów, kolegów, pielęgniarek, lekarzy, naukowców, obejmujących czterdzieści lat wspomnień. Niektóre pełne szacunku, inne rozdrażnione, czasem nawet gniewne. Podrapał się w głowę, myśląc o tym tonie niepewności i wzgardy.

— Osierococone, nie opuszczone. Ale można i tak.

Biorąc pod uwagę temat rozmowy, musiał to być ktoś z Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej, zapewne w miejskim szpitalu. Przypuszczalnie z chirurgii urazowej. To zawężyło pole domysłów... tak.

— Masterman – oświadczył. – Eugene Colin Masterman, Wyższa Szkoła Medyczna Johna Hopkinsa, dyplom w 75. Obecnie w Szpitalu św. Łukasza. Mam nadzieję, że zrozumiałeś w końcu różnicę między nerwami aferentnymi i eferentnymi. Przypominam sobie, że miałeś z tym problemy na egzaminie po moim wykładzie z neuroanatomii. Zapamiętaj tylko: ZAMEK, zmysłowe aferentne, motoryczne eferentne, koniec. To nietrudne. Ale, jak sam stwierdziłeś, nie dzwonisz z własnej inicjatywy. Leibig, wasz szef OIOM-u, kazał ci zatelefonować. Co słychać u Karla?

— Doktor Leibig czuje się dobrze – odparł ponuro Masterman. – Naturalnie, jeśli nie liczyć nieuniknionych efektów późnego wieku. Ma zaburzenia pracy nerek i kłopoty z przedsiódkami. Rzadko bywa na dyżurach. W przyszłym roku przechodzi na emeryturę.

— Szkoda – mruknął Harmon. – To dobry człowiek. Trzy lata młodszy ode mnie, czego z pewnością nie muszę ci przypominać.

No dobrze, Eugene, powiedz mi, z czym dzwonisz – pamiętał, że Masterman nie cierpiał, kiedy zwracano się do niego Eugene.

Tamten przekazał mu wszystko, punkt po punkcie, demonstracyjnie przytaczając najdrobniejsze nawet szczegóły. Nazwisko pacjenta: Paterson, Stanley Andrew. Numer ubezpieczenia. Miejsce zatrudnienia: firma konsultacyjno-zarządzająca w Loop. Położenie ran kłutych, pęknięć, przebić. Grupa krwi i typ immunologiczny. Ilość jednostek krwi, jaką przetoczono w karetce, izbie przyjęć, na OIOM-ie, z podziałem na pełną krew i plazmę. Nazwiska załogi ambulansu. Lekarz przyjmujący. Pielęgniarka dyżurna. Zawsze pierwsze nazwisko, potem imię i ewentualny inicjał drugiego.

— Kto go uczył w podstawówce? – przerwał Harmon.

— Co... doktorze Harmon, niech pan zrozumie, nie chciałem do pana telefonować. Uczyniłem to na osobistą prośbę doktora Leibiga.

— Który też nie jest pewien, czy nie zwariowałem. Ale zrobił to w imię dawnej przyjaźni. Dzięki Bogu. Jak rozumiem, Eugene, nasza rozmowa nie sprawia ci przyjemności. Może więc powinieneś mówić... zwięźlej.

— Zatrzymanie akcji serca Patersona nastąpiło... momencik... o 1.08 w nocy. Kilka razy próbowaliśmy je pobudzić defibrylatorem, ale bez skutku. W końcu musieliśmy otworzyć klatkę piersiową i podłączyć zewnętrzny rozrusznik. Przy okazji także układ wymuszonego oddychania. W chwili obecnej stan pacjenta jest stabilny.

— Życie nie jest stabilne – odparł Harmon.

Durne sukinsyny, myślał. Czy nigdy się nie nauczą? Sprawni

mechanicy, którzy uważają się za uczonych.

— Aktywność mózgu?

— No... minimalna.

— Minimalna, Eugene? Gdzie on zginął?

— On żyje. Jest podłączony do aparatury reanimacyjnej.

— Daruj sobie te słowne gierki. Gdzie go zamordowano?

— Na stacji St. Adams, przy Adams i Wabash. Peron dla pociągów w kierunku północnym – przerwał, by po chwili wybuchnąć. – Proszę posłuchać, panie Harmon. Nie można przecież poważnie traktować historyjek o upiorach, goblinach i duchach nie pogrzebanych zmarłych. Na miłość boską, nie żyjemy w średniowieczu! Jesteśmy lekarzami, wiemy, o co chodzi. Studiowaliśmy to. Wszystko pan zapomniał? Nie możemy pozwolić, by ludzie pod naszą opieką zwyczajnie umierali tylko po to, by chronić ich dusze. To szaleństwo, kompletny obłąd. Nie rozumiem, jak Leibig zdołał mnie namówić. On też uważa, że jest pan wariatem, a pacjent nie umarł, on żyje i jeśli moje zdanie ma się liczyć, to będzie żył, bo nie wyciągnę wtyczki tylko z powodu jakiejś pańskiej idiotycznej teorii o duchach. I znam dobrze różnicę między aferentnymi i eferentnymi. Nerwy aferentne to...

— Zostawmy to, doktorze Masterman – przerwał znużonym głosem Harmon. – O tej porze sam nie wiem, czy jeszcze pamiętam. Niech pan wraca do pacjentów. Dziękuję za wiadomość.

Delikatnie odłożył słuchawkę.

Przez chwilę zbierał siły, by wreszcie wyjąć nogi spod kołdry i z wahaniem postawić na zimnej podłodze. Były coraz chudsze, a siwe włosy na nich chyba coraz gęściejsze. Ściągnął w dół

nogawki jedwabnej piżamy, by nie patrzeć na własne łydki. Cnoty młodości, pomyślał, często stają się grzechami wieku podeszłego. Był kiedyś szczupły, teraz stał się chudy jak patyk. Nos, niegdyś orli, dziś był zwyczajnie garbaty. Szlachetne, wysokie czoło sięgało już poza czubek głowy.

Zawsze po takich nocnych telefonach myślał o dawnej Margaret. Pamiętał ją jeszcze sprzed ślubu – młodą, rudowłosą dziewczynę w poważnym, szarym kostiumie z zabawną, pluszową muszką. Później – w jego koszuli, o wiele dla niej za długiej i opiętej na piersi, kiedy w udawanej rozpaczycy załamywała ręce, przerażona liczbą książek, jakie powinna zmieścić w ich maleńkim mieszkaniu. Wreszcie jako przedwcześnie postarzałą kobietę, z trudem chwytającą oddech w łóżku obok niego. Nic nie zawiniła, a przecież ona właśnie cierpiała.

Wybrał numer. Z tamtej strony podniesiono słuchawkę po pierwszym dzwonku.

— Księgarnia „Sfinks i Oko Prawdy”. Dexter Warhoff, kierownik i jedyny właściciel. W tej chwili sklep jest zamknięty, ale gdyby tylko...

— Dexter – przerwał mu Harmon. – Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale chyba mamy następnego.

— Pan profesor! – krzyknął Dexter z zachwytem. – Żaden kłopot. Bawiłem się trochę w te sztuczki z kabały. Dość zabawne, ale nic takiego, co nie może poczekać. Gdzie on jest? Zresztą, proszę nie mówić, będę miał niespodziankę. Tam gdzie zwykle, za godzinę? Przywołam go i przygotuję. Ojej, nie mogę się doczekać!

Harmon stłumił westchnienie. Wyobraził sobie Dextera, pulchnego, w zbyt ciasnej koszuli barwy fioletu lub ciemnej czerwieni, z tłustymi włosami i wyłupiastymi oczyma, jak siedzi za biurkiem w swojej księgarni „Sfinks i Oko Prawdy”. Spędzał tam cały czas, którego nie poświęcał na sen – a nie spał wiele; bazgrał coś ogryzkiem ołówka na marginesach taniego wydania „Proroctw Nostradamusa” albo układał hebrajskie litery, by utworzyły anagramy Imienia Boga.

Sam sklep był miłym, niewielkim pomieszczeniem na Near North Side. Kolorowe pufy leżały na podłodze, a w powietrzu unosił się zapach jaśminowego kadzidła. Na półkach leżały książki, w każdy możliwy do wyobrażenia sposób związane z okultyzmem i zjawiskami nadnaturalnymi: od Madame Blavatsky po starożytnych astronautów, od Edgara Cayce’a do potwora z Loch Ness, od kart tarota do postrzegania pozazmysłowego. Harmon długo nie potrafił się zmusić, by tam wejść, ale w końcu podjął decyzję. Przyjął z dłoni Dextera o brudnych paznokciach filiżankę rumianku i dowiedział się tego, co z wahaniem zaczął uznawać za prawdę.

— Tak, Dexter. Przy Marii Panny, jak zwykle.

— Dobrze. To na razie.

Harmon odłożył słuchawkę. Badał i przeszukiwał, sprawdzał wszystkie możliwości, ale nie miał wyboru. Kiedy chodziło o precyzyjną, delikatną robotę egzorcyzmów i wiązania niespokojnych duchów, nie było na świecie lepszego asystenta niż Dexter Warhoff.



Pociąg wjechał wreszcie na stację. Lśnił wewnątrz złotym blaskiem jak latarnia. Otworzyły się drzwi i buchnęło ciepłe powietrze. Stanley pomyślał, że mógłby wstać i wsiąść do wagonu. Ale przypomniał sobie, jak niewygodne są kolejowe ławki, jak długo trzeba iść w chłodzie i mroku od stacji do mieszkania. Dlatego został na miejscu, gdzie ziemia była ciepła i miękka. Pociąg odczekał długą chwilę, zamknął drzwi i odjechał z szumem wzdłuż lśniących metalicznie torów, sięgających wyżej i wyżej. Zniknął wśród gwiazd i okien bloków mieszkalnych, pływających swobodnie w ciemności niby baloniki, co wyrwały się dzieciom z rąk. Kiedy znów był sam, zauważył, że stoi, choć nie pamiętał, jak do tego doszło. Wiatr od jeziora Michigan oczyścił niebo, a sierp księżyca zalał blaskiem wieże miasta. Miasto żyło; Stanley słyszał jego tchnienie, uderzenia serca, szum płynów życiowych w nieprzeliczonych arteriach. Bez namysłu przeskoczył poręcz i zsunął się po podporach wiaduktu ku wyczekującej ziemi. Miasto rozpościerało się przed nim. Stanley Paterson ruszył naprzód.

Po pewnym czasie wiatr przyniósł aromat pieczonego jagnięcia z czosnkiem i kminkiem. Poszedł tym tropem i wkrótce stał między popękkanymi, gipsowymi kolumnami, pod udekorowanym sieciami sufitem greckiej restauracji. W półmroku buchnął błękitny płomień i Stanley podążył do światła. Kelner w białej, marynarskiej kurtce podawał mężczyźnie i kobiecie *saganaki* – smażony ser zalany płonąca brandy.

Jedli. Stanley czuł wyraźnie lekko kwaśny smak sera, delikatną ostrość brandy, chrupiącą skórkę, i miękkie wnętrze. I aromat wina, ciężkiej, gorzko-żywiczej retsiny.

Spojrzeni na siebie. Ona była młoda, w bawełnianej sukience ze śmiałym, kolorowym deseniem. Skrzywiła się zabawnie, gdy wypła pierwszy łyk wina. Mężczyzna, który je zamówił, starszy, w szarym garniturze, odpowiedział uśmiechem. Stanley krążył wokół nich jak ktoś skostniały z zimna koło ogniska. Gdy jednak stanął bliżej, coś między nimi uległo zmianie. Od dawna byli przyjaciółmi, pracowali razem w firmie prawniczej, ale to była ich pierwsza prawdziwa randka. To ona zaproponowała kolację, ale teraz, gdy patrzyła na partnera, nie marzyła o romansie. Jej myśli wracały do znanych już, niechętnych kalkulacji i planów. Jak wejdzie do jego mieszkania, zachichocze, w odpowiedniej chwili przeprosi na moment i wyjdzie, by założyć diafragmę; jakim drwiącym, szerokim gestem ciśnie swoje majtki na podłogę, kiedy uda mu się wreszcie rozebrać ją do końca; jak powinna udawać niewinną, a jednocześnie dać mu do zrozumienia, że nią nie jest. Starszy mężczyzna wyprostował się i zeszywniał. Zbyt późno pożałował, że nie odmówił, nie opanował chęci zamiany przyjaciółki w jeszcze jedną przedwcześnie wyrachowaną młodą kobietę, nie potrafił zatrzymać się choćby na moment i zastanowić, odetchnąć spokojniej wśród szalonego pościgu za Nowym. *Saganaki* stygło, a oni w milczeniu patrzyli na plastikowe winogrona zwisające z nisz nad ich głowami.

Stanley cofnął się i znowu stanął na ulicy.

Gdzieś z góry dobiegała muzyka. Przemknął wzdłuż gładkich ścian budynku, aż dotarł do jej źródła. Okienna szyba przywarła mu do twarzy niby miękka błona bańki mydlanej. I nagle był już wewnątrz.

Kobieta z bujną, siwą fryzurą, o nieprawdopodobnie długiej szyi, siedziała przy fortepianie. Grając pochylała głowę, by spojrzeć na nuty. Druga, młodsza kobieta o lśniaco czarnych włosach i umalowanych powiekach, siedziała wyprostowana na krześle trzymając obój. Stanley rozpoznał melodię, choć nigdy przedtem jej nie słyszał: „Romanse na obój i fortepian” Schumanna. Kobiety chyba od bardzo dawna grywały razem, gdyż muzyka płynęła swobodnie i lekko. Ich jedyną publicznością był kudłaty kot rasy mieszanej, leżący na podnóżku i wpatrzony w płonący na kominku ogień.

Stanley czuł, jak płyną przez niego dźwięki; wyczuwał błogie zapomnienie grających. Rozpaczliwie chciał dzielić tę rozkosz. Podszedł, by się do nich przyłączyć. Oboistka pomyślała nagle, że nieważne, jak dobrze gra, jak długo ćwiczy, nigdy nie osiągnie takiego poziomu, by wystąpić w Filharmonii Chicago czy w jakiegokolwiek orkiestrze symfonicznej. Miłość jej życia na zawsze pozostanie hobby, rozrywką. Pianistkę ścisnął za gardło lęk przed złożonością instrumentu. Wiedziała, że gra jest dla niej zajęciem zbyt trudnym, jak zresztą wszystkie poważne zadania. Nikt nigdy jej nie pochwali. Jest już stara. Melodia utraciła synchronizację, jak gdyby kobiety znalazły się w oddzielnych pomieszczeniach izolowanych warstwami dźwiękochłonnymi; rozsypała się w zgrzytliwą kakofonię. Kot wstał, najeżył sierść, spojrział prosto na Stanleya i syknął gniewnie. Pianistka raz po raz wciskała palcem wskazującym jeden i ten sam klawisz. Stanley wysunął się przez okno.

Opuścił mieszkalne wieżowce i błądził po ulicach dwupiętrowych domków z piaskowca. Poczul na skórze ciepłą



wodę z mydłem i wpłynął przez szeroką szparę pod niedopasowanymi drzwiami.

Łazienka była pełna pary i ciepła, rozgrzana płomieniem gazowego palnika w ścianie. Pulchna kobieta w kwiecistej sukience, z krótkimi, ciemnymi włosami, kąpała dziecko w najcudowniejszym z kąpielowych urządzeń – wielkiej, wolno stojącej wannie na nóżkach. Dziewczynka właśnie myła głowę i włosy przylegały do jej skóry jak u manekina. Niby kot polujący na ryby wpatrywała się czujnie w pokrytą pianą wodę.

— Pokaż buzię, Sally. Buzię.

Sally posłusznie włożyła palec do buzi.

— A teraz nosek.

Położyła palec na nosie.

— Doskonale, Sally. A gdzie masz uszko? Uszko, Sally.

Po chwili namysłu dziewczynka dotknęła ucha.

— A bródka?

Zmęczona zabawą Sally pomyślała, co podoba jej się najbardziej, położyła palec na nosie i spojrzała wyzywająco na matkę. Kobieta roześmiała się, rozbawiona tym odruchem buntu.

— Mój głuptasek.

Spłukała włosy dziecka. Sally zamknęła oczy i zaburczała wesoło.

— Wychodzimy z wanny, Sally.

Dziewczynka wstała, a matka wyciągnęła korek. Sally machała rączką mydlanym bąbelkom, wirującym nad otworem spływu.

— Pa, pa! Pa, pa!

Matka wyjęła ją z wanny i owinęła w wielki ręcznik, w którym dziecko zniknęło zupełnie. Dotyk szorstkiego materiału i ciepły,

truskawkowy zapach matki ogarnął Stanleya jak stan łaski. Zbliżył się. Kobieta wycierała włosy dziecka, aż sterczały we wszystkie strony. Nagle opuściło ją uczucie szczęścia; poczuła się schwytana w pułapkę, skazana na poświęcenie całego życia temu egoistycznemu, kapryśnemu stworzeniu. Bez chwili czasu, by choćby pomyśleć o pracy nad poematem, jaki pisała, od kiedy porzuciła szkołę, by wyjść za mąż. Jej życie było teraz zdeterminowane, póki nie zestarzeje się i nie zostanie sama. Mocno tarła ręcznikiem, a Sally, przygnieciona i manipulowana siłami, których nie umiała zrozumieć, wybuchnęła płaczem.

— Cicho, Sally. Uspokój się, do diabła!

Stanley przypomniał sobie peron. Co właściwie tu robił? Miał przecież złapać pociąg i wrócić do domu. W jaki sposób zabłąkał się aż tutaj? Zawrócił i pośpieszył na stację.



Szli obok siebie ulicą; Harmon długim, miarowym krokiem, Dexter przebierając nogami i kołysząc się na boki, do czego zmuszała go grubość własnych ud. Harmon włożył długi, ciepły płaszcz i karakułową czapkę, ale chłód i tak kąsał aż do kości. Nosił szalik, by chronić szczególnie czułe gardło. Pamiętał jeszcze czasy, nie takie dawne przecież, kiedy lubił zimę. Czuł wtedy, że naprawdę żyje. Razem z Margaret wyjeżdżali na weekendy do Wisconsin, biegali na nartach i ustawiali groteskowe śnieżne bałwany. Ale teraz Dexter miał na sobie czerwoną wiatrówkę, w której wyglądał jak pomidor, i czapeczkę Minnesota Vikings z przymocowanymi rogami. Idąc żonglował małymi woreczkami,

które jak fontanny wyskakiwały mu z dłoni. Potrafił takie rzeczy; na przykład mógł przekładać między grzbietami palców srebrnego dolara albo robić papierowe zwierzątka *origami*. Wszystko to irytowało Harmona, ponieważ on sam nigdy się tego nie nauczył. Wyobraził sobie, jak wyglądają razem i parsknął, ubawiony własnym zakłopotaniem.

— Ojciec Tommey nie wyglądał najlepiej – oświadczył Dexter.  
– Chyba wyciągnęliśmy go z łóżka.

— Posłuchaj, Dexter, jest wpół do czwartej rano. Nie wszyscy siedzą do świtu czytając księgi kabały.

— Chyba nie. W każdym razie poprawił mu się nastrój, kiedy pogadaliśmy chwilę o horoskopie, który dla niego odczytuję. Jest tam parę naprawdę ciekawych rzeczy.

— Wyświęcony katolicki ksiądz kazał sobie postawić horoskop?

— Pewnie. Dlaczego nie? – zdziwił się Dexter.

Rzeczywiście, dlaczego nie? Harmon mocniej ścisnął swoją starożytną czarną torbę. Ojciec Tommey pobłogosławił trzymane w niej narzędzia i spryskał je wodą święconą z kościoła Marii Panny. Harmon, z typową dla zatwardziałych ateistów precyzyjną i rygorystyczną teorią teologii, wątpił w skuteczność błogosławieństwa kapłana tak głęboko pogrążonego w zabobonach, że stawiał sobie horoskop. W dodatku oddał swe usługi w celu tak wyraźnie demonicznym. Musiał jednak przyznać, że jego działania zawsze były skuteczne. Gdy podawał zaspanemu, niezupełnie przytomnemu księdzu zwierciadło, różdżkę, srebrne gwoździe, kadzielnicę, cyrkiel i pozostałe narzędzia swojego nowego fachu, były tylko kawałkami

martwego metalu. A kiedy odbierał je poświęcone, wibrowały skondensowaną energią. Dotyk tych na wpół żywych przedmiotów był mu wstrętny, choć nie mógł się bez nich obejść. Fakt, że działały, budził niepokój. Możliwie szybko pakował je w skórę owieczki pokrytą łacińskimi modlitwami i babilońskimi symbolami, po czym w odpowiednim porządku wkładał do torby. Kiedyś nosił w niej stetoskop, młoteczek do badania odruchów, termometr, strzykawkę, laryngoskop i inne instrumenty. Nie używał ich od lat, ale z prawdziwym bólem usunął z torby, by wykorzystać ją do nowej funkcji.

— Wie pan, profesorze, czytałem przedwczoraj bardzo ciekawą książkę o bogach starożytnej Atlantydy...

— Daj spokój, Dexter – mruknął z irytacją Harmon. – Przecież nie wierzysz naprawdę w te wszystkie bzdury.

Dexter odsłonił w uśmiechu żółte zęby.

— Dlaczego nie? Pan, na przykład, wierzy w duchy.

Argument był trudny do odparcia.

— Wierzę tylko dlatego, że jestem zmuszony, nie dlatego, że mi się to podoba. To właśnie nas różni. Zresztą, to chyba okropne, żeby komuś podobał się pomysł istnienia duchów.

— Rany, pamiętam, jak pan z tym walczył – Dexter zachichotał. – Siedział pan u mnie z godzinę i gadał o głupotach. I nagle pan umilkł. Zapytałem, co się stało. Duch, mówi pan na to. Muszę się pozbyć ducha. Potrzebował pan trzech filiżanek, żeby to z siebie wydusić. A przecież nie lubi pan rumianku, prawda?

— Przydał się.

— Na pewno. Pamięta pan tego pierwszego? Ja nigdy nie zapomnę. Sami nie wiedzieliśmy, co robimy, jak para dzieciaków

bawiących się dynamitem. Wie pan, udawałem wtedy, że znam się na tym lepiej, niż się znałem.

— Myślałem, że sobie z nim poradzę, ale prawie mnie wchłonął i musiałeś ratować mój tyłek. Masz niezły talent. Największy, o jakim słyszałem. Powinieneś być dumny.

— Jestem dokładnie taki dumny, jak gdybym odkrył w sobie wrodzony geniusz do okradania kurników.

Roześmiał się, odchylając głowę do tyłu. Miał sporo plomb w tylnych zębach.

— Zabawne, słowo daję. Ale poważnie, te historie z kabałą są naprawdę interesujące...

Harmon bez protestu słuchał głośnego, przesadnie dokładnego wykładu o średniowiecznym żydowskim mistycyzmie. Do chwili, gdy – zbyt szybko – stanęli przy stacji kolejki.

Dexter wygiął szyję i spojrzał w górę między ciemne wsporniki peronów. Nagle spowaźniał.

— Czuję go tam. Waga ciężka. Mocny. Nie wykorzystał życia, kiedy miał szansę. Tacy są zawsze najgorsi. Zbyt wiele tłumionych pragnień. Powodzenia. Aha... chwileczkę. Zamykają wejścia, kiedy pociągi przestają kursować, a my nie mamy upoważnienia...

Wyjął z kieszeni małe, czarne zawiniątko. Rozwinął je, odsłaniając lśniący komplet wytrychów.

— Otwierałem zamki w szkole – wyjaśnił. – Tak dla zabawy. Nigdy nic nie ukradłem. Najciekawsze było odgadywanie konstrukcji mechanizmu. Ale szkoły nie mają dobrych zamków. Uczniowie zwykle wyłamują okna.

Podszedł do ciężkich wrót z metalowej siatki, zamykających

wejście na schody. Otworzył je tak szybko, jak zrobiłby to ktoś z kluczem.

— Transport miejski też ma słabe – westchnął z rozczarowaniem. – Sam nie wiem, po co w ogóle zamykają. No dobrze. Już czas. Powodzenia.

Umilkł i z powagą uściśnął Harmonowi dłoń. Zawsze to robił. Nie mając nic więcej do powiedzenia, Harmon odwrócił się i ruszył schodami na peron.

Rzeczywiście, tacy zawsze byli najgorsi. Ludzie, którzy chcą żyć wiecznie, to ci, którzy nie potrafią znaleźć sobie zajęcia w deszczowe, niedzielne popołudnie, powiedział kiedyś Kaltenbrunner, szef radiologii w szpitalu Mt Tabor. Dr K. nigdy się nie nudził i nigdy nie nudził nikogo. Kochał siedemnastowieczną poezję angielską i zmarł na aneurizm trzy miesiące przed pierwszym spotkaniem Harmona z duchem. Umarł i pozostał martwy. Harmon wierzył, że Kaltenbrunner potrafiłby mu pomóc. Thomas Browne i John Donne wiedzieli o duchach więcej niż Harmon miał szansę się nauczyć. To dziwne; przecież w siedemnastym wieku nie było tylu duchów, żeby warto było się nimi zajmować.

Niektórzy lekarze unikali jakoś ostrych dyżurów. Nocami pracowali głównie młodzi, których trzeba było uczyć na dotyk, jaką kombinacją kruchości i elastyczności jest ludzkie ciało. W swoim czasie Harmon widział siedemdziesięcioletnią staruszkę, którą nieznany szaleniec wepchnął pod pędzący pociąg podmiejskiej kolejki. Przeżyła i tylko lekkie utykanie świadczyło o wypadku. Widział też obrońcę drużyny z Uniwersytetu DePaul, który zmarł w drodze do szpitala – przyczyną było pęknięcie

czaszki, wywołane upadkiem pod prysznicem w szatni.

Wspinając się po rozklekotanych, metalowych stopniach, Harmon wspominał pierwszego ducha. Zapamiętał go na zawsze. Ilekroć widział florencką kopułę, przypominał sobie, jak po raz pierwszy widzieli ją z Margaret z okna pensjonatu. Nie potrafił przeczytać pewnych słów, by nie wspominać klasy, w której je poznał. Wiedział nawet, jaka była wtedy pogoda. To znaczy, że pewne rzeczy nigdy nie giną, że zawsze we Florencji będzie przy nim Margaret. A także, że nigdy nie zdoła spotkać ducha, nie pamiętając grozy, jaką wzbudził tamten pierwszy.

Był na nocnej zmianie, kiedy bardzo późno wnieśli pokrwawione nosze. Od godziny panował spokój, zgodnie z dziwnym nieregularnym rytmem izby przyjęć na ostrym dyżurze, zwykle zatłoczonej, ale czasem prawie pustej. Tym razem ciężarówka najechała na jakiegoś pieszego, gdy przechodził przez ulicę. Sporo krwotoków, głównie wewnętrznych, oraz rozerwane płuco wypełnione krwią – krwiak opłucnej. Ranny oddychał głośno, wolnym, przeciągłym bulgotem, niby słomka wysysająca resztkę Coke, gdy szklanka jest niemal próżna. Harmon zdołał zahamować krwawienie, ale tymczasem mężczyzna wpadł w szok. Potem nastąpiło migotanie komór. Harmon przyłożył elektrody i zdefibryłował serce. Kiedy przestało pracować, podłączył pacjenta do układu reanimacyjnego. Późniejsza autopsja wykazała znaczne uszkodzenia rdzenia kręgowego i całkowitą blokadę nerek. Wszystkie środki, jakie stosował, okazały się od początku bezużyteczne, zdołał jednak utrzymać pacjenta przy życiu przez dodatkową godzinę, zanim na OIOM-ie wszystko przestało

działać równocześnie.

Dzień później zjawiała się pielęgniarka i przedstawiła mu problem. Rosemary była ruda, miła i przypominała mu Margaret z czasów młodości. Pewnie dlatego lubił ją bardziej, niż powinien, zwłaszcza od czasu choroby żony. Lecz pielęgniarka nie przyszła flirtować. Była przerażona. Wciąż słyszy, wyjaśniła, jak ktoś pije przez słomkę w kącie sali operacyjnej; a nikogo tam nie ma. Bała się, że traci rozum, co każdemu może się przytrafić po tylu ranach postrzałowych, samobójstwach i przedawkowaniach narkotyków. Harmon wyjaśnił jej tonem, który uważał za ojcowski, że to pewnie powietrze w rurach ogrzewania. Nazwał zjawisko „zatołem”. To medyczne określenie zachwyciło ją i pożartowali trochę.

Pamiętał, że zadowolony z rozmowy, szukał i nasłuchiwał w sali operacyjnej. Nic nie usłyszał. Było późno, więc w końcu położył się na noszach i zasnął, jak to się zdarza lekarzom, kiedy nie ma nic do roboty. Nigdy przedtem tego nie robił, a czemu zdecydował się właśnie wtedy, naprawdę nie mógł sobie przypomnieć, choć wszystkie inne szczegóły, od piegów na nosie Rosemary po wykaz nocnych dyżurów, rysowały się ostro w pamięci. Jak zwykle dawne zdarzenia, w przeciwieństwie do tych wczorajszych. Kiedy się obudził, usłyszał to. Powolny, przeciągły bulgot. Nasłuchiwał z zamkniętymi oczami, a serce biło mu mocno. Nagle dźwięk ucichł.

— Panie, nie widział pan mojego samochodu? – odezwał się czyjś głos. – Cutlass, niebieski, chociaż jest tak ciemno, że trudno rozpoznać kolor. Wiem, że zaparkowałem gdzieś tutaj, ale jakoś nie mogę go znaleźć.



Harmon powoli otworzył oczy. Przed nim stał tęgi mężczyzna w garniturze, z neseserem w ręku. Nie był zakrwawiony i nie miał trupio bladej twarzy, ale Harmon poznał go od razu. Ten człowiek zmarł wczorajszej nocy.

— Wie pan, muszę wracać do domu, do Berwyn. Żona już pewnie szaleje z niepokoju. Spodziewała się mnie parę godzin temu. Nie widział pan tego cholernego wozu? Niebieski Cutlass. Nie najlepszy, Bóg mi świadkiem, potrzebuje remontu, ale muszę jakoś dojechać do domu.

Harmon poznał jego żonę, gdy przyjechała zidentyfikować ciało. Istotnie, spodziewała się męża kilka godzin wcześniej.

— Rany, nie wiem, co mogłem z nim zrobić.

Harmon był człowiekiem logicznym i praktycznym. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, że te dwie cechy mogą się wykluczać. To, co widział przed sobą, było bez wątpienia duchem i jako człowiek praktyczny musiał to przyznać. Jako człowiek logiczny wiedział, że duchy nie istnieją, co więcej, nie mogą istnieć. Uświadomił sobie ten elegancki paradoks dopiero później, ponieważ kiedy martwy powiedział znowu: „Może mógłby mi pan pomóc odszukać mój samochód? Muszę jechać do domu”, poderwał się z noszy, waląc nimi o ścianę, wypadł na korytarz i zatrzymał dopiero wtedy, gdy wpadł na biurko w swoim małym gabinecie na piątym piętrze. Trząśł się cały i z trudem powstrzymywał krzyk.



Wiatr hulał na pustym peronie kolejki. Harmon szedł wolno

po spękanych betonie, aż znalazł miejsce, gdzie wszystko się odbyło. Policja splukała krew i wytarła kredowy kontur sylwetki, niezwykły symbol duszy, która odeszła, wykorzystywany przez policyjnych fotografów do rejestracji położenia zwłok. Poranni pasażerowie nie przeżyją niemiłego zaskoczenia na widok chłodnej, oficjalnej ewidencji czyjejs gwałtownej śmierci. Harmon nie potrzebował żadnych znaków. Czuł. Jak ktoś w sali autopsji wie, że drzwi do chłodni są otwarte, gdyż wyczuwa sączące się nad podłogą zimne, pachnące formaldehydem i rozkładem powietrze.

Nie miał pojęcia, skąd bierze się ten szczególny zmysł, zdolność, czy jak to nazwać. Na własny użytek porównywał ten przypadek do sytuacji kogoś obdarzonego idealnym słuchem i głosem, kto mimo to nie cierpi muzyki. Kogoś, kto po jednym wysłuchaniu utworu mógłby perfekcyjnie zagrać „Wariacje Goldberga” Bacha, a kto nienawidzi każdej jego nuty. Nieprzyjemny dar. Właściwie przekleństwo. Położył czarną torbę na płycie peronu i zaczął wyjmować narzędzia.



Z początku Harmon starał się delikatnie i ostrożnie wysondować, co myślą o duchach koledzy. Zbyt wiele przeczytał książek, w których rozsądni na pozór ludzie, skonfrontowani ze zjawiskami niewyjaśnionymi, tracili całą towarzyską ogładę, bełkotali bez sensu i wysuwali głupie oskarżenia, budząc lęk i zakłopotanie wśród przyjaciół. Dlatego pytał o duchy jak o kwestię czysto teoretyczną. Ku jego zdumieniu, znajomi albo

spokojnie odpowiadali, że nie wierzą, albo – większość – przytaczali jedną lub więcej historyjek: o duchu dziecka, zrzucającym piłkę ze schodów, albo o autostopowicze w białej sukience, zjawiającej się tylko samotnym kierowcom i znikającej z samochodu. Inni mówili o świecach gasnących w pokojach bez śladu przeciągu, o snach, w których występowali zmarli krewni, czy o innych, rozmaitych i nieistotnych, mistycznych doświadczeniach. Nikt nie chciał przyznać, że widział cokolwiek podobnego do prawdziwego, w oczywisty sposób umarłego człowieka, który chodzi, mówi i szuka niebieskiego Cutlassa. Człowieka, który nie ustępował i tydzień po tygodniu usiłował skłonić Harmona do pomocy. Wreszcie Harmon zrezygnował z dyżurów. Rosemary chyba przypuszczała, że to z powodów osobistych, bo zaprosiła go do domu na kolację. Potem rzadko ze sobą rozmawiali.

Opowiedział o wszystkim Margaret – tyle, ile mógł. Dzięki temu miała o czym myśleć, gdy tak leżała w łóżku, dyszała ciężko i czekała na koniec. Zastanawiała się, naturalnie, czy napięcie związane z jej chorobą nie sprawiło, że mąż utracił resztki rozsądku, jak to określiła. Ale powiedziała mu o tym, ponieważ oboje wiedzieli, że Harmon ma umysł stabilny jak skała. Interesował ją jednak fakt, że gdy inni ludzie mogli słyszeć duchy, Harmon je widział i mógł rozmawiać z nimi. Podobnie jak Dexter, użyła słowa „dar”.

W dobrym, klasycznym stylu starego uczonego, Harmon zagłębił się w badaniach na całe dni ginąc między zakurzonymi, zapomnianymi półkami działu magii i folkloru biblioteki Uniwersytetu Północno-Zachodniego w Chicago i w bibliotece

akademickiej Uniwersytetu Illinois. Jeden z przyjaciół wprowadził go nawet do działu kolekcji prywatnych w Muzeum Historii Naturalnej Fielda. Zapoznał się z lemurami, rzymskimi duszami zmarłych, z nawiedzającymi opuszczone pawilony sardonicznymi duchami chińskimi, z horrorem w Amityville. To wszystko było... literaturą. Opowieściami. Historiami do powtarzania w środку nocy. Ani jedna z nich nie miała tego brzmienia prawdy. Harmon już wtedy dobrze wiedział, jak zachowują się duchy.

Wszyscy starali się być dla niego mili z powodu Margaret i tego, co w rezultacie zrobił, choć tak naprawdę nikt nie znał rzeczywistych powodów. Miał już dość, w domu i w szpitalu. Zaczynał mówić rzeczy, które budziły niepokój. Nikt nie sądził, że oszalał; po prostu „był przemęczony” – to wszechobecna choroba współczesności tłumacząca niemal wszystko. Ktoś w Muzeum Fielda wspomniał, tonem ogólnie szanowanego człowieka, który sprzedaje komuś szczególnie obrzydliwą pornografię, że Dexter Warhoff z księgarni „Sfinks i Oko Prawdy” może dysponować materiałem, którego nie ma w muzeum. Podobno trzymał tam niezwykły, przedziwny papirusowy zwój z egipską „Księgą Umarłych”, a także kilka kodeksów Majów, nie umieszczonych w „Popul Vuh” ani „Kodeksie Drezdeńskim”. Nikt nie wiedział na pewno. Harmon doszedł do wniosku, że używanie normalnego zdrowego rozsądku jest w tych nowych okolicznościach porównywalne z użyciem brzytwy Ockhama do golenia przed krzywym lustrem z lunaparku. Zdrowy rozsądek był na ogół bardzo przydatnym narzędziem, jednak w niezwykłych okolicznościach stawał się niebezpieczny. Dlatego

poszedł do sklepu Dextera, pił jego gorzki rumianek i rozmawiał. Dexter z wystudiowanym namysłem drapał się w głowę, by wreszcie zaprowadzić gościa po schodach do swojego mieszkania. Przez dawno nie sprzątaną kuchnię, pełną brudnych naczyń, przeszli do pomieszczenia ze stosami prasowych wycinków, pracowicie znaczonej różnymi kolorami, w pięciu różnych językach. Były też stronicie tekstów przetłumaczonych z dalszych czterdziestu.

— Biedaczysko z pana – stwierdził ze smutkiem. – To straszny sposób przekonania się o tym, co ukryte. Widzę wyraźnie, że ciężko pan to przeżywa. Ale muszę przyznać, że ta pańska teoria z reanimacją to rozsądne wyjaśnienie. Proszę spojrzeć.

Pokazał Harmonowi francuski przekład kopii rosyjskiego wydawnictwa podziemnego, z Krymu. Opisywano tam duchy nawiedzające ośrodek medyczny ekskluzywnego sanatorium w Jałcie. Ton artykułu był nieco metaforyczny, ale Harmon po raz pierwszy czytał o faktach, potwierdzających jego własne doświadczenia. Dexter pokazał mu także tekst z biuletynu bombajskiego szpitala, fragmenty nie opublikowanych wspomnień duńskiego lekarza i z „Lancetu” studium nocnych strachów u pacjentów ze starczą demencją w domu opieki w Yorkshire. Sprawozdania były podobne.

— Prawie nic do 1930 roku, potem bardzo niewiele do 1960, i całkiem sporo przypadków w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

— Reanimacja – stwierdził Harmon, gdy skończył czytać. – Powodem jest technika sztucznego podtrzymywania procesów życiowych.

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, profesorze...

Harmon widział jednak, że Dexter się z nim zgadza i z jakichś powodów odczuwał zadowolenie.

— Kiedy trzyma się ciało przy życiu, choćby niedługo, podczas gdy powinno umrzeć i gnić spokojnie, dusza, normalnie odpływająca gdzieś... do nieba, piekła, w zapomnienie, na Pola Elizejskie, nieważne... zmuszona jest zostać w tym świecie, związana z oddychającym wciąż ciałem. A kiedy pozostaje, zaczyna znów kochać życie.



Harmon zauważył teraz, że powtarza swój własny wykład do siebie, na peronie. Wszystko wydało mu się wtedy oczywiste, choć nie było dowodem, jakiego wymaga „nauka”. Wystarczało jednak dla lekarza wyznającego inną skalę wartości. Lekarze interesują się jedynie tym, co działa i nie dbają o przyczyny.

Co prawda, żaden z jego kolegów tego nie pojął. Musiał zresztą przyznać, że w końcu stał się trochę przewrażliwiony. Czuł się jak ktoś, kto w osiemnastym wieku zwalcza puszczenie krwi. Zawsze wiedział, że lekarze są w większości jedynie sprawnymi technicznie durniami, więc szybko zaprzestał prób przekonywania ich. Zdążył jednak zyskać określoną reputację.

Używając mosiężnego cyrkla wykreślił kredą koło na szorstkim betonie. Potem za pomocą noża o trójkątnym ostrzu zeszkrobał odrobinę materiału z wnętrza kręgu. Choćby policja bardzo dokładnie zmyła wszystkie ślady, zawsze pozostawało trochę materii organicznej należącej do zmarłego, zwykle błony

czerwonych komórek krwi. Nad małym palnikiem spirytusowym, który gasł co chwilę, roztopił wosk i zmieszał ze zdrapaną krwią. Zalał tą miksturą lniany knot, wsunięty w formę z kutego na zimno brązu. Czekając, aż świeca stwardnieje, ułożył zwierciadło, srebrne gwoździe i mosiężny młotek tak, by w odpowiedniej chwili były pod ręką. Dziwne, ale stosowane przez nich metody miały swe korzenie w dawnych wiekach, gdy duchy były wyjątkowo rzadkimi efektami przypadkowych śpiączek czy przedawkowania pewnych toksyn. Ludzie mieli wtedy więcej czasu na takie zmartwienia, a wypracowane w dawnych wiekach techniki były zadziwiająco skuteczne. Zresztą, Harmon i Dexter dopracowali je.

Ustawił świecę w środku kręgu, zapalił i wykrzyknął imię Stanleya Patersona.



Pociągu wciąż nie było. Co się stało? Może odwołali? Dlaczego na stacji nie wisiało żadne zawiadomienie? Stanley stał na peronie i trząśł się z zimna. Nie wiedział, dlaczego stąd odszedł i dlaczego wrócił. Gdzie ten cholerny pociąg? Pod nogami widział wykreślone kredą koło i wypaloną do połowy świecę, ale nie myślał o nich. Czyżby tak się zadumał o muzyce i macierzyństwie, że przegapił pociąg? A może spóźnił się na ostatni kurs?

Rozległ się grzmot, na torach błysnęły światła. Oślepiały, gdyż Stanley długo przebywał w ciemności. Zamknął oczy i ruszył do przodu. Miał wrażenie, że już całą wieczność czeka na peronie.

— Zimna noc. Prawda, Stanley? – odezwał się jakiś głos tuż obok.

— Co? – Stanley rozejrzał się nerwowo po oświetlonym jasno wagonie. Był pusty. Potem dostrzegł siedzącego obok mężczyznę o smutnych, piwnych oczach. Miał na głowie futrzaną czapkę.

— O czym pan mówi? I skąd pan wie, jak mam na imię?

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił głowę i przycisnął nos do szyby. Za oknem, na peronie, leżał na wznak jakiś człowiek w długim, ciemnym płaszczu. Wielka kałuża krwi, całkiem czarnej w ostrych światłach stacji, zbierała się wokół ciała. Wyglądała jak otwór przepaści.

— Posłuchaj, Stanley – powtórzył cierpliwie mężczyzna.

— Chcę, żebyś sobie uświadomił pewne fakty. Nie jest to absolutnie konieczne, ale w ten sposób czuję się mniej... okrutny.

Pociąg zahamował na następnej stacji. Na peronie leżał martwy mężczyzna w czarnym płaszczu. Trzej ludzie w białych kitlach podbiegli z noszami. Pociąg ruszył.

— Nie obchodzi mnie, co pan czuje – stwierdził Stanley.

— Chyba na to zasługuję – parsknął obcy. – Ale musisz zrozumieć, że umarli nie mogą istnieć wśród żywych. Po prostu nie mogą. Kiedyś mieliśmy takiego zmarłego na operacyjnej. Nie chciał odejść. Usiłował we wszystkim uczestniczyć. Przyjęcie urodzinowe na oddziale zrobiło się ponure i smutne, ponieważ próbował wziąć w nim udział. A pacjent, który obchodził te urodziny, osłabł i zmarł w ciągu tygodnia. Chciał dołączyć do pary pielęgniarek, związanych zawodową przyjaźnią, budowaną przez lata wspólnych nocnych dyżurów i przez wspólne rodzinne nieszczęścia. Zaczęły się kłócić, bardzo poważnie. Wreszcie



przystały ze sobą rozmawiać. Ogrodnik, którego miłość do roślin próbował dzielić, znienawidził hodowane w swoim ogrodzie róże. Na wiosnę były chore i zakwitły późno. Zawsze lubiłem róże. Życie w pobliżu ducha jest piekłem, Stanley. Możesz mi wierzyć. Wiem, o czym mówię.

Zauważył, że róże wymienił na końcu, jakby były ważniejsze od ludzi. Tak wiele pozostało w nim cech lekarza...

Stanley obserwował, jak ludzie w białych kitlach kładą mężczyznę w ciemnym płaszczu na nosze i wybiegają z peronu. Jeden z nich trzymał nad głową butlę kroplówki. Pociąg ruszył.

— Ja... pan nie rozumie, niczego pan nie rozumie – Stanley załkał głośno. Jak miał tłumaczyć? Kiedy był dzieckiem, chciał grać na jakimś instrumencie jak siostra na pianinie albo choćby Frank, sąsiad, grający na trąbce w szkolnej orkiestrze. Próbował fortepianu, saksofonu, wiolonczeli. Przy żadnym nie wytrwał dłużej niż dwa lata i mimo zachęt matki nie chciał ćwiczyć. Kiedy dorósł, spróbował gitary i raz jeszcze poniósł porażkę. A jednak dzisiejszej nocy czuł, jak to jest, kiedy gra się Schumanna na fortepianie i oboju, jak muzyka wyrasta ze skrzyżowania duszy z instrumentem. Zrozumiał, co znaczy żyć.

— Teraz już wiem, co robić, widzi pan... Rozumiem, gdzie popełniłem błędy, jak marnowałem wszystko. Już wiem!

— Przynajmniej teraz – mężczyzna ze smutkiem potrząsnął głową i podsunął przed twarz Stanleya płaskie lustro z polerowanego brązu. Stanley spojrział, ale w zwierciadle była tylko kłębiąca się ciemność, otwór prowadzący w nicość. Osłabł nagle.

— Proszę się położyć, panie Paterson – powiedział cicho

Harmon. – Nie wygląda pan dobrze. Powinien pan trochę wypocząć.

W jakiś sposób znowu stał na tym samym, przeklętym peronie, jak gdyby pociąg nigdzie nie dojechał. Nienaturalna pustka w lustrze istotnie spowodowała lekki zawrót głowy, więc Stanley położył się bez oporu. Nawierzchnia peronu była teraz twarda i zimna. Nic już nie miało sensu. Patrzył, jak w górze wirują gwiazdy. A może to światła w oknach wieżowców?

— Nie możesz mnie tu zostawić – oświadczył. – Nie teraz, kiedy wreszcie wszystko zrozumiałem.

— Zamknij się – burknął gniewnie Harmon. – Za późno.

Wbił w prawy nadgarstek Stanleya długi, srebrny gwóźdź.

Chłód przeszył ciało, ale Stanley nie czuł bólu.

— Jesteś martwy.

Harmon wcisnął następny gwóźdź w stopę Stanleya i wbił go mocno niewielkim młoteczką.

— Ten pierwszy, z operacyjnej. Niewiele brakowało, żeby nas pozabijał, taki był silny. Ale unieruchomiliśmy go, kiedy tylko pojęliśmy, jak to robić. Gdybym tam wrócił, słyszałbym, jak gada do siebie, jak gdyby przebudził się właśnie z drzemki i wciąż był trochę senny. Słyszę was wszędzie tam, gdzie was uwięziłem, na rogach ulic, w przejściach, w alejkach. W łózkach.

Harmon płakał. Łzy spływały mu po policzkach, jakby to jego właśnie powinien żałować Stanley Paterson. Stanley Paterson, któremu na całą wieczność pozostała jedynie świadomość, że jest martwy, nie żywy.

— Nie martw się, Stanley. Życie jest obrzydliwe.

— Nie! – wrzasnął Stanley. – Chcę żyć! Wyciągnął wolną rękę i

chwycił Harmona za gardło.

Harmonowi wydało się, że został pogrzebany żywcem, i to w nieczystej ziemi. Pogrzebano go w ohydnej, przegniłej ziemi starego cmentarza, pełnej ludzkich zębów i wijących się robaków. Tłusta i wilgotna, oblepiała mu twarz. Odór był nie do zniesienia. Ciemność zaległa wokół. Prawie się poddał.

Ciemność odpłynęła i znów zjawił się peron. Dexter pochylał się nad nim, wysuwając spomiędzy warg czubek języka. Trzymał zwierciadło przed twarzą Stanleya i zmuszał ducha do zwolnienia uchwytu. Czerwona kurtka trzepotała w podmuchach mocnego, złośliwego wiatru.

— Szybciej, profesorze – wysapał. – Mówiłem, że jest silny.

Harmon wbił czwarty gwóźdź w prawy nadgarstek.

— Chcę żyć! – powtórzył Stanley już ciszej.

Harmon milczał. Dexter podał mu piąty gwóźdź. Wbił go w pierś Stanleya.

— Już. Teraz będziesz spokojny.

Przysiadł na piętach i oddychał z trudem. Całkiem jak lekarz, pomyślał. Eliminował objawy, ale nie potrafił wyleczyć choroby. Duchy nie będą już niepokoić żyjących, ale aż do Dnia Sądu pozostaną w miejscach, gdzie je przybił. I w żaden sposób nie mógł im pomóc.

Siedział bardzo długo, nim wreszcie poczuł na ramieniu dłoń Dextera. Spojrzał na jego brzydka, życzliwą twarz; potem na pięć srebrnych punkcików błyszczących w świetle latarni.

— Ten był trudny, profesorze.

— Wszystkie są trudne.

— Zawsze gorzej, kiedy taki przed śmiercią nigdy nie żył

naprawdę. Chce wszystko odrobić.

Dexter spakował narzędzia. Potem rozmasował Harmonowi kark, biorąc na siebie dotyk śmierci... Dexter, ze swoją naiwną wiarą w cokolwiek, we wszystko, wyglądający absurdalnie w rogatej czapeczce Minnesota Vikings. Bez niego Harmon nie przetrzymałby nawet jednego dnia.

Pomyślał o domu. Margaret tam będzie, jak zawsze, po swojej stronie łóżka, gdzie całkiem płasko leży nieporuszona kołdra. Nie zdążył na czas, gdy nastąpił ostatni, śmiertelny atak serca. Czekał wątpiąc we własne wnioski; pozwolił, żeby trzy dni trzymali ją na kardiologii podłączoną do aparatury reanimacyjnej. Dopiero wtedy uznał, że to beznadziejne i zgodził się na odłączenie. Wtedy, naturalnie, było już o wiele za późno. Powinien dać jej zwyczajnie umrzeć przy swoim boku. Ale jak mógł to zrobić? Teraz, kiedy zmieniał pościel, widział zaokrąglone główki pięciu srebrnych gwoździ wbitych w materac. Przytrzymały ją w miejscu, gdzie umarła.

Kochała życie, ale chciała być przy nim... zawsze. Dlatego położył się do łóżka razem z nią i poczuł jej zimny uścisk. Próba samobójstwa była zdumiewająco nieskuteczna jak na lekarza ze znajomością anatomii. Zresztą, podcięcie własnego gardła rzadko przynosi rezultaty. Jest zbyt nieprecyzyjne. Znaleźli go, wyleczyli, zregenerowali krtań. Współczesna medycyna czyni cuda. Kiedy czuł się już w miarę dobrze, choć jeszcze z bandażem na szyi, odszukał Dextera. Zajęli się tym człowiekiem w operacyjnej, a potem Margaret. Płakała i prosiła, gdy gwoździe zagłębiały się w ciało. Ale kiedyś kochała życie, więc sprawa nie była aż tak trudna, jak mogłaby być. Chociaż Harmon nie potrafił sobie

wyobrazić niczego trudniejszego.

Kiedy wracał, pytała sennie, jak poszło. Zawsze mówiła tak, jakby właśnie miała zasnąć. Ale nigdy nie zasypiała. I nigdy nie zaśnie.

— Chodźmy – powiedział Dexter. – Przyjemnie będzie położyć się w końcu do łóżka. Za trzy godziny muszę otworzyć sklep. O rany.

— Tak, Dexter – przyznał Harmon. – Przyjemnie będzie się położyć.

*Przełożył Piotr W. Cholewa*

## O autorze

Alexander Jablokov amerykański powieściopisarz i nowelista, urodzony w 1956 roku. Debiutował w latach 80. opowiadaniem SF i już w wieku 32 lat przeszedł na zawodowe pisarstwo, choć pierwsze książki opublikował dopiero w latach 90. Zajmuje się też krytyką literacką, publikuje ciekawe wywiady ze znanymi pisarzami SF.

Do tej pory opublikował 6 powieści (ostatnia to *Brain Thief*) i około 40 opowiadań (w tym jeden zbiór) i jedną książkę non fiction. Najbardziej znany z sugestywnych opowiadań.

---

## JURIJ NAGIBIN

---

*Jurij Nagibin ceniony autor solidnych opowiadań obyczajowych, nigdy nie parał się fantastyką. Niespodziewanie z wycieczki do Japonii przywiózł to opowiadanie, zupełnie inne od wszystkiego co pisał. Opowiadanie bardzo japońskie z ducha, nie mieszczące się w definicji gatunku, ale wydawało mi się, że czytelnikowi SF powinno się spodobać, jak i mnie się spodobało.*

### Tajemniczy dom

Wielu mieszkańców dawnej stolicy Japonii interesowało się tym, kto zostanie spadkobiercą pana Ito, spokojnie gasnącego ze starości i chorób w swoim pięknym i pustym domu. Pan Ito prowadził kantor wymiany pieniędzy i podobnie jak wszyscy wekslarze zajmował się również lichwą, pożyczając na procent oraz przyjmując w zastaw drogie kamienie i wyroby ze złota. Pan Ito był bogatym człowiekiem, choć nie tak bogatym, jak niektórzy przedstawiciele jego zawodu, gdyż był człowiekiem uczciwym i nie wyzyskiwał swoich dłużników.

Na kilka dni przed jego śmiercią zjawił się starzec z młodzieńcem. Nie odstępowali oni pana Ito aż do ostatniego tchnienia, zamknęli mu oczy i z należytych ceremoniałem sprawili pogrzeb. Następnie starzec odjechał, a młodzieniec został. To on był spadkobiercą. Akira Kawasima, bo tak się

nazywał młodzieniec, był siostrzeńcem zmarłego.

Widocznie ten szczupły, małomówny młody człowiek, niemający jeszcze dwudziestu lat, dobrze zapamiętał pouczenia umierającego, gdyż, ku ogólnemu zdziwieniu, poprowadził interesy pewnie, zręcznie i równie uczciwie jak jego wuj.

Akira Kawasima nie podbił jednak serc współobywateli tak jak jego poprzednik. Być może nie miał szczęśliwego daru obcowania z ludźmi lub duma kazała mu odrzucać sympatię otoczenia. Staruszek potrafił pożartować z klientem, potrafił się dobrotliwie uśmiechnąć, spytać o zdrowie lub nawet poczęstować czarką sake po udanej transakcji. Jego następcą nigdy nie przekraczał granic lodowatej rzeczowości. Siedział w swoim kantorze sztywno, jakby połknął miecz, z powiekami opuszczonymi tak, że pozostawała tylko wąska szczelina. To pozornie senne spojrzenie było jednak bystre niczym wzrok sokoła. Jego suche i silne palce, tak długie, że zdawały się mieć dodatkowy staw, delikatnie, nieomal pieśczeniście dotykały wagi do złotego piasku i sztabek, buteleczek z kwasami, niezbędnymi do określenia czystości drogocennych metali, rulonów monet z różnych krajów i cienkiego pędzelka, którym podpisywał rachunki, bezlitosne jak sam los. Jeśli klient zaczynał się sprzeczać, zamierał niczym Budda, wypełniając ciało bezruchem i mrużąc powieki. I tylko nieznaczne drgnięcie rzęs zdradzało kipiące w nim uczucia. Kiedy zaś klient przekraczał granice dobrego wychowania, wyciągał powoli rękę, brał złotą monetę i zginał ją błyskawicznym, przerażającym ruchem palców: dużego, średniego i wskazującego. Zazwyczaj kłótlivy gość milkł natychmiast.



Krążyły o nim dziwne wieści. Pewnej nocy kilku młodych samurajów, wracających z wypitki, ujrzało na pustej ulicy koło klasztoru jego samotną postać. Postanowiwszy nastraszyć sprytnego bankiera, rzucili się na niego z głośnym krzykiem, potrząsając mieczami. Akira Kawasima skrył się w cieniu klasztornej muru i natychmiast zniknął. Spóźniony mnich zapewniał rycerzy, że widział, jak po wysokim, gładkim i białym murze wspinał się ogromny, czarny żuk i zniknął po drugiej stronie.

Budził lęk także jego sposób niezauważalnego podchodzenia do ludzi, tak że wyrastał nagle jak spod ziemi.

Według wierzeń ludowych ninja rozporządzają darem niewidzialności, zdolnością do przenikania przez mury, potrafią wspinać się po pionowych ścianach, poruszać z szybkością nieosiągalną dla zwykłych śmiertelników, oddychać pod wodą, mogą splunięciem zabić człowieka i uwolnić się z każdych pęt; wyostrzony słuch pozwala im podsłuchiwać tajne rozmowy, zaś koci wzrok – widzieć w największych ciemnościach.

Jakże zdziwiliby się mieszkańcy stolicy, gdyby dowiedzieli się, że młody bankier Akira Kawasima rzeczywiście jest ninja!

Jego ojciec i dziad, pradziad i prapradziad byli ninja. Ich klan mieszkał w lesistej części wyspy Honsiu i w każdej rodzinie ojciec przekazywał synowi otoczoną największą tajemnicą, obrosłą legendą starożytną sztukę ninjutsu. Chłopiec rozpoczynał naukę w wieku dziesięciu lat. Uczono go cierpliwości: ninja musi umieć trwać w bezruchu jak głaz, godzinami siedzieć pod wodą, oddychając przez łądygę bambusu lub pochwę miecza, musi umieć nurkować niczym najlepszy

poławiacz pereł. Mądrze i surowo ćwiczone także jego ciało i wszystkie zmysły, doprowadzając je do takiego stopnia doskonałości, jaki był udziałem pierwotnych myśliwych.

W wieku siedemnastu lat Akira Kawasima był panem swego ciała, potrafił wyjąć ze stawów palce, przegub, łokieć i ramię. Ręka stawała się luźna, niczym rękaw kimona. Rozluźniwszy się w ten sposób mógł bez trudu uwolnić się z kajdan i więzów lub przejść przez najmniejszy otwór.

Akira bezbłędnie opanował bezszelestny krok ninja, który szybko i płynnie, stawiając nogę za nogą, przemyka się niczym po śliskim lodzie. Nauczył się bezdźwięcznie wsuwać do domów podsłuchową rurkę bambusową, zaopatrzoną w rozszerzające się zakończenie. Nauczył się wspinać po pionowych murach za pomocą sznura i haka. Nauczył się poruszać w ciemności, wyczuwając przedmioty za pomocą długiej rurki i odkrywając wroga porażać go „plunięciem smoka” – zatrutą igłą wyrzucaną dmuchnięciem z tej rurki.

Umiał powstrzymać cios miecza przedramieniem w specjalnej bransolecie i pozbawiając przeciwnika broni ruchem jednej ręki – drugą, uzbrojoną w kastet o nazwie „paszcza tygrysa”, rozerwać mu skroń.

Z dumą i wdziękiem nosił niepozorny dla postronnego oka bojowy strój ninja: czarne, luźne kimono z kapturem. Strój ten, pozbawiając postać człowieka wyraźnych kształtów, czyni go istotą anonimową, trudną do rozpoznania.

Obecnie klan przeżywał okres upadku. W czasie krwawych walk feudalnych każdy ninja był na wagę złota i klan prosperował. Od czasu jednak, kiedy ród Tokugawa,

zawdzięczający zresztą swoje zwycięstwo również pomocy ninja, ujął twardą ręką ster rządów, dla klanu nastały ciężkie czasy. Oczywiście, niewidzialni ludzie byli nadal wykorzystywani na wojnie w charakterze zwiadowców i szpiegów, a możni zlecali im różne delikatne misje, lecz wszystko to nie mogło się równać z bohaterską przeszłością. Mimo to klan święcie strzegł tajemnic swojej sztuki, ufając, że powrócą jeszcze czasy rozkwitu.

Kiedy umarł bogaty bankier, przekazując swój majątek siostrzeńcowi, klan polecił mu dalsze prowadzenie dochodowego interesu, tak aby w miarę potrzeby mógł wspierać finansowo całą rodzinę. Zmiana leśnej swobody na nudny, siedzący tryb życia w mieście bynajmniej mu się nie uśmiechała, lecz posłuszeństwo jest w klanie ninja równie świętym prawem jak obowiązek przestrzegania tajemnicy – za ich naruszenie grozi śmierć.

Akira nudził się w mieście. Jak dobrze było budzić się słysząc szum liści, wdychać lekko wilgotne od parującej rosy leśne powietrze i czuć swoje wypoczęte i tęskniące za intensywnymi ćwiczeniami ciało! Jak dobrze było umyć się źródlaną wodą i po skromnym posiłku rozpocząć dzień wypełniony prawdziwie męską pracą: atakiem i obroną, walką wręcz i na miecze, strzelaniem do celu, biegiem, skokami i wspinaczką na strome skały!...

W mieście czuł się obco. Nie lubił swego schludnego i chłodnego, lecz ciasnego jak klatka domu, ani ogródka z obowiązkowymi murkami, dekoracyjnym krzewem, źródelkiem i kamienną latarnią – ściśle obliczony bezład dający mieszkańcom miast złudzenie kontaktu z przyrodą. Nie lubił pieniędzy i starał

się nie patrzeć w chciwe, błagalne i nieszczęśliwe twarze swoich klientów. Nic nie łączyło go z tymi ludźmi oprócz interesów. Nie pił, nie palił, pogardzał lepką, zawodową czułością gejsz, nie mogąc bez obrzydzenia myśleć o pieszczotach kupowanych za pieniądze. Był obojętny na sztukę i religię, nie chodził do świątyni. Poezję jego życia stanowiło co innego – atak i obrona.

Żył tak, jak gdyby kazano mu siedzieć pod wodą i oddychać przez bambusową rurkę nie przez godziny, dni czy nawet lata, lecz przez całe życie.

Musiał jednak w milczeniu znosić swój los, gdyż cierpliwość wpisana jest w statut ninjutsu. Tutaj potrzebny był klanowi, zacisnąwszy więc ciemne wargi, opuściwszy cienkie jak u ptaka powieki na piwne oczy, przeciwstawiał się pokusom ucieczki.

Powinien zatroszczyć się o bezpieczeństwo. Żadne sposoby nie pomogą mu w razie napadu w ciasnym domu. A napaść mogą, aby go obrabować lub po prostu obrazić i ośmieszyć. Był przecież znienawidzony – czuł to przez skórę. Tak więc postanowił przekształcić swój dom nie w twierdzę – cóż to za twierdza z drzewa i papieru – lecz w śmiercionośną pułapkę dla każdego, kto ośmieli się wejść tu nieproszony. Pogrążył się w obliczeniach i rysunkach. Ninja Kawasima, żyjąc w odosobnieniu, mało znał ludzi i dlatego też nie mógł znać samego siebie. Nie dziwiło go to, że w nieprawdopodobnie krótkim czasie stał się doskonałym finansistą i poprowadził interes swego wuja tak, jak gdyby przeszedł specjalną szkołę. Teraz bez cienia wątpliwości wyznaczył sobie skomplikowane zadanie, wymagające specjalnego przygotowania, dużego doświadczenia i talentu. W swojej naiwności sądził, że powinien umieć zrobić wszystko to,

co potrafią inni.

Nie zmieniając niczego w zewnętrznym wyglądzie domu, gdyż chciał zachować swoje plany w tajemnicy, Kawasima zaczął przebudowywać swój dom od wewnątrz. Przede wszystkim zabezpieczył sobie drogę odwrotu – dla ucieczki i dla zmylenia przeciwnika. Zbudował pod samym dachem drugie piętro i system otworów, pozwalających bez pomocy schodów błyskawicznie ześliznąć się spod dachu do piwnicy. Tam też wykopał głęboką, zamaskowaną studnię. Część domu wyposażył w podwójne ściany, między którymi ukrył schody, w korytarzach położył wibrujące „śpiewające” podłogi i był to jedyny element zapożyczony od innych. Śpiewające korytarze budowano w domach wielu feudałów, którzy słusznie obawiali się napadu. Porobił też fałszywe drzwi, za którymi otwierały się zapadnie i prawdziwe drzwi ukryte w ścianach. Na skrzyżowaniu korytarzy rozłożył maty, pod którymi w nocy otwierały się głębokie jamy. Na dnie każdej z nich tkwił ostrzem do góry obosieczny miecz. Framugi drzwi waliły się na głowę nieproszonego gościa, ruchome ściany podnosiły alarm przy najlżejszym dotknięciu. Pracował sam, bez pomocników. W ciągu dwóch lat przebudowywał nocami swój dom rozwiązując zadania architektoniczne i techniczne, które mogły zapędzić w kozi róg największych specjalistów. Przy całej swojej niewiedzy, wysiłkiem woli, rozumu, instynktu, nadludzkim uporem, cierpliwością i skupieniem stworzył cudo architektury, które miało przez stulecia budzić zachwyt i podziw zwiedzających. Coś podobnego można osiągnąć tylko nie zdając sobie sprawy z ograniczenia własnych możliwości.

Mylił się tylko pod jednym względem – sądził, że ludzie niczego nie wiedzą o jego przygotowaniach. Bóg wie jakim sposobem mieszkańcy stolicy dowiedzieli się o domu pułapce i żaden złodziej, rabuś czy amator mocnych wrażeń nie odważyłby się naruszyć spokoju ninja.

Ukończywszy budowę domu Akira Kawasima ożenił się. Wybór jego padł na córkę pisarza, mieszkającego w sąsiedztwie. Nie wyróżniała się ona niczym spośród dziewcząt tej dzielnicy: Akira wybrał ją, ponieważ pochodziła z biednej rodziny i nie musiał obawiać się odmowy. W ciągu trzech następnych lat żona urodziła mu trzy córki i Kawasima, który marzył o synu, przeżywał to boleśnie. Synowi mógł przekazać swoją marnującą się, bezużyteczną sztukę, a tu jak na złość same córki!

W nocy, nie mogąc zasnąć, wymykał się od żony i snuł się po domu. Ubierał się w wydobyte ze skrytki czarne kimono. Dotknięcie chłodnej, jedwabnej tkaniny sprawiało mu przyjemność. Skradał się korytarzem i śpiewające deski milczały – tak lekki był jego drobny krok. Miękkim, kocim skokiem przesadzał zapadnie, wyczuwając je palcami wyciągniętej nogi. Ciągłe napięcie uwagi rodziło niejasne poczucie niebezpieczeństwa, przeradzające się stopniowo w wyraźny obraz zaczajonych w pobliżu wrogów, tak, byli blisko, słyszał ich powstrzymywany oddech, odgadywał zarysy skulonych ciał, z przeraźliwą jasnością wyobrażał sobie ich spocone dłonie, zaciśnięte na rękojeściach szabel i sam zaczynał się pocić. I nagle, pod wpływem wewnętrznego impulsu, rzucał się do ucieczki. Przebiegał po piętrach, prześlizgiwał się przez zamaskowane otwory, zjeżdżał po tajnych schodach, wciskał się w ściany,

rozpłaszczal na podłodze.

Stopniowo gra wciągała go coraz bardziej. Wychodząc na swoje nocne spacery uzbrajał się w sztylet, sznur zakończony hakiem, kastet „paszcza tygrysa”. Mógł teraz wzlecieć pod sufit i zawisnąć tam, jak nietoperz, mógł z rozbiegu przeskoczyć parawan, rzucić się do studni na spotkanie miecza i w ostatniej chwili zawisnąć o włos od śmiercionośnego ostrza, zaczepiwszy się hakiem. Gra wzbogacała się o element ryzyka. Kawasima odczuwał przyspieszone bicie serca i cieszył się namiastką walki i życia. Potem chował kimono oraz broń do skrytki i wracał do żony, która spała spokojnie; jej mała, starannie uczesana główka spoczywała na drewnianej podstawce. Brał ją śpiącą, czując do niej nieomal miłość za jej łagodność, pokorę, za to, że niczego się nie domyśla. Ale ona nie spała, udawała tylko, żeby mu sprawić przyjemność. Wiedziała wszystko o jego nocnych wędrówkach po domu w czarnym, strasznym stroju, o tych gwałtownych wyczynach przenikających dreszczem jego szczupłe, silne i gorące ciało i czuła, że żyje z diabłem. I kobieta dziecko z porcelanową twarzyczką, słodkimi usteczkami i drobnymi, słabymi rączkami była z tego dumna. Bo czyż wiele kobiet może się pochwalić miłością diabła? Zdawała sobie sprawę z bezmiaru swego grzechu i choć była pobożna z natury, przestała się modlić i chodzić do świątyni. Wiedziała, że jest zgubiona, lecz za nic nie oddałaby jego krótkich, niezręcznych pieszczot i pocałunków suchych, gorzkich ust.

Nie można oszukiwać się bez końca. Akira Kawasima marzył o jakimś napadzie – chciał wreszcie wypróbować siebie i swój dom. Błagał los, aby jego wrogowie nabrali szaleńczej odwagi,

aby żądza przeważała nad rozsądkiem. Odczuwał potrzebę prawdziwego niebezpieczeństwa, tak jak człowiek dręczony pragnieniem pożąda wody. Odczuwał potrzebę prawdziwego, nie zaś wyobrażonego zwycięstwa, kiedy to po nocnych ćwiczeniach, przechytrzywszy wymyślonych przeciwników, rozgrzany i wyczerpany powoli zdejmował kimono. Żeby choć jedna kropla krwi, kropla gorącej, słonawej, żywej krwi!...

Zaczynał go drażnić ten nieuchwytny przeciwnik, którym był on sam. Przecież ninja to nie tylko obrona, to również atak. I czasem podczas ucieczki przed nieistniejącymi wrogami, z uciekającego zmieniał się w ścigającego. Chciał sam dogonić i pokonać ten czarny cień. Zdawało mu się, że już–już ma go doścignąć, za tym rogiem, na tych schodach, w tym korytarzu. Coraz szybsza, coraz bardziej szalona stawała się pogoń, chwycił za miecz – i znowu nikogo, niewidzialny wymknął się jak zwykle. Kawasima odczuwał wówczas wstyd. Trudno być myśliwym i jeleniem w jednej osobie! W takich momentach nieomal odczuwał nienawiść do samego siebie.

Nie dający się z niczym porównać niepokój opanowywał go w czasie pełni księżyca. Ogromny, pomarańczowy dysk, nie czekając na zmierzch, pojawiał się nad pagórkowatym horyzontem i rzucał na ziemię strumienie tajemniczego bladego światła. Na ulicach pojawiała się procesja odświętnie wystrojonych, sennych i trochę przestraszonych dzieci, prowadzonych przez kapłanów w uroczystych szatach. Pośrodku procesji ciężko toczył się wóz, zaprzężony w perłowego koloru krowy z małymi, tępo zakończonymi mordami. W piersi Kawasimy rodziło się słodkie, łaskoczące podniecenie. Pociągając



za sobą całą prawie ludność miasta, procesja przechodziła koło jego domu, kierując się w stronę jeziora, gdzie na dzieci czekały ozdobione kolorowymi lampionami siatki. Księżyc pozostawał jedynym panem miasta i szybko wznosił się w górę, przybierając szklanozielony kolor i napełniając ogród swoim ostrym, zimnym światłem. Cienie zyskiwały wyraźne zarysy, jakby nasączały się czarnym tuszem i zaczynały żyć własnym życiem. Każdy podmuch wiatru wywoływał gorączkowy ruch cieni w ogrodzie i grę księżycowych błysków w domu. Wszystko to doprowadzało go w drzenie, w bolesny i słodki niepokój, do granic szaleństwa. Przecież każdy cień – kto jak kto, ale on o tym wiedział najlepiej – mógł ukrywać wroga, mógł w każdej chwili zmienić się w napastnika.

Jednej z takich nocy napięcie i uczucie nienasycenia stały się nie do zniesienia. Kawasima nagle zrozumiał, że nie ma kogo się obawiać oprócz siebie samego i postanowił zagrać w otwarte karty. Rozsunąwszy ruchome ściany, wpuścił księżyc na wszystkie piętra swego domu. W ślad za księżycem zjawił się jego własny cień i padł na białą płaszczyznę ściany Akira zrobił krok naprzód i cień prześliznął się za jego plecy. Przyłgął do ściany i cień znikł, skoczył przed siebie i cień przemknął tuż za nim po jasnym parawanie. I wtedy rzucił się w pogoń za własnym cieniem. Nigdy jeszcze jego krok nie był tak lekki, szybki i elastyczny, nigdy dotąd nie rzucał się z taką lekkością w górę i w dół, nigdy jeszcze nie panował tak całkowicie nad swoim ciałem. To, co przedtem męczyło go bolesnym rozdarciem, teraz zmieniało się w szczęśliwą jedność: tarcza i miecz, jeleni i myśliwy...

W górę i w dół, w górę i w dół, bezdźwięcznie po śpiewającym korytarzu, wspięcie się po ścianie, zjazd na niższe piętro, prześlizgnięcie się przez wąską szczelinę, skok w dół, ku ostatniej granicy. Spadając w przepaść pułapki odrzucił linę z hakiem. Bez niej nie można się stąd wydostać, krzyku nikt nie usłyszy, a domownicy nawet nie podejrzewają istnienia pułapek. Roześmiał się triumfalnie, ciesząc się ze zwycięstwa nad sobą samym. Następnie wy dobył krótki miecz, jednym cięciem rozpruł sobie brzuch i usłyszał, jak upadły na podłogę wnętrzności. Nie zrozumiał, że pada, zobaczył tylko, że cień na ścianie zniknął...



Chodzimy po domu zachowanym w stanie nienaruszonym od tamtych czasów, kiedy to jego budowniczy przemykał jak czarny duch po pokojach, korytarzach, schodach i skrytkach. Tak samo lśnią stopnie i poręcze schodów, ramy rozsuwanych ścian, tak samo czyste i elastyczne są maty i papierowe parawany, korytarze tak samo dają ciche sygnały ostrzegawcze przy najlżejszym stągnięciu, niespodziewanie otwierają się zapadnie, pojawiają się ukryte za przegrodami schody, ukazują się całe kondygnacje, których nic na zewnątrz nie zdradza. Oprowadza nas sympatyczną dziewczę w granatowej spódnicy i białej bluzce. Jej ładnie zarysowane, pełne wargi układają się w skromny i pogodny uśmiech. Jest pracownicą biura podróży, przewodnikiem i zarazem, wspólnie ze swoim wujem, właścicielką niezwykłego domu. Oboje oni są potomkami ninja

Akiry Kawasimy. Wuj, cichy i łagodny człowiek, jest duchownym, lubi samotność, skupienie i unika spotkań z turystami zwiedzającymi dom muzeum.

Mimo to udało nam się dostrzec tego nieśmiałego człowieka, kiedy przy wyjściu dłużej od innych wkładaliśmy obuwie. Niczym ciemny obłok, niczym niewyraźny cień przesunął się korytarzem, który tym razem nie wydał żadnego głosu, zniknął w kaplicy, która na chwilę ukazała swoje wnętrze ze złotym ciałem Buddy, drżącym płomieniem świec i dymem kadzidła. Czy był to sposób poruszania się pokornego sługi bożego, który nie chce rzucać się w oczy?

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Jurij Nagibin (1920–1994) rosyjski pisarz, dziennikarz i scenarzysta.

Nigdy nie poznał swojego ojca, rozstrzelanego tuż przed narodzinami syna przez bolszewików, jako obszarnika w kurskiej obłasti. Matka nadała mu nazwisko Markowicz, dzięki czemu mógł ukończyć szkoły, a także scenopisarstwo na uniwersytecie. W czasie wojny korespondent wojenny.

Przez całe życie miał kłopoty z władzą sowiecką, podpisał m. in. List 42, był też sześciokrotnie żonaty, co według władz nie przystoi sowieckiemu człowiekowi. Nagibinowi przysparzało to też problemów natury finansowej, wciąż musiał chałturzyć w różnych gazetach, rozmieniając swój literacki talent na drobne. I rozpuszczając go w wódce.

Jego najbardziej znane książki to: *Ñěłďňü ír âîęćřěl*, *Öřďněîñléüñęîł óňďî*, *Çër' ęâćíñr*. Napisał też wiele opowiadań dla prasy, w różnych gatunkach literackich.

---

## HENRY KUTTNER

---

*Kuttner, bardzo swobodnie traktujący wymogi naukowości, dobrał się jednak do sekretów czasu, bo jego najlepsze chyba opowiadania się nigdy nie zestarzeją. Dwa cykle – o trunkowym uczonym Gallegherze i o rodzinie wieśniaków mutantów są wciąż świeże jak Iliada i Odyseja.*

### Profesor opuszcza scenę

My, Hogbenowie, jesteśmy bardzo zamknięci w sobie. Ten profesor z miasta mógłby o tym wiedzieć, ale skąd – przyłazł, choć go nikt nie prosił. U nas w Kentucky wtykanie nosa w cudze sprawy nie należy do dobrego tonu. A wszystko zaczęło się od tego, jakeśmy się pozbyli młodych Haleyów za pomocą tej strzelby, cośmy ją zmajstrowali własnym przemysłem. Tyle że tak na dobrą sprawę sami właściwie nie wiedzieliśmy, jak ona działa – no więc poszło od tego, jak Rafe Haley zaczął przez okno szopy podglądać Małego Sama. A potem chodził i rozповідаł, że Mały Sam ma trzy głowy czy coś w tym rodzaju.

Nie można wierzyć w ani jedno słowo z tego co opowiadały te chłopaki Haleyów. Trzy głowy! Przecież to wbrew naturze, no nie? Każdy wie, że Mały Sam ma tylko dwie głowy i nigdy nie miał więcej.

No więc skleciliśmy z mamą coś w rodzaju strzelby i tak żeśmy

naszpikowali tych młodych Haleyów, że aż miło. Jak już mówiłem, samiśmy nie mogli z mamą skapować, jak to urządzenie działa. Poszczepialiśmy do kupy kilka baterijek, cewek, kawałków drutu i różnych różności i to wystarczyło, żeby z Rafe'a zrobić sitko.

Według orzeczenia koronera młodzi Haleyowie zginęli nagłą śmiercią, a szeryf Abernathy przyszedł, popił z nami samogonu i powiedział, że spierze mnie na kwaśne jabłko. Ale co mi tam, wcale się nie przejąłem. Tyle że jakiś cholerny reporter musiał coś wywęszyć, bo wkrótce potem zjawił się tłusty, bardzo poważny facet i zaczął zadawać pytania.

Wujek Les siedział na ganku, z kapeluszem na twarzy.

— Pan się lepiej wynosi z powrotem do tego swojego cyrku – powiedział po prostu. – Mieliśmy propozycję od samego Barnuma i też nie przyjęliśmy.

— Jasne – powiedziałem. – Nigdy nie miałem zaufania do Phineasa. Nazwał Małego Sama potworem.

Duży, poważny mężczyzna, który się nazywał profesor Thomas Galbraith, spojrział na mnie.

— Ile ty masz lat, synu? – zapytał.

— Ja tam nie jestem pana synem – odparłem – a poza tym i tak nie wiem.

— Nie wyglądasz na więcej niż na osiemnaście – rzekł – mimo swojego wzrostu. Nie mogłeś znać Barnuma.

— Jasne, że znałem. I niech mi pan lepiej nie zadaje kłamu. Bo pana palnę.

— Ale ja nie mam nic wspólnego z żadnym cyrkiem – zaprotestował Galbraith. – Jestem biogenetykiem.

To nas oczywiście rozśmieszyło. A Galbraith wpadł w złość i koniecznie chciał się dowiedzieć, co w tym takiego śmiesznego.

— Takie słowo w ogóle nie istnieje – powiedziała mama. I w tym momencie biedny Mały Sam zaczął płakać, a Galbraith zrobił się biały jak gęsie skrzydło i aż się cały wstrząsnął. No i upadł na ziemię. Kiedy go podnieśliśmy, nie wiedział, co się stało.

— To Mały Sam – wyjaśniłem mu. – Mama poszła go uspokoić. O, już przestał płakać.

— To były poddźwięki – warknął profesor. – A co to jest Mały Sam, krótkofalówka?

— Mały Sam to jest Bobas – wyjaśniłem krótko. – I nie radzę wołać go po imieniu. Może nam pan powiedzieć, o co panu właściwie chodzi?

Profesor wyciągnął notes i zaczął go przeglądać.

— Jestem... jestem uczonym – powiedział. – Nasza fundacja zajmuje się badaniami nad eugeniką, słyszeliśmy już o was. Ale to wszystko brzmi nieprawdopodobnie. Jeden z naszych ludzi lansuje teorię, że mutacje naturalne mogą pozostać niewykryte w okolicach o niskim poziomie kultury, i... – Urwał i spojrzał na wujka Lesa. – Czy pan rzeczywiście potrafi latać? – spytał.

No cóż, my nie lubimy mówić na ten temat. Dostaliśmy kiedyś od księdza porządną reprimendę. Wujek Les zalał się, pozeglował sobie nad wzgórzami i śmiertelnie wystraszył paru myśliwych polujących na niedźwiedzie. A zresztą w Biblii też nie jest powiedziane, że człowiek ma latać. Ale trzeba przyznać wujkowi Lesowi, że robi to po kryjomu, jak nikt nie widzi.

Dlatego naciągnął kapelusz jeszcze głębiej na oczy i coś tam burknął.

— Bzdury. Człowiek w żaden sposób nie może latać. A co do tych nowoczesnych urządzeń, o których się słyszy, to mówiąc między nami, one wcale nie latają. Głupie gadanie i nic więcej.

Galbraith zamrugął i znowu zajrzał do swojego notesu.

— Ale krążą pogłoski o różnych bardzo dziwnych rzeczach w związku z waszą rodziną. Latanie to tylko jedna z nich. Ja wiem, że to jest teoretycznie niemożliwe, i wcale nie mówię o samolotach, ale...

— Zamknij jadaczkę.

— Średniowieczne czarownice używały balsamu z tojadu, żeby wywołać złudzenie latania... całkowicie zresztą subiektywne.

— Czy pan się mnie wreszcie przestanie czepiać? – powiedział wujek Les, który już się wkurzył, a to dlatego, że był speszony. A następnie podskoczył w górę, zrzucając przy tym kapelusz na podłogę, i odleciał. Po chwili zapikował w dół, złapał kapelusz i zrobił minę do profesora. Odleciał wzdłuż parowu i tyleśmy go widzieli.

Ale i ja się wkurzyłem.

— Pan nie ma prawa nas niepokoić – powiedziałem. – Wujek Les robi to samo co i tata, a to będzie nieprzyjemne. Od czasu, kiedy pojawił się u nas tamten facet z miasta, tata znikł jak kamfora. To był chyba ktoś od spisu ludności.

Galbraith nie odezwał się słowem. Miał dosyć głupią minę. Dałem mu się napić samogonu, a on zapytał o tatę.

— Ach, on tu gdzieś jest – wyjaśniłem. – Tylko że go nie widać. Powiada, że tak woli.

— Hmm – mruknął Galbraith i znów sobie łyknął. – To ile,



powiadasz, masz lat?

— Ja tam nic na ten temat nie mówiłem.

— A jak najdalej sięgasz pamięcią?

— W ogóle nie sięgam. To tylko zaśmieca głowę.

— Fantastyczna historia – powiedział Galbraith. – Nie przypuszczałem, że będę miał dla fundacji takie wiadomości.

— My nie lubimy, jak nam się ktoś wtrąca w nasze sprawy. Niech pan sobie idzie i zostawi nas w spokoju.

— Wielkie nieba! – spojrzał przez poręcz ganku i zobaczył naszą strzelbę. – A to co znów takiego?

— A, takie coś – wyjaśniłem.

— A do czego to służy?

— Do różnych rzeczy.

— O, a mogę to obejrzeć?

— Proszę bardzo – odparłem. – Dam panu nawet to urządzenie pod warunkiem, że pan się stąd wyniesie.

Podszedł i zaczął się przyglądać. Tata, który siedział sobie koło mnie, podniósł się i powiedział mi, żebym się pozbył tego cholernego jankesa, i wszedł do domu. Profesor wrócił.

— Niezwykłe! – powiedział. – Mam pewne przygotowanie, jeśli chodzi o elektronikę, i wydaje mi się, że macie tu bardzo osobliwą rzecz. Jaka jest zasada jej działania?

— Jakie jest co? – spytałem. – Po prostu robi w różnych rzeczach dziury.

— Pociskami nie da się z tego strzelać. Tam, gdzie powinien być zamek, macie kilka soczewek... jak, powiadasz, działa to urządzenie?

— Nie wiem.

— A to ty je skonstruowałeś?

— Ja z mamą.

I zadał mi jeszcze bardzo dużo pytań.

— Nie wiem – powtórzyłem. – Ze strzelbą jest taka niewygodna, że trzeba ją stale ładować, więc pomyśleliśmy, że jak te różne rzeczy poszczepiamy do kupy, to już jej nie trzeba będzie ładować. I rzeczywiście nie trzeba.

— Czy mówiłeś poważnie, że mógłbyś mi to dać?

— Jak pan się od nas odczepi.

— Wiesz co – powiedział – to chyba cud, że wy, Hogbenowie, tak długo się uchowaliście.

— Mamy swoje sposoby.

— Teoria dotycząca mutacji musi być słuszna. Powinniście stać się przedmiotem studiów. To jedno z najważniejszych odkryć od czasów... – I nawijał tak dalej w kółko. Zupełnie bez sensu.

W końcu doszedłem do wniosku, że są tylko dwa sposoby na opanowanie sytuacji, a po tym, co powiedział szeryf Abernathy, nie chciałem nikogo zabijać, dopóki mu się humor nie poprawi. Po co robić szum.

— A gdybym tak się wybrał z panem do Nowego Jorku, jak pan sobie tego życzy? Zostawi pan resztę rodziny w spokoju?

Obiecał mi tak na pół, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Ale ustąpił i pożegnał się, kiedy powiedziałem, że obudzę Małego Sama. Bardzo chciał zobaczyć Małego Sama, ale mu wytłumaczyłem, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Mały Sam i tak nie pojedzie do Nowego Jorku. Musi siedzieć w swoim pojemniku, bo inaczej by się bardzo rozchorował.

Tak czy siak, profesor był całkiem zadowolony i sobie poszedł,

jak mu obiecałem, że nazajutrz rano spotkam się z nim w mieście. Na samą myśl o tym robiło mi się mdło, mówię wam. Nie rozstawałem się z rodziną na dłużej niż na jedną noc od czasów tej awantury, jaka wybuchła jeszcze w starym kraju, skąd musieliśmy się wynosić naprawdę w pośpiechu.

Pojechaliśmy wtedy do Holandii, o ile pamiętam. Mama na zawsze zachowała w sercu faceta, który nam pomógł opuścić Londyn. Na jego cześć nazwała Małego Sama. Zapomniałem już jak on się nazywał. Gwynn czy Stuart, czy Pepys – wszystko mi się muli, jak usiłuję sięgnąć pamięcią dalej niż do wojny Północy z Południem.

Tego wieczoru wszyscy się kłócili. Tata był niewidzialny, więc mama myślała, że nadużył samogonu, ale szybko zmiękła i dała mu gąsiorek. Wszyscy mi mówili, żebym pilnował własnego nosa.

— Ten profesorek jest bardzo mądry – powiedziała mama. – Wszyscy profesorowie są tacy. I nie dokuczaj mu, bo oberwiesz ode mnie.

— Będę grzeczny, mamusiu – obiecałem. Tata zdzielił mnie przez łeb, bardzo zresztą nie fair, bo go przecież nie widziałem.

— A to, żebyś pamiętał, co się do ciebie mówi – dodał.

— My jesteśmy prości ludzie – burczał pod nosem wujek Les.

— Jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło z tego, jak człowiek usiłuje przeskoczyć samego siebie.

— Ale słowo daję, że ja nic takiego nie miałem na myśli – broniłem się. – Uważałem tylko...

— Już ty nie kuś licha – powiedziała mama i właśnie w tej chwili usłyszeliśmy jak się dziadek poruszył na strychu. Czasami

nie drgnie i przez miesiąc, ale dziś był jakoś dziwnie ożywiony.

No więc naturalnie poszliśmy na górę zobaczyć, o co mu chodzi.

Mówił o profesorze.

— To jakiś cudzoziemiec, co? Niech to wszyscy diabli. Za dobry byłem i dlatego teraz mam koło siebie kupę idiotów! Jeden Saunk, co ma trochę oleju w głowie, ale niech mnie dunder świśnie, jeśli to nie najgorszy osioł z was wszystkich.

Przestępowałem z nogi na nogę i mruczałem coś pod nosem, a to dlatego, że nie lubiłem patrzeć wprost na dziadka. Ale on nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, tylko pieklił się dalej: — To co, wybierasz się do Nowego Jorku, tak? Do stu piorunów, już zapomniałeś, jak unikaliśmy z Londynu i Amsterdamu, i Nowego Amsterdamu ze strachu, że nas będą pytać? Zaprawdę, czy chcesz, aby cię pokazywali na jarmarkach jak małpę w klatce? Zresztą to wcale nie jest największe niebezpieczeństwo.

Dziadek jest najstarszy z nas i czasem, jak zaczyna mówić, myślą mu się wszystkie możliwe języki. Język, którego się człowiek nauczy w dzieciństwie, zostaje mu już jakoś na całe życie. Jedno, co trzeba dziadkowi przyznać, to że kłąć potrafi jak nikt.

— Bzdura – powiedziałem. – Po prostu chciałem pomóc.

— Ty głupi smarkaczu – rzekł dziadek. – To wszystko twoja wina, żeby cię pokręciło. Po coś zbudował to piekielne urządzenie, które wybiło całe plemię Haleyów? Gdyby nie ono, nigdy by się ten uczoney tutaj nie pokazał.

— To jest profesor – wyjaśniłem. – Nazywa się Thomas Galbraith.

— Wiem. Podłączyłem się do jego myśli przez umysł Małego Sama. Niebezpieczny facet. Jak każdy uczony. Może z wyjątkiem Rogera Bacona, a i jego musiałem przekupić... ale Roger to był człowiek wyjątkowy. Posłuchaj! Żadne z was nie pojedzie do Nowego Jorku. Jak już raz opuścimy to schronienie i wezmą nas na spytki, jesteście zgubieni. Ta banda rozerwie nas na sztuki. Nawet twoje zwariowane loty cię nie uratują, słyszysz mnie, Lesterze?

— Ale co mamy robić? – zapytała mama.

— Do diabła! – odezwał się tata. – Już ja załatwię tego profesorka. Wrzucę go do studni.

— Aha, żeby zepsuł całą wodę? – zaskrzeczała mama. – Tylko spróbuj!

— Co za podłe nasienie wydałem na świat! – powiedział dziadek, wściekły jak wszyscy diabli. – Czyż nie obiecywaliście szeryfowi, że nie będzie więcej zabójstw... przynajmniej przez jakiś czas? Czy słowo Hogbena już nic nie znaczy? Dwie rzeczy były od wieków dla nas święte: nasza tajemnica przed światem i honor Hogbenów. Zabijcie tylko tego Galbraitha, a odpowiecie za to przede mną!

Wszyscy zrobiliśmy się biali jak ściana. Mały Sam obudził się i zaczął piszczeć.

— Ale co robić? – zaniepokoił się wujek Les.

— Nasza tajemnica to rzecz święta – powiedział dziadek. – Róbcie, co tam które może, byleby bez zabijania. Rozważę tę sprawę.

Wydawało się, że szykuje się do snu, ale z dziadkiem to nigdy nic nie wiadomo.

Nazajutrz rzeczywiście spotkałem się w mieście z Galbraithem, owszem, ale przedtem natknąłem się na ulicy na szeryfa Abernathy'ego, który spojrzał na mnie spode łba.

— Nie radzę ci szukać guza, Saunk – powiedział. – Słuchaj dobrze, co ci mówię. – Było to bardzo krępujące.

W każdym razie zobaczyłem się z Galbraithem i powiedziałem mu, że dziadek mi nie pozwala jechać do Nowego Jorku. Profesor nie był z tego specjalnie zadowolony, ale widział, że nic nie poradzi.

Jego pokój w hotelu wypełniały różne naukowe aparaty, trochę to w sumie było przerażające. Miał tę naszą strzelbę pod ręką, ale nie widziałem, żeby coś w niej zmienił. Zaczął mnie przekonywać.

— Szkoda słów – powiedziałem. – Nie opuszczamy wzgórz. Wczoraj gadałem głupstwa, i tyle.

— Posłuchaj, Saunk. Rozpytywałem o was, Hogbenów, tu w okolicy, ale niewiele się dowiedziałem. Tutejsi ludzie trzymają język za zębami. Ale i tak to, co by ewentualnie powiedzieli, potwierdziłoby jedynie fakty. Wiem, że nasza teoria jest słuszna. Ty i twoja rodzina jesteście mutantami i powinniście zostać poddani badaniom.

— My nie jesteśmy żadnymi mutantami – odparłem. – Uczeni zawsze nam przyczepiają jakieś przezwisko. Roger Bacon nazywał nas homunkulusami, ale... tylko że...

— Co takiego?! – wykrzyknął Galbraith. – Kto taki, powiedziałeś?

— Hm... to znaczy... to jest taki dzierżawca z sąsiedniego okręgu – wyjaśniłem pospiesznie, ale widać było, że profesor tego

nie kupił. Zaczął przechadzać się po pokoju.

— To nie ma najmniejszego sensu – rzekł wreszcie. – Jeżeli nie pojedziesz ze mną do Nowego Jorku, to spowoduję, że fundacja przyśle tu komisję. Trzeba przeprowadzić nad wami studia dla chwały nauki i dobra ludzkości.

— Rany – jęknąłem. – Już ja wiem, co z tego wyniknie. Wystawicie nas na pośmiewisko. Mały Sam by tego nie przeżył. Musi pan nas zostawić w spokoju.

— Zostawić was w spokoju? Skoro wy potraficie zbudować aparat w tym rodzaju? – Wskazał na strzelbę. – A może mi powiesz, jak to działa? – zainteresował się nagle.

— Już panu mówiłem, że nie wiem. Po prostu jakoś to skleciliśmy. Niech pan posłucha, profesorze: jak ludzie zaczną przyłazić i nam się przyglądać, mogą być kłopoty. I to spore. Tak mówi dziadek.

Galbraith pociągnął się za nos.

— No może... a gdybyś mi tak wobec tego odpowiedział na kilka pytań, Saunk?

— A nie będzie komisji?

— Zobaczymy.

— Nie, proszę pana, ja nie będę...

Galbraith zaczerpnął tchu.

— Jeżeli powiesz mi to, co chciałbym wiedzieć, nie zdradzę, gdzie jesteście.

— A ja myślałem, że ta pańska... jak jej tam... fundacja wie, gdzie pan przebywa?

— Jasne, że wiedzą – odparł Galbraith. – Ale nie wiedzą o was.

To podsunęło mi pewną myśl. Oczywiście mógłbym go bardzo

łatwo zabić, ale wiem, że dziadek by mnie za to zniszczył całkowicie, a poza tym był przecież jeszcze szeryf. Więc powiedziałem „A niech tam” i skinąłem głową.

O rany, ale co to były za pytania! W głowie mi się od nich kręciło. A profesor był coraz bardziej podniecony.

— W jakim wieku jest twój dziadek?

— A bo ja wiem.

— Homunkulusy... hmm... Wspomniałeś, że był kiedyś górnikiem.

— Nie, górnikiem był tata dziadka. Wydobywali cynę, jeszcze w Anglii. Tylko że dziadek mówi, że to się wtedy nazywała Brytania. To było w czasie takiej wielkiej zarazy, która tam panowała. I ludzie musieli wzywać doktorów... Drudów? Drunów?

— Druidów?

— Aha. Druidzi byli wtedy doktorami, mówi dziadek. W każdym razie górnicy w całej Kornwalii zaczęli wymierać, więc pozamykano kopalnie.

— A co to była za zaraza?

Powiedziałem mu tyle, ile zapamiętałem z tego, co mówił dziadek. Profesor bardzo się podniecił i zaczął coś mówić chyba o promieniowaniu radioaktywnym, o ile mogłem się zorientować. Jakieś straszne bzdury.

— Sztuczne mutacje wywołane przez radioaktywność?! – wykrzyknął i zrobił się czerwony na twarzy – Twój dziadek urodził się mutantem! Powstał nowy układ chromosomów i genów. O, Boże, przecież wy możecie być superludźmi!

— A skąd. Jesteśmy po prostu Hogbenami. Nic więcej.



— Mutacja dominująca, oczywiście, dominująca. Czy wszyscy w rodzinie byli jacyś... no... dziwni?

— No wie pan!

— To znaczy, czy wszyscy potrafili latać?

— Ja to jeszcze nie potrafię. Ale owszem, myślę, że jesteśmy trochę dziwaczni. Dziadek to jest jednak mądry. Zawsze nam mówił, żebyśmy siedzieli cicho i nie rzucali się w oczy.

— Maskowanie ochronne – powiedział Galbraith. – Wtopione w surową obyczajowość ludową odchylenia od normy łatwiej dają się maskować. W cywilizacji nowoczesnej byłoby was widać jak na dłoni. Tu, w tej zapadłej dziurze jesteście praktycznie niewidoczni.

— Tylko tata – powiedziałem.

— O, Boże! – westchnął profesor. – Ukrywać takie niewiarygodne naturalne możliwości... Czy wy przynajmniej wiecie, do czego bylibyście zdolni? – I nagle jego podniecenie wzrosło jeszcze bardziej i muszę powiedzieć, że wyraz oczu Galbraitha wcale mi się nie spodobał.

— Coś wspaniałego – powtórzył. – To tak, jakby się natknąć na lampę Aladyna.

— Chciałbym bardzo, żeby pan nas zostawił w spokoju – powiedziałem. – Razem ze swoją komisją.

— Zapomnij o komisji. Postanowiłem, że przez jakiś czas będę się tą sprawą zajmował sam. Pod warunkiem, że mogę liczyć na twoją współpracę. To znaczy na pomoc. Możesz mi to obiecać?

— Nie – odparłem.

— No to przyślę z Nowego Jorku komisję – oświadczył z tryumfem.

Przemyślałem sprawę.

— Dobrze – powiedziałem w końcu. – Co pan chce, żebym zrobił?

— Jeszcze nie wiem – odpowiedział wolno. – Nie ogarnąłem jeszcze umysłem wszystkich możliwości.

Ale był gotów ogarnąć. Widziałem to. Po jego oczach.

Stałem przy oknie i wyglądałem na ulicę. Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Uświadomiłem sobie, że nie należy zbyt ufać profesorowi. Podsunąłem się nieznacznie do tej naszej strzelby i dokonałem w niej kilku niewielkich zmian.

Wiedziałem, co chcę zrobić, ale gdyby mnie profesor zapytał, dlaczego wygiąłem ten drut czy tamten wichajster, nie potrafiłbym odpowiedzieć. Nie mam żadnego wykształcenia. Wiedziałem tylko, że teraz to urządzenie będzie robiło to, co ja chcę.

Profesor tymczasem coś pisał w swoim małym notatniku. Podniósł wzrok i zobaczył mnie.

— Co ty tam robisz? – chciał wiedzieć.

— Coś tu jest chyba nie w porządku – powiedziałem. – Musiał pan majstrować przy baterijkach. Niech no pan teraz spróbuje.

— Tutaj? – zapytał wystraszony. – Nie będę potem płacił za szkody. To urządzenie musi zostać wypróbowane w specjalnych warunkach, z zachowaniem środków ostrożności.

— Widzi pan ten kurek na dachu? – Wskazałem palcem.

— Jak pan w niego wyceluje, nie będzie żadnej szkody. Może pan stanąć tu przy oknie i spróbować.

— A to... to nie jest niebezpieczne? – Widziałem, że jest strasznie napalony, żeby wypróbować urządzenie. Zaczerpnął

tchu, podszedł do okna i przytknął kolbę do policzka.

Cofnąłem się. Wolałem, żeby mnie szeryf nie zobaczył. Siedział właśnie na ławce przed składem z paszą po drugiej stronie ulicy.

Stało się dokładnie tak, jak przewidziałem. Galbraith pociągnął za spust, celując w kurek na dachu, a z lufy zaczęły wylatywać świetliste koła. Rozległ się przeraźliwy hałas. Galbraith padł na wznak i zrobiło się straszliwe zamieszanie: w całym mieście ludzie zaczęli wrzeszczeć.

Pomyślałem, że nie zawadzi, jak na chwilę stanę się niewidzialny. Więc się stałem.

Kiedy wpadł szeryf Abernathy, Galbraith właśnie oglądał strzelbę. Szeryf jest człowiek twardy, więc miał w pogotowiu pistolet i kajdanki i bardzo szybko zaczął wyklinać profesora.

— Widziałem pana! – wrzeszczał. – Wy, ludzie z miasta, myślicie, że tutaj możecie sobie na wszystko pozwolić. No to wiedzcie, że tutaj jest inaczej!

— Saunk! – zawołał profesor rozglądając się dokoła, ale oczywiście nie mógł mnie zobaczyć.

Wybuchła kłótnia. Szeryf Abernathy widział, jak Galbraith strzela, a przecież nie jest głupi. Wywłókł profesora na ulicę i wtedy ja sobie grzecznie nadszedłem. Ludzie latali dokoła jak szaleni. Większość trzymała się za twarze.

Profesor cały czas jęczał, że nic nie rozumie.

— Widziałem pana – mówił Abernathy. – Wycelował pan z tego swojego interesu przez okno i od tej chwili wszystkich w mieście rozboleły zęby. Niech mi pan tylko nie mówi, że pan nic nie rozumie!

Szeryf jest bystry. Zna nas, Hogbenów, już wystarczająco długo, żeby się nie dziwić, kiedy dzieje się coś niezwykłego. Wiedział też, że Galbraith jest uczonym. No więc wybuchło wielkie zamieszanie i jak ludzie usłyszeli, co się stało, chcieli normalnie Galbraitha zlinczować.

Ale Abernathy go zabrał. Przez jakiś czas włączyłem się po mieście. Widziałem, jak pastor, zakłopotany, ogląda okna kościoła. Nie mógł zrozumieć, dlaczego witraże są gorące. Mógłbym mu to wytłumaczyć. W witrażach jest złoto; używają go do uzyskiwania pewnego rodzaju czerwieni.

Wreszcie udałem się do więzienia. A że byłem w dalszym ciągu niewidzialny, więc zacząłem podsłuchiwać, co Galbraith mówi do szeryfa.

— To sprawka Saunka Hogbena – upierał się profesor. – Mówię panu, że to on zmajstrował coś przy projektorze.

— Ale ja widziałem pana – nie ustępował Abernathy. – To pan zrobił. Auu! – Złapał się za szczękę. – Ale radzę panu przestać, i to szybko! Ten tłum tam na zewnątrz nie żartuje. Połowa ludzi w mieście cierpi na ból zębów.

To znaczy, że połowa ludzi w mieście miała złote plomby.

I wtedy Galbraith powiedział coś, co mnie specjalnie nie zdziwiło.

— Ja tu sprowadzę komisję z Nowego Jorku, zadzwonię dziś wieczór do fundacji, oni za mnie poręczą.

Chciał nas wszystkich wyprowadzić w pole; czułem, że o to mu chodzi.

— Albo pan wyleczy z bólu zębów i mnie, i wszystkich innych, albo otworzę drzwi i wpuszczę ten cały tłum, żeby pana

zlinczował! – pieklił się szeryf. A potem wyszedł, żeby sobie przyłożyć do policzka woreczek z lodem.

Wymknąłem się i znów zrobiłem się widzialny. Nadchodząc, specjalnie hałasowałem, żeby mnie Galbraith usłyszał. Cały czas stałem z głupią miną czekając, aż mnie przestanie kłąć.

— Chyba coś musiało mi się pomylić – powiedziałem. – Ale jak trochę pomajstruję...

— Dość tego twojego majstrowania! – przerwał. – Zaczekaj chwilę. Co ty takiego powiedziałaś? Że jak pomajstrujesz, to wyleczysz... z czego ty tych ludzi wyleczysz?

— Ja miałem na myśli tę strzelbę – powiedziałem. – Wydaje mi się, że wiem, gdzie popełniłem błąd. Ona jest w tej chwili chyba nastawiona na złoto i całe złoto w mieście teraz promieniuje czy nagrzewa się, czy jeszcze coś tam innego.

— Indukowana selektywna promieniotwórczość – mruknął Galbraith, co właściwie nic nie znaczyło. – Posłuchaj, czy ten tłum tam na zewnątrz... czy oni tu często dokonują aktów linczu?

— Nie częściej niż raz, dwa razy do roku – powiedziałem. – Ale w tym roku już dwa lincze mieliśmy, więc wyczerpaliśmy limit. Chyba byłoby dobrze, gdybym mimo to zabrał pana do nas. Bez trudu możemy pana ukryć.

— Rzeczywiście lepiej coś zróbcie – powiedział – bo jeśli nie, to sprowadzę tę komisję z Nowego Jorku. Nie bylibyście chyba tym zachwyceni, co?

Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak łgał i nawet mu powieka nie drgnęła.

— Ma pan to jak w banku – zapewniłem go. – Mogę tak podregulować nasze urządzenie, że natychmiast odetnie

promieniowanie. Tylko bym nie chciał, żeby ludzie kojarzyli to, co się dzieje, z nami, Hogbenami. My jesteśmy skromni. My nie lubimy robić wokół siebie szumu. Niech pan posłucha: pójdę do hotelu i podreguluję strzelbę, a pan będzie musiał tylko zebrać tych wszystkich ludzi, których bolą zęby, w jednym miejscu i pociągnąć za spust.

— Dobrze, ale...

Bał się, że wynikną z tego jeszcze większe kłopoty. Musiałem go namawiać. A że zebrany na zewnątrz tłum darł się jak opętany, nie było to specjalnie trudne. Wreszcie poszedłem, ale wróciłem, tyle że niewidzialny, i przysłuchiwałem się temu, co Galbraith mówił do szeryfa.

Ustalili, że każdy, kogo bolą zęby, stawi się w ratuszu. A potem Abernathy miał przyprowadzić profesora, z tą strzelbą naturalnie, i mieli ją wypróbować.

— Ale czy to urządzenie wyleczy wszystkich z bólu zębów? – chciał wiedzieć szeryf. – Na pewno?

— Ja... ja jestem pewien, że tak.

Abernathy pochwycił nutę wahania w jego głosie.

— Lepiej niech pan to najpierw na mnie wypróbuj. Po prostu, żeby się upewnić. Nie ufam panu.

Wyglądało na to, że nikt nikomu nie ufa.

Powędrowałem z powrotem do hotelu i przestawiłem strzelbę. I wtedy właśnie wpadłem w tarapaty. Moja niewidzialność zaczęła już prześwitywać. Takie są właśnie kłopoty wynikające z tego, że się nie jest całkiem dorosłym.

Jak będę o kilkaset lat starszy, będę mógł pozostawać niewidzialny tak długo, jak zechcę. Ale jeszcze nie opanowałem

tej sztuki na dobre. Chodziło o to, że potrzebna mi była pomoc, bo musiałem coś zrobić, a nie mogłem tego zrobić na oczach innych.

Wlazłem na dach i zawołałem Małego Sama. Jak tylko się podłączyłem do jego świadomości, spowodowałem, że nawiązał kontakt z tatą i wujkiem Lesem. Po chwili sfrunął z nieba wujek Les, ale ciężko mu to szło, bo dźwigał tatę. Tata klął jak wszyscy diabli, bo po drodze ścigał ich jastrząb.

— Nikt nas nie widział – powiedział wujek Les. – Tak mi się w każdym razie wydaje.

— Tu, w mieście, ludzie mają głowy zaprzątnięte własnymi kłopotami – zapewniłem go. – Potrzebna mi jest pomoc. Ten profesor wezwie tę swoją komisję i zaczną badania nad nami, niezależnie od jego obietnic.

— W tej sytuacji niewiele da się zrobić – powiedział tata.

— Nie możemy zabić tego faceta. Dziadek zabronił.

I wtedy wyłuszczyłem im swój pomysł. Tata, będąc niewidzialny, mógł się tego podjąć z łatwością. Zrobiliśmy sobie na dachu takie małe miejsce, przez które wszystko było widać, i zajrzeliśmy do pokoju Galbraitha.

I w samą porę. Szeryf stał z wyciągniętym pistoletem i czekał, a profesor, blady jak ściana, mierzył ze strzelby w Abernathy'ego. Wypaliła bez kopnięcia. Galbraith pociągnął za spust, wyskoczyło czerwone kółko światła, i to wszystko. Tyle że szeryf otworzył usta i przełknął.

— A jednak pan nie oszukiwał! Przestało mnie boleć!

Galbraith, zlany potem, robił dobrą minę do złej gry.

— Mówiłem, że to urządzenie jest niezawodne – powiedział.

— Naturalnie. Mówiłem. – Idziemy do ratusza. Wszyscy czekają. Lepiej niech pan i tamtych wyleczy, bo może być z panem źle.

Wyszli. Tata wymknął się za nimi, a wujek Les złapał mnie i pofrunęliśmy ich śladem, nisko nad dachami, tak żeby nas nikt nie zobaczył. Po chwili zatrzymaliśmy się przed jednym z okien ratusza, skąd mogliśmy widzieć, co się dzieje wewnątrz.

Od czasów tamtej wielkiej zarazy w Londynie nie widziałem tyle nieszczęścia naraz. Ratusz był pełen ludzi, a wszystkich bolały zęby – jeden jęk i wrzask. W pewnej chwili wszedł Abernathy prowadząc ze sobą profesora ze strzelbą i na ich widok krzyki jeszcze się wzmogły.

Galbraith oparł strzelbę na podium, celując w publiczność, a w tym czasie szeryf wyciągnął pistolet i wygłosił mowę. Kazał się wszystkim zamknąć, to pozbędą się bólu zębów.

Taty naturalnie nie widziałem, ale wiedziałem, że stoi na podium. Coś dziwnego zaczęło się dziać ze strzelbą. Nikt oprócz mnie tego nie zauważył, a ja nie spuszczałem jej z oka. Tata – oczywiście niewidzialny – dokonał kilku zmian. Powiedziałem mu, co ma robić, ale on sam wiedział nie gorzej ode mnie, więc już po chwili nasze urządzenie było ustawione tak, jak sobie tego życzyliśmy.

To, co się zaczęło dziać zaraz potem, było wstrząsające. Galbraith wycelował w tłum i pociągnął za spust – wyleciały świetliste koła, tym razem żółte. Powiedziałem tacie, że ma tak ustawić zasięg rażenia strzelby, żeby nikt poza ratuszem nie został poszkodowany. Ale wewnątrz...

Co do bólu zębów, to sprawa rzeczywiście została załatwiona.



Trudno, żeby kogoś bolała złota plomba, jak jej nie ma.

Nasze urządzenie było teraz ustawione w ten sposób, że działało na wszystko co nieżywe. Tata wyregulował zasięg akurat dobrze. Nagle poszły wszystkie krzesła i część żyrandola. Publika, zbита w gromadę, też nieźle oberwała: Jaffe'owi Kulasowi wyleciało szklane oko. Ci, co mieli sztuczne zęby, też je potracili. A zarazem wszystkich jakby trochę przystrzygło. No i zostali bez ubrania. Buty przecież nie są żywe, tak samo spodnie, koszule czy sukienki. W okamgnieniu wszyscy stali goli, jak ich Pan Bóg stworzył. Ale, do licha, przecież pozbyli się bólu zębów, no nie?

W godzinę później spotkaliśmy się w domu wszyscy z wyjątkiem wujka Lesa, kiedy nagle otworzyły się drzwi i wpadł wujek, ciągnąc za sobą potykającego się profesora. Galbraith był wykończony – padł na krzesło zasapany, niespokojnie oglądając się na drzwi.

— Zabawna rzecz się stała – powiedział wujek Les. – Lecę sobie za miastem, a tu patrzę: profesor ucieka co sił w nogach przed wielkim tłumem. Niektórzy z tych ludzi byli pozawijani w prześcieradła, ale tylko niektórzy. No to go wzięłem i przyniosłem tutaj, tak, jak sobie tego życzył. – Wujek Les mrugnął do mnie.

— Oooh! – jęknął Galbraith. – Aach! Czy są już blisko?

Mama podeszła do drzwi.

— Widzę dużo latarek, wspinają się pod górę – powiedziała.

— Nie wygląda to dobrze.

Profesor spojrział na mnie spode łba.

— Powiedziałeś, że możesz mnie ukryć! Ukryj mnie szybko! To

wszystko twoja wina.

— Bzdura – odparłem.

— Ukryj mnie albo... – wrzasnął – ...albo sprowadzę tę komisję!

— Zgoda. Ale jeżeli ukryjemy pana w bezpiecznym miejscu, to czy zapomni pan o tej swojej komisji i zostawi nas w spokoju?

Profesor obiecał.

— Chwileczkę. – Poszedłem na strych zobaczyć się z dziadkiem.

Akurat nie spał.

— No i co teraz zrobimy z tym fantem, dziadku? – spytałem.

Przez chwilę słuchał Małego Sama.

— Ten łotr kłamie – powiedział mi szybko. – I tak nie bacząc na dane słowo zamierza tu sprowadzić tę swoją zakichaną komisję.

— To co? Mamy go ukryć?

— Tak – odpowiedział dziadek. – Hogbenowie dali słowo, więc nie będzie więcej zabijania. A ukrycie zbiega przed ścigającymi to chyba czyn godny, nie sądzisz?

Niewykluczone, że mrugnął przy tych słowach. Z dziadkiem nigdy nie wiadomo. No to zszedłem na dół po drabinie. Galbraith stał przy drzwiach i obserwował zbliżające się latarki.

Złapał mnie za rękę.

— Saunk! Jeśli mnie nie ukryjesz...

— Ukryjemy pana – zapewniłem go. – Proszę za mną. – Wzięliśmy go do piwnicy..

Kiedy wpadł do nas tłum z szeryfem Abernathym na czele, udaliśmy głupich. Pozwoliliśmy im przeszukać dom. Mały Sam i

dziadek stali się na chwilę niewidzialni, więc nikt ich nie zauważył. No a profesor znikł naturalnie jak kamfora. Ukryliśmy go dobrze, tak jakśmy mu obiecali.

To było kilka lat temu. Profesor ma się znakomicie. Tyle że to nie on prowadzi badania nad nami. Czasami wyjmujemy butelkę, w którą go nabiliśmy, i wtedy to my prowadzimy badania nad nim. A to cholernie mała butelka!

*Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz*

## O autorze

Henry Kuttner (1915–1958) amerykański pisarz urodzony w Kalifornii. Debiutował w 1936 roku, natychmiast zyskał wielką popularność, a lata 40. to prawdziwa epoka Kuttnera i jego żony C.L. Moore, z którą ożenił się w 1940 roku. On dotąd pisywał głównie dla *Weird Tales*, ona dla *Astounding*.

Po ślubie pisali wspólnie, pod siedemnastoma pseudonimami, z których najbardziej znane to Lewis Padgett i Lawrence O'Donnell. W czasie II wojny światowej, kiedy z powodu powołań pisarzy do armii amerykańskiej wielu z nich zaprzestało pisanie, to Kuttner i Moore wypełnili liczne magazyny pulpowe swoją twórczością. Łącznie opublikowali wtedy 41 opowiadań. Co dziwne, opowiadania prezentowały bardzo wysoki poziom i gdy po wojnie ujawniono autorów, którzy podszywali się pod liczne pseudonimy, nie chciano wierzyć, że za wszystkimi kryją się Kuttner i Moore.

Henry Kuttner zmarł przedwcześnie, na atak serca. Do jego najbardziej znanych utworów należą serie opowiadań o wynalazcy Gallowayu Gallegherze oraz o rodzinie mutantów, Hogbenów. Dzięki doskonałemu humorowi, opowiadania Kuttnera do dziś cieszą się wielką popularnością.

Henry Kuttner w swoim krótkim życiu zdążył opublikować mnóstwo opowiadań i osiem powieści. W Polsce jego twórczość jest dość dobrze znana, aczkolwiek ostatnie jego książki opublikowano 15–20 lat temu. Wkrótce wydawnictwo „Solaris”

przypomni zbiór jego najlepszych opowiadań – *Próżny robot*. Z niego pochodzi niniejsze opowiadanie i w nim znajdują się wszystkie przygody Galleghera i niesfornych Hogbenów.

---

## TULI KUPFERBERG

---

*Autor był amerykańsko-żydowskim satyrykiem, bardziej rysownikiem niż autorem. Podejrzewam, że ten drobiazg jest nie całkiem fantastyką naukową, ale nikt nie składał reklamacji. Ma w sobie coś, czego nie potrafimy nazwać. Po czterdziestu latach od pierwszego wydania prawie wszyscy czytelnicy Kroków w nieznane pamiętają ten właśnie kawałek.*

### Tęsknota

Była sobie raz bomba atomowa, która chciała być kulą karabinową.

— Dlaczego – pytały ją inne bomby atomowe – zamiast cieszyć się, że jesteś wielką bombą atomową, chcesz być małą kulą karabinową?

— Ponieważ odczuwam brak osobistego kontaktu z ludźmi – westchnęła bomba.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Naphtali „Tuli” Kupferberg (1923–2010) amerykański pisarz, poeta, rysownik, pacyfista i anarchista. Urodził się w rodzinie ortodoksyjnych Żydów nowojorskich. Założył kontrkulturowe czasopismo *Birth*, które publikowało teksty pokolenia Beatników. Sam założył też satyryczny zespół Fugs, dla którego napisał wiele znanych piosenek, jak choćby *Morning, Morning* czy *CIA Man*. Wielokrotnie występował jako przeciwnik władzy, korporacji, nadużyć policji. Był prawdziwym głosem sumienia pokolenia rockandrollowego.

Udzielił nam zgody na publikację shorta *Tęsknota* w 2009 roku, na parę tygodni przed wylewem, który spowodował, że stracił wzrok i wymagał stałej opieki aż do śmierci rok później. Był szczerze zdziwiony, że słyszeliśmy o nim w dalekiej Polsce, życzył szczęścia wszystkim czytelnikom *Rakietowych szlaków*. Zakończył, że zawsze jest nadzieja na lepszy świat.

---

## JAMES WHITE

---

*James White to jeden z bardzo niewielu autorów SF, który na zdjęciach jest zawsze przyzwoicie ubrany i „pod krawatem”. Widać, że swojej fantazji nie musiał demonstrować wyglądem, używał jej w powieściach i opowiadaniach.*

*Ubranie na miarę to jedyny znany mi utwór na temat kontaktu cywilizacji podchodzący do sprawy od strony krawiectwa. Jakoś nikt na to nie wpadł, że można to zobaczyć tak rzeczowo, od strony krawca, nie Fidiasza.*

### Ubranie na miarę

Przez wiele lat, gdy tylko dopisywało słońce, Hewlitt miał zwyczaj wygrzewać się przez pół godziny u wejścia do swego sklepu. O długości plażowania decydował czas potrzebny słońcu na przekroczenie okapów po tej stronie ulicy i usunięcie się na tyle daleko, aby Hewlitt poczuł się zmuszony do opuszczenia sklepowej markizy, chroniącej materiały na wystawie przed spłowieniem. Przez ten czas obserwował przechodniów – z nadzieją, że któryś nie przejdzie – i wszystko inne, co mogło przyciągnąć uwagę. Zazwyczaj nie było nic ciekawego do oglądania, ale dzisiejszy dzień stanowił wyjątek.

Z głównej arterii skręcił w jego uliczkę wielki, całkiem zwyczajny wóz meblowy, przed którym jechał samochód policji,



a za którym w bliskiej odległości podążała ciężarówka Wydziału Elektryczności. Obecność wozu policyjnego wyjaśniał fakt, iż cały konwój posuwał się pod prąd jednokierunkowej uliczki. Kiedy procesja w końcu się zatrzymała, meblowóz znalazł się dokładnie na wprost Hewlitta.

Przez jakąś minutę Hewlitt nie miał na co patrzeć, poza odbiciem samego siebie i swoich drzwi w ciemnych, połyskliwych burtach ciężarówki. Był to lekko zniekształcony portret chudej i dosyć śmiesznej figury, ubranej w czarną marynarkę i kamizelkę oraz spodnie w prążki, z małym kwiatkiem w klapie i centymetrem krawieckim – zewnętrzną oznaką jego profesji – zawieszonym luźno wokół szyi. Napis na drzwiach za postacią ozdobiony był złotymi listkami i wykonany wytłuszczoną kursywą, a głosił, w odwróceniu:

*George L. Hewlitt Mistrz Krawiecki*

Nagle – jak gdyby hipotetyczny reżyser zawołał „Kamera!” – wszystko wydarzyło się równocześnie.

Dwaj starsi oficerowie policji, ze znakami objazdu w rękach, wyszli ze swojego wozu i udali się w dwóch przeciwnych kierunkach, aby zagrozić oba końce uliczki. Ciężarówka Wydziału Elektryczności wyrzuciła z siebie watahę robotników w nienaganych kombinezonach, którzy zaczęli pośpiesznie wypakowywać składany parawan, budkę strażniczą i człowieka w dobrze skrojonym ciemnoszarym garniturze z czystej wełny oraz krawacie będącym klasycznym przykładem stylu *establishment*. Człowiek ów przywdział do tego mocno strapioną minę, popatrując w jedną i drugą stronę ulicy i w wychodzące na nią okna.

— Dzień dobry, panie Hewlitt – rzekł, występując do przodu. – Moje nazwisko Fox. Jestem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Chciałbym, mhm, zasięgnąć u pana fachowej porady. Można wejść?

Przez kilka następnych chwil nie padło ani jedno słowo, gdyż Fox przemierzał nerwowo pomieszczenia, wpatrując się w półki pełne porządnie zwiniętych kuponów materiału, przerzucając żurnale, rozmieszczone strategicznie na wypolerowanych drewnianych kontuarach, i sprawdzając boazerie oraz kryształowo czyste lustra w dużej przymierzalni. Podczas gdy przedstawiciel MSZ lustrował lokal, Hewlitt z równym zainteresowaniem studiował postać Foxa.

Fox był średniego wzrostu, szczupłej budowy, z tendencją do pochylania głowy i sterczącymi łopatkami. Z drobnego, lecz dostrzegalnego, podłużnego załamania za kołnierzykiem marynarki jasno wynikało, że starał się pokonać tendencje PG i SL, przyjmując nienaturalnie wyprostowaną postawę. Krawiec Foxa miał, najwyraźniej, spore problemy i Hewlitt zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie ma ich odziedziczyć.

— Czym mógłbym panu służyć, sir? – zapytał Hewlitt, kiedy jego gość nareszcie się zatrzymał. Użył tonu przyjaznego, lecz z nutką wyższości, którym bez ogródek dał do zrozumienia, że decyzja, czy wokół sterczących łopatek Foxa zostanie wzniesiona marynarka, czy też nie – zależeć będzie od Hewlitta.

— To nie ja jestem klientem, panie Hewlitt – odparł z irytacją Fox. – On czeka na zewnątrz. Sprawę tę należy jednak potraktować w najgłębszym zaufaniu – utrzymać, w gruncie rzeczy, w ścisłej tajemnicy, przez najbliższe dwa tygodnie. Potem

może ją pan omawiać z kim pan zechce.

— Z naszego wnikliwego, acz z konieczności pośpiesznego wywiadu wynika – ciągnął przedstawiciel MSZ – że zamieszkuje pan nad tym lokalem wraz ze swą żoną, częściowo inwalidką, która jest jednocześnie pańską szwaczką. Wiemy również, że jest pan rzemieślnikiem kompetentnym, aczkolwiek nieco staromodnym, jeśli idzie o fasony, i że dokuczają panu trudności materiałowe, jako że używa pan włókien naturalnych. Przez wiele lat pańska pozycja materialna była nie najlepsza i chciałbym zaznaczyć w tym punkcie, że pańskie milczenie, jak i rzemiosło, zostaną sownie wynagrodzone.

— Samo uszycie stroju nie powinno nastęczyć trudności – podsumował Fox – jako że rzeczą, o którą nam chodzi, jest względnie dobrze leżąca końska derka.

— W kwestii derek końskich absolutnie brak mi doświadczenia – odparł cierpko Hewlitt.

— Jest pan zadufany i niepotrzebnie uparty, panie Hewlitt. Chodzi o bardzo ważnego klienta, a pozwoli pan sobie przypomnieć, po przeciwnej stronie ulicy znajduje się filia wielkiej spółki krawieckiej, która również potrafi sprostać temu zadaniu.

— Zgoda – przytaknął oschle Hewlitt. – Ta spółka potrafi nieźle uszyć... końską derkę.

Fox uśmiechnął się półgębkiem, lecz zanim zdołał odpowiedzieć, wszedł jeden z robotników i oznajmił: – Parawany rozstawione, sir, a ciężarówka zasłania widok od tamtej strony ulicy. Teraz potrzebujemy kija, żeby ściągnąć markizę. W ten sposób sklep przestanie być widoczny z okien na piętrze po

drugiej stronie.

Hewlitt wskazał palcem na niszę za wystawą, gdzie trzymał kij do markizy.

— Dziękuję panu – powiedział robotnik tonem ważnego pracownika w służbie narodu, zwracającego się do pomniejszego przedstawiciela narodu, któremu służy, po czym odwrócił się do wyjścia.

— Chwileczkę – rzekł Fox, najwyraźniej bliski podjęcia decyzji. – Kiedy skończycie, proszę zapytać Jego Ekscelencję, czy będzie łaskaw wejść do środka.

Zachowanie ścisłej tajemnicy, obecność przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych i rodzaj zamówionego stroju, kazały Hewlittowi oczekiwać jakiejś mocno kontrowersyjnej osobowości politycznej, przekarmionego przedstawiciela niedożywionego narodu, który przez założenie uszytego w Anglii stroju narodowego, zamierzał podkreślić własną indywidualność i niezależność. Taka osoba mogła mieć wszelkie podstawy, aby się obawiać kuli zamachowca i odczuwać potrzebę przedsięwzięcia tak wyszukanych środków ostrożności, ale to w końcu nie była sprawa Hewlitta. Kiedy jednak ujrzał klienta...

— Ja śnię – powiedział sobie stanowczo.

Stworzenie przypominało centaury, miało nawet kopyta i długi, falisty ogon. Na pierwszy rzut oka, korpus od talii w górę przypominał tors ludzki, ale muskulatura ramion, pleców i klatki piersiowej była nieznacznie inna, dłonie zaś były pięciopalczaste, lecz każda składała się z trzech palców i dwóch przeciwstawnych kciuków. Głowa, wzniesiona sztywno nad bardzo potężnym karkiem, sprawiała wrażenie nieproporcjonalnie małej. W

twarży wyróżniało się dwoje łagodnych, brązowych oczu, dzięki którym otwory, guzy i mięsiste płatki stawały się jakoś łatwiejsze do przyjęcia dla obserwatora.

Poza sporym medalionem zawieszonym na szyi, istota nie miała na sobie nic. Skóra jej była nierównej, różowo-brązowej barwy, a całe stworzenie wzdragało się bezustannie, jakby dla odpędzenia niewidocznych much. Był to bezspornie osobnik rodzaju męskiego.

— Wasza Ekscelencjo – rzekł Fox aksamitnym głosem – niech mi będzie wolno przedstawić pana George’a Hewlitta. Jest on krawcem, czyli wyrabiaczem ubrań, który uszyje dla pana stroje odpowiednie na pobyt na Ziemi.

Hewlitt instynktownie wyciągnął dłoń. Uścisk klienta okazał się zdecydowany, palce ciepłe i kościste, a sposób, w jaki dolny kciuk zwinął się w środku jego dłoni był nie do opisanego, lecz wcale przyjemny. Z jakiejś niejasnej przyczyny, Hewlitt nie mógł już od tej chwili myśleć o stworzeniu jako o „tym czymś”.

— Wstępne zamówienie – rzekł z animuszem Fox – dotyczy okrycia, które byłoby wygodne i zapewniło ciepło Jego Ekscelencji podczas ceremonii prezentacji i następujących po niej spotkaniach towarzyskich. Okrycie to winno być czarne, oblamowane, dajmy na to, złotym lub srebrnym galonem; powinno również posiadać pseudoherbowe ozdoby. Nie można, naturalnie, użyć tu żadnych autentycznych herbów rodowych. Potrzebne będzie również drugie okrycie, mniej galowe, do noszenia na dworze podczas zwiedzania okolic.

— A zatem – końska derka z galonami i herbową dekoracją – rzekł Hewlitt – oraz derka bez ozdób do noszenia poza domem.

Gdyby jednak mógł pan określić rodzaj uroczystości, w jakich ma uczestniczyć Jego Ekscelencja, ułatwiłoby mi to znacznie wykonanie czegoś stosownego.

Fox potrząsnął głową.

— Względy bezpieczeństwa.

— Mogę, jeśli trzeba, pracować z zawiązanymi oczami i jedną ręką związaną do tyłu – powiedział Hewlitt – ale w takich warunkach nie wykonam tego, na co mnie stać. Tak czy owak, Jego Ekscelencja raczy pozwolić ze mną do przymierzalni.

Z cichym, nierytmicznym stukotem kopyt, klient w asyście Foxa podążył za krawcem do przymierzalni i zatrzymał się, patrząc na siebie w ustawionych pod kątem lustrach. Hewlitt rzadko widywał bardziej nieswoich klientów. Skóra na grzbiecie i bokach osobnika drżała i napinała się, zanim jeszcze Hewlitt zdążył przyłożyć do niej centymetr.

Bez cienia wścibstwa Hewlitt przyjrzał się drżącej skórze, w poszukiwaniu insektów lub innych śladów istot pasożytniczych. Z ulgą, że niczego takiego nie znalazł, pomyślał przez chwilę, po czym włączył ściennie grzejniki, nigdy nieużywane w miesiącach letnich. W ciągu paru minut pokój stał się nieznośnie ciepły i drgawki ustały.

Zabierając się do roboty z centymetrem i notesem, Hewlitt zapytał: – Przypuszczam, że macierzysta planeta mojego klienta jest cieplejsza od Ziemi?

— Tak – odparł Fox. – Nasza obecna pogoda odpowiadałaby w przybliżeniu ich słonecznemu dniu w późnej porze jesieni.

Od nasady karku do nasady ogona 63 cale – notował uważnie Hewlitt.

— A zatem w chłodne dni oni noszą ubrania? – zapytał.

— Tak, rodzaj togi owiniętej spiralnie wokół ciała, z... O! dopiero teraz zauważyłem, że włączył pan ogrzewanie. Powinienem sam o tym pomyśleć, to wielkie uchybienie z mojej strony. Ale Jego Ekscelencja ma swoje powody, aby nie nosić tu strojów narodowych, uznał więc, że lepiej będzie znieść drobną niewygodę, niż narażać się na ryzyko zasugerowania pana, choćby i nieświadomie, narodowym ubiorem. Jest sprawą wielkiej wagi, aby miał na sobie strój zaprojektowany i uszyty na Ziemi.

Od linii kręgosłupa do stawu kolanowego przedniej nogi: 42 cale – zapisał Hewlitt.

— Zamówienie – zwrócił się do Foxa – opiewa na okrycie derkopodobne, ale nie wątpię, że mój klient zażyczy sobie również pewnych dodatków, jeśli ma się czuć...

— Tylko derka, panie Hewlitt.

— Odwróćmy role – wyjaśniał cierpliwie Hewlitt. – Byłoby panu niewątpliwie dość ciepło w samej derce, ale czułby się pan znacznie wygodniej, mając na sobie również spodenki.

— Proszę wykonać polecenie, Hewlitt – rzekł Fox z irytacją. – Zostanie pan hojnie wynagrodzony, niezależnie od tego, jak wiele, czy też jak niewiele okryć uszyje pan dla Jego Ekscelencji. Próby naciągnięcia nas na dodatkowe zamówienia to strata czasu, i pańskiego, i naszego.

— Większość cywilizowanych ludzi na Ziemi nosi bieliznę – odrzekł Hewlitt – a domyślam się, że tak samo jest i w innych światach, chyba że w grę wchodzi warunki klimatyczne, przekonania religijne, lub wymagania lokalnej mody.

— Dyskutuje pan, utrudnia i wprowadza zbędne komplikacje do bardzo prostego zestawu poleceń – rzekł gniewnie Fox.

— Pozwoli pan sobie przypomnieć, że możemy w każdej chwili przejść na drugą stronę ulicy!

— Proszę bardzo – odparł Hewlitt.

Przez kilka sekund Fox i Hewlitt mierzyli się spojrzeniami, a obcy, z nieodgadnionym dzięki absolutnej obcości wyrazem twarzy, obracał swoje ponadwymiarowe piwne oczy to na jednego, to na drugiego. Nagle z jednej z mięsistych szczelin na jego obliczu wydobył się cichy, gulgoczący dźwięk, a równocześnie, i znacznie głośniej, z klejnotu zawieszzonego na szyi przybysza przemówił miły dla ucha baryton.

— Może ja potrafię rozstrzygnąć tę kwestię, panowie – rzekł. – Mam wrażenie, że pan Hewlitt wykazał znamiona spostrzegawczości, zdrowego rozsądku, oraz troski o dobro swojego klienta, czyli moje. Wolałbym zatem, aby nadal działał jako mój krawiec; zakładając, że wyrazi na to zgodę.

Fox przełknął, po czym rzekł niepewnie; – Względy bezpieczeństwa, Wasza Ekscelencjo. Ustaliliśmy, że nie będzie się pan zwracał do nikogo spośród członków społeczeństwa, aż do.... Wiadomego Dnia...

— Najmocniej przepraszam, panie Fox – odparł przybysz za pośrednictwem aparatu – lecz w moim świecie takiego fachowca jak pan Hewlitt uważa się za coś więcej niż zwykłego członka społeczeństwa.

Zwracając się do Hewlitta, ciągnął: – Będę nieopisanie wdzięczny, jeśli zechce pan poświęcić swą uwagę sprawie mojej bielizny. Jednakże z powodów, które pan Fox woli na razie



utrzymać w tajemnicy, także i ta garderoba musi być uszyta z ziemskich tkanin i zgodnie z ziemską modą. Czy byłoby to możliwe?

Hewlitt skłonił się nieznacznie i rzekł: – Naturalnie, sir.

— Nie sir! – sprostował Fox najwidoczniej zły, że przybysz zignorował jego instrukcje. – Ma pan przed sobą Jego Ekscelencję Lorda Scrennagle’a z Duty...

Scrennagle uniósł dłoń o dwóch kciukach, aby wtrącić uprzejmie: – Wybacz pan, że przerywam. To tylko w przybliżeniu moja ranga i tytuł. „Sir” wyraża całkiem dostateczny szacunek, i jest znacznie mniej kłopotliwe w konwersacji.

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo – odparł Fox.

Hewlitt przyniósł plik wzorów i zszywkę próbek materiału, z której Scrennagle wybrał miękką jagnięcą wełnę koloru jasnokremowego, która – jak zapewnił krawiec – w żaden sposób nie podrażni jego skóry. Modele zafascynowały Scrennagle’a, a kiedy Hewlitt zaczął szkicować podobne fasony, zmodyfikowane na potrzeby jego centaurowatego ciała, przybysz nieomal usiadł mu na karku.

Seria grzecznościowych pytań pozwoliła ustalić fakt, iż Scrennagle ma niezłomny zamiar nosić ubranie i że częścią jego ciała najbardziej narażoną na zimno jest skóra okrywająca grzbiet między talią a ogonem.

— Za pozwoleniem, sir – rzekł w tym miejscu Hewlitt – chciałbym uzyskać pańską radę co do rozmieszczenia zapięć, otworów służących eliminacji substancji wydalanych przez organizm i tak dalej...

Scrennagle potrafił tak wykręcić górną część swojego ciała, że dłońmi sięgał po obu bokach aż do ogona, aczkolwiek widzieć mógł jedynie dolną partię grzbietu. Bielizna, którą miał zaprojektować Hewlitt, musiałaby się dać zakładać od dołu, przez wciąganie to na przednie, to na tylne nogi. Byłaby podwójnie założona na grzbiecie i zapinana na całej długości, z jedną szeroką klapą przechodzącą na krzyż przez plecy i zapinaną na przeciwległym boku, podczas gdy druga taka klapa przecinałaby grzbiet w przeciwnym kierunku i zapinała się po drugiej stronie – coś takiego jak dwurzędowa marynarka założona tyłem na przód. Scrennagle stwierdził, że podwójna warstwa materiału na grzbiecie będzie wielkim udogodnieniem, skoro lokalna temperatura jest taka, jaka jest; nie doszukał się żadnych uchybień w jeszcze bardziej skomplikowanym systemie klap i zapięć w okolicach rozporka i zadu.

Nalegał jednak, z wielką uprzejmością, aby ogona nie zasłaniać nawet w części. Działy tu, najwyraźniej, jakieś silne motywy psychologiczne.

— Rozumiem doskonale, sir – powiedział Hewlitt. — A teraz, jeśli zechce pan stanąć bez ruchu, wezmę wymiary. Określenie rozmiaru i opis sylwetki będą tu znacznie bardziej skomplikowane niż w przypadku derek. Skoro już jednak naszkicuję właściwie dopasowany model odzienia, wykonanie wszelkich dodatkowych szkiców nie będzie nastęrczało żadnych problemów. Cztery zmiany bielizny powinny na początek wystarczyć, aby...

— Hewlitt! – zaczął ostro Fox.

— Żaden dżentelmen – rzekł Hewlitt bardzo cicho –

niezależnie od wysokości swej pozycji, nie podjąłby podróży o istotnej wadze z jedną zaledwie zmianą bielizny.

Na to, oczywiście, nie mogło być odpowiedzi i Hewlitt na nowo podjął zdejmowanie wymiarów. W miarę jak praca postępowała, tłumaczył Scrennagle'owi dokładnie, co robi i w jakim celu. Posunął się aż do omawiania pogody, usiłując nakłonić swego klienta do rozluźnienia mięśni, aby nie dopasowywać stroju do figury utrzymywanej w nienaturalnej pozie z powodu napięcia.

— Zamierzam przedłużyć nogawki poniżej połowy wysokości między stawem biodrowym a kolanem – powiedział w pewnej chwili. – Zapewni to maksymalną wygodę i ciepło, przy uwzględnieniu długości okrycia wierzchniego. Ogromnie pomocna byłaby mi jednak nieco bardziej szczegółowa informacja o przeznaczeniu derki – jakie ruchy będzie pan w niej wykonywał, czy spodziewa się pan być fotografowanym, czy też nie, otoczenie krajobrazowe lub architektoniczne – tak, aby okrycie nie wydało się nie na miejscu.

— Próbuje pan wyłudzić informacje – przerwał ostro Fox. – Proszę tego zaprzestać.

Hewlitt zignorował go i zwrócił się do Scrennagle'a: – Może pan polegać na mojej dyskrecji, sir.

— Wiem o tym – odparł Scrennagle. Obróciwszy się tak, aby widzieć Foxa w lustrze przymierzalni, ciągnął: – Pewne zaciekawienie nie może dziwić w tych okolicznościach, a skoro powierzono już panu Hewlittowi tajemnicę mojej obecności w mieście, przyczyna, dla której się tutaj znalazłem jest, sądzę, drobnym dodatkowym sekretem, który nie powinien przeciążyć jego umiejętności dochowania...

— Z całym szacunkiem, Wasza Ekscelencjo – przerwał Fox – te sprawy nie mogą być rozgłaszane aż do ukończenia wszystkich niezbędnych przygotowań.

Hewlitt notował: Obwód przedniej części korpusu – 46 cali. Hamując irytację, powiedział: – Jeśli tkanina, wykończenie i charakter ozdób okrycia mają pozostawać w zgodzie z okolicznością – okolicznością bez wątpienia wielkiej wagi – powinienem doprawdy cokolwiek wiedzieć na ten temat.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Scrennagle i jego aparat translacyjny wydały odgłosy, będące przypuszczalnie odpowiednikiem chrząkania w świecie przybysza. Scrennagle podniósł głowę i stanął zupełnie nieruchomo, mówiąc: – Jako akredytowany na Ziemi przedstawiciel Dudy i Federacji Galaktycznej, mam przedstawić swoje listy uwierzytelniające na dworze królewskim, ze zwykłymi w podobnych okolicznościach ceremoniami towarzyszącymi. Wieczorem tego samego dnia odbędzie się przyjęcie, uświetnione monarszą obecnością. Aczkolwiek oficjalnie jestem tylko ambasadorem, będą mi oddawane honory podobne do należnych wizytującym głowom państwa. Środki masowego przekazu nadawać będą sprawozdania z przyjęcia, a wywiady nastąpią po oficjalnym...

Hewlitt już go nie słuchał. Był tak zbulwersowany, że ani jedno słowo nie mogło się precyzyjnie do jego umysłu z zachowaniem własnego znaczenia. Cicho usprawiedliwił się przed Scrennagle'em, następnie rzekł do Foxa: – Czy mogę porozmawiać z panem w cztery oczy, za drzwiami?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł na chwiejnych nogach z przymierzalni i podszedł do drugich drzwi, które przytrzymał,

aby przepuścić Foxa do holu przed sobą. Następnie zdecydowanie zamknął drzwi – tak zdecydowanie, że szyba zadrżała i posypała się dźwięczenie na kafelki werandy.

— I pan mi na to – szepnął z furią – każe szyć koń... końską derkę?

— Proszę mi wierzyć lub nie – odparł Fox z równą furią – rozumiem pańskie uczucia. Ale to może być najważniejsze wydarzenie w historii ludzkości i to się musi udać. Nie tylko dla dobra Scrennagle'a. To, co uczynimy tutaj, będzie probierzem, przykładem, dla ambasad całego świata: nie możemy im pozostawić miejsca na krytykę. Niektórym ambasadom będzie się zdawało, że to one powinny były przyjąć pierwszą wizytę, uraduje je zatem każda okazja do wyrażenia krytyki. Nie możemy im dać tej okazji.

Jeden z członków Sekcji Specjalnej, w przesadnie czystym kombinezonie, wszedł na werandę, zwabiony odgłosem tłukącego się szkła. Fox oddalił go gestem, po czym ciągnął: – Naturalnie, że powinien mieć na sobie coś więcej niż końską derkę. Wiem o tym tak samo dobrze jak pan. Ale nie chciałem uświadamiać panu, jakie to wszystko ważne. Niezależnie od groźby przecieku, co w pańskim przypadku stanowi ryzyko minimalne, nie chciałem, aby przejął się pan zanadto swoim zadaniem i zaczął tracić nerwy.

— Zarazem jednak – mówił gardłowo – nie możemy sobie pozwolić na to, aby wyglądał on śmiesznie, żeby wyglądał jak skrzyżowanie paradnego rumaka i wyfrakowanego szympansa z cyrku. Jest zbyt ważną osobistością, abyśmy mogli podejmować jakiegokolwiek ryzyko.

— Scrennagle – dodał ciszej – chce zrobić dobre wrażenie, to oczywiste; ale i my, jako gatunek, musimy na nim wywrzeć korzystne wrażenie. Dlatego też bezpieczniej będzie zapewne, pozwolić mu paradować w derce, nawet jeśli derce brakuje zarówno fantazji, jak i dostojności. Lecz jeśli chce pan, Hewlitt, uszyć coś bardziej wyszukanego dla pierwszego ambasadora z gwiazd, musi to być idealnie dopasowane do okazji. Czy zechce pan przyjąć na siebie tak wielką odpowiedzialność?

Aparat głosowy Hewlitta był tak sparaliżowany kombinacją szczytowego napięcia i szalonej radości na wieść o najpoważniejszym wyzwaniu nie tylko dla jednostki, lecz i dla przedstawiciela jednego z najstarszych znanych ludzkości rzemiosł, że Hewlitt tylko kiwnął głową.

Ulga Foxa była widoczna. Z wielką powagą rzekł: – Przejmie pan sporą część odpowiedzialności, która w zasadzie spoczywa na mnie. Jestem wdzięczny i jeśli ma pan jakiegokolwiek sugestie, mogące ułatwić...

— Nawet jeśli to nie mój interes? – zapytał Hewlitt, po czym dodał: – To jest, mój krawiecki interes?

— Proszę, słucham – odparł czujnie Fox.

— Rozmawialiśmy właśnie o paradnych rumakach – mówił Hewlitt. – Mój klient w znacznie większym stopniu przypomina konia niż istotę ludzką. Jest zbyt wytrawnym dyplomatą na to, by się skarżyć, ale proszę na chwilę wejść w jego położenie i zastanowić się nad wrażeniem, jakie wywarłaby na panu cała ta pompa i parada, przejazdu z miejsca na miejsce...

— Scrennagle przestudiował już bardziej osobiste aspekty naszej cywilizacji i przystosował się do nich – rzekł Fox. –

Podczas posiłków leży z nogami schowanymi pod siebie, trzymając wyprostowany tors na wysokości pozwalającej swobodnie jeść i rozmawiać. Ponieważ nie posiada podołka, jego serwetka leży złożona obok talerza. Co do zabiegów toaletowych...

— Myślałem – wtrącił Hewlitt – o tym, jak może się poczuć w obecności koni, które go będą ciągnąć, lub które zobaczy ujeżdżane przez istoty ludzkie. Sugerowałbym raczej użycie rządowej limuzyny niż karety i wybranie eskorty i strażników spośród regimentów innych niż Kawaleria Dworska czy Gwardia Konna. Jest kilka zbieżności natury fizjologicznej pomiędzy Scrennagle'em a ziemskim koniem. Nie tak wiele, jak pomiędzy małpą a człowiekiem, lecz byłoby chyba lepiej, żeby nie kręciły się w pobliżu zwierzęta zbyt natrętnie przypominające wizytującego ambasadora – nie sądzi pan?

— Naturalnie, że sądzę – przytaknął Fox i zaklął pod nosem. – Ktoś powinien był o tym pomyśleć.

— Ktoś właśnie to zrobił – odparł Hewlitt, otwierając drzwi i przepuszczając Foxa przodem przez potłuczone szkło z powrotem do przymierzalni, gdzie najważniejszy klient, jaki się kiedykolwiek trafił ziemskiemu krawcowi, czekał i łagodnie potupywał wszystkimi czterema kopytami.

— Najmocniej przepraszam za tę zwłokę, sir – rzekł uprzejmie Hewlitt – ale teraz mam już bardziej sprecyzowane pojęcie o tym, czego oczekuje się ode mnie – a także i od pana, sir. Zanim podejmę zdejmowanie wymiarów – czy jest pan uczulony na jakieś materiały, lub posiada szczególnie wrażliwe partie ciała, które mogłyby stać się przyczyną niewygody?

Scrennagle spojrział na Foxa, który powiedział: – Zbadaliśmy tę kwestię niezwykle szczegółowo; lista czynników, które mogą spowodować komplikacje, czasem nawet poważne komplikacje, jest obszerna – przy założeniu, że pozostawałyby w kontakcie ze skórą Jego Ekscelencji przez dłuższy okres.

— Sytuacja – kontynuował – przedstawia się następująco. Patogeny pozaziemskie nie mogą żyć w organizmie ludzkim, i vice versa. Oznacza to, że absolutnie nie możemy zarazić się chorobą od Scrennagle’a, tak jak i on pozostaje nieprzenikalny dla naszych zarazków. Reakcje czysto chemiczne stanowią jednak odrębny rozdział. Jedną z rzeczy, która z dużym prawdopodobieństwem wywołałaby u Jego Ekscelencji wysypkę, albo jeszcze gorzej, są włókna syntetyczne używane w tkaninach odzieżowych; w zasadzie wszystkie rodzaje syntetyków. Widzi pan, w czym problem?

Hewlitt potakująco skinął głową. Bieliznę, koszule, krawaty i skarpetki ambasadora trzeba będzie uszyć z czystej wełny, bawełny, bądź też surowego jedwabiu; tkaniną ubraniową musi być czysta wełna, a na okazje mniej galowe – tweed. Potrzebne będą kościane guziki i zamki błyskawiczne z metalu, a nie z nylonu. Obszycia, płótno usztywniające, watowania, które nadadzą sylwetce kształt i łagodną linię – też muszą być nie syntetyczne; zaś nitką, która to wszystko połączy, musi być staroświecka przędza bawełniana, a nie nici nylonowe. Widział doskonale, w czym problem; jak każdy wielki problem, tak i ten składał się z mnóstwa drobnych problemików.

— Jedną z przyczyn, dla których właśnie panu powierzono to zadanie – powiedział Fox – był fakt, że ma pan na tyle



staroświeckie upodobania, aby trzymać podobne rzeczy na składzie. Ale szczerze mówiąc, trapiła mnie myśl, że może pan być za bardzo staroświecki na to, by prawidłowo zareagować wobec... niezwykłego klienta. Okazuje się jednak, że nie zdradził pan ani śladu ksenofobii.

— Czytywałem sporo science fiction, zanim jeszcze stała się taka przeintelektualizowana – wyjaśnił cierpko Hewlitt. Następnie zwrócił się do Scrennagle'a. – Potrzebne mi będą dodatkowe wymiary, sir, jako że zamierzam sporządzić coś ambitniejszego niż derka. Konieczne będzie również szkicowanie modeli strojów na gorąco. Modelowanie, dopasowywanie i wykańczanie zajmie sporo czasu, jeśli rzecz ma być wykonana należycie. W związku z tym, zasłonę zbitą szybę i wywieszę kartkę z zawiadomieniem, że sklep zostaje zamknięty w celu dokonania przeróbek... – Prześliznął się wzrokiem po nieziemskich konturach ciała Scrennagle'a i pomyślał: „Zanosi się na wiele przeróbek”. – No i będę naturalnie pracował wyłącznie nad tym zamówieniem. Ale i tak nie sądzę, abym potrafił je wykonać szybciej niż w dziesięć dni.

— Ma pan dwanaście dni – powiedział Fox z wyraźną ulgą.

— Stłuczoną szybę każę wymienić najszybciej, jak to tylko możliwe. W trakcie naszego wywiadu fotografowano fronton pańskiej pracowni, tak że będziemy w stanie odtworzyć złoty napis. W końcu stłuczenie szyby było pośrednio moją winą.

— Ośmielę się wyrazić sprzeciw – wtrącił Scrennagle. – Jako pierwotny sprawca kłopotu, będę zaszczycony, jeśli pozwoli mi pan, panie Hewlitt, wprawić w to miejsce szybę z materiału, który posiadam na statku – jako pamiątkę po mojej wizycie.

Materiał ów jest przezroczysty i odporny zarówno na zderzenia z meteorytami, jak i na drobne zakłócenia natury emocjonalnej.

— Jest pan wielce uprzejmy, sir – odparł ze śmiechem Hewlitt.  
– Przyjmuję prezent. – W notesiku zapisał: Od nasady karku do nadgarstka 35 cali.

Ukończenie pomiarów w stopniu satysfakcjonującym Hewlitta zajęło niemal trzy godziny, włączając w to półgodzinną dyskusję nad muskulaturą oraz połączeniami stawowymi kończyn i korpusu, a także warunkami niezbędnymi dla zapewnienia wygody, jak i stylu w ubiorach, zwłaszcza zaś w okolicach karku, klatki piersiowej, pach i krocza.

Kiedy Scrennagle i Fox opuścili pracownię, Hewlitt zaryglował drzwi i mijając pokoje magazynu na pierwszym piętrze wspiał się po schodach do mieszkania na górze, aby przekazać wieści żonie.

Pani Hewlitt była praktycznie sparaliżowana od czasu wypadku drogowego przed osiemnastu laty. Bez nadmiernych trudności mogła poruszać się po mieszkaniu przez trzy godziny dziennie i godziny te oszczędzała na wieczorny posiłek i następującą po nim pogawędkę z mężem. Resztę swego czasu spędzała jeżdżąc po mieszkaniu wózkiem inwalidzkim; sprzątała, gotowała, szyła – jeśli akurat była dla niej robota – lub też spała, co nie udawało jej się zbyt dobrze nawet w nocy.

Hewlitt opowiedział jej o swoim pozaziemskim kliencie i o konieczności utrzymania całej sprawy na razie w ścisłej tajemnicy. Żona z zaciekawieniem przejrzała jego szkice i zapis wymiarów klienta, szacując w myśli ilości tkaniny i dodatków koniecznych do wykonania zadania. Hewlitt powinien się

wstydzic, orzekła, że próbuje jej wmówić taką bujdę. Przypomniała mu, że w młodości musiała raz szyc kostium dla konia cyrkowego. Przyczyna, dla której zamówiono aż tyle strojów, zwłaszcza zaś zmian bielizny, nie była jej zdaniem jasna; miały być jednak niewątpliwie zastosowane w wymyślnej pantomimie lub farsie, w której od konia wymagano częściowego roznegliżowania. Szczegół żądany przy zapięciu rozporka, dodała z dezaprobatą, dowodził zapewne, że przedstawienie miało być szczególnie wymyślne i nieładne.

— Nic podobnego, kochanie – odparł Hewlitt z kamienną twarzą. – Będzie to raczej coś w rodzaju wielkiego widowiska, którego najważniejsze momenty – i nasze kostiumy – zobaczysz w telewizji.

Hewlitt, który tchórzostwo moralne poczytywał zawsze za ważną cechę odwagi, dostrzegł w wyrazie jej twarzy radość i podniecenie, i nie powiedział nic więcej.

Przez trzy dni i większość dzielących je nocy, zanim Scrennagle miał przyjść do pierwszej przymiarki, pani Hewlitt trwała w owym rozradowaniu i poczuciu ekscytacji, aczkolwiek napomknęła przy jakiejś okazji, że były czasy, gdy Hewlittowie odrzuciliby takie fikuśne zamówienie. Hewlitt odparł jej, że praca, której się podjęli, wymaga krawiectwa i wykończenia na najwyższym poziomie, niezależnie od swego ostatecznego przeznaczenia, i że stanowi wyzwanie dla niego jako fachowca, oraz gwarancje zarobku większe niż wszystko, co dotąd robił. A jednak w głębi duszy zaczynał ulegać wątpliwościom.

Zadaniem jego było zaprojektować, skroić i uszyć strój, dzięki któremu koń nie będzie wyglądał jak człowiek, lecz jak wielce

szukowny i dystyngowany koń. Cały ten pomysł był śmieszny, a przecież Scrennagle był zbyt ważną osobistością, aby go wystawić choćby na cień śmieszności.

Tak jak się Hewlitt spodziewał, pierwsza przymiarka była, optycznie rzecz biorąc, katastrofą. Przednie i tylne nogawki były nie wyprasowane, bezkształtne i prowizorycznie zszyte fastrygą, natomiast embrion dziennej marynarki wyglądał jeszcze gorzej, z jednym zaledwie przypiętym rękawem i fastrygą, na której trzymało się płótno kłap, przody i watowanie ramion. Pracując zamasyście igłą kredą i szpilkami, Hewlitt z całych sił starał się tchnąć w klienta wiarę i zaufanie; było jednak oczywiste, że ani Scrennagle, ani Fox, nie znaleźli się na jego fali.

Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych miał wygląd przeraźliwie zatroskany i nieszczęśliwy, zaś mozaika zmarszczek i nadęć na obliczu ambasadora była niemal na pewno pozaziemskim odpowiednikiem tych samych uczuć.

Hewlitt zachował wątpliwości dla siebie i zrobił co mógł dla częściowego choćby rozładowania sytuacji, przedstawiając dwie pierwsze zmiany bielizny, z których obie pasowały jak ulał. Wyjaśnił, że są to stroje stosunkowo proste, wykonane z tkaniny elastycznej i przylegającej do ciała. Zignorował aluzje, tak ze strony Scrennagle'a, jak i Foxa, że może, mimo wszystko, byłoby lepiej zdecydować się na końską derkę narzuconą na bieliznę – i poprosił do drugiej miary za cztery dni.

Marynarka Scrennagle'a była obszernym odzieniem o skomplikowanej konstrukcji, które mu okrywało nie tylko przednią część torsu, lecz cały grzbiet, aż po partie zadnie. Była mocno podcięta z przodu, a dalej tren biegł w linii poziomej, dwa

całe poniżej poziomu połączenia nóg z tułowiem. Jednak z racji długości powierzchni wykorzystanego materiału, marynarka sprawiała, że odziane w spodnie nogi wydawały się nieproporcjonalnie cienkie.

Hewlittowi udało się optycznie zredukować powierzchnię marynarki przez wprowadzenie plisek, biegnących wzdłuż grzbietu i rozdzielających się przy otworze na ogon; porobił też mnóstwo strategicznie rozlokowanych fałdzików, by nadać kształt odzieniu na nietypowych konturach ciała. Musiał jednak rozpruć i na nowo skroić pierwotną wersję spodni, przerabiając je na dwa razy szersze, lecz dyskretnie zwężane ku dołowi, aż do – w przybliżeniu – podwójnej średnicy kopyta. Oznaczało to konieczność przerobienia systemu podtrzymywania spodni na grzbiecie i modyfikacji krocza, lecz w ostatecznym rozrachunku całość wydawała się znacznie lepiej wyważona.

Podczas drugiej miary Hewlitt z zadowoleniem zauważył, że udało mu się wyeliminować kłopotliwą tendencję do powstawania załamek w miejscu, gdzie mięśnie przedniej nogi co jakiś czas deformowały kamizelkę, kiedy Scrennagle spacerował. Ale niewyszkolonym oczom Scrennagle'a i Foxa ubranie nadal wydawało się przypominać przysłowiową kupę nieszczęścia. Było oczywiste, że obaj dojrzewają do podjęcia decyzji – z całą niemal pewnością złej – i Hewlitt rozpaczliwie próbował ich od tego odwieść.

— Mamy niezwykle szczęście – rzekł z uśmiechem – że koszula z 16 numerem kołnierzyka pasuje na pana, sir, jak ulał, podobnie jak kapelusz numer 8. Kapelusz będzie pan przeważnie nosił nie na głowie, lecz w ręku – podobnie jak rękawiczki, które nie

całkiem pasują...

— Nie sądzi pan – przerwał mu nagle Fox – że porywa się na niewykonalne, panie Hewlitt?

Screenagle zawtórował mu trochę ciszej: – Nie chodzi bynajmniej o krytykowanie pańskich fachowych umiejętności i może pan, naturalnie, szyc uzgodnione stroje; lecz czy nie przyzna pan, że coś w rodzaju omawianej uprzednio derki mogłoby posłużyć jako pomocne zabezpieczenie? Zwolniłoby to pana zarazem z ciężkiej odpowiedzialności.

— Nie prosiłem o zwolnienie z odpowiedzialności – odparł Hewlitt. Od strachu przed tą odpowiedzialnością zaczynało mu się robić niedobrze. Powinien, doprawdy, wybrać prostsze wyjście – ale miał zbyt wiele zaufania, czy też może zadufania, we własne umiejętności. – Podjąłem się ubrać pana starannie do nadchodzących okazji towarzyskich i oficjalnych i może pan być pewien, sir, że spełnię swoje zobowiązanie.

— Mam jednak – ciągnął pośpiesznie – kłopot niewielkiej wagi w związku z okryciem stóp. Czarne wełniane skarpetki dadzą się tu zastosować i dopasować, ale ziemskie buty nie wyglądałyby dobrze, i nie mógłby ich pan swobodnie nosić. Czy możliwe byłoby użycie nietoksycznej farby dla zamalowania kostnych partii pańskich kopyt – lśniącej czerni na spotkania formalne i brązu na zwykłe okazje? Należałoby je również podbić, gdyż stukot kopyt może być także poczytany za niestosowność. Wydawałby pan zanadto końskie odgłosy – dodał Hewlitt cichutko. A głośno: – Pozostaje jeszcze kwestia ekspozycji ogona, sir. To długi, wspaniały i wyjątkowo piękny ogon...

— Dziękuję panu – rzekł Screenagle.

— ...ale pozostaje on w ciągłym ruchu i mógłby odwracać uwagę osób prowadzących z panem konwersację. Dowiedziałem się od pana Foxa, że te ruchy ogonem są mimowolne. W moim zrozumieniu, ogon pański można jednak przyrównać do włosów na czaszce bądź też twarzy osobnika ziemskiego. Posiadacze takiego zarostu często, przy uroczystych okazjach, eksponują go nader starannie. Włosy można zaplatać, przewiązywać wstążką, ozdabiać na rozmaite sposoby, a także wyczesywać i natłuszczać, aby im przydać wspaniałości. Jeśli nie ma pan żadnych obiekcji, sir, moglibyśmy zapleść pański ogon, dodając, powiedzmy, kilka białych lub srebrnych sznurów, następnie pięknie go podwinąć i zabezpieczyć spinką, którą mogę przymocować do centralnego szwu.

— Nie mam obiekcji, panie Hewlitt – rzekł Scrennagle. – Coś podobnego sami robimy na Ducie.

— To wszystko detale, Hewlitt – powiedział Fox. – Istotne detale, przyznaję, które wynikną niezależnie od przywdzianego stroju. Ale...

— Pozostaje również sprawa ozdób, sir – ciągnął Hewlitt. – Istnieją u nas kolorowe wstążki i kawałki rzeźbionego metalu, wskazujące na to, że osoba, która je nosi dokonała jakiegoś wielkiego czynu, albo też dokonał go jej przodek. Na wieczornym przyjęciu pojawi się wiele osób w galowych mundurach i pełnych strojach wieczorowych, do których przyczepia się takie właśnie ozdoby, jakie opisałem. Chciałbym, aby nosił pan jakąś dekorację lub medal – ciągnął z powagą – ale raczej nie taki, który po prostu wymyślono na tę okazję. Czy mógłby pan zaproponować coś stosownego, sir?

Scrennagle milczał przez chwilę, po czym rzekł: – Moja rasa nie zna odpowiednika tych medali, z ewentualnym wyjątkiem tłumacza, koniecznego mi do wykonywania zawodu. Istnieje wersja nieco większa, ozdobiona symbolem Federacji, którą nosi się wówczas, jeśli ma się odbywać równocześnie więcej niż jedno tłumaczenie. Ale i to są po prostu narzędzia naszej profesji.

— Lecz nie jest to z pewnością profesja pospolita?

— O nie – odparł Scrennagle. Grymas, który wykrzywił twarz przybysza, mógł oznaczać dumę.

— Czy miałby pan coś przeciwko zawieszeniu tego urządzenia na kolorowej wstędze?

— Absolutnie nic.

— Dziękuję panu, sir – rzekł Hewlitt. Ożywionym głosem ciągnął: – Strój dzienny będzie do odebrania przed śniadaniem umówionego dnia, a ubranie wieczorowe tego samego dnia po południu. Stroje na spacer i dodatki, które nie będą panu potrzebne aż do czasu zamknięcia listy oficjalnych wizyt, będzie mi już znacznie łatwiej przygotować dzięki doświadczeniu uzyskanemu przy szyciu pierwszych okryć...

— To znaczy – wtrącił stanowczo Fox – dobrze skrojonej i gustownie ozdobionej derki.

Hewlitt udał, że go nie słyszy, mówiąc: – Może mi pan zaufać, sir.

— Ufam panu, panie Hewlitt, bardziej niż jakiegokolwiek osobie na tej planecie.

Długo po ich odejściu Hewlitt rozmyślał o pożegnalnych słowach Scrennagle'a. Podczas gdy wraz z żoną pracował nad poprawkami i wykończeniem pierwszego garnituru, dręczyło go



zmartwienie. Czy jest głupim, zadufanym w sobie krawieckim okazem snoba, czy też istotnie ma prawo dyrygować Scrennagle'em, tak jak to robił?

Ambasador był niezwykle ważną istotą, której – podobnie jak wszystkim przedstawicielom obcych rządów – zależało na zrobieniu dobrego wrażenia. Ale miał on również odbierać wrażenia, korzystne lub wręcz przeciwnie, podczas spotkań z ludźmi. Traktując rzecz realistycznie, te ostatnie wrażenia były ważniejsze, jeśli idzie o ludzką rasę. Scrennagle był, z dużym prawdopodobieństwem, wystarczająco ważny, aby podjąć decyzję, czy jego świat i reszta Federacji utrzyma kontakt z Ziemią, czy też pozostawi ją własnemu losowi.

I tę właśnie istotę on, zarozumiały i podupadły krawczyzna, ma ubrać na najważniejsze spotkanie w historii ludzkości. Zamierzał, oczywiście, ubrać go, wykorzystując całe swoje umiejętności, ale środki masowego przekazu lubiły wystawiać bardzo ważne osobistości na pośmiewisko. Wystarczy pół pretekstu, a rozerwą Scrennagle'a na kawałki; a wtedy ambasador odleci i ani on sam, ani jego przyjaciele nigdy już nie wrócą do miejsca, gdzie ludzie nie potrafią się zachować i gdzie z przedstawiciela Federacji zrobiono błazna.

Prując ponownie szew, aby usunąć niewidoczną fałdkę, albo pracując nad wypukłym obrzeżeniem, które stanowiło swoisty podpis autora na jego garniturach, wielokrotnie myślał o odłożeniu pracy na kilka godzin, które wystarczyłyby mu na uszycie derki. Myślał o tym długo i poważnie, ale bijąc się z myślami, cały czas robił to, co trzymał w ręku. Kiedy we wczesnych godzinach następnego poranka on i jego żona udali

się do łóżek, po czym zaraz wstali, aby na nowo podjąć pracę, Hewlitt nadal nie był zdecydowany.

Uszycie ozdobnej końskiej derki stanowiłoby ubezpieczenie na wypadek, gdyby garnitur okazał się klęską kunsztu krawieckiego. Ale szyjąc derkę, wykonałby po prostu polecenie i przeniósł ciężar odpowiedzialności z powrotem na Foxa. Pozwoliłby jednocześnie, aby człowiek gorzej znający się na rzeczy, uczył go, co ma robić.

I nagle dzienna marynarka i spodnie okazały się gotowe, odprasowane i wraz z dodatkami zawieszono na stelażu, który Hewlitt zmajstrował z kończyn i korpusów półtora manekina: no i nie było już czasu na uszycie derki, albowiem był to ranoek Wiadomego Dnia i Scrennagle mógł nadejść w każdej chwili.

Ambasador nie mówił wiele, kiedy Hewlitt uczył go, jak zapinać koszulę, wiązać krawat i zakładać, obok innych drobiazgów, ciemne, pozbawione stóp skarpetki na jego czarno lakierowane kopyta. Przymierzając klientowi spodnie, kamizelkę i marynarkę, krawiec wspomniał o potrzebie poruszania się powoli – nagłe ruchy nie mają w sobie godności i źle się prezentują w telewizji. Był świadom tego, że mówi zbyt wiele i że się ośmiesza, akcentując każdą frazę ziewnięciem.

Hewlitt nie chciał, aby Scrennagle uświadomił sobie, jak bardzo on sam jest zdenerwowany i niepewny, gdyż całość wyglądała niezupełnie tak, jak sobie wyobrażał – a w swym obecnym stanie fizycznego i umysłowego wyczerpania nie potrafił już ocenić, jak to naprawdę wygląda.

Podczas tej całej ceremonii Fox zachował najbardziej śmiertelną ciszę, na jaką kiedykolwiek się zdobył, ale gdy

wychodzili wcisnął Hewlittowi egzemplarz porannej gazety i z zatroskaniem pokiwał głową.

Doniesienia o Scrennagle'u opublikowano jako Oficjalny Komunikat Dworu Królewskiego:

*Jego Ekscelencja Lord Scrennagle z Duty zostanie dziś rano przyjęty na audiencji przez Królową i przedstawi na Dworze św. Jakuba listy uwierzytelniające jako Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny Federacji Galaktycznej.*

*Oficjalne przyjęcie na jego cześć wydane zostanie w Pałacu i będzie transmitowane przez audiowizualne środki masowego przekazu.*

Hewlitt przeniósł telewizor do swojej pracowni, aby móc oglądać transmisję nie przeszkadzając żonie, która jeszcze spała, i szyjąc równocześnie ubranie wieczorowe.

Transmisja telewizyjna była jednak niezadowolająca. Oficjalny Komunikat Dworu potraktowano najwyraźniej jako kawał. Pewnemu turyście udało się sfilmować przybycie Scrennagle'a na Dwór św. Jakuba i można się było spodziewać, że turysta ów zgarnie fortunę za kilka minut nieostrego filmu, który nie dawał choćby cienia wyobrażenia o tym, jak dobrze – lub też niedobrze – leżał na ambasadorze jego garnitur.

Hewlitt odczekał parę godzin, po czym włączył radio, aby usłyszeć podekscytowany głos spikera informujący, że właśnie otrzymano z Pałacu wiadomość tej mniej więcej treści, iż Duta jest planetą zamieszkaną, obiegającą Słońce odległe o blisko dwa tysiące lat świetlnych od Ziemi i że Dutaninowi Scrennagle'owi oddaje się honory należne głowom państwa, jak również i te, które należą się ambasadorowi. Czy cała ta historia to kawał, czy

też nie, ciągnął głos, wieczorne przyjęcie i tak będzie transmitowane, w tym samym stopniu, co pierwsze lądowanie na Księżycu.

Żona Hewlitta też wysłuchiwała tego fragmentu wiadomości. Wyglądała na strasznie zmęczoną, ale szczęśliwszą, niż ją oglądał przez wiele, wiele lat. Na razie jednak nie odzywała się do niego, gdyż powiedział jej prawdę, ale specjalnie się starał, aby prawda zabrzmiała jak kłamstwo.

Umysł i palce Hewlitta były tak zeszywniałe i przemęczone, że spóźnił się z wykończeniem garnituru prawie o godzinę. Nie miało to jednak znaczenia: Scrennagle nie zgłosił się po ubranie. Dopiero na dwie godziny przed spodziewanym otwarciem przyjęcia, pojawił się umundurowany funkcjonariusz, mówiąc, że nastąpiło nieprzewidziane opóźnienie i że ma odebrać strój oraz dostarczyć go na pokład statku Scrennagle'a. W kilka minut później pojawił się starszy rangą oficer, mówiąc, że ponieważ minęła już konieczność utrzymywania tajemnicy, sprzed wejścia do sklepu usuwa się właśnie parawan, a także, że dwóch szklarzy przyszło wymienić szybę w drzwiach.

— Nie można z tym poczekać do rana? – zapytał Hewlitt, zaciskając zęby w walce z ziewnięciem.

— Wygląda pan na bardzo zmęczonego, sir – rzekł policjant.

— Będzie mi bardzo miło pozostać tutaj, póki oni nie skończą i zamkną drzwi, kiedy będę odchodził. Klucz wrzucę do skrzynki na listy.

— To bardzo wielkodusznie z pańskiej strony – odparł serdecznie Hewlitt. – W istocie, przydałby mi się odpoczynek. Dziękuję panu.

— Cała przyjemność po mojej stronie, sir – powiedział oficer, z takim szacunkiem, że wydawał się gotów zasałutować.

Ciepłe uczucie, jakie w nim obudził niespodziewanie przyjacielski policjant, mijało, w miarę jak Hewlitt wstępował po schodach. Roztrząsał prawdopodobne przyczyny, dla których Scrennagle wolał przysłać kogoś po ubranie, zamiast odebrać je osobiście. Strój, który nosił dziś rano okazał się zapewne żalonym nieporozumieniem i na wieczór Scrennagle przywdzieje końską derkę, uszytą w ekspresowym terminie przez kogoś innego. Będąc dyplomata, jak również istotą subtelną, Scrennagle nie chciał osobiście żalić się Hewlittowi, ani też powtarzać mu krytycznych uwag, jakie z pewnością padły pod adresem jego wyglądu. Przyjmie po prostu przesyłkę drugiego ubrania i nie powie nic.

Ale rozpacz Hewlitta miała krótki żywot. Kiedy zwałił się na fotel przed ekranem telewizora, grupa ekspertów dyskutowała nad znaczeniem nawiązania kontaktu z rasą pozaziemską, a mądrale zawsze go usypiali.

Pierwsze takty fanfary rozpoczynającej późne wydanie dziennika wieczornego, wyjątkowo przedłużonego z uwagi na transmisję wizyty pozaziemskiego gościa, poderwały Hewlitta ze snu. Pośpiesznie przewiózł z kuchni żonę w fotelu, po czym wrócił na swoje miejsce, aby zobaczyć, jaką linię postępowania obrał Scrennagle.

W przeciwieństwie do amatorskiego filmu nakręconego na Dworze św. Jakuba, przybycie Scrennagle'a na przyjęcie sfilmowane było w zbliżeniach, z półdystansu i pod każdym możliwym kątem.

Ambasador nie miał na sobie końskiej derki.

Marynarka dobrze leżała przy szyi, i na ramionach, lecz miała skłonność do fałdowania się w poprzek pleców, kiedy Scrennagle prostował się z ukłonem – a musiał się kłaniać co parę minut. Spodnie układały się dobrze, nadając nogom wygląd nie nazbyt chuderlawy, a czarne skarpety i wyglancowane kopyta były elegancko niedostrzegalne. Ogon został skręcony i przymocowany z przodu, jak u zwierząt na herbach, a jego sporadyczne drgnienia trudno byłoby dostrzec.

Jedynym barwnym akcentem była szeroka jedwabna wstęga, przecinająca na ukos biały gors koszuli i kamizelkę. Wstęga była bladoniebieska z wąskim czarno–złotym brzeżkiem, do którego przymocowano wymyślnie zdobione urządzenie translacyjne, noszące symbol Federacji. Aczkolwiek nie był to najwspanialszy order na przyjęciu, zdołał się jednak wyróżnić spośród tłumu orderów Łażni i Podwiązek.

Hewlitt uświadomił sobie nagle, że Scrennagle z Duty prezentuje się dobrze...

Następnie Dutanin wygłaszał przemówienie, nakreślając z grubsza cel swojej wizyty i wymieniając niektóre korzyści, płynące dla obu stron z przynależności do Federacji Galaktycznej.

— Minęło zaledwie sto pięćdziesiąt lat, odkąd jeden z bezzałogowych statków zwiadowczych Federacji odkrył na Ziemi rozumne życie i gwałtownie rozwijającą się technikę. Długa zwłoka, poprzedzająca reakcję na to odkrycie, spowodowana była – jak wyjaśnił Scrennagle – faktem, iż statki zwiadowcze, które nieczęsto cokolwiek znajdowały – były wyposażone w

nieekonomiczne silniki wysokiej mocy, ponieważ maszyny, odwrotnie niż Dutanie, Ziemianie, czy przedstawiciele innych, rozumnych gatunków, nie starzeją się, ani nie ulegają znudzeniu. Statek zwiadowczy spędził na orbicie wiele lat, fotografując, analizując, klasyfikując okazy flory i fauny oraz pisane i mówione języki – przy czym to ostatnie było szczególnie trudne do osiągnięcia za pomocą wysyłanych na Ziemię sond, jako że nie wynaleziono jeszcze wtedy radia ani telewizji.

Kiedy dane powróciły na Dutę do przeanalizowania, należało podjąć kilka trudnych decyzji. Nie rozważano naturalnie możliwości rezygnacji z nawiązania kontaktu z bogatymi i zróżnicowanymi kulturami Ziemi. Aliści w czasie, gdy informacje były gromadzone, liczne ugrupowania społeczno–polityczne okazywały oznaki bliskiego upadku, podczas gdy inne błyskawicznie obrastały w potęgę i znaczenie.

W owym czasie Imperium Brytyjskie, ze swym centrum potęgi i handlu w Londynie, było ugrupowaniem najważniejszym i o najszerszych wpływach, lecz i ono okazywało symptomy upadku. Powstawało jednak powoli, a jego tradycje i prawa były głęboko zakorzenione. Wszystko wskazywało na to, że nie rozpadnie się w sposób katastroficzny, lecz wygaśnie łagodnie, stopniowo zanikając. Sądono również, że obyczaje i praktyki zaobserwowane półtora wieku wcześniej nie zmienią się zasadniczo w tak długowiecznym ugrupowaniu.

— Dlatego właśnie wylądowałem potajemnie w tym, a nie żadnym innym kraju – ciągnął Scrennagle. – Teraz już wiem, że była to właściwa decyzja. Ale i my mamy pewne zasady postępowania w podobnych okolicznościach. Moglibyście sądzić,

że jak na wysoko rozwiniętą kulturę galaktyczną, jesteśmy nadzwyczaj staromodni. A jednak możliwy do przyjęcia kodeks postępowania odgrywa niezwykle ważną rolę w kontaktach między gatunkami tak od siebie różnymi, jak członkowie naszej Federacji.

— Jedna z naszych najbardziej kategorycznych zasad – dodał wykrzywiając otwory twarzowe w niewątpliwym uśmiechu – każe, aby każdy, kto podobnie jak ja przybywa z wizytą, podporządkował się wszystkim praktykom społecznym i obyczajom panującym na goszczącej go planecie, z przyjęciem noszonych tam ubiorów włącznie.

Zakończył stwierdzeniem, że jego intencją jest złożenie serii oficjalnych wizyt głowom państw na całej Ziemi. Po dokonaniu tego powróci, aby odbyć relaksową, turystyczną rundkę po planecie, co umożliwiłoby mu spotkanie się z ludźmi w warunkach mniej oficjalnych. Dodał, że po czterech z górą wiekach, Ziemia jest pierwszym nowym światem, któremu zaproponowano członkostwo, i że z przyjemnością odpowie na wszystkie pytania, na każdy temat, pod tym, czy jakimkolwiek innym słońcem.

Kolejnym punktem programu był wywiad telewizyjny, podczas którego, w niesamowicie odległym końcu, wynikła sprawa ubioru Scrennagle'a.

— ...trzeba nam będzie znacznie więcej czasu na rozważenie szerszych aspektów pańskiej wizyty – mówił dziennikarz – a na razie, Wasza Ekscelencjo, chciałbym zadać pytanie, a zarazem wygłosić komplement pod adresem pańskiego stroju. Czy też powinienem raczej pochwalić pańskiego pozaziemskiego



krawca?

— Należałoby pochwalić mojego ziemskiego krawca – odparł Scrennagle, po czym dodał: – Na wielu światach odzienie jest po prostu środkiem ochrony przed skrajnościami pogody, na innych zaś produkcję, modelowanie i noszenie ubrań wyniesiono na poziom doniosłej sztuki. Ziemia należy do tej drugiej kategorii i posiada jednego przynajmniej krawca, który potrafi uczynić wygląd nie-Ziemianina... znośnym dla oka.

Dziennikarz rozeźlił się i zapytał: – Kto to jest, Wasza Ekscelencjo?

— Wolałbym na razie nie mówić – odparł Scrennagle. – I on, i jego żona pracowali długo i ciężko, więc należy im się choć jedna przespana noc, zanim otoczy ich sława. Teraz powiem jedynie, że mój krawiec jest stosunkowo mało znany, ale to rzemieślnik najwyższej próby. Ma też w sobie coś z dyktatora, jeśli idzie o sztukę krawiecką, co jest cechą wspólną wszystkim krawcom Galaktyki. Nie wzdraga się, jak pan widzi, przed podjęciem wyzwania dla swoich zdolności.

— Istotnie – potwierdził dziennikarz.

— Nie wątpię, że nastąpią kolejne wyzwania – ciągnął Scrennagle, zwracając twarz bezpośrednio do kamery, ale Hewlitt wiedział, że mówi on nie tylko do dziennikarza. – Moja rasa została wytypowana do nawiązania pierwszego kontaktu z rozumnymi mieszkańcami Ziemi dlatego tylko, że moi ziomkowie najbardziej was przypominają – mimo tych, jak wam się musi wydawać – zasadniczych różnic fizjologicznych. Inne rasy Federacji mają znacznie bardziej zróżnicowane i interesująco rozmieszczone kończyny oraz wyrostki, a nie

wprowadzonemu mogą się wydać wręcz szokujące. Ale z czasem ambasadorowie wszystkich tych gatunków odwiedzą Ziemię, aby okazać swe listy uwierzytelniające i dobrą wolę. I każdy będzie potrzebował na tę okazję stosownego odzienia. Świadomość, że istnieje ziemski krawiec, któremu mogą w pełni zaufać – skonkludował – będzie dla nich miła i krzepiąca.

Intensywne uczucia radości i podniecenia, które powinny były nie dać mu zasnąć tej nocy – a przecież dały – towarzyszyły Hewlittowi z tą samą intensywnością, kiedy otwierał sklep następnego ranka. Jego odbicie w wystawie naprzeciwko wyglądało tak jak zawsze, ale jakaś zmiana w odbitym obrazie kazała mu natychmiast się obrócić.

Nowa szyba w drzwiach była nie całkiem podobna do starej. Widniał na niej teraz napis: GEORGE L. HEWLITT, MISTRZ KRAWIECKI, umieszczony nad piękną kopią emblematu, który ozdobił translator Scrennagle'a – symbolu reprezentującego wszystkie światy Federacji Galaktycznej – a niżej następowały słowa: Z UPOWAŻNIENIA.

*Przełożył J.K.*

## O autorze

James White (1928–1999) irlandzki pisarz science fiction, rozpoznawany w Polsce dzięki długiemu cyklowi o Szpitalu Kosmicznym (12 tomów) i znakomitej powieści *Tysiącletni sen*, która w odcinkach była czytana w radio.

Pracował jako rzecznik prasowy wytwórni sprzętu lotniczego, pisarstwem zajmował się w wolnych chwilach. Współredagował czasopisma „Slant” i „Hyphen”.

Przed laty odwiedził Polskę, jako gość Polconu.

W opowiadaniach bardzo stylowy, brytyjski, co widać po klasycznym tekście *Ubranie na miarę*. Pochodzi ono z 1976 roku, drukowane było w „Problemach”.

---

## ROBERT SHECKLEY

---

*Robert Sheckley, autor bardzo wielu genialnych opowiadań i wielu nieudanych powieści (jak on to robił?), miał żydowskie korzenie. Jak mi napisał, jego ojciec nazywał się Czajkowski i urodził się w Polsce. Jednak w niejednym opowiadaniu, tak jak tutaj, przebija się chrześcijańska wizja świata. Są sprawy, wydaje się mówić Sheckley, w których nie możemy wyręczyć się robotami.*

### Bitwa

Głównodowodzący, generał Fetterer, wkroczył do sali dowodzenia z krótkim „Spocznij!” Trzej generałowie posłusznie stanęli na spocznij.

— Mamy niewiele czasu – powiedział Fetterer, spoglądając na zegarek. – Powtórzmy sobie jeszcze raz plan bitwy.

Podszedł do ściany i rozwinął ogromną mapę Sahary.

— Zgodnie z najbardziej wiarygodnymi informacjami teologicznymi, Szatan wystawi swoje siły na tych koordynatach – pokazał grubym palcem. – W pierwszej linii staną diabły, demony, sukuby, inkuby i cała reszta. Bael będzie dowodził prawą flanką, Buer lewą. Jego diabelska wysokość będzie trzymał centrum.

— Dość średniowieczne – mruknął generał Dell.

Wszedł adiutant generała Fetterera z twarzą rozjaśnioną

myślą o Powtórny Przyjściu.

— Panie generale – powiedział – przyszedł znów ten ksiądz.

— Baczość żołnierzu! – rzucił Fetterer surowo. – Musimy jeszcze stoczyć i wygrać tę bitwę.

— Tak jest, panie generale. – Adiutant wyprężył się i część radości odpłynęła z jego oblicza.

— Ksiądz, powiadasz? – Głównodowodzący w zamyśleniu zatarł dłonie. Od chwili Przyjścia, odkąd stało się jasne, że zbliża się Ostatnia Bitwa, pracownicy kultów religijnych całego świata stali się wyjątkowo natrętni. Zaprzestali starych sporów, co jest godne pochwały, ale teraz próbują się wtrącać do spraw wojskowych.

— Odeślijcie go – powiedział Fetterer. – Wie przecież, że przygotowujemy się do Armageddonu.

— Tak jest. – Adiutant dziarsko zasalutował, zrobił w tył zwrot i wyszedł.

— Kontynuujmy – powiedział generał Fetterer. – Za pierwszą linią obrony Szatana będą rozmieszczeni zmartwychwstali grzesznicy i różne elementarne siły diabelskie. Upadłe anioły będą działać jako lotnictwo bombardujące. Zajmą się nimi automatyczne myśliwce Della.

Generał Dell uśmiechnął się złowieszczo.

— Po nawiązaniu kontaktu, zrobotyzowane siły pancerne McFee uderzą w kierunku centrum – ciągnął Fetterer – przy wsparciu automatycznej piechoty generała Ongina. Dell przeprowadzi wodorowe bombardowanie odwodów nieprzyjaciela na pozycjach wyjściowych. Ja uderzę kawalerią zmechanizowaną tutaj, i tutaj.

Adiutant wrócił i stanął sztywno na baczność.

— Panie generale – powiedział. – Ksiądz nie chce odejść. Twierdzi, że musi mówić z panem generałem.

Głównodowodzący zawahał się, zanim powiedział nie. Przypomniawszy sobie, że to jest Ostatnia Bitwa i że pracownicy kultów mają z tym pewien związek. Postanowił poświęcić temu człowiekowi pięć minut.

— Wprowadźcie – powiedział.

Ksiądz był w zwykłym garniturze dla podkreślenia, że nie reprezentuje żadnej określonej religii, jego twarz wyrażała zmęczenie, ale i determinację.

— Panie generale – odezwał się – reprezentuję wszystkich duchownych całego świata: księży, rabinów, pastorów, mułłów i całą resztę. Prosimy pana, generale, żeby nam pan pozwolił wziąć udział w bitwie Naszego Pana.

Głównodowodzący nerwowo zabębnił palcami po pulpicie. Wolał utrzymać dobre stosunki z tymi ludźmi. Nawet on, Wódz Naczelny, może potrzebować słowa wstawiennictwa, kiedy przyjdzie co do czego...

— Chyba pan rozumie moją sytuację? – powiedział Fetterer ze skargą w głosie. – Jestem generałem i mam stoczyć bitwę.

— Ale to jest Ostatnia Bitwa – odparł ksiądz – i powinna to być bitwa ludzi.

— I tak jest – powiedział Fetterer. – Żołnierze stoczą ją w ich imieniu.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

— Nie chciałby pan chyba, żebyśmy przegrali tę bitwę, prawda? Żeby Szatan zwyciężył?

— Oczywiście że nie – mruknął ksiądz.

— Więc nie wolno nam ryzykować. Wszystkie rządy zgodziły się co do tego, prawda? Bardzo pięknie byłoby stoczyć Ostatnią Bitwę siłami ludzkimi. Symbolicznie, można by powiedzieć. Ale czy mielibyśmy pewność zwycięstwa?

Duchowny usiłował coś wtrącić, ale Fetterer nie dopuścił go do słowa.

— Skąd możemy znać siłę wojsk szatańskich? Musimy użyć wszystkiego, co mamy najlepsze z wojskowego punktu widzenia. A to oznacza armie automatów, zrobotyzowane samoloty i czołgi, bomby wodorowe.

Duchowny nie wyglądał na przekonanego.

— Ale tak być nie powinno – powiedział. – Chyba możecie znaleźć w swoich planach jakieś miejsce dla ludzi?

Fetterer zastanowił się, ale żądanie było nierealne. Plan bitwy był zapięty na ostatni guzik, piękny, nieodparty. Każde wprowadzenie niepewnego elementu ludzkiego spowodowałoby tylko zamieszanie. Żaden biologiczny organizm nie wytrzymałby hałasu tego mechanicznego ataku, potencjałów energii wypełniającej powietrze, przepotężnej siły ognia. Istota ludzka, która zbliżyłaby się na sto mil do pola bitwy, zginęłaby, zanim zobaczyłaby nieprzyjaciela.

— Niestety nie – powiedział Fetterer.

— Są tacy – stwierdził surowo duchowny – którzy uważają, że błędem było oddanie tego w ręce wojskowych.

— Trudno – powiedział Fetterer dziarsko. – To tylko defetystyczne gadanie. A teraz, jeżeli pan pozwoli... – wskazał drzwi.

Duchowny wyszedł przygnębiony.

— Ci cywile – pokręcił głową Fetterer. – Do rzeczy, panowie. Czy wasze wojska są gotowe?

— Jesteśmy gotowi walczyć za Niego – powiedział z entuzjazmem generał McFee. – Ręczę za każdy automat pod moją komendą. Metal lśni, przekładnie naoliwione, akumulatory naładowane. Czekają niecierpliwie na rozkaz do ataku!

Generał Ongin ocknął się z zamyślenia.

— Oddziały lądowe gotowe, panie generale.

— Wojska powietrzne gotowe – zameldował generał Dell.

— Znakomicie – podsumował generał Fetterer. – Wszystkie inne przygotowania też zostały zakończone. Cała ludność świata ma dostęp do transmisji telewizyjnych.

Wszyscy, bogaci i biedni, będą mogli obejrzyć Ostatnią Bitwę.

— A po Bitwie... – zaczął generał Ongin i urwał. Spojrzał na Fetterera. Fetterer zamyślił się. Nie wiedział, co ma się stać po Bitwie. Te sprawy znajdowały się zapewne w rękach organizacji religijnych.

— Myślę, że odbędzie się prezentacja, czy coś takiego – powiedział wymijająco.

— Czy to znaczy, że zobaczymy Jego? – spytał generał Dell.

— Naprawdę nie wiem – powiedział Fetterer. – Ale myślę, że tak. Ostatecznie, no, wiecie, co mam na myśli.

— Ale jaki strój obowiązuje? – spytał McFee z paniką w głosie. – Co się nosi na taką okazję?

— A jak są ubrani aniołowie? – spytał Fetterer Ongina.

— Nie mam pojęcia – odparł Ongin.

— Chyba w długie szaty? – podsunął generał Dell.



— Nie – zarządził Fetterer surowo. – Wystąpimy w mundurach galowych bez odznaczeń.

Generałowie skinęli głowami. To było dobre wyjście.

A potem wybiła godzina. Wspaniałe w swoim szyku bitewnym legiony Piekieł zstąpiły na pustynię. Zagrały piekielne dudy, zahuczały kotły i potężne zastępy ruszyły z miejsca. W oślepiającej chmurze pyłu automatyczne czołgi generała McFee rzuciły się na szatańskiego wroga. Natychmiast w górze zawyły automatyczne bombowce Della, zasypując bombami stłoczone hordy potępieńców. Fetterer śmiało uderzył swoją automatyczną kawalerią.

Ruszyła w dym bitwy automatyczna piechota Ongina i metal dawał z siebie wszystko, co metal potrafi.

Potępieńcy przerwali front, szarpiąc na sztuki czołgi i roboty. Automaty ginęły bohatersko, broniąc każdej piędzi piasku. Bombowce Della padały strącone z nieba przez upadłych aniołów pod komendą Markocjasa, którego nietoperze skrzydła wzniecały trąby powietrzne.

Cienka linia pokiereszowanych robotów stawiała czoło gigantycznym mocom, które je miażdżyły i roztrącały, siejąc przerażenie w sercach widzów, zgromadzonych przed ekranami na całym świecie. Roboty walczyły jak ludzie, jak bohaterowie, odpierając ataki sił ciemności.

Astaroth wrzasnęła i Behemoth ruszył do przodu. Beal, prowadząc za sobą klin diabłów przypuścił atak na nadwątloną lewą flankę generała Fetterera. Rozległ się zgrzyt metalu i wycie elektronów.

Generał Fetterer spływał potem i drżał z napięcia tysięcy mil za

linią frontu. Ale systematycznie i na zimno kierował naciskaniem guzików i dźwigni. Jego wspaniała armia nie zawiodła. Śmiertelnie uszkodzone roboty podrywały się do walki. Miażdżone, tratowane, niszczone przez wyjące diabelstwo roboty utrzymywały swoje pozycje. Wtedy do kontrataku ruszył doborowy Piąty Korpus i front nieprzyjacielski został przerwany.

Z odległości tysiąca mil generałowie kierowali operacją oczyszczania pola walki.

— Bitwa jest wygrana – szepnął generał Fetterer odwracając się od ekranów. – Gratuluję wam, panowie.

Zmęczone twarze generałów rozjaśnił uśmiech.

Potem spojrzeli na siebie i wydali okrzyk radości. Armageddon był wygrany, siły Szatana rozbite.

Ale na ekranach monitorów coś się działo.

— Czy to jest... czy to jest... – zająknął się generał McFee i słowa utknęły mu w gardle. Bo na polu bitwy pojawił się On, idąc między stosami poskręcane, nadtopionego metalu.

Generałowie zamilkli.

Dotknął rozbitego automatu i na całej zasnutej dymem pustyni roboty zaczęły ożywać. Poskręcane, nadwęglone, stopione maszyny zaczęły się prostować. Po chwili wszystkie roboty stały na nogach.

— McFee – szeptem powiedział głównodowodzący – wypróbuj zdalne sterowanie. Każ tym robotom uklęknąć albo coś takiego.

Generał spróbował, ale sterowanie nie działało.

Tymczasem roboty zaczęły unosić się w powietrzu. Podtrzymywane przez Aniołów Pańskich automatyczne czołgi, żołnierze i bombowce wlatywały coraz wyżej i wyżej.

— On je bierze do Nieba! – krzyknął histerycznie Ongin.

— On zbawia roboty!

— Zaszła pomyłka! – powiedział Fetterer. – Szybko. Wyślijcie łącznika... Nie, polecimy osobiście!

Szybko podstawiono im samolot i natychmiast polecili na pobożowisko. Ale było już za późno, bo Armageddon się skończył, roboty znikły, a Pan ze swoimi zastępami wrócił do siebie.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Robert Sheckley (1928–2005) amerykański pisarz science fiction, jeden z najbardziej znanych pisarzy lat 50. i 60. Rozpoznawalny zwłaszcza dzięki znakomitym opowiadaniom, bo powieści miewał nadzwyczaj nieudane. Chociaż przyciągały filmowców, jak *Dziesiąta ofiara* (film z Marcello Mastroiannim i Ursulą Andress pod tym samym tytułem) czy *Nieśmiertelność na zamówienie* (film *Freejack* z Mickiem Jaggerem).

Debiutował w 1952 roku opowiadaniem *The Final Examination*. Związał się z *Galaxy*, które poszukiwało żartobliwych opowiadań z wartką akcją. W ciągu kilkunastu lat opublikował 3 powieści w odcinkach i 106 opowiadań, część pod pseudonimem Finn O'Donnevan i Phillips Barbee. W czasopiśmie opowiadania, jakie pisał Sheckley zawsze były bardzo potrzebne. Kupowały jego teksty *Analog*, *F&SF* oraz *Playboy*.

Tym, co do dzisiaj podoba się w opowiadaniach Sheckleya jest niewymuszony humor, lekkość stylu, zwięzłość oraz zaskakująca puenta, dość rzadko spotykane umiejętności wśród współczesnych pisarzy. W jego rękach klasyczne tematy SF: podróż w czasie, kontakt z Obcymi, wojna w kosmosie, przeludnienie, artefakty zmieniały się w prawdziwe perełki literackie.

W Polsce znany z kilku słabych powieści i kilku zbiorów najlepszych opowiadań, w tym: *Pielgrzymka na Ziemię*, *Bilet na*

*Tranai, Diabelska maszyna, Obywatel Galaktyki.*

Co ciekawe, jego błyskotliwe i niezwykle popularne opowiadania nie podobały się krytyce i był pomijany w konkursach literackich, jako jedyny z amerykańskiej czołówki pisarzy SF nigdy nie otrzymał nagrody Hugo czy Nebula.

---

---

## ROGER ZELAZNY

---

---

*Opowiadanie z roku 1963, wybrane przez jury do Panteonu SF (Hall of Fame) w roku 1970. Jeszcze jedna wersja kontaktu, z Marsem, bo Mars był jeszcze wtedy zamieszkały, choć umierał. To Wenus była młoda, tryskająca wodą i energią. A bohaterem jest młody żydowski geniusz, poeta i lingwista, reprezentujący cechy lat sześćdziesiątych, taki hipis w kosmosie. A Eklezjastes to księga Starego Testamentu, w której więcej jest poezji niż religii. Trzeba dać się ponieść tej poezji.*

### Róża dla Eklezjastesesa

---

---

## I

---

---

Tego ranka, gdy zostałem zaakceptowany, tłumaczyłem akurat pilnie na marsjański swoje *Madrygały macabre*. Usłyszawszy krótki brzęczyk interkomu, jednym ruchem rzuciłem ołówek i przesunąłem wyłącznik.

— Panie G. – zapiszczał młodzieńczy kontralt Mortona – staruszek mówi, że „mam natychmiast złapać tego przekłętego, zarozumiałego wierszokletę” i przysłać go do jego kabiny.

Ponieważ jest tu tylko jeden przeklęty, zarozumiały wierszokleta...

— Niechaj ambicja nie ośmiesza twego pożytecznego trudu – przerwałem mu.

A więc Marsjanie w końcu się zdecydowali! Strzepnąłem cztery centymetry popiołu z tłącego się papierosa i zaciągnąłem się po raz pierwszy od chwili, kiedy go zapaliłem. Całomiesięczne oczekiwanie próbowało się wcisnąć w ten jeden moment, ale to nie mogło się udać. Czułem strach na myśl o przejściu tych czterdziestu stóp i wysłuchaniu, jak Emory wypowiada słowa, które już mogłem przewidzieć. Ta myśl spychała poprzednie uczucie na margines.

Toteż zanim się podniosłem, dokończyłem strofę, którą tłumaczyłem.

Dojście do drzwi Emory’ego zajęło mi tylko chwilę. Zapukałem dwukrotnie i otworzyłem je akurat w momencie, gdy warknął: „Wejść!”

— Chciałeś mnie widzieć?

Szybko usiadłem, żeby zaoszczędzić mu trudu proszenia mnie o zajęcie miejsca.

— To dopiero pośpiech. Co robiłeś? Biegłeś?

Przyjrzałem się dokładniej jego ojcowsko niezadowolonej twarzy. Drobne tłuszczowe wypryski pod jasnymi oczyma, rzędzące włosy i irlandzki nos, a głos o decybel donioślejszy niż u innych...

Hamlet do Klaudiusza:

— Pracowałem.

— Phi! – prychnął. – Daj sobie spokój. Nikt dotąd nie widział,

żebyś coś takiego robił.

Wzruszyłem ramionami i zacząłem się podnosić.

— Jeśli po to mnie tu wezwalesz...

— Siadaj!

Wstał, obszedł biurko, zawisł nade mną i spojrzał na mnie z góry (co jest trudną sztuczką, nawet kiedy siedzę na niskim krześle).

— Jesteś niewątpliwie najbardziej antagonistycznym bękartem, z jakim kiedykolwiek musiałem pracować! – ryknął jak byk użądłony w brzuch. – Dlaczego, u diabła, nie możesz zachować się czasem jak ludzka istota i wszystkich zaskoczyć? Chętnie przyznam, że jesteś bystry, może nawet jesteś geniuszem, ale... och, do diabła! – Machnął obydwoma rękami i wrócił za biurko. – Betty udało się ich w końcu przekonać, żeby pozwolili ci wejść. – Jego głos brzmiał znowu normalnie. – Przyjmą cię dziś po południu. Weź po lunchu jeden z dżipsterów i pojedź tam.

— Dobrze – odparłem.

— W takim razie to wszystko.

Skinąłem głową i podniosłem się. Miałem już rękę na gałce u drzwi, kiedy dodał: – Nie muszę ci chyba mówić, jakie to ważne. Nie potraktuj ich w taki sposób, w jaki traktujesz nas.

Zamknąłem za sobą drzwi.

Nie pamiętam, co zjadłem na lunch. Byłem zdenerwowany, lecz instynktownie czułem, że tego nie sfuszeruję. Moi bostońscy wydawcy oczekiwali marsjańskiej idylli albo przynajmniej dzieła na miarę Saint-Exupery'ego na temat lotu kosmicznego. Z kolei Narodowe Towarzystwo Naukowe pragnęło otrzymać



wyczerpujący raport opisujący dzieje rozwoju i upadku Cesarstwa Marsjańskiego.

Wiedziałem, że i jedni, i drudzy będą zadowoleni.

Dlatego właśnie wszyscy mi zazdroszczą, dlatego mnie nienawidzą. Zawsze robię, co do mnie należy, i potrafię to robić lepiej niż ktokolwiek inny.

Wpakowałem w siebie ostatnią porcję jakiejś brei i ruszyłem w kierunku naszego garażu. Wyciągnąłem jeden z dżipsterów i skierowałem go w stronę Tirelhanu.

Płomienie piasku, ciemne od tlenku żelaza, objęły moją brykę. Roily się nad otwartą górą pojazdu i kęsały mnie nawet przez szal. Potem zabrały się do gogli.

Dżipster, kołysząc się i dysząc jak osiołek, na którym miałem kiedyś okazję podróżować przez Himalaje, nie przestawał kopać mnie w siedzenie. Góry Tirelhan, powłócząc stopami, sunęły w moim kierunku pod dziwacznym kątem.

Nagle pędziłem już pod górę i zmieniałem biegi, żeby złagodzić ryk silnika. Nie przypomina Gobi, rozmyślałem, ani Wielkiej Pustyni Południowo-Zachodniej. Czerwona, martwa, bez najmniejszego kaktusa.

Dotarłem do grzbietu wzniesienia, ale wzbiłem tyle piasku, że nie widziałem niczego przed sobą. Było to jednak bez znaczenia, gdyż wszystkie mapy miałem w głowie. Skręciłem nieco w lewo i ruszyłem na dół, regulując przepustnicę. Poprzeczny wiatr i twardey grunt zdusiły płomienie. Czuję się jak Ulisses w Malebolge – trzymając w jednej ręce mowę napisaną tercyną i umiając poznać się na Dantem.

Okrzyżłem skalną pagodę i już byłem na miejscu.

Betty pomachała mi ręką, kiedy zatrzymałem się z głośnym zgrzytem i zeskoczyłem na dół.

— Cześć – wykrztusiłem, odwijając szal i strzepując z siebie tony piachu. – Kurde, dokąd idę i z kim się spotykam?

Pozwoliła sobie na krótki, niemiecki chichot – bardziej z powodu rozpoczęcia przeze mnie zdania od „kurde” niż niewygód, które mnie spotkały w podróży – i dopiero potem odpowiedziała (Betty jest wybitną lingwistką, toteż slangowe wyrażenia nadal pobudzają ją do śmiechu).

Doceniam jej precyzyjny, elegancki sposób wypowiedzi, konkretny i tak dalej. Mnie jednak czekało wkrótce tyle towarzyskich uprzejmości, że starczyłoby tego do końca życia. Spojrzałem na jej czekoladowe oczy i doskonale zęby, wybielone słońcem włosy obcięte krótko przy skórze (nie znoszę blondynek) i doszedłem do wniosku, że jest we mnie zakochana.

— Panie Gallinger, matriarchini czeka w środku, bym mogła was sobie przedstawić. Zgodziła się otworzyć dla pana świątynne rejestry. – Przerwała, żeby przygładzić włosy, i poruszyła się niespokojnie. Czyżby moje spojrzenie wprawiało ją w zakłopotanie? – To są dokumenty religijne, a jednocześnie jedyna spisana historia – ciągnęła – coś jak *Mahabharata*. Ona oczekuje, że przy korzystaniu z nich będzie pan przestrzegał pewnych rytuałów, na przykład, przewracając karty, powtarzał święte słowa. Nauczycy pana, czego trzeba.

Kiwnąłem pospiesznie parę razy głową.

— Doskonale! Wchodźmy.

— Chwileczkę... Proszę nie zapominać o jedenastu formach wyrażenia uprzejmości i szacunku. Oni traktują kwestie formy

bardzo poważnie. No i pod żadnym pozorem nie wdawać się w dyskusje na temat równości płci.

— Wiem wszystko o ich tabu – przerwałem jej. – Nie ma powodu się martwić. Mieszkałem na Wschodzie, pamięta pani?

Spuściła oczy i wzięła mnie za rękę. Miałem ochotę ją wyrwać.

— Będzie lepiej wyglądało, jeśli wprowadzę pana – wyjaśniła.

Darowałem sobie wypowiedź, co o tym myślę, i poszedłem z nią jak Samson w Gazie.

Wewnątrz okazało się, jak stosowna była moja ostatnia myśl. Kwatery matriarchini okazały się abstrakcyjną wersją mojego wyobrażenia o wyglądzie namiotów Izraelitów. Powiedziałem abstrakcyjną, gdyż ściany były wyłożone pokrytą freskami cegłą i zbiegały się w górze spiczasto jak wielki namiot. Wykonane ze zwierzęcych skór wizerunki robiły wrażenie szarobiałych blizn i wyglądały, jakby nałożono je na ściany szpachlę.

Matriarchini, M'Cwyie, okazała się niską kobietą koło pięćdziesiątki o siwych włosach, ubraną jak cygańska królowa. W sutych, barwnych spódnicach przypominała odwróconą wazę do ponczu umieszczoną na poduszce.

Przyjmując moje ukłony, przyglądała mi się jak sowa królikowi. Powieki jej niezwykle czarnych oczu podniosły się gwałtownie, gdy usłyszała mój nieskazitelny akcent. Dobrze mi się przysłużył magnetofon kasetowy, którego Betty używała podczas swoich wywiadów, a ponadto znałem na pamięć pochodzące z dwóch pierwszych wypraw opracowania dotyczące ich języka. Jestem piekielnie dobry w nabywaniu akcentu.

— Jesteś poetą?

— Tak – odparłem.

— Wyrecytuj, proszę, jeden ze swoich wierszy.

— Przykro mi, ale tylko dokładny przekład mógłby oddać sprawiedliwość waszemu językowi i mojej poezji, a nie znam jeszcze na tyle dobrze tutejszej mowy.

— Tak?

— Robię jednak takie tłumaczenia dla własnej rozrywki, jako ćwiczenie gramatyczne – ciągnąłem. – Będę zaszczycony, mogąc przynieść kilka z nich za którymś razem, kiedy tu przyjdę.

— Dobrze, proszę to zrobić.

Punkt dla mnie!

Teraz zwróciła się do Betty.

— Możesz już odejść.

Betty wymruczała formułki pożegnalne, rzuciła mi dziwne, ukośne spojrzenie i zniknęła. Najwyraźniej spodziewała się, że będzie mogła zostać i „pomagać” mi. Pragnęła, by na nią także spłynęła część chwały, co było całkowicie zrozumiałe. Ja jednak byłem teraz Schliemannem w swojej Troi, a na raporcie dla towarzystwa znajdzie się tylko jedno nazwisko!

M’Cwyie podniosła się, przy czym miałem okazję stwierdzić, że niewiele wzrostu jej to dodało. Tyle że ja mierzę metr dziewięćdziesiąt pięć i wyglądam jak topola w październiku – tyczkowaty, jasnorudy na czubku i górujący nad wszystkimi wokół.

— Nasze kroniki są bardzo, bardzo stare – zaczęła. – Betty powiedziała, że w waszym języku słowo na określenie ich wieku brzmi „milenium”.

Ruchem głowy wyraziłem, że doceniam ten fakt.

— Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę.

— Tu ich nie ma. Musimy się udać do świątyni – nie wolno ich stamtąd wynosić.

Nagle stałem się czujny.

— Lecz nie macie żadnych obiekcji, żebym mógł je skopiować?

— Nie. Widzę, że naprawdę odczuwasz dla nich szacunek, gdyż inaczej twoje pragnienie ich ujrzenia nie byłoby tak wielkie.

— Świetnie.

Wyglądało na to, że ją rozbawiłem, zapytałem więc, co w tym było śmiesznego.

— Cudzoziemiec może mieć problemy z nauczeniem się ceremonialnego języka.

Bardzo szybko wyszło to na jaw.

Nikt podczas pierwszej ekspedycji nie dostał się tak daleko. Nie miałem się więc skąd dowiedzieć, że mają tu dwupoziomowy system językowy – zarówno klasyczny, jak i potoczny. Poznałem co nieco ich prakryt, teraz musiałem się nauczyć całego sanskrytu.

— A niech to cholera!

— Słucham?

— To jest nieprzetłumaczalne. Ale proszę sobie wyobrazić, że musiałabyś, pani, uczyć się ceremonialnego języka w wielkim pośpiechu, to odgadniesz, co miałem na myśli.

To chyba też ją rozbawiło.

Poleciła mi zdjąć buty i poprowadziła przez niszę... prosto w fantazję bizantyjskiego przepychu!

Nigdy dotąd żaden Ziemianin nie postawił stopy w tej sali; musiałbym o tym słyszeć. Lingwista pierwszej wyprawy, Carter, nauczył się całej gramatyki i słownictwa, które znam, przy

pomocy tylko niejakej Mary Allen (doktora medycyny), siedząc po turecku w przedpokoju.

Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, że coś takiego istnieje. Chciwie rozglądałem się dookoła. Cały wystrój pomieszczenia świadczył o wyrafinowanym zmyśle estetycznym jego twórców. Będziemy musieli całkowicie zmienić naszą ocenę kultury marsjańskiej.

Po pierwsze, strop był sklepiony i wykończony kroksztynami, po drugie, były tam boczne kolumny ze żłobkowaniami, po trzecie – do diabła! To miejsce było ogromne! Nikt by się tego nie domyślił, patrząc na nie z zewnątrz.

Pochyliłem się, chcąc dokładniej przyjrzeć się złoconemu ażurowi na obrzędowym stole. M'Cwyie zdradzała leciutkie oznaki samozadowolenia z powodu stopnia mojego zainteresowania, ale mimo wszystko nie chciałem przed nią udawać.

Stół był zarzucony księgami.

Palcem stopy wyczułem mozaikę na posadzce.

— Czy całe wasze miasto znajduje się w obrębie tego jednego budynku?

— Tak, ciągnie się daleko w głąb tej góry.

— Rozumiem – odparłem, choć niczego nie rozumiałem. Nie mogłem jednak poprosić jej o oprowadzenie, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Podeszła do ustawionego przy stole stołeczka.

— Czy możemy już dać początek twojej przyjaźni z ceremonialnym językiem?

Próbowałem sfotografować tę salę oczami, wiedząc

jednocześnie, że prędzej czy później muszę tu jakoś przemieścić aparat.

— Tak, proszę, wprowadź mnie. – Usiadłem.

Od tej pory przez następne trzy tygodnie, ilekroć zmrużyłem oczy, próbując zasnąć, widziałem przed sobą ścigające się mróweczki alfabetu. Natomiast kiedy podnosiłem wzrok na niebo, okazywało się ono bezchmurnym oceanem turkusowego falującego literami. Pracując, piłem litrami kawę, a w przerwach koktajle z benzedryny i szampana.

M'Cwyie uczyła mnie przez dwie godziny każdego ranka i czasami jeszcze dwie po południu. Pozostałe czternaście godzin pracowałem sam od chwili, gdy osiągnąłem poziom, przy którym mogłem samodzielnie posuwać się naprzód.

A w nocy winda czasu przenosiła mnie na najniższe piętra.

Znów miałem sześć lat i uczyłem się hebrajskiego, greki, łaciny i aramejskiego. Miałem dziesięć i zaglądałem ukradkiem do *Iliady*. Kiedy mój tato nie szerzył posłannictwa o ogniu piekielnym i braterskiej miłości, uczył mnie pojmować Słowo w oryginale.

Boże! Jest tak wiele oryginałów i takie mnóstwo słów! Kiedy miałem dwanaście lat, zacząłem mu wytykać drobne różnice między tym, co głosił, a tym, co czytałem.

Fundamentalistyczny zapał, z jakim mi odpowiadał, nie dopuszczał najmniejszej dyskusji. To było gorsze od bicia. Trzymałem potem buzię na kłódkę i nauczyłem się doceniać poezję Starego Testamentu.

— Boże, wybacz! Tato, wybacz! Tak nie mogło być! To niemożliwe...

W dniu, kiedy chłopiec ukończył szkołę średnią z wyróżnieniami z francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego i łaciny, tata Gallinger oświadczył swojemu czternastoletniemu, przypominającemu wysokiego stracha na wróble synowi, że pragnie, aby ten został pastorem. Pamiętam, jak wykrętnie ów syn odpowiadał.

— Sir – poprosił – chętnie bym przez rok pouczył się samodzielnie, a potem studiował wstęp do teologii na jakimś uniwersytecie. Mam wrażenie, że jestem nieco za młody, żeby iść tak od razu do seminarium.

Głos Boga:

— Lecz posiadasz dar języków, mój synu, i możesz głosić ewangelię wśród wszystkich narodów z wieży Babel. Urodziłeś się misjonarzem. Twierdzisz, że jesteś zbyt młody, lecz czas pędzi jak trąba powietrzna. Zaczynając wcześnie, będziesz mógł cieszyć się dodatkowymi latami służby Bożej.

Te dodatkowe lata służby były niczym dodatkowe rzemienie dokładane do bicia wiele razy smagającego moje plecy. Nie potrafię obecnie przywołać w myślach jego twarzy, nigdy zresztą nie umiałem. Może dlatego, że wówczas zawsze się bałem na nią spojrzeć.

Lata później, kiedy umarł i leżał wystawiony na katafalku – w czerni, pośród kwiatów, łkających parafian, modłów, czerwonych twarzy, chusteczek, dłoni poklepujących moje ramiona, pocieszycieli o uroczystrych twarzach – spojrzałem na niego wtedy i nie poznałem go.

Spotkaliśmy się na dziewięć miesięcy przed moim urodzeniem, ten obcy człowiek i ja. Nigdy nie był okrutny,



owszem surowy, wymagający, odnoszący się z pogardą do ułatwiania sobie życia, ale nigdy okrutny. Był dla mnie również matką i braćmi i siostrami. Prawdopodobnie ze względu na nazwę pozwolił mi na trzy lata nauki w Świętym Janie i nigdy się nie dowiedział, jakie to w rzeczywistości liberalne i zachwycające miejsce.

Ja jednak nigdy go nie znałem, tego mężczyzny na katafalku, który niczego się teraz nie domagał. Nie musiałem już głosić słowa Bożego. Teraz jednak chciałem, tyle że w inny sposób. Pragnąłem głosić przesłanie, którego nigdy nie ośmieliłbym się wypowiedzieć, dopóki on żył.

Jesienią nie powróciłem już na ostatni rok studiów. Otrzymałem niewielki spadek, musiałem jednak pokonać pewne trudności, żeby z niego korzystać, jako że nie ukończyłem jeszcze osiemnastu lat. Udało mi się wszakże.

W końcu zamieszkałem w Greenwich Village.

Nie zostawiając swojego adresu żadnym dobrze życzącym mi parafianom, zająłem się pisaniem wierszy i samodzielną nauką japońskiego i hindustani. Zapuściłem dziką brodę, piłem kawę z ekspresu i uczyłem się grać w szachy. Chciałem wypróbować kilka innych dróg do zbawienia.

Następnym etapem były dwa lata w Indu z Korpusem Pokoju. Ten okres wyleczył mnie z buddyzmu oraz zaowocował lirykami *Fujarki Kriszny*, które przyniosły mi nagrodę Pulitzera.

Potem wróciłem do Stanów po swój stopień magisterski, napisałem pracę dyplomową z lingwistyki i zebrałem kolejne nagrody.

Wreszcie pewnego dnia nasz statek poleciał na Marsa.

Siadając po powrocie w swoim ognistym gnieździe w Nowym Meksyku, miał na pokładzie nowy język – fantastyczny, egzotyczny i górujący nad naszym pod względem estetycznym. Kiedy nauczyłem się wszystkiego, co było o nim wiadomo, i napisałem swoją książkę, stałem się sławny w nowych kręgach.

Usłyszałem „Jedź, Gallinger. Zanurz swoje wiadro w studni i przywieź nam łyk Marsa. Jedź, naucz się tamtego świata, lecz zachowaj rezerwę, poruszaj się po nim delikatnie jak Auden i podaj nam ich dusze w swoich strofach”.

W ten sposób przybyłem do świata, gdzie słońce przypomina zaśniedziały miedziak, wiatr chłoczce jak bat, dwa księżycy odgrywają wyścigi podrasowanych samochodów, a piekielny piach przyprawia oczy o palące swędzenie, ilekroć na niego spojrzysz.

Podniosłem się z koi, porzucając na razie łamańce językowe, i przeszedłem do wyjścia przez mroczniejącą kabinę. Pustynia wyglądała teraz jak dywan bezkresnego oranżu wybrzuszony wpychanymi pod niego od wieków zmiotkami.

— Ja obcy, nieustraszony... to jest ten łąd... który kazałem stworzyć!

Roześmiałem się.

Złapałem już język ceremonialny za ogon, albo za nasadę, jeśli chcecie przenośni zarówno anatomicznej, jak i poprawnej.

Okazało się, że język ceremonialny i codzienny nie różnią się aż tak bardzo, jak mi się z początku wydawało. Na tyle znałem jeden, żeby pomogło mi to przedrzeć się przez mroczne reguły drugiego. Na pamięć wykułem gramatykę i wszystkie części występujące czasowniki nieregularne. Słownik, który tworzyłem,

rósł każdego dnia jak tulipan i już niedługo powinien zakwitnąć. Za każdym razem, kiedy odtwarzałem taśmy, jego łodyga się wydłużała.

Teraz nadszedł czas, żeby wystawić na próbę moją inteligencję, zrobić prawdziwy użytek z pobranych lekcji. Celowo odmawiałem sobie do tej pory pogrążenia się w głównych tekstach, czekałem, aż będę mógł je w pełni docenić. Czytałem drobne komentarze, fragmenty wierszy i kronik historycznych. We wszystkim, z czym się zapoznałem, jedna rzecz wywarła na mnie ogromne wrażenie. Marsjanie pisali o rzeczach konkretnych – skałach, piasku, wodzie, wiatrach, a treść przekazywana w tych podstawowych symbolach była niezwykle pesymistyczna. Skojarzyło mi się to z pewnymi tekstami buddyjskimi, ale jeszcze bardziej przypominało niektóre części Starego Testamentu. Szczególnie Księgę Eklezjastesu.

Więc niech to będzie ona. Zarówno nastrój, jak i słownictwo były tak podobne, że będzie to doskonałe ćwiczenie. Coś jak przełożenie Poe'go na francuski. Nigdy się nie nawrócę na drogę Malanna, lecz pokażę im przynajmniej, że Ziemianie snuli niegdyś takie same rozmyślenia, odczuwali podobnie.

Włączyłem lampę nad biurkiem i wśród moich książek zacząłem szukać Biblii.

*Marność nad marnościami, powiada Kohelet, marność nad marnościami – wszystko marność.*

*Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu.*

Moje postępy najwyraźniej zdumiewały M'Cwyie. Zerkała na mnie ponad blatem stołu jak Inny Sartre'a. Przeglądałem właśnie

rozdział w Księdze Locara. Nie podnosiłem wzroku, lecz czułem wyraźnie, jak jej oczy zarzucają ciasną sieć na mą głowę, ramiona i szybko poruszające się dłonie. Przewróciłem kolejną stronicę.

Czyżby badała ciężar sieci, oceniając wielkość połowu? Ale po co? Księgi nic nie mówiły o rybakach na Marsie, a już z pewnością nie o mężczyznach. Głosiły natomiast, że pewien bóg imieniem Malann splunął albo zrobił coś równie obrzydliwego (zależnie od wersji, którą się czytało), zapoczątkowując życie jako chorobę materii nieorganicznej. Napisano tu, że ruch stanowił jego pierwszą zasadę, a taniec był jedyną usankcjonowaną odpowiedzią w stosunku do nieorganicznej, jakoś tańca jego uzasadnieniem... a miłość jest chorobą materii nieorganicznej. Materii nieorganicznej?

Potrząsnąłem głową. Niemal już zasnąłem.

— M'narra.

Wstałem i przeciągnąłem się. Jej oczy omiatały mnie teraz z wyraźną już natarczywością, więc odwzajemniłem to spojrzenie, i spuściła wzrok.

— Zmęczyłem się i chciałbym chwilę odpocząć. Niewiele spałem tej nocy – wyjaśniłem.

Skinęła głową. Jak sam ją nauczyłem, to ziemski symbol słowa „tak”.

— Chcesz odpocząć i zobaczyć pełną realizację doktryny Locara?

— Słucham?

— Czy chcesz zobaczyć taniec Locara?

— Och. – Ten ich okrężny sposób wyrażania jest chyba gorszy

niż w Korei! – Tak! Oczywiście. Kiedykolwiek będzie miał miejsce, z radością to obejrzę. Tymczasem – ciągnąłem – miałem zamiar zapytać cię, czy mógłbym zrobić trochę zdjęć?

— To będzie miało miejsce teraz. Siadaj. Odpręż się, a ja zawołam muzyków.

Wyszła pośpiesznie przez drzwi, za którymi nigdy jeszcze nie byłem.

No cóż, taniec jest tu najwyższym przejawem sztuki, jak twierdził Locar, nie wspominając już o Havelocku Ellisie, a ja miałem za chwilę zobaczyć, jak według ich od wieków nieżyjącego filozofa powinno się go wykonywać. Przetarłem oczy i zrobiłem kilka skłonów, dotykając palców u nóg. Poczułem tętnienie krwi w głowie i wziąłem parę głębokich oddechów. Ponownie się schyliłem, a wtedy wszczął się jakiś ruch przy drzwiach. Trio, które weszło wraz z M’Cwyie, musiało chyba pomyśleć, że szukam zgubionych kulek do gry, skoro pochylałam się pod takim kątem. Uśmiechnąłem się blado i wyprostowałem, przy czym moja twarz płonęła czerwienią nie tylko z wysiłku. Nie spodziewałem się ich aż tak szybko.

Nagle, w tym miejscu jego największej popularności, znów pomyślałem o Havelocku Ellisie.

Mała czerwonowłosa laleczka, owinięta na wzór san przejrzystym kawałkiem marsjańskiego nieba, spojrzała ze zdumieniem w górę, zupełnie jak dziecko patrzące na kolorową flagę zawieszoną wysoko na maszcie.

— Cześć – powiedziałem (oczywiście w ich języku).

Skłoniła się, zanim odpowiedziała. Najwyraźniej mój status się podwyższył.

— Będę tańczyć – oświadczyła czerwona rana w tej niezwykle bladej kamei będącej jej twarzą. Oczy koloru marzenia i jej sukni oderwały się od moich.

Popłynęła na środek sali.

Stojąc tam jak postać na etruskim fryzie, pogрузzyła się w medytacji albo kontemplacji deseni na posadzce.

Czyżby ta mozaika coś symbolizowała? Spojrzałem na nią z uwagą. Jeśli tak, to jakoś nie potrafiłem tego dostrzec. Mogła stanowić atrakcyjną posadzkę łazienki lub patio, lecz nie widziałem w niej nic poza tym.

Dwie pozostałe Marsjanki, podobnie jak M’Cwyie, przypominały poplamione farbą wróbelki i były w średnim wieku. Jedna usiadła na podłodze z trzystrunowym instrumentem przypominającym nieco samisen. Druga trzymała zwykły drewniany kloc i dwie pałeczki.

M’Cwyie wzgardziła swoim stołkiem i zanim zdążyłem się zorientować, usadowiła się na podłodze. Czym prędzej pospieszyłem za jej przykładem.

Ponieważ trwało jeszcze strojenie samisenu, pochyliłem się do M’Cwyie.

— Jak ma na imię tancerka?

— Braxa – odparła, nie patrząc na mnie, i podniosła powoli lewą rękę, co miało oznaczać, że czas już zaczynać.

Struny zaczęły pulsować jak ból zęba, a od strony pniaka dobiegło tykanie, jakby odezwały się duchy wszystkich zegarów, których oni nigdy tu nie wynaleźli.

Braxa stała jak posąg z rękoma przy twarzy i łokciami uniesionymi wysoko i skierowanymi na boki.

Muzyka stała się teraz ilustracją ognia.

*Trzask, pomruk, trzask...*

Dziewczyna nie poruszyła się.

Syk przeszedł w pluśnięcia, rytm zmienił się na wolniejszy.

Teraz to była woda, najdelikatniejsza rzecz na świecie, płynąca czystą, zieloną strugą nad omszałymi kamieniami.

Nadal się nie poruszyła.

Ghssanda... i pauza.

Potem nadeszło drżenie wiatru, tak leciutkie, że z początku nie byłem pewien, czy to nie złudzenie. Cichutkie, delikatne, przerywane westchnienia, bardzo niepewne. Pauza, szloch i powtórzenie pierwszego dźwięku, tylko głośniejsze.

Czyżbym miał już omamy od tego ciągłego czytania, czy też Braxa drżała cała od stóp do głów?

Drżała.

Teraz zaczęła leciuteńko się kołysać. Milimetry w prawo, milimetry w lewo. Jej palce otwierały się jak płatki kwiatu, odsłaniając zamknięte oczy.

Po chwili otworzyły się i oczy. Ich spojrzenie było odległe, szkliste, przechodzące na wylot przeze mnie i przez ściany. Jej kołysanie stało się wyraźniejsze, połączone z rytmem.

*Nadciągał wiatr z pustyni, spadając na Tirelhan jak fale na tamę.*

Jej palce poruszyły się, one były podmuchami wiatru. Jej ręce – leniwe wahadła – opadły i rozpoczęły ruch z powrotem.

*Teraz nadchodził gwałtowny poryw.*

Braxa zaczęła poruszać się dookoła swojej osi, a jej ręce dołączyły do reszty ciała, teraz tylko ramiona tancerki wiły się,

kreśląc kształt ósemki.

*O wietrze! O wietrze, wołam. O dziki, enigmatyczny wietrze!  
O muzo Saint Johna Perse'a!*

Teraz oczy Braxy stanowiły nieruchome centrum wirującego wokół nich cyklonu. Głowę miała odrzuconą do tyłu, lecz wiedziałem, że żaden sufit nie odgranicza jej biernego jak u Buddy spojrzenia od wiecznych niebios. Może tylko dwa księżycy mogły na chwilę przerwać jej pogrążanie się w tej nirwanie bezludnego turkusu.

Dawno temu widziałem w Indii uliczne tancerki bogini Kali łapiące samce owadów w wirujące, kolorowe siateczki. Lecz Braxa była kimś więcej, ona była *Ramajaną* sławiącą Rame, wcielenie Wisznu, który dał ludziom taniec – świętą tancerką.

Klekot stał się teraz monotornie miarowy, a zawodzenie strun kojarzyło mi się z kłującymi promieniami słońca, których żar wysysały podmuchy wiatru. Wszystko było smutkiem – Saraswati i Mary, i dziewczyna imieniem Laura. Skądś dobiegał mnie dźwięk sitara, patrzyłem, jak ten posąg budzi się do życia, i wdychałem boskie natchnienie.

Byłem znów Rimbaudem z jego haszyszem, Baudelaire'em z laudanum, Poem, DeQuinceyem, Wilde'em, Mallarmem i Aleisterem Crowleyem. Byłem przez ułamek sekundy swoim ojcem na ciemnej ambonie i w jeszcze ciemniejszym stroju, a hymny i sapanie organów przeobraziły się w pogodny wietrzyk.

Ona była teraz wirującą chorągiewką na dachu, pierzastym krucyfiksem unoszącym się w powietrzu, sznurem do bielizny, na którym jedna jasna część ubioru powiewała równolegle do gruntu. Ramię miała obnażone, a prawa pierś poruszała się w



górze i w dół jak księżyc na niebie. Czerwony sutek ukazywał się na moment ponad fałdą materiału i znikał. Muzyka brzmiała teraz tak formalnie jak dysputa Hioba z Panem Bogiem. Jej taniec był odpowiedzią Boga.

Po jakimś czasie tempo melodii uległo zwolnieniu, uspokoiło się, a ruchy tancerki dopasowały się do niego. Jej strój jak żywy ześliznął się w bardziej stateczne fałdy, tak jak był ułożony na początku.

Opadła nisko, jeszcze niżej, do samej posadzki. Jej głowa spoczęła na uniesionych kolanach. Przestała się poruszać.

Zapanowała cisza.

Ból w barku uświadomił mi, w jakim napięciu przez cały czas siedziałem. Czuję wilgoć pod pachami, a po bokach płynęły mi strumyczki potu. Co należy teraz zrobić? Klaskać?

Spojrzałem kątem oka na M'Cwyie. Uniosła prawą dłoń.

Dziewczyna, jakby wyczuła to telepatycznie, wstrząsnęła się cała i podniosła. Muzycy także wstali, a potem M'Cwyie.

Poszedłem za ich przykładem i poczułem, że ścierpła mi lewa noga.

— To było piękne – powiedziałem, czując, jak idiotycznie to brzmi.

W odpowiedzi usłyszałem trzy różne „Dziękuję” wypowiedziane ceremonialnym językiem.

Potem nastąpiło barwne zamieszanie i po chwili zostałem znowu sam z M'Cwyie.

— To był sto siedemnasty z dwóch tysięcy dwustu dwudziestu czterech tańców Locara.

Spojrzałem na nią.

— Niezależnie od tego, czy Locar miał rację, czy nie, ułożył piękną odpowiedź dla materii nieorganicznej.

Uśmiechnęła się.

— Czy tańce twojego świata są podobne?

— Niektóre tak. Przyszły mi na myśl, kiedy oglądałem Braxę, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego.

— Ona jest bardzo dobra – wyjaśniła M’Cwyie. – Zna wszystkie tańce.

Na jej twarzy znów pojawił się cień tamtego wyrazu, który mnie przedtem zaniepokoił... Po chwili zniknął bez śladu.

— Muszę się teraz zająć swoimi obowiązkami. – Podeszła do stołu i zamknęła księgi. – M’narra.

— Do widzenia. – Włożyłem buty.

— Do widzenia, Gallinger.

Wyszedłem na zewnątrz, wsiadłem do dżipstera i ruszyłem z rykiem przez wieczór ku nocy, mając za plecami łopocące skrzydła wzburzonej pustyni.

---

## II

---

Zamknąłem właśnie drzwi za Betty, która wychodziła ode mnie po krótkiej dyskusji na temat gramatyki, kiedy usłyszałem głosy w korytarzu. Ponieważ mój wentylator był lekko uchylony, stanąłem przy nim i bezwstydnie podsłuchiwałem.

Najpierw odezwał się pikantny dyszkant Mortona: — Nigdy nie zgadniecie! Przed chwilą powiedział do mnie „Cześć”.

— Hramm! – To był wybuch z potężnych płuc Emory’ego.

— Albo się powoli stacza, albo stałeś mu na drodze i chciał, żebyś się przesunął.

— Pewnie po prostu mnie nie poznał. Wydaje mi się, że on w ogóle nie śpi, od kiedy zajął się tym językiem. W zeszłym tygodniu miałem nocną zmianę i co noc, kiedy o trzeciej mijalem jego drzwi, słyszałem chodzący magnetofon. A o piątej, gdy kończyłem, on nadal się tym zajmował.

— Ten chłop naprawdę ciężko pracuje – przyznał niechętnie Emory. – Sądzę nawet, że coś bierze, żeby nie zasnąć. Ma ostatnio takie szkliste oczy. Chociaż może to normalne u poety.

Betty także tam stała, gdyż w tej chwili usłyszałem jej głos: — Niezależnie od tego, co o nim myślicie, zebrał przez trzy tygodnie tyle materiału, że minie rok, zanim się tego nauczę. A przecież ja jestem lingwistką, nie poetą.

Morton musiał najwyraźniej ostrzyć sobie zęby na jej krowie wdzięki, bo tylko tym mogę wytłumaczyć fakt, że powiedział to,

co powiedział: — Kiedy jeszcze byłem na uniwersytecie – zaczął – wybrałem kurs współczesnej poezji. Czytaliśmy sześciu autorów: Yeatsa, Pounda, Eliota, Crane’a, Stevensa i Gallingera. Ostatniego dnia semestru, kiedy nasz profesor był w krasomówczym nastroju, powiedział: „Te sześć nazwisk jest wpisanych w nasze stulecie i żadne bramy piekła ani krytyki ich nie zwyciężą”. Ja osobiście – ciągnął – uważałem jego *Fujarki Kriszny* i *Madrygały* za wspaniałe utwory. Czuję się zaszczycony, że wybrano mnie do składu ekspedycji, w której on zamierzał wziąć udział. Tymczasem wypowiedział do mnie może ze trzydzieści słów, od kiedy go poznałem – zakończył.

Odezwała się obrona:

— Czy nigdy nie przyszło wam na myśl, że on pod pozorami, które stwarza, może być nieśmiały? Poza tym był dzieckiem przedwcześnie dojrzałym i zapewne nigdy nie miał szkolnych przyjaciół. Jest wrażliwy i zamknięty w sobie.

— Wrażliwy? Nieśmiały? – Emory niemal się zadławił. – Ten facet jest dumny jak Lucyfer i na dodatek jest chodzącym automatem do obrażania. Naciskasz guzik „Cześć” albo „Miłego dnia”, a on w odpowiedzi gra ci na nosie. To już u niego odruch.

Wymienili jeszcze kilka takich miłych uwag i rozeszli się. Dzięki, Morton, ty mały, pryszczaty, wychowany przez najlepsze uczelnie koneserze. Ja nigdy nie kończyłem kursu ze swojej poezji, ale cieszę się, że ktoś coś takiego powiedział. Bramy piekła. Świetnie. Może modły taty zostały gdzieś wysłuchane i jestem teraz w końcu misjonarzem.

Tylko że...

Tylko że misjonarz musi mieć coś, na co chce nawrócić ludzi.

Ja mam swój prywatny model estetyki i zapewne wydziela on gdzieś etyczne produkty uboczne. Gdybym jednak kiedykolwiek miał jakieś prawdy do głoszenia, chociażby w swoich wierszach, to na pewno nie zadawałbym sobie trudu przekazywania ich takiej niższej formie życia jak ty. Jeśli uważasz mnie za zarozumiałego durnia, to jestem również snobem i nie widzę dla ciebie miejsca w moim raju – to teren prywatny, gdzie Swift, Shaw i Petroniusz przychodzą na obiad.

Och, co to są za uczytry Trymalchiona!

Z tobą kończymy przy zupie, Morton!

Odszedłem od wentylatora i usiadłem za biurkiem. Miałem ochotę coś napisać. Eklezjastes może tej nocy wziąć sobie wolne. Pragnąłem napisać wiersz, wiersz o sto siedemnastym tańcu Locara. Chciałem, żeby mówił o róży obracającej się do światła, ściganej przez wiatr, chorej, podobnej różom Blake'a, umierającej...

Znalazłem ołówek i zacząłem.

Kiedy skończyłem, byłem zadowolony. Nie było to wielkie dzieło – przynajmniej nie większe, niż trzeba – w końcu ceremonialny marsjański nie był moją najmocniejszą stroną. Szukając słów, przełożyłem go na angielski rymem niedokładnym. Być może umieszczę go w swojej następnej książce. Zatytułowałem go *Braxa*.

*W krainie wiatru i czerwieni, gdzie lodowaty wieczór Czasu mrozi mleko w piersi Życia, gdy dwa księżycy nad głową – pies i kot w alejach snu – wiecznie szarpia i rozdrapują mój wzlot...*

*Ten ostatni kwiat obraca płonącą główkę.*

Odłożyłem wiersz i poszukałem jakiegoś barbituranu. Nagle poczułem się zmęczony.

Następnego dnia pokazałem swoje dzieło M'Cwyie, która przeczytała wiersz kilkakrotnie, bardzo powoli.

— Jest śliczny – powiedziała w końcu – ale użyłeś trzech słów ze swojego języka. „Kot” i „pies”, jak mi się zdaje, to nieduże zwierzątka mające we krwi wzajemną nienawiść. Nie wiem jednak, co to jest „kwiat”.

— Och, nigdy się nie natknąłem na wasze słowo oznaczające kwiat – odparłem. – Miałem właściwie na myśli ziemski kwiat, różę.

— Jak on wygląda?

— No, przeważnie ma jasnoczerwone płatki. To właśnie miała oznaczać „płonąca główka”, oczywiście na jednym poziomie, gdyż chciałem też, żeby kojarzyła się z gorączką, rudymi włosami i ogniem życia. Jeśli chodzi o różę, to ma ona kolczastą łodygę, zielone liście i wyraźny, przyjemny zapach.

— Chciałabym ją kiedyś zobaczyć.

— Przypuszczam, że to się da załatwić. Sprawdzę.

— Bardzo bym cię prosiła. Jesteś – tu użyła słowa oznaczającego proroka lub religijnego poetę – jak Izajasz czy Locar, a twój wiersz jest naprawdę natchniony. Powiem o nim Braksie.

Oczywiście, zaprotestowałem przeciw tak wybitnemu tytułowi, ale pochlebilo mi to. Doszedłem jednocześnie do wniosku, że lepszy moment już się nie nadarzy – nadszedł odpowiedni dzień, by spytać, czy mogę wnieść tu sprzęt do mikrofilmowania. Chciałem skopiować wszystkie ich teksty, a nie

byłem w stanie przepisać ich tak szybko.

Zaskoczyła mnie, od razu wyrażając zgodę, ale następne jej słowa niemal zbiły mnie z nóg.

— Czy chciałbyś tu zamieszkać na czas, kiedy będziesz to robił? Wtedy mógłbyś pracować i w dzień, i w nocy, o takich porach, które będą ci odpowiadać, oczywiście, poza chwilami, kiedy korzystamy ze świątyni.

Skłoniłem się.

— Będę zaszczycony.

— Świetnie. W takim razie przynieś swoje urządzenia, kiedy chcesz, a my покаżemy ci twój pokój.

— Czy może być dziś po południu?

— Oczywiście.

— W takim razie pójdę teraz i wszystko przygotuję. To do popołudnia.

— Do widzenia.

Spodziewałem się, że Emory będzie robił trudności, ale nie za wiele. Wszyscy na statku palili się do oglądania Marsjan, macania Marsjan, zadawania Marsjanom pytań na temat klimatu, chorób, składu gleby, polityki i grzybów (nasz botanik miał hyzia na punkcie grzybów, lecz poza tym był fajnym facetem) – a dotąd tylko czterem czy pięciu udało się z nimi faktycznie spotkać. Załoga zajmowała się głównie wykopaliskami na obszarze wymarłych miast i ich wzgórz świątynnych. Mieliśmy tu ściśle określone zasady postępowania, a tutejsi mieszkańcy byli równie obraźliwi jak dziewiętnastowieczni Japończycy. Przewidywałem więc, że nie natknę się na zbyt wielki opór, i miałem rację. Prawdę mówiąc, odniosłem

wrażenie, że wszyscy raczej cieszą się z mojej wyprowadzki.

Wpadłem do sali hydroponicznej, żeby zamienić parę słów z naszym mistrzem od grzybów.

— Cześć, Kane. Udało ci się już wyhodować jakiegoś muchomora w piasku?

Kichnął w odpowiedzi. Kane stale kicha; może jest uczulony na rośliny.

— Cześć, Gallinger. Nie, nie udało mi się z muchomorami, ale zajrzyj za garaż, kiedy tam będziesz. Przyjęło mi się kilka kaktusów.

— Wspaniale – stwierdziłem.

Doktor Kane był chyba jedynym moim przyjacielem podczas tej wyprawy, nie licząc Betty.

— Słuchaj, przyszedłem poprosić cię o przysługę.

— Tylko powiedz.

— Chciałbym różę.

— Co takiego?

— Różę. No wiesz, śliczną czerwoną American Beauty – z kolcami i ładnym zapachem.

— Nie sądzę, żeby się przyjęła w tej glebie. Psik! Psik!

— Nie zrozumiałeś mnie. Ja nie chce jej hodować, tylko dostać kwiat.

— Musiałbym użyć cieplarni. – Podrapał się po pozbawionej włosów czaszce. – Nawet przy dość intensywnej hodowli zajęłoby to ze trzy miesiące, zanim pojawią się kwiaty.

— Zrobisz to?

— Pewnie, jeśli chcesz poczekać.

— Tak. Trzy miesiące to będzie akurat przed naszym odlotem.



– Popatrzyłem na zbiorniki ze szlamem i tace z kiełkami.

— Przeprowadzam się dziś do Tirelhanu, ale cały czas będę krążył w tę i z powrotem, tak że znajdę się tutaj, kiedy zakwitnie.

— Przenosisz się tam? Moore mówi, że oni są bardzo zamkniętą społecznością.

— Więc chyba uznali mnie za swojego.

— Na to wygląda, chociaż nadal nie wiem, jakim cudem nauczyłeś się ich języka. No, co prawda, ja miałem kłopoty nawet z francuskim i niemieckim, kiedy robiłem doktorat. Niemniej jednak słyszałem w zeszłym tygodniu, jak Betty demonstrowała ich mowę podczas lunchu, i brzmiało to dla mnie niczym jakiś dziwny hałas. Według Betty, mówienie tym językiem to jak rozwiązywanie krzyżówki w „Timesie” jednocześnie z próbą naśladowania śpiewu ptaków.

Roześmiałem się i przyjąłem papierosa, którym mnie poczęstował.

— Jest trochę skomplikowany – przyznałem. – Ale wyobraź sobie, że natknąłeś się tu na całą nową klasę grzybów, śniłbyś o tym przez całą noc.

Oczy mu rozbłysły.

— To byłoby coś! Ale wiesz, może się tak zdarzyć.

— Może natrafisz.

Zaśmiał się cicho, kiedy szliśmy w stronę drzwi.

— Jeszcze dziś zajmę się twoimi różami. Nie przemęczaj się tam.

— Pewnie. Dzięki.

Tak jak mówiłem – stuknięty na punkcie grzybów, ale poza tym fajny facet.

Moje lokum w cytadeli Tirelhanu przylegało bezpośrednio do świątyni i znajdowało się po jej wewnętrznej stronie, nieco na lewo. Było wspaniałą odmianą po ciasnej kabinie na statku. Przekonałem się też z zadowoleniem, że kultura marsjańska rozwinęła się na tyle, by odkryć konieczność położenia materaca na deskach łóżka. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się ono dostatecznie długie, żebym się w nim zmieścił.

Rozpakowałem się więc i zrobiłem szesnaście 35-milimetrowych ujęć świątyni, zanim zająłem się księgami. Potem robiłem fotostaty, aż miałem już zupełnie dosyć przewracania stronic, których treści nie znałem. Zająłem się więc tłumaczeniem dzieła historycznego.

*W trzydziestym siódmym roku procesu Cillena przyszyły deszcze, co stało się okazją do świętowania, jako że było to rzadkie i nieprzewidziane wydarzenie powszechnie uważane za błogosławieństwo.*

*Okazało się jednak, że z nieba nie pada życiodajne nasienie Malanna, lecz krew kosmosu tryskająca z tętnicy. I tak oto nadeszły nasze ostatnie dni. Końcowy taniec miał się rozpocząć.*

*Deszcze przyniosły plagę, która nie zabija, a ostatnie pas Locara rozpoczęły się do wtóru ich bębnienia...*

Zastanawiałem się, co, u diabła, Tamur mógł mieć na myśli, bo był historykiem i prawdopodobnie trzymał się faktów. To nie była ich apokalipsa.

A może jednak...?

Czemu nie, rozmyślałem. Garstka ludzi w Tirelhanie była pozostałością jakiejś wysoce rozwiniętej kultury. Mieli swoje

wojny, ale nie holokaust, mieli naukę, lecz nie przemysł. Plaga, plaga, która nie zabija...? Czy mogła ich wyniszczyć? Jak, skoro nie była śmiertelna?

Czytałem dalej, ale nie było informacji o rodzaju tej katastrofy. Przewracałem stronicę, prześlizgując się po nich wzrokiem, lecz nie znalazłem tego, czego szukałem.

M’Cwyie! M’Cwyie! Nie ma cię w pobliżu, kiedy najbardziej cię potrzebuję.

Czy byłoby nietaktem wyjść i jej poszukać? Doszedłem do wniosku, że tak. Na mocy milczącego porozumienia miałem się ograniczyć do przebywania w pokojach, które mi pokazano. Muszę cierpliwie poczekać, żeby się dowiedzieć.

Przeklinałem więc długo i głośno w różnych językach, raniąc niewątpliwie święte uszy Malanna w jego własnej świątyni. Ponieważ jednak nie uznał za stosowne położyć mnie trupem na miejscu, postanowiłem zakończyć na dziś pracę i przyłożyć głowę do poduszki.

Musiałem spać już od kilku godzin, kiedy Braxa weszła do mojego pokoju z malutką lampką. Obudziła mnie, ciągnąc za rękaw piżamy. Powiedziałem jej „Cześć”. Cóż więcej mogłem powiedzieć.

— Cześć.

— Przyszłam – oświadczyła – posłuchać wiersza.

— Jakiego wiersza?

— Twojego.

— Och.

Ziewnąłem, usiadłem i wykonałem szereg czynności, które zazwyczaj robią ludzie obudzeni w środku nocy, żeby czytać

poezję.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony, ale czy godzina nie jest trochę nieodpowiednia?

— Mnie to nie przeszkadza – zapewniła.

Zamierzam kiedyś napisać artykuł dla „Journal of Semantics” zatytułowany *Ton głosu – niewystarczający nośnik ironii*. Niemniej jednak zostałem już obudzony, więc sięgnąłem po szlafrok.

— Co to za zwierzę? – spytała, wskazując jedwabnego smoka na wyłogu.

— Mityczne – odparłem. – Posłuchaj. Jest późno, a ja jestem zmęczony. Sporo się dziś rano napracowałem. M’Cwyie może źle to zrozumieć, jeśli się dowie, że tu byłaś.

— Źle zrozumieć?

— Wiesz cholernie dobrze, o co mi chodzi! – Po raz pierwszy miałem okazję użyć marsjańskiego przekleństwa i nie odniosło skutku.

— Nie – odparła. – Nie wiem.

Była przerażona jak psiak, na którego się krzyczy, a on nie wie za co.

Zmięknęłam. Jej czerwony płaszcz był doskonale dobrany do koloru włosów i ust, a teraz te usta drżały.

— No, już dobrze, nie chciałem cię zdenerwować. W moim świecie istnieją pewne obyczaje mające związek z ludźmi różnej płci znajdującymi się tylko we dwójkę w sypialni i nie związanymi małżeństwem. Hm, to znaczy rozumiesz, co mam na myśli?

— Nie.

Miała oczy koloru jadeitu.

— No więc rodzaj. No... seks. I już.

W jadeitowych lampkach zapalił się płomień.

— Och, masz na myśli robienie dzieci?

— Tak. Właśnie to! Dokładnie.

Zacząła się śmiać. Po raz pierwszy usłyszałem tutaj czyjś śmiech. Brzmiał tak, jakby skrzypek w krótkich odstępach uderzał lekko smyczkiem w najwyższe struny. Nie był to zbyt przyjemny dźwięk, tym bardziej że śmiała się zbyt długo.

Kiedy wreszcie skończyła, przysunęła się do mnie.

— Teraz sobie przypomniałam – stwierdziła. – Kiedyś też mieliśmy takie zasady. Pół procesu temu, kiedy byłam dzieckiem, mieliśmy takie zasady. Ale teraz – miałem wrażenie, że znów wybuchnie śmiechem – nie są już potrzebne.

Moje myśli pędziły jak taśma magnetofonowa puszczana z potrójną prędkością. Pół procesu! Półprocesuprocessuprocessu! Nie! Tak! Pół procesu to były dwieście czterdzieści trzy lata. Dość czasu, żeby się nauczyć dwóch tysięcy dwustu dwudziestu czterech tańców Locara.

...Dość czasu, żeby się zestarzeć, jeśli jesteś istotą ludzką.

...To znaczy ludzką według modelu ziemskiego.

Spojrzałem na nią ponownie, na jej postać tak jasną jak biała królowa w komplecie szachów z kości słoniowej. Ona była istotą ludzką, mógłbym na to postawić duszę – żywą, normalną, zdrową. Postawiłbym swoje życie, że to kobieta, młode ciało...

Miała jednak dwieście pięćdziesiąt lat, a w takim razie M'Cwyie mogłaby być babką Matuzalema. Mile połechtala mnie myśl o ich komplementach na temat moich zdolności jako

lingwisty i poety. Te istoty wyższe mnie chwaliły!

Co jednak miała na myśli, mówiąc, że „teraz nie są już potrzebne”? Skąd to prawie historyczne zachowanie? A te dziwne spojrzenia rzucające na mnie przez M'Cwyie?

Poczułem nagle, że znalazłem się blisko odkrycia czegoś ważnego.

— Słuchaj – odezwałem się niedbałym tonem – czy to ma coś wspólnego z „plagą, która nie zabija” z kroniki Tamura?

— Tak – odparła. – Dzieci urodzone po Deszczach nie mogły już mieć dzieci i...

— I co? – pochyliłem się z napięciem naprzód, z pamięcią nastawioną na nagrywanie.

— ...a mężczyźni wcale nie mieli ochoty ich mieć.

Rzuciłem się z powrotem na poduszki. Sterylizacja całej rasy, męska impotencja po jakimś zjawisku przyrodniczym. Czyżby przez ich nędzną atmosferę przebiła się któregoś dnia wędrowna chmura radioaktywnego śmiecia, niesiona Bóg wie skąd? Na długo przedtem, zanim Shiaparelli dostrzegł kanały, które okazały się takim samym mitem jak mój smok, i zanim te „kanały” stały się punktem wyjścia do poprawnych domysłów pomimo błędnych przesłanek, Braxa była już na świecie, tańczyła tutaj, przeklęta w łonie matki od czasu, gdy ślepy Milton pisał o innym raj, również utraconym.

Znalazłem papierosa. Dobrze, że zabrałem ze sobą popielniczki. Na Marsie nigdy nie było przemysłu tytoniowego. Wódki zresztą też nie. Asceci, których spotkałem w Indiach, wydawali się rozpustnikami w porównaniu z tymi tu.

— Co to jest, ta rurka z ogniem?

— Papieros. Chcesz spróbować?

— Tak, proszę.

Usiadła koło mnie i zapaliłem dla niej jednego.

— Drażni nos.

— Tak. Wciągnij trochę do płuc, potrzyмай i zrób wydech.

Chwila ciszy

— Oooch.

Znowu milczenie. W końcu spytała.

— Czy to jest święte?

— Nie, to nikotyna – odparłem. – Prawdziwy erzac boskości.

Kolejna przerwa.

— Tylko nie proś mnie o przetłumaczenie słowa „erzac”.

— Nie będę. Mam czasami takie samo uczucie, kiedy tańczę.

— Przejdzie za chwilę.

— Powiedz mi teraz swój wiersz.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

— Poczekaj chwilę – poprosiłem. – Może będę miał coś lepszego.

Wstałem i zacząłem grzebać w swoich notatnikach, potem znów usiadłem obok niej.

— To są trzy pierwsze rozdziały Księgi Eklezjastesy – wyjaśniłem. – Jest bardzo podobna do waszych świętych ksiąg.

Zacząłem czytać.

Zdążyłem wygłosić tylko jedenaście wersetów, zanim krzyknęła.

— Proszę, nie czytaj tego! Powiedz mi jeden ze swoich wierszy!

Przerwałem i rzuciłem notatnik na pobliski stolik. Braxa trzęsa się cała, lecz nie tak, jak wtedy, kiedy tańczyła jako wiatr.

Teraz drżała od powstrzymywanych łez. Trzymała niezdarnie papierosa, jakby miała w ręku ołówek. Objąłem niezgrabnie jej ramiona.

— On jest taki smutny – szepnęła. – Jak wszyscy pozostali.

Zwinąłem więc swój umysł jak jasną wstążkę, zapakowałem go i zawiązałem na zwariowane bożonarodzeniowe kokardy, które tak uwielbiam. „Z pozdrowieniami od Niemca dla Marsjanki” – dokonałem naprędce parafrazy wiersza o hiszpańskiej tancerce. Sądziłem, że to jej sprawi przyjemność, i tak się stało.

— Oooch – powiedziała znowu. – Czy ty to napisałeś?

— Nie, ktoś o wiele lepszy ode mnie.

— Nie wierzę ci. Ty to napisałeś.

— Nie. Człowiek, który to napisał, nazywał się Rilke.

— Ale ty przełożyłeś to na mój język. Zapal jeszcze jedną zapałkę, bym mogła zobaczyć, jak ona tańczyła.

Zrobiłem to.

— Płomienie wieczności – zamyśliła się – a ona je zdeptała „małymi, twardymi stopami”. Chciałabym tak umieć tańczyć.

— Ty jesteś lepsza od każdej Cyganki – zaśmiałem się i zdmuchnąłem zapałkę.

— Wcale nie. Ja nie potrafię tego zrobić. Czy chcesz, żebym zatańczyła dla ciebie?

Jej papieros już się dopalał, więc wyjąłem go jej z palców i odłożyłem obok swojego.

— Nie – odparłem. – Idź już do łóżka.

Uśmiechnęła się i zanim zdałem sobie sprawę, co robi, odpięła fałdę czerwieni na ramieniu.

Wszystko się zsunęło.



Z trudem przełknąłem ślinę.

— Dobrze – odparła posłusznie.

Tak więc zacząłem ją całować, gdy powiew zrzucanych ubrań zgasił lampę.

---

### III

---

Dni przypominały liście Shelleya: żółte, czerwone, brązowe, miecione gwałtownymi porywami zachodniego wiatru. Wirując, przepływały obok mnie z szelestem mikrofilmów. Zarejestrowałem już niemal wszystkie księgi. Naukowcy będą potrzebowali lat, żeby się przez nie przekopać i właściwie ocenić ich wartość. Mars spoczywał zamknięty w moim biurku.

Eklezjastes, którego porzucałem i do którego powracałem wiele razy, miał już wkrótce przemówić ceremonialnym językiem.

Pogwizdywałem sobie, ilekroć przebywałem poza świątynią. Tworzyłem dziesiątki wierszy, których kiedyś bym się wstydził. Wieczorami spacerowałem z Braxą po pustyni albo wspinaliśmy się na góry. Czasami dla mnie tańczyła, a ja z kolei czytałem jej coś długiego, napisanego daktylicznym heksametrem. Nadal sądziła, że jestem Rilkiem, a ja niemal wmówiłem sobie, że to prawda. Oto jestem i stojąc na zamku Duino, piszę jego *Elegie*.

*...Zaprawdę, to osobliwe, nie przebywać już odtąd na ziemi, wyuczone zaledwie porzucić zwyczaje, różom i innym odrębnie obiecującym rzeczom nie dawać znaczeń...*

Nie! Nigdy nie nadawajcie swoich znaczeń różom! Nie wolno! Wąchajcie je (Na zdrowie, Kane!), zrywajcie, podziwiajcie. Żyćcie tą chwilą, trzymajcie ją mocno, lecz nie żądajcie od bogów

wyjaśnień. Tak szybko przepływają liście, i już ich nie ma...

A nas nikt nigdy nie zauważał. Nikogo nie obchodziliśmy. Laura. Laura i Braxa. To się rymuje, wiecie; co prawda trochę niedokładnie. Była wysoka, chłodna, jasnowłosa (nienawidzę blondynek!), a tata wywrócił mnie podszewką na zewnątrz jak kieszeń, i miałem nadzieję, że ona pomoże mi się pozbierać. Jednak wielki, bitnikowy miotacz słów z judaszową brodą i psim przywiązaniem w oczach okazał się wspaniałą ozdobą jej przyjęć. I to było wszystko.

Jak ta maszyna mnie przeklinała w świątyni. Błuźniła Malannowi i Gallingerowi. A dziki zachodni wiatr przeleciał koło nas i coś nadciągało tuż za nim.

Uciekały nasze ostatnie dni.

Minął cały dzień, a ja nie widziałem się z Braxą. Potem noc.

I kolejna. I trzecia.

Czułem, że ogarnia mnie szaleństwo. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, jak staliśmy się sobie bliscy, jaka ona była dla mnie ważna. Pomimo tępego przekonania, że w powietrzu wisi coś niedobrego, walczyłem z chęcią wypytywania róż.

Musiałem zapytać. Nie chciałem, lecz nie miałem wyboru.

— Gdzie ona jest, M’Cwyie? Gdzie jest Braxa?

— Odeszła – usłyszałem.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Spojrzałem w te diabelsko-ptasie oczy. Na usta cisnęła mi się *anathema maranatha*.

— Muszę wiedzieć.

Patrzyła na mnie nie widzącym spojrzeniem.

— Opuściła nas. Odeszła. Przypuszczam, że w góry. A może na pustynię? To nie ma znaczenia. Co w ogóle ma znaczenie!? Taniec zbliża się do końca. Świątynia wkrótce będzie pusta.

— Dlaczego? Dlaczego odeszła?

— Nie wiem.

— Muszę się jeszcze z nią zobaczyć. Nasz odlot jest już kwestią dni.

— Przykro mi, Gallinger.

— Mnie też – odparłem i z trzaskiem zamknąłem księgę, nie wypowiadając słowa „m’narra”

Podniosłem się.

— Odnajdę ją.

Wyszedłem ze świątyni, zostawiając M’Cwyie zamienioną w siedzący posąg. Moje buty były nadal tam, gdzie je zostawiłem.

Przez cały dzień przelatywałem z rykiem silnika w górę i dół po wydmach, nie zmierzając w żadnym kierunku. Dla załogi *Aspic* wyglądało to chyba jak burza piaskowa. W końcu jednak musiałem wrócić po paliwo.

Emory z godnością wyszedł na zewnątrz.

— No dobra, doprowadź sprzęt do porządku. Wyglądasz jak obrzydliwy człowiek pyłu. Czemu urządzasz to rodeo?

— Dlaczego? Hmm... zgubiłem coś.

— Na środku pustyni? Któryś z twoich sonetów? Chyba tylko o to mógłbyś robić takie zamieszanie, nic innego nie przychodzi mi na myśl.

— Nie, do cholery! To było coś osobistego..

George kończył napełniać zbiornik paliwa. Zrobiłem ruch, żeby z powrotem wsiąść do dżipstera.

— Chwileczkę! – Złapał mnie za ramię. – Nigdzie nie pojedziesz, dopóki mi nie powiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

Mogłem siłą rozerwać jego chwyt, lecz on z kolei mógł kazać mnie wywlec za nogi, a znalazłoby się sporo chętnych do wykonania tego polecenia. Zmusiłem się więc, żeby powiedzieć powoli i cicho.

— Zgubiłem po prostu swój zegarek. Dała mi go matka i jest to rodzinna pamiątka. Zależy mi, żeby go znaleźć, zanim stąd odlecimy.

— Jesteś pewien, że nie został w twojej kabinie albo w Tirelhaniu?

— Już sprawdziłem.

— Może ktoś go schował, żeby cię wkurzyć. Wiesz, że nie jesteś najpopularniejszym facetem w okolicy.

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Myślałem o tym, ale zawsze noszę go w prawej kieszeni. Mógł wypaść, kiedy wytrząsałem się na wydmach.

Zmrużył oczy.

— Przypominam sobie, że czytałem na obwolucie informację, iż twoja matka umarła przy twoim urodzeniu.

— To prawda – odparłem cierpliwie, gryząc się ponieważ w język. – Zegarek należał do jej ojca i chciała, żebym go dostał. Ojciec go dla mnie przechował.

— Phi! – prychnął. – To bardzo dziwny sposób szukania zegarka: jeżdżenie w tę i z powrotem dżipsterem.

— W ten sposób mogę dostrzec odbijające się od niego światło – rzuciłem nieprzekonująco.

— No cóż, i tak zaczyna się ściemniać – zauważył. – Nie ma już

sensu dzisiaj szukać. Narzuć plandekę na dżipster – polecił mechanikowi. Poklepał mnie po ręce. – Dalej, chodź do środka, weź prysznic i zjedz coś. Wygląda na to, że i jedno, i drugie ci się przyda.

*Drobne, tłuszczowe wypryski pod jasnymi oczyma, rzędzące włosy i irlandzki nos, głos o decybel donioślejszy niż u pozostałych...*

Jedyny powód, dla którego został dowódcą!

Stałem tam, z całego serca go nienawidząc. Klaudiusz! Szkoda, że to nie piąty akt!

Nagle jednak pociągnęła mnie myśl o prysznicu i jedzeniu. Naprawdę obu tych rzeczy strasznie potrzebowałem. Jeśli będę się upierał przy natychmiastowym powrocie, wzbudzę jeszcze większe podejrzenia.

Toteż strzepnąłem trochę piasku z rękawa.

— Masz rację. Zdaje się, że to dobry pomysł.

— Chodź, zjemy w mojej kabinie.

Prysznic okazał się błogosławieństwem, czyste drelichy były jak łaska boża, a jedzenie pachniało niebiańsko.

— Pachnie nieźle – zauważyłem.

Steki pochłanialiśmy w milczeniu. Kiedy przeszliśmy do deseru i kawy, zaproponował: – Może weźmiesz sobie wolną noc? Zostań tu i złap trochę snu.

Potrząsnąłem głową

— Jestem naprawdę zajęty. Kończę. Nie zostało już wiele czasu.

— Parę dni temu mówiłeś, że już prawie skończyłeś.

— Prawie, ale niezupełnie.

— Wspomniałeś też, że będą dziś odprawiać nabożeństwo w świątyni.

— Zgadza się. Mam zamiar pracować w swoim pokoju.

Wzruszył bez słowa ramionami. W końcu jednak się odezwał:  
– Gallinger – powiedział, a ja uniosłem wzrok, gdyż moje nazwisko oznaczało kłopoty. – To nie powinno mnie obchodzić, ale obchodzi. Betty mi powiedziała, że masz tam dziewczynę.

Zabrakło tu znaku zapytania. Było to stwierdzenie, które zawisło w powietrzu. Czekał.

Betty, ależ z ciebie suka. Krowa i suka. Do tego zazdrosna. Dlaczego nie trzymałaś nosa, gdzie jego miejsce, a oczu zamkniętych? Ust też.

— Więc? – odpowiedziałem mu stwierdzeniem ze znakiem zapytania.

— Więc moim obowiązkiem jako szefa tej wyprawy jest dopilnować, aby stosunki z tutejszymi mieszkańcami były przyjacielskie i dyplomatyczne.

— Mówisz o nich, jakby byli aborygenami – zauważyłem. – Trudno o coś dalszego od prawdy. – Wstałem. – Kiedy moje prace zostaną opublikowane, wszyscy na Ziemi poznają prawdę. Opowiem im o sprawach, których istnienia doktor Moore się nawet nie domyślał. Opowiem o tragedii skazanej rasy czekającej na śmierć, zrezygnowanej i zobojętniałej. Opowiem też, dlaczego tak jest i złamię to kamienne serca naukowców. Napiszę o tym wszystkim, a oni dadzą mi kolejne nagrody, tyle że tym razem ich nie przyjmę. Mój Boże! – wykrzyknąłem. – Oni mieli tu rozwiniętą kulturę w czasach, kiedy nasi przodkowie zabijali maczugami tygrysy szablastozębne i usiłowali odgadnąć, jak

działa ogień.

— Czy masz tam dziewczynę?

— Tak! – krzyknąłem. *Tak, Klaudiuszu! Tak, Tatusiu! Tak, Emory!* – Mam. Lecz teraz zamierzam się z tobą podzielić sensacją naukową. Oni są już wymarli. Są wysterylizowani. Kiedy przeminie to pokolenie, nie będzie ani jednego Marsjanina. – Przerwałem, po czym dodałem: – Przetrywają tylko w moich pracach, w kilku zwojach mikrofilmów i taśm. Może jeszcze w kilku wierszach o dziewczynie, która nie ma tego wszystkiego gdzieś, a potrafi wyrazić swoją skargę na tę niesprawiedliwość tylko przez taniec.

— Och – powiedział, a po chwili dodał: – Przez ostatnich parę miesięcy naprawdę zachowywałeś się inaczej. Od czasu do czasu byłeś nawet zupełnie w porządku, wiesz. Nie mogłem przestać się zastanawiać, co się dzieje. Nigdy dotąd nic nie miało dla ciebie takiego znaczenia.

Pochyliłem głowę.

— Czy to z jej powodu urządzałeś te wyścigi na pustyni?

Potaknąłem ruchem głowy.

— Dlaczego?

Podniosłem wzrok.

— Bo ona gdzieś tam jest. Nie wiem, gdzie ani dlaczego, ale muszę ją znaleźć, zanim odlecimy.

— Och – powtórzył.

Potem odchylił się na krześle otworzył szufladę i wyjął coś owiniętego w ręcznik. Rozpakował to i ukazała się oprawiona fotografia jakiejś kobiety.

— Moja żona – wyjaśnił.



Miała ładną twarz o dużych, migdałowych oczach – Jestem marynarzem, jak wiesz – zaczął. – Kiedy byłem młodym oficerem, poznałem ją w Japonii. Tam skąd pochodzę, nie pochwalają mieszanych małżeństw więc nigdy nie wzięliśmy ślubu. Lecz i tak była moją żoną. Kiedy umarła byłem akurat po przeciwnej stronie globu. Zabrali moje dzieci i nigdy odtąd ich nie widziałem. Nie udało mi się dowiedzieć, w jakim sierocińcu lub domu je umieścili. To było dawno temu i niewielu ludzi o tym wie.

— Przykro mi – odezwałem się.

— Niepotrzebnie, nie myśl o tym. Jednak – zmienił pozycję i spojrzał na mnie – jeśli chcesz ją zabrać ze sobą z powrotem, zrób to. Urwę mi za to głowę, ale i tak jestem zbyt stary, żeby jeszcze kiedyś dowodzić taką wyprawą. Rób więc swoje.

Przełknął jednym łykiem zimną kawę.

— Weź swój dzipter.

Okręcił się dookoła na krześle.

Dwukrotnie usiłowałem powiedzieć „dziękuję”, ale nie udało mi się.

Wstałem więc i wyszedłem.

— Sayonara i tak dalej – mruknął za mną.

— Mam ją, Gallinger! – dobiegł mnie krzyk. Okręciłem się na pięcie i spojrzałem na rampę.

— Kane! – Cofnąłem się parę kroków. – Co masz?

— Twoją różę.

Zaprezentował mi plastikowy pojemnik podzielony wewnątrz na dwie części. Dolna była wypełniona cieczą, w której tkwiła lodyga. W drugiej, jak kieliszek czerwonego wina w tę straszną

noc, błyszcząca wielka, świeżo rozwinięta róża.

— Dziękuję ci – powiedziałem, chowając ją pod kurtkę.

— Wracasz do Tirelhanu, co?

— Tak.

— Widziałem, że wchodzisz na pokład, więc ją przygotowałem. Rozminąłem się z tobą w kabinie kapitana. Był zajęty. Wrzasnął, że mogę cię złapać w garażach.

— Dziękuję raz jeszcze.

— Jest zaprawiona chemicznie, więc będzie w rozkwicie tygodniami.

Skinąłem głową i już mnie nie było.

Teraz w góry. Coraz dalej i dalej. Niebo było jak wiadro lodu, w którym nie unosił się żaden księżyc. Podjazd stawał się coraz bardziej stromy, a mój osiołek protestował. Smagnąłem go przepustnicą i ruszył dalej. W górę i w górę. Dostrzegłem zieloną, nieruchomą gwiazdę i poczułem, jak coś chwyta mnie za gardło. Opakowana róża uderzała o moją pierś jak dodatkowe serce. Osioł wydał długi, przeciągły ryk i zaczął się krztusić. Smagnąłem go znowu, a on padł.

Zaciągnąłem hamulec ręczny i wysiadłem. Rozpocząłem marsz.

Tak zimno, coraz zimniej. Poszła w góry. W nocy? Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Po co uciekać od obozowego ogniska, kiedy zapada noc...?

Lecz szedłem w górę, w dół, dookoła i przez każdą rozpadlinę, wąwóz i przełęcz, szedłem długimi krokami, z łatwością, której nigdy nie doświadczyłbym na Ziemi.

Niecałe dwa dni pozostały, o ukochana, a ty mnie porzuciłaś.

Dlaczego?

Wczołgiwałem się pod nawisy skalne, przeskakiwałem grzbiety, zdzierałem kolana i łokcie. Słyszałem trzask rozdzierającej się kurtki.

Nie odpowiesz mi, Malannie? Czy aż tak nienawidzisz swojego ludu? W takim razie spróbuję z kimś innym, Wisznu, ty zachowujesz świat. Zachowaj ją, proszę. Pozwól mi ją odnaleźć.

Jahwe?

Adonisie? Ozyrysie? Tammuzie? Manitu? Legbo? Gdzie ona jest?

Sięgnąłem daleko i wysoko i ześlizgnąłem się.

Kamienie zazgrzytały mi pod stopami, a po chwili już kołysałem się za krawędzią. Jakie zimne mam palce. Tak trudno trzymać się skały.

Spojrzałem w dół.

Niecałe dwanaście stóp. Puściłem się i spadłem, tocząc się jeszcze chwilę po wylądowaniu.

Wtedy usłyszałem jej krzyk.

Leżałem tam bez ruchu, patrząc w górę. Z panującej powyżej ciemności dobiegł mnie jej głos.

— Gallinger!

Leżałem nieruchomo.

— Gallinger!

Zniknęła.

Słyszałem grzechot obsuwających się kamieni, toteż wiedziałem, że schodzi gdzieś na prawo ode mnie.

Zerwałem się błyskawicznie i skuliłem w cieniu pobliskiego głazu.

Okrążyła odłam skalny i niepewnie szukała drogi wśród kamieni.

— Gallinger?

Wyszedłem ze swojej kryjówki i złapałem ją za ramiona.

— Braxo.

Znów krzyknęła, po czym zaczęła płakać, tuląc się do mnie. Po raz pierwszy słyszałem jej płacz.

— Dlaczego? – zapytałem. – Dlaczego?

Ona jednak tylko czepiała się mnie i łkała. W końcu się odezwała.

— Myślałam, że się zabiłeś.

— Może i bym się zabił – odparłem. – Dlaczego opuściłaś Tirelhan i mnie?

— Czy M’Cwyie ci nie powiedziała? A ty się nie domyśliłeś?

— Ja się nie domyśliłem, a M’Cwyie powiedziała, że nie wie.

— W takim razie skłamała. Ona wie.

— O czym? Co wie?

Trzęsa się cała i zamilkła na dłuższą chwilę. Zdałem sobie nagle sprawę, że jest ubrana tylko w swoje nędzne szmatki tancerki. Odsunąłem ją od siebie, zdjąłem marynarkę i narzuciłem jej na ramiona.

— Wielki Malannie! – krzyknąłem. – Zamarzniesz na śmierć!

— Nie – zaprzeczyła. – Nie zamarznę.

Zauważyła, jak przekładam pudełko z różą do swojej kieszeni.

— Co to jest? – zainteresowała się.

— Róża – odparłem. – I tak niewiele z niej zobaczysz w tych ciemnościach. Kiedyś przyrównałem cię do niej, pamiętasz?

— Ta... tak. Mogę ją nieść?

— Pewnie. – Włożyłem pudełeczko do kieszeni marynarki.

— No i co? Nadal czekam na wyjaśnienie.

— Naprawdę nie wiesz? – spytała.

— Nie!

— Kiedy spadły Deszcze – zaczęła – najwyraźniej wywarły wpływ tylko na mężczyzn, co wystarczyło. Ponieważ jednak... mnie najwyraźniej... to nie dotknęło...

— Och, rozumiem...

Staliśmy w milczeniu, a ja rozmyślałem.

— No dobrze, ale dlaczego uciekłaś? – spytałem w końcu. – Czy na Marsie to coś szkodzi, że jest się w ciąży? Tamur nie miał racji. Wasz lud może znów żyć.

Roześmiała się głośno i znów słyszałem te dzikie skrzypce, na których grał oszalały Paganini. Przerwałem to, zanim zaszło za daleko.

— Jakim cudem? – spytała, pocierając policzek.

— Wy żyjecie dłużej od nas. Jeśli nasze dziecko okaże się normalne, będzie to oznaczało, że nasze rasy mogą się krzyżować. Na pewno są wśród was jeszcze inne płodne kobiety. Więc dlaczego nie?

— Czytałeś Księgę Locara – odparła – i jeszcze pytasz mnie, dlaczego? Śmierć została postanowiona i przegłosowana krótko po tym, jak objawiła się w tej postaci. Lecz wyznawcy Locara wiedzieli już dużo wcześniej. Zdecydowali o tym dawno temu. „Zrobiliśmy już wszystko – stwierdzili – widzieliśmy wszystko, słyszeliśmy i poczuliśmy wszystko. Nasz taniec był piękny. Teraz niech się zakończy”.

— Chyba w to nie wierzysz.

— Nie ma znaczenia, w co ja wierzę – odparła. – M’Cwyie i Matki postanowiły, że mamy umrzeć. Ich tytuł jest teraz czystą drwiną, ale ich decyzja pozostanie w mocy. Zostało jeszcze tylko jedno proroctwo, lecz ono jest błędne. Na pewno umrzemy.

— Nie – odparłem.

— Co w takim razie?

— Wracaj ze mną na Ziemię.

— Nie.

— W porządku. W takim razie chodź ze mną teraz.

— Dokąd?

— Z powrotem do Tirelhanu. Mam zamiar porozmawiać z Matkami.

— Nie możesz! Dzisiaj odbywa się tam ceremonia!

Roześmiałem się ironicznie.

— Ceremonia dla boga, który powala was na ziemię, a potem kopie w zęby?

— Mimo wszystko on jest Malannem, a my jego ludem.

— Ty i mój ojciec doskonale byście do siebie pasowali – prychnąłem. – Jednak ja idę, a ty pójdiesz ze mną, nawet gdybym miał cię nieść; jestem znacznie większy od ciebie.

— Ale nie większy niż Ontro.

— Kim u diabła jest Ontro?

— On cię powstrzyma, Gallinger. On jest Pięścią Malanna.

---

## IV

---

Pomknąłem dżipsterem, zatrzymując się dopiero przed jedynym wejściem do świątyni, które znałem. Braxa, przyjrząwszy się róży w świetle lampki na głowie, tuliła ją teraz do łona, jakby to było nasze dziecko, i nic nie mówiła. Jej twarz przybrała bierny, śliczny wyraz.

— Czy one są teraz w świątyni? – próbowałem się dowiedzieć.

Kojarzący mi się z Madonną wyraz jej twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Powtórzyłem pytanie. Ocknęła się.

— Tak – odparła jakby nieobecna – ale nie możesz tam wejść.

— Zobaczymy.

Zakręciłem i pomogłem jej wysiąść.

Prowadziłem ją za rękę, a ona szła jak w transie. W świetle niedawno wzeszłego księżyca jej oczy lśniły tak, jak tego dnia, kiedy ją poznałem. Pstryknąłem palcami, lecz nic się nie stało. Pchnąłem więc drzwi i wprowadziłem ją do środka. Światła w sali były przytłumione. Po raz trzeci tego wieczoru usłyszałem jej krzyk: — Nie skrzywdź go, Ontro. To Gallinger!

Nigdy dotąd nie miałem okazji widzieć marsjańskiego mężczyzny, więc nie wiedziałem, czy ten jest jakimś wybrykiem natury, chociaż tak mi się wydawało.

Spojrzałem na niego. Jego pólnagie ciało było pokryte pieprzykami i guzami. Pewnie jakieś kłopoty z gruczołami.

Sądziłem dotąd, że to ja jestem najwyższym człowiekiem na tej

planecie, lecz on miał dwa metry dziesięć i sporą nadwagę. Teraz już wiedziałem, skąd się wzięło moje ogromne łoże!

— Zawróć – odezwał się. – Ona może wejść, ty nie.

— Muszę zabrać swoje rzeczy i księgi.

Wyciągnął ogromną lewą rękę. Podążyłem za nią wzrokiem. Cały mój dobytek leżał starannie ułożony w kącie.

— Muszę wejść. Muszę porozmawiać z M’Cwyie i Matkami.

— Nie możesz.

— Zależy od tego życie waszego ludu.

— Odejdź – huknął. – Wracaj do domu, do swojego ludu, Gallinger, a nas zostaw.

Moje nazwisko zabrzmiało tak obco w jego ustach, jakby należało do kogoś innego. Ile mógł mieć lat, zastanawiałem się. Trzysta? Czteryście? Czy przez całe życie był strażnikiem świątyni? Dlaczego? Przed kim jej bronił? Nie podobał mi się sposób, w jaki się poruszał. Widziałem już przedtem ludzi, którzy tak się ruszali.

— Odejdź – powtórzył.

Jeśli udoskonalili swoje sposoby walki tak dalece jak taniec albo, co gorsza, ich sztuka walki była częścią tańca, to czekały mnie kłopoty.

— Idź do środka – poleciłem Braksie. – Daj różę M’Cwyie i powiedz jej, że to ja ją przysłałem. Powiedz też, że za chwilę przyjdę.

— Zrobię, o co prosisz. Pamiętaj o mnie na Ziemi, Gallinger. Żegnaj.

Nie odpowiedziałem jej, więc minęła Ontro i weszła do sąsiedniej sali, niosąc kwiat.



— Czy teraz wyjdiesz? – spytał Ontro. – Jeśli chcesz, powiem jej, że walczyliśmy i niemal mnie pokonałeś, ale walnąłem cię tak, że straciłeś przytomność i zaniósłem cię na twój statek.

— Nie – odparłem. – Albo cię ominę, albo przejdę po tobie, ale dostanę się tam.

Opuścił się do pozycji w kucki, rozłożył ramiona.

— To grzech tknąć świętego męża – zadudnił – ale zatrzymam cię, Gallinger.

Moja pamięć była jak zaparowane okno, które nagle otwarto na świeże powietrze. Wszystko się rozjaśniło i przypomniałem sobie moment sprzed sześciu lat.

Studiowałem języki orientalne na uniwersytecie w Tokio, a to był jeden z moich dwóch w tygodniu wieczorów rekreacji. Stałem w dziewięciometrowym kręgu w Kodokanie ubrany w dzudogę przepasaną w biodrach brązowym pasem. Byłem wówczas *ik-kyu*, oczko niżej od najniższego stopnia mistrzowskiego. Brązowy romb nad moją prawą pierś miał napis po japońsku „jujitsu”, co w rzeczywistości oznaczało *atemiwa-za*, ponieważ pewna technika uderzeniowa, którą sobie wypracowałem, okazała się niewiarygodnie odpowiednia przy moim wzroście i wygrywałem za jej pomocą zawody.

Jednak nigdy nie użyłem jej naprawdę przeciw człowiekowi, a poza tym minęło sześć lat, od kiedy ćwiczyłem. Wiedziałem, że wyszedłem już z formy, lecz z całych sił starałem się skupić swój umysł *tsuki no kokoro*, w sercu księżycy, który oświetli całego Ontro.

Skądś z przeszłości dobiegł mnie głos „*Hajime!* Niech się zacznie”.

Zająłem swoją kocią pozycję *neko-ashi-dachi*, na co jego oczy dziwnie zapłonęły. Pośpiesznie starał się poprawić również swoją postawę – i wtedy uderzyłem!

Moja jedyna sztuczka!

Moja długa, lewa noga wystrzeliła jak złamana sprężyna. Dwa metry nad ziemią moja stopa zetknęła się z jego szczęką, kiedy próbował zrobić unik.

Głowa odskoczyła mu do tyłu i upadł. Z jego ust wydobył się cichy jęk. Jeśli o to chodzi, to już wszystko, pomyślałem sobie. Przykro mi, chłopie.

Kiedy chwiejnie przekraczałem jego ciało, pchnął mnie tak, że upadłem prosto na niego. Nie mogłem uwierzyć, iż zachował przytomność po moim ciosie, a co dopiero mówić o ruszaniu się. Bardzo nie chciałem robić mu jeszcze raz krzywdy.

On jednak odnalazł moje gardło i otoczył je zagiętym ramieniem, zanim zauważyłem, że te poczynania mają określony cel.

Nie! To nie może się tak skończyć!

Czułem metalową obręcz na swojej tchawicy i tętnicy szyjnej. Potem zdałem sobie sprawę, że Ontro jest nieprzytomny i działa tylko odruch wpojony przez niezliczone lata treningu. Widziałem raz coś takiego w *shiai*. Pewien człowiek zmarł, gdyż w trakcie duszenia stracił przytomność i nadal walczył, a jego przeciwnik sądził, że nieprawidłowo założył chwyt. Próbował zrobić to lepiej.

Lecz to się zdarzało niezwykle rzadko.

Wbiłem mu łokcie w zebra i gwałtownym ruchem głowy do tyłu uderzyłem go w twarz. Uścisk zelżał, lecz jeszcze za mało.

Choć niechętnie, musiałem mu złamać mały palec. Ręka zwiotczała, a ja wywinąłem się z uścisku.

Popatrzyłem, jak leży z wykrzywioną twarzą, ciężko dysząc. Całym sercem byłem z tym powalonym gigantem broniącym swoich ludzi, religii, wykonującym rozkazy. Skląłem się jak nigdy dotąd za to, że przeszedłem po nim, a nie dookoła niego.

Zatoczyłem się przez salę do niewielkiego stosiku moich ruchomości. Usiadłem na skrzynce z projektorem i zapaliłem papierosa.

Nie mogłem wejść do świątyni, zanim mój oddech się nie uspokoi i zanim nie pomyślę, co mógłbym powiedzieć.

Jak odwieść całą rasę od zbiorowego samobójstwa?

Nagle...

...Czy to możliwe? Czy to mogłoby zadziałać? Gdybym przeczytał im Księgę Eklezjastes... jeśli przeczytam im utwór znacznie wspanialszy od wszystkiego, co jakiś Locar kiedykolwiek napisał – a równie ponury i pesymistyczny – jeśli pokażę im, że nasza rasa żyła dalej, nie zważając na to, że jeden człowiek przeklął życie we wspaniałej poezji... jeśli udowodnię, że ta próżność, z której sobie drwił, wyniosła nas do nieba – czy zdołają w to uwierzyć... czy uda mi się ich przekonać, by zmienili zdanie?

Rzuciłem niedopałek na piękną posadzkę i odszukałem notatnik. Podnosząc się, czułem, jak narasta we mnie dziwna furia.

Wszedłem do świątyni, by głosić Czarną Ewangelię według Gallingera, z Księgi Życia.

Ze wszystkich stron otoczyła mnie cisza.

M'Cwyie czytała Locara; róża ustawiona przy jej prawej ręce stanowiła cel dla wszystkich oczu.

Dopóki nie wszedłem.

Setki ludzi siedziało na podłodze z bosymi stopami. Zauważyłem, że nieliczni mężczyźni byli równie mali jak kobiety.

Ja miałem swoje buty na nogach.

Idź do końca, powiedziałem sobie. Albo przegrasz, albo wygrasz – wszystko!

Tuzin staruszek siedział półkolem za M'Cwyie. To były Matki.

*Wyjałowiona ziemia, wyschnięte łona, tknięte ogniem.*

Podszedłem do stołu.

— Umierając – zwróciłem się do nich – skazałybyście swój lud na to, że nigdy nie poznałby życia, jakie wy znałyście – z jego radościami, smutkami, pełnią – lecz nie jest prawdą, że wszyscy musicie umrzeć. – Teraz zwróciłem się do tłumu: – Ci, którzy tak mówią, kłamią. Braxa o tym wie, gdyż ma urodzić dziecko.

Siedzieli przede mną jak rzędy Buddów. M'Cwyie wycofała się do półkola.

— ...moje dziecko – ciągnąłem, zastanawiając się, co mój ojciec pomyślałby o tym kazaniu. – Wszystkie zebrane tu kobiety, które są dostatecznie młode, mogą urodzić dzieci. To tylko wasi mężczyźni są bezpłodni. Jeśli pozwolicie się przebadać lekarzom z następnej ekspedycji, może się okazać, że nawet mężczyznom uda się pomóc. Lecz jeżeli nie, możecie stworzyć pary z ludźmi z Ziemi. A nie jesteśmy bynajmniej nic nieznaczącymi ludźmi z nic nieznaczącego miejsca – mówiłem dalej. – Tysiące lat temu Locar naszego świata napisał księgę głoszącą, że tak jest. Przemawiał

podobnie jak wasz Locar, lecz my nie czekaliśmy beczynnie, pomimo epidemii, wojen i głodu. Nie wymarliśmy. Zwalczyliśmy choroby jedną po drugiej, nakarmiliśmy głodnych, walczyliśmy o pokój i obecnie minął już bardzo długi okres bez wojen. Może w końcu się z nimi uporaliśmy. Nie wiem. W każdym razie przemierzyliśmy miliony kilometrów nicości. Dotarliśmy do innego świata. A nasz Locar mówił: „Po co się trudzić? Co to warte? To wszystko i tak marność”. Rzecz polega na tym – ściszyłem teraz głos, jakbym recytował poezję – że on miał rację! To jest marność; to jest duma! To pycha racjonalizmu zmusza nas stale do atakowania proroków, mistyków, bogów. To bluźnierstwo nadaje nam wielkość i podtrzymuje nas, to zdolność do bluźnierstwa cenią w nas skrycie bogowie. A prawdziwie święte imiona Boga uważane są za bluźnierstwo, jeśli wypowie się je na głos!

Zaczynałem spływać potem. Przerwałem na chwilę, czując zawrót głowy.

— Oto Księga Eklezjastesa – ogłosiłem i zacząłem:

*Marność nad marnościami, powiada Kohelet, marność nad marnościami – wszystko marność.*

*Cóż przyjdzie człowiekowi z całego trudu...*

Zauważyłem Braxę stojącą z tyłu, milczącą, skupioną.

Ciekaw byłem, o czym myśli.

A ja godziny nocy nawijałem na szpulkę jak czarną nić.

O, jak już było późno. Przemawiałem, aż nastał dzień, i nadal jeszcze mówiłem. Przeczytałem Księgę Eklezjastesa, ale ciągnąłem nauki Gallingera. Kiedy skończyłem, nadal otaczała mnie wyłącznie cisza. Rzędy Buddów nie poruszyły się przez całą

noc. Teraz po długiej chwili M'Cwyie podniosła prawą dłoń. Matki, jedna po drugiej, zrobiły to samo.

Wiedziałem, co to oznacza.

To znaczyło „nie”, nie robić, przerwać, zatrzymać.

To znaczyło, że przegrałem.

Wolnym krokiem wyszedłem z sali i opadłem bezwładnie przy swoim bagażu.

Ontro zniknął. Dobrze chociaż, że go nie zabiłem.

Po tysiącu lat pojawiła się M'Cwyie.

— Twoja praca jest zakończona – oznajmiła.

Nie poruszyłem się.

— Proroctwo się wypełniło – ciągnęła. – Mój lud się teraz raduje. Wygrałeś, święty mężu. Teraz szybko zostaw nas samych.

Zamiast umysłu miałem przekłuty balonik. Spróbowałem dopompować do niego trochę powietrza.

— Nie jestem świętym mężem – odparłem – tylko drugorzędnym poetą cierpiącym na ciężki przypadek pychy.

Zapaliłem swojego ostatniego papierosa. W końcu spytałem: – No dobrze, jakie proroctwo?

— Obietnica Locara – odparła, jakby żadne wyjaśnienia nie były tu potrzebne – że z niebios przybędzie święty mąż, by w ostatniej chwili nas uratować, jeśli wszystkie tańce Locara zostaną wykonane. Pokona Pięść Malanna i przyniesie nam życie.

— Jak?

— Tak jak z Braxą i tak jak przykład w świątyni.

— Przykład?

— Przeczytałeś nam jego słowa, równie wielkie jak słowa

Locara. Przeczytałeś nam, że „nie ma nic nowego pod słońcem”. Poza tym drwiłeś sobie z jego słów, czytając, a to było dla nas coś nowego.

— Na Marsie nigdy nie było kwiatów – dodała – lecz nauczymy się je hodować. – Jesteś Świętym Szydercą – zakończyła. – Tym Który Musi Drwić w Świątyni – wszedłeś obuty na świętą ziemię.

— Lecz przecież głosowaliście „nie” – Nie rozumiałem.

— To było „nie” dla naszego pierwotnego planu. Zamiast tego pozwoliliśmy żyć dziecku Braxy.

— Och! – Papieros wypadł mi z palców. Jak niewiele brakowało! I jak niewiele wiedziałem! – A co z Braxą?

— Pół procesu temu została wybrana do wykonywania tańców i czekania na ciebie.

— To dlaczego powiedziała, że Ontro mnie zatrzyma?

M’Cwyie stała przez dłuższy czas w milczeniu. W końcu odezwała się.

— Ona sama nigdy nie wierzyła w to proroctwo. Teraz nie jest z nią dobrze. Uciekła, bojąc się, że jednak jest prawdziwe. Kiedy je wypełniłeś i głosowaliśmy, wiedziała już na pewno.

— W takim razie ona mnie nie kocha? Nigdy mnie nie kochała?

— Przykro mi, Gallinger. To jedyna część jej obowiązku, której nie udało jej się spełnić.

— Obowiązku – powtórzyłem martwo – Obowiązkiobowiązkiowiązki wiązki! Tra-la-la!

— Kazała cię pożegnać, nie chce się już z tobą widzieć. Ale my nigdy nie zapomnimy twoich nauk – dodała.

— Daj spokój – powiedziałem automatycznie, pojmując w

jednym momencie wielki paradoks, który tkwi w sercu wszelkich cudów. Ja sam nie wierzyłem w ani jedno słowo własnej ewangelii, nigdy nie wierzyłem.

Wstałem niepewnie jak pijany i wymruczałem „M’narra”. Wyszedłem na zewnątrz, prosto w swój ostatni dzień na Marsie.

*Pokonałem cię, Malannie – a jednak zwycięstwo należy do ciebie. Spoczywaj spokojnie na gwiazdzistym łożu. Przeklęty bóg!*

Zostawiłem dżipster pod świątynią i poszedłem pieszo do *Aspica*, zostawiając z każdym krokiem brzemię życia coraz dalej za sobą. Wszedłem do swojej kabiny, zamknąłem drzwi i wziąłem czterdzieści cztery tabletki nasenne.

Jednak kiedy się obudziłem w izolatce, byłem nadal żywy.

Wstając powoli i wlokąc się do iluminatora, czułem pulsowanie silników.

Zamglony Mars wisiał nade mną jak rozdęty brzuch, dopóki się nie rozpuścił, nie przelał i nie spłynął gorącą strugą po moich policzkach.

*Przełożyła Bożena Józwiak*



## O autorze

Roger Zelazny (1937–1995) amerykański pisarz science fiction i fantasy o dużym dorobku, napisał 50 powieści i blisko 150 opowiadań. Jego ojciec pochodził z Polski, urodził się w Rypinie. Związany z amerykańskim fandomem, publikował w fanzinach, na debiut czekał do 1962 roku. Studiował literaturę, po studiach pracował w ubezpieczeniach. Debiutował w 1962 roku, a już rok później zaczął zgarniać kolegom sprzed nosa najważniejsze wyróżnienia.

Interesowała go w twórczości historia i mitologia. Wykorzystywał w powieściach mitologię indyjską, indiańską, japońską, egipską, grecką, przez co jego styl stał się szybko rozpoznawalny. Krytyka uważa go jednego z głównych piewców Nowej Fali SF.

Zdobył liczne nagrody Hugo i Nebula. Największą popularność przyniósł mu cykl fantasy *Kroniki Amberu*, na który składają się dwa pięcioksięgi i liczne opowiadania.

Ale twórczość SF Zelazny'ego również była bardzo znana, jak choćby powieści *Pan światła*, *Pan snów*, *Umrzeć w Italbarze*, *Oko kota*.

W Polsce proza Rogera Zelazny'ego stała się popularna za sprawą kultowej już noweli *Aleja potępienia* (nominacja do Hugo 1967) oraz kilku znakomitym opowiadaniom, do których należą *Róża dla Eklezjastesa* (nominacja do Hugo 1963), *Bramy jego twarzy*, *lampy jego ust* (Nebula 1965 i nominacja do Hugo), *24*

*widoki góry Fudzi Hokusai* (Hugo 1985, nominacja do Nebuli),  
*Wieczna zmarzlina* (Hugo 1986, nominacja do Nebuli) czy  
*Wariant jednorożca* (nagroda Hugo 1981).

Lubił pisać z innymi autorami, ma na swym koncie powieści napisane wspólnie z Philipem K. Dickiem, Alfredem Besterem, Robertem Sheckleyem i innymi. Opowiadania Zelazny'ego były w Polsce bardzo dobrze znane w latach 90. ubiegłego stulecia, teraz czas najwyższy je przypomnieć i dać poznać nowemu pokoleniu.

---

## URSULA K. LE GUIN

---

*Ten krótki tekst jest właściwie bardziej postawieniem problemu, testem z etyki niż opowiadaniem. Testem bardzo teoretycznym, bo przecież sprawdzian z niego ludzkość przechodzi codziennie, tyle że w życiu jest na odwrót niż w historyjce Le Guin – mamy kilka setek tysięcy tych „szczęśliwych”, pływających się w nieprawdopodobnym luksusie i miliardy biedaków zepchniętych do rynsztoka. Czy są tacy, którzy odchodzą z Omelas? Tak, matka Teresa z Kalkuty i tysiące misjonarzy, Albert Schweitzer odszedł do trędowatych, Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla z ekonomii rzucił nieprawdopodobnie intratną posadę wiceprezesa Banku Światowego, żeby móc pisać prawdę. Cenimy dobra rzadkie i cenimy takich ludzi, bo jest ich niewiele.*

### Ci, którzy odchodzą z Omelas

Huk dzwonów, który poderwał w niebo jaskółki, obwieścił miastu Omelas, wznoszącemu swe jasne wieżyce nad brzegiem morza, początek letniego karnawału. Maszty stojących na przystani statków mienia się od flag. Ulicami, wśród pokrytych czerwoną dachówką domów o malowanych ścianach, wśród zarośniętych mchami ogrodów, alejami, pod sklepieniem potężnych konarów drzew, mimo wielkich parków i budynków publicznych, ciągnie pochód. Wyglądają dostojnie: starcy w

długich, sztywnych szatach, fiołkowych i szarych, poważni majstrowie, spokojne, wesoło rozplotkowane kobiety z dziećmi na rękach. Na innych ulicach muzyka jest szybsza – wibrują gongi i tamburyny – a ludzie idą krokiem tanecznym; pochód jest tańcem. Piski igrających dzieciaków wznoszą się ponad muzykę i śpiew niby śmigające jaskółki. Podążają ku północnym krańcom miasta, gdzie na rozległej podmokłej łące, zwanej Zielonymi Błoniami, chłopcy i dziewczęta o długich, gibkich ramionach, nadzy w roziskrzonym słońcu, uwalani mułem po kostki, ćwiczą przed wyścigiem swoje narowiste rumaki. Konie nie mają żadnej uprzęży poza kantarem bez wędzidla. W grzywy powplatano im srebrne, złote i zielone wstążki. Parskają i tańczą, pyszniąc się przed sobą nawzajem; jako jedyne zwierzęta, które przyjęły nasze obyczaje, są bardzo podniecone. Daleko na północy i zachodzie wznoszą się góry, otaczając półkolem położone nad zatoką Omelas.

W przezroczystej, prześwietlonej słońcem aurze poranka śniegi wieńczące jeszcze Osiemnaście Szczytów płoną pod ciemnym błękitem nieba biało-złotym ogniem. Wiatru jest akurat tyle, by znaczące tor wyścigowy proporczyki załopotwały od czasu do czasu. W ciszy rozległych Zielonych Błoni słyhać, to bliżej, to dalej, jak wijąc się ulicami miasta nadciąga muzyka; czuć pogodną słodycz w powietrzu, które wzbiera drganiem, by od czasu do czasu wybuchnąć wielką radosną symfonią dzwonów.

Radosną! Jak tu mówić o radości? Jak opisać mieszkańców Omelas?

Wierzcie mi, nie są to ludzie prymitywni, choć tak bardzo

szczęśliwi. To tylko myśmy zapomnieli słów oznaczających radość. To dla nas uśmiech stał się czymś anachronicznym. Po takim wstępie zwykliśmy puszczać wodze wyobraźni. Widzimy więc króla na wspaniałym rumaku w otoczeniu świty szlachetnych rycerzy albo w złocistej lektyce niesionej przez potężnie umięśnionych niewolników. Ale tam nie ma króla. Mieszkańcy Omelas nie mają mieczów ani niewolników. Nie są barbarzyńcami. Nie znam zasad ani praw, jakimi rządzi się ich społeczeństwo, ale podejrzewam, że jest ich niewiele. I tak jak obywają się bez monarchii czy niewolnictwa, radzą sobie świetnie bez giełdy, reklamy, tajnej policji i bomby. A jednak powtarzam: nie są to ludzie prymitywni – łagodni pasterze, szlachetne dzikusy czy mętni utopiści. Nie są ani trochę mniej skomplikowani od nas. Problem w tym, że mamy zły zwyczaj, kultywowany przez pedantów i snobów intelektualnych, utożsamiania szczęścia z głupotą. Według nas tylko cierpienie przenosi w sferę doznań intelektualnych, tylko zło jest interesujące. Jakże często grzeszą w ten sposób artyści, nie chcąc przyznać, że zło potrafi być banalne, a cierpienie potwornie nudne. Nie możesz ich zwalczyć, przystań do nich. Jeśli któreś z twoich doświadczeń okaże się bolesne – spróbuj je powtórzyć. Ale pochwała rozpaczy oznacza potępienie rozkoszy. Akceptować gwałt to tyle, co stracić wszystko inne. I prawie wszystko straciliśmy – nie potrafimy już opisać szczęśliwego człowieka, nie potrafimy celebrować radości. Jak więc mam mówić o mieszkańcach Omelas? Nie są to naiwne, szczęśliwe dzieci, chociaż ich dzieci są szczęśliwe. To dojrzały, inteligentni, pełni namiętności ludzie, których życia nie sposób nazwać

ubogim. Co za cud! Ale chciałabym móc opisać to lepiej. Chciałabym móc was przekonać. Omelas w mojej opowieści jawi się miastem z bajki – dawno, dawno temu, za siódmą górą, za siódmą rzeką. Skoro jednak opisując je nie zdołam dogodzić wszystkim, byłoby może lepiej, gdyby każdy przedstawił sobie miasto zgodnie z własnymi wyobrażeniami, przyjmując, że rzeczywistość go nie zawiedzie.

Weźmy na przykład sprawy techniki. Myślę, że w Omelas nie mają ani samochodów, ani helikopterów, co wynika z faktu, że są szczęśliwi. A przecież szczęście polega na umiejętności rozróżnienia pomiędzy tym, co niezbędne, tym, co ani niezbędne, ani szkodliwe, i wreszcie tym, co zdecydowanie szkodliwe. Otóż w kategorii środkowej – rzeczy przydatnych, ale nieszkodliwych, zapewniających wygodę, a nawet luksus i dostatek – może być nim z powodzeniem centralne ogrzewanie, koleje podziemne, pralki i wszelkiego rodzaju cudowne urządzenia, których tu jeszcze nie znają, jak oświetlenie bezprzewodowe, energia bez paliwa czy lekarstwo na katar.

Ale równie dobrze może tego wszystkiego w Omelas nie być, to nie ma znaczenia. Jak sobie chcecie. Ja osobiście jestem skłonna sądzić, że sąsiedzi z innych miast wybrzeża ściągali do Omelas na karnawał małymi, bardzo szybkimi pociągami lub piętrowymi tramwajami i że tutejszy dworzec kolejowy jest obecnie najpiękniejszym budynkiem w mieście, jeśli nie liczyć wspaniałej Hali Targowej. Obawiam się jednak, że nawet z ich pociągami, wielu z was i tak uzna Omelas za zbyt sielankowe. Uśmiechy, dzwony, pochody – nudy na pudy. Jeśli tak, niech będzie jakaś orgia. Jeśli orgia załatwi sprawę – nie wahajcie się ani chwili.

Tylko bardzo proszę, bez żadnych świątyń, z których wychodzą – w stanie ekstazy – piękni nadzy kapłani i kapłanki, gotowi kopulować z każdym – kobietą czy mężczyzną, kochankiem czy nieznanym – kto pragnie związku krwi z najwyższym bóstwem, chociaż, przyznaję, z początku sama o tym myślałam. Lepiej niech w Omelas nie będzie żadnych świątyń, a przynajmniej świątyń z ludźmi. Religia – owszem, kler w żadnym razie. Proszę, niech się przechadzają piękne golasy, niech częstują sobą zgłodniałych i spragnionych jak świętym sufletem. Niech się włączą w pochód. Niech nad kopulującymi walą w tamburyny, niech gongi głoszą chwałę pożądania, ale – najważniejsze – niech dzieci stanowiące owoc tych cudownych obrządków będą przedmiotem ogólnej miłości i troski.

Wiem, że jednego nie ma w Omelas na pewno: pojęcia grzechu. Zgoda, ale mówmy o tym, co powinno być. Z początku uznałam, że nie ma narkotyków, ale to byłoby zbyt purytańskie. Ostatecznie dla tych, którzy to lubią, niechby unosił się nad ulicami lekki słodkawy aromat drooz, tego drooz, które najpierw daje umysłowi i wszystkim członkom lekkość i sprawność, po kilku godzinach senną ociężałość, na koniec zaś wspaniałe wizje najgłębszych tajemnic wszechświata i pełnię zadowolenia seksualnego przekraczającą wszelkie wyobrażenie. Ale to wszystko oczywiście bez groźby nałogu. Dla tych, co mają skromniejsze wymagania, mogłoby być piwo. Cóż jeszcze powinno gościć w mieście radosnym? Nastrój zwycięstwa, a jakże, i kult odwagi. Ale tak jak poradziłyśmy sobie bez duchowieństwa, dajmy sobie spokój z wojskiem. Radość oparta na zręcznym mordowaniu nie jest właściwą radością; nie o to

chodzi, to przerażające i trywialne. Bezgraniczne i szczere zadowolenie, pełen wielkoduszności tryumf, odczuwany nie w konfrontacji z wrogiem zewnętrznym; raczej komunია dusz, synteza tego wszystkiego, co w ludzkości najpiękniejsze i najsubtelniejsze, atmosfera powszechnego lata. Oto uczucia, jakimi wzbierają serca mieszkańców Omelas, oto zwycięstwo, które oni celebrują – zwycięstwo życia. Nie sądzę, aby wielu z nich odczuwało potrzebę zażywania drooz.

Większość pochodów zdążyła już dotrzeć do Zielonych Błoni. Z czerwonych i niebieskich namiotów dobiegają smakowite zapachy. Buzie dzieciaków są rozkosznie lepkie; w siwej brodzie dobrotliwego starca utkwili okruchy słodkiego ciasta. Dziewczęta i chłopcy dosiedli już koni i ustawili się w pobliżu linii startowej. Mała, pulchna, roześmiana staruszka rozdaje z koszyka kwiaty, które postawni młodzieńcy wplatają sobie w lśniące włosy. Na skraju tłumu siedzi i gra na flecie smutne dziewięcio- czy dziesięcioletnie dziecko. Ludzie zatrzymują się z uśmiechem, żeby go posłuchać, ale nikt się nie odzywa do ciemnookiego malca, który ani na chwilę nie przerywa gry, nie widzi nic, poddany magii subtelnych, pełnych wdzięku tonów.

Chłopiec przestaje grać, powoli opuszcza ręce, w których trzyma drewniany flet.

Jak gdyby ta mała prywatna chwila ciszy była jakimś sygnałem, z pawilonu położonego koło linii startowej zagrzmiały trąby – władczo, melancholijnie, a zarazem przenikliwie. Konie tańczą na smukłych zadnich nogach, rzeniem odpowiadając na hasło. Młodzi jeźdźcy, skupieni, klepią je uspokajająco po szyjach: „Dobry, dobry...”. Zaczynają się formować w szereg na



linii startowej. Zebrany wzdłuż toru wyścigowego tłum przypomina upstrzony kwieciami łąn zboża na wietrze. Tak rozpoczął się Letni Karnawał.

Wierzycie mi? Wierzycie w to wszystko: święto, miasto, radość? Nie? To pozwólcie, że jeszcze coś wam powiem.

W suterrenach jednego z okazałych budynków publicznych Omelas, a może lepiej w piwnicach jednej z obszernych prywatnych rezydencji jest pomieszczenie. Nie ma okna, tylko wiecznie zaryglowane drzwi. Sączy się tu jedynie przez szpary w deskach przesiane przez kurz światło, wpadające zasnutym pajęczynami okienkiem sąsiedniej piwnicy. W kącie małej izdebki, obok zardzewiałego wiadra, stoją sztywne, pozlepiane, śmierdzące miotły. Podłoga to klepisko, miejscami mokre, jak to zwykle klepiska w piwnicach. Wymiary pomieszczenia: dwa na trzy kroki – ot, po prostu nieużywana komórka na miotły czy narzędzia. W izbie tej siedzi dziecko. Może to być równie dobrze chłopiec, jak i dziewczynka. Wygląda na sześć lat, ale ma dziesięć. Jest niedorozwinięte umysłowo. Może to wada wrodzona, a może powstała wskutek nieustannego lęku, niedożywienia i zaniedbania. Dziecko, przycupnięte w kącie, z dala od wiadra i mioteł, dłubie w nosie i od czasu do czasu bezmyślnie bawi się palcami u nóg i genitaliami. Boi się mioteł. Wydają mu się straszne. Zamyka oczy, ale wie, że miotły w dalszym ciągu stoją na swoim miejscu, że drzwi są zamknięte, że nikt tu nie przyjdzie. Z rzadka – dziecko nie ma ani poczucia, ani miary czasu – drzwi otwierają się z potwornym łoskotem i ktoś się w nich pojawia, nieraz nawet kilka osób. Zdarza się, że jeden z gości wchodzi do środka i podrywa dziecko kopniakiem na

nogi. Reszta na ogół się nie zbliża, tylko stojąc w drzwiach przygląda mu się ze strachem i obrzydzeniem. Pośpiesznie napełniają dziecku miskę strawą, a dzbanek wodą, i ryglują drzwi – ciekawe oczy znikają. Ludzie nigdy nic nie mówią, ale dziecko, chłopiec, który nie zawsze żył w komórce i zachował pamięć światła słonecznego i głosu matki, odzywa się czasem. „Już będę grzeczny – mówi. – Wypuście mnie. Już będę grzeczny”. Ale nikt mu nie odpowiada. Malec, który kiedyś często płakał po nocach i wołał o pomoc, teraz kwili tylko „łaa... łaa...” i odzywa się coraz rzadziej. Ma wielki wzdęty brzuch i jest tak chudy, że zupełnie stracił łydki. Cała jego dzienna dieta to pół miski mąki kukurydzianej z tłuszczem. Jest nagi, a ponieważ cały czas siedzi we własnych odchodach, jego uda i pośladki to jedna wielka ropiejąca rana.

Wszyscy słyszeli o dziecku, to znaczy wszyscy mieszkańcy Omelas. Niektórzy przychodzą specjalnie, aby je obejrzeć, innym wystarczy sama świadomość jego istnienia. Wiedzą, że dziecko musi tu być. Jedni rozumieją dlaczego, inni nie, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że ich szczęście, piękno ich miasta, więzy przyjaźni, zdrowie ich dzieci, mądrość uczonych, sprawność rzemieślników, a nawet obfitość zbiorów i pogoda są całkowicie uwarunkowane odrażającą nędzą małej ofiary.

Zwykle wyjaśnia się dzieciom te sprawy między ósmym a dwunastym rokiem życia, w okresie po temu najodpowiedniejszym.

Odwiedzający dziecko to przeważnie młodzież, zdarza się jednak, że przychodzą i dorośli, czasem nawet po parę razy. Niezależnie jednak od tego, jak dokładnie im się ten problem

wytłumaczy, widok dziecka jest zawsze dla młodych szokujący. Wychodzą z obrzydzeniem, choć przecież uważali się za wyższych ponad to. Mimo wszelkich wyjaśnień ogarnia ich wściekłość, czują się poniżeni i bezsilni. Chcieliby coś zrobić dla malca. Ale nie mogą. Gdyby go bowiem wyprowadzono z tej strasznej nory na światło dzienne, gdyby go nakarmiono, umyto i otoczono czułością, w tej samej chwili przysłoby całe piękno, bogactwo i radość Omelas. Takie są warunki. Zamienić powodzenie i uroki życia wszystkich na to jedno małe dobrodziejstwo, oddać szczęście tysięcy za szczęście jednostki – to tyle co wpuścić do miasta grzech.

Warunki są surowe i bezwzględne: Nie wolno odezwać się do dziecka jednym życzliwym słowem.

Często młodzi ludzie odchorowują widok malca i zetknięcie z tym straszliwym paradoksem. Wracają do domu rozgoryczeni, z płaczem, rozpamiętując to nieraz tygodniami, a nawet latami. Z czasem jednak zaczynają zdawać sobie sprawę, że gdyby nawet uwolnić dziecko, niewiele by mu z tego przyszło poza przyjemnym poczuciem ciepła i sytości. Jest zbyt zdegradowane i tępe na to, by móc przeżywać prawdziwą radość. Zbyt długo się bało, by się pozbyć uczucia strachu. Jest zanadto nieokrzesane, by odpowiedzieć na ludzką życzliwość. Brakowałoby mu najprawdopodobniej murów, które je dotąd chroniły, niezbędnych oczom ciemności i własnych odchodów, w których mogłoby siedzieć. Ale łzy wywołane poczuciem gorzkiej niesprawiedliwości łatwo wysychają: ludzie dostrzegają okrutną sprawiedliwość rzeczywistości i szybko się z nią godzą. A przecież to właśnie w tych łzach i gniewie, w dobrych chęciach i

pogodzeniu się z własną bezsilnością należy upatrywać prawdziwych przyczyn ich powodzenia. Ich szczęście nie jest jałowe, nie wynika z braku odpowiedzialności. Ludzie ci wiedzą, że – tak jak dziecko – nie są wolni. Wiedzą, co to współczucie. Wiedzą, że piękno ich architektury, wielkość muzyki, rozległość wiedzy – wszystko to jest możliwe dzięki istnieniu dziecka i temu, że oni są tego świadomi. To przez pamięć o nim są tacy dobrzy dla swoich dzieci. Zdają sobie sprawę, że gdyby nieszczęśliwy malec nie skomlał w ciemnościach, ten drugi, mały flecista, nie przygrywałby tak radośnie urodziwym jeźdźcom szykującym się do startu w słońcu pierwszego letniego poranka.

Powiedzcie: czy teraz wierzycie? Czy nie stało się to wszystko bardziej prawdopodobne? Chwileczkę, jest jeszcze jedna rzecz, zupełnie nieprawdopodobna, o której chciałabym wam jeszcze powiedzieć.

Otóż od czasu do czasu jakiś chłopak czy dziewczyna, zamiast zżymać się po takiej wizycie i płakać, wcale nie wraca do domu. Niekiedy ktoś ze starszych, zrazu dziwnie milczący, po paru dniach również opuszcza dom. Ci ludzie idą ulicami przed siebie, aż wreszcie wychodzą z miasta przez piękne wrota. Wędrują dalej przez wsie Omelas, a każdy z nich – chłopak czy dziewczyna, mężczyzna czy kobieta – podąża samotnie. Zapada noc. I zawsze tak samo: ulicami miasta, pośród żółtych prostokątów okien i dalej przez mroczne pola ciągną na zachód czy północ ku góróm. Odchodzą z Omelas i idą w ciemność, by już nigdy nie wrócić. Miejsce, do którego zmierzają, jest jeszcze bardziej niedostępne naszej wyobraźni niż miasto szczęścia. Nie próbowałabym go nawet opisać. Być może w ogóle nie istnieje.

Ale ci, co odchodzą z Omelas, wiedzą, dokąd prowadzi ich droga.

*Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz*

## O autorze

Ursula K. Le Guin (ur. 1929) amerykańska pisarka fantasy i science fiction, urodziła się w Kalifornii w rodzinie antropologa, Alfreda Kroebera i pisarki Theodory Kroeber. Jej ojciec był znanym naukowcem, w Polsce ukazały się jego legendy indiańskie *Ninawa, wieloryb lądowy*. Le Guin dorastała w domu, gdzie o antropologii mówiło się dużo i wychowywano ją w poszanowaniu dla różnorodności kultur. Tło kulturowe jest bardzo widoczne w jej twórczości. Studiowała m. in. we Francji, gdzie poznała swojego męża, historyka Charlesa Le Guin.

Debiutowała w latach 60. i dość szybko zdobyła popularność opowiadaniem i powieściami z serii *Ekumena*. Drogę do wielkiej kariery zapewniła jej powieść z tego cyklu, *Lewa ręka ciemności*, za którą otrzymała Hugo i Nebulę. Później te nagrody otrzymała jeszcze wielokrotnie.

W historii przyszłości stworzonej przez Le Guin prastara cywilizacja Hain dała początek wszystkim znanym we wszechświecie cywilizacjom. Z czasem dawne kolonie straciły kontakt z metropolią i z sobą nawzajem, rozeszły się kulturowo, a nawet biologicznie. Potem kontakt został ponownie nawiązany i równoprawne cywilizacje utworzyły Wspólnotę. Kontakty są możliwe dzięki statkom poruszającym się z prędkościami świetlnymi (wg Le Guin niemożliwe jest jej przekroczenie i prędkości relatywistyczne stwarzają duży problem dla gwiazdnych podróżników) i ansiblom – aparatom pozwalającym

na natychmiastowe porozumienie się na prawie dowolną odległość – wynalezionym przez Sheveka z powieści *Wydzieziczeni*. W powieściach Le Guin najważniejsza jest nie akcja, lecz psychologia bohaterów. W Polsce jej twórczość jest bardzo dobrze znana, choć opowiadania ukazują się ostatnio rzadko. Znamy cały cykl *Ekumena*, a także bardzo popularny cykl fantasy *Ziemiomorze*, zapoczątkowany słynnym *Czarnoksiężnikiem z Archipelagu*.

Do najsłynniejszych jej opowiadań należą te z serii *Ekumena*, poruszające ważne kwestie społeczne, jak *Dzień przed rewolucją* (Nebula), *Ci, którzy odchodzą z Omelas* (Hugo), *Królowa Zimy* czy *Samotność* (Nebula).

---

## ILJA WARSZAWSKI

---

*Ilja Warszawski był w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych płodnym i popularnym autorem opowiadań. Jego specjalność stanowiły utwory humorystyczne, ten, zapewne najlepszy, bo najmocniejszy, jest zupełnie nieśmieszny.*

*Czy Warszawski to wymyślił, czy coś usłyszał? O prowokowanych uciezkach z obozów zarówno sowieckich jak niemieckich można by napisać książkę. Trzeba by napisać. Na razie mamy świetne i ponure opowiadanie Warszawskiego.*

### Uciezka

— Heej raz! Heej raz!

Proste urządzenie – deska, dwa kawałki sznurka i oto ciężka bryła rudy leży na wózku.

— Jazda!

Ładunek nie jest cięższy niż zwykle, ale maleńki człowieczek w pasiaku, wparty piersią w poprzeczkę, nie może ruszyć wózka z miejsca.

— Jazda!

Któryś z więźniów próbuje pomóc ramieniem. Za późno! Podchodzi nadzorca.

— Co się stało?

— Nic się nie stało.



— Jazda! Ruszaj się!

Człowieczek znowu próbuje gwałtownym zrywem pociągnąć wózek. Daremnie. Nieludzki wysiłek wywołuje atak kaszlu. Człowieczek zasłania usta dłonią.

Nadzorca czeka w milczeniu, aż atak minie.

— Pokaż rękę.

Wyciągnięta dłoń jest zakrwawiona.

— Tak... Odwróć się.

Na więziennej kurtce, na plecach – znak. Nadzorca przerysowuje znak do notesu.

— Do lekarza!

Inny więzień zajmuje miejsce chorego.

— Jazda! – To w jednakowym stopniu odnosi się do obu – do tego, który od tej chwili będzie ciągnął wózek, i do tamtego, który już nie jest do tego zdolny. Wózek rusza.

— Przepraszam, panie nadzorco, czy nie można...

— Powiedziałem, do lekarza!

Nadzorca patrzy na oddalające się, przygarbione plecy i jeszcze raz sprawdza notatkę w notesie: A 15/13264. Cóż, wszystko jest jasne. Trójkąt oznacza dezercję, kwadrat – dożywotnie więzienie, piętnasty barak, więzień numer trzynaście tysięcy dwieście sześćdziesiąt cztery. Dożywotnie więzienie. Wszystko się zgadza, tylko że dla tego człowieka najwidoczniej zbliża się już koniec kary. Plantacje bawełny.

— Heej raz!

Lśniący nikiel, szkło, rozproszone światło luminescencyjnych lamp i jakaś nieomal materialna, sterylna czystość.

Szare, nieco zmęczone oczy człowieka w białym fartuchu

patrzają uważnie przez grube szkła okularów. Tu, w podziemnych obozach koncentracyjnych Medeny, życie ludzkie ceni się nadzwyczaj wysoko. Jakżeby inaczej! Każdy więzień, zanim dusza jego stanie przed najwyższym trybunałem, musi odkupić swoją winę wobec tych, którzy w dalekich głębinach kosmosu toczą niebywałą w historii bitwę o hegemonię macierzystej planety. Ojczyźnie potrzebny jest uran. Na każdego więźnia dany jest plan i dlatego życie człowieka jest równie cenne jak wydobyta przez niego ruda. Niestety, w tym wypadku...

— Ubieraj się!

Długie chude ręce pospiesznie wciągają kurtkę na kościste ciało.

— Stań tutaj!

Lekkie naciśnięcie pedału i sakramentalny znak przekreśla czerwony krzyż. Od tej chwili więzień A 15/13264 ponownie może używać imienia i nazwiska – Arp Zumbi.

Zrozumiały przejaw miłosierdzia w stosunku do tych, którym przyjdzie pracować na plantacjach bawełny.

Plantacje bawełny Nikt o nich nie wie nic dokładnego, wyjąwszy fakt, że stamtąd się nie wraca. Chodzą plotki, że w gorącym, pozbawionym wilgoci klimacie ciało ludzkie zamienia się w suchy chrust – świetne paliwo dla pieców krematoryjnych.

— Idź już. Masz tu zwolnienie z pracy.

Arp Zumbi okazuje swoje zwolnienie wartownikowi, wchodzi do baraku i czuje niezmienny zapach karbolu. Barak przypomina wielki szalet kolejowy. Gęsty zapach karbolu i kafelki. Monotonie białych ścian urozmaica tylko ogromny plakat: „Za ucieczkę – śmierć na torturach”. Jeszcze jedno

świadectwo, jak ceni się tu ludzkie życie – jeżeli już trzeba kogoś zabić, należy to zrobić możliwie najefektowniej.

Pod jedną ścianą znajduje się coś w rodzaju gigantycznego pszczelego plastra – to miejsca do spania, rozgrodzone na oddzielne komórki. Wygodnie i higienicznie. Na białym plastyku widać najmniejszą plamkę. Komórki zaś wymyślono nie dla komfortu. To przecież katorga, a nie sanatorium, jak lubi powtarzać Głos, który przeprowadza codzienną psychoterapię. Podział na komórki wyklucza możliwość kontaktu między więźniami nawet w nocy, kiedy czujność wartowników nieco słabnie.

W ciągu dnia nie wolno kłaść się i Arp Zumbi siedzi na ławce. Arp Zumbi myśli o plantacjach bawełny. Transport zwykle kompletuje się raz na dwa tygodnie. W skład transportu wchodzi więźniowie ze wszystkich obozów. W dwa dni później przywiozą tu nową partię więźniów. Zdaje się, że ostatni raz przywieziono ich pięć dni temu, wtedy kiedy obok Arpa w nocy pojawił się ten dziwaczny typ. Najwyraźniej stuknięty. Wczoraj przy obiedzie oddał Arpowi połowę swojego chleba. „Masz – powiada – bo inaczej niedługo portki zgubisz”. Dziwak! Arp jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś oddał swój chleb. Tamten facet na pewno jest nienormalny. Wieczorem coś nuci przed snem. Też sobie znalazł miejsce do śpiewania.

Arp znowu powraca myślą do plantacji bawełny. Rozumie, że to już koniec, ale nie wiadomo dlaczego nie jest specjalnie zmartwiony. W ciągu dziesięcioletniej pracy w kopalni człowiek przyzwyczaja się do śmierci. Ale pomimo wszystko Arpa ciekawi, jak tam jest na tych plantacjach.

Od chwili kiedy go zamknięto, dziś pierwszy dzień nie pracuje. Pewnie dlatego czas się tak dłuży. Arp z przyjemnością położyłby się spać, ale to wykluczone, nawet wtedy, kiedy ma się papier o zwolnieniu z pracy. To jest katorga, a nie sanatorium.

Wracają z pracy jego towarzysze i z zapachem karbolu miesza się zapach płynu odkażającego. Wszyscy którzy pracują przy rudzie uranowej, biorą profilaktyczny prysznic. To jeden ze sposobów zwiększenia średniej długości życia więźnia.

Arp zajmuje swoje miejsce w kolumnie i maszeruje na obiad.

Śniadanie i obiad – to czas, kiedy straż patrzy przez palce na łamanie zakazu rozmawiania. Z zapchanymi ustami człowiek wiele się nie nagada.

Arp w milczeniu zjada swoją porcję i czeka na komendę: „Wstać!”

— Na! – znowu ten stuknięty proponuje pół swojej porcji.

— Nie chcę.

Rozlega się komenda na zbiórkę. Dopiero teraz Arp widzi, że wszyscy wytrzeszczają na niego oczy. Pewnie z powodu tego czerwonego krzyża na plecach. Nieboszczyk zawsze budzi zainteresowanie.

— Prędzej!

To do sąsiada Arpa. Jego szereg już się ustawił, a tamten wciąż jeszcze siedzi przy stole. Wstaje jednocześnie z Arpem. Idąc na swoje miejsce Arp słyszy jego ledwie dosłyszalny szept: — Jest możliwość ucieczki.

Arp udaje, że nic nie słyszał. W obozie jest pełno kapusiów, a Arp wcale nie ma ochoty umrzeć na torturach. Lepsze już plantacje bawełny.

Głos to wznosi się od krzyku, od którego w skroniach łomocze, to zniża się do ledwie dosłyszalnego szeptu, który sprawia, że człowiek mimo woli zamienia się w słuch. Głos płynie z głośnika wmontowanego w wezłowie pryczy. Wieczorna psychoterapia.

Do obrzydliwości znajomy baryton wyjaśnia więźniom całą głębię ich upadku. Przed tym głosem nie uciekniesz, nie schowasz się. Tego głosu nie można po prostu wyłączyć ze świadomości, jak wyłącza się wrzaski nadzorców. Wydaje ci się czasem, że już myślisz o czymś zupełnie innym, że zapomniałeś o obozie, kiedy nagle nieoczekiwana zmiana natężenia Głosu znowu włącza uwagę. I dzieje się tak trzy razy dziennie – wieczorem przed snem, w nocy w czasie snu i rano, pięć minut przed pobudką. Trzy razy dziennie. To jest katorga, a nie sanatorium.

Arp leży z zamkniętymi oczami i stara się myśleć o plantacjach bawełny. Reedukacja już się skończyła, ale Arpowi przeszkadza rytmiczne stukanie w ściankę działową między komórkami. Znowu ten wariat.

— Czego chcesz?! – pyta przez złożone w trąbkę dłonie przyciśnięte do ścianki.

— Wyjdź do latryny.

Arp sam nie rozumie, co sprawia, że musi zejść na dół, a potem pójść w kierunku łukowatego sklepienia, skąd słychać szmer lejącej się wody.

W latrynie gorąco, temperatura dokładnie taka, żeby nie można było wysiedzieć dłużej niż dwie minuty. Arp poci się jak ruda mysz i wreszcie zjawia się tamten.

— Chcesz uciec?

— A idź ty...

Arp Zumbi jest starym wróblem i zna na wyrywki chwyt kapusiów.

— Nie bój się – znowu pośpiesznie szepcze tamten – jestem z Komitetu Wyzwolenia. Jutro będziemy próbowali wywieźć i przerzucić w bezpieczne miejsce pierwszą partię. Nie masz nic do stracenia. Dadzą wam truciznę. Jeśli ucieczka się nie uda...

— No?

— Zażyjesz truciznę. To w każdym razie lepsze, niż śmierć na plantacjach bawełny. Zgadzasz się?

Nieoczekiwanie dla samego siebie Arp kiwa głową.

— Instrukcje otrzymasz rano w chlebie. Bądź ostrożny.

Arp znowu kiwa głową i wychodzi.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat tak głęboko pogrążył się w marzeniach, że przepuszcza mimo uszu drugie i trzecie szkolenie psychoterapeutyczne.

Arp Zumbi stoi ostatni w kolejce po śniadanie. Teraz jego miejsce jest na końcu kolumny. Zawsze ten, który jest zwolniony z pracy, dostaje jedzenie po wszystkich innych.

Ponury kryminalista, rozlewający zupę, uważnie patrzy na Arpa i z nieznacznym uśmieszkiem rzuca mu kawałek chleba leżący osobno.

Arp je zupę i ostrożnie łamie chleb. Jest! Ukrywa za policzkiem maleńką kulkę papieru.

Teraz trzeba poczekać, aż kolumna pójdzie do pracy.

Komenda: Wstać! Arp wychodzi ze stołówki, na końcu kolumny dochodzi do poprzecznej galerii i skręca w lewo. Reszta idzie prosto.

Tu, za węglem, Arp jest względnie bezpieczny. Dyżurni sprzątaj baraki, a na zmianę warty jeszcze za wcześnie.

Instrukcja jest bardzo lakoniczna. Arp czyta ją trzykrotnie, a kiedy jest już pewny, że wszystko zapamiętał, znowu zgniata paperek i połyka go.

Teraz, kiedy trzeba działać, Arpa ogarnia strach.

Waha się, śmierć na plantacjach bawełny wydaje się upragniona w porównaniu z torturami. „Trucizna!”

Myśl o truciznie od razu go uspokaja. Rzeczywiście, koniec końców, co ma do stracenia?!

Strach, lepki, obrzydliwy, oślizły strach, nadchodzi znowu, kiedy Arp okazuje swoje zwolnienie z pracy wartownikowi na granicy zony.

— Dokąd?

— Do lekarza.

— Idź!

Arp ma wrażenie, że jego nogi zrobione są z waty. Powoli wlecze się galerią, wyczuwając plecami niebezpieczeństwo. Zaraz rozlegnie się okrzyk i w ślad za okrzykiem seria z automatu. W takich przypadkach strzelają w nogi. Za ucieczkę grozi śmierć na torturach. Nie należy pozbawiać więźniów takiego pouczającego widowiska, to katorga, a nie sanatorium.

Zakręt!

Arp skręca za róg i opiera się o ścianę. Słyszy uderzenia własnego serca. Zdaje mu się, że za chwilę wyrzyga ten drgający kłębek razem z gorzką złością zgromadzoną w żołądku. Zimny pot oblewa ciało. Zęby szcękają. Właśnie tak, przy dźwięku werbli prowadzą schwytych uciekinierów na kaźń.

Cała wieczność mija, zanim wreszcie Arp decyduje się iść dalej.

Gdzieś tu w niszy powinny być pojemniki na śmiecie. Arp jeszcze raz powtarza w myśli instrukcję. Znowu nachodzą go wątpliwości. A jeśli to prowokacja? Wlezie do pojemnika, a oni tylko na to czekają! I żadnej trucizny przecież nie dostał. Dureń! Nie trzeba było się zgadzać, póki nie dostał do ręki trucizny. Bałwan! Arp gotów jest tłuc głową o mur. Tak dać się nabić w butelkę pierwszemu lepszemu prowokatorowi!

A otóż i pojemniki. Obok lewego ktoś postawił kozły dla malarzy. Wszystko jak w instrukcji. Arp stoi niezdecydowany. Chyba najrozsądniej będzie wrócić.

Niespodziewanie słyszy głośną rozmowę i szczekanie psa. Obchód. Nie ma czasu na myślenie. Nadspodziewanie lekko wchodzi na kozły i wskakuje do pojemnika.

Głosy zbliżają się. Pies szarpie smycz, Arp słyszy ochryple szczekanie i stukot podkutych butów.

— Spokój, Gar!

— Ktoś jest w pojemniku.

— Pewnie szczur, tu jest pełno szczurów.

— Nie, na szczura pies szczeka inaczej.

— Zawracanie głowy! Idziemy! Uspokój go wreszcie!

— Cicho, Gar.

Kroki oddalają się.

Teraz Arp może obejrzeć swoją kryjówkę. Pojemnik jest napełniony mniej więcej do jednej czwartej wysokości. O tym, żeby się z niego wydostać, nie ma nawet co myśleć. Odległość od górnej krawędzi dwukrotnie przekracza wzrost człowieka. Arp



przesuwa dłonią po ścianie pojemnika i natrafia na dwa niewielkie otwory, o których była mowa w instrukcji. Otwory znajdują się w wytłoczonych literach „Obozy pracy”. Napis opasuje pojemnik. Dzięki tym otworom Arp będzie mógł oddychać, kiedy zatrzaśnie się pokrywa.

Kiedy zatrzaśnie się pokrywa... Arp już i teraz czuje się schwytany w potrzask. Kto wie, czym to się wszystko skończy? Co to za Komitet Wyzwolenia? W obozie nikt o nim nie słyszał. Może to ci sami chłopcy, którzy pomogli Arpowi zdezerterować? Szkoda, że ich wtedy nie posłuchał i poszedł odwiedzić matkę. Ktoś doniósł i wzięto go u matki. A przecież, gdyby nie był takim bałwanem, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Znowu głosy i skrzyp kół. Arp przywiera okiem do jednego otworu i uspokaja się. Dwaj więźniowie wiozą wiadro z odpadkami. Widocznie to dyżurni sektora. Nie śpieszą się. Przysiedli na wózku i po kolei dopalają niedopałek papierosa wyrzucony przez któregoś strażnika. Arp widzi blade smużki dymu i ślina napływa mu do ust. Niektórzy to mają szczęście!

Z niedopałka wyciągnięto wszystko, co można było wyciągnąć i kubek jedzie do góry. Lina od wiadra przerzucona jest przez kołowrót nad głową Arpa. Arp zasłania głowę rękami. Zawartość kubła spada na Arpa.

Dopiero teraz, kiedy więźniowie odeszli, Arp czuje, jak paskudnie śmierdzi w jego kryjówce.

Otwory do oddychania znajdują się nieco powyżej jego ust i Arp musi zgarnąć sobie pod nogi trochę odpadków.

Teraz trzeba być czujnym. Sprzątanie kończy się o dziesiątej. Po dziesiątej napełnione pojemniki wysyła się na górę.

Nie wiadomo skąd ona się tu wzięła, ta szeroka nieheblowana deska wymazana wapnem. Jeden jej koniec wparł się w dno pojemnika, drugi znalazł się nieco wyżej niż głowa Arpa. Deska, podobnie jak i kozły, jest świadectwem czyjejs troski o los uciekiniera. Arp odczuwa to szczególnie teraz, kiedy ostry pręt metalowy przebija warstwę śmieci, trafia na deskę i starannie bada ją z góry na dół. Gdyby nie było tej deski... Wydaje się, że to sprawdzanie nigdy się nie skończy.

— No i co tam? – pyta ochrypły starczy głos.

— Nic, po prostu deska.

— Jazda!

Lekkie szarpnięcie, skrzyp kołowrotu i pojemnik kołysząc się rozpoczyna podróż do góry. Od czasu do czasu uderza o ściany szybu i Arp, który przywarł do ścianki pojemnika, czuje twarzą każde uderzenie. Między jego głową a deską jest przestrzeń wolna od śmieci. To pozwala odsunąć nieco głowę od otworów przy szczególnie gwałtownym chybotaniu pojemnika.

Stop! Ostatnie, najsilniejsze uderzenie, pokrywa unosi się z łoskotem. Znowu żelazny pręt bada wewnątrz pojemnika.

Znowu błogosławiona deska ukrywa skulonego, trzęsącego się ze strachu człowieka.

Teraz przed otworami pojemnika betonowy mur i cały świat wokół Arpa ogranicza się do szarej, szorstkiej powierzchni.

Jednak ten świat przepełniają dawno zapomniane dźwięki. Wśród nich Arp rozróżnia szelest opon samochodowych, głosy przechodniów i nawet ćwierkanie wróbli.

Rytmiczne, uporczywe stukanie o pokrywę pojemnika sprawia, że Arp znowu kuli się w swojej kryjówce. Stukanie jest

coraz częstsze, coraz natrętniejsze, coraz niecierpliwsze i nagle Arp uświadamia sobie, że to deszcz. Dopiero wtedy zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, jak bliska, jak upragniona jest wolność.

Tej nocy wszystko podobne jest do gorączkowych majaków. Od chwili kiedy wysypano go z pojemnika, Arp to traci przytomność, to budzi się od dotyku szcurzych łap. Na wysypisku roi się od szcurów. Gdzieś niedaleko jadą szosą samochody. Czasem ich reflektory wydobywają z ciemności górę śmieci, za którą przyczał się Arp. Szczury z piskiem uciekają w ciemność, drapią twarz Arpa ostrymi pazurami, gryzą, jeśli próbuje je spłoszyć, i znowu powracają, kiedy wysypisko pogrąża się w mroku.

Arp myśli o tym, że w obozie już na pewno zauważono jego ucieczkę. Próbuje wyobrazić sobie, co się teraz tam dzieje. Przychodzi mu do głowy, że psy mogły wywęszyć jego trop wiodący do pojemników, a wtedy...

Dwa ostre snopy światła działają jak uderzenie.

Arp zrywa się na nogi. Reflektory natychmiast gasną. Zamiast nich zapala się maleńka lampka w szoferce samochodu. To wojskowa furgonetka, która zwykle służy do przewozu amunicji. Człowiek za kierownicą daje znak Arpowi, żeby się zbliżył.

Arp wzdycha z ulgą. To samochód, o którym była mowa w instrukcji.

Arp podchodzi do tylnych drzwi. Drzwi się otwierają, Arp chwyta czyjeś wyciągnięte ręce i znowu pogrąża się w ciemnościach.

W furgonetce jest ciasno. Siedząc na podłodze Arp słyszy

ciężki oddech ludzi, plecami i ramionami czuje dotyk innych ciał. Miętko kołysząc się na resorach furgonetka bezszelestnie pędzi w mrok.

Budzi go światło latarki świecącej mu prosto w oczy. Coś się stało! Znikło wrażenie ruchu, do którego tak już przywykł.

— Chwila odpoczynku! – mówi człowiek z latarką. – Na pięć minut możecie wyjść.

Arp wcale nie ma ochoty wychodzić z samochodu, ale z tyłu napierają inni i musi zeskoczyć na ziemię.

Wszyscy instynktownie stłoczyli się wokół szoferki, nikt nie ryzykuje odejścia od furgonetki.

— A więc tak, przyjaciele! – mówi ich zbawca oświetlając latarką postacie w pasiakach. – Na razie wszystko idzie dobrze, ale zanim dojedziemy na miejsce, może się jeszcze wszystko zdarzyć. Wiecie, czym grozi ucieczka?

Milczenie.

— Wiecie. Dlatego Komitet zaopatrzy was w truciznę. Po jednej tabletki na głowę. Działa błyskawicznie. Zażywać tylko w razie ostateczności. Jasne?

Arp dostaje swój przydział, tabletkę zawiniętą w srebrzystą cynfolię i ponownie wdrapuje się do furgonetki.

Zaciśnięta w dłoni tabletki daje mu poczucie siły. Teraz policja straciła nad nim władzę. Z tą myślą Arp zasypia.

Niebezpieczeństwo! Wyczuwa się je we wszystkim – w martwocie samochodu, w poblądłych, oświetlonych światłem przenikającym przez szpary w plandecie twarzach uciekinierów, w głośniejszej kłótni gdzieś na drodze.

Arp robi ruch, żeby wstać, ale dziesiątki rąk machają na niego,

pokazują, żeby się nie ruszał.

— Wojskowych ładunków nie wolno rewidować – to głos kierowcy — Powtarzam, że taki mam rozkaz. Dzisiejszej nocy...

Samochód zrywa się z miejsca i natychmiast w ślad za nim trzaskają serie z automatów. Sypią się kawałki drewna.

Kiedy Arp podnosi wreszcie głowę, dostrzega, że jego ręka ściska czyjąś maleńką dłoń. Ogolona głowa, patrzące spode łba czarne oczy okolone puszystymi rzęsami. Więzienny pasiak nie może ukryć dziewczęcych okrągłości. Na lewym rękawie zielona gwiazda. Niższa rasa.

Arp odruchowo cofa rękę i wyciera dłoń o spodnie. Prawa Medeny zabraniają kontaktów z przedstawicielami niższej rasy. Nie na darmo ci, którzy noszą gwiazdę, rodzą się i umierają w obozach.

— Nie złapią nas, prawda? Nie złapią?

Drżący głosik brzmi tak żałośnie, że Arp zapomina o prawach i przecząco kręci głową.

— Jak ci na imię?

— Arp.

— A mnie – Getta.

Arp opuszcza głowę na pierś i udaje, że drzemie. Przecież nikt nie wie, jak potraktują podobną rozmowę tam, dokąd ich wiozą.

Samochód skręcił z szosy i nie zmniejszając szybkości podskakuje na wybojach. Arpowi chce się jeść. Głód i wstrząsy przyprawiają go o mdłości. Stara się zdławić kaszel, nie chce przeszkadzać innym, ale przez to skurcze stają się nie do opanowania. Arp zgina się wpół, z gardła wyrywa się kaszel i bryzgi krwi.

Atak tak wyczerpuje Arpa, że nie ma już sił, aby odsunąć rękę z zieloną gwiazdą na rękawie, rękę, która wyciera mu pot z czoła.

Gorące, nocne powietrze przepojone zapachami egzotycznych kwiatów, ćwierkają cykady.

Nie ma już pasiaków. Długa do pięt płócienna koszula mile chłodzi rozparzone w łaźni ciało. Arp starannie oczyszcza łyżką misę po kaszy.

Na końcu stołówki, przed pomostem zbudowanym z pustych beczek i desek, stoi troje ludzi. Wysoki siwy mężczyzna o opalonej twarzy oracza, widać najważniejszy ze wszystkich. Sympatyczny młody chłopiec w mundurze armii Medeny. I drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy. Bardzo jej do twarzy w białym fartuchu.

Czekają, aż się skończy kolacja.

Wreszcie stuk łyżek ucicha. Najważniejszy zwinnie wskakuje na pomost.

— Witajcie, przyjaciele!

Radosny szum głosów jest odpowiedzią na to niezwykle powitanie.

— Przede wszystkim chcę wam zakomunikować, że jesteście tu całkowicie bezpieczni. Władze nie wiedzą, gdzie znajduje się nasz punkt ewakuacyjny.

Na szarych wycieńczonych twarzach pojawia się wyraz takiego szczęścia, że wydają się one nieomal piękne.

— Na tym punkcie ewakuacyjnym będziecie musieli spędzić pięć do dziesięciu dni. Mówiąc ściśle termin ten będzie ustalony przez waszego lekarza, ponieważ przed wami trudny

wielodniowy marsz. Miejscowość, do której was zaprowadzimy, oczywiście nie jest rajem. Trzeba tam będzie pracować. Każdą piędź ziemi w naszych osiedlach wyrywamy dżungli. Ale tam będziecie wolni, będziecie mogli założyć rodziny i pracować dla własnego dobra. Kwatery na pierwszy okres przygotowali wam ci, którzy przybyli przed wami. Taka jest nasza tradycja. A teraz będę odpowiadał na pytania.

Póki zadają pytania, Arpa zadreżca wahanie. Bardzo się chce dowiedzieć, czy w tych koloniach można się ożenić z dziewczyną niższej rasy. Jednakże kiedy się wreszcie zdecydował i nieśmiało podniósł rękę, wysoki mężczyzna o twarzy oracza zszedł już z pomostu.

Teraz do uciekinierów przemawia kobieta. Mówi cicho i śpiewnie i Arp musi natężyć słuch, żeby zrozumieć, o czym mowa.

Kobieta prosi, żeby wszyscy położyli się do łóżek i czekali na badanie lekarskie.

Arp znajduje swoje łóżko, na poręczy wisi tekturka z jego nazwiskiem, kładzie się na wykrochmalonym chłodnym prześcieradle i natychmiast zasypia.

Przez sen czuje, jak go przewracają z boku na bok, potem chłodny dotyk stetoskopu i kiedy unosi powieki, widzi drobną kobietę z rudym warkoczem zapisującą coś w notesie.

— Obudziłeś się? – uśmiecha się pokazując oślepiające, równe zęby.

Arp kiwa głową.

— Jesteś bardzo wycieńczony. Będziesz spać przez siedem dni. Zaraz cię uśpimy.

Dopiero teraz Arp dostrzega jakiś aparat przysunięty do łóżka. Kobieta naciska kilka guziczków na białym pulpicie i do mózgu Arpa przenika dziwny szum.

— Spać – mówi daleki, daleki melodyjny głos i Arp zasypia.

Śni mu się zdumiewający sen, pełen słońca i szczęścia.

Tylko we śnie możliwa jest taka upajająca powolność ruchów, całkowity brak poczucia ciężaru własnego ciała i takie cudowne szybowanie w powietrzu.

Ogromna łąka usiana olśniewająco białymi kwiatami. W oddali Arp widzi wysoką wieżę, lśniąca wszystkimi kolorami tęczy. Arp lekko odbija się od ziemi i powoli opada na dół. Niepowstrzymanie wabi go ku sobie lśniąca wieża, która emanuje nieopisaną błogością.

Arp nie jest sam. Ze wszystkich krańców łąki zdążają ku wieży ludzie ubrani tak jak i on w białe, długie koszule. Jest pomiędzy nimi Getta z podołkiem pełnym białych kwiatów.

— Co to? – pyta Arp, wskazując na wieżę.

— Obelisk Wolności. Chodźmy!

Biorą się za ręce i razem płyną w powietrzu przetkanym promieniami słońca.

— Poczekaj!

Arp również zbiera pełen podołek kwiatów i dalej płyną już wraz z Gettą. Składają kwiaty u stóp wieży — Kto zbierze więcej?! – woła Getta, płynąc wśród szarych lodyg. – Goń mnie!

Ich przykład zaraża innych. Mija niewiele czasu i podnóże wieży zasypane jest kwiatami.

Potem rozpalają ogniska, pieką na ogniu wielkie kawały mięsa nasadzone na długie cienkie pręty. Cudowny zapach szaszłyka



miesza się z zapachem płonących gałęzi, budzi jakieś wspomnienia, ogromnie odległe i ogromnie przyjemne.

Kiedy Arp zasypia przy dogasającym ognisku, w jego dłoni spoczywa mała, ciepła dłoń.

Gasną ogniska. Wyłączono różnokolorowe żarówki. Na samym dole tuż przy ziemi otwierają się drzwi i dwie gigantyczne mechaniczne łapy zgarniają bawełnę do środka.

Pod oszkloną kopułą stary opalony mężczyzna patrzy na wskazówkę automatycznej wagi.

— Pięć razy więcej niż wszystkie poprzednie partie – mówi wyłączając transporter. – Obawiam się, że przy takim szalonym tempie nie wytrzymają nawet tygodnia.

— Trzymam zakład o dwie butelki – wesoło uśmiecha się sympatyczny chłopiec w wojskowym mundurze. – Pociągną normalne dwadzieścia dni. Hipnoza to wielka rzecz! Można było zdechnąć ze śmiechu, kiedy żarli tę pieczoną brukiew! Pod hipnozą każdy zrobi wszystko, co się zechce. Prawda, pani doktor?

Drobna kobieta z ciężkim rudym warkoczem owiniętym wokół głowy nie śpieszy się z odpowiedzią. Podchodzi do okna, włącza reflektor i uważnie patrzy na obciążone skórą twarze, przypominające trupie czaszki.

— Pan nieco przecenia możliwości elektrohipnozy – mówi obnażając w uśmiechu ostre zęby wampira. – Potężne promieniowanie pola może tylko nakazać rytm pracy i określić pewien ogólny kierunek działania. Ale podstawową sprawą jest odpowiednie psychiczne zaprogramowanie. Imitacja ucieczki, rzekome niebezpieczeństwo – wszystko to stworzyło u nich

poczucie wolności zdobytej za wysoką cenę. Trudno przewidzieć, jakie kolosalne rezerwy organizmu mogą wyzwolić uczucia wyższego rzędu.

*Przełożyła Irena Lewandowska*

## O autorze

Ilja Warszawski (1908–1974) rosyjski autor SF. Ukończył Wyższą Szkołę Morską, pracował jako mechanik i inżynier, a debiutował w 1929 roku opowieściami morskimi. Pierwsze opowiadanie fantastyczne opublikował bardzo późno, bo w 1962 roku. Zdążył opublikować 80 opowiadań. Zmarł w 1974 roku.

Jego twórczość jest dość różnorodna, dominowały jednak opowiadania żartobliwe, wyśmiewające zbytnią wiarę w cybernetykę i robotyzację.

W Polsce opublikowano 37 opowiadań. Większość w antologiach. Był obecny prawie we wszystkich tomach starych *Kroków w nieznanie*.

---

## GORDON R. DICKSON

---

*Dickson, w odróżnieniu od dekonników i gamoni, zapelniających świat SF, wojsko odsłużył i wyniósł z niego szacunek dla żołnierskiej fachowości i poczucia honoru. Dał temu wyraz w serii powieści o planecie najemników – Dorsai. To porządna fantastyka rozrywkowa, ale w tym opowiadaniu autor zawarł esencje swojej serii... i wyszło znakomicie. Nebula 1966, mimo że wtedy amerykańskie środowisko science fiction było bardzo antimilitarystyczne.*

### Mów mu Panie

*Gdy przybył, dowódcą mi był – przeto go poznałem.  
Później wszak mnie zawiódł – przeto śmierć mu zadałem.  
Z pieśni giermka*

Wraz ze słońcem, które codziennie wynurza się zza wzgórz Kentucky, obudził się Kyle Arnam. Dzień miał trwać jedenaście godzin i czterdzieści minut. Kyle wstał, ubrał się i wyszedł osiodłać myszatego wałacha oraz siwego ogiera. Wskoczył na ogiera i przez jakiś czas cwałował na nim, póki śnieżnobiałego karku zwierzęcia nie przestała wyginać gniewna furia. Potem przywiązał konie przed kuchennym wejściem i poszedł na śniadanie.

Wiadomość, którą otrzymał przed tygodniem, leżała obok

talerza z jajkami na bekonie. Teena, jego żona, stała przy desce do krojenia, zwrócona do niego plecami. Usiadł i jedząc, ponownie odczytał list.

*...Książę będzie podróżował incognito, pod jednym z rodowych tytułów, jako hrabia Sirii North i nie należy go tytułować Waszą Wysokością. Mów mu: panie.*

— Dlaczego to musisz być ty? – wyrzuciła z siebie Teena.

Podniósł wzrok, ale nadal widział tylko plecy żony.

— Teena... – zawiesił głos ze smutkiem.

— No, słucham.

— Moi przodkowie byli strażnikami, osobistą ochroną jego przodków, jeszcze w czasach wojen zdobywczych przeciwko obcym. Już ci to mówiłem – przerwał. – Moi pradziadowie ratowali ich przed śmiercią, nawet gdy pozornie nie zanosilo się na niebezpieczeństwo. Choćby wtedy, gdy jak grom z jasnego nieba spadał na naszą flotę krążownik Rakich, gotów zaatakować nasz okręt flagowy; sam imperator musiał ramię w ramię z innymi walczyć o życie.

— Zgoda, tylko że po obcych nie ma już śladu, a imperator ma tysiące innych światów! Dlaczego jego syn nie może odbywać swej podróży dojrzałości gdzie indziej? Dlaczego musiał wybrać Ziemię – i ciebie?

— Bo istnieje tylko jedna Ziemia.

— I tylko ty jeden, prawda?

Kyle westchnął z rezygnacją. Po śmierci matki jego wychowaniem zajmowali się ojciec oraz wuj, i w sprzeczkach z Teeną zawsze czuł się bezbronny. Wstał od stołu, podszedł do

żony i kładąc ręce na jej ramionach próbował ją delikatnie obrócić do siebie. Bezskutecznie.

Ponownie westchnął i podszedł do szafki z bronią. Wyjął załadowany pistolet i wsadził go do dobrze dopasowanej wypukłej kabury, którą potem zaczepił do pasa z lewej strony. Następnie wybrał sztylet o ciemnej rękojeści z sześciocalowym ostrzem i pochyliwszy się, umieścił go w pochwie wewnątrz wysokiej cholewy buta. Naciągnął mankiet spodni i wyprostował się.

— On nie ma prawa tu przebywać! – mówiła gwałtownie Teena wciąż nie odwracając się do męża. – Dla turystów istnieją specjalnie wyznaczone skanseny i pensjonaty – Nie jest turystą i dobrze o tym wiesz – odparł cierpliwie Kyle. – Jest najstarszym synem imperatora. Jego prababka pochodziła z Ziemi, podobnie jak stąd pochodzić będzie jego żona. Członkowie co czwartej generacji linii władców muszą się połączyć węzłami małżeńskimi z rodowitą Ziemianką. Takie jest prawo. Nadal. – Wdział skórzaną kurtkę i zapiął na dole zamek błyskawiczny, by nie wystawała kabura pistoletu. Odwrócił się do drzwi, ale w połowie ruchu zatrzymał się.

— Teena? – powiedział cicho.

Nie odpowiedziała.

— Teena! – powtórzył głośniejszym głosem. Podszedł do żony i ponownie spróbował ją do siebie obrócić. I ponownie się oparła. Tym razem jednak Kyle nie zrezygnował.

Nie był zbyt postawnym mężczyzną – raczej średniego wzrostu, o okrągłej twarzy – a jego spadziste ramiona, choć masywne, nie wyglądały zbyt imponująco. Odznaczał się jednak

niezwykłą siłą: owijając wokół dłoni grzywę ogiera potrafił zmusić go do ukłęknięcia, czego nie umiał dokonać nikt inny. Bez najmniejszego wysiłku odwrócił więc żonę do siebie.

— Może jednak mnie wysłuchasz – zaczął, lecz zanim zdążył coś dodać, w jednej chwili opuściła ją cała gniewna zaciętość. Rozdygotana przywarła do niego.

— Przez niego tylko sobie biedy napytasz! Wiem, że tak będzie! – wyrzucała z siebie zduszone słowa, wtulona w jego kurtkę. – Nie idź, Kyle’u! Nie ma prawa, które by cię do tego zmusiło!

Ze ściśniętym i suchym gardłem pogładził miękkie włosy żony. Nie miał co odpowiedzieć. Jej prośba była niemożliwa do spełnienia. Od czasów, gdy promienie słońca po raz pierwszy padły na złączone pary mężczyzn i kobiet, w takich chwilach jak ta żony przywierały do mężów i błagały o coś, co się nie mogło spełnić. I tak jak teraz Kyle Teenę, mężczyźni obejmowali swoje kobiety, jak gdyby wierząc, że zrozumienie może przeniknąć z jednego ciała do drugiego. I milczeli, bo brak im było słów.

Kyle przez chwilę jeszcze tulił żonę, a potem delikatnie odsunął ją od siebie i wyszedł. Wsiadł na ogiera, a wałacha chwycił za uzdę; gdy odjeżdżał; widział Teenę przez szybę. Już nie płakała – z pochyloną głową i opuszczonymi ramionami stała bez ruchu tam, gdzie ją zostawił.

Pędził przez zalesione wzgórza Kentucky. Dotarcie do wyznaczonego miejsca zajęło mu ponad dwie godziny. Zjechał ze stromizny wzgórza wprost na utrzymany w wiejskim stylu drewniany dworek. W bramie dostrzegł wysokiego brodatego mężczyznę odzianego w strój, jaki nosiło się na niektórych z

Młodszych Światów.

Gdy podjechał bliżej, zauważył, że mężczyzna ma posiwiałą brodę, zaś ponad prostym i wąskim nosem oczy nabiegłe krwią, otoczone podkówkami, jak od zmartwienia czy niewyspania. Przygryzał wyraźnie zasepiony usta.

— Jest na dziedzińcu – odezwał się, gdy Kyle stanął przy nim. – Nazywam się Montlaven i jestem jego nauczycielem. Już czeka, gotowy do podróży – Pociemniałe oczy wpatrywały się w Kyle’a jakby z niemą prośbą.

— Nie zbliżaj się do łba ogiera – ostrzegł Kyle i dodał: – Prowadź mnie.

— Ten koń to chyba nie dla niego, co...? – spytał Montlaven i odsunął się, zerkając nieufnie na potężne zwierzę.

— Nie – uspokoił go Kyle. – Pojedzie na wałachu.

— Będzie chciał siwka...

— To niemożliwe, nawet gdybym na to pozwolił. Tylko ja mogę go dosiadać. Wskaż mi drogę.

Montlaven odwrócił się i ruszył przez porośnięty trawnikiem dziedziniec, na który z trzech stron wychodziły okna dworku. W wygodnym ogrodowym fotelu przy basenie siedział niespełna dwudziestoletni wysoki chłopak z grzywą płowych włosów; na trawie obok leżały dwa wypchane juki. Na widok Kyle’a i nauczyciela podniósł się.

— Wasza Wysokość – odezwał się Montlaven – oto Kyle Arnam, który przez trzy następne dni ma pełnić rolę ochrony osobistej Waszej Wysokości.

— Dzień dobry, strażniku... to znaczy, Kyle’u. – Księżę uśmiechnął się z figlarną zaczepką. – No, możesz już zejść z



konia.

— Dla ciebie przeznaczony jest wałach, panie – wyjaśnił Kyle.

Książę wlepił w niego wzrok, a następnie odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Człowieku, wiesz, jak ja jeżdżę!? Mówię ci!

— Ale nie na tym koniu, panie – odparł Kyle beznamiętnie. – Tylko ja go mogę dosiadać.

Książę wytrzeszczył oczy, uśmiech znikł z jego twarzy, lecz prawie natychmiast powrócił.

— No i co ja mam robić? – Wzruszył szerokimi ramionami. – Poddaję się, zresztą jak zawsze. No, powiedzmy. – Posłał Kyle'owi szeroki i, mimo lekko ściągniętych ust, szczery uśmiech. – Zgoda.

Podszedł do wałacha – i nagłym skokiem znalazł się na jego grzbiecie. Zaskoczony koń parsknął i przysiadł na zadzie, lecz zaraz się uspokoił, gdy długie palce młodzieńca zacisnęły się fachowo na cuglach, a druga dłoń poklepała szary kark zwierzęcia. Książę uniósł brwi spoglądając na Kyle'a, lecz ten siedział nieporuszony.

— Zakładam, że jesteś uzbrojony, mój zacny Kyle'u? – spytał książę z lekką kpina. – Na wypadek, gdybyś musiał mnie bronić przed hordą rozwścieczonych tubylców?

— Twoje życie jest w moich rękach, panie – odparł Kyle. Rozpiął skózaną kurtkę, by pokazać pistolet, i zaraz ponownie ją zapiął.

— Will – Montlaven położył swojemu podopiecznemu rękę na kolanie – nie daj się ponieść lekkomyślności, chłopcze. To Ziemia. Jej mieszkańcy są ludźmi innej klasy i obyczajów. Zastanów się dobrze, zanim...

— Och, daj spokój, Monty! – uciął księżę. – Będę równie skromny i nie rzucający się w oczy, równie archaiczny i niezależny jak cała reszta. Myślisz, że mam kurzą pamięć? Zresztą i tak do czasu, gdy przyłączy się do mnie mój królewski ojciec, upłyną zaledwie trzy dni czy coś koło tego. A teraz – pozwól mi jechać!

Odwrócił się raptownie w siodle, wtulił w kark wałacha i ruszył jak strzała w stronę bramy. Gdy znikł po drugiej stronie, Kyle ściągnął z całych sił uzdę, z trudem utrzymując w miejscu roztańczonego ogiera, który rwał się do galopu w ślad za wałachem.

— Podaj mi juki księcia – polecił staremu nauczycielowi.

Montlaven pochylił się, podniósł torby z trawy i podał je Kyle'owi. Ten przytroczył juki mocno obok swoich, umieszczonych po bokach kłębu konia. Zauważył łzy w oczach Montlavena.

— To wspaniały chłopak, zobaczysz. Przekonasz się! – Na zwróconej ku górze twarzy Montlavena malowało się nieme błaganie.

— Na razie jestem przekonany, że pochodzi ze wspaniałej rodziny i zrobię dla niego wszystko, co w mojej mocy – odparł spokojnie Kyle i skierował rumaka w stronę bramy. Po księciu nie było ani śladu. Kyle nie miał jednakże kłopotów z odszukaniem go – ślady kopyt wałacha w brązowej ziemi wyraźnie wskazywały kierunek. Minął kępę sosen i znalazł się na otwartej przestrzeni. Księżę siedział na trawiastym zboczu i spoglądał w niebo przez lunetę.

Kiedy Kyle zsiadł z konia, chłopak oderwał oczy od przyrządu

i bez słowa mu go podał. Kyle przyłożył lunetę do oka i spojrzał w górę. W pole widzenia okularu, z narastającym warkotem maszyny holowniczej, wpłynęła jedna z orbitujących wokół Ziemi stacji energetycznych.

— Oddaj – nakazał książę, a gdy Kyle wręczył mu lunetę, powiedział: – Nigdy nie miałem okazji przyjrzeć się żadnej z nich, a straszną już miałem na to ochotę. Bo to raczej dość kosztowny prezent, podobnie jak pozostałe stacje, opłacony z zasobów naszego królewskiego skarbcza. I tylko po to, by wasza planeta ponownie nie zboczyła z kursu i tym samym nie znalazła się w epoce kamienia łupanego. A co my z tego mamy?

— Ziemię, panie – odparł Kyle. – Taką samą, jaka była, zanim ludzie wyprawili się w gwiazdy.

— Eee, tam. Do zachowania porządku w ziemskim skansenie wystarczyłaby jedna stacja i pół miliona kustoszów – odparł książę. – A mnie chodzi o dwie pozostałe stacje i miliard, czy ilu was tu jest, darmozjadów. Będę się tym musiał zająć, gdy zostanę imperatorem. Jedziemy dalej?

— Jak sobie życzysz, panie. – Kyle ujął uzdę ogiera i gdy jego towarzysz dosiadł konia, ruszyli z boczem.

— I jeszcze jedno – dodał książę, gdy dotarli do kępy sosen – żeby nie było niedomówień. Szczerze lubię starego poczciwego Monty’ego. Rzecz jednak w tym, że tak naprawdę nigdy nie byłem przekonany do przyjazdu tutaj... Patrz na mnie, strażniku!

Kyle obrócił się i zajrzał w niebieskie, jak u wszystkich potomków linii królewskiej, oczy, które teraz łyskały dziko. Zaraz jednak niespodziewanie złagodniały i książę zaśmiał się.

— Niełatwo cię przestraszyć, strażniku... to znaczy... Kyle’u,

jeśli dobrze pamiętam? Chyba mimo wszystko mi się podobasz. Tylko z łaski swojej patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

— Tak, panie.

— No, to mamy jasność, zacny Kyle'u. A zatem, jak starałem się ci wyjaśnić, nigdy nie byłem przekonany do pomysłu odbycia swojej podróży dojrzałości właśnie tutaj. Nie widzę najmniejszego sensu w zwiedzaniu tego starego zakurzonego muzealnego świata, gdzie ludzie upierają się żyć jak w średniowieczu. Lecz namówił mnie do tego mój królewski ojciec.

— Twój ojciec, panie?

— Tak, można by wręcz powiedzieć, że mnie przekupił – odparł książę z namysłem. – Te trzy dni tutaj mieliśmy spędzić razem, przysłał jednak wiadomość, że dołączy nieco później. Zresztą, nieważne. Rzecz w tym, że należy do starej szkoły kierującej się przekonaniem, iż Ziemia to jakiś bezcenny skarb. A tak się składa, że lubię i podziwiam mojego ojca, Kyle'u. To dobrze?

— Owszem, panie.

— Byłem pewien, że tak odpowiesz. Tak, to jedyny przedstawiciel rasy ludzkiej, z którego czerpię wzór. I właśnie po to, by mu się przypodobać – ale tylko jemu, Kyle'u! – będę się starał być grzecznym księciem, który z ochotą da się oprowadzać po waszych cudach przyrody i kurortach, czy co tu jeszcze macie. – Przerwał. – Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy, także co do celu naszej wycieczki, prawda? – spojrzał uważnie na Kyle'a.

— Tak, panie.

— Doskonale – uśmiechnął się ponownie książę. – Czas więc, byś zaczął opowiadać mi o tutejszych drzewach, ptakach i

zwierzętach. Znajomością ich nazw chciałbym sprawić radość memu ojcu. Na przykład, co to są za ptaszki tam pod koronami drzew, brązowe u góry, z białymi brzuskami? Jak choćby ten, o tam!

— To drozd, panie – odparł Kyle. – Ptak głuszy leśnych i zacisznych miejsc. Posłuchaj... – Przytrzymał wodze wałacha i oba konie stanęły. W nagłej ciszy usłyszeli srebrzysty śpiew ptaka, na przemian rosnący i opadający, falujący od *crescendo* do *diminuendo*, a w końcu wtapiający się w leśną ciszę. Przez chwilę książę patrzył niewidzącym wzrokiem na Kyle'a, po czym otrząsnął się jak przebudzony z głębokiego snu.

— Ciekawe – mruknął. Wziął w garść wodze i oba konie ruszyły stępa. – Opowiadaj dalej.

Podczas trzech następnych godzin, kiedy słońce wznosiło się do zenitu, jechali przez zalesione wzgórza. Kyle opisywał swemu towarzyszowi każdego napotkanego ptaka, zwierzę, owada, drzewo czy skałę. Przez cały czas książę słuchał, z szybko rosnącym i równie szybko gasnącym, acz niezmiennie wnikliwym, zainteresowaniem. Wszakże w chwili, gdy słońce ich wyprzedziło, jego uwaga osłabła.

— Wystarczy – stwierdził. – Nie zatrzymamy się gdzieś na posiłek, Kyle'u? Nie ma tu żadnych miasteczek w pobliżu?

— Są, panie – odrzekł Kyle. – Kilka z nich minęliśmy.

— Kilka? – Książę zmierzył go wzrokiem. – To dlaczego jeszcze w żadnym nie zatrzymaliśmy się? Gdzie ty mnie wiesz?

— Nigdzie, panie. To ty prowadzisz, ja zaś jadę za tobą.

— Ja? – zdumiał się książę i chyba po raz pierwszy dostrzegł, że przez całą drogę jego wałach o łeb wyprzedzał ogiera. – Aaa,

rzeczywiście. No więc, pora na posiłek.

— Dobrze, panie – zgodził się Kyle. – Tędy.

Skręcił i zjechał do podnóża wzniesienia, którego zboczem jechali. Księżę ruszył za nim.

— A teraz posłuchaj i sprawdź, czy wszystko się zgadza – zaproponował księżę, gdy zrównał się z Kyle’em, i ku jego zdumieniu prawie słowo w słowo powtórzył wszystko, co od niego usłyszał. – Czy coś mi umknęło, o czymś zapomniałem?

— O niczym, panie – przyznał Kyle.

Księżę patrzył na niego z szelmowskim uśmiechem.

— Potrafiłbyś tak samo, Kyle’u?

— Owszem, tyle że uczyłem się tego całe życie.

— Widzisz? – rozpromienił się księżę. – W tym właśnie tkwi różnica pomiędzy nami, mój dobry Kyle’u. Ty przez całe życie uczysz się czegoś, na co ja potrzebuję zaledwie kilku godzin, a wiem tyle samo, co ty.

— Nie tyle samo – odparł powoli Kyle.

Księżę spojrzał na niego gwałtownie, lecz zaraz machnął ręką, na wpół ze złością, a na wpół niedbale.

— To, co sobie tam jeszcze wiesz, pewnie i tak nie ma znaczenia – mruknął.

Zjechali w dolinę i ujrzeli przed sobą niewielką wioskę. Jak tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, w ich uszy uderzyły dźwięki muzyki.

— A to co takiego? – księżę podniósł się w strzemionach. – No proszę, jakaś potańcówka?

— To letnia piwiarnia, panie. Jest sobota, czas zabawy.

— Wyśmienicie. Pojedziemy tam coś przekąsić.

Dojechali do ogródka piwnego, usiedli przy stoliku z tyłu parkietu tanecznego i zamówili jedzenie u ładnej młodej kelnerki. Przez cały czas księżę słał jej promienny uśmiech, aż wreszcie mu go odwzajemniła i szybko odeszła, jakby lekko zmieszana. Księżę pochłaniał z apetytem posiłek, do którego wypił półtora kufła ciemnego piwa; Kyle jadł mniej i popijał kawą.

— No, już lepiej – odsapnął w końcu księżę, rozpierając się w krześle. – Ależ byłem głodny... Spójrz, Kyle'u! Popatrz, pięć, sześć... siedem zaparkowanych wiatropławów. Więc nie wszyscy jeździcie wierzchem?

— Nie – odparł Kyle. – Każdy porusza się według własnego uznania.

— Skoro macie wiatropławy, to dlaczego rezygnujecie z innych wytworów cywilizacji?

— Niektóre rzeczy pasują do naszego świata, inne nie, panie – wyjaśnił Kyle. Księżę roześmiał się.

— Chcesz powiedzieć, że staracie się dopasować cywilizację do waszego staroświeckiego sposobu bycia? Czy aby nie powinno być na odwrót...? – Przerwał i zmienił temat. – Co grają? Całkiem ładne. Mogę się założyć, że nie miałbym kłopotów z zatańczeniem tego. – Wstał. – Zresztą zaraz się o tym przekonamy.

Spojrzał na Kyle'a.

— Nie zamierzasz mi odradzić?

— Nie, panie. To, co robisz, jest twoją sprawą.

Młodzieniec odwrócił się nagle. Obok jednego z pobliskich stolików przechodziła właśnie młoda kelnerka, ta sama, która

wcześniej ich obsługiwała. Księżę dogonił ją przy okalającej parkiet barierce. Kyle zauważył protesty dziewczyny, lecz księżę nie dał się zbyć, czarując ją uśmiechem z wyżyn swojego wzrostu. W końcu kelnerka ściągnęła fartuszek i znalazła się z księciem na parkiecie, pokazując mu kroki tańca – polki.

Księżę uczył się błyskawicznie i wkrótce uwijał się ze swoją partnerką pośród innych, przytupując przy każdej zmianie figury i błyskając w uśmiechu białymi zębami. Wreszcie muzycy przerwali, odłożyli instrumenty i opuścili estradę.

Mimo wysiłków starającej się go powstrzymać dziewczyny księżę podszedł do kierownika zespołu. Kyle poderwał się na nogi i z uwagą śledził bieg wydarzeń. Szef muzyków pokręcił głową, odwrócił się na pięcie i powoli odszedł. Księżę chciał za nim pobiec, ale dziewczyna przytrzymała go za rękę, coś mu gorączkowo tłumacząc.

Odepchnął ją, aż się lekko zachwiała. Usługujący przy stolikach pomocnik kelnera, nieco starszy od księcia i prawie równie wysoki, odłożył gwałtownie tacę i przeskoczywszy barierkę, znalazł się na wypolerowanym parkiecie. Stał za księciem i chwytając go za ramię odwrócił do siebie.

— ...się tak nie robi – zbliżający się do nich Kyle usłyszał słowa chłopca.

Księżę zaatakował jak pantera lub raczej jak zawodowy bokser i trzy błyskawicznie następujące po sobie zamaszyste lewe sierpowe, wzmocnione ciężarem ciała, wylądowały na twarzy młodego kelnera.

Chłopak upadł, a Kyle złapał księcia i wyprowadził go przez boczną furtkę. Twarz księcia poszarzała od gniewu. Krąg



taneczny zaroił się od ludzi.

— Kto to był!? Jak się nazywa!? – wydusił księżę przez zaciśnięte zęby. – Ważył się podnieść na mnie rękę, widziałeś!? Jak śmiał!

— Znokautowałaś go, panie – odparł Kyle. – Czego ci więcej trzeba?

— Powążył się mnie tknąć. Mnie! – Nie ustępował rozwścieczony księżę. – Muszę się dowiedzieć, kto to! – Chwycił się kurczowo belki, do której przywiązane były konie, nie dając się ruszyć z miejsca. – Już ja mu pokażę! Nauczy się, co to znaczy tknąć palcem przyszłego imperatora!

— Nikt ci nie poda jego nazwiska – tłumaczył Kyle. Chłód pobrzmiwający w jego głosie w końcu dotarł do świadomości księcia i podziałał niby zimny prysznic.

— Ty także? – spytał po chwili.

— Ja także, panie – padła odpowiedź.

Księżę jeszcze przez moment mierzył go wzrokiem, wreszcie puścił się gwałtownie belki. Szarpnięciem odwiązał wałacha, mocnym wyrzutem ciała wskoczył na siodło i odjechał. Kyle odwiązał swego wierzchowca i podążył za nim.

W milczeniu zagłębili się w las. Po chwili księżę odezwał się nie odwracając głowy.

— I ty nazywasz siebie strażnikiem.

— Twoje życie jest w moich rękach, panie – odparł Kyle.

Księżę popatrzył na niego z grymasem.

— Tylko moje życie? – wycedził. – To znaczy, że póki żaden z nich nie spróbuje mnie zabić, to wolno im robić ze mną, co tylko im się spodoba? Czy to miałeś na myśli?

Kyle odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

— Można tak powiedzieć, panie.

W głosie księcia pojawiła się nieprzyjemna nuta.

— Chyba jednak cię nie lubię, Kyle'u – warknął. – A właściwie, na pewno cię nie lubię.

— Nie po to jestem z tobą, panie, byś mnie polubił – odrzekł Kyle.

— Może i nie – wychrypiał księżę. – Jedno jest pewne, przynajmniej twoje nazwisko znam.

Przez jakieś pół godziny jechali w przedłużającym się milczeniu. Powoli jednak plecy oraz szczęki księcia rozluźniły się i wreszcie zaczął nucić do siebie w jakimś nieznanym Kyle'owi języku, a śpiew zdawał się przywracać mu dobry nastrój. Wkrótce wszczął rozmowę z Kyle'em takim tonem, jak gdyby przez cały czas panowała między nimi przyjaźń.

Gdy zbliżyli się do Jaskini Mamuciej, księżę wyraził chęć obejrzenia jej, tak więc jakiś czas spędzili na zwiedzaniu. Potem popędzili konie wzdłuż lewego brzegu Zielonej Rzeki. Księżę zdawał się już zupełnie nie pamiętać o incydencie w piwiarni i wychodził z siebie, by oczarować każdą napotkaną osobę. W końcu, gdy słońce chyliło się ku zachodowi i czas było pomyśleć o kolacji, natknęli się na niewielki przysiółek nad rzeką, a w nim na wtuloną w kępę dębów i sosen przydrożną gospodę, która niczym w zwierciadle odbijała się w malowniczym stawie.

— Wygląda nieźle – orzekł księżę. – Zostaniemy tu na noc.

— Jak sobie życzysz, panie – przystał Kyle.

Kyle zaprowadził konie do stajni, po czym wszedł do środka i zobaczył, że księżę zdążył już odnaleźć mały barek przylegający

do sali jadalnej, gdzie popijał piwo i czarował kelnerkę. Dziewczyna była młodsza od swej poprzedniczki z ogródka piwnego – drobna, z rozpuszczonymi delikatnymi włosami i okrągłymi brązowymi oczami, w których odbijał się zachwyty wywołany atencją postawnego i przystojnego chłopaka.

— Tak – odezwał się książę, patrząc na Kyle’a kątem swych niebieskich imperatorskich oczu, gdy kelnerka poszła po kawę dla Kyle’a. – To wymarzone miejsce.

— Pod jakim względem? – spytał Kyle.

— Aby zadzierzgnąć lepsze kontakty z miejscową ludnością. A ty co sobie myślałeś, Kyle’u? – odparł książę i roześmiał się. – Będę ich sobie obserwował, a ty wspomóżesz mnie swymi uwagami. Czyż to nie wyborny pomysł?

Kyle spojrzał na niego z namysłem.

— Powiem ci, panie, wszystko, co mogę.

Napili się – książę piwa, a Kyle kawy – i po chwili przenieśli się do jadalni na kolację. Książę, jak zapowiedział przy barze, zasypywał Kyle’a pytaniami o wszystko, co widział i czego nie widział.

— ...ale po co tak żyć przeszłością, jak wy tutaj? – dociekał. – Skamieniały świat, niech będzie. Ale żywe skamieniałości...? – Przerwał, by rzucić uśmiech i zagadać do brązowookiej delikatnowłosej panny, której jakimś trafem przypadło obsłużenie ich stołu.

— Nie, panie. Nie żywe skamieniałości, lecz jak najbardziej żywi ludzie. Jedynym sposobem zachowania rasy i kultury jest kontynuacja. Tak więc żyjemy tu, na Ziemi, na swój własny sposób, jako żywy przykład dla Młodszych Światów, wzorzec, z

którym mogłyby się porównywać.

— Fascynujące – bąknął książe. Jego oczy nieustannie śledziły kelnerkę, która słała mu uśmiechy z drugiego końca coraz bardziej zapełniającej się sali.

— Wcale nie fascynujące, panie, konieczne – sprostował Kyle, odniósł jednak wrażenie, że książe nie dosłyszał jego słów.

Po kolacji wrócili do baru. Po wypytaniu Kyle'a jeszcze o to i owo książe wszczął rozmowę ze stojącymi przy kontuarze innymi gośćmi. Przez chwilę Kyle przyglądał się temu, a potem, oceniwszy, że może bez obaw zostawić księcia samego, wyszedł doglądać koni i zamówić u gospodarza zajazdu prowiant na następny dzień podróży.

Kiedy wrócił, po księciu nie było ani śladu.

Przez jakiś czas Kyle czekał przy stole, jednakże jego towarzysz nie pojawił się. Ze ściśniętym dołkiem poczuł, jak ogarnia go lodowata fala niepokoju. Powodowany nagłym strachem wybiegł sprawdzić, co z końmi. Lecz te spokojnie skubały siano w swoich boksach. Wyczuwając czyjąś obecność ogier zarżał cicho i odwrócił w stronę swego pana siwy łeb.

— Spokojnie, stary – uspokoił go Kyle i wrócił do zajazdu poszukać gospodarza. Ten jednakże nie miał pojęcia, gdzie się podział towarzysz Kyle'a.

— Jeśli konie są w stajni, nie mógł się bardzo oddalić – uspokajał. – A w najbliższej okolicy nic mu nie grozi. Może się wybrał na przechadzkę do lasu. Zostawię wiadomość dla nocnego personelu, żeby mieli go specjalnie na uwadze, kiedy wróci. Gdzie pana szukać?

— W barze, aż do zamknięcia, potem w pokoju – odparł Kyle.

Wrócił do baru i usiadł przy otwartym oknie. W miarę upływu czasu sala coraz bardziej pustoszała. Zegar nad rzędami butelek wskazywał prawie północ, gdy nagle przez otwarte okno do uszu Kyle'a dobiegło gniewne rżenie.

Podерwał się i wybiegł na zewnątrz. Mimo ciemności ruszył biegiem w stronę stajni i wpadł do środka. W nikłym świetle pomiędzy stanowiskami dla koni dostrzegł pobladłego księcia, który niemrawo siodłał wałacha. Drzwiczki do przegrody ogiera stały otworem. Na widok Kyle'a księżę odwrócił wzrok.

Trzema szybkimi susami Kyle dopadł otwartego boksu i rzucił spojrzenie w głąb. Ogier był nadal uwiązany, ale uszy miał płasko położone po sobie, oczy dziko rozbiegane, obok zaś, na ziemi, Kyle dostrzegł bezładnie rzucone siodło.

— Siodłaj konia – rozkazał księżę stłumionym głosem. – Odjeżdżamy.

Kyle spojrział na niego.

— W gospodzie czekają na nas z noclegiem – przypomniał.

— Daj spokój z noclegiem. Ruszamy. Muszę trochę ochłonać.

Zawiązał ciasno popręg na brzuchu wałacha, opuścił strzemiona i wgramolił się na siodło. Następnie, nie czekając na Kyle'a, wyjechał ze stajni i znikł w mroku nocy.

— No już, już... – powiedział Kyle uspokajająco do konia. Pośpiesznie odwiązał go i osiodłał, a następnie podążył za księciem. Ciemność nie pozwalała na odszukanie w trawie śladów kopyt wałacha, więc Kyle pochylił się i dmuchnął w ucho wierzchowca. Koń zareagował zdumionym parsknięciem, któremu z prawej, z pogrążonego w mroku wzgórza, odpowiedziało rżenie wałacha. Kyle popędził w tamtym

kierunku.

Dogonił księcia na szczycie. Młodzieniec jechał powoli, ze spuszczonej wodzą, nucąc pod nosem tę samą piosenkę w nieznanym języku co kilka godzin wcześniej. Widok Kyle'a wywołał na jego twarzy maślany uśmiech, a śpiew nabrał mocy. I po raz pierwszy Kyle wychwycił w niezrozumiałych dla siebie słowach jakiś kpiący lubieżny ton. Raptem go olśniło.

— Ta dziewczyna! – podniósł głos. – Ta kelnerczka. Gdzie jest?!

Uśmiech spłynął z warg księcia, potem powoli powrócił, wyraźnie już ironiczny.

— A jak ci się wydaje? – bełkotliwe słowa z trudem przeciskały mu się przez usta. Zbliżywszy się, Kyle poczuł od niego mocny zapach piwa. – W swoim pokoiku, pogrążona w smacznym śnie i szczęśliwa. Zaszczyczona, choć nawet o tym nie wie, względami imperatorskiego syna. A także przekonana, że rankiem zostanie u swego boku. Ale mnie tam nie będzie. Prawda, Kyle'u?

— Dlaczego to zrobiłeś, panie? – spytał cicho Kyle.

— Dlaczego? – Książę starał się skoncentrować na nim zamglony wzrok. – Mój ojciec, Kyle'u, ma czterech synów, to znaczy, że mam trzech młodszych braci. Jednakże to ja zostanę imperatorem, a imperatorzy nie odpowiadają na pytania.

Kyle milczał. Książę nadal wpatrywał się w niego. W ciszy przejechali kilkanaście następnych minut.

— No dobrze, powiem ci dlaczego – rzekł wreszcie książę, nieco głośniej i takim tonem, jak gdyby w ich rozmowie nie było niezręcznej przerwy. – Dlatego, że ty, Kyle'u, nie jesteś moim strażnikiem. Widzisz? Przejrzałem cię i wiem, czyim naprawdę

jesteś strażnikiem. Ich!

Szczęki Kyle'a zacisnęły się, jednakże ciemność skryła jego reakcję.

— Nie ma sprawy. – Księżę gestykulował z rozmachem, tracąc przy tym co chwila równowagę. – Naprawdę nie ma sprawy. Rób, jak uważasz. Nic mi do tego. Możemy się nawet pobawić w zdobywanie punktów. A więc, najpierw był ten prostak z ogródka piwnego, który powążył się podnieść na mnie rękę, ty zaś przekonywałeś mnie, że nikt mi nie poda jego nazwiska. Zgoda, jego udało ci się obronić – punkt dla ciebie. Ale już w przypadku kelnerki ci się nie udało – punkt dla mnie. No i jak sądzisz? Kto wygra, mój dobry Kyle'u?

Kyle zaczerpnął głęboki oddech.

— Panie – powiedział – któregoś dnia twoim obowiązkiem stanie się poślubienie ziemskiej kobiety...

Przerwał mu wybuch wesołości, w którym jednakże pobrzmiwała nieprzyjemna nuta.

— Ależ wy sobie pochlebiacie! – wychrypiął księżę. – To właśnie największy kłopot z wami, tu na Ziemi. Że tak sobie bezwstydnie pochlebiacie.

Znów pograżyli się w milczeniu. Kyle nie odzywał się, lecz jadąc tuż za księciem obserwował go uważnie. Przez jakiś czas wyglądało na to, że chłopak zapadł w drzemkę. Głowę zwiesił na pierś i puścił wodze, pozwalając, by koń sam wybierał drogę. Wkrótce jednak wyprostował się, wyćwiczonym, na wpeł automatycznym ruchem ściągnął cugle i rozejrzał się wokół.

— Muszę się napić – powiedział. Z jego głosu znikła chrypka, był przygaszony i smutny. – Zabierz mnie gdzieś na piwo, Kyle'u.

Kyle ponownie wziął głęboki oddech.

— Tak, panie.

Skierował konia w prawo, a wałach podążył za nimi. Wspięli się na szczyt wzgórza i zjechali na brzeg jeziora. Ciemna woda migotała w promieniach księżyca, a drugi brzeg nikł w mroku. Pomiedzy drzewami porastającymi zakrzywioną linię brzegu połyskiwały światła.

— Tutaj, panie – Kyle wskazał w tamtym kierunku. – To ośrodek wędkarski. Z barem.

Objechali półkolisty brzeg i znaleźli się przy niskim, skromnie wyglądającym budynku usytuowanym nad jeziorem. W stronę tafli wodnej biegło od niego molo, do którego przywiązane były kołyszące się na ciemnej wodzie łodzie rybackie. Okna były jasne. Przywiązali konie i weszli do środka.

Wkroczyli do szerokiego, skąpo urządzonego baru. Na wprost znajdował się szeroki kontuar, a za nim kilka wizerunków ryb ułożonych z deszczulek. Pod nimi z kolei stało trzech barmanów. Jeden z nich, w środku, był w średnim wieku, a fartuch nadawał mu powagi i autorytetu. Dwaj pozostali – młodzi i bardziej muskularni. Klienci, głównie mężczyźni w prostych, niewyszukanych ubraniach roboczych czy też nie górujących nad nimi elegancją strojach wakacyjnych, rozsiedli się przy kwadratowych stolikach lub opierali się o kontuar.

Księżę wybrał stolik na tyłach sali, gdzie obaj usiedli i znowu zamówili piwo i kawę. Jak tylko kelnerka przyniosła napoje, księżę opróżnił kufel do połowy. Po chwili opróżnił go do dna i dał znak kelnerce.

— Jeszcze jedno – zawołał. Tym razem, gdy zjawiała się z



następnym kuflem, uśmiechnął się do niej. Była kobietą po trzydziestce i choć zainteresowanie przystojnego młodzieńca sprawiło jej przyjemność, to jednak nie mogło zawrócić w głowie. Odpowiedziała lekkim uśmiechem i wróciła za kontuar do swoich rozmówców, dwóch mężczyzn w jej wieku. Jeden był dość wysoki, drugi niższy, nabity, o okrągłej głowie.

Księżę pociągnął kolejny łyk. Postawił kufel i spojrzał na Kyle'a, jakby dopiero co zdał sobie sprawę z jego obecności.

— Przypuszczam – odezwał się – że masz mnie już za pijanego.

— Na razie nie.

— Tak, masz rację, jeszcze nie. Ale za chwilę może tak. I czy ktoś może mnie powstrzymać?

— Nikt, panie.

— No właśnie – powiedział księżę i powtórzył: – No właśnie. – Jakby na pokaz wypił piwo do dna i dał znak kelnerce, by mu przyniosła następne. Skóra na jego wydatnych kościach policzkowych zaczęła się zabarwiać na różowo. – Kiedy się znalazło na nędznym świątku pośród nędznych ludzików... witaj, jasnooka! – Przerwał samemu sobie, gdy kelnerka przyniosła następny kufel. Roześmiała się i wróciła do swych znajomych – ... to trzeba na siłę szukać rozrywki – dokończył.

Wybuchnął śmiechem.

— Kiedy sobie przypomnę, jak ojciec, Monty, wszyscy, zachwalali mi tę planetę... – zerknął spod oka na Kyle'a. – Masz pojęcie? Kiedyś to nawet byłem wystraszony, no może niezupełnie, bo mnie nic nie potrafi przestraszyć, ale, powiedzmy, zaniepokojony koniecznością przyjazdu tutaj. – Ponownie się roześmiał. – Martwiłem się, że nie uda mi się

dorównać wam, ludziom z Ziemi! Kyle'u, czyś ty w ogóle kiedykolwiek widział któryś z Młodszych Światów?

— Nie.

— Tak też sądziłem. No więc ci powiem: ostatni, nawet najnędnniejszy mieszkaniec stamtąd jest roślejszy, ma bystrzejszy umysł, lepiej wygląda i w ogóle, niż którykolwiek z poznanych przeze mnie tu ludzi. A ja, Kyle'u – to przyszły imperator, do którego z kolei nie umywa się żaden z tamtych. No, zgadnij, jak wy wszyscy dla mnie wyglądacie? – Wlepił wyczekujący wzrok w Kyle'a. – No, odpowiadaj, mój zacny Kyle'u. Odpowiadaj szczerze, to rozkaz.

— Nie twoją sprawą jest osądzać, panie – odparł Kyle.

— Co!? Nie moją sprawą!? – Niebieskie oczy ciskały błyskawice. – Przyszłego imperatora?!

— Nie jest to sprawą żadnego z ludzi, panie. Obojętnie, czy jest imperatorem, czy nie. Owszem, imperator jest potrzebny jako symbol scalający setkę światów. Nadrzędnym jednak celem rasy ludzkiej jest przetrwanie. Prawie milion lat zajęło stworzenie tutaj, na Ziemi, najbardziej optymalnego modelu inteligencji gwarantującego właśnie przetrwanie. W pozostałych światach ludzie siłą rzeczy narażeni są na zmiany i jeżeli coś tam się zagubi, zniknie jakaś niezbędna dla naszej rasy cecha, musi gdzieś istnieć rezerwuar pierwotnego materiału genetycznego, z którego można zaczerpnąć brakujący element. Tym miejscem jest Ziemia.

Usta księcia rozciągnął gniewny grymas.

— Och, świetnie, Kyle'u! – wypalił. – Tylko że już mam po uszy takiego gadania. Dla mnie to bujdy. Bo widzisz, już wam się

zdążyłem przyjrzeć i twierdzą, że nie przewyższacie nas, mieszkańców Nowych Światów. Przeciwnie, to my was przewyższamy. Wciąż się rozwijamy i stajemy lepsi, wy zaś stoicie w miejscu. I masz tego świadomość.

Chłopak roześmiał się cicho, nieomal w twarz Kyle'owi.

— Najbardziej zaś drżycie ze strachu, że się o tym dowiemy. A mnie się to udało. – Ponownie się roześmiał. – Dobrze wam się przyjrzałem i wszystko wiem. Jestem roślejszy, lepszy i odważniejszy niż którykolwiek z obecnych tu mężczyzn. A wiesz dlaczego? Nie dlatego, że pochodzenie z imperatorskiej rodziny daje mi jakąś przewagę, ale całkiem po prostu taki już się urodziłem! To cechy wrodzone: ciało, umysł – wszystko! Mogę tu wyczyniać, na co mi przyjdzie ochota i nikt na tej planecie nie jest w stanie mnie powstrzymać. Patrz tylko!

Poderwał się gwałtownie..

— Mam na przykład ochotę upić się w towarzystwie tej kelnerki – oznajmił. – I tym razem zapowiadam ci to z góry. Chcesz popробować szczęścia i mnie powstrzymać?

Kyle podniósł na niego wzrok. Ich spojrzenia spotkały się.

— Nie, panie – odparł. – Nie jest moim zadaniem powstrzymywanie cię.

Księżę parsknął.

— Tak sobie właśnie myślałem. – Odwrócił się i mijając stoliki podszedł do kontuaru, przy którym kelnerka nadal pogrążona była w rozmowie. U najstarszego z barmanów księżę zamówił piwo. Stojąc tyłem do kontuaru oparł się na nim łokciami i przemówił do kobiety, przerywając w pół słowa wyższemu z mężczyzn.

— Już od kilku chwil aż mnie korci, by sobie z tobą uciąć pogawędkę – dobiegły Kyle’a słowa księcia.

Kelnerka, nieco zdziwiona, obejrzała się. Rozpoznawszy młodzieńca, który zamawiał u niej piwo, uśmiechnęła się, po trochu ujęta bezpośredniością zalotów, po trochu świadoma jego przystojnego wyglądu i po trochu pobłażliwa dla jego młodego wieku.

— Pan nie ma chyba nic przeciwko temu? – Książę zwrócił się do mężczyzny, któremu właśnie przeszkodził w rozmowie. Ten spojrzał na niego i na moment ich spojrzenia się starły. W końcu znajomy kelnerki wzruszył ze złością ramionami i zgarbiony oparł się na kontuarze.

— Widzisz? – Książę uśmiechnął się do kelnerki. – Ten pan rozumie, że to ja powinienem z tobą rozmawiać zamiast...

— Wystarczy, synku. Chwileczkę.

Wywód księcia przerwał niższy z mężczyzn. Chłopak spojrzał na niego z góry z przelotnym grymasem zdumienia, ale okrągłogłowy nawet tego nie zauważył. Odwrócił się do swego kompana i położył mu rękę na ramieniu.

— Nie wkurzaj się, Ben – powiedział. – Mały jest nieco naoliwiony, to wszystko. – Potem rzucił przez ramię księciu. – A ty się zmywaj. Klara rozmawia z nami.

Książę utkwiał w nim nic nierozumiejący, pusty wzrok. Jego spojrzenie było tak nieruchome, że w końcu mężczyzna przestał się nim interesować. Właśnie miał wrócić do rozmowy, gdy nagle książę ocknął się z transu.

— Chwileczkę... – padły te same słowa co przed chwilą, tym razem z jego ust.

Położył rękę na jednym z umięśnionych ramion mężczyzny. Ten odwrócił się, spokojnie strącając jego rękę. Potem, równie opanowanym gestem, podniósł z kontuaru pełny kufel księcia i chlusnął mu go w twarz.

— Spadaj – powiedział beznamiętnie.

Z piwem kapiącym z twarzy księżę przez chwilę stał bez ruchu. Następnie, nie wytarłszy nawet oczu, wyrzucił w przód swój idealnie wytrenowany lewy sierpowy, który zademonstrował już w ogródku piwnym.

Jednakże, jak Kyle zorientował się już na pierwszy rzut oka, zaatakowany nie był chłopaczkiem z ogródka piwnego, którego księżę tak gładko pokonał. Miał o trzydzieści funtów wagi więcej, piętnaście lat więcej doświadczenia, a z natury i postury był urodzonym zabijaką barowym. Nie czekał, aż cios dojdzie celu, ale uchylił się i zarzucił swe muskularne ramiona na tułów księcia. Uderzenie chłopca ześlizgnęło się po okrągłej głowie mężczyzny nie wyrządzając mu najmniejszej krzywdy i ułamek później spleceni ze sobą obydwaj runęli na ziemię i zaczęli się turlać po podłodze pomiędzy nogami krzeseł i stołów.

W jednej chwili Kyle pokonał ponad połowę dystansu dzielącego go od zapaśników, a trzech barmani przeskoczyli oddzielający ich od miejsca starcia drewniany kontuar. Tymczasem kompan okrągłogłowego stanął nad walczącymi i z dzikim wyrazem twarzy podniósł nogę, gotów do wymierzenia księciu kopniaka w okolicę nerek. Uderzenie Kyle'a kantem dłoni w opaloną szyję powstrzymało go nie mniej skutecznie niż żelazny łom. Krztusząc się mężczyzna zrobił chwiejny krok do tyłu. Kyle stał spokojnie, z opuszczonymi rękami i otwartymi

dłońmi, i spoglądał na szefa barmanów.

— Dobra – odezwał się mężczyzna w fartuchu – ale proszę już się więcej nie wtrącać. – Potem zwrócił się do swych młodszych pomocników. – Dość tego. Bierzcie go.

Młodzieńcy pochylili się i prawie natychmiast podnieśli unieruchomionego w ich ramionach jak w imadle okrągłogłowego. Uczynił gwałtowny wysiłek, by się uwolnić, ale widząc, że to na nic, zrezygnował.

— Puśćcie mnie do niego – wychrypiał.

— Zgoda – odparł najstarszy z barmanów. – Ale nie tutaj. Załatwcie to sobie na zewnątrz.

Tymczasem z podłogi podniósł się niemrawo książę. Cieknąca z rany na czole krew nie była w stanie przysłonić trupio bladej barwy jego twarzy. Oczami poszukał stojącego tuż obok Kyle'a. Otworzył usta, z których wydobył się ni to szloch, ni przekleństwo.

— Dobra – odezwał się ponownie starszy barman. – Wynocha na zewnątrz, obydwaj. Tam możecie się naparzać do woli.

Pozostali klienci stali skupieni wokół miejsca bójki. Książę rozejrzał się i po raz pierwszy zobaczył tę zamkniętą wokół siebie ścianę ludzką. Jego spłoszone spojrzenie znowu powędrowało w kierunku Kyle'a.

— Na zewnątrz...? – wykrztusił.

— Tu na pewno nie zostaniesz – wyreczył Kyle'a w odpowiedzi starszy barman. – Wszystko widziałem. To ty sprowokowałeś bójkę i twoja sprawa, jak ją skończysz. Ale obydwaj zniknąć mi stąd. No już! Zbieraj się!

Naparł na księcia, lecz ten się nie poruszył, wczepiony ręką w

skórzaną kurtkę Kyle'a.

— Kyle...

— Przykro mi, panie – brzmiała odpowiedź. – W niczym nie mogę ci pomóc. Musisz to rozegrać sam.

— Może wreszcie wyjdziemy! – pieklił się przeciwnik księcia.

Księżę rozejrzał się dookoła, jak gdyby miał do czynienia z jakimiś dziwnymi istotami, o których istnieniu dotąd nie miał pojęcia.

— Nie...

Puścił rękaw kurtki Kyle'a, lecz niespodziewanie wsunął rękę pod jej połę i wyszarpnął pistolet.

— Odsunąć się! – krzyknął piskliwie. – Nie ważcie się mnie tknąć!

Głos mu się załamał. Z tłumu wydobył się jakiś nieokreślony dźwięk, coś jak pomruk czy westchnienie, i wszyscy, barmani oraz gapie, cofnęli się – prócz Kyle i okrągłogłowego.

— Ty nędzna gnido... – wycedził ten drugi. – Od razu wiedziałem, że nie masz jaj.

— Zamknij się! – krzyknął księżę wysokim, załamującym się głosem. – Zamknij się! I niech nikt nie próbuje za mną iść!

Wycofał się w stronę głównych drzwi. Sala obserwowała to w milczeniu, nawet Kyle się nie poruszył. W miarę jak księżę zbliżał się do wyjścia, jego plecy prostowały się. W dłoni nadal dzierżył pistolet. Gdy dotarł do drzwi, otarł rękawem zalewającą mu oczy krew, a na jego umazanej twarzy pojawiły się pierwsze oznaki odzyskanej arogancji.

— Bydlaki! – rzucił w stronę przypatrujących mu się ludzi.

Cofając się, wyszedł na zewnątrz i zatrzasnął drzwi za sobą.

Kyle postąpił krok i stanął twarzą w twarz z okrągłogłowym. Z jego wzroku wyczytał, że ten natychmiast rozpoznał w nim specja od walki, jak poprzednio Kyle w nim.

— Nie wychodź za nami – poradził cicho Kyle.

Nie otrzymał odpowiedzi, ale jej nie potrzebował. Mężczyzna stał bez ruchu.

Kyle odwrócił się i podbiegł do drzwi. Stanął z boku i otworzył je szarpnięciem – nic się nie wydarzyło. Wyślizgnął się na zewnątrz i natychmiast rzucił w prawo, by zejść z linii ewentualnego strzału wymierzonego w drzwi.

Jednakże nic się nie stało. Przez chwilę nie widział, póki jego oczy nie przyzwyczyły się do ciemności. Ruszył do przodu kierując się wzrokiem, wyczuciem i pamięcią w poszukiwaniu belki do przywiązywania koni. Gdy ją odnalazł, jego wzrok prawie całkiem już przyzwyczył się do ciemności.

Księżę odwiązywał konia szykując się do wskoczenia na siodło.

— Panie – powiedział Kyle.

Księżę puścił siodło i spojrzał przez ramię.

— Zejdź mi z drogi – wycharczał.

— Panie – w niskim teraz głosie Kyle’a pojawiła się nutka błagania – po prostu straciłeś głowę. Każdemu się może zdarzyć. Ale nie pogarszaj sprawy. Oddaj mi broń, panie.

— Oddać ci broń?

Księżę wlepił w niego złe spojrzenie i roześmiał się.

— Mam oddać pistolet? Tobie? – ironizował. – Żeby znowu ktoś mógł mnie pobić? I żebyś znowu miał mnie czym tak skutecznie bronić?



— Panie – nie ustępował Kyle – proszę. Dla własnego dobra, oddaj mi pistolet.

— Wynoś się – wychrypiał i ponownie zajął się koniem. – Znikaj, zanim wpakuję ci kulkę.

Z piersi Kyle’a wyrwało się powoli smutne westchnienie. Postąpił krok i klepnął księcia w ramię.

— Odwróć się, panie – powiedział cicho.

— Ostrzegalem cię... – krzyknął książę. Rozwścieczony odwrócił się do Kyle’a, a na trzymanym przez niego pistolecie zabłyśły światła barowych okien. Ale ograniczone do minimum, precyzyjne ruchy Kyle’a były dwa razy szybsze. Zgięty w pół odwinął nogawkę spodni kryjącą pochwę sztyletu i jak tylko jego palce zacisnęły się na rękojeści, wyrzucił ramię do przodu. Ostrze zagłębiło się w piersi księcia tak mocno, że dłoń strażnika zatrzymała się dopiero na ubraniu chroniącym kości i ciało.

Był to cios nagły, zdecydowany i błyskawiczny, wręcz miłosierny. Ostrze uderzyło do góry i prześlizgnąwszy się pomiędzy żebrami przeszło serce.

Wyciśnięte z płuc pod wpływem uderzenia powietrze wydobyło z ust księcia krótki charkot i w następnej chwili ramiona Kyle’a obejmowały trupa.

Kyle przerzucił długie ciało przez siodło wałacha, gdzie je mocno przytroczył. Wymacał na ziemi upuszczony pistolet i wsunął do kabury. Potem dosiadł ogiera i trzymając za uzdę wałacha z jego ładunkiem, ruszył w długą drogę powrotną.

Na niebie szarzał już świt, kiedy wreszcie wspiął się na wzgórze sąsiadujące z dworkiem, z którego niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej zabrał księcia. Skierował

się w stronę bramy.

W świetle nierozbudzonego dnia ujrzał na środku dziedzińca niewyraźną postać, która na jego widok zaczęła do niego biec. Był to Montlaven, opiekun księcia. Łkając, podbiegł do wałacha i trzęsącymi się rękami zaczął rozsypywać mocujący ciało powróż.

— Bardzo mi przykro... – słowa jakby same wymknęły się z ust Kyle’a. Z apatycznym zdziwieniem zauważył, że jego głos brzmiał głucho i jakby z oddali. – Nie miałem wyboru. Jutro rano możesz wszystko przeczytać w raporcie...

Zamilkł. W drzwiach dworku pojawiła się następna postać, wyższa nawet niż Montlaven. Kyle odwrócił się w tamtą stronę, a postać zeszła po schodach na trawnik i ruszyła do niego.

— Panie... – wyrzekł Kyle. Pod opadającymi na czoło siwymi włosami widniały te same rysy co u księcia, acz stężale od wieku. Nie łkał jak Montlaven, twarz miał nieruchomą, jak wykutą z żelaza.

— Co się stało, Kyle’u? – spytał cicho.

— Panie – odparł z trudem Kyle – otrzymasz mój raport rano.

— Chcę wiedzieć – nalegał jego rozmówca. Kyle poczuł suchość i drętwotę w gardle. Przełknął, ale to nie pomogło.

— Panie, masz trzech innych synów, z których jeden na pewno nada się na imperatora zdolnego utrzymać wszystkie światy razem...

— Co zrobił? Komu wyrządził krzywdę? Mów! – Głos męczyzny załamał się prawie tak samo jak głos jego syna niedawno w barze.

— Nic nie zrobił i nikomu nie wyrządził krzywdy – odpowiedź

z trudem wydobywała się ze ściśniętego gardła Kyle'a. – Uderzył chłopaka niewiele odeń starszego. Pił za dużo. Może napytał biedy pewnej dziewczynie. Niczego innego nikomu nie zrobił. Zawinił jedynie samemu sobie. – Ponownie przełknął. – Poczekaj do jutra, panie, wszystko opiszę w raporcie.

— Nie! – Chwył za łąk siodła Kyle'a był tak mocny, że natychmiast osadził w miejscu potężnego ogiera. – Twoja i moja rodzina związana jest tym porozumieniem od trzech setek lat. Jaka skaza charakteru mojego syna sprawiła, że nie zdał ziemskiego testu? Żądam odpowiedzi!

Gardło Kyle'a było boleśnie wyschnięte na popiół.

— Panie – wychrypiał. – Okazał się tchórzem.

Mężczyzna puścił łąk siodła i jak gdyby uderzony nagłą niemocą imperator setek światów opadł na kolana w kurznym żebak.

Kyle ściągnął wodze i minawszy ponownie bramę dworku, wjechał w las porastający wzgórze. Nastął świt.

*Przełożył Aleksander Glondys*

## O autorze

Gordon R(upert) Dickson (1923–2001) amerykański pisarz science fiction, urodzony w Kanadzie, debiutował opowiadaniem w 1950 roku, a pierwszą powieść, *Alien from Arcturus* opublikował sześć lat później. Najbardziej znany z cyklu SF *Childe* (lub *Dorsai*) oraz fantasy *Smok i Jerzy*. Na pierwszy składa się 12 tomów i prawie wszystkie wyszły w Polsce, na drugi 9 tomów i wszystkie znamy z przekładów.

Inny znany cykl Dicksona to *Hoka*, pierwszy z siedmiu tomów napisał z Poulem Andersonem. Pisywał też powieści wspólnie z Harry Harrisonem i Keithem Laumerem.

Swój najszlachetniejszy cykl, *Childe*, planował jako serię powieści historycznych, współczesnych i science fiction, w których opisywał różne modele społeczne i różne typy psychologiczne człowieka i jego ewolucję w nadludzkość.

Dickson jest trzykrotnym laureatem Hugo i raz zdobył Nebulę. Opowiadania z serii *Childe*, o Dorsajach, osadnikach z planety o trudnych warunkach bytowania, którzy podreperowują ekonomię swojego świata szkoląc nadzwyczajnych, najgroźniejszych żołnierzy w galaktyce, przyniosły mu sporą popularność, uzyskał za nie liczne nagrody. Widać w tym fascynację historią Sparty. Opowiadanie *Mów mu, Panie* otrzymało Nebulę i nominację do Hugo w 1967 roku.

---

## GENE WOLFE

---

*Wolfe jak zawsze znakomity, tu w nastroju żartobliwym. Znajdujemy się w innym, lepszym świecie, w którym nie miała miejsca druga wojna światowa. Panowie politycy i generałowie wyżywają się w grach strategicznych. Pomysł skonstruowania ruchu drogowego na wzór przepływu elektronów w tranzystorze, przedni. Nawiasem mówiąc, stosunkowo niedawno stwierdzono, że ruch drogowy podlega prawom przepływu cieczy. Opowiadanie ma formę listu i jego nieco drewniany styl nabiera sensu, kiedy docieramy do końcowego podpisu. Młodym czytelnikom trzeba chyba wyjaśnić, że chodzi o amerykańskiego generała pochodzenia niemieckiego, dowódcę sił sprzymierzonych w Europie, później prezydenta.*

Jak przegrałem II wojnę światową i pomogłem powstrzymać niemiecką inwazję

**1 kwietnia 1938**

**Wielce Szanowny Panie Redaktorze!**

Jako wieloletni prenumeratorem (od czasu zamieszkania w Wielkiej Brytanii, ściśle biorąc) często z przyjemnością stwierdzałem, że oprócz zamieszczania szczegółowych opisów różnych „Nowych, logicznych i oryginalnych gier” projektowanych przez Waszych czytelników, udzielacie również

na swoich łamach miejsca obrazkom z życia miast i wsi, zwłaszcza jeżeli mają coś wspólnego z grami. Dlatego mam nadzieję, że relacja z przygody, jaka mnie ostatnio spotkała i dzięki której zetknąłem się osobiście nie tylko z panem W.L.S. Churchillem – jak Państwo niewątpliwie pamiętacie, dymisjonowanym ze stanowiska pierwszego lorda admiralicji podczas Wielkiej Wojny za popieranie nieudanej Wyprawy Dardanelskiej i choćby z tego względu osobą interesującą dla wszystkich nas, zajmujących się strategicznymi grami planszowymi – lecz także z taką znakomitością, jak obecny kanclerz Rzeszy Niemieckiej Herr Adolf Hitler.

Wszystko to, jak Państwo się już zapewne domyślili, zdarzyło się w związku z wielką wystawą w Bath, ale zanim zacznę swoją relację z tych niecodziennych wydarzeń (które niewiele osób mogło obserwować, jak sobie pochlebiam, z tak dogodnej pozycji jak ja), muszę wyjaśnić przynajmniej w ogólnym zarysie, bo szczegóły są wyjątkowo skomplikowane, zasady gry w Wojnę Światową opracowanej przez mojego przyjaciela Lansbury'ego i przeze mnie. Jak wielu innych używamy jako planszy wielkiej mapy świata. Stwierdziliśmy, że wygodnie jest przykleić ją klejem do tapet na dużym arkuszu dykty i pokryć werniksem; tak przygotowana mapa umieszczona na dużym stole w moim gabinecie służy nam znakomicie. Państwa walczące po przeciwnych stronach ustala się drogą losowania, a morskie, lądowe i powietrzne jednostki różnych rodzajów wojsk są reprezentowane przez kolorowe kartoniki, ale przy określaniu charakteru tych jednostek wprowadziliśmy nową zasadę – niespotykaną, o ile wiem, w żadnej innej grze. Polega ona na

tym, że każdy z graczy może w dowolnej chwili zaproponować nowy rodzaj statku, broni palnej lub jakiegokolwiek innej; jeżeli wykaże jej prawdopodobieństwo (niekonieczne, proszę zauważyć, jej przydatność, jeżeli okaże się nieprzydatna, jest to tylko jego strata) z wystarczającą siłą, żeby przekonać przeciwnika, może przebroić część swoich jednostek i zyskuje monopol na korzystanie z nowej broni przez trzy ruchy, po czym jego przeciwnik może zrobić to samo.

W ten sposób gracz w Wojnę Światową naszego projektu musi wykazać się nie tylko umiejętnościami strategicznymi, lecz – także wynalazczością i sztuką przekonywania.

Tak się złożyło, że spędziliśmy z Lansburym większość ubiegłej zimy na przygotowaniu gry i ustalaniu zasad ruchu jednostek. Obaj mamy spore doświadczenie w grach tego rodzaju i wiedząc o zamieszaniu i niesnaskach często powodowanych przez niedokładne omówienie w przepisach sytuacji, które mogły się wydawać nieistotne, ustalaliśmy nasze reguły z niezwykłą skrupulatnością. 17 lutego (spotykamy się z Lansburym raz w tygodniu) przeprowadziliśmy losowanie. Mnie przypadły Niemcy, Włochy, Austria, Bułgaria i Japonia; Lansbury'emu Wielka Brytania, Francja, Chiny i Holandia. Przyznaję, że taki podział wygląda nieprawdopodobnie, ktoś pozbawiony wyobraźni mógłby zaprotestować, że Japonia i Włochy w Wielkiej Wojnie stały po stronie Anglii i jest mało prawdopodobne, że zmienią sojusze w drugim konflikcie. Jednak bliższe spojrzenie na historię ujawnia jeszcze mniej prawdopodobne odwrócenia sojuszków (jak wtedy, kiedy Francja w XVI wieku związała się z Turcją w tak zwanym wówczas,

Nieświętym Przymierzu) i postanowiliśmy z Lansburym trzymać się wyników losowania. 24 lutego mieliśmy wykonać pierwsze ruchy.

Tak się złożyło, że 20 lutego, kiedy rozważając swoją strategię przeglądałem „Guardiana”, przyciągnęło mój wzrok ogłoszenie o otwarciu Wystawy i natychmiast pomyślałem sobie, że wśród przedstawicieli krajów biorących w niej udział mogę znaleźć osoby, których pomysły mogą być dla mnie cenne. Tak czy owak nie miałem nic lepszego do roboty i w ten sposób (nie podejrzewając, że stanę się świadkiem wydarzeń historycznych) wsunąłem do kieszeni mały notes i wyruszyłem na Wystawę!

Sądzę, że nie muszę opisywać rozległych terenów wystawowych czytelnikom tego magazynu. Wystarczy powiedzieć, że – jak wszyscy słyszeli – otaczał je owalny tor wyścigowy długości prawie siedmiu mil, a dominującą budowlą była Wieża Sterowców, stanowiąca najbardziej imponującą część ekspozycji niemieckiej oraz srebrzysty ogrom sterowca „Graf Spee”, który przywiózł naczelnego funkcjonariusza Rzeszy do Anglii i teraz czekał, jak dżin jakiejś Kultur-lampy, żeby go odwieźć z powrotem. Był to, nawiasem mówiąc, dzień, w którym kanclerz Hitler – dla którego specjalnie wystawa została wcześniej otwarta – miał inaugurować pokaz Ludowego Samochodu. Transparenty, zawieszane na słupach a nawet nad głównym wejściem, głosiły takie hasła, jak: *SAMOCHÓD LUDOWY??? TAK, DLA LUDU BRYTYJSKIEGO!!!* albo *NIEMIECKA ROBOTA DLA LUDZI, KTÓRZY POTRAFIĄ JĄ DOCENIĆ*, a nawet *Z DUCHA TAK BRYTYJSKIE JAK RODZINA KRÓLEWSKA*.

Pamiętając, że Niemcy są najpotężniejszym z krajów, które



wylosowałem w naszej grze, wybrałem się na ekspozycję niemiecką.

Zebrał się tam gęsty tłum; panowała świąteczna atmosfera, ale była w niej i nuta trzeźwej kalkulacji – słyszało się ludzi pracy omawiających techniczne zalety (prawdziwe i wyimaginowane) niemieckich maszyn, ich wyjątkową taniość oraz nieoprocentowane pożyczki udzielane przez Reichshauptkasse. Sprzedawcy roznosili precle, Lebkuchen i bawarskie kremy w papierowych kubkach, zachwalając swój towar w krzykliwym cockneyu. Wokół wielkiej sali wystawowej, gdzie za godzinę kanclerz Rzeszy osobiście miał dać znak do inwazji Ludowego Samochodu na Wielką Brytanię, demonstrując pojazd przed doborowym gronem znakomitości, tłoczyła się masa ludzi, chociaż budynek (jak się później dowiedziałem) był od dawna wypełniony i nikogo już nie wpuszczano.

Niemcy nie byli jednak monopolistami na tym polu. Przez tłum przeciskały się modele samochodów bez kierowcy, nieznacznie tylko mniejsze (tak się przynajmniej wydawało) niż niemieckie Samochody Ludowe. Te „zabawki”, jeżeli wolno mi tak określić coś równie skomplikowanego, a jednak z natury niepoważnego, miały na antenach flagę Imperium Japońskiego ze wschodzącym słońcem i wyliczały przez głośniki wśród ceremonialnych posykiwań zalety wyrobów przemysłowych tego narodu, zwłaszcza gramofonów, radioodbiorników i temu podobnych, stosujących te najnowsze cudo, tranzystory.

Podobnie jak wszyscy spędziłem kilka minut wspinając się na palce i wyciągając szyję w nadziei, że coś zobaczę. Ale nie interesował mnie specjalnie ani Ludowy Samochód i kanclerz

Rzeszy, ani japońskie samochodowe marionetki i wkrótce zająłem się poszukiwaniem kogoś, kto mógłby mi być pomocny w zbliżającym się starciu z Lansburym. Szczęście mi sprzyjało, bo zaledwie się rozejrzałem, dostrzegłem tęgiego mężczyznę w mundurze oficera Flugzeugmeisterei kupującego od roznosiciela jakieś niemieckie słodycze.

Natychmiast podszedłem do niego, skłoniłem się i przeprosiwszy, że ośmielałem się zwrócić do niego nie przedstawiony, wskazałem wielki sterowiec nad naszymi głowami.

— Ah, so! – powiedział. – Więc podoba się panu ten grubas tam w górze? Rzeczywiście piękny statek, nie ma wątpliwości. – Nadał się w dobrodusznym niemieckim sposobie, wrzucił do ust cukierka i cały promieniował zadowoleniem. Miałem go właśnie spytać, czy zastanawiał się kiedyś nad militarnymi aspektami lotnictwa, kiedy zauważyłem na jego kurtce mundurowej odznaczenie. Widząc kierunek mojego spojrzenia spytał: – Wie pan, co to jest?

— Oczywiście – odpowiedziałem. – Sam nie brałem udziału w wojnie, ale dałbym wszystko, żeby być lotnikiem. Właśnie chciałem pana spytać, herr...

— Goering.

— Herr Goering, jakie byłoby zastosowanie lotnictwa, gdyby – rozumiem, że to może brzmieć absurdalnie – Wielka Wojna miała wybuchnąć teraz?

Po błysku w jego oczach zrozumiałem, że znalazłem bratnią duszę.

— To jest dobre pytanie – powiedział i przez chwilę stał

patrząc na mnie niczym niemiecki nauczyciel, który z należytą uwagą odnosi się do pytania swojego ulubionego ucznia. – I powiem panu jedno: to, co mieliśmy wtedy, to było nic. Uzbrojone latawce. Gdyby wojna miała zdarzyć się teraz... – zamilkł na chwilę.

— To, oczywiście, nie do pomyślenia.

— Ja. Dzisiaj Vaterland, który nie zdołał podbić Europy bagnietami w tamtej wojnie, podbija cały świat za pomocą pieniędzy i naszych małych samochodów. Dzięki nim nasz führer pokonał wrogów partii i teraz cały przemysł polski i austriacki są nasze. Ludzie tam mówią „nasza fabryka, nasz bank”, ale udziały są teraz w Berlinie.

Oczywiście wiedziałem to wszystko jak każdy dobrze poinformowany człowiek i chciałem skierować naszą rozmowę z powrotem na nowe techniki wojenne, ale okazało się to zbyt bezcelne.

— Ale pana – ciągnął Goering z nagłym ożywieniem – i mnie mało to obchodzi. To są sprawy dla finansistów, nicht war? Czy wie pan, co ja (tu uderzył się pięścią w potężną pierś) bym zrobił, gdyby wybuchła wojna? Budowałbym Stutzkampfbombers.

— Stutzkampfbombers?

— Każdy niósłby jedną bombę! Jedną, ale dużą. Szybkie samoloty – pochylił się i prawą ręką wykonał ruch nurkowania w ostatniej chwili podrywając samolot i wypuszczając bawarską krówkę tak, by spadła mi na but. – Szybkie samoloty. A czołgi... wie pan, co to są czołgi?

Kiwnąłem głową.

— Trochę.

— Czołgi atakowałyby kolumnami. Stutzkampfbombers przed czołgami, oddziały szturmowe za czołgami. Czołgi też szybkie, mniej pancerza, za to szybkie, z dużym działem.

— Wspaniałe... błyskawiczna wojna.

— Ja, Blitzkrieg; teraz, mój przyjacielu, muszę już iść i zająć się naszym führerem, ale jest tutaj ktoś, kogo powinien pan poznać. Podobają się panu czołgi – ten człowiek jest ich ojcem. Był tu w czasie wojny w marynarce i kiedy armia nie chciała się tym zająć, zrobił je w marynarce, a dziennikarzom odpowiadali, że robią „tanki”, czyli zbiorniki. Po angielsku do dzisiaj używacie tej głupiej nazwy, i kiedy się na nie wchodzi, mówicie o „pokładzie”, a wszystko przez niego. On jest tam... – wskazał wielki pawilon, w którym kanclerz Rzeszy miał wkrótce zademonstrować zachwyconej brytyjskiej publiczności Ludowy Samochód.

Powiedziałem mu, że nie mam szans tam wejść. Sala była pełna, a tłum na zewnątrz coraz większy.

— Spokojnie. Z Hermannem pan wejdzie. Niech pan idzie za mną i robi minę, jakby pan był z gazety.

Posłusznie poszedłem za tym wielkim, jasnowłosym Niemcem, któremu otwierała drogę przez tłum zarówno jego masa i tubalny głos, jak i imponujący mundur. Strażnik przy wejściu (w krótkich lederhosen) zasalutował mu i nawet nie próbował mnie zatrzymać.

W jednej chwili znalazłem się w ogromnej hali, dziele tego samego germańskiego geniuszu budowlanego, który ostatnio zadziwił świat autobahnem. Sklepiony metaliczny sufit, lśniący jak lustro, odbijał z połyskliwymi zniekształceniami każdy szczegół z dołu. Zobaczyłem w nim ceramiczną podłogę: duże

płyty tworzyły olbrzymi obraz małego samochodu, który rozślawił przemysł niemiecki na świecie. Za pomocą sztuki nie mniej imponującej niż bogactwo i siła, które pozwoliły wznieść ten ogromny budynek na terenach wystawowych w ciągu kilku tygodni, na mozaice za szybą widać było twarz kierowcy tego auta – nie wyraźnie, lecz przez mgiełkę, tak jak przechodzień mógłby widzieć twarz kierowcy, który go za chwilę przejedzie. Była to, oczywiście, twarz Adolfa Hitlera.

Po jednej stronie hali, na podwyższeniu, siedzieli „klienci”, starannie dobrani przedstawiciele sfer gospodarczych i politycznych, którzy będą mieli szczęście obejrzeć samego przywódcę narodu niemieckiego demonstrującego osobiście Ludowy Samochód. Na prawo, na znacznie niższym podwyższeniu, siedzieli przedstawiciele prasy, łatwi do rozpoznania dzięki swoim aparatom fotograficznym i notatnikom oraz nonszalanckim, czasem z lekka obszarpanym strojom. To w kierunku tej właśnie grupy Herr Goering śmiało mnie poprowadził i wkrótce zidentyfikowałem (mogę chyba zgodnie z prawdą powiedzieć „w pół drogi”) człowieka, o którym mówił mi na zewnątrz.

Siedział w ostatnim rzędzie i wydawało się, że jakby wyżej niż inni; brodę oparł na dłoniach, które z kolei obejmowały rączkę laski. Jego charakterystyczna twarz, okrągła i rumiana, miała w sobie coś niemowlęcego i buldogowatego zarazem. Wyczuwało się tutaj niewinność i niezmaconą radość życia połączone z odwagą, dla której kapitulacja nie jest w zwykłym sensie nie do pomyślenia, ale w praktyce nigdy nie bywa rozważona. Jego ubranie było kosztowne, ale znoszone, i można by wziąć go za

lokaja donoszącego ubranie pana, gdyby nie fakt, że leżało na nim tak idealnie, i gdyby nie to coś, co mówiło, że ten człowiek nie może być niczym sługą, może z wyjątkiem króla.

— Herr Churchill – powiedział Goering – przyprowadziłem panu przyjaciela.

Uniósł głowę znad laski i zmierzył mnie bystrymi, niebieskimi oczami.

— Pańskiego – spytał – czy mojego?

— Jest duży i możemy się nim podzielić – odparł Goering swobodnie. – Teraz jednak zostawiam go panu.

Człowiek, siedzący obok Churchilla, przesunął się i usiadłem na jego miejscu.

— Nie jest pan ani dziennikarzem, ani stręczycielem – zahuczał Churchill. – Nie jest pan dziennikarzem, bo znam ich wszystkich, a stręczyciele znają mnie, albo tak twierdzą. Ale ponieważ nie słyszałem, żeby ten człowiek lubił kogoś, kto nie jest stręczycielem, albo żeby był miły dla kogoś, kto nie jest dziennikarzem, to muszę spytać, jak pan to u diabła zrobił?

Zacząłem opisywać naszą grę, ale po jakichś pięciu minutach przerwał mi jegomość siedzący przede mną, który nie oglądając się szturchnął mnie łokciem i powiedział: – Idzie.

Do hali wszedł kanclerz i między rzędami Sturmsachbearbeiters (jak nazywano elitarne siły sprzedawców), sztywno i energicznie zmierzał ku środkowi pomieszczenia. Z balkonu, pięćdziesiąt stóp nad naszymi głowami, orkiestra zagrała *Deutschland, Deutschland über alles* z taką werwą, że bałem się o całość budowli, podczas gdy amerykański sprawozdawca w pobliżu wykrzykiwał do moich rodaków po

drugiej stronie Atlantyku, że Herr Hitler jest tutaj, że właśnie teraz, z godną zazdrości niemiecką punktualnością zbliża się do miejsca, w którym powinien teraz być.

Niespodziewanie przez dźwięki muzyki przedarł się wysoki, skrzekliwy odgłos i muzyka urwała się raptownie, jakby ktoś nakrył orkiestrę kloszem. Odgłos powtórzył się i tłum widzów zaczął się rozdzielać jak wysoka trawa, przez którą zbliża się jeszcze niewidoczne zwierzę. Jeszcze jeden skrzek i ostatnie osoby, szczęśliwcy stojący na samym skraju wydzielonej przestrzeni, na której kanclerz miał dokonać prezentacji, rozdzielili się i ujrzeliśmy, że „zwierzęciem” był mały, kanarkowożółty Ludowy Samochód. Kanclerz zbliżył się do wyznaczonego punktu z jednej strony w tym samym czasie, kiedy samochód podjechał z drugiej. Jego powolny, prosty szlak w połączeniu z jasnym kolorem składały się na obraz osobowości jednocześnie uległej i żywej, miłej i zasadniczo posłusznej.

Dokładnie na wprost podwyższenia dla znakomitości spotkali się i zatrzymali. Ludowy Samochód znów zatrąbił, trzy odmierzone nuty, kanclerz pochylił się, uśmiechnął (prawie czarująco, tak to było niespodziewane) i poklepał maskę samochodu. Drzwi otworzyły się i wysiadła jasnowłosa młoda Niemka we wdzięcznym ludowym stroju. Była dosyć wysoka, a jednak, jak wszyscy widzieli, siedziała przed chwilą w samochodzie całkiem wygodnie. Posłała całusa znakomitym gościom, dygnęła przed Hitlerem i wycofała się; teraz miał się zacząć właściwy pokaz.

Nie będę nudził czytelników powtarzaniem szczegółów, które tak dobrze znają nie tylko z kronik towarzyskich „Timesa”, lecz

także z licznych czasopism popularnych. To, że lady Wodberry zebrała oklaski za objechanie tyłem całej przestrzeni pokazu jest faktem chyba aż za dobrze znanym. Historia o tym, jak sir Henry Braithewaite dowiedział się, że nie umie prowadzić dopiero, kiedy usiadł za kierownicą, jest chyba nie mniej sławna. Wystarczy powiedzieć, że Niemcy odnosiły sukces; znakomitości były zachwycone, prasa i tłum widzów życzliwe. Nikt nie podejrzewał, że dopiero po zakończeniu pokazów na scenę miała wkroczyć Historia. Wtedy to Herr Hitler podjął jedną z tych niespodziewanych i absolutnie nieprzewidzianych intuicyjnych decyzji, z których słynie. (Przychodzi na myśl choćby rozkaz wydany z Berchtesgaden w czasie, kiedy nikt się tego nie spodziewał i kiedy wszyscy komentatorzy uważali, że Niemcy przynajmniej przez jakiś czas zajmą się umacnianiem zdobytych pozycji ekonomicznych w Europie Wschodniej i gdzie indziej, rozkaz głoszący, że wszystkie egzemplarze Ludowego Samochodu sprzedane w miesiącach maju, czerwcu i lipcu mają być na koszt firmy wyposażone w Nordyckie Opony). Po utytułowanych gościach Herr Hitler zwrócił się do miejsc prasowych i zaoferował próbę samochodu każdemu dziennikarzowi, który zechce wystąpić.

Propozycja, jak powiedziałem, była adresowana do wszystkich przedstawicieli prasy, ale nie było wątpliwości – nie mogło być wątpliwości – do kogo w gruncie rzeczy było to mówione. Te oczy płonące fanatyczną energią i duma naturalna u kogoś, kto przewodzi potężnej organizacji przemysłowej, skierowane były na jedno spokojne oblicze. Człowiek ten wstał i powoli, nie mówiąc ani słowa, póki nie znalazł się twarzą w twarz z



najpotężniejszym człowiekiem w Europie, poszedł przyjąć wyzwanie. Zawsze będę pamiętał sposób, w jaki wydmuchnął dym z cygara i powiedział: – Zdaje się, że to jest samochód?

Hitler skinął głową.

— A pan – powiedział – zdaje się należał kiedyś do naczelnego dowództwa tego kraju. To pan jest Herr Churchill?

Churchill przytaknął.

— W czasie Wielkiej Wojny – powiedział cicho – miałem zaszczyt przez jakiś czas zajmować stanowisko w admiralicji.

— W tym czasie – powiedział wódz Niemiec – ja byłem kapralem w armii Kajzera. Nie spodziewałbym się, że spotkam pana jako dziennikarza.

— Byłem dziennikarzem, zanim zacząłem zajmować się polityką – poinformował go Churchill spokojnie. – Jako wędrowny korespondent podczas wojny burskiej. Teraz wróciłem do starego zawodu, jak przystało dymisjonowanemu politykowi.

— Ale nie podoba się panu mój samochód?

— Obawiam się – powiedział Churchill z niezmaconym spokojem – że jestem beznadziejnie uprzedzony do rzeczy wyprodukowanych niedemokratycznie, w każdym razie na użytek ludzi żyjących w demokracji. My, Brytyjczycy, też produkujemy swój mały samochód, wie pan, Centuriona.

Do tego czasu miejsca siedzące opustoszały. Wszyscy, do ostatniego człowieka, nie tylko dziennikarze, ale i osobistości, zebrali się wokół tych dwóch (świadomie mówię o dwóch, bo wielkość pozostaje wielkością nawet pozbawiona urzędu) olbrzymów. Chwila była pełna napięcia, które pewnie jeszcze by

wzrosło, gdyby nie nagłe zamieszanie. Zanim Churchill zdążył odpowiedzieć, usłyszeliśmy syczące dźwięki japońskiego języka i jeden z miniaturowych samochodów Imperium Wschodzącego Słońca zbliżył się, jakby chciał przejechać pod żółtym Ludowym Samochodem (na co był jednak za duży), ale skręcił w lewo i z powrotem zniknął w tłumie. Nie wiem, czy to było szaleństwo, czy natchnienie, ale na widok tego pędzącego samochodziku krzyknąłem.

— Może zrobimy zawody!

Churchill bez chwili zwłoki poparł mnie.

— Słusznie. Z tego, co słyszymy o tej niemieckiej maszynie, nazywacie ją rajdowym mistrzem.

Hitler kiwnął głową.

— Ja, jest bardzo szybki jak na tak mały i tani wóz. Możemy się ścigać, jeżeli chcecie. – Było to powiedziane z pozornym spokojem, ale zauważyłem, jak pewnie wielu innych, że mieszał słowa angielskie i niemieckie.

Rozległ się podniecony szmer i komentarze, ale Churchill uciszył je podnosząc cygaro.

— Mam pewien pomysł – powiedział. – Nasze samochody nie były budowane z myślą o wyścigach.

— Wycofuje się pan? – spytał Hitler. Uśmiechnął się i w tej chwili nienawidziłem go.

— Chciałem powiedzieć – ciągnął Churchill – że pojazdy tej wielkości są pomyślane jako środek transportu miejskiego, dostosowany do parkowania i jazdy w warunkach ruchu miejskiego – tego niedocenionego bohaterstwa, za pomocą którego przeciętny Anglik zarabia na chleb. Proponuję, żeby na

torze otaczającym tereny wystawowe zbudować trasę odtwarzającą faktyczne warunki jazdy, w jakich porusza się przeciętny obywatel brytyjski – i żeby współzawodniczący kierowcy musieli parkować na przykład co sto jardów. Połowa trasy mogłoby naśladować ruch w centrum Londynu, a druga w dzielnicy podmiejskiej. Sądzę, że mógłbym namówić Japończyków, żeby załatwili nam ruch uliczny swoimi automatycznymi samochodami.

— Zgoda! – powiedział natychmiast Hitler. – Ale to pan ustalił wszystkie zasady. Teraz my, Niemcy, wprowadzimy jedną zasadę. Ruch będzie prawostronny.

— Tutaj, w Brytanii – powiedział Churchill – jeździmy lewą stroną. Chyba pan wie.

— My, Niemcy, jeździmy prawą stroną i jazda lewą stroną stawiałaby nas w niekorzystnej sytuacji.

— Właściwie – powiedział Churchill powoli – zastanawiałem się nad tym i mam następującą propozycję. Po jednej stronie toru niech będą sklepy, zaparkowane ciężarówki i autobusy. Druga będzie odsłonięta dla widzów. Wy, Niemcy, jadąc prawą stroną, okrążycie tor zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a kierowcy brytyjscy lewą stroną...

— Pojadą w drugą stronę – wykrzyknął Hitler. – I w środku będzie zerstorend gewalt!

— Korek drogowy – przetłumaczył spokojnie Churchill. – Chyba się pan nie boi?

Wkrótce ustalono datę, dokładnie w dwa tygodnie od dnia, w którym wyzwanie zostało rzucone i przyjęte. Japończycy zgodzili się pozorować ruch uliczny swoimi zrobotyzowanymi

samochodami, a kierownictwo wystawy urządzić sztuczną ulicę na torze otaczającym ekspozycje. Nie muszę mówić, że podniecenie było ogromne; amerykańska firma Movietone News przysłała aż trzy ekipy do filmowania wyścigu, a było też kilka brytyjskich towarzystw filmowych. W wyznaczonym dniu podniecenie doszło do zenitu i oceniano, że wpłacono przeszło trzy miliony funtów bukmacherom, którzy dawali trzy do dwóch na Niemców.

Ponieważ zasady (ustalone głównie przez pana Churchilla) wyścigu i działania automatycznych wozów japońskich były istotne, a – w każdym razie – zainteresują miłośników gier logicznych, pozwolę sobie pokrótce je omówić. Japończykom wyjaśniono, że ich samochody mają pozorować normalny ruch uliczny. Dziesięć sterowanych radarem wozów skierowano (początkowo) do „podmiejskiej” części toru (start dla Niemców, meta dla zespołu brytyjskiego), a pięćdziesiąt miało jeździć w części „śródmiejskiej”. Wzdłuż toru wyznaczono osiemdziesiąt miejsc do parkowania i operatorzy – którzy mogli obserwować cały tor z platformy widokowej na wieży sterowców – mieli parkować na nich wozy przez piętnaście sekund i jechać do następnego wolnego miejsca według następującej reguły: jeżeli miejsce do parkowania znajdowało się w sektorze śródmiejskim, miało „wartość” punktową równą jego rzeczywistej odległości od samochodu, co określało się licząc zielone linie namalowane w poprzek toru co pięć jardów – natomiast miejsca do parkowania w sektorze podmiejskim miały „wartość” o dwa punkty większą. W ten sposób „ruch” śródmiejski był faworyzowany. Uczestniczący w wyścigu kierowcy niemieccy i brytyjscy mieli

obowiązek parkować na każdym wolnym miejscu przy trasie, ale w odróżnieniu od wozów japońskich mogli ruszać natychmiast po zaparkowaniu. Między miejscami do parkowania stały pojazdy wypożyczone na tę okazję przez handel i publiczność, a szereg firm londyńskich wzniosło frontony budynków podobnych do dekoracji filmowych po stronie przeciwnej do publiczności.

Muszę przyznać, że nie powstrzymałem się od wykorzystania mojej przelotnej znajomości z panem Churchillem, w celu uzyskania wstępu na paddock, że tak powiem, w dniu wyścigu. Był to piękny dzień, jeden z tych wczesnych wiosennych dni, którymi słusznie szczyli się zachodnia Anglia, czułem się znakomicie i przepełniało mnie zadowolenie z siebie. Moja gra z Lansburym rozwijała się znakomicie; wykorzystując sugestie Goeringa zająłem jedną z najsilniejszych włości Lansbury'ego (Francję) w czterech zaledwie ruchach i czułem, że tylko upór powstrzymuje go od poddania się. Zrozumiałe więc, że kiedy dostrzegłem pana Churchilla śpieszącego w moim kierunku z cygarem zaciśniętym między zębami i w starym hamburgu naciągniętym prawie na uszy, powitałem go swoim najszerszym uśmiechem. Podszedł do mnie i powiedział: – Pan jest przyjacielem Goeringa, prawda? Widzę, że słyszał pan już o naszych kierowcach.

Powiedziałem mu, że nic nie wiem.

— Przyprowadziłem pięciu kierowców wyścigowych, którzy się zgłosili, ale Hunowie zaprotestowali. Powiedzieli, że ich kierowcami będą Sturmsachbearbeiters, i że to niesportowo wystawiać przeciwko nim zawodowców. Zarząd wystawy

przyznał im rację i teraz muszę dobrać improwizowaną reprezentację Anglii. Z samych amatorów, mogę im obiecać tylko krew, wysiłek, pot i łzy, a ci przekłęci esesmani są prawie na poziomie zawodowców. Mam trzech ludzi, ale wciąż brak mi jednego, nawet jeżeli sam wezmę udział...

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

— Nigdy nie uczestniczyłem w wyścigu, ale wszyscy znajomi twierdzą, że jeżdżę za szybko i wyszedłem cało z wielu wypadków. Mam nadzieję, że nie uzna pan mojej znajomości z Herr Goeringiem za coś, co mogłoby skłonić mnie do odstąpienia od fair play, gdybym wystartował w barwach Anglii!

— Oczywiście, że nie. – Churchill wydał policzki. – Jest pan więc kierowcą, tak? Czy mogę spytać, jaki pan ma wóz?

Powiedziałem mu, że Centuriona, model, który miał być użyty przez zespół brytyjski. Coś w jego spojrzeniu i sposobie, w jaki pociągnął cygaro, zdradziło mi, że przejrzał moje kłamstwo i że je zaaprobował.

Pragnąłem, żeby moje niewprawne pióro mogło oddać sprawiedliwość wyścigowi, ale to niemożliwe. Wraz z pozostałą czwórką – a był w niej i pan Churchill – czekałem z zapuszczonym silnikiem na brytyjskiej linii startowej. Za naszymi plecami, tyłem do nas, stało pięciu niemieckich Sturmsachbearbeiters, w swoich Ludowych Samochodach. Przed nami rozciągała się do złudzenia dokładna imitacja londyńskiej ulicy, na której miniaturowe japońskie samochodziki już kręciły się w narastającym chaosie.

Rozległ się sygnał startowy. I wszystkie samochody wystrzeliły do przodu. Parkując po raz pierwszy swój mały pojazd miałem

świadomość, że Niemcy, którzy zaczęli od podmiejskiej części trasy, znajdują dwa albo i trzy miejsca na nasze jedno. Trzask zgniatanych błotników, wybuchy złego humoru, a ja i my wszyscy – jechaliśmy i parkowaliśmy, jechaliśmy i parkowaliśmy, aż wydawało się, że robimy to od początku świata. Kołnierz koszuli miałem mokry od potu, czułem, jak na dłoniach robią mi się pęcherze i nagle zobaczyłem jakieś trzydzieści jardów przed sobą drzewko w cebrzyku i fronton naśladujący nie sklep w śródmieściu, ale podmiejską willę. I wtedy doszło do mnie – było to tak, jakby ktoś podał mi kieliszek zimnego szampana – że nie spotkaliśmy dotąd Niemców. Nie spotkaliśmy ich dotąd, a półmetek był tuż-tuż. Wiedziałem, że już zwyciężyliśmy.

Cóż mówić o dalszym ciągu wyścigu? Przejechaliśmy około dwustu jardów sektora podmiejskiego, zanim ujrzyliśmy pochyłą maskę pierwszego Volkswagena. Mój samochód przyjechał ostatni – w zespole brytyjskim – ale piąty w klasyfikacji ogólnej, co oznaczało, że Brytyjczycy odnieśli bezapelacyjne zwycięstwo. Staliśmy się idolami publiczności (nawet ja), a kiedy kanclerz Hitler wybiegł na tor, żeby zbesztać któregoś ze swoich kierowców i został potrącony przez jedną z japońskich zabawek, niemiecki Ludowy Samochód stracił wszelkie szanse w anglosaskim świecie. Osoby, które już wpłaciły zadatek, żądały zwrotu pieniędzy i pierwsze statki wiozące Ludowe Samochody do Londynu (Hitler kazał im wyruszyć zawczasu, chcąc wykorzystać sukces, którego był tak pewien) nie zostały rozładowane. O ile wiem, ich ładunek został później sprzedany po obniżonej cenie w Maroku.

Zdaję sobie sprawę, że wszystko to jest znane czytelnikom prasy, ale – jak sądzę – jestem w stanie dodać postscriptum, które powinno szczególnie zainteresować wszystkich miłośników gier.

Jak już wspomniałem, wyjaśniłem panu Churchillowi zasady gry, opracowanej przeze mnie i Lansbury'ego, kiedy czekaliśmy na rozpoczęcie pokazu Ludowego Samochodu i nawet obiecałem mu pokazać jak gramy, gdyby zechciał zajrzeć do mojego mieszkania, co też uczynił, chociaż dopiero w parę tygodni po wyścigu. Pokazałem mu naszą planszę i żałowałem, że nie mogę zademonstrować mu gry w toku, ale właśnie zakończyliśmy rozgrywkę, którą (Wielką Wojnę uznaliśmy za pierwszą) nazwaliśmy Drugą Wojną Światową.

— Pan zapewne wygrał – powiedział Churchill.

— Nie, przegrałem, ale ponieważ byłem Niemcami, nie sprawi to panu zawodu. Zresztą wolę wygrać jeden wyścig z prawdziwymi Niemcami, niż wszystkie gry, w jakie kiedykolwiek zagram z Lansburym.

— Tak – powiedział. – Nigdy tak wielu nie zawdzięczało panu tak wiele. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Coś w jego uśmiechu obudziło moje podejrzenie. Przypomniałem sobie podobny wyraz twarzy u Lansbury'ego (uświadomiłem to sobie dopiero później), kiedy mnie przekonał, że zamierza dokonać inwazji Europy w Grecji i nie wytrzymałem.

— Czy ten wyścig był uczciwy? – spytałem. – Chcę powiedzieć, że poszło nam dziwnie łatwo.

— Nawet pan – zauważył Churchill – pobił najlepszych niemieckich kierowców.



— Wiem – powiedziałem. – To właśnie daje mi do myślenia.

Rozsiadł się w najwygodniejszym fotelu i zapalił nowe cygaro.

— Wpadłem na ten pomysł – powiedział – kiedy ta diabelska japońska maszyna omal nie wpadła na nas podczas mojej rozmowy z Hitlerem. Pamięta pan!

— Oczywiście. Czy chodzi panu o pomysł wykorzystania japońskich samochodów do symulacji ruchu?

— Nie tylko. Te rzeczy są możliwe dzięki najnowszemu wynalazkowi – tranzystorom. Czy orientuje się pan w zasadzie działania tranzystora?

Powiedziałem, że z tego, co wyczytałem, jest to mała płytka materiału przewodzącego prąd tylko w jedną stronę.

— Właśnie. – Churchill wydmuchnął kłęb dymu. – Co znaczy, że w tym materiale elektronom łatwiej jest się poruszać w jednym kierunku niż w przeciwnym. Czy to nie jest zadziwiające? Wie pan, na czym to polega?

Przyznałem, że nie wiem.

— Ja też nie wiedziałem, póki nie przeczytałem artykułu w piśmie „Nature”, jakiś tydzień czy dwa przed spotkaniem z Hitlerem. Ci bystrzy chłopcy, którzy to robią, biorą german – może też być krzem, chociaż tranzystor działa wówczas nieco inaczej – w bardzo czystej postaci, a następnie dodają do niego różne zanieczyszczenia. Oczywiście robią to bardzo starannie. Jeżeli, na przykład, dodać nieco antymonu, uzyskuje się materiał, który zawiera więcej elektronów niż jest dla nich miejsc i krążą w nim wolne elektrony. Jest inny rodzaj zanieczyszczenia, bor, który sprawia, że materiał ma więcej miejsc dla elektronów niż samych elektronów. Specjaliści nazywają te miejsca dziurami,

ale ja nazwałbym je miejscami do parkowania. A tranzystor uzyskuje się składając ze sobą takie dwa rodzaje materiału.

— Czy chce pan powiedzieć, że nasz tor był...

Churchill kiwnął głową.

— Odrzucając drobne nieścisłości terminologiczne, tak. Był to wielki tranzystor – może prymitywny, ale wielki. Weźmy teraz prawdziwy tranzystor. Co się dzieje w miejscu złączenia dwóch materiałów? Otóż masa elektronów z tej części, która ma ich nadmiar, zmierza do tej, która ma nadmiar wolnych miejsc, rozumie pan?

— A więc jeżeli samochód – chciałem powiedzieć elektron – próbuje poruszać się w drugą stronę, z tej części, która ma więcej miejsc...

— Jest mu trudniej. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, nie jestem elektrykiem, ale pewne aspekty tej sprawy są oczywiste nawet dla tak prostego komentatora politycznego jak ja. Jednym z nich jest, że wspomniany elektron płynie jakby pod prąd.

— A my jechaliśmy z prądem. Jeżeli zgodzi się pan, żebyśmy dali spokój elektronom.

— Proszę bardzo. Z ulgą porzucę wzburzone morze przyczyn i teorii dla twardego gruntu skutków i faktów. Tak, jechaliśmy, można powiedzieć, z prądem. Może zauważył pan też że jadąc od strony śródmiejskiej, gdzie znajdowała się większość wozów japońskich, wywoływaliśmy falę idącą przed nami. Ponieważ my zajmowaliśmy wolne miejsca, one w poszukiwaniu miejsc do parkowania były przyciągane w stronę Niemców, a taka fala porusza się, oczywiście, szybciej niż poszczególne samochody. Specjalista od tranzystorów powiedziałby pewnie, że mając

podobne ładunki, odpychaliśmy je.

— Ale w końcu skupiłyby się między dwoma zespołami, pamiętam, że było ich najwięcej tam, gdzie mijaliśmy się z Niemcami.

— Słusznie. A kiedy to nastąpiło, nie miały już powodu, żeby uciekać przed nami – Niemcy już też je odpychali, jeżeli pan chce – i wówczas zasada (moja reguła wartości miejsca parkingowego, jeżeli pan pamięta) przyciągnęła je z powrotem do części śródmiejskiej, gdzie biedni Hunowie znów mieli z nimi trochę kłopotów, podczas gdy my podążaliśmy do mety.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu i wreszcie powiedziałem: – Nie było to może zbyt ucziwe, ale cieszę się, że pan to zrobił.

— Nieuczciwość – powiedział lekko Churchill – polega na łamaniu reguł, na które ktoś przynajmniej przez implikację, przystał. Ja natomiast zaproponowałem zasady, które uznałem za korzystne, a to jest dyplomacja. Czy pan tak nie robi, kiedy pan przystępuje do gry? – Tu spojrział na mapę świata. – Widzę, że wypalił pan sobie dziurę na planszy.

— A, to – powiedziałem. – To Lansbury’emu wysypał się pod koniec gry popiół z fajki. Kosztowało nas to dwa miasta na południu Japonii.

— Lepiej uważajcie, żeby następnym razem nie spalić całej planszy. Ale mówiąc o Japończykach, czy słyszał pan, że chcą rzucić na rynek własny samochód? Zyskali taką reklamę w związku z wyścigiem, że nadają mu nazwę, która publiczności będzie się kojarzyć z angielski słowem „toy” – zabawka, od tych samochodów zabawek, które tu prezentowali.

Spytałem go, czy to według niego oznacza, że Anglia będzie musiała odeprzeć inwazję japońską, na co odpowiedział, że pewnie tak, ale że my, Amerykanie, będziemy mieć z nimi wcześniej do czynienia, bo słyszał, że pierwsze samochody japońskiej produkcji już są wyładowywane w Pearl Harbor.

Wkrótce potem wyszedł i nie sędzę, żebym kiedyś jeszcze miał przyjemność go spotkać. Ale to jeszcze nie koniec mojej opowieści. Czytelnicy tego pisma z przyjemnością zapewne przyjmą wiadomość, że Lansbury i ja wkrótce rozpoczniemy nową grę, którą z konieczności będziemy prowadzić korespondencyjnie, jako że wkrótce opuszczam Anglię. W naszej nowej walce Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Chiny będą się zmagać ze Związkiem Radzieckim, Polską, Rumunią i innymi państwami wschodnioeuropejskimi. Ponieważ trudno sobie wyobrazić przyzwoitą wojnę bez Niemiec, a Lansbury nie chciał się zgodzić, żeby znów przypadły mnie, postanowiliśmy podzielić je między nas. Spróbuję pamiętać ostrzeżenie pana Churchilla, ale i mój przeciwnik, i ja jesteśmy nałogowymi palaczami.

Z poważaniem  
Nieznany żołnierz

### **Od Redakcji**

Nie chcąc zdradzać nazwiska autora tej interesującej korespondencji podpisanej pseudonimem „Nieznany żołnierz”, możemy chyba ujawnić, że jest amerykańskim oficerem pochodzenia niemieckiego, nie pierwszej już młodości, ale jednak za młodym, żeby wziąć udział w Wielkiej Wojnie, choć podobno był tego bardzo blisko. Obecnie „Nieznany żołnierz” związany jest z amerykańską ambasadą w Londynie, ale

ponieważ nie sądzi, żeby jego kraj użył swoich sił zbrojnych za jego życia, zamierza zrezygnować z kariery wojskowej, wrócić do rodzinnego Kansas i otworzyć tam salon sprzedaży Buicka. Powodzenia, Dwight.

*Przełożył Lech Jęczmyk*

## O autorze

Gene Wolfe (ur. 1931). Pisarz amerykański, jedna z największych gwiazd światowej fantastyki, piszący charakterystycznym, niepowtarzalnym stylem, nie kłaniający się kolejnym modom czytelniczym, a realizujący własne cele. Z wykształcenia inżynier, długo pracował w zawodzie, póki nie przeszedł na zawodowe pisarstwo.

Twórczość Wolfe'a jest bardzo bogata, to autor, który znakomicie czuje się jako twórca krótkich opowiadań, ale także pisząc wielotomowe sagi. Jego najbardziej rozpoznawalnym dziełem są *Księgi Nowego Słońca*, zbliżone nieco klimatem oraz tematem do *Umierającej Ziemi* Jacka Vance'a – przynajmniej sceneria jest podobna – Układ Słoneczny dożywa końca swoich dni, a z nim i Ziemia. Bohaterem pięcioksięgu jest kat Severian. Na cykl składają się: *Cień kata*, *Pazur Łagodziciela* (Hugo), *Miecz Liktora*, *Cytadela Autarchy* i *Urth Nowego Słońca*.

Pięcioksiąg należy do szeroko zakrojonej serii *Urth*, na którą składają się jeszcze *Księga Długiego Słońca (Ciemna strona Długiego Słońca, Jezioro Długiego Słońca, Calde Długiego Słońca i Exodus z Długiego Słońca)* oraz *Księga Krótkiego Słońca (Na wodach błękitu, W dżunglach zieleni, Powrót na whorla)*. Choć proza Wolfe'a pełna jest ukrytych znaczeń i czasem eksperymentalna to jest to autor, którego twórczość powinien znać każdy szanujący się czytelnik fantastyki. Jest też pisarzem, który ma chyba najwięcej nominacji do Hugo i Nebuli, ale

otrzymał tylko jedną nagrodę Nebula, za opowiadanie *Śmierć doktora Wyspy*. W Polsce znamy sporo doskonałych opowiadań Wolfe'a, a także pojedyncze powieści, jak *Miasteczko Castleview*, *Nowojorskie odloty*, *Piąta głowa Cerbera* i doskonały wybór *Śmierć doktora Wyspy* (Nebula, nominacja Hugo). Wydano także dwa tomy z fantastyczno-historycznej trylogii *Latro: Żołnierz z Mgły*, *Żołnierze Arete* – ostatnia część nosi tytuł *Soldier of Sidon* (2006, World Fantasy). Wydano także dylogię *Wizard Knight* (*Rycerz, Czarnoksiężnik*).

# Kilkutomowa encyklopedia

Science fiction, fantasy czy horror to ikony dwudziestowiecznej popkultury. To nie tylko gatunki literackie, to także film, muzyka, malarstwo, gry komputerowe, sposób ubierania się, makijażu, czasem styl życia.

Dzisiaj jednak żyjemy w czasach, gdy międzygatunkowe granice uległy zatarciu, a wszystko jest ze sobą połączone. Współczesny odbiorca literatury, filmu czy muzyki nie kieruje się faktem przynależności do jakiegoś gatunku, szuka pewnych autorów, określonych emocji. Często nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że właśnie czyta fantastykę, ogląda fantasy, gra w grę science fiction. Nie mówiąc już o tym, żeby potrafił zidentyfikować, nazwać te gatunki. W dobie rewolucji informatycznej traktujemy cyberprzestrzeń jako świat równoległy, jesteśmy w sieci po kilka godzin dziennie, większość spraw załatwiamy przez Internet, więc bajdurzenia cyberpunkowe traktujemy jako opowieść realną, rzeczywistą.

Fantastyka lub jej elementy towarzyszą nam dziś wszędzie – w książkach, filmie, grach, grafice, reklamie, w mowie potocznej. Gadgets i techniki narracyjne charakteryzujące dotąd science fiction, stworzone przez nią i na jej potrzeby, zostały wchłonięte przez główny nurt. Podobnie jak wiele innych gatunków literackich. Taki romans paranormalny jeszcze dekadę temu byłby traktowany jako mieszanka dark fantasy i horroru, tymczasem dzisiaj czytelnik, czy raczej czytelniczka tego



romansu nawet nie zdaje sobie sprawy, że jest miłośniczką fantastyki.

Mnie ta sytuacja wydaje się wreszcie normalna. Cały wiek XX to wyodrębnianie się takich gatunków jak science fiction, fantasy, horror czy inne, gwałtowny ich rozwój, podział na wyspecjalizowane podgatunki, tworzenie hermetycznych gett, a następnie rozpuszczenie tego dorobku i zanik granic.

Wstrząsa mną ironiczny chichot, jak pomyślę o licznych próbach zdefiniowania gatunku science fiction – filolog i krytyk musi to robić, bo wymaga tego od niego metodologia badań, ale nie można zdefiniować niedefiniowalnego, szerokiego pojęcia, jakim jest science fiction czy fantastyka w ogóle. Gatunek SF sam wyznaczył swoje granice, ale nie potrafił zdefiniować tego, co wewnątrz nich.

Powstały specjalistyczne czasopisma, wydawnictwa, ruch czytelniczy, nagrody, konwencje, a gdy już zatrzęsnięto drzwi getta zaraz odezwały się głosy wewnętrznych krytyków, by fantastyka wyszła na szerokie wody mainstreamu, że główny nurt fantastykę lekceważy, itd. Jednocześnie krytycy fantastyczni próbowali zaanektować do SF czy fantasy, dla nobilitacji oczywiście, arcydzieła literatury z czasów, gdy pojęcia SF i fantasy jeszcze nie istniały; bądź wciągając na listy fantastyki utwory, o których sami autorzy nie mieli pojęcia, że są fantastyczne.

Ale dzisiaj wszystko wróciło do normy. Literatura jest jedna, dobra albo zła, mądra albo głupia, ciekawa albo nudna. I tylko to wydaje się czytelnika interesować.

Niewątpliwie jednak science fiction, jak i fantasy to bardzo

skomplikowane zjawiska, których wkład w literaturę, postmodernizm trudno przecenić. Fantastyka XX wieku dała literaturze wielu ciekawych twórców (choćby Vonnegut, Ballard, Dick), gadżetów, pojęć, i choć wyrastała w izolacji od głównego nurtu życia literackiego, ten gatunek jest dzisiaj jego nieodłączną częścią składową. Dzisiaj podróż w czasie, teleportacja, cyberprzestrzeń, magia są elementami popkultury.

Od dekady obserwuję na różnego rodzaju zlotach, konwentach, festiwalach odbiorcę fantastyki i widzę, że traci on świadomość korzeni fantastyki. Nie zna kontekstu, nie potrafi odnieść lektury czytanej właśnie książki do ciągu lektur, które autora tej książki zainspirowały. Słyszę zachwyty nad „nowo odkrytymi” pomysłami i ideami, choć funkcjonują one w literaturze science fiction od – na przykład – półwiecza. Pół biedy, że kontekstu nie zna czytelnik, może go to nie interesować, ale gorzej, gdy historii własnego gatunku nie znają sami pisarze.

Pomyślałem więc, że może warto by nowemu pokoleniu, współczesnemu czytelnikowi przybliżyć, a znawcom SF przypomnieć, zebrać w jednym miejscu, słynne opowiadania science fiction, dotąd rozproszone po periodykach, czasopismach, antologiach, których tytułów nikt już nie pamięta. Przypomnieć w kanonicznych przekładach te teksty, które były, ale i dziś mogą być inspirujące dla przyszłych pisarzy i czytelników. Pokazać, czym science fiction była, jaki potencjał reprezentowała w minionym stuleciu.

Tak dwa lata temu narodził się pomysł *Rakietowych szlaków*. Wybór osoby selektonera był od początku oczywisty, takiego wyboru nie mógł dokonać nikt inny niż Lech Jęczynek, mistrz i

przyjaciół ludzi kochających fantastykę, redaktor serii w Iskrach, Czytelniku, redaktor antologii (*Kroki w nieznane* i *Rakietowe szlaki* właśnie), redaktor naczelny „Nowej Fantastyki”, propagator fantastyki, wybitny tłumacz.

Wybór tytułu, kiedy już reaktywowaliśmy almanach *Kroki w nieznane*, także był prosty. Antologia klasycznej SF musiała mieć tytuł kojarzący się z science fiction, ale także znany czytelnikom. *Rakietowe szlaki* to był tytuł kultowej antologii amerykańskiej SF, pierwszej wydanej w Polsce Ludowej, po krótkotrwałej odwilży poststalinowskiej, w 1958 roku. Redaktorami byli wówczas Julian Stawiński i Krzysztof Zarzecki. Tytuł przypominał w dwadzieścia lat potem Lech Jęczynek, wydając dwa tomy RSz w Czytelniku.

*Rakietowe szlaki* były wówczas dla nas, czytelników, niczym baśniowy element w szarej rzeczywistości, jak by powiedział Jan Himilbach. Ten tytuł ma wysokie notowania wśród znawców SF w Polsce, mam nadzieję, że po niniejszej edycji zdobędzie też serca współczesnego czytelnika. Zawiera bowiem wspaniałe perełki SF, opowiadania dające do myślenia, ale i czarujące, dowcipne. Opowiadania różne, całe spektrum tematyki, jaką zajmowała się w XX wieku science fiction.

*Rakietowe szlaki* zgromadziły opowiadania prawie z całego okresu rozkwitu SF, od Złotego Wieku, jak nazywano lata 40. i 50., przez Nową Falę lat 60., po opowiadania z ostatniej dekady stulecia. Zebrano tu teksty sławne i te mniej znane polskiemu czytelnikowi, są wznowienia i teksty po raz pierwszy przełożone na język polski, są nowelki nagradzane i lubiane.

Jednym z kryteriów doboru była aktualność, bo żadna inna literatura tak szybko się nie starzeje jak science fiction, a to

głównie za sprawą owej *science*. Wybrane opowiadania oparły się czasowi, o czym czytelnik może się sam przekonać.

Prace nad antologiami trwały dwa lata. Początkowo w planie były dwa tomy, obejmujące utwory, które do różnych czasopism czy antologii wybierał Lech Jęczmyk, najczęściej też w jego przekładzie z języków angielskiego i rosyjskiego. Pierwsza lista była bardzo długa, na wypadek, gdyby nie wszystkie opowiadania udało się zdobyć.

Rozpoczęło się poszukiwanie autorów bądź ich spadkobierców, a także agentów. Efekt dwóch lat żmudnego śledztwa, pełnego zaskakujących wyników, anegdot, ślepych zaułków i nagłych zwrotów jak w dobrej historii detektywistycznej – trzymacie właśnie w ręku. Nie wszystkie opowiadania udało się zdobyć, a opis poszukiwań nadawałby się na porządny esej.

Z gigantycznej korespondencji (listowej, mejlowej, faksów), negocjacji, kontaktów poprzez Facebooka, powolnego skupowania praw, wyłaniał się coraz większy projekt. W końcu okazało się, że dysponujemy prawie 80 opowiadaniem autorów amerykańskich, brytyjskich, rosyjskich, czeskich, polskich i kanadyjskich, a wymiana korespondencji wciąż trwa, nowe tropy ciągle odnajdujemy, nawet w chwili, gdy piszę te słowa, na miesiąc przed premierą pierwszych tomów. I tak pierwotny pomysł rozrósł się do pięciu woluminów, a nie jest powiedziane, że na tym poprzestaniemy.

Choć czytelnicy wciąż nas pytali, dlaczego przygotowania do antologii tak się przeciągają, wydaje mi się, że tegoroczna premiera jest najwłaściwsza, bo w tym roku przypadają 75.

urodziny Lecha Jęczyka, a *Rakietowe szlaki* stają się chyba najlepszym sposobem do uhonorowania tego wybitnego tłumacza, redaktora i przyjaciela.

Dzięki wybranym opowiadaniom i nowelom czytelnicy poznają ponad 80 tekstów napisanych przez blisko 60 pisarzy. W ten sposób *Rakietowe szlaki* mają okazję stać się swoistym przewodnikiem po dwudziestowiecznej science fiction, pokazując to, co naszym zdaniem w SF było najlepsze. To nie przechwałki. Takich zbiorów nie wydano nigdzie na świecie, nawet w ojczyźnie SF. W trakcie kontaktów z autorami czy spadkobiercami często musieliśmy przełamywać opór tychże przed publikacją. Właściciele praw często pisali do nas, że to najlepsze utwory danych autorów, ikony gatunku, i zwykle ciągną w pojedynkę zbiory z gorszymi opowiadaniem. My im odpowiadaliśmy, że w naszej antologii będą zgromadzone same ikony, i podawaliśmy listę już uzyskanych praw. Wtedy najczęściej następowała zgoda i komentarz, że nie może ich zabraknąć w takiej antologii. Że jest wyjątkowa.

I padały pytania, skąd w dalekiej Polsce rodzą się takie projekty. Zawsze odpowiadałem, że z pasji.

Tytuł tego „zstępniaka” – Kilikutomowa encyklopedia – może się wydawać nadinterpretacją, bo cóż to za encyklopedia z sześcioma dziesiątkami autorów, ale mnie wydaje się właściwy. Nie wszyscy pisarze science fiction pisali dobre opowiadania. Zwykle jedni pisali świetne powieści, a z opowiadań rezygnowali, bo nie mogli się w nich dostatecznie wypowiedzieć. Inni odwrotnie, spełnieni byli w krótkiej formie, a powieści pisali fatalne. Tak było z Sheckleyem, Laffertym, Żelaznym, Tennem,

Kuttnerem, Watsonem. Są tacy autorzy, co piszą wyłącznie opowiadania – jak choćby Chiang.

Opowiadania wymagają precyzji, innego podejścia do pomysłu, bohaterów, innej konstrukcji, lekkiego języka, często poczucia humoru. Są też pisarze, jak Varley, Bishop, którzy najlepiej czują się w formie noweli, dłuższego opowiadania.

A tylko niewielu udaje się sztuka pisania równie doskonałych powieści, co opowiadań, ale to są prawdziwi giganci fantastyki: Gene Wolfe, Ursula K. Le Guin, Robert Silverberg, Brian W. Aldiss.

Publikacja pięciu antologii jest okazją, by w lekkiej i przystępnej formie przypomnieć dzieje rozwoju science fiction, stąd od następnego tomu rozpoczniemy druk „Krótkiej historii Science Fiction”. Mam nadzieję, że przyczyni się ona do zrozumienia, czym dla współczesnej popkultury i literatury była science fiction, skąd się wzięła, kiedy powstały jej najlepsze pomysły i tematy, jak reagowała na rzeczywistość, jakie były podgatunki i najważniejsze książki i opowiadania. Będziemy publikować ten esej w odcinkach z nadzieją, że czytelnicy *Rakietowych szlaków* zechcą poszerzyć swoją wiedzę o fantastyce i sięgną po inne książki.

Przyjemnej lektury

*Wojtek Sedeńko*

# PODZIĘKOWANIA

Przygotowanie pięciu antologii było bardzo długim i żmudnym procesem. Nie wyobrażam sobie, że bez pomocy poniższych osób byłoby to możliwe, więc choć w ten sposób, w otwierającym serię tomie chciałbym im wyrazić szczerze podziękowania za okazaną pomoc i zainteresowanie projektem. Bez nich nie byłoby *Rakietowych szlaków*: Lech Jęczynek – bez jego wsparcia, kontaktów z tłumaczami, wiedzy o fantastyce antologia by nie powstała. To wielkie szczęście dla mnie, że mogliśmy się poznać, nie powiem jak wiele lat temu. Lech jest jak Szeherezada, potrafi przykuć uwagę kilkoma słowami, anegdotą, komentarzem.

Robert Silverberg – poproszony o pomoc w nawiązaniu kontaktów nacisnął jakiś guzik i w ciągu paru dni zacząłem otrzymywać miłe mejle od tak wspaniałych autorów jak Ursula Le Guin, Michael Swanwick, Philip Klass, Alexander Jabłokov, Harry Harrison i inni. Umożliwił też kontakt z córkami Boba Sheckleya. Dzięki niemu *Rakietowe szlaki* są już znane w USA.

Nada Popovic – była niezwykle pomocna w wyszukiwaniu kontaktów do zapomnianych autorów, a także w profesjonalnym zorganizowaniu praw do opowiadań.

Mike Ashley – za pomoc w poszukiwaniu spadkobierców praw, sam jest selekcjonerem licznych antologii i wie, jak żmudna to robota.

Elizabeth Kennington – za doprowadzenie do zdobycia praw

do opowiadań R.A. Lafferty'ego.

Tuli Kupferberg – za miłe słowa.

Michael Moorcock – za pomoc w otrzymaniu praw do opowiadań Bayleya i trzymanie kciuków za antologię.

John Varley – jeszcze z nikim tak błyskawicznie nie załatwiłem formalności, wyraził zgodę w czasie, w jakim idzie mejl do Kalifornii, a umowę odesłał w czasie potrzebnym na jej podpisanie i zeskanowanie. Łącznie zajęło mu to kwadrans.

Maciej Garbacz, Tomek Maroński i Łukasz Matuszek – za wspaniałe okładki i pomoc graficzną – dobra robota!

Agencjom: A.P. Watt, Graal, Prava i Prevodi, Anaw, Vanessa Holt Ltd., The Wylie Agency, Virginia Kidd Agency, Ralph M. Vicinanza Ltd., Scovil Galen Ghosh Literary Agency, i ich reprezentantom za okazane zrozumienie i pomoc.

A także nie wymienionym z nazwiska moim współpracownikom w wydawnictwie, czytelnikom za dobre rady i napływające zewsząd wyrazy powodzenia. I żonie Małgorzacie dziękuję, że pozwoliła mi bawić się moimi fantastycznymi zabawkami, zamiast pomagać jej zajmować się domem czy ogrodem.

*Wojtek Sedeńko*